

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**ZYGMUNT KACZKOWSKI**

**OLBRACHTOWI  
RYCERZE**

**POWIEŚĆ**

**TOM II**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## X

### SPRAWY PUBLICZNE

Ród Pretficzów, chociaż już od stu lat z górami znany po całej Polsce, nie liczył się ani do sławnych, ani do znamienitych, bo jeszcze do owego czasu niczym się nie wywyższył nad inne. Trzymając się swojej rodzinnej tradycji, dotychczas nawet wcale wywyższenia nie szukał. Była to szlachta rycerskiego zawodu jak wszyscy, ale skromnych ambicji: wiek młody przesłużyć pod chorągwiami, w dojrzałych latach ożenić się zacnie i oddać się całym sercem służbie obywatelskiej, kochać serdecznie a pielęgnować starannie swoje własną rodzinę, nie żałować nakładu na wychowanie swych dzieci, dbać po ojcowsku o dobro swoich sług i poddanych, ubogiego przytulić, głodnego nakarmić, łaknącego napoić, nie uszczuplony majątek zostawić swoim następcom, a resztę poruczyć Bogu – oto były zasady, którymi ten zacny ród się rządził po wszystkie czasy.

Pretficzowie otrzymali jeszcze za Władysława Jagiełły obszerne ziemie na Podolu, próbowali tam mieszkać, ale nie mogąc swym sumptem utrzymać dostatecznej załogi, która by ich broniła przed częstymi napadami Tatarów, wynieśli się stamtąd i poruczyli wyzyskiwanie tych stepów swoim gubernatorom. Natomiast zaś zakupili od ruskich bojarów szeroki płat ziemi nad Świcą, założyli na nim wieś Sokołów i tu zamieszkali. Była to ziemia bardzo bogata we wszystkie dary Boże: przepysznych lasów więcej niż trzeba, wody obfitujące w ryby wszelkiego rodzaju, gruntów ornych niewiele, bo i osad niewiele, lecz za to łąk tłustych, ciągnących się po obydwóch brzegach Świcy aż ku Żórawnu, nieprzejrzanego przestrzenie. Było tam z czego utrzymać choćby i najliczniejszą rodzinę i było z czego jeszcze i drugich zapomóc.

Na tym majątku, zwłaszcza przy wpływach ze stepów podolskich, poczciwi ci ludzie żyli zawsze w dostatku, ale dopiero dzisiejszy dziedzic, Mikołaj Pretficz, poznał się na jego wartości i wziął się umiejętnie i skrzętnie do pracy. Miał on już teraz lat blisko sześćdziesiąt, ale był czerstwy i zdrow jak dąb okryty gęstą zielenią, a nie mający ani jednego suchego konaru na sobie. Nie bardzo wielki był wzrostem, ale zbudowany barczyste i już cokolwiek zażywny, miał krótką ciemną czuprynę i brodę przyszyroną spiczasto, a w nich ledwie gdzieś widać włos siwy, twarz rumianą i wyrazistą z nosem pokaźnym, a oczy jasne, otwarte, pełne tego spokojnego rozumu, który się może czasem kogo poradzi, lecz w gruncie rzeczy sam polega na sobie. Z młodu, przez lat prawie dwadzieścia, mieczem służył ojczyźnie, że zaś był wyćwiczony w obcych językach, towarzyszył niejednokrotnie posłom królewskim do Pragi, do Wiednia i Rzymu. Będąc żołnierzem, był jednym z najzaufanych kazimierzowskich rycerzy, a w poselstwach, choć nieuczony, niejedną zawiłą kwestię rozwiązał swoim gospodarskim rozumem.

Przed laty dwudziestu ożenił się – a widząc, że go Bóg błogosławi licznym potomstwem, wziął się do pracy, aby też trochę majątku przysporzyć dzieciom. A było tam tych dzieciaków jak bobu. Najstarszy Lubek dosługiwał się właśnie godności rycerskiej na zamku kmitowskim. Dwóch młodszych uczyło się w Pradze, trzeci zaprawiał się do nauk w Krakowie, potem szły trzy dziewczeczki, które chowały się w domu – a Bernard, ten sławny Bernard, który

za króla Zygmunta siedemdziesiąt zwycięskich bitew stoczył z Tatarami, który się za tym hul-tajstwem zapędził aż do Krymu i tam mu zalał polskiego sadła za skórę, a o którym na wiecz-ne czasy zostało przysłowie: „Za czasów pana Pretfica, spała od Tatar granica”, ten polski rycerz bez trwogi i zmyzy jeździł jeszcze natenczas na drewnianym koniku.

Żona Mikołaja była z domu Tworowska, z tych samych Tworowskich herbu Leliwa, któ-rzy mało co później wzięli w posagu całą fortunę Buczackich, a nawet przejęli ich nazwisko, ale wtedy jeszcze tak samo, jak Pretficzowie, nie wydobyli się ponad poziom tłumów szla-checkich. Była to kobieta już blisko czterdziestu lat wieku, ale jeszcze tak piękna i świeża, jak gdyby poszła za męża dopiero przed rokiem. Słuszną blondynką, pociągłej twarzy, z niebie-skimi oczyma dziwnej słodyczy, wyniosłego czoła i wcale majestatycznej postaci, byłaby mogła wszelakie hołdy zdobywać dla siebie po zamkach sąsiedzkich; ale skromnego serca jak sługa sług pańskich, pełna czci i miłości dla męża, najtroskliwsza matka dla swoich dzieci, klucznica wszelkich domowych dostatków, szczodra dla wszystkich, a prawie skąpa dla sie-bie, rzadko kiedy opuszczała swą ulubioną zagrodę, tak że ją tylko z jej cichej a dobrej sławy znano po kraju.

On w dreliszkowym kubraku i butach myśliwskich, ona w płóciennej sukni domowej ro-boty, od świtu do nocy byli tylko gospodarstwem a dziećmi zajęci, przyjmowali otwartymi ramionami gościa u siebie, ale niechętnie wychylali się z domu. Były tam w skrzyniach bogate szaty od atlasów i aksamitów, były błyszczące a drogie klejnoty, były landary w wozowni, było i koni, i służby dostatkami, było więc z czym się pokazać przed ludźmi, a nawet niektórych przesadzić: ale takie paradne wizyty się rzadko kiedy zdarzały. On tylko sam, będąc pierwszym podkomorzym halickim i używając dla swej zacności wielkiej powagi w powiecie, musiał częściej wyjeżdżać, to na sądy graniczne lub polubowne, to wreszcie na sejmiki i sej-my, których też nigdy nie zanedbywał.

Pretficz podniósł dochody swego majątku do nie znanej dotychczas wysokości. Jakie tam były nieprzeliczone stada koni u niego, jakie bydła rogate, jakie tysiące owiec wełnistych, jakie pasieki i stawy, temu się ludzie nie mogli nadziwić, bo też i najmożliwszy z panów nie miał tego u siebie.

Gospodarstwo rolne było bardzo trudne natenczas w tych krajach, bo wielki był brak ro-botników. Kmieci, sołtysów i kniaziów było jeszcze dużo, ale tych nie można było dotych-czas zmuszać do pracy – a chłop nie trzymał się roli, bo ziemi było dostatkami wszędzie, a zwłaszcza w górach, gdzie wprawdzie chleb chudy, ale większe bezpieczeństwo od tatarskich zagonów. Osadnicy przybywali dość licznie z Mazowsza i z Wielkopolski, ale ich sobie od-mawiano nawzajem, najsurowsze prawa przeciw nim na nic się nie zdały, bo wykonanie ich było trudne, toż tylko prawem niemieckim można ich było przyciągnąć, a dobrym obchodze-niem się z nimi utrzymać. Pretficz, człowiek rozumny a przy tym łagodny, był mistrzem w tej sztuce: osadnicy, co osiedli w jego majątku, nigdy nie opuszczali swych zagród, bo im łatwe nakładał warunki, dbał o nich jak ojciec w złej i dobrej doli, umiał ich przywiązywać do dworu, a przez kmieci, z którymi żył w dobrej zgodzie jak gdyby z młodszymi braćmi, sprawował nadzór nad nimi i wywierał wpływ na nich, tak że dwór, kmiecie i chłopci stanowili u niego jakoby jedną rodzinę. Postępując tym trybem, pomnożył do tego stopnia swe grunta orne, że kiedy ten i ów z jego sąsiadów ledwie tyle zbóż zbierał, ile sam zjadł ze swoją czeladzią, u niego nieprzebrodzone łąny falowały pszenicą i żytem i prawie wszystkie okoliczne mia-steczka się jego chlebem żywiły. Tak też pomału się zabudował: jego stajnie, obory, stodoły, szpichlerze a pomieszkania dla sług, rezydentów i gości, wyglądały prawie jak miasto – tylko stare dworzysko, tak jak go jego ojcowie pobudowali i wciąż powiększali, pozostawił nie-tknięte.

Była to ogromna, prawie jak jaki zamek rozłożysta budowa, z trzema gankami u frontu, z przyzbami dokoła i piąterkiem w jednym, a z wieżą w drugim rogu, ale cała drewniana, a tu i owdzie nawet tylko dranicami i słomą pokryta. Nad wieżą był dach baniasty z krzyżem u

szczytu, jakby na cerkwi, bo tam się znajdowała domowa kaplica. Wszystkie gospodarskie budynki stały z tyłu za dworem, po prawej stronie ciągnęły się sady jak lasy, a w nich pasieki i woskoboynie, przynoszące niemało złotych węgierskich owego czasu; po lewej wielki wirydarz z grzędami wysadzonymi bukszpanem, na których rozrastały się malwy, wysmukłe ślęzy, winogrady, słoneczniki i inne zioła lekarskie, zaś w środku obszernego dziedzińca błyszcząca okrągła sadzawka, obsadzona dokoła tak gęsto różami, że przez nie ani wąż nie mógłby się przecisnąć. Tylko naprzeciw środkowego ganku dworzyska różę przecięto i rzucono mostek na małą wysepkę, która się znajdowała na środku sadzawki, a na której rosły cztery ogromne brzozy płaczące, kąpiąc swoje zielone warkocze w kryształowym zwierciadle sadzawki. Pomiedzy brzożami stały ławy rzeźbione z drzewa, na których gospodarstwo czasem odpoczywali po zachodzie skwarne go słońca, oddychając balsamicznym zapachem róż, który im ochłodzone wodą wietrzyki przynosiły od brzegów, i sytną wonią dojrzewających owoców, która zawiewała od sadów. Całe to zacne a piękne obejście razem ze wszystkimi ogrodami i budynkami było otoczone wysokim wałem, wzniesionym z ziemi a najeżonym palisadami i częstokołem, spoza którego można było się bronić, we środku wału stała wysoka brama drewniana z pomieszkaniem dla stróżów, zaś po obydwóch stronach pobudowano strażnice – a tak w tym ziemskim raju pocziwych ludzi, pomimo rozgwaru pracy na bliskich polach i łąkach, panowała niezamącona cisza, ta cisza ziemską, lecz jakby przeniesioną z pól elizejskich, podnosząca umysł i radująca serce, a do prawdziwego szczęścia tak niezbędna.

I był to rzeczywiście raj ludzki. Po tym starym dworzysku, po oficynach, kuchniach, obozach i stajniach, roiło się jakie kilkadziesiąt ludzi albo i więcej: nauczyciele i piastunki do dzieci, rezydenci i rezydentki, sieroty przytulone do dworu, włodarze, ciwuny<sup>1</sup>, parobki i sługi zbrojne, wszystko to było w ruchu od świtu do nocy, ale każdy pełnił swą służbę sumiennie i bez hałasu, bo każdy ją pełnił z czci i miłości dla pana i pani. Winęło się też tam wszystko jak z płatka, a wiodło nad podziw: rok w rok nowy folwark budowano w wykarczowanych lasach, rok w rok pomnażały się stada, rok w rok spuszczano nową baryłkę szerokich groszy do zamkniętej na drzwi żelazne piwnicy, ni ojca, ni matkę nie turbowały żadne troski lub niepokoje, dzieci chowały się pięknie i zdrowo, nigdy ani jedna łza tam nie padła, chyba nad cudzą niedolą, zgoła słońce tam wciąż świeciło, a życie płynęło jak dzień pogodny i jasny, nigdy nie zasępiony chmurami. Dopiero teraz na tym pogodnym niebie pokazała się chmurka i nabawiła rodziców nie znanego dotychczas zmartwienia...

Oto właśnie przed kilku dniami przyjechał Lubek ze Sobnia: przyjechał blady, wycieńczony na siłach i niby to tylko na rekonwalescencją po przebytej ciężkiej chorobie, ale nieomylnie rodzicielskie przecucie zaraz odgadło, że pod tą chorobą fizyczną jeszcze coś innego się kryje. Wypytywano go z oględnością, azali skutkiem jakiegoś lekkomyślnego kroku nie popadł w niełaskę u Kmitów, azali się z kim nie pokłócił lub pobił, ale kiedy Lubek tym wszystkim przypuszczeniom zaprzeczył, uwierzono mu, bo znano jego nieskazitelną pocziwość i miłość serdeczną a pełną ufności do swoich rodziców. Przywiózł on zresztą list od obojga kasztelaństwa do państwa Pretficzów, list pełen pochwał dla niego, a zapewniający niedwuznacznymi wyrazami, że jego zwątlone zdrowie potrzebuje dłuższego spoczynku w zaciszu i na łonie własnej rodziny. Matka, namówiwszy się z mężem, podjęła się sekret ten z serca swojego syna pomału wydobyć.

Dotychczas się jej to wcale nie udawało: Lubek był całkiem w sobie zamknięty i ani jednym słowem stanu swej duszy nie zdradził – a kiedy potrącono o jaki przedmiot, który mu przypominał Jagienkę, i uczył, że mu serce wzbierać zaczyna, to zawsze rozmowę zręcznie odwrócił i sam zabrawszy głos, potrafił własną wymową odzywający się ból swego serca zagłuszyć. Dopiero teraz zdarzyła się sposobniejsza chwila po temu.

---

<sup>1</sup> Ciwun – rządcą; dozorca robót

Przed samym zachodem słońca stary Pretfcicz zasiadł w narożnym ganku z dwoma kmieciami i kapelanem domowym i rozmawiał z nimi o sprawie niezmiernie ważnej, bo o zbudowaniu rzymskokatolickiego kościoła, którego dotąd jeszcze w Sokołowie nie było. Ci obydwaj kmiecie, pozeniwszy się z Polkami, dzięki wpływowi swych żon już przeszli na katolicyzm; w dobrach Pretfcicza było już katolików wielu, bo między nowymi osadnikami byli Mazury i Wielkopolanie; nie chodziło mu wcale o fundusze, bo tak koszta budowy, jak i dotacje kościoła postanowił opędzić z własnej szkatuły: ale wiele zależało mu na tym, ażeby ta erekcja została przeprowadzoną wspólną pracą i wspólnym zachodem, bo tylko tym sposobem mogła się utworzyć katolicka gmina, która wiedziona tym przekonaniem, że kościół jest jej wspólną, a nie tylko pańską własnością, mogła być swą własną siłą się dalej rozszerzać. Każdy szlachcic, osiadający w tych ziemiach i dalej, był nie tylko kolonizatorem, krzewicielem cywilizacji zachodniej i rycerskim obrońcą ziemi, ale czuł się zarazem apostołem i misjonarzem rzymskokatolickiego Kościoła – a byli pomiędzy nimi i tacy, którzy tę ostatnią misję uważali za najwyższą i najważniejszą, bo spełniając ją gorliwie i skutecznie, nie tylko przymnażali swojej ojczyźnie wiernych obywateli, łączących się z nią obok wspólności interesów także wspólnością wiary, ale przyczyniali się zarazem do zbawienia duszy tych ludności, nad którymi los im powierzył opiekę. Do takich gorliwych apostołów należał Pretfcicz i spełniał to posłannictwo rozumnie, skrętnie i z prawdziwie apostołskim zaparciem się siebie – a kiedy był rozmową o takich sprawach zajęty, nikt by go od niej nie potrafił oderwać.

Po dziedzińcu około sadzawki igrały dzieci z piastunkami i nauczycielkami, a dozór nad nimi miała zakonnica Ormianka, która także przeszedłszy na wiarę rzymskokatolicką, opuściła swój klasztor we Lwowie i w Sokołowie przyjęła urząd ochmistrzyni. Pośród dziećmi i sierotkami, które się razem z nimi chowały, hasał na kiju sześćioletni naówczas Bernard i szablą drewnianą ścinał łby łodygom i krzakom: rycerska krew, szukająca ochłody w zniszczeniu i mordach, już wtedy w nim grała, bawiło to wszystkich i dlatego na wszystko mu pozwalano.

Matka zaś siedziała z Lubkiem na wysepce pomiędzy płaczącymi brzożami i rozmawiała z nim o zamku sobieńskim. Słońce już się zaczęło chować poza góry i lasy, pomiędzy którymi o jakie pięć mil odległości na przestrzał stał zagrzebany w ich cieniu zamek tustański, nie zamącona cisza panowała w powietrzu, od ogrodów i sadów zawiewał ten silny zapach dojrziałych jarzyn i usychających liści, który smętne w naszej duszy wywołuje uczucia, a umysł usypia i do smutnych marzeń nastraja. Omdlewają natenczas wszystkie rośliny i krzewy, życie ulatuje z nich z wolna, krzepną i umierają, aż wreszcie nielitościwa zima je chwyci w swoje śmiertelne objęcia i w kościotrupy zamieni – a co wiedzieć, który z tych tworów Bożych na wiosnę nowym zazieleni się życiem, a który w wiecznym pozostanie pogrzebie? Człowiek, związany z roślinną naturą niezliczonymi węzłami, to czuje, taki sam los jego czeka nie dziś, to jutro, rozmarza się tym widokiem swojej przyszłości, dusza jego zanurza się w smutku, a serce radziej się wtedy niż kiedykolwiek dzieli swym smutkiem z innymi.

Lubek opowiedział już matce wszystko, co wiedział o Kmicie, zbawionym za życia i nie łakącym już żadnych nowych zaszczytów, o kasztelanowej, bardzo zacnej matronie, ale niezmiernie górnych ambicij, o Smolickim, o wszystkich zamkowych żołnierzach, o księdzu Białym, o całym fraucymerze, ale jeszcze dotąd ani słowem nie wspomniał o Jagience. Dopiero teraz matka sobie ją przypomniała i o nią spytała. Lubek zrazu odpowiadał krótkimi słowy, ale naglony zapytaniem, rozegrzał się i wymalował jej obraz taki uroczy i taki zachwycający, że matka sama uczuła się dla niej ujętą i prawie wzruszoną. A kiedy mówił, głos jego drżał jak struny harfy eolskiej, kiedy grają hymn wzniosły na cześć wspaniałej, radością żywego życia przepełnionej natury, a pod nim jęczy cichymi dźwiękami boleść ludzkiego ducha, uwięzionego w mękach pracy i trudu w tej nieodgadnionej i nieczulej dla niego naturze. To drżenie w jego głosie odgadła matka swoim miłosnym sercem i kiedy jej syn swoje opowiadanie skończył spytała go, patrząc w twarz jego zarumienioną zapalem:

– I tę Jagienkę wydano teraz za pana Gniewosza?

Na te niespodziane dla niego słowa Lubek chciał zaczerpnąć powietrza, lecz nie mógł, natomiast zaś z dotkniętego tym bolesnym wspomnieniem serca dwa gorące strumienie łez wytrysnęły mu z oczu i potoczyły się jak górskie potoki po jeszcze mocniej zarumienionych policzkach. Poczuvszy zaś łzy, nie mógł się już opanować i rzucił się przed matką na ziemię, kryjąc swoją twarz na jej kolanach. Tak klęcząc, płakał jeszcze, ale płaczem cichym, tłumionym połykanymi łzami i był jak dziecko, które się już wypłakało i żal swój objawia tylko kwileniem.

A teraz matka już wszystko wiedziała.

Wzruszona do głębi boleścią swego ukochanego chłopięcia, ale zawsze spokojna, położyła rękę na jego głowie i rzekła z szczerym współczuciem:

– Uspokój się, Lubku. Nie masz w tym żadnego występku, takie nieszczęścia chodzą po ludziach. Wstań, pomówimy o tym spokojnie.

Natenczas Lubek wstał, siadł na powrót na ławie, a ośmielony tym, że matka mu za tę miłość nie robi wyrzutów, zawołał ze łzami w głosie:

– Jeszcze w wilią swojego ślubu, właśnie jak gdyby z swej trumny, rzuciła mi bukietik róż, który dotychczas noszę na piersiach.

Te słowa zwróciły szczególniejszą uwagę rozumnej matki na siebie, jakoż powiedziała mu bez wyrzutu, a raczej z macierzyńską dobrocią:

– Bardzo to niedobrze zrobiła Jagienka, że ci bukietik rzuciła, bo przecież już wtedy wiedziała, że idzie za Gniewosza, a nawet gdyby nie to, to nie mogła nie wiedzieć, żeś ty jeszcze za młody na męża.

Usłyszawszy tak ciężki zarzut przeciw Jagience, która w jego oczach była aniołem nieskazitelnej czystości duszy i serca, Lubek zapłonął szlachetnym ogniem i wymową płynącą jak rzeka wspaniałym korytem, stanął w jej obronie. Zaczem opowiedział matce, że on nigdy Jagience nie dał powodu do przypuszczenia, jakoby ją kochał w jakichkolwiek zamiarach, bo jej swojej miłości nigdy ani jednym słowem nie zdradził; że ona także miłowała go tylko jak brata bez żadnej myśli o jakimkolwiek wspólnym szczęściu na ziemi: ale że ją gwałtem do zamęścia zmuszono, że na całym zamku nikt nie miał dla niej litości, że nikt nawet nie rozumiał jej krwawego zmartwienia, że tylko on jeden miał dla niej współczucie, czego ona była pewną, i tylko przez wdzięczność za to współczucie rzuciła mu ten bukietik. Ażeby wreszcie matkę o jej zupełnej niewinności przekonać, dodał z naciskiem, że Jagienka mu ani słowem nie wspomniała o gwałcie, jaki jej zadają jej opiekunowie, on się o nim od dworzan dowiedział, bukietik jemu przez nią rzucony był tylko jak gdyby słowem: Bóg zapłać! za jego szczerze modlitwy, które zawsze zasyłał do Boga, aby się tylko jej własne życzenia spełniły.

I znowu w tym opowiadaniu dźwięczny głos jego brzmiał jak harfa eolska, aż póki się nie zniżył do cichego tonu boleści bez skargi... i nie zakończył tymi słowami:

– Popeliłem grzech ciężki i nieodpuszczony. bo dusza moja zabłąkała się na bezdroża, ale gotów jestem pokutować przez całe życie, byleby tylko ona była szczęśliwą...

Te słowa, świadczące o duszy rozdartej młodzieńca, a zawieszanej nad brzegiem rozpaczy, znowu wzruszyły matkę do głębi, wzięła go za rękę i usiłowała pocieszyć, mówiąc, iż zdarza się to nieraz młodzieży, że sobie upatry nie tego lub nie tę, którą Bóg jej przeznaczył, że wprawdzie takie obłądki serca zdarzają się tylko wtedy, kiedy się zapomniało o Bogu, którego woli nie należy nigdy wyprzedzać, a zawsze tylko od Niego wyczekiwać natchnienia, że jednak takie obłądki są tylko zapomnieniem, są niekiedy nieszczęściem, lecz nie są wcale grzechem, a zwłaszcza nieodpuszczonym. Bóg w swojej nieprzebranej miłości daleko cięższe grzechy przebacza, a nie zamyka nikomu drogi do poprawy. Poprawa czasem jest bardzo trudną, bo serce ludzkie ma trwalszą pamięć niż rozum, a nieraz nawet toczy walki z rozumem: ale dobra wola, poznanie błędu i skrucha są pewnymi środkami do poprawy, a czas im zawsze skutecznie pomaga.



– Walka rozumu z sercem zbłąkanym – kończyła ta rozumna i pełna miłości matka nie-szczęśliwego młodzieńca – jeżeli ma być skuteczną, cierpliwości wymaga. Nie pochwalilibym takiego, który by chciał gwałtem wydzierać ze swego serca rozbudzone w nim żywe uczucie miłości, bo serce także ma swoje wolę, choć nieświadomą, i często jej broni rozpaczliwymi środkami; ale rozum, który wie zawsze o sobie, właśnie jest na to, ażeby serce powoli przekonać i uspokoić – a życie czynne, zajęcie się innymi, a ważniejszymi obowiązkami, których na nas ciąży tak wiele, zadowolenie ciasnego sumienia dopełnianiem tych obowiązków, przynosi ulgę skołatanemu sercu i pozwala mu z czasem swoje ciężką żalobę utulić. Jeżeli zapominamy z czasem krwawymi łzami na razie oplakiwanych umarłych, chociaż nam byli najdrożsi, i poprzestajemy na cichym żalu za nimi, dlaczegoż byśmy nie mieli tak samo żałować żywych, którzy dla nas umarli? Ale ty nawet nie potrzebujesz zapominać Jagienki, do czego przeciw twej woli nikt cię zmuszać nie będzie. Jeżeli jej los cię obchodzi, to będziesz mógł zawsze cieszyć się jej szczęściem, a smuć jej smutkiem, ale dlatego jeszcze nie potrzebujesz nad jej niedolą rozpaczać... Ale Lubek rzekł na to głosem rozdzierająco bolesnym:

– Jeżeli ją Bóg jakim cudem nie wyzwoli z tego więzienia, w które ją Kmitowie tak nielitościwie wrzucili, to i dla mnie nie masz szczęścia w tym życiu!

Matka patrzała na niego przez chwilę, milcząc. Rozumiała ona dobrze tę miłość idealną, która wówczas tak często zawracała głowy młodym rycerzom, a o której, zwłaszcza pomiędzy tymi, co młodość swą przepędzili na wielkich dworach Europy zachodniej, tak piękne i tak urocze krążyły powieści; któraż zacna kobieta zresztą jeszcze i dziś w taką miłość nie wierzy? Dlatego nie powiedziała nic takiego, co by mogło to święte uczucie jej syna obrazić. Lecz była przekonana, że taka miłość, jak każdy ideał nie mogący zamienić się w rzeczywistość, nie może być szkodliwą i prędzej później się w świecie duchowym ulotni – a z tego powodu nie usiłowała już dalej go przekonywać, natomiast zaś tylko go jeszcze spytała:

– Powiedzże mi, mój Lubku, kiedy się tak szczerze przede mną spowiadasz, dlaczegożeś ty wyjechał ze Sobnia? Czy też Kmitowie się nie spostrzegli, żeś się rozmiłował w Jagience, i czy nie oni sami w sposób grzeczny wypowiedzieli ci służbę?

– Nie – zawołał Lubek z nieukrytą goryczą w głosie – nie! ja sam im się wyprosiłem od dalszej służby, bom nie mógł patrzeć na tych ludzi, którzy się stali katami Jagienki! Gdybym był musiał tylko jeszcze jeden tydzień tam mieszkać, to byłbym umarł ze wstrętu, tak mi tam wszyscy obrzydli. Nie powiedziałem tego ojcu, bom nie mógł. I ten grzech mam także na sumieniu. Ale mu powiem... muszę mu to powiedzieć, bo choćby mnie zabił, ja do Kmitów więcej nie wrócę.

– Chodź – rzekła na to matka, biorąc go za rękę i wstając z ławy – chodźmy, już czas do wieczerzy. Pomówimy o tym jeszcze obszerniej i obaczymy, jak na to radzić.

To rzekłszy, poszli oboje do dworu, gdzie w izbie jadalnej wszyscy domownicy byli już zgromadzeni. Siadało tam co dzień ze trzydzieści osób do stołu, bo u Pretficzów nie było tej etykiety, jak po zamkach rycerskich, gdzie po dwa i trzy stoły bywało dla różnych kategorii załogi zamkowej, tam dzieci i nauczyciele, żołnierze i rezydenci, wszyscy razem jadali. Stary Pretficz był przy wieczerzy swoimi kmieciami zajęty, lecz kiedy kmieci odprawił, a Lubek zaczął igrać z Bernardem, którego kochał serdecznie, matka zasiadła z nim w kącie drugiej komnaty i opowiedziała mu wszystko, co się dowiedziała od Łubka. Pretficz wysłuchał jej z wielką uwagą, a nawet o niektóre szczegóły wypytywał dwukrotnie, ale nie zajął się tą sprawą tak żywo, jak ona się spodziewała, bo w końcu odpowiedział jej tylko w tych słowach:

– Te służby po pańskich zamkach są u nas konieczne, bo tylko tam młodzież się poleruje i tylko stamtąd otwiera sobie drogę do dalszej promocji, ale ma to także swą niedogodność, bo nadzór nad młodzieżą nie wszędzie jest dosyć surowy i niektórzy z nich się bałamuca. Ale to potem mija...

Matka nie miała odwagi więcej na niego naciskać, aby go przekonać, że trzeba coś na to radzić. Pretficz widocznie innego był zdania, albo też o innych środkach zaradczych pomy-

ślał, bo przeciw jej spodziewaniu ani tego wieczora, ani w dniach następnych ani słowa o tym z Lubkiem nie mówił. Zdaje się, że nie naganiając wcale takich poufałości pomiędzy synem a matką, nie uważał je przecież jako odpowiednie godności i powadze ojcowskiej.

Widząc to matka, trochę się tym niecierpliwiła: kobiety zawsze zajmują się daleko żywiej takimi sprawami; ale jej niecierpliwość nie trwała długo. Albowiem już w kilka dni potem zaczęto zwoływać sejmiki, a zarazem rozesłano wici królewskie na sejm do Piotrkowa: Pretficz wyjechał do Halicza, a stamtąd do Piotrkowa i wziął Łubka ze sobą.

Już od ostatnich dni sierpnia poszedł ogromny krzyk po całej Polsce: Na sejm! Na sejm! Pierwsze hasła do tego okrzyku odezwały się w Małopolsce, gdzie jeszcze od czasu Ludwika Węgierskiego najzapaleńsi obrońcy szlacheckiej wolności gęsto przy sobie osiedli. Stamtąd rozległy się najprzód po Wielkopolsce, zrywając na nogi nieprzeliczone mrowiska drobniejszej szlachty aż do Wiślicy i Gopła – od brzegów Nidy przewaliły się przez całe Mazowsze i odbiły się o nieprzebyte puszcze litewskie, wywołując stugłosne echa pomiędzy drżącymi o swoje udziałność Gedyminowymi wnukami – drugim zaś szlakiem zalały całą Ruś, najeżoną już wtedy polskimi dworami i zamkami, a pędząc jak wichher wzdłuż Karpat, gubiły się w nie znających granicy stepach podolskich, gdzie duch rozpierającej się Polski nie znał także granicy, bo już natenczas przez swoich biskupów położył jedną rękę na ziemiach wołoskich, a drugą dotknął się Kaffy, kąpiącej się w wodach Czarnego Morza.

Na sejm! na sejm! wołano jednogłośnie po wszystkich zamkach i większych dworzyskach, po małych dworach i szlacheckich zaściankach: na sejm mają jechać wszyscy *viritim*<sup>2</sup>, na najlepszych koniach, z najlepszą bronią i z gotowością położyć zdrowie i życie za wolność i całość ojczyzny. Od zamku do zamku, od dworu do dworu, biegali jak race zadyszani achatesowie<sup>3</sup> możnych i sejmikowi krzykacze, rozwożąc pieniądze, odzież i broń, budząc ospałych, zachęcając młodzieńców, zagrzewając starców, ściągając chorych z łoża boleści, ledwie że nie wskrzeszając umarłych, ażeby wszyscy stawali pod chorągwiami, jak gdyby wszystkie potencje świata się na nią sprzysięgły, jak gdyby już samo piekło rozwarło nad nią swą paszczę...

Skądże ten strach wielkooki, skąd ten zapal taki płomienny, skąd taka jednomyślność zapala? – Oto z tej samej Małopolski wydano hasła pewne i nieodmienne, jakby król już zupełnie uległ diabelskim radom Kallimachowym, jako już postanowił, z wolą albo i przeciw woli, cały naród zakuć w poddaństwo, narzucić jemu *absolutum dominium*, sam odtąd wszystkie prawa dyktować, władzę wykonawczą wziąć w własną rękę, szlachtę schłopić albo ją w zbrojnych drabów zamienić – a sam zostać cesarzem jedynowładnym, jak ma być w Turczech, jak jest w Tatarszczyźnie. Na dowód, że to jest prawda nieomylna, rozwożono w niezliczonych odpisach cały rejestr *Rad Kallimachowych*, po łacinie spisany, w którym można było wyczytać jeszcze daleko więcej żelaznych kajdan na szlachtę, a o którego autentyczności nikt nie mógł wątpić, bo w każdym egzemplarzu był ten sam tekst co do joty. Te *Rady* we wszystkich dworach i dworach, na wszystkich zgromadzeniach, we wszystkich winiarniach, ze stołów i beczek czytano, jedne artykuły z jednogłośnym oburzeniem witano, drugie kazano sobie tłumaczyć, nad innymi sporne się wywiązywały dyskusje, ale *summa summarum* w zdradzieckie zamiary króla na razie wszędzie uwierzono – i dlatego po całej Polsce tak jednomyślny rozległ się okrzyk: Na sejm! na sejm!

Jak to zwykle bywa po takim gorącym zapale, ogień ten nie wszędzie dopalił się do końca, a ten i ów przecie na sejm nie pojechał: jeden się namyślił i wolał pozostać w domu dla dopilnowania reszty żniw i zimowych zasiewów, drugi się z workiem obliczył i nie znalazł w nim dosyć szerokich groszy na kosztą tak dalekiej podróży, a trzeci po gruntownej rozwadze zrozumiał, że z tego sejmu mogłaby się wywiązać wojna domowa, więc wolał się w te roboty

---

<sup>2</sup> *viritim* (tac.) – tu: osobiście

<sup>3</sup> *achates* (gr.) – tu: sługa, poplecznik

nie mieszać. Prócz tego szyli także po kraju poplecznicy królewscy, którzy zapewniali każdego, kto ich chciał słuchać, że te *Rady Kallimachowe* są fabrykatem nieprzyjaciół królewskich, że w tym wszystkim nie masz ani jednego słowa prawdy, że to są wymysły panów niesfor-nych a chciwych rozwieleniem własnej potęgi, którzy by chcieli zaćmić do reszty majestat polskiej korony i sami rządzić królestwem na szkodę wszystkich praw i wolności szlacheckich. Agitacje te także ochłodziły gorący ferwor niejednego szlachcica i wpoili weń przekonanie, że lepiej poczekać w domu, aż póki nie nadejdą pierwsze wiadomości ze sejmu. Lecz mimo to tłumy niezmiernie liczne i okazałe pociągnęły ze wszystkich prowincyj na sejm – a najstarsi ludzie nie pamiętali tak rozgwarne- go, tak srodze groźnego a zarazem tak tłumne- go zjazdu szlachty polskiej i ruskiej w Piotrkowie.

Piotrków, leżący na szerokiej płaszczynie, wtedy już z dala przedstawiał się bardzo wspaniale nadciągającym pocztom szlacheckim.

Z odległości o dwie i trzy mile uderzał w oczy ogromny zamek królewski, otoczony czterema wyniosłymi basztami, spomiędzy których ostrą iglicą wystrzeliwała ku niebu gotyckim kształtem zbudowana wieża środkowa; na szczycie wieży błyszczał orzeł biały, kąpiący swe srebrne pióra w promieniach słońca. Niejedno w Polsce wyszło od tego czasu, dzisiaj już nawet zaczyna wysychać ciepła krew w naszych żyłach, toż i wspaniała niegdyś rzeka Strawa teraz już ledwie wąską, błotnistą wstęgą się sący pod ruinami w gruz zapadłego zamczyska, lecz wtedy płynęła ona szerokim korytem i szumiącymi falami podmywała zębate mury tej królewskiej siedziby, która takimi samymi murami była ze wszystkich stron otoczona. Popod murami ciągnęły się z trzech stron głębokie fosy, a dobrze obronny most zwodzony prowadził pod bramę środkową.

Kiedy i kto ten imponujący swoją wiekową powagą zamek zbudował, to utonęło tak samo w niepamięci dawno już pogrzebanych pokoleń, jak ów jeszcze daleko starszy zamek książęcy, który tu niegdyś stał na Bugaju i w ziemię się zapadł, a którego resztki sążnistych murów widać jeszcze do dziś dnia na dnie tutejszego stawiska. Teraźniejszy zamek piotrkowski, opatrzony nowymi basztami przez Kazimierza Wielkiego, liczył już wtedy niemało takich wspomnień dziejowych, które wielkimi głoskami się zapisały w pamięci narodu. Tu bowiem po bohaterskiej śmierci Warneńczyka niecierpliwa szlachta wielkopolska okrzyknęła jednogłośnie królem Bolesława Mazowieckiego, a Kazimierz Jagiellończyk tylko dzięki energicznym zabiegom swej matki Sonki potrafił mu wydrzeć ojcowską koronę; tutaj ten król wszystkie sejmy odprawiał i tutaj, przemożony przez zuchwałego kardynała Oleśnickiego, zaprzysiągł szlachcie zachowanie jej praw i wolności, uświęcając tą przysięgą później w prawo kardynalne narodu zamienione *Pacta coraventa*<sup>4</sup>; tutaj przed laty czterdziestu odbył się ów wielki synod, na którym po długich naradach postanowiono walną wyprawę przeciwko zdraźczkim Krzyżakom; tutaj tenże sam król na wielkim sejmie przed laty dwudziestu siedmiu wysłuchał prośby Czechów i dał im swojego najstarszego syna na króla; tu, na tymże samym sejmie, wielki mistrz krzyżacki wykonał królowi przysięgę poddaństwa, którą w rok później jego następca ponowił; tu wreszcie teraźniejszy król Jan Olbracht tak samo, jak jego ojciec, przeciwko mazowieckiemu książęciu i również tylko dzięki rozumnej energii swej matki Elżbiety włożył na swoje głowę polską koronę. Te wielkie wspomnienia wywierały niewysłowiony urok na ściągającą się szlachtę: toż nie dziw, że i teraz wszyscy się spodziewali jakiegoś wielkiego dziejowego wypadku, a mocą rozbudzonych reminiscencyj tym łatwiej wierzyli potwornym wieściom o zamierzonych, zamachach królewskich.

Miasto Piotrków składało się wówczas z trzech dzielnic: z śródmieścia, z jurydyki<sup>5</sup> i z Wielkiej Wsi, a należały doń także wioski, stanowiące piotrkowskie starostwo. Śródmieście,

<sup>4</sup> *Pacta conventa* (łac.) – Układ zawierany pomiędzy elektem a przedstawicielstwem narodu, określający warunki pod jakimi ten otrzymywał koronę. W Polsce po raz pierwszy ułożono *Pacta conventa* przy wstępowaniu na tron Henryka Waleczjusza.

<sup>5</sup> jurydyka (łac.) – terytorium w obrębie miasta lub obok miasta rządzące się do 1791 roku osobnymi prawami

otaczające zamek, było zbudowane ówczesnym zwyczajem bardzo ciasno. Kilkopiętrowe domy, opatrzone mnóstwem krużganków i w znacznej części wjezdnymi bramami, stały gęsto przy sobie, zaglądając sobie w okna nawzajem. Ulice główne: Grodzka, Sieradzka, Rwańska, Warszawska, były zawsze pochmurne, duszne, gdziegdzie nawet ciemne śród dnia, tylko na rynku, otoczonym podsieniami dokoła, było cokolwiek więcej powietrza i światła, ale i ten jeszcze był prawie w połowie zawalony ratuszem, którego boki podpierały kramy kupieckie. Dopiero na przedmieściach: Krakowskim, Bykowskim, Rokszyckim, nie brakowało przestrzeni, tam też się poroziadały obszerniejsze gospody, mogące znacznie większe poczty pomieścić. Ale teraz nie wystarczały gościom nawet przedmieścia.

Przede wszystkim bowiem sami ci wichrowaci panowie, co przy każdej okazji lubili burzyć po kraju jakby po swoich własnych folwarkach, zwalili się z tak ludnymi taborami wozów i koni jucznych i zbrojnymi hufcami, że i w Warszawie nie byłoby znaleźli dostatkami dachów dla siebie.

Pomiędzy tymi trzymali prym dwaj bracia Rytwiańscy, którzy już wtenczas zaczęli się zwać Zborowskimi, Mikołaj i Jędrzej, jeden dopiero starosta odolanowski, a drugi kasztelan wieluński, sami jeszcze bez zasług, ale niezmiernie zuchwali i butni, bo też i bardzo obszerne posiadali majątki, bardzo głośną mieli już przeszłość i bardzo licznie się rozradzali. Jeden z niedawnych ich przodków miał dwudziestu synów, z których ośmiu zginęło w wojnach krzyżackich, a dwunastu zostało kasztelanami. Rytwiańscy występowali wszędzie kopno i namłotno, toż i dzisiaj przyprowadzili ze sobą do pięciuset zbrojnego ludu – a Mikołaj, ożeniony niedawno z Litwinką, córką Aleksandra Jurgiewicza, księcia olszańskiego, kasztelana wileńskiego, co go zwano Centaurus, wzięwszy tam obszerne ziemie za żoną, przywiódł ze sobą całą sotnię okrutnie kudłatych Litwinów, w baranich kołpakach a wilczych kozuchach, z krzyżackimi mieczami u boku a kołczanami na plecach, którzy też siedzieli na koniach tak dzikich, że rzeniem swoim wypłaszali lud z wiosek, przez które ciągnęli. To przyprowadzenie Litwinów nawet przeciwnicy królewscy brali mu za złe, bo Litwa, mająca wtedy własnego księcia, nie miała się mieszać do polskich sejmów; ale widać, że Rytwiańscy chcieli koniecznie groźnie wystąpić, bo i drugi brat, Jędrzej, naprowadził ze sobą ludzi zacieężnych, a takich niesfornych, że się stali postrachem dla Żydów i Ormian, co porozkładali swe kramy po przedmieściach i nieraz musieli uciekać przed nimi do gwardii marszałkowskiej, co porządku pilnowała w całym starostwie piotrkowskim.

Z Rytwiańskimi przybyli: Odrowąż, pan równie potężny, Zebrzydowscy i Sieniawscy, wszyscy w asystencji zbrojnego ludu i wszyscy niespokojnego ducha a dziwnie ognistych, i temperamentów. Toż przeciwnicy królewscy głównie na Rytwiańskich liczyli, że staną na czele opozycji i będą twardo przy prawach a wolnościach obstawać, bo im potęgi nie brakło, a opozycją mieli w krwi swojej z dziada, z pradziada. Był to przecież ich stryj rodzony, ów rozgłośny Jan z Rytwian, co przed laty trzydziestu siedmiu w tym samym Piotrkowie tak ogniście się oponował przeciwko wojnie, że jego mowa, miana wtedy do króla, obiegła całą Polskę w odpisach. Król mu dał wielką łaskę koronną, zacem też umilkł i na wojnę pozwolił: ale ta mowa zrobiła Rytwiańskim wielką sławę pomiędzy burzliwą szlachtą, której też wciąż używali. Jakoż i dziś między nimi najhałaśliwiej trzaskano na króla i na Kallimacha, wszyscy sejmikowi szczekacze się przy nich wieszali, niektórzy z nich odgrażali się kandydatami do korony, których wymawiali nazwiska, a drudzy nawet prelegowali, że królestwo polskie to jest *Res publica*, która się wcale może obejść bez króla, jako to w Grecji i w Rzymie bywało.

Wielcy Polacy przybyli tłumnie, a mali świetnie, jako to już mieli w dawnym zwyczaju. Jan Amor i Jan Szram Tarnowscy, jeden kasztelan krakowski, drugi zaś wojewoda sandomirski, a z nimi Spytek Jarosławski, wojewoda krakowski, ich krewny, przybyli każdy na czele swojej nadwornej chorągwi, złożonej z paniąt i urodziwej młodzieży szlacheckiej, w blysz-

czących pancerzach i hełmach z piórami, na wymuskanych koniach, karacenami<sup>6</sup> okrytych, wszystko to takie bogate a składne, a uderzające karnością i ładem, że ani we Francji, ani we Włoszech przystojniejszych hufców nie było – a nad tymi hufcami powiewały ich rodowe sztandary z herbem Leliwa, bo tam natenczas nikt pod chorągwiami województw nie stawał, jeno się wszyscy familiami trzymali.

Wraz z nimi, hetmając także takim pocztom przystojnym, przyciągnęli Tęczyńscy pod znakiem Topora, Kościelecki Ogończyk, Mikołaj z Ostrowa Rawicz, Jędrzej z Kutna Ogończyk, Jakub z Golenina herbu Biała, Jędrzej z Lubienia Doliwa, jako wojewodowie ruski, inowrocławski, lubelski, rawski, mazowiecki i brzeski-kujawski, lecz wszyscy dzierżący się społem z małopolskimi panami.

Nie gorzej od wojewodów wystąpili co przedniejsi kasztelanowie, jako Piotr i Mikołaj z Kurozwęk herbu Poraj, jeden sendomirski, a drugi lubelski, Jędrzej Tęczyński – wojnicki, Wacław Nieborowski, Prawdzie – bełski, Jan Grot ze Słupce i Konar – sądecki, Zawisza z Konradzie – plocki, Jan z Potulic, Grzymała – rogoziński, Ludwik Mortęski – chełmiński i wielu innych, bo też prócz Kmity żadnego z nich nie brakowało – a było ich wtedy, większych i mniejszych, blisko czterdziestu. Tam wiał duch bardzo wyniosły i szły hasła z ust do ust: obstawać przy wszystkich prawach, swobodach i przywilejach, ani na włos nie ustąpić, owszem, jeszcze nowych wymagać przeciwko miastom, kmieciom, chłopom i Żydom, żądać odprawienia Kallimacha, nie dowierzać w niczym królowi, domagać się gwarancji i zaprzysiężenia praw starych i nowych. Była tam więc opozycja stanowcza i zasadnicza, ale spokojna, szanująca majestat królewski i pełna miłości dla całej wielkiej ojczyzny, której nienaruszalność granic, potęgę państwową i wierność dla rzymskokatolickiego Kościoła uważano jako pierwsze przykazanie obywatelskie.

Zaś Wielkopolska stawiała się wcale inaczej, bo tam było daleko ludniej niżeli we wszystkich innych prowincjach, a drobnej szlachty prawie jak mrowia. Stamtąd sami Ostrorogowie, Czarnkowscy i Szamotulscy przyprowadzili jaki tysiąc albo i więcej szaraków, samych Nałęczów jako swych własnych braci herbownych, bo też i oni byli Nałęcze; toż Wieniawici i Grzymalicy, nuż wreszcie Poraje, Korabici i inni zwalili się mało co mniejszymi kupami. A już tam pomiędzy nimi były i zbroje, i stroje tak rozmaite i takie pstrokate, jakby ich kto po wszystkich krajach świata był zbierał, że Małopolanie, a zwłaszcza Rusini nie mogli im się wcale napatrzeć. Bo to ten w kurcie z pakłaku, a ów z karmazynu, ten w siwej, a tamten w czerwonej opończy, trzeci zaś zgoła w stalowej koszulce; ten wsadził na głowę hełm z grzywą albo z piórami, ów znowu kapelusz kolisty z kryzą zadartą i z piórem, a trzeci ubrał się w biret mieszczkański, ten z mieczem, ów z samopalem, a inny z halabardą i z tarczą albo też z okrutnym rapierem – a wszystko z niemiecka, bo też i z Niemiec brali swe mody. Z wyjątkiem familiantów trochę chudobnie wyglądała ta szlachta, bo też tam u nich ziemi i chleba nie było do zbytku, czasem ich i po kilku na jednym łanie siedziało. Ale animusz pomiędzy nimi był wcale inny – inny od wieków – a teraz podobno Ostrorogowie ich takim duchem natchnęli, ażeby wiernie trwali przy królu, bo król jest w wielkiej opresji od panów, rad by rozszerzyć dawne swobody i przywileje dla szlachty, ale niechby to było dla wszystkich zarówno, właśnie jako napisał Ostroróg: *Unus regni rex est, unum juss fiat, unum pondus et una mensura* – jeden ma być król, jedno prawo, jedna waga i jedna miara dla wszystkich – a nie tylko dla panów, siedzących po zamkach obronnych, a mających już z swej własnej potęgi daleko więcej swobód niż trzeba. Toteż tam gardłowano nie tylko za utrzymaniem, ale owszem, za wzmocnieniem władzy królewskiej, a przeciwko Małopolanom, których podejrzewano, że chcą skrępować króla, a opanować Koronę, ażeby sami rządili, ażeby nigdy żadnej wojny nie było, ażeby nie płacili podatków, a mogli po swojej woli rozdrapywać starostwa.

---

<sup>6</sup> karacena -(łac.) – giętki pancerz łuskowy na skórze

Obok tych tłumów: wielkopolskich, wyznających opinie demokratyczne, ale raczej konserwatywne, a stanowczo monarchiczne, i małopolskich, przejętych duchem liberalnym, postępowym, cywilizacyjnym i konstytucyjnym, równie monarchicznym, ale z dążnością dania przewagi arystokracji, zwała się także dość licznie szlachta z sejmików, pomiędzy którymi znajdowali się także mieszczenie, biorący jeszcze wtedy udział w sejmikach, wszyscy ludzie osiadli i zamożni, poważni i roztropni ojcowie rodzin, właściwe jądro społeczeństwa już w owych czasach, ale bez wybitnych politycznych opinii, właśnie jak łan dojrzałej pszenicy, który w tę stronę skłania swoje dorodne kłosa, w którą wiatr nimi powionie. Ani tak tłumni, jak Wielkopolanie, ani tak świetni, jak małopolscy panowie, było ich jednak także około sześciuset albo i więcej, a z swoją służbą stanowili siłę wcale nieszeptną.

Za nimi przyciągnęli panowie rusczy: książęta Zbarascy i Holszańscy, Buczaccy i Tworowscy, Paniowscy i Herburtowie Odnowscy, Fredrowie, Cebrowscy, Szumlańscy, Czoł-hańscy, Swaryczowscy, Kierdejowicze, Dymitr książę Puciatycz wojewoda kijowski, Paweł Koło z Dalejowa wojewoda podolski i wielu innych, na czele bogato przybranych, ale nie bardzo licznych pocztów, w sobolich i kunich kołpakach z agrafami z drogich kamieni, w błyszczących pasach, w lamowanych żupanach, w deliach i burkach czerwono podbitych i z krzywymi szablami, błyszczącymi od srebra i złota. Najbogatsze tam u nich siadzenia<sup>7</sup> na koniach, kropierze<sup>8</sup> na nich od dywdyków i haftów, a i same konie tu owdzie z farbowanymi grzywami i ogonami, zgoła widać po nich, że z Turczyzną graniczą i do tamtejszych obyczajów nawykli. Ci wszyscy są po staremu królewscy, jako byli po wszystkie czasy, bo też tylko z łaski królów mieli takie szerokie ziemie na Rusi i tylko w imieniu królów mogli bronić skutecznie tych ziem i tych krajów.

Z nimi także przyjechał Olizar na czele czterdziestu doborowych kozaków, ażeby też choć raz sejm polski obaczyć, do niego przyczepił się w kilka koni Tigranes z workiem pełnym czerwonych złotych węgierskich na wyżywienie Olizarowych koni i ludzi i obydwaj z całym swym poczem zajechali prosto na zamek, ofiarując się na służbę około osoby królewskiej, gdzie od Gniewosza, mającego komendę na zamku, są otwartymi ramionami przyjęci i zameldowani samemu królowi jako wolontariusze regaliści, gotowi głowy położyć za zdrowie królewskie.

Każdy z tych pocztów, przyciągnąwszy do Piotrkowa, próbował ulokować się w mieście, ale żaden z nich ani jednej izby dla siebie nie znalazł. Przed wszystkimi innymi bowiem polokowali się tam biskupi, którzy wszyscy (a było ich wtedy właśnie dwunastu), przyjechali z liczną asystencją, jaka książętom Kościoła przystoi, niektórzy zaś nawet ze zbrojnymi hufcami, jako Jan IV Lubrański, biskup potocki, który prócz swego dworu stu pancerników przywiódł ze sobą; Uriel Górka, poznański, pan równie wojenny, z konwojem dwóchset żołnierzy; a wreszcie metropolita ruski, Józef Sołtan, co przedtem był marszałkiem litewskim, a teraz swoimi bojarami i rozmaitym kozactwem dwie pierzeje<sup>9</sup> rynku zawałił. Do tego jeszcze urzędnicy koronni i inni przedniejsi senatorowie, co sami mieszkali na zamku, ludzi swoich pokwaterowali w mieście – a tak tam i szpilki nie było gdzie wetknąć, nie chcąc nią ukłuć albo osobę duchowną, albo też regalistę.

Mikołaj z Rytwian ze swoim bratem wdarł się pierwszy do miasta i chciał tam mieszkać koniecznie, choćby miał, jako sam z konia krzyczał wielkim głosem na rynku, wszystkich kantorów<sup>10</sup> i altarystów<sup>11</sup> powyrzucać z ich betów. Ale Jan II Pudełko, biskup naówczas łucki, nienawidzący panów, nastających na biedny lud wiejski, z którego sam wyszedł, słysząc go z krążganku swojej gospody pieniacego się na kułbace ze złości, powiedział jemu na ro-

<sup>7</sup> siadzenie – siodło

<sup>8</sup> kropierz – kapa, okrycie na konia zbrojnego

<sup>9</sup> pierzeja – ulica

<sup>10</sup> kantor (łac.) – śpiewak kościelny

<sup>11</sup> altarysta (łac.) – pomocnik księdza, ministrant

zum: – Jeżeli waść chcesz, ażebyśmy ci tu twoich kudłatych Perkunasów na bigos polski usiekli, to jeno uderz, a ani jedna noga ich stąd nie wyjdzie; ale ja tobie radzę, abyś poszedł spać na przedmieście, gdzie jeszcze aż nadto przystojna jest ubikacja dla panów starostów.

Tak nie było co robić. Wszyscy panowie musieli lokować się po przedmieściach, a jeszcze i tam nie dla wszystkich starczyło miejsca, jakoż niektórzy z nich, zwłaszcza ci, co mieli dwory liczniejsze, musieli się mieścić po bliższych wioskach za miastem, panowie Tarnowscy u norbertanów w Witrowie, Tęczyńscy na Bugaju, a Rusini w Bykowie. Drobniejsza szlachta mieściła się po chałupach i dworach przedmiejskich, Wielkopolanie zaś stanęli obozem na polu. Ruch tam był wielki, hałas, tartas, wrzawa i ustawiczny szczeł broni, w nocy zaś czaty i obozowe ogniska, prawie tak samo jak wśród wojny. Przejeżdżający człowiek postronny nigdy by się nie domyślił, że to jest zjazd posłów na narodowy parlament, a kiedy by mu to powiedziano, to zaraz by spostrzegł, że tak sejmuje tylko naród wojenny.

Król mieszkał na zamku i miał tylko cztery chorągwie swojego dworu ze sobą, nad którymi mieli komendę Kamieniecki, Gniewosz, Wilczek i młody Ostroróg. Kamieniecki hetmanił wszystkim, Gniewosz porucznikował straży około zamku i osoby królewskiej. Oprócz tego Leszczyński, marszałek nadworny koronny, miał paręset ludzi gwardii, którą nazywano marszałkowskimi drabami, a którzy, więcej dla obrony kramów przed napaścią hultajstwa niżeli dla przeszkodzenia burdom żołnierskim, wodzili ronty po mieście, bo też i żadnej burdy nie byli w stanie ukoić; uzbrojona od stóp do głowy szlachta, gdyby się na niech do broni porwała, byłaby ich wydeptała butami.

Jan Ostroróg, kasztelan poznański a zarazem generał wielkopolski, byłby daleko lepiej usłużył utrzymaniu porządku, bo przyprowadził bardzo słuszną chorągiew pancerną ze sobą, a do tego miał wszystkich wielkopolskich szaraków po swojej woli; ale król się żadnych burd politycznych nie obawiał, a kiedy mu donoszono, jako tam ta i owa szlachta trzaska pałaszami przeciwko niemu, jakie perory miewają niektórzy po kościołach i rynkach i jako się odgrażają przeciwko wzmocnieniu władzy królewskiej, to się jeszcze śmiał z tych pogroźek i mawiał: – Szlachta nasza jednej nocy by nie przespała spokojnie, gdyby nie miała przeciw czemuś się burzyć; jak nie ma strachu, to sobie go zmyśli, ale my tam tych strachów się nie boimy. – Być może, że inaczej rozumiał rzeczy w swym wnętrzu i wobec swych konfidentów, ale tak zawsze mówił, kiedy go liczna otaczała kompania.

Sejmy ówczesne, jakkolwiek już wtedy istniały prawnie, nie odbywały się jeszcze tym porządkiem, jak później. Obydwie izby nie miały jeszcze stałej organizacji, ani ubezpieczonej ustawami, ani uświęconej zwyczajem; porządek obradowania także jeszcze nie był dokładnie określony i ustalony. Istnienie izby poselskiej polegało wówczas tylko na prawie przyznanym powiatom, że każdy z nich może dwóch posłów wybierać i posyłać na sejm, ale jakie prawa przysługiwały tym posłom, tak samo jak i powiatowym sejmikom, to jeszcze bardzo dowolnej ulegało interpretacji. W powiatowych sejmikach brali udział jeszcze aż do owego czasu mieszczanie, mogli być obierani posłami, jeżeli posiadali dobra ziemskie, i przyjeżdżać na sejmy, nawet choćby tylko jako deputaci miast – i jeżeli tych swoich praw dotąd nie uświęcili zwyczajem, a teraz stracili, to w rzeczywistości było to w wielkiej części winą ich własnego niedbalstwa. Posłowie ziemscy nie mieli także ani własnej izby na zamku, ani swego marszałka, zbierali się zazwyczaj po kościołach, gdzie ołtarz zakrywano płachtami, a ambona służyła im za mównicę. Perorował kto chciał i perorował tak długo, jak długo go słuchano, czasem mówcę zagłuszano tumultem – a kiedy posłom zanadto duszno się zrobiło w kościele, to się wysypywali na rynek i tam kontynuowali swoje obrady. O jakimkolwiek wetowaniu<sup>12</sup> w izbie poselskiej jeszcze wtedy mowy nie było.

Senat zgromadzał się na posiedzenia na zamku królewskim. Była tam wtedy ogromna sala jak kościół, do której prowadziły szerokie wspaniałe schody, a na której ścianie naprzeciw

---

<sup>12</sup> wotowanie (łac.)–głosowanie

głównych drzwi był wymalowany obraz Chrystusa Pana na krzyżu w kolosalnych rozmiarach. Te malowidła były jeszcze z początkiem niniejszego wieku widoczne. Pod tą ścianą wznosiło się obszerne podwyższenie, zaścielone suknem czerwonym, na które wchodziło się po trzech schodach, a w którego głębi pod baldachimem stał wyłożony stolec królewski, otoczony niższymi cokolwiek krzesłami dla królewiczów i dygnitarzy nadwornych, składających ministerium królewskie. U góry ścian ciągnęły się galerie, które jednak zapełniała tylko młodzież będąca w służbie królewskiej, a do których nie przypuszczano arbitrow<sup>13</sup>, bo posiedzenia nie były publiczne. Na brzegu estrady stało za stołem krzesło, na którym zasiadał marszałek wielki koronny, przewodniczący obradom. Na krzesłach, ustawionych w półkolu, zasiadali w pierwszych rzędach dygnitarze kościelni i świeccy według zwyczajnego porządku, a za nimi siedzieli kasztelanowie mniejsi. Wszystkich senatorów, mających wtedy prawo do zasiadania w senacie, było stu z górą, ale jeżeli się między nich wmieszał jaki starosta i głos zabierał, to mu nikt tego nie bronił. Czasem przybywały deputacje od posłów ziemskich do senatu, przyjmowano je zawsze bez wstępu, a wtedy posłowie perorowali razem z senatorami.

Król bywał zwykle obecny obradom senatorów, którzy też nigdy nie przemawiali do izby, tylko do niego, chyba że który z mówców w oratorskim ferworze apelował do zgromadzenia. Król swoją obecnością mitygował zbyt mocny zapach mówców, ale sam nigdy nie przemawiał; w razie potrzeby mówił za niego kanclerz lub podkanclerzy, marszałek nadworny albo podskarbi, czasem zaś który z dygnitarzy duchownych lub świeckich, uproszony do tego przez niego. Wnioski motywowano w izbie, ale nie wetowano nad nimi, tylko wysyłano deputacją do króla, zazwyczaj z trzech senatorów złożoną, którą król przyjmował w komnacie osobnej i tam je z nimi sam dyskutował. Zrobiony wniosek, często dopiero po długich targach, czasem nawet dni kilka trwających, ostatecznie przez króla przyjęty, kazano po łacinie spisywać podkanclerzemu, który go potem czytał głośno w senacie, a senat wtedy już bez dyskusji jednogłośnie przyjmował. Ta jednogłośność, będąca wtedy naturalnym wynikiem sposobu obradowania, stała się później podstawą i źródłem do nieszczęsnego warunku jednomyślności i *liberum veto*.

Wnioski, przez króla i senat przyjęte i ostatecznie zredegutowane w formie artykułów statutu, ogłaszano posłom zgromadzonym w kościele albo na rynku, którzy je zwykle przyjmowali przez aklamację. Jednak niejednokrotnie, tak król jak i senat, nim się na jakiś wniosek zgodzili, chcieli wiedzieć, co o nim rozumieją posłowie ziemscy – a takie porozumienia odbywały się przez pośredników, nie urzędowych, których nie było, tylko takich, którzy swoją powagą i popularnością do takiej służby najlepiej się nadawali.

Takim pośrednikiem pomiędzy królem i senatem z jednej a ziemskimi posłami z drugiej strony na tym sejmie był stary Pretficz. Rozumny, roztropny, łagodny z temperamentu, obdarzony z natury sercem pełnym miłości dla wszystkich, a do tego nadzwyczajnie wymowny, pozyskał on zaufanie króla tym łatwiej, ile że z Ostrorogiem dawną związany przyjaźnią, przez niego został mu zalecony. Senatorowie zaś wszyscy od młodości go znali i mieli szczerzy szacunek dla niego, bo też wszyscy wiedzieli, że w obywatelskiej zacności jeszcze go nikt nie przesadził, a nawet mało który mu zdołał dorównać. Pretficz zatem, pewien zaufania senatu i króla, a umiemy działając z tą spokojną energią, która nic nie zepsuje zbyt mocnym pośpiechem, ale nic nie zaniedba, już przed zaczęciem obrad sejmowych wziął górę nad szlachtą i tak ją umiał do siebie przywiązać, że zajął nad nią stanowisko jakoby jej marszałka. Od czasu zaś, kiedy się rozpoczęły obrady, przewodniczył jej posiedzeniom, a zarazem po dwa i trzy razy na dzień bywał na zamku, tam przysłuchiwał się obradom senatu i przypuszczony jest do boku króla w tych nawet chwilach, kiedy król z deputatami senatu miewał sekretne, a często nawet bardzo ożywione dyskusje. Z zamku biegł zwykle pomiędzy posłów ziemskich, w razie

---

<sup>13</sup> arbitrowie (łac.) – tu: publiczność obecna na posiedzeniach sejmowych



potrzeby zwoływał ich zgromadzenie, komunikował im wiadomości o tym, co się dzieje w senacie, i usposabiał ich umysły do przyjęcia postanowień zapadłych pomiędzy senatem a królem.

Pierwszą sprawą wziętą pod rozwagę była ugoda zawarta z księciem mazowieckim Konradem, który, choć lennik królewski i pozbawiony już wtedy przemożnej protekcji kardynała Oleśnickiego, zawziętego nieprzyjaciela Jagiellonów, knuł ciągle kabały z Moskwą i stał się niebezpiecznym dla Polski, a to jeszcze tym więcej dlatego, ile że Oleśnicki zostawił po sobie, mianowicie pomiędzy małopolskimi panami, niemało adeptów swojej warcholskiej polityki, którzy w danym razie mogli podać rękę mazowieckiemu przeciwko prawowitemu królowi. Ugoda ta, wiążąca na wieczne czasy Konrada, z tym większym została przyjęta aplauzem, ile że przyłączała zaraz do korony księstwo płockie z ziemiami: warszawską, zakroczymską, wyszogrodzką, łomżyńską, ciechanowską i nowogrodzką. Ale odtąd, kiedy wzięto pod obrady prawa i przywileje szlacheckie, zaczęły się burze w senacie.

Najgwałtowniej występowali przeciwko królowi bracia Rytwiańscy, a zwłaszcza Mikołaj, który chociaż był dopiero starostą, gwałtem się wdarł do senatu, z deputacjami się wciskał do komnaty królewskiej, i tu, i tam tak niepomiarowane miewał perory, że czasem nawet sami przeciwnicy królewscy mu przerywali albo go rwali za poły, aby go mitygować. Taka ognista, a zwłaszcza opozycyjna wymowa jest zaraźliwą, bo właśnie jak ogień słomy chwyta się swoich słuchaczy, toż i Mikołaj wywoływał niejednokrotnie w senacie grzmiące aplauzy i często się zdało, że całą izbę porwie ze sobą i cały zamek wraz ze stolcem królewskim przewróci. Sekundowali mu brat jego Jędrzej, któremu zapewne na kasztelanii drażkowej było za ciasno, Zebrzydowscy, Kościeleccy, Odrowążowie – a zrazu małopolscy panowie całe mu się nie sprzeciwiali. Bardzo wspaniałym widowiskiem byłaby była taka ognista obrona narodowych praw i wolności, gdyby była windykowała<sup>14</sup> te prawa dla całego narodu – a nie dla jednej tylko warstwy społecznej, która już od całego wieku miała wyłącznych przywilejów dostatkami. Jednak król wobec tej burzy postępował sobie nad wszelki podziw rozumnie, albowiem nie tylko nie mitygował mówców, ale, owszem, sam stawał w obronie wolności słowa, dodając tylko czasem może cokolwiek złośliwie: „że ponieważ ci, co najpierwi stają do obrony swych praw, także najpierwi stają do przelewu krwi swojej za ojczyznę, więc im się to słusznie należy, ażeby się mogli wygadać”. A jak się już wygadali i kiedy przystąpiono do dyskusji artykułów, tak tych, które z dawnych statutów miały być potwierdzone, jak i tych, które do starych dodać zamierzano, król jeszcze więcej wszystkich zadziwił swą uległością, bo mało któremu wnioskowi się stanowczo sprzeciwił, tylko tu i ówdzie coś zmienił, a zresztą wszystkie postulata przyjął i zatwierdził.

Tak zatwierdził na nowo wszystkie trzydzieści trzy artykuły Statutu nieszawskiego z roku 1454, a nadto zobowiązał się trzymać się wszystkich ustaw, przez jego poprzedników wydanych, na nowo zaś przyrzekł: nikogo nie więzić nisi jure victum<sup>15</sup> i nie zabierać mu mienia – każdemu szlachcicowi, biorącemu udział w pospolitym ruszeniu, zapłacić pięć grzywien – nie nadawać żadnemu ze swoich starostów, z wyjątkiem krakowskiego, godności wojewody lub kasztelana – rozdawać dygnitarstwa tylko szlachcie rodowej – nie wydzierzawiać grodów i ziem, w których znajdują się starostwa – nie wymagać więcej podatków jak po dwa grosze z łanu – nie przesądzać wyroków sądowych – określić dokładnie władze starostów grodowych – zaprowadzić w każdej ziemi księgi wyroków i aktów sądowych – a wreszcie, nie wzywać szlachty do pospolitego ruszenia bez poprzedniego zwołania sejmku, co się niejako równało zrzczeniu się prawa wypowiedziania wojny.

Tymi artykułami król pozbawiał się już prawie całkiem władzy prawodawczej, lecz następnymi rozszerzał jeszcze bardzo znacznie przywileje szlachty, albowiem: uwalniał ją od wszelkich opłat celnych, nadawał jej wyłączne prawo propinacji i rozszerzał wolność żeglugi

<sup>14</sup> windykować (łac.) domagać się zwrotu na drodze prawnej

<sup>15</sup> nisi jure victum (łac.) – chyba że zmuszony przez prawo

aż do Gdańska, zapewnił wyższe godności kościelne tylko posesjonatom, wykluczając od nich plebejuszów, zakazał stanowczo kmieciom przenosić się z miejsca na miejsce, pozwolił im tylko jednego syna do szkół posyłać, zakazał dobra ziemskie mieszczanom kupować, a nakazał jeszcze i te wyprzedać, które odziedziczyli po przodkach, przy czym się w końcu i Żydom dobre poczęstne dostało, bo postanowiono krótko a węzłowato, ażeby nadane im swobody odebrane zostały, jako sprzeciwiające się prawu Bożemu.

Nadanie narodowi takich szerokich praw i wolności, o jakich wówczas w żadnym państwie europejskim nikt nawet nie śmiał pomyśleć, jakich zresztą i dzisiaj jeszcze nie wszystkie posiadają narody, wywołało nie widziany dotychczas entuzjazm dla króla. Już zaraz po przyjęciu pierwszych artykułów panowie Rytwiańscy i Zebrzydowscy bardzo przycichli, a potem nawet sami zaczęli się przymilać królowi. Przywódcy Małopolanów: Tarnowscy, Jarosławscy, Tęczyńscy, Zawiszowie, Kamieniecy, Kurozwęccy i inni, ludzie rozumni, troszczący się żywo o pomnożenie swobód szlacheckich, lecz miłujący przede wszystkim ojczyznę, widząc tę szcudrośliwość królewską, przestali wcale naciskać na niego, owszem, jeszcze mitygowali tych, którzy, zaciętrzewieni przeciw królowi, nie znali miary w swoich żądaniach. Zaś Wielkopolanie, końcem końców taka sama szlachta, jak wszyscy inni, także się nie skarżyli na pomnożenie swobód szlacheckich; kiedy im zaś ogłoszono, że król pospolitakom będzie płacił po pięć grzywien, że to byli ludzie po największej części ubodzy, tak głośnymi wiwatami tę wiadomość przyjęli, że się całe miasto od nich zatrzęsło, a w końcu jeszcze tak tłumną deputacją wyprawili z podziękowaniem do króla, iż na zamku myślano, że jakaś burza pomiędzy nimi się rozszalała.

Wśród tego ogólnego zadowolenia nie brakło wprawdzie i malkontentów. Biskup Pudełko, syn kmiecy, perorował ogniście przeciwko wszystkim artykułom, ścieśniającym tak Nielitościwie dotychczasowe swobody wiejskiego ludu i mieszczan – a kiedy te artykuły mimo to zostały postanowione, zasmucił się mocno jak chmura gradowa, przepowiadał wielkie nieszczęścia, a nawet upadek tego królestwa, i w takim nieukojonym gniewie, nie pożegnawszy się z nikim, do Łucka odjechał. Ostroróg znowu zasepił się tym artykułem, który zakazywał kumulacji urzędów ze starostwami, bo będąc kasztelanem poznańskim a zarazem wielkopolskim jenerałem, czyli starostą, musiał złożyć swe jeneraństwo. Gniewosz także trochę wargi przygryzał, bo spodziewał się na pewno teraz jaką kasztelanię otrzymać, a dzięki temuż samemu artykułowi, będąc czorsztyńskim starostą, musiał tę nadzieję porzucić. Byli i inni, co na kasztelanię liczyli, których wakowało około dziesięciu, ale się zawiedli, bo król na teraz ani jednej nie rozdał.

Ale tych drobnych chmurek ani dostrzec nie było można i wśród tych jasnych promieni, w których wspaniałym blasku ten sejm został zamkniętym. Niewysłowiona radość z szcudrośliwości królewskiej była powszechną – a wśród niej zmanifestowały się jak może jeszcze nigdy dotychczas przywiązanie do króla, jednomyślność w pojmowaniu obowiązków obywatelskich i patriotyczna gotowość poświęcenia się dla całości i szczęścia ojczyzny.

Myśl polityczna, która przewodniczyła temu sejmowi, była według dzisiejszych pojęć w swojej zasadniczej istocie ciasną i jednostronną, w dalszym swym rozwinięciu stała się omylną i błędną, a w ostatecznych swych rezultatach musiała się z konieczności stać zgubną, ale była ona dzieckiem swojego czasu – i jako taka, jako powrót do dawnych tradycji słowiańskich rządzenia narodu przez jego starszyznę, jako określająca granice władzy królewskiej, jako zapewniająca narodowi pewne nienaruszalne prawa i swobody, była zorzą nowej epoki bytu dla wszystkich narodów, a przedświtem wspaniałej i świetnej potęgi dla Polski. Jakoż istotnie, zygmontowskie słońce jeszcze wtedy nie wzeszło, ale jego promienie już jasne brzaśki rzucały na Polskę – a po tych senatorach wyniosłych i dumnych, zakutych w błyszczące pancerze a okrytych w skóry lamparcie i rysie, kipiących gorącą krwią, lecz umiejących swe namiętności miarkować rozumem, gotowych swą piersią żelazną uderzyć o tron królewski, ale gotowych także roztrzaskać ją o nieprzyjaciół ojczyzny, widać już było, że ich synowie o

całą głowę ich przerosną, a oparłszy granice Polski o dwa morza odległe, zbudują w jej środku tron ze szczerego złota, przed którym będą bić czołem podbite książęta, który będzie otoczony czcią i miłością całego narodu i który nawzajem w ten naród taką miłość ojczyzny zaszczerpi. że w nim trwać będzie po wszystkie wieki.

Taką przyszłość pełną zaszczytów i stawy przepowiadano już wtedy powszechnie temu królestwu. Ale dlaczego król, uczeń tak zawziętego na przywileje szlacheckie Kallimacha, wyznawca wszystkie stany niwelujących zasad, prelegowanych przez Ostroroga, pragnący sam zresztą wojsk stałych w celu wzmocnienia władzy królewskiej, dlaczego ten król tak nagle i niespodzianie takie szerokie nadal tej szlachcie swobody, tego nikt wytłumaczyć nie umiał, a wszyscy dociekali na próżno. Pretficz lubiący wszystko wiedzieć dokładnie, niemało sobie głowy nad tym nasuszył, wypytywał się wszystkich, macał i Ostroroga po kilka razy, ale niczego się nie dowiedział. Wszelako był także z Gniewoszem w poufałości i tego wziął także na konfesaty<sup>16</sup>; Gniewosz mu się długo opierał, ale jednego wieczora, kiedy z nim rozmawiał bez świadków, zmiękł przecie, a wzięwszy go za rękę, zapytał:

– A nie powiesz nikomu?

– Wiem przecie, co są sekreta *status*<sup>17</sup>.

– Więc tobie powiem – rzekł Gniewosz – ale na słowo rycerskie. Niebawem będziemy mieć wielką wojnę, król na tę wojnę chce mieć cały naród po sobie.

Więc Pretficz na to pokiwał głową i odpowiedział:

– Zawszem ceniał wysoko rozum naszego pana, lecz teraz widzę, że jego rozum jest także przewidującym, a to jest niezwykajna zaleta. Dziękuję ci za tę wiadomość, trzebaż będzie zawczasu o pomieszczeniu mojego chłopca pomyśleć.

– Jeżeli chcesz – rzecze mu Gniewosz, rad zawsze każdemu usłużyć – to może nam się uda pomieścić go na dworze królewskim. Słaby to jeszcze chłopczyna, a w mojej chorągwi bardzo ciężkie pancerze, inaczej wziąłbym go zaraz do siebie. Ale mogę pomówić z królem, aby go wziął do siebie na pazia.

Pretficz mu serdecznie podziękował za tę gotowość do przyjacielskiej usługi, mówiąc:

– Całe życie będę ci wdzięcznym za twoje pomoc braterską i jeśli Bóg zdarzy sposobność, to sowicie odplacę. Ale tymczasem proszę cię o czas do namysłu i do wyrozumienia mego chłopięcia, bo nie chciałbym mu takiej funkcji narzucać, do której nie miałby sentymentu.

Tymczasem Lubek wcale o tym nie myślał, ażeby się na jakiejkolwiek funkcji publicznej pomieścić. Wszystko, co tchnęło polityką, było mu wstrętne. Wrzaskliwe zgromadzenia zawsze czymś zaciętrzewionej szlachty obudzały w nim obrzydzenie, jakoż nigdy na nie nie chodził, chociaż ojciec go ciągnął ze sobą, chcąc go wdroyć zawczasu w sprawy publiczne. Posiedzeniom senatu przypatrywał się często z galerii, ale tylko dlatego, że go malownicze figury senatorów zajmowały, które też sobie rysował ukradkiem. Natomiast wszakże, poznawszy się z Tigranem, związał się z nim bardzo czułą przyjaźnią.

Gołębie te serca, szlachetne, czyste, bez zmayı i grzechu, a pełne miłości dla ludzi, dla zwierząt i dla wszystkiego, co żywie – chociaż pomiędzy nimi wielka zachodziła różnica, bo jeden koniecznie chciał zostać rycerzem, a nie miał po temu usposobienia, a drugi mógł być nim zostać, lecz nie chciał – tak ściśle się spoily ze sobą, jak gdyby ich przyjaźń już nigdy się nie miała rozerwać. Tigranes był także uczony i w sztukach wyzwolonych ćwiczony i biegły, chociaż do nich nie przywiązywał żadnej wartości; umiał wiele języków i pisał nadzwyczaj pięknie; więc za namową Lubka wcisnęli się do kancelarii królewskiej i tam *ex propria diligentia*<sup>18</sup> przepisywali tworzące się na tym sejmie statuty. Tigranes spisywał na pergaminie pięknymi gotyckimi literami każdy artykuł, a Lubek malował farbami inicjały i ozdabiał marginesy rozmaitymi floresami i figurami, w których łatwo można było poznać portrety wybit-

<sup>16</sup> konfesata (łac.) – wyznanie, badanie

<sup>17</sup> status (łac.) – tu: państwo

<sup>18</sup> *ex propria diligentia* (łac.) – z własnej pilności

niejszych senatorów duchownych i świeckich. Sporządziwszy pod koniec sejmu kompletny nowych statutów egzemplarz, ofiarowali go osobiście królowi, za co są przypuszczeni razem z senatorami do królewskiej wieczerzy i bardzo chwaleni, zwłaszcza przez tych senatorów, którzy sami pisać umieli – a chociaż ich posadzono przy szarym końcu, kędy już tylko próżne dochodziły półmiski (tak mało respektu miano podówczas dla sztuk wyzwolonych!), Tigranes się nie posiadał z radości i byłby Łubka za ten koncept ozłocił, gdyby Lubek przywiązywał był jakąkolwiek wartość do złota.

Jednak pomimo tej czulej przyjaźni, kiedy ojciec Łubkowi powiedział, że zamierza go dać na służbę królowi, to Lubek, zastanowiwszy się nad tym mało niewiele, całe temu się nie sprzeciwił, przyszła mu bowiem zaraz ta myśl sekretna, że mieszkając w Krakowie, przecież będzie mógł łatwiej i częściej coś o Jagiencie usłyszeć. Kiedy się zaś Tigranesa poradził, to Tigranes, pomimo swych uczuć idealnych, miał we krwi tyle zmysłu kupieckiego, iż zaraz dostrzegł, że mu to wcale nie zaszkodzi, jeżeli będzie miał tak szczerego przyjaciela na takiej wysokiej funkcji u dworu i tak blisko przy osobie królewskiej. Owszem, nawet niebawem zaczęła w nim grać jego bujna fantazja, przedstawiając mu dobitnie i jasno, jak teraz już niezawodnie przez Łubka uzyska szlachectwo, a może i będzie na rycerza pasowan. Miał ci on wprawdzie obietnice od Gniewosza, od Kamienieckiego i od samego wojewody, o których już i samego króla zawiadomiono: ale co to? to sami wielcy panowie, obiecują wszystko, a nic nie dotrzymują, traktują człowieka jak chłopca, jeszcze i za plecyma się śmieją – a potem, co to tamci dygnitarze królewscy? Król nimi tak samo pomiata, jak zamkowymi drabami, a żaden z nich nie jest z nim w konfidencji. Paź królewski, co stoi przy królu i w dzień, i w nocy, co zna jego sekrety, co każdej chwili może do niego przemówić, to jest figura – a potem, Lubek to człowiek, pewnie będzie pierwszym paziem, a wkrótce zostanie i sekretarzem królewskim. Rzecz tedy jasna, że on to najprędzej wyrobi. Tak sobie myślał Tigranes i podniósł głowę okrutnie do góry: będąc dla Lubka, przyszłego pazia, z ogromną deferencją<sup>19</sup>, uczył prawie pogardę dla wszystkich innych, nawet na samego Kergolaja patrzył już z piętra, na Kergolaja, co mu chciał dawać nauki w rzemiośle rycerskim! a Oli-zara już miał ledwie za Boże stworzenie.

Król przyjął starego Pretficza nadzwyczaj uprzejmie, był nawet zdziwiony, że Pretficz za takie cenne zasługi tak lichy żąda nagrody. Na dworze królewskim było do pięćdziesięciu młodzieży, a między nimi synowie rodzin wcale niewiele znaczących, bo pierwszorzędne rodziny *ex puncto*<sup>20</sup> moralności królewskiej nie bardzo się do niego wpraszały ze swymi synami. Lubek więc jest *stante pede*<sup>21</sup> przyjęty, z tym rozkazem wydanym podkomorzemu w obecności ojca, że ma być pomiędzy czterech pierwszych paziów wliczony, którzy pilnują komory królewskiej.

Tigranes dowiedziawszy się o tym, Lubka serdecznie wyczałował, a ścisnąwszy go żartem za kolano, dodał z zapalem:

– Głowę moję dam za to, że za rok sam podkomorzym zostaniesz, oddaję się zatem łasce jegomości – a wiesz, o co chodzi.

Równie naiwny Lubek przyjął tę prośbę tylko półżartem i przyrzekł mu całkiem na serio swoje wysoką protekcję.

Sejm trwał do końca października, kiedy się już pluty jesienne zaczęły. Szlachta, przepelniona uczuciami wdzięczności i uwielbienia dla króla, rozjechała się wesoło gwarząc do domów. Król wrócił do Krakowa dopiero w pierwszych dniach listopada.

Pierwszym ważnym przypadkiem, jaki się zdarzył po jego powrocie, była śmierć Kallimacha. Wyschły ten starzec nie wstawał już z łoża od kilku miesięcy, nie zmieniając się wcale.

---

<sup>19</sup> deferencja (łac.) – poważanie

<sup>20</sup> *ex puncto* (łac.) – z powodu

<sup>21</sup> *stanie pede* (łac.) – natychmiast, z miejsca

Nikt nie wiedział, na jaką chorobę zaniemógł, jakoż rozumiano powszechnie, że może tak leżeć będzie jeszcze lat kilka, czuwając ze swego poddasza jak zły duch nad zgubą duszy królewskiej. Jednak za powrotem króla zrobiło mu się gorzej, zaczęto oddać „swojego pogańskiego ducha”, jak powiadano, „swoim bogom łacińskim czy greckim”. Szła wieść, ale bardzo niepewna, że ostatniego dnia zwołał króla do siebie i obrzucił go swymi pogańskimi przekleństwami. Pewniejsza to, że dowiedziawszy się, jak król na sejmie jego wszystkie rady nogami podeptał i przywileje szlachty jeszcze tak znacznie rozszerzył, umarł z żalu: z żalu nad losem Polski, którą szczerze ukochał, a której przyszłość, wraz z Ostrorogiem, widział tylko w porównaniu wszystkich stanów przed prawem, w wzmocnieniu władzy królewskiej i postawieniu armii stojącej. Cóżkolwiek bądź, król mu wspaniały pogrzeb wyprawił na zamku, na który wszakże bardzo mało zgromadziło się ludu, a szlachty, nie należącej do dworu, wcale nie było.

Lecz za to po pogrzebie, wieczorami o zmroku, znowu niektórzy szlachcice stawali w ulicy pod zamkiem i spoglądali ciekawie w owo okno pod dachem, gdzie dawniej po całych nocach paliła się lampa. Teraz ta lampa na wieczne czasy zagasła. Szlachta patrzyła, azali jego duch jeszcze tam się nie błąka i czy nie zaświeci zagasłej lampy; lecz widząc, że okno nieprzedartą zakryte ciemnością, mówiła do siebie:

– Zagasła! zły duch się rozpułnął w ciemnościach: Polska się go pozbyła nareszcie, teraz może odetchnąć spokojnie.

Taki zazwyczaj los spotyka tych wielkich mężów, którzy zbawienne myśli przynoszą narodom – za wczesne. Niekiedy narody odgrzebują te myśli, a znalazłszy w nich nici przewodnie do swego zbawienia, oddają cześć zasłużoną ich twórcom; ale daleko częściej zostawiają ich w zapomnieniu, utrzymując w pamięci tylko ich zniesławione nagrobki, które pod przewodem obłędu wystawiły im złość i nienawiść. Tak stało się także i w Polsce: myśli zbawienne ziały się nad nią tylko jak lampa, która przez jakiś czas gdzieś na poddaszu płonęła i wywoławszy tylko nienawiść i wzgardę, na wieczne czasy zagasła...

Ostroróg umarł także w parę lat potem, przekonawszy się, że jego zbawienne rady nie zajęły nikogo oprócz drukarzy – a Frycz Modrzewski, chociaż dopiero w pół wieku potem, wystąpił z daleko umiarkowanymi radami, został za nie za kacerza ogłoszony w Rzymie, a w Polsce pozbawiony urzędów i wszelkich godności, musiał spędzić o żebrany chlebie ostatnie lata swojego życia.

Król, obdarzony obok niezwykłego rozumu bardzo lekkim temperamentem, prędko się pocieszył po stracie tak znacznej części swej władzy – i zaczął się zajmować rozmaitymi myślami, mającymi na celu poddanie siły zbrojnej ile możności jego bezpośredniemu wpływowi. Jedną z jego myśli tej kategorii było, jak się z tym już przed Kamienieckim wygadał, obsadzenie kasztelanii ludźmi zupełnie mu oddanymi. O tej myśli króla dowiedział się sprytny we wszelkich kabałach Kergolaj już dawniej, a że gorąco pragnął jaką kasztelanią uchwycić, w każdym zaś razie otrzymać przynajmniej jaką przyzwoitą komendę na wypadek wojny, którą także w krótkim czasie przeczuwał, więc się zbliżył do króla i jako jego poufny był mu w tej pracy pomocnym.

Król lubił Kergolaja dla jego humoru, a więcej jeszcze dla jego usłużności, przechodzącej w razie potrzeby nawet granice zazwyczaj bardzo drażliwego rycerskiego honoru, i byłby mu chętnie dał choćby najlepszą z kasztelaniami mniejszych, ale stała temu na trakcie ustawa, dozwalająca każdemu tylko w tym powiecie być kasztelanem, w którym miał posiadłości. Owóż Kergolaj miał posiadłości tylko w ziemi sanockiej – a tam już od dawna czyhali na kasztelanią Balowie, ludzie przemożni i popularni, którzy by byli całą szlachtę sanocką zburzyli, gdyby im król był narzucił człowieka na pół obcego, a do tego jeszcze krewnego Kmitów, którzy i tak już z wysokich krążganków Sobnia – zanadto z góry patrzali na tę ziemię, ceniącą od wieków nade wszystko równość szlachecką. Po długich wszakże kabałach, przy pomocy Gniewosza, Wilczka i Kamienieckiego, którzy wszyscy nie lubili Kmitów, Kergolaj potrafił

przekonać króla, że Stanisław Kmita, zupełnie już zaśnieziawszy na Sobniu, a zresztą nawet wcale już nieposobny do wojny, bardzo będzie szczęśliwy, jeżeli król mu doda zastępcę w jego osobie, który mu jego kasztelamii nie zabierze, a tylko w razie wojny weźmie za niego komendę nad pospolitym ruszeniem ziemi przemyskiej.

Król, lubo przekonany zupełnie, a nawet bardzo uradowany tym projektem, który by mógł stworzyć precedens wcale po jego myśli, wziął tę sprawę jeszcze *ad deliberandum*<sup>22</sup> i wyjechał w pierwszych dniach stycznia do Lublina, aby odebrać przysięgę na nową ugodę od księcia mazowieckiego Konrada; ale jak tylko powrócił, kazał podkanclerzemu wygotować list odpowiedni do Kmity i *cum honore*<sup>23</sup> dworzaninem królewskim go wyprawić na Sobień. Kergolaj, ostrożny jak kot, sam wziął udział w redakcji tej ekspedycji, bo zdało mu się, że wypadało Kmitę jak najdosadniej okadzić, nie tyle dla niego, jak dla ambitnej a często trochę drażliwej kasztelanowej: ale nareszcie wygotowano tę skrypturę, spisano ją bardzo pięknie na regatowym papierze, przypieczętowano najpiękniejszą pieczęcią i z własnoręcznym podpisem królewskim, przez bardzo grzecznego dworzanina, wyprawiono na Sobień.

Na Sobniu płynęły dnie w niezamąconej ciszy i wielkiej powadze.

Pozbyto się niespokojnej Jagienki, która była troską dla wszystkich, uwolniono się od księdza Wary, który się tak nieznośnie naprzykrzał o leskie probostwo, nie żałowano także i Łubka, którego melancholia byłaby wszystkich nudziła – i spędzano dnie na zwykłych domowych zajęciach, a wieczory na przystojnej całego dworu rozmowie.

Kasztelanowa była bardzo zadowolona z tej ciszy, bo przy niej zmniejszały się wydatki, a pomnażały oszczędności dla synów; Kmita zaś nigdy nie skarżył się na to, jeżeli mógł jeść i pić bez przeszkody, a trawić spokojnie, w niezamąconym uczuciu swojej wysokiej godności. Jakoż bardzo rzadko się z domu wyruszał, czasami tylko wyjeżdżał na łowy, wymijając starannie chłopów po drodze, ażeby którego nie zabił, i opowiadając potem przez cały wieczór, jak się walecznie borykał z dzikiem albo niedźwiedziem, czego nawet Smolicki słuchał ciekawie, bo chociaż go na krok nie odstał na łowach, przecież tego borykania nie widział.

Kasztelanowa zrazu nie bardzo była z tego zadowolona, że jej mąż na sejm nie pojechał, ale zastanowiwszy się nad tym spokojniej, uznała, że czasem dobrze jest zabłyszczyć nieobecnością. Po sejmie rozmawiano wiele o królu, dziwiono się razem z innymi, że ten pan, okrzyczany po całej Polsce za zawziętego nieprzyjaciela szlachty, jeszcze tak znacznie pomnożył jej przywileje, ale także razem z innymi nie umiano odgadnąć powodów, które go do tego skłoniły.

Kasztelanowa nie dowierzała tym wieściom, które prawiły, że *kroi proprio motu*<sup>24</sup> zmienił swe przekonania, a przechylała się raczej ku przypuszczeniom, które także dość żywo oblegały po kraju, że król się ugiął przed imponującą postawą małopolskich magnatów. Smolicki ją utwierdził w tych podejrzeniach, mówiąc:

– Schował na teraz pazury, próżno dociekać, dlaczego; ale że je znowu wyciągnie, to pewna, byle tylko nas nie podrapał.

Kmita zaś traktował tę sprawę jak zawsze z wysoka, określając swe zdanie w ten sens:

– Czy tam Paweł, czy Gaweł siedzi na tronie, ni mnie to ziębi, ni grzeje, ja zawsze Kmita.

Smolickiego ta obojętność czasem niecierpliwiła, a wtedy mawiał:

– Ty Kmita, bo nie możesz być ani Pelką, ani Niemirą, ale w tym nie masz żadnej zasługi. Są już Kmitowie, co siedzą na jednym zagonie – i twoim synom się mało co więcej dostanie, jeżeli nie postarasz się o to, abyś się naprzód posunął.

Bardzo przychylnie słuchała takich rozumnych uwag kasztelanowa i potwierdzała je zawsze skinieniem głowy. Wszelako, rozpatrując postanowienia królewskie na sejmie piotrkow-

<sup>22</sup> *ad deliberandum* (łac.) – do rozważenia

<sup>23</sup> *cum honore* (łac.) – z honorem

<sup>24</sup> *proprio motu* (łac.) – z własnego popędu

skim, zauważano z zadowoleniem, że król tam nie rozdał ani jednego urzędu, a były teraz i województwa w wakansie. Mówiono o tym często, a zawsze z żywym zajęciem, bo już czas był dla Kmita, przesiąść się z kasztelanii na województwo, choćby pomniejsze. Z tego punktu widzenia kasztelanowa żalowała, że jej mąż nie był w Piotrkowie, a wtedy powiadała, że powinien był tam z wielkim dworem pojechać, aby się przecie królowi i światu pokazać, bo wcale mądre to jest przysłowie: „Jak z oczu, tak z myśli”. Król teraz pewnie będzie konferować<sup>25</sup> wiele urzędów, ten i ów kasztelanem zostanie, niejeden kasztelan pomknie na województwo, a drugi wojewoda przesiądzie się na województwo większe, o nas tam i mowy nie będzie, bo któż o takim pamięta, co sam zapomina o sobie? – Ale kasztelan powiadała na to:

– Kmita nie potrzebuje się włóczyć po sejmach, ażeby o nim wiedziano, że żyje. Widzę ja z mojej wieży zamek królewski, toż i król z swego zamku widzi zamek sobieński. Jak tam zaczną posuwać senatorów na szachownicy, to nie przeskoczą przez Sobień – a goniec królewski, co go poszła do mnie z nominacją na wojewodę, nie będzie potrzebował się pytać o drogę do rezydencji kmitowskiej.

Ten goniec królewski uwięztał w uszach całemu dworowi: nie oczekiwano go jeszcze, bo jeszcze nic nie było słyhać o nowych nominacjach, lecz wszyscy byli pewni, że jak tylko król zacznie wakujące urzędy rozdawać, goniec królewski się nieomylnie otrąbi na Sobniu.

Wśród takich rozmów i oczekiwań jednego zimowego wieczora trębacze uderzyli larum niezwykle, a niebawem wpadł bronny do komnaty, w której cały dwór był zgromadzony, z oznajmieniem, że goniec królewski z ekspedycją przyjechał.

Na tę wiadomość wszyscy się z krzesel porwali, nawet i Kmita się ruszył i zdjął kuczmę z głowy – a kiedy wszedł szlachcic przystojny w barwie królewskiej z ogromnym listem w ręku, przyjęto go nadzwyczaj uprzejmie, obsypano komplementami, wypytywano o zdrowie króla, o Gniewosza, o Wilczka i oddano go zaraz Smolickiemu w opiekę, aby mu w małej sali jadalnej sowitą usłużył wieczera.

Z czytaniem listu się nie śpieszono: bo najprzód, nie było żadnego wątpienia, że to jest województwo, zachodziło tylko pytanie, czy bełskie, z którego Tarnowski się może na które wyższe posunął, czy też zgoła podolskie, na którym Jędrzej Fredro właśnie co umarł – a potem, czytanie listów, zwłaszcza łacińskich, była to praca naówczas, która nie każdemu łatwo się udawała. Kasztelanowa wszakże była ciekawa, więc rzekła do męża:

– Czytajże już nareszcie, bo przecie to nie jest rzecz obojętna, które to województwo?

Kmita otworzył list i zaczął czytać, ale jakoś mu nie szło. List, okrutnie długi, zajmował całe trzy strony, a do tego jeszcze pisany pismem gotyckim. Kmita przebiegł oczyma pierwszą stronę, potem drugą i trzecią, ale nic nie wyczytał, zaczął go położyć przed sobą, spojrzął na żonę i rzekł:

– W tej kancelarii królewskiej piszą teraz jak kury, same ogonki, krzyżyki a kreski, diabli ich tam wiedzą, co popisali; jeno mi to dziwno, że taki list długi, chyba że w nim położyli jakieś instrukcje.

– Ale któreż jest województwo? – spytała niecierpliwie kasztelanowa.

– Diabelże ich wie – rzekł Kmita – ja tu nic o województwie nie widzę.

Mu to kasztelanowa zbłądła – a jako to zawsze była bardzo przytomna, rzekła najprzód do dworu:

– Idźcie waszmość spać, jużesmy się dość nagadali.

A kiedy wyszli, powiedziała do męża:

– Czytajże teraz głośno od deski do deski. Ja niewiele po łacinie rozumiem, ale coś przecie połapię, a reszty się domyśle. To nie jest nominacja, to już wiem pewnie. To jakaś instrukcja albo pozew, albo ja wiem? Czytaj!

---

<sup>25</sup> konferować (łac.) – tu: przydzielać

Kmita się mocno wpatrzył w pierwsze litery, wyczytał: *Generoso Domino*, potem swoje nazwisko i tytuły, ale dalej ani rusz. Natomiast zaś rzekł:

– Chyba posłać do Sanoka po pisarza albo po księdza.

– Jeszcze tego potrzeba – zawołała kasztelanowa – aby to roztrąbili po całym świecie. Smolicki przeczyta.

Zwołano więc Smolickiego, a tak wszystko troje przy dwóch lampach zasiedli i zaczęli czytać słowo za słowem. Napocili się jak w łaźni, nasprzeczało się niemało o znaczenie słów i frazesów, ale nareszcie przecie wyczytali i zrozumieli.

List ten był napisany z nadzwyczajną zręcznością. Dyplomacja ówczesna nie stała wcale niżej od tegoczesnej w sztuce pisania, owszem, czytając akta dyplomatyczne z tej epoki, nie raz nie możemy się dosyć nadziwić subtelności myśli, ścisłości rozumowania i umiejętności wyrażania najpozytywniejszych twierdzeń w formie niezmiernie delikatnej, a zawsze uwzględniającej stanowisko, wrażliwość i czułość osoby, do której akt jest wystosowany, często nawet łagodzącej już z góry przewidywane wrażenie. Tak i ten list był przepiękny pochwałami dla zasług Kmity; rozkaz oddania faktycznej komendy Kergolajowi był wprawdzie kategorię, ale za to cała trzecia strona zawierała same zapewnienia, że to zastępstwo nie ma przynosić uszczerbku jego wysokiemu stanowisku, owszem, przeciwnie, jak każde zastosowanie się do woli królewskiej, może liczyć na nieomylną wdzięczność swojego czasu.

Toż ten list całkiem niejednakowo sprawił wrażenie na swoich trzech czytelnikach. Zmyślny Smolicki rozumiał, że można by skorzystać z tej okoliczności, iż Kergolaj jest w takich łaskach u króla, odstąpić mu jaką wioskę w ziemi przemyskiej i niechby go król zaraz tam zrobił kasztelanem, a za to od króla jakie województwo wykręcić: ale będąc bardzo ostrożnym, nie wrywał się z tym, tylko milczał. Kmita jakoś trochę posmutniał, ale nie bardzo. A kasztelanowa była oburzoną do najwyższego stopnia.

– Och! Kergolaj! Kergolaj! – zawołała z zaciśniętymi pięściami przed sobą – zawszem nienawidziła tego znachora, niechże mi się jeszcze raz tutaj pokaże, to mu bramę zatrzaskę przed nosem!

Po czym stanęła przed mężem, wyprostowała się przed nim, głowę podniosła do góry i zapytała:

– Cóż więc jegomość myślisz zrobić z tym wiechciem królewskim?

Kmita pokręcił głową, namyślił się dobrze, a potem rzekł:

– Juźci to rzecz nieprzyjemna przyjmować zastępcę, kiedy się nie jest kaleką. Zdarzały się takie wypadki i dawniej, ale zawszem w dobrym porozumieniu: a tu mi narzucają zastępcę. Ale i to znowu zważyć należy, że to mój brat...

– Ale co myślisz zrobić z tą ekspedycją? – zawołała kasztelanowa już w bardzo wielkiej niecierpliwości.

– Trzeba się będzie nad tym namyśleć – rzekł Kmita.

Na to kasztelanowa już nie mogła powstrzymać swojego podwójnego oburzenia, bo mąż ją jeszcze więcej oburzał, porwała list ze stołu, rozdarła go do połowy, potem zmięła jak chustkę od nosa i rzuciła pod komin, mówiąc w szlachetnym gniewie do męża:

– Ot, co się robi z takimi ekspedycjami!

Ten list, do połowy rozdarty i zmięty, przechował się przez wszystkie wieki następne w archiwach Kmitowskich.

Kmita może nie bał się żony, ale nie lubił widzieć jej w gniewie, zaczęł ją łagodzić, mówiąc:

– Ale, moja Kasieńko, dlaczegoż zaraz się gniewać? Takie zastępstwa w czasie wojny zdarzają się niemal codziennie, a na polu bitwy nawet zdarzać się muszą, boć i kasztelanowie bywają ranni, a nawet padają czasem na placu. Moim zdaniem – a ja się przecie znam cokolwiek na wojnie – przy każdym dowódcy powinien być naprzód mianowany zastępca, bo jak go nie masz, a dowódca zginie, to zaraz cała chorągiew idzie w rozsypkę. Prawdę zaś



mówiąc, to wolę ja mieć Kergolaja przy boku niż kogo innego, bo mów tam sobie o nim, co chcesz, żołnierz to doświadczony jak mało...

– Przy boku! – zawołała kasztelanowa – ale to nie przy boku, tylko nad tobą! Przecież czytałeś instrukcję. On będzie hetmanił – a ty czym przy nim będziesz? namiestnikiem, oboźnym, strażnikiem, chorążym czy ciurą? Ciurą! ty, kasztelanie, pod komendą francuskiego znachora! A jak cię raz zdegradują na ciurę, to wiedz o tym, że już niczym więcej nie zostaniesz w tym życiu; jeżeli zaś masz tylko szczyptę ambicji, to powinieneś nawet z tej kasztelami ustąpić. Cóż tedy myślisz zrobić z tym pismem jego królewskiej mości?

Kmita milczał, uśmiechając się z lekka, ale nie wiedzieć, co sobie myślał. Zachodziła tu, jak się zdaje, bardzo głęboka różnica zdań pomiędzy mężem i żoną: podczas kiedy on miał się za jednego z najpierwszych magnatów królestwa, chociażby nawet nie miał żadnego urzędu, ona, ceniąc zapewne równie wysoko ród Kmitów, jego samego miała po prostu za niedołęgę. Ale mimo sprzeczności zdań, oboje mieli słuszość, albowiem opinia o tego rodzaju kwestiach zależy zawsze od punktu widzenia. U niego już sam ród do znaczenia wystarczał; u niej także ród znaczył, ale pod warunkiem, ażeby i człowiek coś znaczył – i to ostatnie przekonanie było właśnie głównym artykułem wiary owoczesnych wielkich rodów, które się tak wysoko wyniosły. Ta różnica przekonań wyraziła się też niebawem w dalszym rozwoju tych obydwóch rodzin: Kmitowie tylko raz jeszcze błysnęli, a i to tylko blaskiem mniej niż wątpliwej wartości, i zgaśli, Tarnowscy zaś wkrótce świetną okryli się sławą i przeszli w wieki następne.

Milczenie Kmity oburzyło kasztelanową, spłonęła gniewem i zawołała:

– Gdybym synów nie miała, tobym cię zostawiła w tym barszczu królewskim! Dla twoich synów cię zeń wydobędę: ale biada tym rodom, których potęgę i sławę muszą ratować kobiety!

Na te słowa Kmicie krew uderzyła do twarzy, zerwał się i zapewne chciał stanąć w obronie swego honoru: ale kasztelanowa obróciła się plecyma do niego, dała znak Smolickiemu, aby szedł za nią, i wyszła z komnaty. Znalazłszy się zaś z Smolickiem w kurytarzu, dała mu rozkaz, ażeby kazał natychmiast porostawiać konie aż do Krakowa i przygotować wszystko co potrzeba do tej podróży.

Król prowadził tryb życia pełen pańskich fantazji. Jadał ówczesnym zwyczajem o godzinie dziesiątej rano i do tego obiadu, prócz osób należących do jego dworu, rzadko kogo zapraszał. Po obiedzie zajmował się publicznymi sprawami i przyjmował suplikantów wszelkiego rodzaju, ale nie co dzień, często bowiem zaraz po obiedzie konno wyjeżdżał i wracał dopiero o zmroku, zmęczony konie i ludzi na umor, ale tym ich pocieszał, że takie ćwiczenia ciała są dla zdrowia koniecznie potrzebne. W dni słotne zamykał się na cały dzień w swym gabinecie i nikogo nie przypuszczał do siebie; powiadano, że wtedy po całych dniach księgi wertował. Czasem zaś zamiast książkami bawił się szermierstwem, każąc młodzieży szermować przy sobie albo też i sam z nią szermując – a że był bardzo sprawny w robieniu wszelką bronią, więc zwykle młodzików potężnymi pookładał guzami; lecz że to były guzy królewskie, więc nie bardzo bolały, zwłaszcza że często jeszcze król na nie jaki plaster przyłożył, co się często zdarzało, bo był hojnym aż prawie do rozrzutności, jak wszyscy Jagiellonowie.

Wieczerec dawano o zmroku, a wtedy król zwykle więcej osób zapraszał do swego stołu. Czasami zasiadali do niej także mieszczanie, z którymi bardzo chętnie po niemiecku rozmawiał. Język ten był zresztą bardzo upowszechniony na dworze królewskim, boć żyła jeszcze i mieszkała na zamku matka jego, Elżbieta Rakuszanka, otoczona zawsze Niemcami, która zawsze prowadziła dwór całkiem osobny i z wyjątkiem wielkich festynów, nie zasiadała nigdy do stołów biesiadnych swojego syna. Prócz tego, od szwagrów królewskich, króla bawarskiego, elektora brandenburskiego, Bogusława pomorskiego i Jerzego, księcia saskiego, na-

zwanego później Brodatym, przyjeżdżali często kawalerowie niemieccy, którzy długo bawili w gościnie na zamku. Do wieczery przychodził także czasem królewicz Fryderyk, kardynał i biskup krakowski, i przyprowadzał ze sobą kilku ze swojej młodzieży, pomiędzy którą już był natenczas Jan Tarnowski, późniejszy hetman wielki koronny, i Stańczyk, jeszcze także młody naówczas, lecz już z młodu obdarzony rozweselającym wszystkich humorem.

Po wieczery grano w szachy, w kości i karty, a w tej rozrywce przygrywali zazwyczaj gęźbiarze, których król utrzymywał całą kapełę, a których mu dostarczała krakowska bursa rybałtów. Po wieczery król często znikał, zostawiając gości na opiece swego podkomorzego. Gdzie wtedy bywał, nikt o tym nie wiedział ani śmiał kogokolwiek wypytywać: wiedziano tylko, że król zwykle bardzo późno na zamek powraca, czasem nawet dzwon katedralny zawołał wikariuszów na jutrznię, a jego jeszcze nie było. Lecz kiedykolwiek wrócił, choćby najpóźniej, zawsze z porannym brzaskiem był już ubrany i siedział w komnacie poprzedzającej jego izbę sypialną, posilając się winną polewką.

Wtedy nie przyjmował nikogo: za drzwiami tej komnaty siedział paż dyżurny i czekał, póki król go nie zawoła i nie każe zaprosić do siebie tego albo owego z panów dworskich albo postronnych, którzy w dalszej antykamerze czekają. Albowiem przed tą antykamerą niewielką, w której zawsze tylko jeden paż siedział, była inna, bardzo obszerna, ledwie nie jak nawa skromnego kościoła, w której się gromadziła służba królewska. Tam mieli swe *locum standi*<sup>26</sup> rotmistrze i inni urzędnicy królewscy, gdzie podkomorzy ich w izbie przyległej także często walał winną polewką. Tam zwykle już o świtaniu gromadzili się ci i owi panowie, którzy właśnie bawili w Krakowie, a zarazem szlachta, dygnitarze kościelni, zakonnicy, przejeżdżający rycerze i rozmaici inni podróżni, którzy tego dnia chcieli mieć audiencją u króla.

Tego poranku w tej pierwszej antykamerze było bardzo ludno i gwarno, bo wielu już przeczuwało, że się zanoszą na wojnę, zaczęli więc ten i ów chciał pewniejszych wiadomości zasięgnąć, drugi zaś to lub owo sobie u króla uprosić. Podkanclerzy, marszałek, podkomorzy, Kamieniecki, Gniewosz, Kergolaj, Wilczek, Myszkowski, stali w grupach z gośćmi, rozmawiając z nimi żywo o rzeczach publicznych: kiedy drzwi się otworzyły pomału, ale na ścieżaj, i weszła poważnym krokiem kasztelanowa przemyska.

Pani Kmitowa miała na głowie czepiec ze spuszczonej uszama, przetykany złotem, około szyi białą kryzę miernej szerokości, na piersi krzyż drogimi kamieniami sadzony na złotym łańcuchu, około bioder pas z klamer złotych szmelcowanych, bardzo misternej roboty, z jednym końcem wiszącym poniżej kolan, na sobie suknię długą z ciężkiej jedwabnej materii, ciemnego i jednostajnego koloru, a na tym wszystkim przepyszną szubę sobolową, ciemnokarmazynowym atłasem nakrytą. Ubiór, choć nie błyszczący pstrokato wedle mody ówczesnej, przy jej wzroście i zwykłej powadze, dodawał jej tak wiele okazałości, iż zdało się w niej widzieć postać królewską.

W tej antykamerze rzadko zjawiały się damy, a zwłaszcza o tak ранней godzinie, wszyscy więc na nią zwrócili oczy i umilkli, zaś Kamieniecki i Gniewosz, poznawszy ją zaraz, przybiegli do niej, prezentując jej swoje ukłony i ofiarując swoje usługi. Wilczek także ją poznał, ale cofnął się w kąt i zachmurzył się jeszcze bardziej niż zwykle. Kergolaj zaś był jej zjawieniem się niezmiernie zdziwiony, patrzył na nią ciekawie, ale stanął tak, aby go nie spostrzegła.

Kamieniecki dowiedziawszy się od niej, że się chce widzieć z królem, wiedząc dobrze, że król jeszcze nikogo nie zawołał do siebie, a zatem, że jeszcze nie pora iść do niego, a nawet jeszcze nie pora prosić o audiencją, zawiadomił ją o tym z kawalerską grzecznością, zapewniając ją, że król za lada chwilę zacznie przyjmować, a wtedy sam podkomorzy albo nawet marszałek ją zamelduje. Ale ona podnosiła prawą rękę jak gdyby na znak zaprzeczenia i rzekła z uśmiechem:

---

<sup>26</sup> *locum standi* (łac.) – miejsce pobytu

– Spodziewam się, że król jegomość raczy mnie przyjąć przed innymi suplikantami.

A to rzekłszy, poszła tym samym poważnym krokiem do następnej komnaty i tam zatrzymała się przed samym Lubkiem.

Lubek spostrzegłszy ją, zarumienił się powyżej uszu i prawie się przestraszył, chociaż sam nie wiedział dlaczego, tymczasem ona rzekła do niego:

– Cieszę się, że cię widzę na takiej funkcji szaszczytnej. Czy król jest już ubrany?

– Ubrany – odpowiedział Lubek – bo już ze trzy pacierze, jak mu zaniesiono polewkę, ale jeszcze nie przyjmuje, bo też i nie zawołał nikogo do siebie.

– Mnie przyjmie – rzekła kasztelanowa, sama sobie drzwi otworzyła i weszła do królewskiej komnaty.

Lubek miał dla niej tyle respektu, że jej nie przeszkodził, co było bardzo nieroztropnie na pazia będącego na służbie i mającego ściśle instrukcje.

Król w małym kołpaczku na głowie, w krótkim aksamitnym płaszczyku z rękawami i z mieczykiem u boku, siedział przy stole plecyma obrócony do drzwi i nad czymś rozmyślał. Usłyszawszy kogoś wchodzącego bez rozkazu, obrócił się gniewnie do drzwi, a już wcale brwi zmarszczył, kiedy obaczył kasztelanową. Rzadko ją wprowadzie widywał, ale ją poznał, a zapewne nie bardzo chętnie ją teraz widział u siebie, bo nie ruszając się z krzesła, rzekł do niej:

– Jejmość pani kasztelanowa przemyska. Nie opowiedziano mi, że waszmość pani jesteście w Krakowie. Cóż to jejmość do mnie sprowadza tak całkiem niespodziewanie?

– Miłościwy panie – odpowiedziała mu kasztelanowa – niespodziewanie spadł nam na głowę upokarzający nas dekret waszej królewskiej mości, toż równie niespodziewanie musiałam stanąć u stopni tronu, ażeby wnieść protest przeciwko tej krzywdzie, którą, być może, że bez wiedzy waszej królewskiej mości nam wyrządzono.

– Jaki dekret? jaka krzywda? – zawołał król, wstając raźnie i patrząc prosto w twarz kasztelanowej – ja nigdy nikogo nie krzywdzę.

– Dlatego też powiedziałam, że mogło się to stać mimo wiedzy waszej królewskiej mości.

– Mimo mojej wiedzy nikt tutaj żadnych nie wydaje dekretów – rzekł król, niemile tą uwagą dotknięty – jaki to dekret?

Na to odpowiedziała mu kasztelanowa spokojnie:

– Onegdaj przyjechał na Sobień goniec z kancelarii królewskiej i przywiózł memu mężowi papier z podpisem waszej królewskiej mości, który zawiera jego destytucją<sup>27</sup> z kasztelanii przemyskiej.

– Destytucją! – zawołał król jakoby bardzo zdziwiony – a toście źle ten papier czytali. Nie jest to destytucją, tylko substytucją<sup>28</sup>, a i to tylko w dowództwie nad pospolitym ruszeniem. Ani godności, ani urzędu imci pana Kmita to nie dotyka, mąż waszmość pani, jak był kasztelanem, tak i nadal nim będzie.

– Miłościwy królu – rzekła kasztelanowa na to sucho, ale stanowczo – w takich warunkach mój mąż kasztelanem nie będzie. Raczej mu być niczym, raczej mu być tylko Kmitą, to jeszcze będzie znaczyć coś więcej, aniżeli będąc ciurą pod rotmistrzowską buławą imci pana batarde de Kergolaj!

Na to jakiś nieokreślony uśmiech przeleciał po twarzy króla, zaczął Jan Olbracht wziąć głos, lecz mówił niecierpliwie i górnio:

– Waszmość przypisujecie sobie zdanie o rzeczach, których nie rozumiecie. Moje postanowienia nie wypływają ani z królewskich kaprysów, ani ze względów ubocznych na osoby albo rodziny. U mnie moc i potęga tego królestwa idzie przed wszystkim. Dlatego u mnie Kergolaj tyle wart, co imci pan Kmita albo którykolwiek inny pan małopolski, jakie bądź nosi nazwisko, a każdy waży tylko podług zasługi, jaką oddaje temu królestwu. Mąż waszmość

<sup>27</sup> destytucją (łac.) – złożenie z urzędu

<sup>28</sup> substytucja (łac.) – zastępstwo, przelanie pełnomocnictwa na inną osobę

pani zasiedział się na wsi, zapleśniał, ocieężał, przywykł do wczasów. Jeżeli wojna wybuchnie, to mnie będzie potrzeba nie panów, co tylko błyszczą mogą swoim imieniem i dworem, ale żołnierzy, co dobrze sprawiają chorągwie i sami łba swego nadstawiają za tę ojczyznę, w której wam tak dobrze się dzieje. Dlatego też tym kasztelanom, co zapleśniali, substytucję rotmistrzów, którzy im zostawiają wszystkie honory, a za nich chorągwie ich sprawią i zdrowie swoje wystawią. Figurować będziecie mogli, ile wam się podoba, nikt wam w tym nie przeszkodzi, ale wasze poczty bić się będą, jak trzeba. Jeżeli zaś mężowi waszmość pani dodałem Kergolaja do boku, to właśnie dlatego, że to jego powinowaty i że z nim łatwiej się zgodzi niż z którym innym. Już trzem kasztelanom dodałem rotmistrzów i wszyscy się na to bez szemrania zgodzili, toż i imci pan Kmita może na to się zgodzić, a mnie zostawić w spokoju.

– Miłościwy panie – rzekła kasztelanowa znowu równie stanowczo – mój mąż nie pójdzie pod komendę imci pana de Kergolay.

– Więc to tam macie coś z sobą na pieńku – rzekł król niecierpliwie – więc dobrze, więc dam mu kogo innego.

– Miłościwy królu – powiedziała kasztelanowa tym samym tonem – mój mąż żadnego substytuta nie przyjmie, choćby nim był sam Kamieniecki. Dość już dla niego, że wojewoda go będzie gniótł z góry; żaden pan sprawiedliwy po nim wymagać nie będzie, aby go jeszcze narzucony mu rotmistrz gniótł z dołu. Miałby tak między dwoma komendantami zawisnąć w powietrzu, miałby się z kasztelanii drażkowej przesiąść na kasztelaniją tylko imienną i imię Kmitów wydać na pośmiewisko całego świata, to raczej by podziękował swojemu panu za służbę i pocieszył się tym, że może jeszcze pozostać panem w swoim własnym królestwie.

Zdaje się, że te słowa przepełniły króla pewną goryczą, bo mówił jak gdyby z żalem:

– Nie wiem już zaprawdę, jaki ten król być powinien, aby wam potrafił dogodzić! Natkałem was prawami i przywilejami w Piotrkowie, jakicheckie się sami nie spodziewali. Już od-tąd chłop będzie u was w niewoli, już mieszczaninowi nie wolno dóbr szlacheckich kupować, już tylko szlachta ma się rozsiadać na wszystkich duchownych i świeckich urzędach, jużescie wszystko zabrali, już jesteście wyłącznymi panami tego królestwa: i na tym wam jeszcze nie dosyć! Czegóż wam się jeszcze zachciewa? Wiem ja to dobrze, nie potrzebujecie mi tego powiadać. Jeszcze za mało hojni byli na was Jagiellonowie, jeszczeście ich nie ze wszystkiej władzy wyzuli, trzebaż ich wyzuć do reszty. „Tylko król ma być wybieralny, a urzędy i starostwa dziedziczne”, tego wam jeszcze potrzeba i o to wam chodzi. Niechże wam Bóg dopomaga! Może jeszcze i to dostaniecie, nie ode mnie, ale od którego z moich następców – a wtedy już rozniesiecie to królestwo pomiędzy siebie, ba, wtedy już wam i królów nie będzie potrzeba. Będziecie sami królować na waszych zamkach: tu Tarnowski, tu Kmita, i tak każdy u siebie. Ano nie wiem, skąd wtedy ten blask brać będziecie, który na was spływa z Jagiellońskiej korony, i nie wiem, kto będzie bronił waszej królewskiej chudoby!

Bardzo cierpkie były to słowa, mogły każdego skruszyć i zniewolić do pokory należnej koronie: ale kasztelanową, o ile się zdaje, bardzo głęboko dotknęło wspomnienie o blasku, spadającym z Jagiellońskiej korony na jej rodzinę, albowiem jeszcze wyżej głowę podniosła i mówiła głosem pełnym pewności siebie i prawie królewskiej powagi:

– Miłościwy panie, coś wasza królewska mość uczynił dla szlachty w Piotrkowie, to, jak słyszałam, znalazło powszechne uznanie, które też bez wątpienia przy danej sposobności wyrazi się w czynach. Jednak nie mnie kobiecie te sprawy rozbierać a sądzić, których zawiadywanie od wieków poruczone jest senatorom. Jakoż, jeżelim śmiała zapukać do drzwi królewskiej komnaty, to tylko jako żona i matka, której mężowi a synom wyrządzono krzywdę w kancelarii królewskiej, jako właśnie się dowiaduję, z rozkazu samego króla. Na taką krzywdę zasłużyliśmy sobie tak mało, jak na te drugie zarzuty, jakobyśmy Jagiellonów chcieli wyzuć z ich władzy, a między siebie rozdrapać królestwo. Jeszcze mój mąż dotychczas nie wziął ani jednego starostwa, nawet nigdy o żadne nie prosił, a jeśli panuje na obszerniejszych majątkach niż inni, to je dostał nie od Jagiellonów, tylko po swoich ojcach, zaczem je własną za-

biegliwością a pracą rozszerzył. Kasztelania drążkowa, na której mąż mój od kilkunastu lat siedzi i mimo swych siwych włosów o awans nie błaga, także nie bardzo się kąpie w tym blasku Jagiellońskiej korony, który z lasów litewskich na Polskę zaświecił. Mój królu a panie, nie przyszłam tu po to, ażeby cenzurować rządy korony, ale kiedy mnie krzywda się dzieje, a zamiast sprawiedliwości jeszcze spada na mnie królewska cenzura, to mam sobie za obowiązek powiedzieć, że Kmitowie a Tarnowscy dawniejsi są w tym polskim królestwie niżeli Jagiellonowie, blasku od nikogo pożyczają nie potrzebują, zasługiwali się zawsze według sił swoich ojczyźnie i mają miłość swych bliźnich – a jeżeliby podobało się Bogu na tron ich powołać, to ludzie pewnie takich wstrętów im nie uczynią, ażeby ich trzeba aż gwardią królewską rozganiać...

Był to bardzo cierpki przytyk do obioru Jana Olbrachta, gdzie gwardia królewska rozpełdziła istotnie mazowieckie zastępy. Zaczem król stracił cierpliwość, przerwał jej i zawołał żałośnie:

– Dobrze już, dobrze. Znam ja te pieśni, co mi się nieraz przelewają uszyna. Więc czegoż waszmość pani chcesz? Co ma król zrobić, ażeby sobie zasłużył na łaskę Tarnowskich i Kmitów?

– Nic, najjaśniejszy panie – odpowiedziała mu kasztelanowa – Stanisław Kmita błaga tylko swojego króla, aby go zostawił w spokoju... i aby mu pozwolił dopełniać osobiście tych obowiązków, jakie na niego wkłada jego kasztelania drążkowa.

– Więc dobrze – rzekł król – więc każę ten dekret odwołać.

– Będę czekać w Krakowie, póki mi kancelaria tego odwołania nie przysze.

– Dziś, zaraz – powiedział król – niech Pan Bóg prowadzi.

Kasztelanowa ukloniła się nisko królowi i wyszła, zostawiwszy drzwi nie zamknięte za sobą.

Król patrzył za nią, pełen gniewu i oburzenia – a kiedy spostrzegł, że weszła już do tej wielkiej antykamery, gdzie czekający dygnitarze znowu ją otoczyli, wyskoczył przez drzwi otwarte i trzęsąc się cały od złości, rzucił się na młodego Pretficza.

– Tak to drzwi moich pilnujesz? masz! – krzyknął król i uderzył go z lekka po twarzy – ruszaj precz i zawołaj mi tutaj podkomorzego.

Biedny Lubek struchlał, uczuwszy rękę królewską na sobie, a jego twarz, nie z bólu, ale ze wstydu, oblała się ciemnokarmazynowym rumieńcem. Pobiegnął zawołać podkomorzego, ale kiedy wszedł w tłum dworaków, zalał się łzami i ledwie potrafił wyłkać mozolnie, z czym go król posłał.

Młodszy i starsi zaraz go otoczyli, tuląc go w żalu i nauczając, że taki policzek od króla żadnej ujmę nie czyni. Królewska ręka według zwyczajów dworskich nie obraża honoru sług jego: nawet nie masz ani jednego pazia, coby od króla choć raz po gębie nie dostał. Ale mimo że wszyscy usiłowali go uspokoić, mimo że najwyżsi dygnitarze okazywali mu jawnie swoją życzliwość, mimo że nawet sam król kilka razy do niego łaskawie przemówił, on się nie mógł pocieszyć. Już tylko parę tygodni bawił na dworze królewskim, po czym podziękował za służbę i wyjechał, nie powiedziawszy wszakże nikomu, dokąd wyjeżdża.

## XI

### OBÓZ POD LWOWEM

Na zamku królewskim w Krakowie jeszcze nigdy takiej ciszy i takiej powagi a zarazem tak skrętej pracy nie było, jak w drugiej połowie zimy roku 1497.

Król wszystkie zabawy i wszystkie rozrywki porzucił, rzadko kiedy wyjeżdżał, sam po kilka godzin codziennie w kancelarii przepędzał, a zresztą najrozmaitszych ludzi w swoim gabinecie przyjmował. Podkanclerzy zwyczajną liczbę swoich pisarzy i gości podwoił, tyle tam teraz ekspedycyjni musiano spisywać i w różne strony królestwa, a często i za granicę wysyłać. Ludzie, których król u siebie przyjmował i zwykle sam na sam z nimi rozmawiał, byli to senatorowie z odległych okolic, rotmistrze i starostowie, rezydujący na zamkach granicznych, posłowie litewscy, krzyżaccy, węgierscy i czescy, czasem zaś nawet indywidualia całkiem nieznanne, o których tylko tyle wiadano, że przyjeżdżali z ziemi wołoskiej, tatarskiej albo też z tureczyny, a których przeto miano za tajnych agentów królewskich lub szpiegów. Kamieniecki przez cały ten czas nie ruszył się krokiem z Krakowa, codziennie miewał z królem narady, czasem bywał obecny rozmowom króla z królewiczem Zygmuntem i kardynałem Fryderykiem, kilkakrotnie w jakichś poselstwach od króla wyjeżdżał, ale nigdy się nikt od niego nie mógł dowiedzieć, ani z czym jeździł, ani do kogo. Wszyscy przoczuwali, że jakieś niezwykle przygotowują się rzeczy, domyślono się prawie powszechnie, że jakaś wielka wojna sekretnie się ściele, ale nikt nawet nie śmiał o niej wspominać z obawy przed królem, który widocznie nie chciał, aby o tym mówiono, a w tym czasie był niezmiernie surowy dla wszystkich i w swych nagłych wyrokach zawsze nieubłagany.

Pomnażano także młodzież służbową na zamku, kompletowano chorągwie rycerskie, składające wojskowy dwór króla, i przyjmowano każdego, który jakkolwiek z rycerska się prezentował. Wszystkie ta młodzież przechodziła przez ręce Gniewosza, który ją oglądał i egzaminował, jednych przyjmował, drugich odsyłał, a wszystkich przyjętych wieczorami w wielkiej zamkowej kordegardzie zgromadzał i tam im z rozkazu króla katechizm rycerski wykladał.

Bardzo ciekawe już dla samego oka były te zgromadzenia, albowiem można tam było widzieć najrozmaitsze rynsztunki i zbroje, wedle tych rozmaitych krajów, w którym każdy z nich odbywał nauki albo też terminował: tutaj więc hełmy z piórami, z grzebieniem zjeżonym szerścią stojącą, z blaszanymi skrzydłami albo też uszyna, pancerze całkowite lub półpancerze, polerowane, szmelcowane, wykładane srebrem lub złotem, z herbami, obrazkami świętych albo innymi insygniami, jedne z wielkich płatów złożone, drugie z wąskich pierścieni albo też w kształcie koszulek, ten z krótkim mieczem, ów z długim, a inny z młotem do rozbijania hełmów i pancerzy, wielu zaś w sukniach świeckich, barwnych nad podziw, krojem węgierskim, czeskim, niemieckim albo francuskim. Ale jeszcze ciekawsze były prelekcje Gniewosza, który obok ogromnego komina, na którym się całe kłody jasnym paliły płomieniem, w wysokim poręczowym krześle zasiadał i wykladał im wszystkie artykuły rycerskiego kodeksu jeden po drugim.

Artykułów tych było blisko trzydzieści, a celniejsze z nich brzmiały w ten sens: Każdy rycerz ma bać się Boga, bić się zawsze i wszędzie za wiarę i raczej męczeńską śmierć ponieść, niżeli wyrzec się chrześcijańskiej religii. Ma służyć wiernie swojemu królowi i bić się za niego i za ojczyznę ze wszystkich sił swoich. Ma bronić słabszych we wszystkich ich prawach, a mianowicie wdów, dziewic i sierót, jednak ani przeciwko swemu, ani przeciwko ich własnemu królowi. Nie ma nikogo obrażać w złości ani jego dobra pożądać, owszem, najeżdżać na takich, którzy to czynią. Nie ma nigdy nic przedsiębrać z poządliwości albo dla marnej nagrody, tylko zawsze dla pomnożenia czci swojej i swego honoru. Ma zawsze bez szemrania wypełniać rozkazy swych przełożonych. Ma mieć zawsze w poszanowaniu urząd, godność i cześć swych towarzyszy i zawsze ich bronić. Nie ma nigdy samowtór albo zgoła samotrzeć na jednego uderzać i nigdy nie używać w pojedynku ani podstępu, ani też żadnej chytryści. W bitwie ma tylko jednego miecza używać, chyba gdyby był nagabany przez kilku. W turnieju nigdy ostrza nie używać. Wzięty w niewolę w turnieju, ma święcie dotrzymać wszystkich warunków, pod którymi go jego zwycięzca wypuści na wolność. Wiary ma dotrzymywać zawsze i wszędzie i strzec, aby jej jego bracia także dotrzymywali. Rycerze mają się między sobą czcić i szanować, i zawsze sobie pomagać. Jeżeli rycerz jakie wotum<sup>29</sup> uczyni, które ma bronią spełnić, nie powinien się nigdy rozbrajać, chyba że do snu się kładzie. Jeżeli w celu spełnienia swojego wotum musi się przebijać przez niebezpieczne wąwozy, gdzie by się mógł spotkać z mocniejszymi rycerzami, z dzikimi bestiami, z diabłami, strzygami lub upiorami (co tak często się zdarza), to nie wolno mu dlatego takiego wąwozu omijać pod utratą czci i honoru. Rycerz nie ma nigdy przyjmować żołdu ani żadnej nagrody od postronnego króla albo księcia. Ciągnąc na czele chorągwi, nie powinien dopuszczać, ażeby jego żołnierze jakiegokolwiek krzywdy czynili mieszkańcom. Jeżeli mu powierzone jest bezpieczeństwo kobiety lub panny, ma raczej zginać, niżeli dopuścić, aby ją obrażono. Jeżeli mu się zdarzy zdobyć w niewolę kobietę lub pannę, nie powinien naruszać jej czci, chyba żeby się sama na to zgodziła. Komukolwiek równemu sobie nie powinien nigdy uczciwej bitwy odmawiać. Wróciwszy z wojny albo wyprawy, ma zgodnie z prawdą opowiedzieć królowi swe czyny; który by kłamał, ma być wytracony spomiędzy rycerstwa. Rycerz ma być zawsze wierny, pokorny i grzeczny, głośno bić, a cicho mówić i zawsze dotrzymać słowa, choćby chodziło o życie, albowiem na tym jego wysoka godność polega i niezrównana cześć, jakiej używa.

Takie były przedniejsze artykuły rycerskiego kodeksu; lecz był jeszcze inny, niejako ujemny, a wyrażający, czego się rycerz kajać<sup>30</sup> powinien, a ten wykladał Gniewosz młodzieży starym wierszem niemieckim w ten sens:

Welch Ritter bei einer Messe steht  
Und nicht zum Opfer geht,  
Und Schüsseln spült und spielt mit Schälken,  
Und beginnt die Küh' zu melken,  
Und geflickte Schuh' antheit,  
Und einen Armen verschmeit,  
Und seine Kleider schickt, dass man sie wendt,  
Der hat seine Ritterschaft geschändt<sup>31</sup>.

Od tego czasu wieki minęły – a ten wierszowany kodeks rycerski pozostaje jeszcze do dziś dnia katechizmem szlacheckim. Ale Gniewosz to wówczas bardzo pięknie wykladał, tak

---

<sup>29</sup> wotum (łac.) – tu: ślub

<sup>30</sup> kajać – tu: wystrzegać się

<sup>31</sup> *Welch Ritter...* (niem.) – dosł.: Rycerz, który uczestniczy we mszy || I nie przystępuje do stołu Pańskiego, || Który zmywa statki i zabawia się z pospólstwem, || Doi krowy, || Nosi połatane buty, || Gardzi biednym, || Daje swe szaty do nicowania, || Splamił honor rycerski.

pięknie, że na jego prelekcje do kordegardy chodzili nie tylko nowozaciężni młodzi żołnierze, ale cisnęła się także wszystka szlachta, która choćby tylko w przejeździe się znajdowała w Krakowie. Nawet sam Kamieniecki często się zjawiał, zabierał głos i Gniewoszowi pomagał. Niejednokrotnie i inni mówili, opowiadając świetne czyny rycerskie, jakich sami byli świadkami, bo znajdowało się między tą młodzieżą niemało takich, co już przez kilka lat żołydzy czynili w Niemczech, Sabaudii, w Hiszpanii i Francji. Wilczek także prawie codziennie na te rozmowy przychodził, ale był smutny i milczący, w sobie zamknięty i zachmurzony.

Nie znalazł on dotąd żadnej pociechy na swoje nieprzatrąwione boleści. Nie miał dotychczas jeszcze żadnej wiadomości od Jagienki ani nawet nie usiłował od niej jaką wiadomość otrzymać, bo jego honor rycerski nie pozwalał mu szukać jakiegokolwiek relacji z żoną swojego towarzysza i przyjaciela. Wiedząc o tym na pewno, że Gniewosz został do tego małżeństwa przeciwko swej woli zmuszonym i domyślając się, że i on chciałby się od tych ślubów uwolnić, usiłował pokilkakrotnie zbliżyć się do niego, zniewolić go do konfidencji i razem z nim jakie środki obmyśleć, za pomocą których można by rozwiązanie tych ślubów sprowadzić.

Ale Gniewosz, stojący pilnie na straży swego honoru, nie dopuścił mu nigdy ani jednego słowa aluzji do swojej żony – a kiedy Wilczek raz zdobył się na odwagę i wprost go o Jagienkę zapytał, to Gniewosz odpowiedział mu bardzo uprzejmie, lecz sucho:

– Pisuje do mnie co miesiąc, a z jej listów widzę, że jest zdrowa i dobrze jej się powodzi.

Po czym zaraz rozmowę odwrócił do innego przedmiotu. Wilczek był w gruncie rzeczy z tego zadowolony, że Gniewosz ani sam jechać na Czorsztyn, ani też żony do Krakowa sprowadzać nie myśli. Potwierdzało to przypuszczenia Formozy, na które chciała mu przysiąc. Pocieszał go także cokolwiek jego sługa Kostruban, który się nadzwyczajnie do niego przywiązał, służył mu wiernie jak pies, jego myśli zgadywał i jego zupełne zaufanie pozyskał. Kostruban wiedział już o wszystkim i co dzień go zapewniał, że rzeczy te dziś na jutro wezmą obrót niespodziewany i on Jagienkę dostanie. Wilczek mu nie wierzył, ale go słuchał, bo któż nie słucha wróżby miłej swojemu sercu? Czasem zaś z nim cierpko żartował, mówiąc:

– Jeśliś jest diabeł prawdziwy, to przecie mi powiesz, jakim sposobem ją dla mnie dostaniesz.

Kostruban nie umiał mu jeszcze tego powiedzieć, ale przecie od czasu do czasu przynosił mu wiadomości, które go zajmowały. Tak raz mu doniósł, jako Gniewosz się zwierzył przed swoim pacholikiem, że się stara u kardynała, ażeby jego ślub mógł być unieważniony. Innym zaś razem zapewnił go, jako król Gniewoszowi obiecał, że do papieża napisze, aby ten ślub skasował. Były to rzeczy prawdopodobne i dlatego czasem wypogadzały cierpki humor niepokieszonego młodzieńca, ale zawsze tylko na chwilę. Rozebrawszy tę sprawę rozumem, który mu mówił, że w katolickim Kościele nie masz rozwodów, a oprócz tego będąc przekonanym, że król o takich sprawach tylko tak długo myśli, jak długo właśnie o nich jest mowa, znów w czarną rozpacz zapadał. A wtedy mówił do siebie: – Gdyby tylko wojna wybuchła! tam znajdę dla siebie niezawodny ratunek. – Dlatego od czasu, jak zaczęto szeptać o wojnie, ożywił się trochę, mówił o niej z zapalem i nieraz się zdradził przed swymi towarzyszami z tą myślą: że kto zdrów wróci z tej wojny, temu niech Pan Bóg da szczęście, ale on pewno nie wróci...

Aż jednego dnia, jeszcze przed końcem lutego, król go kazał zawołać do siebie i dał mu rozkaz, ażeby zaraz wyjeżdżał do Tustania. Kasztelania halicka wakowała natenczas. Król dał mu zatem już wygotowany dokument do wojewody ruskiego, mocą którego mianuje go zastępcą kasztelana i nakazuje wojewodzie, ażeby go zainstalował, jemu zaś wydał instrukcję, ażeby z pospolitaków, których będzie mógł zebrać w sekrecie, wysztyftował zawczasu porządną chorągiew, zaczem jak swego czasu zatrąbią na koń, obejmie komendę nad pospolitym ruszeniem powiatu.



Na tę wiadomość Wilczkowi uderzyło serce z radości tak gwałtownie, że mu się twarz rozśmiała i ścisnęła króla za kolana. To śmierć pewna i śmierć chwalebna na czele rycerstwa tak znamienitego powiatu! Wilczek uczuł się uniesionym szczęściem anioła: dla niego śmierć była dzisiaj zwiastunem zbawienia.

Król, widząc tę radość, położył mu łaskawie rękę na ramieniu i rzekł:

– Słysz, Wilczek! jam zawsze był ciebie pewnym, tak jak Gniewosza, żeś gotów za mnie skoczyć choćby w ogień. Ale wiedz o tym, że ja teraz liczę na ciebie, że mi tam zawczasu taką złożysz chorągiew, którą dobrze w garść weźmiesz panów pospolitaków.

– Najjaśniejszy królu! – zawołał Wilczek z zapalem – za miesiąc a sześć tygodni taką wystawię chorągiew, że nią ścisnę szlachciców jak w kleszcze żelazne. Chorągwi Gniewosza ja nisko nie cenię, ale za to waszej królewskiej mości odpowiem, że gdzie ja z moją chorągwią uderzę, tam dla Gniewosza i źdźbło nie zostanie.

– Słuchajże mnie, mój Wilczek – dodał król kontent z jego zapalu – a jak przez Lwów będziesz przejeżdżał, to pomóż tam trochę Kergolajowi, ażeby także tam jakąkolwiek złożył chorągiew. Bo tutaj mi się z nim nic nie udało – a szkoda człowieka. Kmita go na zastępcę nie przyjął, a może rycerstwo także nie rade by iść pod buławę cudzoziemskiego rycerza. Zaczem go wyprawilem do Lwowa, aby tam z tych wielkopolskich chodaczków, co w jesieni chmurami pociągnęli w Belskie, tam się nie mogli osiedlić, a teraz siedzą na bruku we Lwowie, także złożył chorągiew. Dałem mu trochę pieniędzy, resztę kazałem mu wypłacić we Lwowie, spodziewam się, że da sobie radę, ale jeżeliby się trącał o jakie trudności, to ty mu pomożesz.

Wilczek przyrzekł święcie królowi, że Kergolajowi wedle sił swoich pomoże – i jeszcze tego dnia wyjechał z całym swym pocztem z Krakowa.

Brodząc z wielkim mozołem przez nieprzebrane śniegi, jakimi Polska w tej porze roku była zazwyczaj nakryta, ósmego dnia dobił się wreszcie do Lwowa – i przede wszystkim Kergolaja odpytał. Kergolaj najął sobie poza murami miasta zaraz pod Niskim Zamkiem obszerną gospodę, rozłożył się w niej bardzo wygodnie wedle swego zwyczaju i werbował ludzi dla swojej chorągwi. Jego werbunek, choć jawny, nie sprawił w mieście żadnego wrażenia i nie stał się powodem do żadnych plotek o bliskiej wojnie. W owych czasach, kto chciał, werbował sobie ludzi po miastach i nikt mu tego nie bronił. A sztyftowanie konnej chorągwi nie było łatwym zadaniem z powodu wielkiego ubóstwa tej drobnej szlachty, pomiędzy którą jedynie można było znaleźć ludzi do konnej służby już jakokolwiek wprawionych. Kergolaj, przyjmując skutkiem swego temperamentu nawet przeciwności losów z humorem, opowiadał Wilczkowi i ten swój zawód wesoło, mówiąc:

– Król chyba mnie się chciał pozbyć z Krakowa, dając mi patent i trochę pieniędzy na sztyftowanie konnej chorągwi we Lwowie. Jużci tu tej małej szlachty jest dosyć, wszystkie przedmieścia są nią przepelnione, ale tym ludziom nie tylko koni i broni brakuje... Tu całkiem innych sum na to potrzeba, ażeby nimi nakryć chorągiew. Wyobraź sobie, jest tu trzech braci Bernatowiczów, chłopcy jak drągi i wcale przystojni żołnierze, ale w takiej są biedzie, że wszyscy trzej tylko jedne pludry mają i jak jeden z nich wychodzi na miasto, to drudzy dwaj muszą siedzieć za piecem. Słysz, Wilczek! – wołał Francuz swoim klarynetowym głosem, uderzając go z lekka ręką po drucianej koszulce – trzech braci o jednych pludrach, przecie coś takiego można znaleźć tylko we Lwowie.

Być może, że w tej przypowieści Kergolaja było cokolwiek przesady, ale pomiędzy tą drobną szlachtą wielkopolską, która się wtedy całymi bandami na Ruś ścigała, panowała częstokroć istotnie niewysłowiona nędza. Obok błyszczącego aksamitami i złotem bogactwa i iskrzącej się wszelkimi zbytkami wystawności, jaką Polska pomiędzy wszystkimi europejskimi krajami w pierwszym rzędzie się odznaczała, głód i łachmany... Takie skrajne ostateczności, tuż obok siebie leżące, a nawet pomieszane ze sobą, były zresztą najwięcej uderzającym rysem wieków ówczesnych.

Wilczek wzruszył się w swym dobrym sercu tą nędzą szlachty, a zarazem go i krytyczne położenie Kergolaja dotknęło, bo nie tylko sam tę zasadę wyznawał, że rycerz rycerzowi zawsze i wszędzie pomagać powinien, ale wiedział zarazem, chociaż to było dla republiki sekretem, że Kergolaj tę chorągiew ma sztyftować nie dla siebie, tylko dla króla. Spytał go więc bardzo zafrasowany:

– Juźci ja ciebie w tym dziegciu tak nie zostawię, ale pytam się ciebie, co począć? bo przecie wiesz, że trzeba sekret zachować, a przeto i pozór, jako ty tę chorągiew zbierasz dla siebie.

A Kergolaj na to:

– Trzeba się nad tym namyślić. Mam trochę pieniędzy od króla, mam asygnacją do Łopatki. Łopatce musiałem kłamać jak z książki, jako robię wyprawę do Ziemi Świętej po drzewo krzyża Chrystusowego dla kardynała i dlatego król mi pomaga, aby się nie domyślił, że to werbunek dla króla i że się na wojnę zanosi. Łopatka mi te grzywny wypłaci. Ale to wszystko ani na ćwierć chorągwi nie starczy, jak skoro na trzech szlachciców tylko jeden ma pludry. Król o tym zapewne nie wiedział, a rozumiał, że ta szlachta jest uzbrojona i siedzi na koniach. Apelować teraz do króla, to droga daleka i długa; w złym razie mogłaby nawet z tego wyniknąć dla mnie brzydka dekonfitura, żem się na coś zamachnął, czegom nie dokazał. Juź mi się tu raz noga powinęła w tym przeklętym Lemburgu, za zdrowie królewskie jakoś to uszło i przycichło: wszelako teraz nie chciałbym wcale, ażeby mnie pięć nacyj tutejszych pięcioma językami jednogłośnie wyśmiało. Ale słuchaj mnie, jest na to sposób, jeżeli ty mi pomożesz. Oto ten wasz ormiański wyporek, co go tak wszyscy kochacie, zebrał sobie sto ludzi i ma ich, doskonale ubranych i uzbrojonych – a nie potrzebuję tobie powiadać, że on i stu kotom nie godzien hetmanić. Od kilku dni przybrał sobie wprawdzie młodego Pretficza za porucznika, który drapnął z Krakowa, a wstydząc się powracać do ojca, pokumał się z Tigranem i pojechał pod jego chorągiew. Pretficz jest dobrze wyćwiczony w rycerskim rzemiośle i spoi mu jakokolwiek jego zbieraninę, ale to także młode chłopczyśko, co nawet jeszcze nigdy w ogniu nie było. Otóż ja tak rozumiem, że gdyby Tigran oddał tę chorągiewkę pod moje komendę, to ja bym miał z czego ją wzmocnić i okryć dostatnio, tak żeby król miał z niej pociechę.

Ale Wilczek się na to uśmiechnął i rzekł:

– A ty zawsze modą francuską wyciągasz rękę po chleb gotowy. Najprzód chciałeś zabrać Kmicie pospolitaków przemyskich, a teraz znowu chciałbyś Tigranowi wziąć jego własną chorągiew. Ale jak tamto ci się nie udało, tak i to ci się nie uda. Wiesz przecie, że Tigran na to sztyftuje chorągiew, aby nią sobie na szlachectwo albo też i na pasowanie zasłużył, a ty go chcesz wziąć pod twoje buławę; to właśnie, jak gdybyś mu chciał głowę zdjąć z karku. Nie tędy droga, mój bracie.

– Więc cóż zrobić?

– Trzeba by się nad tym naradzić z Łopatką, przecie jest tutaj królewskim starostą.

Ale Kergolajowi jakoś nie smakowała ta rada, bo rzekł:

– Ja bardzo kocham Łopatkę, bo chłop z niego serdeczny i przywiązany do króla. Ale wiesz, co powiada wasze przysłowie: „Noga w szczudle, a mysz w pudle, koza w sadzie, Rusin w radzie, cztery rzeczy nie do rzeczy”. Zresztą nie bardzo bym się zwierzał Łopatce, bo on piwo i wino jeszcze jakokolwiek przemoże, ale małmazja mocniejsza od niego, więc jak małmazji w czuprynę należy, to gotów z samej serdeczności i grzech śmiertelny wypaplać.

– Masz rację – rzekł Wilczek, zastanowiwszy się nad tym i dodał żartem – a potem nie wiem, czy Łopatka ciebie kocha tak bardzo, jak ty jego, przynajmniej ja w jego miejscu wcale bym cię nie kochał za to, coś z Pachną nabroił.

– Ja to teraz naprawię – odpowiedział mu Kergolaj, patrząc na niego swoimi mieniącymi się oczyma.

Ale Wilczek się na to roześmiał i rzekł:

– Piękna to będzie naprawa. Może by lepiej, żebyś już wcale nie naprawiał... Bo ty tam grasz w szubieniczkę – a wiesz, jak się to kończy: tu się pisze, tu się maże, ale nareszcie przecie napiszą i powieszają.

– Jeszcze ja to potrafię – rzekł Kergolaj – że za mnie kogo innego powieszają. Jeśli zaś mnie tutaj przyjdzie zawisnąć, to chyba już na Formozie.

Na to Wilczek spojrział na niego ciekawymi oczyma, po czym je spuścił ku ziemi i mały czas milczał. Kiedy zaś Kergolaj rozumiał, że on tak rozmyśla nad jego chorągwią, on podniósł oczy ku niemu i rzekł:

– Najrozumniejszy człowiek we wszelkich sprawach przecie w miłości jest głupi.

Kergolaj na to w głos się roześmiał i zawołał:

– Rozumiałem, że mi dasz radę na moje chorągiewne kłopoty, a ty mi dajesz radę w miłości. Tak mi się widzi, że ci jeszcze Jagienka wciąż chodzi po głowie. Otóż ja tobie dam inną radę, abyś ją dobrze spamiętał. Każdy rozumny człowiek musi się kochać koniecznie, bo inaczej niewart jest, aby żył na tym świecie. Każdemu wolno robić największe głupstwa z miłości, a to tym bardziej, ile że im większe głupstwa się robi, tym więcej się ma satysfakcji. Ale przy najgorętszej miłości każdy ma o tym pamiętać, że za jedną kobietą siedzi druga, a za tą trzecia i czwarta, a za najpiękniejszą jeszcze piękniejsza. Zaczem weź to sobie na rozum i jedź do Jerycho po różę dla Jagienki, ale jak w drodze spotkasz Formozę, to zostań w Lemburgu; jak Formoza ci nastawi pudełek, to weź Pachnę, a jak Formoza przestanie ci nastawiać pudełka, to wróc znów do Formozy...

Wilczka mocno raziły te słowa Francuza. Byłby go chętnie jego własnemu losowi zostawił i więcej o nim nie myślał, ale chodziło o sprawę królewską. Zaczem wstał i zaczął się przechodzić wzdłuż izby. Kergolaja wcale nie słuchał, jeno myślał o środkach pomocy. Jakoż po chwili stanął przed nim i rzekł:

– Słysz, Kergolaj, chciałbym ja innej drogi spróbować. Staremu Kijasowi można przecie się zwierzyć, bo pewnie nie zdradzi. Jemu wiele na tym zależy, ażeby mógł zaskarbić dla swego syna łaskę królewską, miasto się także radę przypodoba królowi; miasto bogate, jak Kijas zechce, to ci pomoc uzyska od miasta. Chyba ja o tym pomówię z Kijasem.

Kergolaj chętnie na to się zgodził.

Zaczem Wilczek poszedł zaraz do Kijasa – i jest, jak zawsze, bardzo wdzięcznie w tym domu przyjęty.

Z Formozą niewiele mieli sobie do powiedzenia. Formoza z żywą radością a zarazem z pewnym tryumfem dowiedziała się od Wilczka, że Gniewosz nie ruszył się krokiem z Krakowa i tylko raz na miesiąc pisuje do żony; zresztą czekała, wierząc w przysięgę Gniewosza jak w ewangelię, a zarazem ufając ślepo swemu przeczuciu, że się jakiś cud stanie, który ją z nim połączy: wiara zbawia każdego, a przeto i dla niej była zbawieniem. Wilczek oczekiwał także zbawienia, ale tylko przez śmierć, której pragnął na polu bitwy za ojczyznę i króla i którą już widział przed sobą; ale się z tym przed Formozą nie zwierzał. Natomiast miał drugą rozmowę z Kijasem.

Kijas obliczył zaraz swoim przenikliwym rozumem, jakie z pomocy, danej Kergolajowi, wypłyną dla niego i dla miasta korzyści: król dowie się o tym i zakarbuje to jako zasługę jemu a zarazem i miastu; tym środkiem będzie mógł łatwiej otrzymać dla Tigranesa szlachectwo; prócz tego jeszcze w tej Kergolaja komendzie, której choć do pewnego stopnia nada się charakter chorągwi miejskiej, Tigranes w czasie wojny znajdzie oparcie i obronę, o co Kijas zawczasu się z Kergolajem umówił. Obok tych pięknych widoków były niejaki trudności. Oto rajcom nie można się zwierzyć z sekretem, trzeba tę sprawę z konsulami załatwić, skąd idzie, że można użyć tylko tych pieniędzy, które są w kasie podręcznej; w arsenale jest broni dostatkem, ale zbroi niewiele, trzeba zatem zaprząć do roboty płatnerzy, a to może się stać powodem do plotek; skór w składach miejskich jest dosyć, ale sukno jest tylko czarne, a nie

wiedzieć, czy Kergolaj na ten kolor się zgodzi. Ale Kijas na to wszystko poradzi – a zresztą, od czegoż Kundrat, notariusz lonherii, człek taki przemyślny i sprawny?

Cóżkolwiek bądź, Kijas wziął to na siebie, że Kergolajowi wszystkiego dostarczy, czego mu do wystawienia przystojnej chorągwi zabraknie – a tak się stało, że Kundrat (jak to los bywa czasem złośliwy!) musiał znów zaprząć się do roboty, aby nienawistnemu dla siebie Francuzowi, którego by był raczej w łyżce wody utopił, jeszcze do znaczenia i sławy poma-gać.

Wilczek, zadowolony ze siebie, że królowi ponad swój obowiązek wyrządził przysługę, wyjechał czym prędzej na Tustań.

Król o tym czasie skoczył był do Parczewa, gdzie miał zjazd i naradę z bratem swym Aleksandrem, wielkim księciem litewskim, jakie posiłki Litwa mu na tę wojnę ma przyspo-sobić – a skoro tylko do Krakowa powrócił, zaraz rozbiegły się wieści, jako Turcy zaczynają się zrywać jak ptacy ze ziemi i ciągną już lotem powolnym, lecz tłumnym, ku Podolowi i Ru-si, ażeby całą Polskę zalać swymi wojskami i wszystkie jej kraje wypalić i złupić, a z jej dworów i miast zostawić tylko kupy popiołów...

Zima była twarda w tym roku, więcej mroźna niż śnieżna, ale za to wiosna bardzo pochop-na i ciepła. Już w marcu stajały śniegi po polach otwartych, a nawet po lasach, wezbrane strumienie i rzeki szparkimi bałwany toczyły swe wody do morza, a wiatry prawie gorące, pędzone jakby umyślnie z południa na Polskę, osuszały nadzwyczaj prędko gościńce i drogi. W kwietniu już słońce zaczęło dobrze dogrzewać i łąki zielonymi trawami zaścielać, zakwitły sady, rozweseliły się lasy, dzikie ptastwo, przylatujące zza morza, padało czarnymi chmurami z rozgłośnym wrzaskiem na moczary i stawy, bocian powrócił i zasiadł znowu swe gniazdo na wierzchu strzechy u kmiecia.

Z gorącym wiatrem, wiejącym z południa, i z dzikim ptastwem, przylatującym od wscho-du, tym szerzej i głośniej rozbiegały się wieści o Turkach ciągnących na Polskę. Szlachcic, co nos wystawił poza wrota swojego dworku, czuł piżmo w powietrzu, którym cuchnęły namioty tureckie – a kiedy ucho przyłożył do ziemi, to słyszał tętent kopyt i rzenie ich koni. Byli lu-dzie, co widzieli we śnie, ale jakby na jawie, nieprzejrzane zastępy tureckie, z krzywymi sza-blami w prawicy, kąpiące od drogich kamieni i złota, na białych koniach z czerwonymi grzy-wami, jako z rozwiniętymi sztandary barwy zielonej leciały powietrzem i właśnie jak owe stada dzikiego ptastwa z przerażającym wrzaskiem spadały na polskie krainy: gdzie padły, tam wszyscy ludzie umierali jak od pomoru, a cała ziemia się obracała w wielkie pogorzeli-sko.

Były także i znaki, których Opatrzność nigdy nie szczędzi swym wiernym, aby ich ostrzec przed wielkim nieszczęściem. Na południowym niebie, co dzień po zachodzie słońca, było widać wyraźnie dwa skrzyżowane ze sobą u dołu tureckie sztandary, a między nimi u góry półksiężyc, obrócony swymi ostrymi rogami ku Polsce. Szlachcica, co z dwunastą koni pod namiotem stał w polu, piorun zastrzelił i wszystkie konie za jednym wystrzałem. W Małopo-lsce powiła baba umarłe dziecko, co je wąż zagryzł w jej łonie, jeszcze i po porodzie siedział mu na plecach i gryzł je: wróżono z tego wielką zawziętość Turków, że pastwić się będą jesz-cze nad umarłymi. Na Rusi urodziło się cielę z dwiema głowami i obydwoma pyskami okrut-nie ryczało: tak, powiadano, my ryczeć będziemy pod uciskiem tureckim. We Lwowie zjawił się chłop brodaty a blady jak śmierć, który pod białą płóciennicą pokazywał krwawą ranę Chrystusową na piersiach, miał też rany na rękach i nogach, jakoby na świadectwo, od kogo jest posłań, i przepowiadał ciężkie pokuty dla Polski...

Wobec tych znaków głębokie niepokoje i drżenia wnętrzości objęły całe królestwo: jedni obwarowywali na nowo swe dwory i gotowali się do obrony, drudzy zagrzebywali w ziemi klejnoty i uzbierane pieniądze, a wszyscy się oglądali, kędy by mieli przechować swoje żony i dzieci. Zgoła, mało niewiele, a cała Polska byłaby wyglądała jak zmartwychwstali umarli, co

się na dolinie Jozafata zgromadzą i czuć będą przed sobą po znakach na niebie i ziemi zbliżający się do nich dzień sądny.

Ale król czuwał. Jak tylko te straszne wieści się po całej Polsce rozeszły, już w kwietniu rozesłał bardzo szybkimi gońcami wici do wszystkich województw, ziem i powiatów, przedstawiając gorące niebezpieczeństwo i rozkazując pospolite ruszenie, a prosząc jak najusilniej, ażeby, kto żyw i broń może udźwignąć, wsiadał na koń i śpieszył zastawić swymi piersiami zagrożoną od Turków ojczyznę. Już czas – dodawali do tego ustnie urzędnicy królewscy – już czas pomścić na tych poganach wieloletnią śmierć króla Władysława i naszych ojców męczeństwo, którzy wszyscy polegli pod Warną. A lepszego czasu nigdy nie będzie, bo zwycięstwo jest pewne: albowiem bracia królewscy, Aleksander, wielki książę litewski, Władysław, król węgierski a czeski, nuż wreszcie Krzyżacy, związani są sojuszami i armie swe przysłały, nawet i cesarz Maksymilian obiecał posiłki, a Wenetowie wybierają się już na Turków z mnogimi okrętami i niechybnie na nich uderzą od tyłu. Jeżeli więc Polacy chcą aby im drudzy nie odebrali sławy tego zwycięstwa, jeżeli pragną (co bardzo ważne jest zwłaszcza dla ubogich żołnierzy), ażeby im żołdacy węgierscy a czescy nie wzięli łupów tureckich sprzed nosa, to niechże się śpieszą, ażeby pierwsi a przed wszystkimi innymi ruszyli w pole.

Obawa przed najazdem tureckim, a zwłaszcza te wrzące proklamacje królewskie odniosły skutek, przechodzący wszelkie nadzieje. Jeszcze nigdy, jak Polska Polską, szlachta wielka i mała nie okazała się tak posłuszną swemu królowi, jeszcze nigdy tak jednomyślnie, bo prawie od kołka do kołka, nie stanęła w tak krótkim czasie do broni, jeszcze nigdy królestwo polskie nie wystawiło tak świetnej a zarazem tak licznej armii do boju.

Już bowiem w maju ośmdziesiąt tysięcy rycerstwa i trzydzieści tysięcy ciurów stanęło w pełnej zbroi pod Lwowem – a tak olbrzymiej potęgi wojskowej nie mieli wówczas ani król francuski, ani sam cesarz niemiecki. Pyszne te wojska, przenoszące liczbą swych głów prawie trzy razy całą ludność stolicy Rusi, rozłożyły się obozem pod miastem, ku podziwieniu wszystkich mieszkańców, nawet tych, co we Włoszech, we Francji i w Niemczech najznamienitsze armie widzieli. Świetność tego obozu podniosła jeszcze o wiele ta okoliczność, iż niebывałym dotąd zwyczajem niektórzy panowie i znamienitsi rycerze poprzywozili swe żony ze sobą, które z wrodzonej sobie próżności tym się zajęły, ażeby jak najpiękniej przystrojono namioty, ażeby piwnice i kuchnie były dobrze zaopatrzone i aby na wszelkich innych nie brakowało rozrywkach.

Kto życie swe waży za spokój i szczęście swych braci i może już jutro położyć swą głowę za wolność i całość ojczyzny, temu się godzi i pieczeń wonniejsza, i lepszy dzban wina, i wszelka inna uciecha; tak zawsze bywało na świecie i nikt tych obyczajów żołnierskich nie zmieni; ale tam już na pierwszy rzut oka trzeba się było obawiać, azali tych uciech nie będzie zanadto. Albowiem każda żona zamożniejszego rycerza przyprowadziła za sobą jaki taki fraucymer; czego można sobie pozwolić, tego się i uboższemu zachciało, a za żonami poprzyciągały także rozmaite sieroty i wdowy, które dopiero mężów szukały w obozie... Za nimi zaś markietanki i ich pomocnice, szwaczki a praczki, porozkładały się w osobnych namiotach z rozmaitymi trunkami i towarami, tak że ich namioty były wciąż w obłężeniu od żołnierstwa wszelakiej broni, że nieraz i starszym trudno się było przez nie przecisnąć.

Gdzie wino, tam i muzyka być musi; toż za markietankami nawaliło się do obozu gęślarzy, lirników, teorbantów, skoczków, kuglarzy i błaznów wszelkiego rodzaju – a z nimi i kupców, przekupniów, handlarzy, którzy bądź pozakładali swe kramy, bądź też pomiędzy namioty roznosili swoje towary. Cieszyli się z tego mieszczanie, bo z tego obozu sownie się napelniały ich worki; ale starzy żołnierze bardzo na to mruczeli, mówiąc, że gdzie kobiety a grajki rej wodzą w obozie, tam rygor wojskowy rozłazi się prędko i licha służba z takiego żołnierza.

Obóz ten był ogromny, jakiego dotąd jeszcze w Polsce nie było. Zaraz za Niskim Zamkiem stanęły pierwsze namioty i ciągnęły się pomiędzy Zniesieniem a Kleparowem, przez

Zamarstynów do Zboisk, a stamtąd popod Sroki i Łaszki aż ku Malechowu. Spojrzawszy nań z Wysokiego Zamku, zdało się widzieć jakieś miasto ogromne, jakiego nie masz na całej ziemi. Namioty zrazu szły szeregami, tworząc szerokie ulice, główne i boczne, jak w mieście, a dalej kupiły się w gromady, jak sobie województwa albo powiaty stanowiska obrały. Były namioty tak wielkie, jak domy, z osobnymi wewnątrz izbami, niektóre z nich poopinane materiami najrozmaitszych kolorów. Województwa trzymały się razem ze swymi powiatami i ziemiami, a nad ich głównymi namiotami powiewały sztandary ich własne: nad województwem poznańskim orzeł biały bez korony, nad sandomierskim trzy pola czerwone i białe z gwiazdami w trzech rzędach, nad kaliskim ukoronowana żubrza głowa z pierścieniem w pysku, nad kijowskim po jednej stronie anioł z mieczem i pochwą, po drugiej niedźwiedź w polu białym. Tak samo powywieszały powiaty swoje sztandary nad namiotami swych kasztelanów – a biskupi, którzy ze zbrojnymi pocztami przybyli, herby swych biskupstw: Uriel Górka poznański sztandar ze św. Piotrem, trzymającym dwa klucze w prawicy, Lubrański płocki z Najświętszą Panną, trzymającą Pana Jezusa na rękach, Jan II Pudełko łucki z Trójcą św., gdzie Bóg Ojciec trzyma przed sobą Chystusa Pana na krzyżu, a Duch św. w postaci gołębia unosi się nad jego głowami. Żaden z panów nie wywieszał tam swoich rodowych sztandarów, jak to było w Piotrkowie, bo na wojnie się to nie godziło; byli tylko wolontariusze, którzy własnym sumptem powystawiali większe lub mniejsze poczty, było także kilku kawalerów cudzoziemskich z własną służbą – a ci mieli sztandary według swej własnej fantazji. Ilekroć taki wolontariusz wjeżdżał na czele swojego pocztu do obozu, zawsze go witało okrutne bicie w kotły i bębny i niezmiernie wrzaskliwe trąbienie, a otaczało go zbiegowisko wszelakiej broni żołnierstwa, robiąc uwagi nad uzbrojeniem i umontowaniem jego chorągwi.

Tak zaraz w pierwszym tygodniu wjechał Tigranes z poczem stu koni. On sam jechał na czele, a prawe skrzydło pierwszego szeregu trzymał młody Pretficz jako porucznik. Wszyscy ci ludzie byli w pancerzach i hełmach, a na pancerzach mieli płaszcze jasnoniebieskie, podbite żółtą podszewką. Tigranes zrobił tę koncesję miastu, iż przyjął jego kolory, toż i sztandar, co nad jego chorągwią powiewał, mieścił na sobie okręt żółty w niebieskim polu, jako starodawny emblemat rodziny Chiaao, przyjęty przez nią znak, jako była kupiecką i przybyła z za morza. Sztandar ten bardzo wielkich rozmiarów i suto ozdobiony długimi wyłaczanymi wstęgami, wyhaftowała własnymi rękami z swym fraucymerem Formoza, jakoż powszechnie dziwiono się jego okazałości, chociaż ten i ów bąknął, że kupiec, lubo taki bogaty, mógłby być na skromniejszej chorągiewce poprzestać. Jego oddział także chwalono, ale więcej z piękności koni i zbroi niżeli z rycerskiej postawy – a jakiś żołnierz pozwolił sobie nawet głośno powiedzieć:

– Co piękne, to smaczne, Turek to sobie połknie na pierwsze śniadanie.

Ale Tigranes nic sobie z tego nie robił, owszem, kiedy mu doniesiono, że żołnierze sobie dworują z tej chorągiewki kupieckiej, odpowiedział butnie:

– Głupi żołnierze! Niech zaczekają – a obaczą, co się z czasem z niej zrobi. A przecież ów dzisiaj tak sławny zakon joanitów, a teraz rodyjski, został także założony przez kupców.

Tigranes stanął z swym hufcem na Zamarstynowie, gdzie kupiec lwowski imci pan Sommerstein, od którego też tę posiadłość nazwano Sommersteinhof, miał tak obszerne zabudowania, że w nich jeszcze i parę innych hufców się mogło pomieścić.

Za nim wjechał do obozu Kergolaj, ale ten całkiem inną modą wstawił swój hufiec. Miał on także tylko sto koni, ale u niego koń w konia na silnych nogach i z piersią szeroką, toż i chłop w chłop, wszyscy ubrani i uzbrojeni ze znajomością rycerskiego rzemiosła. Kto się znał na tym, poznał zaraz na pierwszy rzut oka, że to żołnierz wytrawny a doświadczony ten hufiec prowadzi. Jeny ubranie i uzbrojenie mieli dziwne cokolwiek. Każdy żołnierz miał tylko półpancerz na sobie, z przodu okryty żelazem, a na plecach tylko półpłacie<sup>32</sup>; płatnerze nie

---

<sup>32</sup> półpłacie – część pancerza dochodząca do połowy pleców

mogli w tak krótkim czasie całych pancerzów dostarczyć – a zresztą Kergolaj nie dbał o to, bo mówił: że jak żołnierz jest na plecach okryty żelazem, to łatwiej tył podaje nieprzyjacielowi. Za to uzbrojenie ich było bardzo dostatnie, bo każdy żołnierz miał krótki miecz i mizerykordią u boku, drewnianą, ale żelazną blachą pokrytą tarczę na lewym ramieniu, pod kolaniem koncerz<sup>33</sup> na sześć stóp długi i żelazny młot u kułbaki, młot, który z jednej strony był młotem, a z drugiej siekierą do rąbania murów fortecznych. Na pancerzach zaś mieli płaszcze czarne – i to było rzeczą niezwykłą. Takie płaszcze rycerskie szły tylko do kolan, a miały rękawy tylko po łokcie, Kergolaj kazał na nich poprzyszywać białe krzyże ośmioramienne, joanickie albo też rodyjskie – a to im dawało pozór wcale uderzający. Kergolaj sam także taki płaszcz przywdział i tak jechał na czele swojej chorągwi, w niskim uszatym hełmie z czarnymi piórami i takie hełmy mieli wszyscy jego żołnierze.

Prawe skrzydło trzech pierwszych szeregów trzymali trzej bracia Bernatowicze, szlachta wielkopolska bardzo starożytnego rodu o własnym herbie, chociaż ubodzy, ale teraz już dobrze odziani, toż każdy z nich miał już swoje własne czarne pludry na sobie, z blaszanymi nagolennikami i butami okutymi w żelazo. Jeden z nich niósł sztandar także czarny, bramowany złotymi frędzlami, w którego środku widać było złotego lewka w niebieskim polu. Kergolaj, nie mogąc wystawić pełnej chorągwi, równającej się chorągwiom dworskim, nie miał odwagi wywiesić królewskiego orła na swoim sztandarze; chciał środkiem przepłynąć i długo się upierał przy ukoronowanej kawce halickiej, ale złośliwy Kundrat podszczył konsułów, którzy niemało na tę chorągiew wysypali pieniędzy, ażeby nie odstępili od swego lewka, a tak Kergolaj musiał dla miłej zgody ustąpić, a Kundrat miał jeszcze z tego i tak niemało zgryzot, bo tę piękną chorągiew z lewkiem haftowała własnymi rękami Pachna, o czym po mału całe miasto się dowiedziało. Kergolaj, wjeżdżając do obozu, kazał trąbić hasło królewskie – a to już całe obalamuciło nawet najstarszych żołnierzy

– Świętojański krzyż sobie przyszył na piersiach – pytał jeden drugiego – na sztandarze ma herb miasta Lemburga, a trąbi hasło królewskie; co to za diabeł być może?

Drudzy zasie mówili:

– Mają mizerykordią u boku, to pewno ci, co kwatery nie dają, a rannych rzeżą po gardle.

Ale inni temu przeczyli mówiąc:

– W żalobie się czernią, to może ci rycerze-kapłani, co pielęgnują rannych, a grzebią umarłych, jako są właśnie rycerze jerozolimscy. Może papież ich przysłał naszemu królowi.

Jednakże Kergolaj, jadąc stępą wielką ulicą przez gęste tłumy rycerstwa, tu i ówdzie dostrzegł znajomych i pozdrawiał ich mieczem, a ci mu także głowami kiwali, a tak od nich rozeszła się wieść po obozie:

– Francuz, powinowaty Kmitów i Lanckorońskich, Kergolaj grabia, *eques auratus*, rycerz rodyjski, a na czas rotmistrz królewski.

Jeszcze zaledwie Kergolaj skręcił ku Zamarstynowu, gdzie Tigranes dał mu gościnę, a mieszczanie mieli mu dostarczać furazów, kiedy Kierdejowicz Olizar wjechał na czele swojej sotni kozaków do obozu. Ci wszakże znowu się zaprezentowali inaczej. Siedzieli bowiem na małych koniach, trochę chudych, ale za to niezmiernie ognistych, obrotnych i rącznych, widać było po nich, że jak ruszą z kopyta, to jak wiatr świsną, a i wiatr ich nie dogoni. Ludzie też byli młodzi jeden w drugiego, ledwie po skrzydłach widać było starych kozaków ze siwymi wąsami, ubrani zaś byli lekko, w brunatnych kubrakach, w baranich czapkach, ale uzbrojeni dostatnio, bo każdy miał krzywą szablę i kindżał u boku, topór przy kułbace, a w ręku spisę z długim stalowym grotem jak szpilka. Tylko Olizar miał na sobie bogato srebrem haftowany aksamitny kaftan, kudłatą burkę przewieszoną przez ramię, błyszczącą szablę w prawicy, kołpaczek z piórem, a siedział na tak ognistym tureckim ogierze, że i sam król byłby się go nie powstydział. Sotnia ta była prawie sowito okryta, bo było w niej najmniej półtora sta koni, a

---

<sup>33</sup> koncerz (czes.) – długa kopia, dzida

szło za nią jeszcze kilkanaście koni podwodnych i jucznych: zgoła hufczyk bardzo lekki, ale nakryty i syty, bo lud był rześki, a prawie na każdym z nich było widać i pas pozłocisty, i rozmaite świedidla, i dobrze wyładowane wojłoki za terlicami<sup>34</sup>. Olizar, jeżeli mu ojciec nie pomógł, niemało grzywien musiał naskubać we Lwowie, nim ten hufiec uzbroił, ale się pięknie postawił. Jakoż był w złotym humorze, witał wszystkich szablą, czy kogo znał, czy nie znał, ale miał też dużo znajomych, którzy go głośnymi wiwatami witali, zatrzymywali po drodze i żartowali z nim serdecznie, bo go wszyscy kochali. Poważni rycerze, obejrzawszy dobrze jego żołnierzy, mówili sobie:

– Do uderzenia nieprzyjaciela w czoło niewiele to warte, właśnie jak by go mucha ukąsiła, ale rwać go po bokach nikt lepiej nie potrafi od niego. Nuż kiedy nieprzyjaciel pobity, to chroń go Boże od tych Rusinów, bo go pewnie bez miłosierdzia dobiją, a potem i koszuli na nim nie zostawią. Jeno nie wiedzieć, gdzie będą chować klejnoty a makaty tureckie, bo mają wojłoki tak napchane, że i tureckiej mycki by w nich nie zmieścił.

Słyszając to Olizar, spojrział na nich z litościwą pogardą i podkręciwszy wąż, rzekł:

– *Szkoda howoryty! W mene koždy kozak maje porożnyj mich pid terlyciow*<sup>35</sup>.

Więc wszyscy się śmiali – a tymczasem Olizar pociągnął także na Zamarstynów.

Nazajutrz przyciągnęli Krzyżacy. Przyjechali z północy od Żółkwi – i cały obóz przeciw nim wyrzucił w ulice, bo też było co widzieć. Mieli tylko czterysta koni, dwieście rycerzy a dwieście knechtów, ale jakie tam konie, a jakie zbroje, to ledwie najprzedniejsze chorągwie królewskie mogły się z nimi porównać.

Na czele ich jechał sam wielki mistrz tego rycerskiego zakonu, Jan Tiefen, starzec już prawie zgrzybiały, z białą w pas brodą, mąż wzrostem wyniosły, ale żółtawej cery na twarzy i prawie jak gdyby był chorowity; koło niego zaś komtur, Ludwik von Steinsheim, równie potężny wzrostem, ale zdrow i w pełni sił męskich. Za nimi ciągnęły ściśnięte szeregi rycerstwa, wszyscy na koniach ogromnych, zakuty w żelazo, sami zaś w pełnych pancerzach i hełmach z piórami a w długich białych płaszczach z wielkimi czarnymi krzyżami na piersiach. Wszystko tak lśniło się na nich, jak gdyby dopiero co wyjechali z płatnerskiego warstatu, bo nawet knechtowie ich byli ubrani bardzo dostatnio i mieli konie takie ogromne i takie przystojne, że u nas i dobry rycerz nie pochwali się lepszym.

Tak ciągnęli z wolna z dobytymi mieczami i rozwiniętymi sztandary przez cały obóz – a nasi żołnierze witali ich milczącym zdumieniem, bo wyglądali wcale jak rycerze biblijni, co smoków tratują swoimi końmi, a dławią kopiami, i niewielu było, zwłaszcza pospolitaków, co tych rycerzy kiedykolwiek własnymi oczyma widzieli.

Ale w tej wielkiej powadze tylko przeciągnęli przez obóz i zatrzymali się dopiero w mieście pod Niskim Zamkiem, gdzie ich piękną perorą w imieniu króla witał arcybiskup lwowski, otoczony swym klerem, królewskimi urzędnikami, rajcami miasta i niezliczonym tłumem pospólstwa. Zaczem im dano kwatery w mieście, traktując ich z wielkim respektem, bo wielkiego mistrza, komtura i kilku starszych wziął arcybiskup do siebie, zaś innych przedniejszych porozbierali prałaci i kanonicy a proboszczowie wszystkich obrządków, resztę zaś mieszczanie do siebie, tak że i niejednemu knechtowi dostało się spać pod kołdrą jedwabną a nalać się miodem po same gardło. Ale bawili niedługo, bo odpocząwszy mało niewiele, pociągnęli do Halicza, gdzie się też rozłożyli obozem, czekając na rozkazy królewskie.

Wszelako podczas tego przyjęcia ich pod Niskim Zamkiem stało się trochę zgorszenia. Wybiegło tam bowiem za nimi niemało żołnierstwa z obozu, a z nim Olizar, zawsze wszystkiego bardzo ciekawy, i Kergolaj, który także jeszcze nigdy Krzyżaków nie widział. Owo stał tam także i Frąc i patrzył na te Krzyżaki z otwartą gębą, a widać, że musiał się nadać wielką pychę z tych swoich braci niemieckich, bo spostrzegłszy Olizara przy sobie, trącił go w łokieć i rzekł:

<sup>34</sup> terlica – drewniana część kułbaki, nie obita jeszcze skórą

<sup>35</sup> *Szkoda howoryty!*... (ukr.) – Szkoda mówić! U mnie każdy kozak ma pusty worek pod siodłem.



– Owo to tacy są rycerze niemieccy; w Polsce nie ujrzeć ani jednej chorągwi, coby im mogła służyć choćby za knechtów.

Bardzo to nieroztropnie zrobił Frąc, że właśnie Olizarowi taką rzecz obraźliwą powiedział, bo Olizar nigdy nie mógł cierpieć tego tłustego Niemca, a i bez tego był dosyć porywczy, więc odpowiedział mu szorstko:

– Ot! nie plótlbyś lada czego! Widziałem ja w Piotrkowie daleko piękniejsze chorągwie, a jeszcze do tego rotmistrzują im nie tacy starzy dziadowie, co chyba piece nimi zatykać.

To znowu dotknęło Frąca, jakoż się zarumienił i rzekł:

– W Piotrkowie nie byłem, ale znam wszystkie polskie chorągwie i to powiadam waszmości, że nie masz tu ani jednej takiej, co by choć mogła wodę wozić za Krzyżakami.

Na to zaś Olizar ćwiknął mu w oczy:

– Nie masz żadnej takiej chorągwi? A ja tobie powiadam, że ani ich nie policzysz. A Gniewoszowa, a Myszkowskiego, a Lanckorońskiego, a Tęczyńskich, Tarnowskich, Kmiotów... I cóż ty mi gadasz takie głupstwa niemieckie?

Wszakże flegmatyczny Frąc także już wtedy pot poczuł i zawołał z drwinami:

– Gniewoszowa? Jeśliby Jan Tiefen swymi rycerzami na nią uderzył, to by się tak właśnie po niej przejechał, jak ja bym się przejechał po tobie.

– Ty po mnie? taki synu! – krzyknął na niego Olizar, skoczywszy zaraz ku niemu i chwytając za szablę – dobyj miecza, ty knechcie niemiecki! dobywaj miecza, bo cię tu wypatroszę jak kota!

Frąc cofnął się o pół kroku i chwycił ręką za główkę swojego miecza – i już by byli uderzyli na siebie, ale w tej chwili rzucili się ku nim Kergolaj i Łopatka i rozerwali ich, stając pomiędzy nimi, Kergolaj przed Frącem, a Łopatka przed Olizarem.

– Panie knecht – zaśpiewał Kergolaj Frącowi w twarz – idź wasze na szyldwach i tam pilnuj twego urzędu, a nie porywaj się na rycerzy, do których jeszcze nie dorósł.

Łopatka zaś trzymał Olizara za obydwie ramiona, perswadując mu po rusku, że wprawdzie króla nie masz na zamku, ale zawsze dobyte szablę pod zamkiem królewskim, zwłaszcza w obliczu takich wysokich dygnitarzy duchownych i świeckich, to rzecz niebezpieczna i mogłaby łatwo pobudzić króla do gniewu.

Frąc prędko się opamiętał, zagryzł wargi i poszedł ku bramie Niskiego Zamku, ale Olizar parsknął i fukał, jak gdyby go gad jadłowity ukąsił. Nareszcie uspokoili go z wolna obydwaj przyjaciele, a Łopatka rzekł:

– Ej! wyrypaju! ty jeszcze kiedy będziesz ziemię gryzł za kobiety! Bo to i twoja złość do tego Niemca cię bierze za Pachnę. A tak mi się widzi, że żaden z was jej nie dostanie.

– Za Pachnę albo i nie za Pachnę! – zawołał Olizar, sapiąc mocno i patrząc z boku na Kergolaja – ot! i ten Francuz smali do niej cholewki, a ja mu jej nie zazdroszczę, bo jest zacny kawaler i mój dobry przyjaciel. Ale temu Niemcowi nie dam jej nawet powąchać – a jeśli go kiedy przy niej przydybię, to go na bigos posiekam.

Na to zaś Kergolaj powiedział sentencjonalnie:

– Kiedy się dwóch ludzi nienawidzi ze sobą, co między żołnierzami często się zdarza, to nie ma na to innego sposobu, jak ich spuścić ze sobą. Ale w tym razie nie doradzałbym tej bitwy Olizarowi, bo Frąc, chociaż podobno idzie ze szlachty niemieckiej, przecie jest tylko knechtem, a rycerzowi nie godzi się dobywać miecza na knechta, chyba żeby był napadnięty przez niego.

Kundrat, który tam także stał z bliska i słyszał to wszystko, zrazu już ręce zacierał z radości, bo myślał, że Frąc i Olizar pobiją się ze sobą, przy czym by się było może i Kergolajowi co oberwało: gdyby się jego trzej rywale byli dobrze potłukli, zwłaszcza bez jego przyczyny, to byłoby to nieocenioną gratką dla niego. Choćby się nawet pozabijali! – myślał sobie po cichu, odwracając się trochę na stronę i zatykając ręką swoje usta wiśniowe, aby kto jego myśli nie dosłyszał – tym lepiej, byłoby o tyle mniej tych zawalidrogów na świecie. – Bardzo był

niekontent z Łopatki, że ich rozbroił: po co ten głupi Rusin miesza się w nie swoje rzeczy? – Ale nareszcie musiał się zgodzić z swym losem i nadrobić ironią, mówiąc do siebie:

Śmiać mi się chce z tych zawadiaków, co się chcą bić między sobą o moje własność: niechże się biją – a przecie Pachną będzie moja, jak tylko jeszcze cokolwieczek wyszumi.

A kiedy tak cały zatopiony w samym sobie trzymał się jeszcze ręką za swoje rumiane policzki, nagle uczuł kędyś poniżej pleców but twardy, pewnie rycerski, może nawet okuty żelazem, bo aż mu się świeczki w oczach zapaliły od tego dotknięcia, a zarazem usłyszał głos gromki nad sobą:

– Paszo! won! czego tu drogę ludziom zawałasz!

Kundrat skoczył w bok jak zając po strzale i aż kucznał przy ziemi ze strachu, patrząc okrągłymi oczyma, co by to było. I obaczył, że to był Olizar z Kergolajem, którzy się trzymali pod boki i szli do Bazaru, aby sobie tam podpić trochę na ten frasunek.

Obaczywszy, że sobie poszli i dali mu spokój, Kundrat odetchnął – o Pachnie w tej chwili wcale nie myślał – tylko pomacał się poniżej krzyżów i znalazł, że dziwnie twarde buty mają ci przekłęci rycerze.

– Rycerze! – zawołał do siebie, patrząc z pogardą za nimi – a są właśnie jak konie, co im kowają kopyta.

Ale kiedy już byli daleko, wpadł w złość okrutną, o co nietrudno było u niego, zwłaszcza w chwilach, kiedy nikogo się nie bał, wydobył bykowiec zza pasa, co go nosił przy sobie dla utrzymania dla siebie respektu pomiędzy sklepowymi chłopcami, podniósł go w górę i zawołał za Olizarem:

– Koniu jeden, co ci podkuto kopyta! dam ja tobie nie takie poczęstne, jak kiedy wpadniesz w moje pazury!

Miejska publika, która się tam także zgromadziła gęstymi tłumami, przyjęła te śmiałe słowa ze szmerem zadowolenia, co w Kundracie ducha podniosło i do tego stopnia, że się do niej obrócił i dodał:

– Zaliż to nie wstyd człowiekowi, zwłaszcza kiedy się mieni szlachcicem, dać sobie kować kopyta jak koń, co go z innymi bydlety w stajni chowamy! Ale też i bydleta są ci rycerze i jeszcze my ich kiedy jak bydło wyrzniemy...

Na to publika odpowiedziała mu jeszcze głośniejszym szmerem zadowolenia: zaczem Kundrat był kontent i mógł sobie być odejść spokojnie. Ale na swoje nieszczęście był on niezmiernie ciekawy – a tu właśnie teraz zaczęły się toczyć krzyżackie spize i owe przepyszne niemieckie wozy, wszystkie polerowanym żelazem okute, malowane olejno, woskowanymi płótnami nakryte, jakich u nas nie dostrzec nawet w królewskim obozie. Kundrat więc wcisnął się między publikę i stanął w pierwszym szeregu, aby też wszystko mógł dokładnie obejrzeć.

Kiedy człowiek ostrożny wciśnie się w tłum, bardzo dobrze robi, jeżeli się oglądnie, jacy ludzie stoją około niego, bo w ścisku czasem o jaki zbytek nietrudno. Tak zrobił także i Kundrat. Po jego lewej stał jakiś rzemieślnik, okryty skórzanym fartuchem, nie warto było nawet patrzeć na niego; ale po jego prawej stał knecht krzyżacki, całę niezwykle we Lwowie figura. Krzyżak był pewnie, bo na białawo lśniącym pancerzu miał czarny krzyż bramowany mosiądzem i takiż krzyżyk na hełmie; przy tym zaś był zapewne płatnikiem, bo z prawego ramienia na lewy bok miał przewieszoną torbę skózaną, na której też lewą rękę wciąż trzymał. Kundrat spojrział na niego ciekawie i widział, że jest to chłop duży, o całą głowę większy od niego, chudy, ale haniebnie kościsty; miał tylko półpancerz na piersiach, a zresztą był cały w skórę ubrany, buty miał ciężkie na nogach powyżej kolan i także żelazem okute. Przy torbie miał miecz wielki krzyżacki, zdaje się w srebro okuty, a tuż przy mieczu u pasa różaniec. Kundrat oglądał to wszystko bardzo ciekawie, ale ostrożnie, bo stał tuż przy nim, co mu było niedogodnym, a nawet, prawdę mówiąc, to i nie bardzo mu było przyjemnie stać tak blisko przy tak haniebnie uzbrojonym i tak ogromnym dragonie. Z tego powodu chciał także wie-

dzieć, jak mu też z oczu patrzy, temu krzyżackiemu drabowi, zaczem podniósłszy pomału głowę, zajrzał mu w twarz. A wtedy już się go wcale przestraszył: Krzyżak ten bowiem miał twarz tak chudą, że mu policzki zapadły, skórę na niej brunatnożółtawą, nos jak kułbakę, a do tego ogromne wąsy ryżego koloru, które mu jak szczecina od warg odstawały. Na widok takiej straszliwej twarzy jakoś ekliwo mu się zrobiło, a że mu i w gębie zaczęło zasychać, zaczął więc ślinę przełykać i przestępywać z nogi na nogę, przy czym też wciąż łypał niespokojnymi oczyma na twarz tego Krzyżaka.

Tymczasem Krzyżak, spostrzegłszy jego niespokojne ruchy i ciągle łypanie oczyma, przycisnął torbę lepiej do siebie i już go odtąd z oka nie spuścił. Kundrat, czując na sobie oczy tego diabelskiego człowieka, które go jakby dwa węgle jarzące w głowę paliły, zaczął coraz więcej się kręcić na miejscu: chciałby się być odsunąć od niego, ale ani sposobu, albowiem z tyłu zbity tłum ciśnie go w plecy, a z przodu chodzą starościńscy halabardnicy i parzą każdego kijami, co wystąpi z szeregu. Tak wzięty jakby w kleszcze ogniowe, już tylko wciąż spoglądał spode łba na tego fatalnego Krzyżaka, ażeby mu niespodzianie co złego nie zrobił.

Lecz Krzyżak, nie rozumiejąc wcale, dlaczego ten człowiek się tak kręci na nogach i ciągle w twarz mu zagląda, także się zniecierpliwił, obrócił się raźnie ku niemu, a zajrzawszy mu w oczy, dwa albo trzy razy okrutnie zgrzytnął zębami. Ten zgrzyt już wcale diabelski takim okrutnym strachem przejął Kundrata, że się wzdragnął i obydwie ręce wyciągnął przed siebie: Krzyżak zaś, myśląc zapewne, że on torbę chce zdzierać z niego, niewiele myśląc, rznie go w papę, raz od prawego i zaraz potem na odlew. Na taki traktament Kundratowi ziemia się pod nogami zachwiała i już miał upaść na lewo, gdzie by był właśnie wpadł prawie pod nogi tym przeklętym starościńskim halabardnikom, którzy by mu za wystąpienie z szeregu byli pewnie wsypali z jakich kilkanaście kosturów, ale na jego szczęście Krzyżak rznął go jeszcze raz płaską ręką po czubie, a tak mu nie chcący równowagę przywrócił. Więc Kundrat, jak tylko znowu grunt uchwycił nogami, zaraz przytomność odzyskał – a wtedy, już nie czekając, uderzył w tłum, który mu się też z respektem rozstał, przebił się przezeń jak szydło i niebawem potem znalazł się na chodniku w ulicy, gdzie też sobie trochę odsapnął.

A odsapnąwszy, kontent był z siebie, bo jużci uszedł wielkiego niebezpieczeństwa: taki pogański Krzyżak gotów zabić człowieka, a teraz, czasu wojny, nawet pies by za nim nie szczeknął. Mając zaś to w naturze, że się zapatrywał różowo nawet na przykre wypadki, uśmiechnął się jeszcze i rzekł sam do siebie: – Niechaj tam kto mówi co chce, przecie to w bitwie nie ma jak drapnąć. Coś człowiek oberwie, ale choć duszę wyniesie. Nie tak jak ci głupi żołnierska, co się biją do ostatniego oddechu, że ich potem z placu bitwy niosą prosto na cmentarz...

Jednak idąc sobie powoli chodnikiem, wzruszył jednym ramieniem i drugim i uczył, że mu jakoś niedobrze. W krzyżach czuł ból od Olizarowego kopyta, policzki go piekły jak ogniem, a i w uszach coś mu szumiało, widać, że Krzyżak ciężką miał rękę. Dobrze by się czym wysmarować, ano nie wiedzieć czym, oliwą czy okowitą, czy też jaką driakwią<sup>36</sup>. Najlepiej podobno zrobi, jeżeli pójdzie do medyka, aby go się poradzić. A kiedy tak sobie mówi, patrzy – a tu własne medyk idzie ulicą ku niemu.

Był to medyk miasta, bardzo respektowany w domu Kijasa, człowiek już trochę podeszły, nie bardzo wielki, ale barczysty, z twarzą wielką a ogoloną z mieszczańską, w czarnym akademickim tabardzie i czarnym birecie, w czarnych pończochach i błyszczących trzewikach z wielkimi stalowymi sprzączkami. Nazywał się Arystoteles Dun-der i był Grek z pochodzenia (Dunder, Grek oczywiście, co też zaraz widać z nazwiska), jakoż z Kijasem zawsze rozmawiał po grecku. Był on bardzo rozumny, prawie jakby czarownik, jak tylko spojrzął na chorego, zaraz wiedział, co mu brakuje; ale że dawniej z chorągwiami chodził na wojny, więc też był wesół z żołnierska i nieraz swymi żartami lepiej pomógł choremu niżeli drugi bańkami

---

<sup>36</sup> driakiew (gr.) – maści

albo jaką driakwią. Kundraćta znał jak zły szeląg, jakoż skoro go spostrzegł, sam się do niego uśmiechnął, a Kundraćta na to:

– *Magnificus*<sup>37</sup> jak z nieba mi spadasz, bo właśnie chciałem sam iść do jegomości. Coś w sobie mnie boli, chciałbym się czym wysmarować.

Więc medyk spojrział na niego uważnie i rzekł:

– Czy jeno waści znowu kto boków nie wysmarował kosturem albo i pięścią, bo jakoś policzki masz mocno czerwone.

A Kundraćta na to trochę skonfundowany:

– Poszedłem przypatrzeć się Krzyżakom, więc w tłumie zawsze człowiekowi boki obsz-turkają cokolwiek.

– A! więc to stamtąd powracasz? Maszże gorączkę?

– Jużci trochę sucho mi w gębie.

– Pokaż no język.

Kundraćta pokazał język.

– Wyciągnij cały język – zawołał medyk – bo inaczej nic nie obaczę.

Kundraćta wyciągnął język aż poniżej podbródka.

– Zamknij oczy – zawołał medyk.

Kundraćta zamknął oczy.

Zamknął oczy i stoi. Ale stoi tak jedno *Ave*, ba, już się i drugie zaczyna, a medyk nic nie powiada. Przecież nie może tak stać przez dziesięć pacierzy.

Otworzył pół oka ostrożnie: ale jakże się zdziwił! Po medyku już i miejsce zastygło – a natomiast kilkunastu chłopców ulicznych, jako to tego licha zawsze pełno jest wszędzie, gdzie są zbiegowiska, otoczyło go półkolem, wszyscy powywalali języki, patrzą na niego i stoją.

– Ach! szelmy! – zawołał Kundraćta – to jeszcze i wy będziecie mi się wydrzeźniać!

Takie zuchwalstwo ulicznych hultajów głęboko go oburzyło, jakoż natychmiast jowiszowym zapłonął gniewem, wydobył bykowiec zza pasa i puścił się w pogoń za hultajami. Chłopcy ci, chociaż jeden niósł dzbanek, drugi konewkę, a trzeci parę butów miał w rękę, lżejsi byli od niego, więc mu się porozbiegali i mało który co od niego oberwał, ale jeden z nich trochę sporszy, a przeto i zuchwalszy od drugich, jakoś nie bardzo uciekał, tego więc Kundraćta przycupił. Chłopak ten na swoje nieszczęście miał bardzo gęstą i kudłatą czuprynę, Kundraćta więc wraził mu lewą rękę w czuprynę, ścisnął co siły mu stało, a prawą swoim bykowcem okrutnie mu skórę wyłoił. Zaczem, chociaż był zasapany, głowę podniósł do góry i już zdrów wtedy jak ryba krokiem tryumfującym poszedł sobie do domu.

Olizar dał mu butem żelaznym takie poczęstne, że mu świeczki w oczach się zaiskrzyły, Krzyżak go zmłócił tak po łbie, że mu się na chwilę ziemia spod nóg usunęła, ale na koniec przecie odszedł z tryumfem, bo znalazł takiego, na którym odbił to wszystko w dwójnasób. Bo to tak jest między ludźmi: każdy ma kogoś nad sobą, co go z góry w łeb wali, trudno mu się obronić od niego, bo jest mocniejszy, ale za to szuka sobie słabszego, którego on znów sobą przygniecie – a wtedy już wszystko dobrze, bo tym sposobem utrzymuje się równowaga socjalna. I na takiej to równowadze, niestety! cały świat stoi – i na niej podobno stać będzie na wieki.

Stanisław Kmita stawił się także bardzo w czas do obozu. I stawił się bardzo pokaźnie, buńczuczno i huczno, tak że na widok jego chorągwi tylko jeden głos poszedł po całym obozie: „Poznać pana po cholewach”. Sam jego dwór bowiem wynosił sto pancerników na koniach wybornych: miewał on zawsze na swoim zamku sowitą garść doświadczonych żołnierzy, w jego arsenałach było zbroi i broni dostatkim, a szlachty, służącej chętnie na cudzym żołdzie, w ziemi sanockiej nie brakło. Jego dworska chorągiew była zatem dobrze okrytą, a

---

<sup>37</sup> *Magnificus* (łac.) – Dostojny, czcigodny

dodawala jej jeszcze niemało wspanialosci spora garsteczka paniat, ktorzy u niego terminowali, a miedzy ktorymi znajdowal sie takze jego syn starszy, Stanislaw, umyslennie przez matke na te wyprawe sprowadzony z Sabaudii, wtedy dopiero dwudziestodwuletni, lecz bardzo piekny, a w sprawach rycerskich juz nawet cokolwiek slawny mlodzienc.

Ale nie na tym koniec, albowiem za jego dworem przyciagnelo pospolite ruszenie ziemi przemyskiej, jedno z najswietniejszych pod wzgledem koni i zbroi, bo szlachta tamtejsza byla juz wtedy niepomalu bogata (bogacily ja przede wszystkim jej pszenne ziemie i splawy do Gdanska), a byli pomiedzy nia nawet ksiazeta ruscy, jako Hurkonowier Holszanscy i inni. Za tym rycerstwem konnym ciagneli pospolitacy piesi, lucznicy i kopijnicy, ktorzych kmiecie i szlachta, posiadajaca wlosci nadaniem lennym, musiala dostarczyc, za nimi wozy czterokonne od miast i miasteczek, co spiże wiozly za wojskiem, a wreszcie inne z namiotami, pakunkami i wiktualami.

W sześciokonnej pozłocistej karecie, otoczonej konną młodzieżą dworską, przyciągnęła nareszcie kasztelanowa, którą miała partykularne powody towarzyszyć mężowi w tej wyprawie.

Kmita stanął z całym swym dworem i z pospolitym ruszeniem w Zboiskach, ktorzych właścicielką naowczas była jakaś *comitissa*<sup>38</sup> Anna, nikomu zresztą nie znana, ale znali ją pewnie Kmitowie. Stało tam wtedy na środku dosyć długiego wzgórza stare obszerne dworzysko, które razem z licznymi budynkami było okopane i jakokolwiek obronne. Tam Kmita się usadowił z swym dworem, pospolite ruszenie rozłożyło się obozem pod namiotami wzdłuż grzbietu wzgórza po obydwóch stronach dworzyska. Z najwyższego szczytu dachów tej szlacheckiej fortecy powiewał ogromny sztandar ziemi przemyskiej, przedstawiający białego orła dwugłowego o jednej koronie, w polu błękitnym. Tak ta kasztelańska kwatery, panująca nad znaczną częścią obozu i miasta, przedstawiała się bardzo wspaniale, nawet zanadto wspaniale, na co też niektóre województwa sarkaly, jakoby to było *contra aequalitatem*<sup>39</sup>.

Jednakże Kmita, wyborny znawca serc ludzkich, prędko te sarkania przygłuszył, albowiem przyprowadził ze sobą kuchnię i piwnicę i dawal codziennie obiady, przy ktorzych po sto osób siadalo, wieczorami wyprawial muzyki i tańce przystojne, na które bawiacze w obozie szlachcianki zapraszal, od czasu do czasu i malych podarunkow nie szczedzil – a tak pomalu nie tylko sarkania ucichly, ale jeszcze go pokochano i wkrótce powszechnie chwalono, podajac sobie od namiotu do namiotu te slowa: „Nie ma co mówić, co Kmita to Kmita”. Kasztelan tedy bardzo kontent byl z siebie, bo poczul się w sobie i widzial, że inni go takze czuja, zaczem nabral takiej pewności siebie, że gdyby mu kto byl drogę zastapil, to gotow by mu w nos dmuchnac, chocby to byl wojewoda, a chocby tez i sam król jegomosc. Juz nawet zaczal zalowac, że dla tych glupich dwóch chlopów dziesiec lat na wsi przekwasil, podczas w razie gdyby byl jezdzil na sejmy i na wyprawy jak inni, bylby się przeciez zabawil, jeszcze bardziej rozjasnil splendor swojego imienia i pewnie dawno juz by byl wojewoda.

Ale kasztelanowa nie byla tak bardzo zadowolona. Przyjechala ona z swym mezem nie dlatego, dlaczego inne zony do obozu zjechaly, przez ciekawosc i dla niezwyklej rozrywki, ale z tej waznej racji, iż się obawiala, azali jej maz, od pewnego czasu ospaly i obojetny na wszystko, wszystkich swych obowiazkow dopełni. Ona to sama wyrwala niejako królowi z rak dla niego bulawe nad ziemia przemyska: umarlaby byla ze wstydu, gdyby król mógł powiedziec, że mial racja, bo Kmita niezdolen pospolitemu ruszeniu hetmanic. Owo z tej strony się wprawdzie calkiem uspokoila, bo jej maz stanal twardo na straży swojego osobistego znaczenia i rodu – a o tym, że tak samo stac bedzie w ogniu, nie watpila ani na chwile, bo przeciez krew rycerska jak najprzedniejsza w jego zyłach plynela, za mlodu we wszystkich bitwach odznaczal się ślepą odwaga, zwlaszcza kiedy się zgniewal, taka krew nigdy się nie starzeje, a zresztą – jeszcze żaden Kmita nie stchorzył. Zaczem z tej strony nie miala żadnej

<sup>38</sup> *comitissa* (łac.) – tu: hrabina

<sup>39</sup> *contra aequalitatem* (łac.) – przeciw równości

obawy: jej mąż na tej wyprawie nową się sławą okryje i swemu synowi wspaniałym zaświeci przykładem.

Ale z innego powodu dotknęło ją bardzo głębokie zmartwienie. Oto skutkiem obecności tak wielu kobiet, być może także skutkiem bliskości tak wesołego miasta, jakim Lwów był natenczas, haniebna swawola się rozszalała po całym obozie. Kasztelanowa nie mogła tego dostrzec od razu, ale pobywwszy tylko tydzień w Zboiskach, ku wielkiemu swemu zgorszeniu dowiedziała się jak najdokładniej o wszystkim. Dostyc jej było zresztą rozpytać się o najbliższych znajomych, ażeby powziąć wcale nieomylnie wyobrażenie o tej niesłychanej rozpuście. Do takich najbliższych jej znajomych należał przede wszystkim Kergolaj.

Owóz Kergolaj stał z Tigranese i Olizarem na Zamarstynowie, gdzie Tigranes zajął bardzo obszerne Sommersteinów domostwo – a będąc bardzo bogatym i próżnym cokolwiek, rozgospodarował się tam prawie jak mały Kmita. Sprowadził kuchnię ojcowską, nie żałował piwnicy i wydawał obiady, do których także po sto osób siadało – a bodaj czy jego kuchnia, a zwłaszcza piwnica nie była lepsza niżeli kmitowska. W każdym zaś razie muzyka u niego była szumniejsza, bo jego kapelę nastroił i złożył taki wyborny znawca tych rzeczy, jak ksiądz Wara. „Xandz byali” nie mijał nigdy domu, gdzie się kurzyło z komina, jakże by nie miał być w takim obozie, gdzie cała Polska się zgromadziła? Do Kmity nie poszedł, bo się bał, aby go tam nie spytano o tego konia, co go sobie na Sobniu na dni kilka pożyczył, a potem sprzedał we Lwowie razem z kulbaką. Do innej wysokiej szlachty także się nie pchał, bo to wszystko są ludzie równie niewdzięczni, jak Kmita: noszą człowieka na rękach, kiedy im trzeba oczyszczać się z grzechów śmiertelnych, a potem mu nawet mizernego probostwa nie dadzą. Ale się przyczepił do Tigranesa, bo to pan zacny i hojny i jeszcze nie zepsuty jak inni. Tigranesowi Wara był także na rękę, bo mu to pochlebiali mieć kapelana przy swojej chorągwi, którego inni nie mieli – a zresztą był to człek sprawny i bardzo usłużny, wcale niepospolitą mu złożył kapelę, umiał zarządzić kuchnię i stołem jak najlepszy marszałek, dyrygował tańcami i w razie potrzeby nawet sam rewerendę zakasał, smutnego pocieszył, chorego wyleczył, a jeśli kto miał jaki grzech na sumieniu, to go i wypowiadał, a nawet i bardzo lekką się kontentował pokutą. Za przyczyną Wary dwór Tigranesa przybrał postać nieledwie pańską, zachodziło do niego bardzo wielu rycerzy, często nawet on jaki kasztelan zawadził, z czego Tigranes mocno był kontent, bo będąc już za pan brat z Kergolajem i Olizarem, mając nawet takiego karmazyna, jak Pretfcicz, pod swoją komendą, pobratał się teraz prawie z całym rycerstwem.

Formoza odwiedzała swojego męża prawie codziennie, lecz nie chcąc przejeżdżać sama przez obóz, a nie mogąc mieć co dzień do swej dyspozycji swojego teścia, który zresztą swych sklepów nie chciał opuszczać ani na chwilę, boć to były wielkie żniwa dla kupców, przywoziła Pachnę ze sobą – a Pachna rada zawsze się bawić, a zresztą wiedząc, że jej nieprędko się zdarzy jeszcze raz hulać na takim weselu, stała się duszą biesiad u Tigranesa i ledwie że cały dom nie przewróciła do góry nogami.

Gdzie wesoło, tam ludzie radzi się garna: tak też widząc w tym domu osoby takie bogate i słuszne, jak Formoza i Pachna, niejednen szlachcic przyproceedził swą żonę, a zarazem i niejedna mieszcanka lwowska przyczepiła się do Pachny lub do Formozy i przyjechała na Zamarstynów, aby się trochę pobawić. Widząc to ten i ów żołnierz pancerny, że aby być u Tigranesa przyjętym, nie potrzeba legitymować się ani z herbu, ani też z interczy<sup>40</sup>, przyproceedził jaką Szlachciankę albo mieszcankę cokolwiek niższego stanu, aż wreszcie tak się tam pomieszały godności, urzędy i stany, jak to kiedyś będzie w dzień sądny, jak zawsze bywa po bitwie, gdzie wojewodzina, pielęgnująca swojego rannego męża, brata się z chłopką, obwiązującą rozbitą głowę swojego ciury, jak zresztą bywa pomiędzy żonami żołnierzy przed wojną, o której wiedzą, że na niej Turek tą samą szablą rozplata łeb wojewodzie, którą dopiero co

---

<sup>40</sup> interczyza (łac.) – umowa przedślubna ustalająca stosunki majątkowe między małżonkami

rozpruł brzuch jego knechtowi. Tylko w szczęściu ludzie się dzielą na stany i z góry spoglądają na siebie; w nieszczęściu, a nawet już w obawie nieszczęścia, przyznają się bez oporu do zupełnej równości.

Pomiędzy płcią piękną, zbierającą się u Tigranesa na te biesiady, uważano młodą przedmieszczankę, która się odznaczała nad wszystkie inne swoją skromnością i nadzwyczajnym blaskiem urody. Była to kobieta, mająca dwadzieścia dwa albo trzy lata wieku, pięknego wzrostu, włosów kruczych, bardzo sympatycznego połysku, o twarzy rysów przepyszenie pięknych, o cerze porcelanowej, chociaż cokolwiek smagławej, i dużych czarnych oczach, z niezmiernie długimi rzęsami a pełnych niewysłowionej słodyczy. Miała formy może cokolwiek zanadto okrągłe i pełne, ale było jej z nimi całkiem do twarzy, zwłaszcza że nosiła czerwono-kwiecistą jedwabną chustkę na głowie, bardzo wdzięcznie w kształcie turbanu związaną, kilka rzędów w złoto oprawnych koralu na szyi bielszej od najpiękniejszych marmurów, inderaki i spódnice zawsze nadzwyczaj kształtnie skrojone i piękne czerwone buciki na nogach. Z tą prześliczną urodą i pewną naturalną powagą w każdym ruchu i każdym słowie mogła być księżną albo wojewodzina i najwykwintniejsze towarzystwo ozdobić, ale po jej ubiorze widać było na pierwszy rzut oka, że jest przedmieszczanką, a po jej skromności, że nawet niczym więcej być nie chce. Jakoż skromną była nadzwyczaj: kiedy ją prawie gwałtem przyprowadzano do obiadu, to siadała zawsze na końcu stołu, tańcować nigdy nie chciała, a kiedy inni tańczyli, ona siadała w kąci i przypatrywała się tańcom z lubością; kiedy zaś Olizar był w komnacie, to oczu nie odwróciła od niego, a wpatrywała się weń jak w obraz, z tym uczuciem szczerzej a cieplej miłości w swych pięknych oczach, nad którym jednak panuje cześć i uwielbienie. W rozmowie skąpiła słów jakby z obawy, żeby nie powiedziała jakiej niedorzeczności, mówiła jednak zawsze z uśmiechem na twarzy i zawsze takim tonem, jak gdyby przeproszała, że niegodna się w takim towarzystwie znajduje, kiedy zaś czasem Formoza do niej przemówiła, to ją całowała w rękę i kłaniała się jej do kolan, co jednych bawiło, drugich zaś ujmowało.

Z tą kobietą wszyscy chętnie mówili, chociaż mało kto wiedział, z kim mówi. Ale byli tacy, co wiedzieli, że była to ta sama Fesia, dla której swojego czasu niemiecki rycerz Kunę Ajchinger, mąż Pachny, złamał sobie krzyż pacierzowy pod brogiem. Dla uratowania swej dobrej sławy zaraz potem poszła za mąż za tego samego kowalczuka Petrusia, i co tak nielitościwie Kuncowi wjechał pomiędzy ślepie żelaznymi widłami.

Ale Petrus był wielki ladaco: zamiast pilnować tak pięknej żony, chodził po szynkach, pił i bójki wyprawiał, aż też i on trafił na swego: pobiwszy się bowiem z Tatarami w gospodzie, został od nich usieczon.

Fesia tak mało go żałowała, jak Pachna swojego Kunca, ale przyzwoiciej odprawiła żalobę, bo żyła spokojnie, a nawet i w pracy, zwłaszcza że i tkackie warsztaty odziedziczyła po ojcu, i kowalskie po mężu, ba, i folwark ojcowski, co wszystko razem stanowiło bardzo piękny majątek. Jakoż przez długi czas nigdzie jej nie widywano, chyba że czasem Olizar z nią żarty wyprawiał w Bazarze; dopiero teraz się tutaj zjawiała, nie wiedzieć kogo tu odwiedzała, ale ci, co plotki lubili, zazdrościli jej Olizarowi. Łopatka nawet, kiedy był w dobrym humorze, otwarcie go nią prześladował, a wtedy mawiał:

– Ot! dałbyś pokój tej dymce<sup>41</sup>. Ona nieszczęście wodzi za sobą: Kunc dla niej kark skreślił, a jej męża posiekali Tatarzy, jeszcze i ciebie do nieboszczyków Olizarów wyprawi...

Olizar, trochę przesądny jak wszyscy Rusini, nie lubiał takich wróżb i odpowiadał:

– Na psa uroki, nie mów tak, abyś nie powiedział w złą godzinę – ale zaraz mu dodawał do ucha – a potem, *znajesz, raz maty rodyla...*

Z czego Łopatka wnosił, że Olizar, choć wicher w polu, przecie się do niej przywiązał.

---

<sup>41</sup> dymka (tur.) – długa spódnica; przen.: kobieta, spódniczka

Tak samo rozumiano także o Kergolaju i Pachnie, jednakże uważano, że Pachna nie z takim głębokim a szczerym uwielbieniem patrzy na niego, jak Fesia na Olizara. Jakoż istotnie Pachna zbyt często rzucała okiem na Niski Zamek, azali sztandar z białym orłem w czerwonym polu nie powiewa z jego dachów, co by było znakiem, że król już przyjechał. Sztandaru jeszcze dostrzec nie mogła, trzymała się więc Kergolaja – a wiedząc dobrze, że to także wicher w polu, tak surowo a pilnie go strzegła, że kiedy Francuz, zapewne tańcami zmęczony, czasem się wymknął z gościnnej komnaty, to i ona zniknęła, a wtedy, choćby już północ biła na miejskim zegarze, ani ze świecą byłby jej nikt nie odszukał.

Takie to stosunki i stosunekczki się pozawiazywały w obozie. Formoza, jak każda zacna kobieta, patrzyła na nie z pobłażaniem, lecz w gruncie serca przecież to czuła, że nie powinna znajdować się w takim towarzystwie. Ale nie mogła na to poradzić, bo swemu mężowi nie miała nic do zarzucenia, a zarazem nie godziło się jej go nie odwiedzać, jak skoro to czyniły wszystkie inne kobiety. Chciała się kogo poradzić, ale nie znalazła nikogo, który by obudził w niej zaufanie, bo wszyscy się radzi bawili; próbowała zbyteczną swawolę naganiać, ale jeszcze sobie z niej żartowano; pozostało jej chyba tylko się przed kim poskarżyć, ale i takiego, który by ją zrozumiał i jej skargi wysłuchał, znalazła tylko jednego – a tym jednym był Lubek.

Lubek, przywiązawszy się do Tigranesa i widząc, że w tym kawalerze przymioty rycerskie nie dotrzymują kroku pięknym zaletom jego umysłu i serca, przyjął w jego chorągwi miejsce porucznika, ale przyjął je dlatego, ażeby służbą w polu nauczyć się praktyk wojennych, a wcale nie na to, ażeby ciało i duszę brukać w obozowej swawoli. Toż nie brał on nigdy udziału ani w pijatyce, ani w tańcach, ani też w innych hałaśliwych rozrywkach, natomiast zaś po parę godzin codziennie musztrował Tigranesową chorągiew, chował się w swojej izdebce i grał sobie cichutkie piosenki na mandolinie, a kiedy już musiał być obecnym w gościnnych komnatkach, to siadał w odległym kąci i patrzył na te dzikie, chociaż rycerskie, pląsy zamyślonymi oczyma i z właściwą jego wznioślejszej duszy dla takiej bezmyślnej swawoli pogardą. Pokrewne serca prędko się z sobą znalazły: Formoza się zaraz w pierwszych dniach sama zbliżyła do niego, im bliżej go poznawała, tym żywszą dla niego budziła w sobie sympatią, często po całych godzinach z nim rozmawiała – a kiedy wieczorem sama wracała do domu, to zawsze Pretficz ją odprowadzał. Czynił on to zawsze z wielką ochotą, bo najprzód, bardzo mu miłą była rozmowa z cioteczną siostrą tej, której wszystkie swoje uczucia i myśli poświęcił – a potem, powracał zawsze stępą do obozu i mógł spokojnie marzyć o Jagience, bez obawy, że obozowe hałasy przerwą mu jego marzenia.

Co się działo na Zamarstynowie, to samo i tak samo się działo po całym obozie, nawet im dalej, tym gorzej, o Srokach i Łaskkach opowiadano już rzeczy ledwie do uwierzenia – a taka sama swawola rozlała się także po całym mieście. Wszystkie te wiadomości doszły prędko do uszu kasztelanowej i nadzwyczajnie ją zaniepokoiły. Jako równie zacna kobieta była ona także pełną pobłażliwości, ale bywają zgorszenia, na które nikt obojętnie patrzeć nie może, a nawet i nie powinien, jeżeli mu jest miłą cześć społeczeństwa, do którego należy, i jeżeli kocha swój naród, którego istoty moralnej i podstaw duchowych powinien bronić wszelkimi siłami, bo na nich jego przyszłość spoczywa. Kasztelanowa była głęboko przekonaną, i słusznie, że naród, który kazi swe obyczaje, otwiera sobie drogę do niechybnego upadku i zguby – i już to samo było dla niej aż nadto dostatecznym powodem, ażeby się z odpowiednią tak ważnemu celowi energią o poskromienie tej swawoli postarać. Wszelako jeszcze szczególnym bodźcem do tego była dla niej ta okoliczność, że w tym rozpustnym obozie znajdował się i musiał na to wszystko patrzeć jej syn Stanisław, młodzieniaszek niewinny jak panna, rzadkich przymiotów umysłu i serca (których też później świetne złożył dowody) i rokujący najpiękniejsze nadzieje. Ale skąd wziąć odpowiednią powagę, gdzie znaleźć skuteczne wpływy na obóz, złożony ze stu tysięcy ludzi i porwany od końca do końca szaleństwem nieokiełznanej swawoli?



Król bawił jeszcze wtedy w Przemyślu i wcale się nie pokazywał we Lwowie. Piotr Kmita, starszy brat jej męża, pan na Wiśniczu, marszałek wielki koronny, mąż wielkiej powagi, wcale nie pociągnął na tę wyprawę. Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski, najpoważniejszy z senatorów duchownych, pojechał był właśnie w poselstwie do wołoskiego wojewody Stefana Kamienieckiego, który choć jeszcze młody, był bardzo respektowany przez szlachtę, bawił ciągle przy królu. Kasztelanowa udawała się z tym do biskupów; ale biskupi, nie czując po sobie protekcji króla, bo też i rzeczywiście duchowieństwu nie bardzo sprzyjał, zresztą nie wiedząc wcale, co on o takiej swawoli rozumie, nie chcieli na własną rękę z żołnierstwem zadzierać, zaczęli tylko wtórowali po cichu jej skargom na tę nowożytną Sodomę i Gomorę i tylko nabożeństwa odprawiali po kościołach, ażeby Bóg tę plagę odwrócił. W tym położeniu pozostał jej jeszcze tylko oboźny wielki koronny, jako jedyny senator mający *autoritatem* w obozie.

Oboźnym na tę wyprawę był Jan Fredro, do niedawna jeszcze wojewoda ruski, który wszakże dla podeszłego wieku, a może raczej z rodzinnych powodów, tego województwa Tęczyńskiemu odstąpił i od lat kilku dobrze zasłużonego wczasu zażywał w Niżniowie. Jednakże kiedy się taka wielka wojna zakurzyła na Turka, w której mieli wziąć udział Litwini, Krzyżacy, Węgrzy, Czechowie, Niemcy, a nawet i doża wenecki, nie mógł usiedzieć w domu i sam ofiarował swe służby królowi – a to tym jeszcze skwapliwiej, ile że lubo opływał w wszelkiej czci i dostatkach na zamku niżniowskim, bezustannie skarżył się Bogu i ludziom, że mu nie było dano zginąć śmiercią rycerską w otwartym polu i przyjdzie mu jeszcze umierać jak starej babie w pierzynach.

Jan Fredro bowiem był jednym z najznamienitszych a wcale niespracowanym rycerzem swojego czasu. Gdzie jakie bitwy były za jego życia w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii, we Francji, jeżeli tylko podówczas spokój był w Polsce, wszędzie widziano jego hełm z białymi i błękitnymi piórami górujący nad wszystkie inne, a jego pancerz ze srebrnym jedno-rozcem na piersiach znano w tych wszystkich krajach tak dobrze, jak orła dartego niemieckiego cesarza albo lilie andegaweńskie. A ile razy wdarł się najpierwszy na mury forteczne, ile wstążek i serc niewieścich zdobył po rozmaitych turniejach, ilu zuchwałych rycerzy, hersztów zbójceckich, straszliwych smoków, upiorów i samych diabłów w bitwach ręcznych położył, o tym pomiędzy Angielczykami nieskończone krążyły powieści, a nawet i pieśni śpiewano. Ile zaś razy bito się w Polsce, od lat pięćdziesięciu, Fredro stawał zawsze w pierwszych szeregach, a ostatni konia zawracał do domu, rzucając zawsze żalonym okiem na pole bitwy, że się już wojna skończyła. O sprawy dyplomatyczne niewiele się troszczył, polityką wcale się nie zajmował, do żadnych stronnictw nigdy nie należał: zawsze mu tylko o to chodziło, ażeby się serdecznie wygrzmocił, najprzód za honor Matki Najświętszej, do której szczególne miał nabożeństwo, a potem za zdrowie królewskie, niewiele pytając o to, jak się ten król nazywa.

Fredro miał wówczas już lat siedmdziesiąt, duży był wzrostem, niezmiernie chudy, ale mocno kościsty, niby zawiędły i zasuszony, nos miał wydatny, oczy siwe, krzaczystymi brwiami nakryte, włos biały, krótko strzyżony, i brodę białą, spadającą na piersi. Znał się na wojnie i na wszelkim rycerskim rzemiośle jak nikt koło niego, dla swoich ludzi był dobry i hojny, ale zarazem niesłuchanie surowy, dawał im jeść i pić po same szyję i na swawolę partrzał przez palce, ale kiedy karał, to nielitościwie, a zawsze miał przy tym oczy śmiejące. Żołnierze go czcili jak Boga, chociaż go się bali jak ognia, bo każdy wiedział, że jak Fredro wyda wyrok na kogo, to chybaby ziemia się zapadła pod jego nogami, aby go nie wykonał: każe ściąć albo powiesić, albo i poćwiertować, niechby to nawet był jaki kasztelan lub wojewoda, jeszcze się przy tym naśmieję.

Objąwszy urząd oboźnego, chociaż ten obóz nie był okopany, kazał u wstępu wielką bramę wystawić, a przy niej dwie szubienice, na znak swojej jurysdykcji, miał też owoczesnym zwyczajem księdza i kata pod ręką: ale dotąd jeszcze nikogo nie kazał powiesić – a na szu-

bienicach wieszano tylko rzeczy znalezione w obozie, do których jeszcze nikt się nie przyznał.

Sam mieszkał w namiocie przy samej bramie (choć domków w sąsiedztwie nie brakło), nad którym powiewała chorągiew z orłem białym królewskim w czerwonym polu z jednej strony, a z drugiej z białym jednorożcem w polu błękitnym, pod chorągwią zaś były na krzyż przybite dwa nagie miecze, pomiędzy nimi u góry hełm ze spuszczoną przyłbicą, a u dołu pancerz żelazny także z Bończą na piersiach. Przed namiotem stało we dnie i w nocy dwóch knechtów z halabardami na warcie, siadywało tam także na ławach i krzesłach polowych mnóstwo urzędników wojskowych i innych rycerzy, co przychodzili z raportami lub ze skargami, za namiotem zaś stało również we dnie i w nocy dwunastu żołnierzy przy koniach osiodłanych, na posyłki i na wypadek alarmu.

Oboźny dużo gości przyjmował u siebie, bo miał kuchnię i piwnicę ze sobą, a jako stary kawaler, nie potrzebował się oszczędzać; najpierwsi dygnitarze bywali u niego, bywał także Olizar, bo Fredro, rodząc się z jego babki Kierdejowiczówny, był jemu jakoby wujem. Codziennie sam jakąś część obozu objeżdżał i wszystko z bliska oglądał, ale nikomu żadnego wstrętu nie czynił. Kiedy czasem spostrzegł żołnierzy bijących się z sobą, to im się przypatrywał ciekawie, bo bitwę lubiał niezmiernie, a kiedy spotkał jaką młodą kobietę, to zawsze się do niej uśmiechnął, a często i zwitał ją takim żartem, że i trudno by go powtórzyć. Wszelako i sam starszyznę odwiedzał po jej namiotach i dworkach, gdzie go też chętnie widywano, bo był jak słońce, co chmury rozpędza i rozwesela serce człowieka. Bywał także czasem u Kmitów.

Taką tedy sposobność uchwyciła kasztelanowa i jednego dnia przedłożyła mu wszystkie swe skargi na obozową swawolę. Fredro ją wysłuchał cierpliwie, ale z ciągłym uśmiechem na twarzy, a kiedy skończyła, rzekł do niej:

– Bardzo to ciężkie *gravamina*<sup>42</sup>. Cóż tedy zrobimy z tymi hultajami? to chyba każę ich wszystkich pościnać.

Kasztelanowa widząc, że oboźny nie tylko nie podziela jej oburzenia, ale jeszcze sobie żartuje, zabrała znowu głos i przedstawiła mu bardzo wymownie, że tu nie chodzi wcale o karanie żołnierzy, tylko o poskromienie swawoli.

– Nie chcecie ich karać – rzekł na to Fredro – a przecie żądacie kary. Bo jeżeli ja żołnierzowi zakażę rozrywki, której on pragnie, a która mu się Bogiem a prawdą należy, to właśnie jak gdybym go zamknął do ciupy... a ciupa to kara.

– Rozrywki! – zawołała kasztelanowa – ależ to przecież nie można nazwać rozrywką, gdzie obce kobiety po całych nocach hulają w obozie, a niektóre z nich dopiero nazajutrz rano wracają do domu.

– Obce? – zapytał Fredro – a jeśli to swoje?

Kasztelanowa zacisnęła ręce przed sobą i przeszła się po komnacie, bo już nie wiedziała, co na to powiedzieć. Zaczem oboźny uśmiechnął się znowu i rzekł:

– Pomówmyż o tym rozumnie. Jejmość, jak widzę, po raz pierwszy w swym życiu jesteś w obozie. Gdyby nie to, to byś już dawno wiedziała, że obóz to nie klasztor, chociaż i po klasztorach, jako to wiem z doświadczenia, nie wszystkie rozrywki według katechizmu się odprawiają. A cóż dopiero żołnierz? A wiesz waszmość pani, co to jest żołnierz? Żołnierz, to człowiek na śmierć skazany. Dzisiaj jest zdrow i wesół, a jutro go krucy dziobią na pobojuwisku. Owoż u nas jest taki zwyczaj, że nawet złoczyńcy na śmierć skazanemu, jeżeli nie był gorącym sądem sądzony, dajemy trzy dni przed śmiercią, aby sobie pohulał. Mielizbyśmy tego żołnierzowi zabronić, co nie jest złoczyńcą, a karku nastawia za ojczyznę i króla? Ale taka to jest nielitościwość u kobiet. Żołnierz ma najprzód służyć płci pięknej – a wtedy służyć twardo a wiernie i daj za nią swe zdrowie, bo inaczej cię wypchnie i weźmie innego, zaś za ojczyznę i

---

<sup>42</sup> *gravamina* (łac.) – skargi, zarzuty

króla daj życie, a nie śmiesz się nawet poweselić przed śmiercią. Powiedzże mi jejmość sama na twoje sumienie, czy chciałabyś być żołnierzem za takim kontraktem?

Kasztelanowa się coraz więcej niecierpliwiła, aż zawołała nareszcie:

– Ale mój syn! mój syn, co musi patrzeć na takie zgorszenie!

– Słuchajże, moja troskliwa mateczko – rzekł na to Fredro – powiem ci coś, co cię może od zawodu ochroni. Jeżeli twój syn ma być takim żołnierzem, co wciąż mówi pacierze, a oczy odwraca od takiego namiotu, spod którego trzewik wygląda, to daj go lepiej Panu Bogu na służbę, bo na wojnie niczego się nie dosłuży.

– Nie miałam o tym wyobrażenia – zawołała na to rozdrażniona kasztelanowa – że między wami takie są obyczaje! To niech tam... to niech tam już starsi robią sobie, co chcą, ale niechże przynajmniej nie dopuszczają się takiej rozpusty, z której takie gorszące rodzą się skutki.

– Więc dobrze – rzecze oboźny – więc ja się z twoim mężem poradzę, a potem takie postanowimy prawo, że każdy żołnierz, co spleta coś takiego, z czego się jaki skutek urodzi, będzie ćwiertowany. Ale to będzie można wiedzieć dopiero za dziewięć miesięcy...

Na ten żołnierski żart kasztelanowa już wcale gniewem spłonęła i zawołała:

– Jaki pan, taki kram! Pod tym królem podobnoście wszyscy jednacy...

Szcześnie, że na to inne nadeszły osoby – a tak się ta rozmowa przerwała.

Tej nocy, rozmyślając nad tą rozmową, kasztelanowa jeszcze sobie robiła wyrzuty, że z Fredrem o tym gadała. – Nigdy sobie tego nie daruję – mówiła do siebie – zem na taką niedorzeczną myśl wpadła, ażeby od niego wymagać poskromienia żołnierskiej swawoli. Jak gdybym też nie wiedziała, z kim mam do czynienia! Przecie cały świat wie o tym, że pięćdziesiąt pojedynków odbył w swym życiu, a wszystkie za kobiety. Przecie to on odpowiedział starej królowej, kiedy go zapytała, czemu dotąd się nie ożenił, że pięćdziesiąt razy już szedł do ślubu, ale nigdy nie mógł dojść do ołtarza, bo zawsze się wpół drogi zaplątał w jakąś spódnicę i upadł. Piękny to będzie oboźny! Obaczmy, jaką to walecznością się wsławią ci jego żołnierze, co także wpół drogi się tak poplątali w spódnice...

Tak sobie myślała kasztelanowa wśród nocy bezsennej, ale mimo to nie porzuciła swojego zamiaru. Była w tej chrześcijańskiej matronie rzymska wytrwałość w zasadach i przedsięwzięciach. Po dokładniejszym rozmyśle zdawało jej się nawet, że Fredro, człowiek rozumny i zacny, w gruncie serca nie może pochylać tej obozowej rozpusty. Jeżeli jej nie poskramia surowo, to musi mieć do tego jakieś inne powody, może nawet instrukcje od króla, o którym ciągle chodziły wieści, że wszelkimi środkami pracuje nad zdemoralizowaniem szlachty, aby ją mógł tym łatwiej okiełznać. Fredro może by zresztą coś zrobił, gdyby z innej strony nacisk na niego wywarto, ale stary żołnierz uważałby to za słabość, gdyby usłuchał rady kobiety... Idąc tym torem myśli, przyszła do przekonania, że na drodze urzędowej nic zrobić się nie da. A wtedy przyszła jej myśl, że może by o Chryzostom coś na to poradził. Jakoż zaraz nazajutrz pchnęła zaufanego gońca do Chryzostoma.

Ojciec Chryzostom od przeszłej jesieni, od swego powrotu z zamku na Sobniu, nie ruszał się ani na krok ze swego eremu. Prowadził życie bardzo spokojne, trawiąc dnie i wieczory na modłach, na czytaniu ksiąg świętych, na rozmyślaniu i na rozmaitych pokutach, które sam sobie zadawał. Zajmował się przy tym gorliwie biednymi ludźmi, którzy z daleka i z bliska przychodzili do niego po naukę, po radę, po błogosławieństwo, po pomoc w duchowych i cielesnych potrzebach. Sława jego świętobliwości, rozumu i mocy leczenia wszelkich dolegliwości coraz bardziej się rozszerzała: jakoż nie było dnia, w którym by się u niego nie zjawiało choć kilkunastu nieszczęśliwych, pomiędzy którymi można było widzieć szlachtę i kmieci, czasem nawet kobiety z zamożnych domów, a którzy wszyscy szli do spowiedzi i jedni przystępowali do Stołu Pańskiego, a drudzy pozostawali na rekolekcjach. Zaś w niedzielę i święta odprawiały się nabożeństwa solenne, na które tak liczne zbiegały się tłumy, że

ani dziesiąta ich część nie mogła się w kościółku pomieścić, zaczęły zalegały szerokie brzegi stawu i puszczy, radzi, jeżeli mogli przynajmniej dzwonek kościelny usłyszeć.

O. Chryzostom kontent był z siebie, codziennie dziękował Bogu, że jego praca przynosi ludziom pożytek, i niczego nie pragnął, jak żeby mógł ją dalej prowadzić w spokoju. Wtedy też zwykle przed zachodem słońca zasiadał samotnie na przyzbie klasztoru, wpatrywał się w staw i w niebo, łączące się z wodami stawu, i marzył w pokorze i skrusze o tym dniu wielkim i świętym, w którym anioł śmierci mu zamknie powieki, a jego dusza, wybielona z grzechów ziemskich pokutą, uleci w niebo i będzie oglądać promieniste oblicze tej Matki Najświętszej, która go swoim zjawieniem się we śnie wyrwała z światowych obłędów i sprowadziła na drogę prawdy i cnoty. Taki spokój duszy z takim widokiem za grobem jest najwyższym szczęściem człowieka na ziemi: bodajby go każdy dostał, a dostąpiwszy, nigdy nie stracił.

Ale dopóki człowiek żyje na ziemi, choćby się duchem podniósł najwyżej, zawsze ludzkim losom ulega. Od czasu jak król wojnę ogłosił, a cała Polska się wstrzęsła pochodem pospolitego ruszenia, spokój duszy Chryzostoma się także zamącił. Człowiekiem był i rycerzem, na odgłos wojny krew w nim zawrzała; był przy tym kapłanem, wojna przeciwko wrogom Chrystusowego krzyża zaczęła działać na jego imaginację. Bisurmańscy wyznawcy półksiężyca zabrali Carogród, zdobyli Białogród<sup>43</sup> i Kilią, położyli swoje plugawą rękę na Krymie i Wołoszczyźnie i coraz dalej się posuwają w kraje chrześcijańskie, ba, wcale już jak chmura gradowa zawiśli nad Chrystusowym królestwem na ziemi; teraz nareszcie taka potężna wojna się przeciwko nim podniosła – a on by miał nie być pomiędzy tymi, którzy za Chrystusa będą krew swoją przelewać? – Te myśli dręczyły go we dnie i w nocy i zrazu nie umiał im się obronić. Jednakże po dokładniejszym rozmyśle powiedział sobie, że już jest stary, że mu krew w żyłach zakrzepła, że mu ręce zgrabniały, że w swoim ciele nie ma już siły, że wreszcie rzemiosło rycerskie przestało być jego powołaniem – a tak pomału dawny spokój duszy w sobie przywrócił.

Wszelako niebawem zaczęły go dolatywać zrazu głuche, lecz potem coraz wyraźniejsze wieści o niesłychanej swawoli, ba, nawet rozpuszcie, która się rozwieliżyła w obozie pod Lwowem. Kmiecie, co mieli synów w służbie wojskowej u panów, przejeżdżający kupcy ze Lwowa, szlachcianki wreszcie, co powracały z obozu i u niego się spowiadały, wszyscy mu tę swawolę w tak jaskrawych malowali kolorach, jak gdyby to już była Kapua albo zgoła Sodomia i Gomora. Jeśliby to tak było w istocie, to położyłby ten wielką zasługę wobec Boga i swojej ojczyzny, kto by tę swawolę poskromił – a do tego on czuł w sobie dostatkami siły i posłannictwo takie byłoby wcale zgodnym z jego dzisiejszym powołaniem kapłańskim. Zaczem zaczął nad tym rozmyślać, wieściom tym wierzył i nie wierzył, szukał oświecenia w swoim rozumie, ale go nie znalazł: podwoił więc swoje modlitwy i czekał Bożego natchnienia.

Wśród takiego usposobienia zastał go goniec od kasztelanowej. Przeczytawszy jej listy, nie mógł już wątpić ani na chwilę, że te trudne do uwierzenia wieści są prawdą – i postanowił bez zwłoki do obozu wyjechać.

Ale Chryzostom miał zwyczaj, jak w swoim rozumie powziął jakie postanowienie, nimby je miał wykonać, pierwaj się Pana Boga poradzić, który zawsze w ten lub ów sposób zsyłał na niego natchnienie. Tak i teraz postąpił, i strawił całą noc na modlitwach, leżąc krzyżem w kościele. I miał takie natchnienie, ażeby szedł do Lwowa i opowiadając słowo Boże, zażegnał rozpustę w obozie.

Ale miał przy tym widzenie: albowiem wśród modlitwy usłyszał szmer u ołtarza – a kiedy głowę podniósł z prochu, obaczył ołtarz płonący tak jasną światłością, iż olśnił i znowu twarz położył na ziemi, bo czuł, że nie jest godzien oglądać tej promienistej twarzy, która u ołtarza objawiła się w ogniach. Wszelako chociaż miał oczy zamknięte i przyciśnięte do zie-

---

<sup>43</sup> Białogród, Kilia – miasta w Rumunii

mi, widział Bożego anioła, który stał na ołtarzu, ognisty miecz trzymał podniesiony do góry w prawicy, a białe szaty jego spływały z ołtarza jak fala wody spadającej ze skały. A wtedy usłyszał głos, jakoby arfy grającej, który mówił do niego: – Idź, a niechaj słowo twoje będzie „głośnym dzwonem i trąbą nauki Bożej”, albowiem Pan Bóg daje tobie taką moc, jakiej ani aniołom, ani archaniołom zlecić nie chciał. Idź i szafuj tym, co jest w niebie: a jeśli „obronisz to miasto dla mnie i dla Dawida sługi mego”, będzie ci dano położyć głowę twoją za twoją wiarę i zmieszać krew twoją z krwią Chrystusową.

Z niektórych słów tej przemowy poznał zaraz, że był to sam św. Jan Chryzostom, który mu się w postaci anioła objawił, ale powiedział mu słowa nie swoje, tylko te, z którymi był posłań do niego. Zaczem duch jego nastroił się bardzo wysoko, albowiem otworzył mu się widok męczeńskiej śmierci za wiarę, widok tak słodki a wzniosły, że o nim nie śmiał dotąd zamarzyć...

Dlatego nazajutrz rano zapowiedział swym mnichom, że za maluczko wyjeżdża z poselstwem Bożym, z którego może już nie powróci. Przez cały dzień był zajęty sprawami swego eremu, przejrzał inwentarz tego ubogiego przybytku, wzbogacił go swym testamentem, zamianował swojego namiestnika, kazał swoje zbroję i broń oczyścić, konie nakarmić, juki przysposobić – a na dzień następny urządzić solenne nabożeństwo w kościele.

Nabożeństwo to trwało z małymi przerwami od świtu do ciemnej nocy. Mały kościółek był przepełniony, a nieprzejrzane tłumy ludu zalegały brzegi stawu i puszczy naokoło klasztoru. W kościele odprawiały się msze św. jedna za drugą – a około kościoła siedzieli księża zakonnicy i świeccy, co z okolic przybyli, za drewnianymi stołami, spowiadając pobożnych i udzielając odpustów. Dopiero o zmroku się te tłumy powoli rozeszły: jedni z ciężkim smutkiem na sercu, że ten przezacny klasztor zostanie na jakiś czas osierocony; inni ze łzami w oczach, bo głucha wieść się rozeszła pomiędzy nimi, że jego przełożony może nie wróci; trzeci zaś, oglądając się tęsknymi oczyma za siebie, widzieli jawnie jako o. Chryzostom w olbrzymiej postaci wychylił się powyżej pasa nad puszcę leśną i podniesioną ręką kiwał ku Lwowu, jakoby zapowiadając miastu i obozowi swoje rychłe przybycie. W ręce tej widać było wyraźnie krzyż i różaniec, na plecach jego kaptur się wzdymał jak żagiel okrętu, a brodę rozwiewał wiatr jak gdyby ogon komety.

Następnego dnia o samym świcie Chryzostom wsiadł na koń, wziął dwóch fratrów ze sobą i ruszył ku Lwowu. A jak tylko wyjechał na wielki gościniec, ze wszystkich osad i wsi okolicznych zbiegały się ku niemu gromady wiejskiego ludu, z rozwiniętymi chorągwiami ich kościołów i cerkwi i ze swymi księżami w ornatach na czele i kłaniały się przed nim, kłękając na kolana i spuszczać chorągwie ku ziemi, właśnie jak łany pszenicy się słońcu kłaniają. Niektóre z nich odprowadzały go aż do kopców granicznych, a inne, które mieszkały w pobliżu Lwowa, ciągnęły za nim aż do bram, a nawet w ulice samego miasta...

W obozie już dnia poprzedniego wieczorem przeleciała głucha wieść od końca do końca, że ma się zjawić jakiś biskup albo też wielki kaznodzieja pośród żołnierzy, ażeby ich gromić za obozową swawolę i napominać do skruchy, a wieść do poprawy. Jedni powiadali, że król, drudzy zaś, że papież, dowiedziawszy się, że żołnierstwo skaziło swe obyczaje i ugrzęzło w grzesznej rozpuście, przysłała swojego legata, ażeby te wykroczenia poskromić. Wieść ta wionęła przez wszystkie namioty jak wichr gorący i jak wichr taki warzy liście zielone krzewin i traw, tak ona zwarzyła rozweselone serca i pokruszyła zuchwałę sumienia grzeszników. Jakoż już tego wieczora ten i ów uderzył się w piersi, drugi odwołał biesiadę już zapowiedzianą u siebie, niektóry rotmistrz kazał powypędzać białołowy z namiotów – a w jednym pułku halabardników pieszych, których też zwano husytami, żołnierze się zburzyli i dziesiętnika ubili, który im zakazywał swawoli.

Musiał też i między starszyzną jakiś inny duch zawiać w tej samej chwili, bo nazajutrz oboźny zerwał się bardzo rano, otoczył się rotmistrzami i porucznikami i pojechał do tych husytów, którzy stali w polu pod samymi Łaszczkami. Jadąc zaś, wziął dwunastu pancerników

ze sobą, a zarazem kazał gewaltigerowi<sup>44</sup> wsiąść na koń, ten zaś kazał jechać katowi za sobą, który, w czerwone szaty i czerwoną uszatą czapkę ubrany, miał miecz i topór błyszczący za szerokim pasem skórzanym, za nim zaś jechali również na koniach dwaj butle<sup>45</sup>, z toporami u siodła i pękami postronków. Przyjechawszy do Laszek Fredro złożył zaraz gorący sąd na husytów i jednego z nich, którego przekonano świadkami, jako pierwszy się rzucił na dziesiętnika, zasądził na śmierć i kazał go *stante pede* powiesić. Kiedy zaś husyci na to mruczełi, podjechał ku nim sam jeden, ażeby widzieli, że się wcale nie boi ich buntowniczych pogróżek, i powiedział im wielkim głosem z niemiecka: jako nie zabrania im żadnej przystojnej rozrywki, jako nawet na mniej przystojne patrzy przez szpary, ale jeśliby który ukradł, zrabował, zgwałcił lub mężobójstwo popełnił, to go każe tak samo obwiesić. – Po tej przemowie mruczenie między tymi pogany ustało, zaczęł Fredro, zawsze otoczony tą samą świtą, z gewaltigerem i katem za sobą, objeżdżał wszystkie chorągwie, zatrzymując się przy każdej, u kasztelana, rotmistrza lub porucznika, rozmawiając z każdym na osobności i powiadając im, że dopełniły się czasy tej obozowej swawoli, zaczęł powinni ją powstrzymać, bo wstyd i hańba, i kara Boża już są niedaleko.

Wracając do swego namiotu, widział wielkie zbiegowisko żołnierzy i rozmaitego innego ludu w głównej obozowej ulicy – a kiedy się doń przybliżył, obaczył owego chłopca o którym od dawna już wieści chodziły, ale którego jeszcze nie widział, jako stał pośród tłumów i kazał.

Chłop to był jak drugi, z długimi włosami, spadającymi w nieładzie na plecy, i z długą brodą, jeno że twarz miał bardzo bladą, właśnie jak gdyby już jaki czas w grobie przeleżał. Miał też długą białą płóciennicę na sobie, ale razem z koszulą szeroko rozwartą na piersiach, a na boku piersi miał ranę, która we krwi zakrzepła, a była całę podobną do rany Chrystusa Pana, którą otrzymał na krzyżu od włóczni pogańskiej; na rękach zaś i na bosych nogach miał także plamy czerwone.

O tym chłopie mówiono, co też i później pisano, „jakoby miał głowę skażoną”; ale po jego mowie tego widać nie było, a od jego postaci, że przypominał obraz Ukrzyżowanego, szła groza i lęk między ludzi, jakoż go wszyscy z wielką ciekawością słuchali. On zaś ich napominał, aby się opamiętali w swawoli, groził im niebieskimi karami, a czasem i słowa Pisma św. nawoływał, chociaż nie bardzo uczenie. Wszelako powtarzał wciąż, ażeby porzucili biesiady i czynili pokutę, a Boga się bali, bo (mówił) idzie ktoś za nim, co jest mocniejszy od niego, a który rozpustnych smagać będzie Duchem Świętym a ogniem.

Fredro pytał tych ludzi, dlaczego się tak kupią, i już chciał ich rozpędzić a płoszyć, ale widząc, że on chłopca ich do poprawy namawia, dał im pokój, a objechawszy ich, zsiadł z konia przed swoim namiotem.

Zaraz też usiadł na krześle połowym dla wypoczynku, a jego oficerowie jedni także usiedli, drudzy zaś stali, wiodąc z nim stateczną rozmowę, ucząc się od niego albo też z nim się weseląc, bo Fredro był bardzo wymowny: kiedy dał komu jaką naukę, to warto ją było pamiętać, a kiedy żartował, to wszystkim serce się radowało. A kiedy tak rozmawiali ze sobą, nimby się na wieczere rozeszli, bo wtedy już słońce zaczęło zachodzić, ludzie, co zbiegowisko czynili, zaczęli odbiegać chłopca, a gromadzić się około wielkiej bramy obozu, albowiem właśnie przez tę bramę inni goście wjeżdżali.

A który jechał na przedzie, siedział na koniu białym jak mleko a bardzo wspaniałym. Był to koń pewno już stary, ale wielki, rycerski, on prawdziwy *dextrarius*, co z młodu swoją szeroką piersią o niejedną fortecę uderzał: dzisiaj szedł krokiem rozważnym, ale nogi jeszcze wysoko podnosił i głowę niósł górnę jako król, który zgrzybiały, co chociaż mu głowa się trzęsie, przecie nią jeszcze jak orzeł z obłoków spogląda na ludzi.

Na koniu zaś siedział o. Chryzostom w pancerzu i hełmie.

<sup>44</sup> gewaltiger (niem.) – w dawnej Policie podoficer pilnujący aresztantów wojskowych

<sup>45</sup> butel (niem.) – pomocnik kata

Pancerz to był bardzo misterny, z samych wąskich pierścieni złożony, teraz już zardzewiały cokolwiek, jeno na jego piersi błyszczał złoty obrazek Matki Najświętszej, na hełmie zaś siedział widoczny po piersi lew bez korony pomiędzy dwiema trąbami, a nad nim powiewały pióra czerwone i białe. Na pancerz, zamiast rycerskiego płaszcza, zarzucił habit franciszkański z kapturem, jeno z przodu całkiem otwarty, zaś na piersi habitu przyszyty miał biały krzyż rodyjski, ośmioramienny. W lewej ręce razem z cugłami trzymał krzyż dosyć duży ze znakiem Męki Pańskiej, a w prawicy ogromny miecz wężykowaty, mocno błyszczący. Za nim jechało dwóch fratrów na koniach, prowadząc pomiędzy sobą konia obciążonego jukami; w tych jukach znajdowały się ornat, stuła i komża, a przy nich inna skromniutka chudoba tego rycerza-kapłana.

Kiedy go Fredro tak wjeżdżającego obaczył, wstał z krzesła i przyłożył rękę do skroni, aby się od promieni zachodzącego słońca zasłonić; ale w oka mgnieniu go poznał; bo zaraz przystąpił do niego i zawołał:

– Kmita! stary druh, Kmita!

Ścisnąwszy go zaś za rękę i spojrzawszy na jego miecz archanielski, rzekł żartobliwie:

*Où vas-tu, avec ton grand couteau?  
Couper les tetes, je suis bourreau*<sup>46</sup>.

Była to pierwsza zwrotka starej prowansalskiej pieśni, którą obydwa umieli na pamięć i może nieraz razem śpiewali. A Kmita mu odpowiedział na to z uśmiechem:

*Couper les têtes, sauver les âmes...*<sup>47</sup>

Więc na to znów Fredro serdecznie się rozweselił i rzekł:

– Bóg ciebie natchnął, żeś tu przyjechał. Kiedym cię spostrzegł, właśnie jak gdyby mi lat czterdzieści ubyło. Gdzie te czasy a te nasze młode lata, we Francji, we Włoszech a w Ziemi Świętej! A po zamkach niemieckich, a między niemieckimi pannami... Zsiadajże z konia, a chodź do mego namiotu, bo u mnie zamieszkaż.

Na to się Chryzostom cokolwiek zamyślił i rzekł:

– Chciałem jechać do Zboisk.

– A co byś ty tam robił w Zboiskach pomiędzy babami? Chodź do mnie. A kiedy zechcesz, to ci każe całe Zboiska tu przyprowadzić, dla ciebie zrobię nawet takie niepospolite ruszenie.

Na to więc Chryzostom spojrzął na niego, uśmiechnął się i spytał:

– Spodziewam się przecie, że nie masz białogłów u ciebie, jak to podobno po innych namiotach...

A na to Fredro:

– U mnie białogłowy już dawno do mitologii należą: nawet i ty takiego cudu nie zrobisz...

– Więc tedy stanę u ciebie – rzekł Kmita – bo też każdemu miło być pod oboźnego opieką. Zaczem zsiadł z konia i szli do namiotu.

A kiedy pod namiotem, jako starzy przyjaciele i towarzysze, jeszcze raz się powitali:

– Słysz, Fredro – rzecze jemu Chryzostom – chodzą wieści po kraju, że w waszym obozie okrutna panuje rozpusta. Wiem, że ty mi nie skłamiesz: jestli to prawda?

– Juźci ludzie się rozahulali cokolwiek, tak szlachta, jak i żołnierze...

– Czemuż ty temu nie radzisz? Przecie jako oboźny masz *autoritatem*, a nawet i prawo miecza w potrzebie.

– Juźci mam, ale mam też od króla instrukcje, abym się nie naprzykrzał żołnierzom.

<sup>46</sup> *Où vas-tu...* (fr.) – dosł.: Dokąd idziesz ze swoim dużym nożem? || Ścinać głowy, ja jestem katem.

<sup>47</sup> *Couper les têtes...* (fr.) – dosł.: Ścinać głowy, zbawiać dusze...

– Ale ja nie mam od króla instrukcyj – rzecze na to Chryzostom, głowę podnosząc do góry.

– Cóż zrobisz? – spyta go Fredro – trudno ci wypowiadać wojnę władzy królewskiej.

A na to mu odpowie Chryzostom prawie słowami swego św. patrona:

– Będę tym ludziom ofiarował kadzenie, bom jest sprawiedliwy. Król za swoim płótem zostanie, albowiem inne są granice królewskie, a inne kapłańskie. Moje królestwo większe jest niżeli to, nad którym on króluje. Azaliż król nie schyla swej głowy pod ręką kapłańską? azaliż i w Piśmie starym nie pomazują królów kapłani? Król sprawuje to, co na ziemi jest, a kapłańskie prawo z nieba zstępuje. Nie będę ciałę pytał o króla, a spełnię to, czym mnie Bóg natchnął i z czym mnie posłał do tego obozu. A ty mi z twego urzędu do tego pomożesz.

– Jurysdykcja jest tutaj przy mnie – rzecze mu Fredro – ale jeżeli kto chce karcić swawolę słowem Bożym, temu wstętu czynić nie będę, owszem, rad jemu pomogę.

Po czym zasiedli do wieczerzy i jedli i długo w noc się namawiali ze sobą.

Nazajutrz rano, o samym świcie, zaczęto budować ołtarz w środku obozu. Postawiono go na małym wzgórzu, a zbudowano z drzewa, ozdobiono makatami poznoszonymi z przedniejszych namiotów i obwieszono chorągwiami, których sobie pożyczono w pobliskich cerkiewkach. Obok ołtarza zbudowano ambonę, którą także przyozdobiono makatami i dywanami. We dwie godziny na dzień przyjechał arcybiskup lwowski w asystencji kanoników katedralnych i ołtarz poświęcił – a już wtedy bardzo liczne tłumy żołnierstwa i ciurów, przekupniów, szynkarzy i rozmaitego innego ludu, zaczęły się około ołtarza zgromadzać i przypatrywać bardzo ciekawie tym przygotowaniom. Rozmaite głosy szły między tłumem: wszyscy widzieli, że się na jakieś wielkie nabożeństwo zanoszą, ale różnie je sobie tłumaczono. Jedni mówili, że legat papieski przyjechał, drudzy, że jakiś cudotwórca, co leczy chorych i wskrzesza umarłych, inni, że przybyli misjonarze i apostołowie, co jadą Turków na wiarę chrześcijańską nawracać, a wojska polskie mają ciągnąć za nimi. Wieści te, że się dzieć będzie coś nadzwyczajnego, rozsiewały bojaźń Bożą po sercach i przygotowywały sumienia grzeszników do skruchy.

Arcybiskup, poświęciwszy ołtarz, odjechał do Lwowa – a w mały czas po jego odjeździe o. Chryzostom w ornacie i w otoczeniu księży franciszkanów w kapach, komżach i stułach, wstąpił na najwyższy stopień ołtarza i zaczął prawić mszę świętą. Msza była solenna, śpiewana jak suma, a chór rybałtów lwowskich pod przewodnictwem katedralnego kantora towarzyszył jej gędźbą i śpiewem.

Natenczas około ołtarza zgromadziła się już prawie cała starszyzna obozu, wojewodowie i kasztelani, rotmistrze i porucznicy, rycerstwa wszelakiej broni, tysięczników i sotników, tak wielka gromada, zaś między nimi ich żon tak wielkie mnóstwo, że już tam żaden człek prosty ani na tysiąc kroków się nie docisnął, bo też halabardnicy wszelkie tałałajstwo kijami płoszyli, odmiatając je jak najdalej od obozowej starszyzny. Tłumy te odpływały na wszystkie strony i gromadziły się na miejscach cokolwiek wynioślejszych, skąd by mogły ołtarz obaczyć, inni zaś wylazili na drzewa i dachy domów, porozrzucanych po tych przedmieściach. Wszelako nic widzieć nie mogli krom dymów kadzideł, co się ponad ołtarzem chmurami wznosiły, słyszeli także niektóre akordy gędźby a śpiewów, o ile im wiatr je przynosił.

Po sumie skończonej o. Chryzostom wstąpił na ambonę, ażeby prawić kazanie. Natenczas, ile że ambona była bardzo wysoka, dojrzały go tłumy nawet oddalone; natomiast zaś gromady starszyzny, już przedtem gęsto zbite przy sobie, tak się ścisnęły koło ambony, że najbliżsi już twarze kaznodziei widzieć nie mogli, tylko głos jego słyszeli.

Ojciec Chryzostom, stanąwszy na ambonie, podniósł głowę do góry i powiódł okiem dookoła, jak daleko wzrok jego mógł donieść – a wtedy ujrzał widowisko, jakie tylko niewielu wybranym mówcom kościelnym a chyba apostołom zdarzyło się widzieć.



Albowiem nie tylko ta cała równina, co stanowiła środek obozu, była tak gęsto nabita ludem, że i szpilki nie było gdzie rzucić, nie tylko że wszystkie drzewa i dachy wszelakich budynków były ludźmi jakoby rojącymi się pszczołami nakryte, ale i na wszystkich wzgórzach odległych rozlegały się rzesze wiejskiego ludu, właśnie jak gdyby już przyszedł dzień ostateczny i nie słowo Boże miało być opowiadane przez usta sługi Kościoła, ale jak gdyby aniołowie mieli lecieć powietrzem i uderzyć w trąby na sąd wszystkich zmarłych pokoleń.

Widząc to Chryzostom, uczuł dreszcz po wszystkim swym ciele, bo nie wiedział ani się nie spodziewał, że będzie powołany, ażeby kazać takim rzeszom nieprzeliczonym: jakoż przejęty do szpiku kości wdzięcznością za taką łaskę Bożą i przepelniony bojaźnią Bożą, ukląkł na kazalnicy, a oparłszy głowę o poręcz, zaczął się modlić.

Kiedy się modlił, wszyscy oddech zaparli w piersiach – a niektórzy widzieli, jako biała gołębica zleciała z obłoków i unosiła się przez małą chwilę nad jego głowami: zaczem bogobojny szmer dał się słyszeć pomiędzy rzeszami i powiadano, że Duch Święty spływa na kaznodzieję.

A kiedy skończył modlitwę, wstał raźnie, jak gdyby jakimś cudownym ogniem wewnątrz rozgorzał, i wielkim głosem zawołał:

– *Surrexit Helias propheta guasi ignis, et verbum eius sicut facula ardebat!*

„Powstał Eliasz prorok jako ogień, a słowo jego jako pochodnia gorzało!” Słowa te uderzyły jak grom błyskawiczny w słuchaczy, głośny szmer zawrzał pomiędzy nimi i jak hucząca fala na morzu przebiegł po tłumach, odzywając się echem pomiędzy rzeszami na wzgórzach. Niektórzy bliscy rzucili się na kolana, inni schylili głowy, czując w swym wnętrzu, że oczy ich nie mogą znieść tej światłości, która w tej chwili biła od kaznodziei.

Natenczas Chryzostom, mając zapewne takie natchnienie, że ma wiernych słuchaczy przed sobą, których sumienia będzie mógł miesić swym słowem jak ciasto swymi rękami, znowu wielkim głosem zawołał:

– Albowiem jam jest ten, o którym napisano: „Oto ja posyłam sługę mojego przed obliczem twoim, aby zgotował drogę twą przed tobą”.

A potem rozpoczął kazanie swoje od słów:

– Biada tobie Korozaim, biada tobie Bethsaido: bo gdyby się byli w Tyrze i w Sydonie cuda stały, które się stały w was, dawno by byli w włosiennicy i w popiele pokutę czyniły. Tak mówi Pismo: ale te cuda w was się nie stały, boście ich niegodni. Okryliście wasze piersi pancerzem, przypasaliście miecze do boku, opuściliście wasze zagrody i domy, ażebyście zawojowali ziemie niewiernych, ażebyście zburzyli ich plugawe bożnice i na ich gruzach zatknęli krzyż Chrystusowy. A ledwieście się pierwszym rozłożyli obozem, jużście zapomnieli o Bogu, który kazał aniołom swoim was na tę wojnę prowadzić. Jużście zatonęli w obżarstwie i opilstwie, w błazeńskich gędźbach a tańcach, w cudzołóstwie, porubstwie a wszelkiego rodzaju sprośnościach! Odtąd żaden cud Boży się w was nie stanie, ale spadnie na was grom Boży! Albowiem wiezcie, że aniołowie Boży już odwrócili się od was i nie będą wam w tej wojnie hetmanic – a natomiast powiadam wam, jako mi jest objawiono, pędzi ku wam z dna piekiel rogaty anioł z czarnymi skrzydłami, którego zowią *Esterminans* – a który wiezie na was nieprzejrzane zastępy pogan, ażeby wasze ziemie zawojowali. I zawojują was. I dwory wasze wypalą. I sługi wasze wybiją. I niemowlęta wasze w krwi ich potopią. I łany wasze końskimi kopytami wydepczą. I wasze sady powyrywają z korzeniem, i waszę ojczyznę w głuchą puszcę zamienią. I z waszych głów wielką mogiłę usypią, a na jej szczycie swój bisurmański księżyc zaszczepią. I będzie puszcza, zasypana kamieniami i piaskiem, gdzie były kraje kwitnące. A na tę puszcę gorące wiatry wiać będą z dna piekiel, ażeby na niej żaden owoc nie dojrzał i trawka uschła w korzeniu. A jeśli będą, co skrywszy się w jamy podziemne, tę karę Bożą przeżyją i jako gady wypełzną na suchą, u tych ssącym przyschnie język do podniebienia. Dzieci o chleb zebrać będą, a nie będzie, kto by go im podał. Którzy jadali po-

trawy rozkoszne, umrą śmiercią głodową. A którzy sypiali w szkarłatach, ducha swego wyzioną na gnoju...

Na te słowa wielki lęk poszedł po rzeszach: z tych, co stali bliżej ambony, jednym szeroko otworzyły się oczy, a zdjęte strachem biegały jak gałki ruchome w orbitach, drugimi trząśł zimny dreszcz jak w febrze i nie mogli ustać na miejscu, bo im się zdało, że się ziemia zapada pod nimi, inni darli szaty na sobie, a rzucając się na ziemię, bili się w piersi, wołając: – Boże wielki i miłosierny, zmiłuj się nad nami!

Od tych, co słowa słyszeli, ten lęk straszliwy udzielał się tym, co słów nie słyszeli, ale ducha ich zrozumieli – a od tych, jak Duch Święty, co wieje na niewinne i nieświadome, jak wiatr, co kłosa skłania ku ziemi i wierchołkami lasów potrząsa, szedł aż ku wzgórzom, gdzie stały gromady ludu i tam objawiał się szmerem i lękiem, a czasem przeciągłym okrzykiem, jak gdyby grzmotem podziemnym.

Tymczasem o. Chryzostom, odetchnąwszy czas mały, ażeby jego słuchacze mogli wejść w siebie i pocuć się w grzechach, znów podniósł głowę i znowu zawołał:

– Powstał Eliasz prorok jako ogień, a słowo jego jako pochodnia gorzało!

I mówił dalej – a wtedy już jego słowa spadały na głowy słuchaczy, jak potok spadający ze skały, i szumiały jak burza, i kwiliły jak dziecko, i otwierały jawnie samo dno piekieł pełne szatanów, i pokazywały promienistą twarz samego Boga w obłokach, Boga łaski i miłosierdzia, mogącego jeszcze grzesznikom przebaczyć.

Wszyscy to jawnie widzieli – i czuli gorąco otchłani piekieł, jako na nich buchało, i światłość niebieską, unoszącą się nad ich głowami.

A wtedy Chryzostom już wiedział, że ich wszystkich ma w ręku i może z nimi zrobić, co zechce: może za jednym skinieniem ręki rzucić sobie w objęcia tych, co od lat niepamiętnych się gryźli ze sobą, może kazać zagniewanemu mężowi, ażeby padł do nóg swej żonie, którą od siebie wypędził, może nakładać pokuty i posty, a będzie bez szemrania usłuchan, może ślepego uczynić widzącym, a głuchemu słuch wrócić, może wszelkie chore uzdrawiać i przywoływać duchy umarłych.

Zaczem zabierał głos jeszcze dwa albo trzy razy – a wciąż z wzrastającą potęgą słowa i z coraz głębszym skruszeniem słuchaczy, tak że po jego ostatniej przemowie już wszyscy leżeli na ziemi i tarzali się w prochu, i nikt nie śmiał oczu podnieść ku kazalnicy.

A kiedy po długiej chwili wstawać zaczęli, jego już nie było na ambonie – i nikt nie wiedział, kędy się podział.

Więc namawiali się z sobą i powiadali: – Byli to kaznodzieja jak inni? czy legat stolicy świętej? czy apostoł Chrystusa Pana? czy anioł Boży, co zstąpił na ziemię, ażeby poskromić obozową swawolę i nadać pokutę? Ale nikt na to nie umiał dać odpowiedzi.

Tylko tego dnia już w całym obozie ani biesiad rozgłośnych, ani też płasów nie było – a wszyscy strawili wieczór na przystojnych rozmowach, zalecając jeden drugiemu, że trzeba się bać Pana Boga, wyspowiadać się z grzechów, a wszelkie rozrywki ukrócić, bo może jeszcze jest czas, ale już za maluczko może przyjść płacz i zębów zgrzytanie, jako jest napisano.

Nazajutrz cudowny ten kaznodzieja także nikomu się nie pokazał. Zaczem dziwne wieści chodziły o nim po obozie. Mówiono, że pozaprzeszłej nocy nocował u Fredry, ale wczoraj zniknął bez śladu. Ci zaś, co go widzieli wjeżdżającego do obozu, powiadali, że na próżno go szukać, bo to był anioł Boży, siedział na białym koniu, co nie dotykał się ziemi i trzymał w prawicy miecz płomienisty, zaczem nie z tego był świata. Tym wreszcie, którym się zdało, jakoby go wczoraj widzieli wieczorem u Kmity w Zboiskach, wszyscy przeczyli, mówiąc; – Są tutaj pobożniejsi panowie niżeli Kmity, raczej więc tam byłby się zjawił. Mimo to jednak każdy dopuszczał, że mógłby się zjawić, choćby nawet w ulicy, jako i Chrystus Pan, i apostołowie nieraz kazali po ulicach i rynkach: zaczem wszyscy bardzo się bali, a który miał jaki grzech na sumieniu, nierad sam na ulicę wychodził, bo mógłby mu ten kaznodzieja stanąć nagle na trakcie, a wiedząc dobrze, jaki grzech na nim ciąży, rzucić go swoją wszechmocą w

proch, z którego by może nie powstał. Stąd też całe żołnierstwo objął wielki niepokój: każdy by był chciał się wyspowiadać – a tu księży nie było.

Dopiero kiedy się to pobożne pragnienie objawiło w całym obozie i kiedy żołnierze zaczęli się niecierpliwie, a nawet i we Lwowie do biskupów szturmować o spowiedników, trzeciego dnia o samym świcie, właśnie jak stado ptastwa, co nagle z chmur spada na błota, kilkudziesięciu franciszkanów i bernardynów, co sobie są braćmi w zakonie, spadło na ten obóz błotnisty – i zaczęli żołnierzy spowiadać. Natenczas przy ołtarzu odprawiały się msze św. jedna za drugą, a około ołtarza nastawiano konfesjonałów, wystruganych naprędce, w których spowiednicy zasiedli. Widziano wówczas, co ledwie komu dano było obaczyć, rotmistrzów i poruczników, i inną zacną szlachtę, piastującą wysokie urzędy, jako własnymi rękami nosili belki i deski i brali topory do ręki, ażeby czym prędzej konfesjonały budować, inni zaś znosili makaty ze swoich namiotów, aby je spowiednikom ścielić pod nogi. A kiedy już księży zasiedli w konfesjonałach, taki ścisk się zrobił koło nich, że żołnierze się bili pomiędzy sobą, który by miał pierwszy do spowiedzi przystąpić. Jakoż było i trochę kalectwa, zwłaszcza że i prosty lud, i rozmaici żebracy także się do księży cisnęli, za co temu i owemu dostało się po łbie i było jęku i pisku niemało.

Tak więc kto się pierwszy docisnął, ten pierwszy się wyspowiadał. A który absolucją otrzymał, ten szedł do ołtarza i przystępował do Stołu Pańskiego. Ale było wielu takich, którym na ten raz absolucji nie dano: ci kładli się przed ołtarzem krzyżem na ziemi i jęcząc mówili pacierze, inni zaś na gościniec wracali, tam rzucali się na kolana i stamtąd czołgali się na klęczkach ku ołtarzowi, bijąc się w piersi, przyznając się jawnie do grzechów i wołając głośno o zlitowanie się Boże nad nimi. A było to wszystko ku wielkiemu zbudowaniu patrzących, bo nawet i ci, co z daleka patrzali, kiedy spostrzegli grzeszników jęczących w niebogłosy o miłosierdzie Boże, żegnali się krzyżem świętym i głośno odmawiali pacierze, aby się Pan Bóg zlitował nad nimi.

Takie spowiedzie i nabożeństwa powtarzały się co dzień bez odpoczynku – i już się rzeczy zaczęły trochę lepiej układać w obozie. Ucichły owe srogie hałasy i sarabandy, biesiadowano już tylko przy drzwiach zamkniętych, zawstydzona swawola ukryła się w kącie przed ludzkimi oczyma, tylko jeszcze białych głów się nie pozbyto z obozu.

Lecz wtedy kasztelanowa przemyska, jak była pierwszą, co się zgorszyła tą obozową rozpustą, tak też i pierwszy dała przykład ze siebie. Jednego dnia, zabrawszy ze sobą cały swój fraucymer, pożegnała się z mężem i synem i wyjechała z obozu. A wyjechała jawnie, aby ją wszyscy widzieli, jadąc sześciokonną landarą, otoczoną swymi dworzany, i prowadząc za sobą swoje wozy ze służbą, i jadąc noga za nogą wzdłuż całego obozu aż do bram miejskich. Miała ona niejedną zgryzotę w swym życiu, miała czasem ze swym mężem ciężki krzyż do zniesienia, ale za wszystkie swoje cierpienia i poświęcenia otrzymała dzisiaj sowitą nagrodę: albowiem uwoziła ze sobą to przekonanie, że miała myśl zacną i od Boga natchnioną, przywołując o. Chryzostoma do obozu, który też swoim zjawieniem się i jednym śmiałym kazaniem zatrzęsł skażonym sumieniem całego obozu i stu tysiącom grzeszników otworzył drogę do skruchy i do poprawy.

Kasztelanowa nie była wprawdzie jedyną kobietą w Polsce, która ku wyjściu z obłędów, w jakie społeczeństwo się uwikłało, znalazła drogę zbawienną: albowiem u nas, pod owe czasy i później, wśród mężów zawsze skłonnych do zgnuśnienia w używaniu dóbr doczesnych i zapomnienia o obowiązkach wyższego urzędu, niejednokrotnie kobiety odszukiwały zagrzebane w przeszłości ideały narodu i uderzały w ton czynu, który się potem przelewał z pokoleń na pokolenia. Ale tej zacnej matronie nie chodziło o współzawodnictwo z innymi, a nawet o rozgłos: owszem, jeżeli była zadowolona ze swej zasługi, to jeszcze więcej właśnie to ją uszczęśliwowało, że ta jej zasługa jest tylko samemu Bogu wiadoma i że nikt ze śmiertelnych nie będzie mógł jej zazdrościć.

Przykład dany przez kasztelanową niemal takie same sprawił wrażenie, jak kazanie Chryzostoma: albowiem od tego dnia wszyscy zaczęli powoli swoje żony wyprawiać z obozu i co dzień było widać ładowne wozy z kobietami, przeciągające przez Lwów i wyjeżdżające na wieś, ku wielkiemu żalowi kupców lwowskich i rzemieślników. Powypędzono też owe praczki i szwaczki z namiotów, co ich się już namnożyło tak wiele, że prawie więcej ich było niżeli koszul w obozie. Zaczem pozamykano także niektóre garkuchnie i szynki, w których żołnierze zgrywali się w kości, a gdzie na czas i srogie bójki bywały, zaś za tymże samym zamachem dostało się także i onym kuglarzom a błaznom, co rozmaite nie bardzo przystojne igry wyprawiali żołnierstwu, a kunszty swoje pieprzyli opowiadaniem takich sprośności, że każdy grzeczny młodzieniec musiał się zarumienić, a nawet i starsi musieli sobie uszy zatykać. Tak środek obozu, gdzie stały chorągwie powiatów a hufce możniejszych panów, został oczyszczony z wszelkiego plugastwa i już wyglądał jakoby na wielkie święto umieciona komnata: tylko jeszcze po krańcach, poza Zniesieniem, w Srokach i w Łaszkach, gdzie wojska zaciężne miały swe leże, prawie że jeszcze gorsza grasowała rozpusta, bo też to śmiecie, co je pobożny wichur zdmuchnął ze środka obozu, prawie wszystko tam poleciało.

A wtedy znowu się zjawił o. Chryzostom w obozie. I znowu miał wielkie a potoczyste kazanie, w którym jeszcze gromił nieprawości i wszelkie inne występki przeciwko dziesięciorgu Bożych przykazań, ale już obiecywał, że dla sprawiedliwych, co uczynili pokutę, chociaż ich jest bardzo maluczko, może Bóg będzie łaskaw i dla nich nie da zgubić Niniwy. A po kazaniu chciał brać Przenajświętszy Sakrament i iść z procesją do Srok i do Łaszek i wypędzać stamtąd białogłowy, kostery<sup>48</sup>, kuglarze i błazny. Ale Fredro na to mu nie pozwolił, mówiąc:

– Nie może to być, abyś tam szedł do tych ludzi, bo to tam wielka dzicz a sami poganie. Nie z Sakramentem trzeba iść do nich, ano z batogiem – a to nie godzi się kapłanowi, który ma wszędzie jawić się tylko ze słowem Bożym. Wszelako oni nie boją się ani Boga, ani batoga, a respektują tylko kata z butlami, zwłaszcza jeżeli za nimi stoi sto pancerników. Pójdę ja tam dziś albo jutro i każę znowu kilku z nich obwiesić, a to ich na jaki czas uspokoi. Ale tobie iść nie pozwolę, bo tak rozumiem, żebyś zdrów stamtąd nie wyszedł i stałoby się wielkie zgorzenie.

O. Chryzostom, wierząc w potęgę swojego słowa, rwał się do tych pogan koniecznie i mówił: że kiedy by się na Przenajświętszy Sakrament porwali, to stałby się cud i wszyscy zostaliby porażeni. Ale Fredro, jako to żołnierze, choć w Boga wierzą, przecie idą za swoim rozumem, rzekł mu raz jeszcze:

– Powiadam tobie, że nie pójdziesz do tych ludzi. Jesteś kapłanem, więc wiesz, że nie trzeba Pana Boga wyzywać. Cudowi mogłoby stanąć co na przeszkodzie – a kat porazi ich bez przeszkody, bo też i ja tam będę z sukursem, a ja nie chybię.

Więc o. Chryzostom musiał mu ulec. I poszedł do Lwowa, i kazał tam najprzód w katedrze. A kiedy ludzie zaczęli się tak cisnąć na jego kazania, że kościół nie mógł ich objąć, za pozwoleniem arcybiskupa kazał pod gołym niebem na placu Ducha Św. Tam znowu takie nieprzeliczone gromadziły się rzesze, jak w obozie – a chociaż tam było miejsca dostatkim, przecież się ludzie tłumili pomiędzy sobą, że niektórych na śmierć poduszono, inni zaś popadali do Pełtwi i potonęli. Toż jego kazania właśnie jak ogień chwytały wiernych, ba, i niewiernych za serce: synowie mieszczańscy przywdziewali suknie zakonne, wielu Tatarów zostało przyjętych na łono katolickiego Kościoła, nawet i kilkunastu Żydów ochrzczono.

A wtedy król przyjechał do Lwowa.

---

<sup>48</sup> kostera – gracz, szuler

## XII

### WOJNA

Król, chcąc dać dobry przykład ze siebie, jak tylko rozesłał wici na pospolite ruszenie, natychmiast sam ruszył z całym swym dworem wojskowym i zatrzymał się w Przemyślu, postanowiwszy sobie, jak powiadano, tam bawić tak długo, aż póki się wszystkie wojska nie zbiorą pod Lwowem. Sam stanął na zamku u Koniecpolskich, dygnitarze dworscy polokowali się w mieście, a chorągwie nadworne porozkładały się po przedmieściach, poobsadzawszy zacieźną piechotą wioski po obydwóch stronach Sanu.

W pierwszych dniach pobytu jego w Przemyślu odprawiwały się na zamku sceny cierpkie i przykre, a czasem nawet gwałtowne.

Albowiem choć cała szlachta ruszyła na tę wojnę bez żadnego oporu i stawiała się pod chorągwiami prawie od kołka do kołka, byli niektórzy panowie, którzy tej wojnie byli przeciwni. Nie byli oni liczni, ale bardzo potężni, bo na ich czele stał brat królewski, kardynał Fryderyk, człowiek bardzo rozumny, rozważający sprawy publiczne daleko spokojniej i głębiej i widzący daleko dalej od niego – a tuż obok niego stał Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski i kanclerz wielki koronny, tak rozumem, jak i powagą, jeden z najpotężniejszych ówczesnych książąt Kościoła, miłośnik ojczyzny bardzo gorący, ale zarazem równie roztropny mąż stanu. Chodziło o rzeczy nadzwyczaj ważne, bo o honor i szczęście, i przyszłość polskiego królestwa – a więc i spory były bardzo gorące.

Król jeszcze przed trzema laty zawarł był w Lewoczy na Spiżu ze swoim bratem Władysławem, królem węgierskim i czeskim, sojusz odporny i zaczepny przeciwko Bajazetowi, cesarzowi tureckiemu, a myślą przewodnią tego sojuszu było skojarzenie się z cesarzem niemieckim i z Wenetami, wypowiedzenie wojny na zabój w imieniu chrześcijańskiego krzyża bardzo groźnej już wówczas potędze tureckiej i wyrugowanie jej z Europy. Prawie natychmiast po zjeździe w Lewoczy rozmaite okoliczności zniewoliły króla do zawarcia z Bajazetem trzyletniego pokoju: te trzy lata teraz właśnie minęły, zaczęł król, w innych sprawach częstokroć bardzo roztropny, w tej jednak gorący i niecierpliwy, zerwał się zaraz do wojny.

Ale okoliczności jeszcze i teraz nie były po temu. Ani z cesarzem Maksymilianem, ani też z Wenetami nie było żadnych sojuszów, wielki książę litewski przyrzekł wprowadzić posiłki, ale musiał zachować pewne względy dla cara moskiewskiego, swojego teścia. Krzyżacy przysłali zaledwie kilkaset ludzi, lecz co najgorsza, nawet na Węgrów nie można było liczyć z pewnością. Król Władysław, bardzo łatwo się godzący na wszystko, przyrzekł był wprowadzić w Lewoczy razem z królem Olbrachtem uderzyć na Turka, ale już stany węgierskie, niepróżne pewnych zazdrości względem Polski, nie były tak bardzo skore do wojny: zaś oprócz tego powstało tam podejrzenie, jakoby król Olbracht miał skryty zamiar zabrania Wołoszczyzny dla królewicza Zygmunta, a Węgrzy byli stanowczo temu przeciwni, ażeby te kraje przeszły pod panowanie Polaków.

Królewicz Fryderyk swoim bystrym rozumem osądził trafnie te niepomysłne warunki, w których ta wojna miała się toczyć, i już w Krakowie starał się króla nakłonić, ażeby jej na teraz zaniechał: ale król tych rad słuchał z niecierpliwością, a nawet się uniósł przeciwko

bratu, mówiąc: „że biskupi a kardynałowie mają brewiarza pilnować, a nie mieszać się w sprawy publiczne”. Zaczem kardynał, przejęty trafnością swoich przekonań, nastawił na króla niektórych panów, pomiędzy którymi trzymali prym Krzesław z Kurozwęk i Mikołaj Podlódowski, kasztelan radomski, a ci mu wsiedli na kark w Przemyśle, ażeby tę wojnę odroczył. Król jednak, widząc, że ich obawy opierają się głównie na tym podejrzeniu, jakoby on szedł tylko rzekomo na Turka, a w rzeczy chciał Wołoszczyznę wojować, nadzwyczaj zřęcznie sobie postąpił, albowiem właśnie tych dwóch głównych oponentów wyprawił w poselstwie do wojewody Stefana, ofiarując mu sojusz i proponując wspólne działanie przeciw Bajazetowi. Tym zřęcznym zwrotem pozbył się niewygodnych doradców, a zarazem w innych wpoił to przekonanie, że nie ma wojennych zamiarów przeciwko Stefanowi, a przeto, że i na pomoc Węgieŕ można liczyć z pewnością.

Krzesław z Kurozwęk i Podlódowski wyjechali z małym dworem, lecz z wielkim pośpiechem; starostowie: Melsztyński samborski, Wilczek tustański i Paniowski stryjski, otrzymali rozkazy przez gońców pośpiesznych, ażeby im po stacjach nagotowali podwozy i konie, ale zarazem, ażeby im sami towarzyszyli, bo dobra jest ufność, ale tym razem król chciał mieć swoich własnych starostów, których całkiem był pewnym, naoczniymi świadkami, jak ci oponujący posłowie wywiążą się z swego poselstwa. Obliczywszy, że wojewoda wołoski powinien by już w pierwszych dniach czerwca jego posłów odprawić, wysłał za nimi rozstawionymi końmi gońca do Suczawy, ażeby prosto do Lwowa wracali, a gońcowi dał rozkaz, ażeby również rozstawionymi końmi przywiózł od nich pisemną wiadomość. Sam zaś także natenczas ruszył z Przemyśla i stanął niebawem na Niskim Zamku we Lwowie, rozłożywszy swoje chorągwie w mieście i po przedmieściach.

Ledwie król stanął na Niskim Zamku, kiedy już Wilczek przyjechał z Suczawy. Jeźdźcono wówczas, kiedy tego była potrzeba, tak szybko, że dzisiaj, zwłaszcza na dalsze odległości, ledwie by kto to potrafił, bo chociaż koni nie braknie, to ludzie dzisiejsi nie są tak jędrni i tak wytrwali. Pod owe czasy jeździec, kiedy sobie konie rozstawił, ujeżdżał po pięćdziesiąt mil na jedną dobę. Wilczek zaraz po odprawieniu posłów, ażeby królewskiego gońca uprzedzić, wsiadł na koń i puścił się wielkim pędem do Lwowa. Koni rozstawnych nie miał, ale jako królewski starosta brał najlepszego konia w którymkolwiek szlacheckim dworze i zostawiał go w dworze następnym.

Tak pędził jak opętany na dzień i noc, mijając jak widmo góry i skały, przesadzając strumienie i rzeki, prując powietrze jak raca przez stępy – a przed jego koniem unosiła się w mgłach postać Jagienki. Nie dla siebie bowiem przedsięwziął on sztukę tak karkołomną, ażeby pierwszy przywiózł królowi wiadomość o rezultacie poselstwa, lecz dla niej: nie miał on żadnej nadziei otrzymania kiedyś Jagienki, ani w cud Boski, którego nie czuł się godnym, ani w kunszty diabelskie nie wierzył, ale... jeżeliby się miała stać rzecz niepodobna, to tylko król mógłby ją zrobić. Zaskarbienie sobie łaski królewskiej otwierało mu jedyny widok nadziei. Toteż tą myślą niesiony upalił te czterdzieści mil prawie bez żadnego zmęczenia i stanął przed królem czerstwy, lekki i wesół, jak gdyby wyszedł z orzeźwiającej kąpieli.

Król go przyjął bardzo uprzejmie, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

– Jużeś mi teraz prawie przyjacielem, nie sługą. Gdyby mi wszyscy tak wiernie służyli, to bym nie tylko Turków wraz z wojewodą zwojował, ale bym cały świat podbił. Powiadajże mi prędko, jak tam ten wojewoda powyrzucał za drzwi tych posłów. Może ich nawet kazał na pale powbijać?

Wilczka zadziwiło cokolwiek to królewskie pytanie, ale zdał mu raport, jak umiał najlepiej. Wojewoda przyjął posłów jak najuprzejmiej, słuchając ich pochylił po kilkakroć głowę przed majestatem królewskim, błogosławił króla za myśl szczęśliwą podniesienia broni na Turka, jego najzawziętszego tyrana i wroga całego chrześcijaństwa, składał ręce i modlił się, ażeby jak najprędzej ślad Turka w Europie nie został, obiecał święcie z całym swym wojskiem połączyć się z armią królewską – protestował się tylko, że sam jest za słaby, ażeby

mógł wojnę poczynać, bo też siedzi z całym swym krajem jakoby w paszczy u Bajazeta, i prosił króla jak najpokorniej, ażeby szedł na Białogród, a jak tylko stanie pod Białogrodem, on ruszy zaraz z całym swym ludem.

Kiedy Wilczek powiadał, król coraz więcej posepniał na twarzy, a kiedy skończył, on rozśmiał się gorzko i spytał:

– A jakże on może łączyć się z nami przeciwko Turkom, kiedy ma syna w zakładzie u tureckiego cesarza? Przecież Bajazet, jak tylko się dowie, że on jest z nami, najprzód każe gardło poderżnąć jego synowi,

Wilczek nie umiał mu na to dać odpowiedzi, rzekł tylko:

– Opowiedziałem waszej królewskiej mości, com słyszał.

Natenczas król zapewne się spostrzegł, że powiedział za wiele, bo zabrał głos znowu i zaczął w ten sens:

– Ale to nie moja rzecz pilnować gardła wołoskiego wojewodzica...

A kiedy król powiedział te słowa, królewicz Zygmunt wszedł przez otwarte drzwi do tej komnaty.

Zygmunt, później jeden z najznamienitszych i najszcześniejszych królów, jakich miała ta Polska, był wówczas trzydziestoletnim młodzieńcem. Jeszcze wspanialszej urody niżeli Jan Olbracht, z długimi włosami w kędziorach, z krótko przystrzyżoną brodą i bardzo wyrazystymi choć łagodnymi oczyma, był on siły tak wielkiej, że targał postronki i łamał podkowy, miewał też gniew prędko i prawie ognisty, ale umiał nad sobą panować, bo miał rozum głęboki i bystry, a przeto i sąd zawsze spokojny, zwłaszcza w sprawach publicznych. Jeżeli król w skrytości swego umysłu miał zamiar przede wszystkim Wołoszczyznę zwojować, to zamiar ten powziął właśnie dla niego, ażeby jego, nie mającego dotąd żadnej własnej siedziby, na tym zdobytym księstwie osadzić. Los jego był zatem, jeżeli nie głównym, to najbliższym celem tej wojny – i dlatego, usłyszawszy zapewne z przybocznej komnaty, że król niebacznie się zdradza ze swymi skrytymi myślami, wszedł do królewskiego gabinetu, aby być świadkiem dalszej rozmowy.

Król, spostrzegłszy swojego brata, sam sobie przerwał i rzekł:

– Bardzo ciekawe wiadomości przywozi nam Wilczek z Suczawy. Wojewoda z całym swym ludem chce ruszać z nami na Turka. Bardzo mu za to jesteśmy wdzięczni. Tylko nad tą kompensatą, której od nas żąda za to, że nam garść chłopów wołoskich przyszele na sukurs, pozwolimy sobie trochę się zastanowić...

– Czegóż on żąda? – zapytał Zygmunt.

– Przepisuje nam drogę – odpowiedział mu król z nie ukrytą ironią – każe nam iść prosto do Białogrodu, zapewne na Kamieniec, bo nie wiem...

Więc królewicz zaczął sam wypytywać Wilczka, każąc mu opowiadać słowo za słowem całą rozmowę posłów z wojewodą Stefanem, bardzo być może, że tylko z ciekawości, ale daleko pewniej w tym celu, ażeby król tymczasem się uspokoił. Wilczek już teraz był zbity z toru i odpowiadał nie bardzo przytomnie, jakoż król dalej już nie nastawał na niego i rzekł:

– Dowiemy się o tym wszystkim dokładniej, jak posłowie powrócą.

Wilczka te słowa królewskie dotknęły bardzo boleśnie, że aż zbladł i spuścił oczy ku ziemi, co wszakże król spostrzegł i położywszy mu rękę na ramieniu, dodał łaskawie:

– Dziękuję ci za fatygę, której podjąłeś się dla mnie. Odpocznij ze sobie u nas mało niewiele i wracaj na Tustań, a tak się tam urządz, abyś się z nami połączył w Haliczu.

Wilczek wyszedł od króla jak struty. Widział on jawnie, że przywiózł królowi niepomyślną, ba, nawet wcale wstrętną wiadomość. Bodajby piorun trząś w tę godzinę, kiedy mu przyszła myśl pędzenia na złamanie karku z Suczawy do Lwowa. Znał on króla na wylot: postępuje on zawsze swym własnym trybem, nie zważa nigdy na złe albo dobre intencje, zawsze tylko skutek waży u niego, ledwie że nie wrogiem mu każdy, co mu złe wiadomości przynosi. Teraz już wszystko przepadło: chybaby zgłupiał zupełnie, gdyby jeszcze o tym pomyślał, że

mu król w jego miłości pomoże. Wszystko mu idzie na wywrót: czego się ręką dotknie, to się w proch rozsypuje; co by drugiemu szczęście przyniosło, to jego w przepaść strąca i gasi ostatni promyk nadziei. Taki człowiek lepiej by był zrobił, gdyby się był nie narodził – a kiedy jest na tym świecie, to mu nic nie zostaje, jak tylko zginąć za jaką pocziwą sprawę. Szczęściem, że wojna się zakurzyła; byleby jej tylko nie odwlekano: ta mu przyniesie zbawienie...

Tak z duszą znowu do samej głębi rozdarta, unikając ludzkiego wzroku, poszedł bocznymi korytarzami do swojej zamkowej kwatery, aby cokolwiek odpocząć.

A kiedy tam wszedł i usiadł w krzesło, razem z umysłem tak ciężko stłumionym odezwało się w nim fizyczne zmęczenie. Przechylił głowę na poręcz i zaczął mrzeć owym snem gorączkowym, w którym zboleła dusza, szukając na próżno spoczynku w zbolełym ciele, wytwarza te fantastyczne marzenia jakby nie z tego świata, których rozum, nie może pojąć ani pamięć nie może uchwycić. Zbudzonemu zostaje po nich tylko wrażenie, że we śnie wieszaly się nad nim jakieś widziadła, ale nie może znaleźć ani jednego słowa, którym by mógł je określić.

Kiedy Wilczek z tego ołowianego snu na jakiś szelest się zbudził, ujrzał starego Kijasa i Tigranesa przed sobą. Potrzeba mu było blisko trzy *Ave Maria*, ażeby otrzeźwiał i wiedział, gdzie jest. Tymczasem obydwaj Ormianie byli bardzo uprzejmi dla niego, a daleko grzeczniejsi niż zwykle, i wypytywali go o zdrowie i powodzenie, na co Wilczek ledwie że im odpowiadał, aż wreszcie mu Kijas wyłożył, że jego syn bardzo piękną wyszyftował chorągiew, która już stoi w obozie i prosił go, aby ją raczył obejrzeć. Ale Wilczek nie bardzo był jej ciekawy, bo rzekł:

– Na co mi tam widzieć waszą chorągiew. Wierzę wam na słowo, że piękna, ale to wam powiadam, że w tej wojnie ani jednego strzępla z niej nie zostanie.

Spokojny Kijas uśmiechnął się na to, bo widział, że tylko zły humor przemawia z Wilczka; znając zaś jego dobre serce i przyjaźń dla siebie, wrócił znów do swojej materii i wyłożył mu, że w tej chorągwi jest dużo szlachty, nawet i znacznej, jak Pretficz, że Tigranes sam jej rotmistrzuje i chciałby rotmistrzostwo zachować, więc jest to prawie koniecznym, aby go król, co najmniej, zrobił szlachcicem, jeśliby nie chciał w swej łasce uczynić dla niego co więcej.

Wilczkowi sprawa ta była zawsze obojętną, chociaż ją zawsze uważał za śmieszna, bo mu Tigranes wcale na żołnierza nie wyglądał: ale w tej chwili to gonienie za szlachectwem albo zgoła za rycerstwem wydało mu się tak poziomym, tak płaskim, tak nawet wstrętnym, że spojrzawszy na nich prawie z pogardą i rzekł:

– Niechby raczej każdy tym był, czym go Bóg stworzył. Gdybyście wiedzieli, jaka to jest cierniowa korona te obowiązki rycerskie, to byście jej pewnie nie zapragnęli. Wolałbym ja być dziś kupcem niżeli rycerzem.

– Ludzka to rzecz, mój kochany starosto – rzecze mu Kijas – że każdy tego pożąda, czego mu nie dostaje.

Zaczem przedłożył mu oględnie swą prośbę, ażeby się za jego synem wstawił u króla.

Ale Wilczek odpowiedział mu cierpko:

– Ja u króla dziś nawet tyle nie ważę, co ten jego piesek, co go ma na pokojach. Macie już wojewodę po sobie, macie Gniewosza i Kamienieckiego, czegoż wam więcej potrzeba?

– Cóż tedy waszmość rozumiesz – spytał go Kijas – czy ta protekcja nam wystarczy?

– Ale wystarczy, pewnie wystarczy – rzekł Wilczek, chcąc się ich jak najprędzej pozbyć od siebie.

Jednak w tej chwili się spostrzegł, że był zanadto szorstkim dla tych swoich przyjaciół, którzy jego zgryzoty wcale nie byli winni, a zawsze tak dobrzy byli dla niego; zaczął ścisnąć Tigranesa za rękę i rzekł głosem wzruszonym:

– Król będzie wielu rycerzy pasował, więc i ty się tam wkręcisz. Gdyby były trudności, to dam ci radę: niechaj cię Gniewosz przyjmie do swego herbu, a wtedy ci pójdzie jak z płatka.



Życzę ci z serca, aby ci się z twoją chorągwią powiodło. Ale to ci powiadam i pamiętaj to sobie jako ostatnią naukę ode mnie, że wojna to nie igraszka dla bogatych paniczów – a zwłaszcza w tej wojnie pewnie żartować nie będą. Król idzie wojewodę Stefana wojować, aby mu jego ziemie zabrać dla królewicza Zygmunta – a wojewoda pierwemu mu Turków i Tatarszczyznę na kark sprowadzi, niżeliby się miał dobrowolnie wyzuć ze swego księstwa. Pójdzie tam ząb za ząb, a oko za oko. Król familijną politykę prowadzi – a my mamy gardła nasze dać za to, ażeby książętko bez ziemi na hospodarskim stolcu usiadło! I damy gardła bez wstępu, bo jesteśmy jak psy, którym nawet skomleć nie wolno. Oddałem królowi usługę, nogą za nią mnie kopnął, mówiąc, że lepiej się tych rzeczy dowie od posłów: teraz zginę za niego, choć wiem, że za mną nawet nie westchnie. Owo, jaki jest los prześwietnego rycerstwa. Bywajcie więc zdrowi. Dziękuję wam za wasze przyjaźń, w której mi zawsze byliście wierni. Zachowajcie mnie w dobrej pamięci – a jak się dowiecie, że sobie łeb roztrzaskał o mury Suczawy, zmówcie za moje pokutującą duszę modlitwę.

Ojciec i syn byli tymi słowami głęboko wzruszeni, Kijas go ścisnął za rękę i zaczął mówić:

– Waszmość jesteś podróżą i bezsennością zmęczony, dlatego masz czarne widzenia, ale Bóg je odwróci.

Ale Wilczek przybrał postawę poważną i tak imponującą, że dalej mówić nie śmieli, zaczem ich obydwóch pożegnał.

Kiedy już byli w korytarzu, Kijas obejrzał się poza siebie i rzekł do syna:

– Ten człowiek ma już śmierć w kościach i mówi głosem umarłych. Niechaj go Bóg ma w swojej opiece, ale ja jestem pewny, że z tej wojny nie wróci.

Ale Tigranes, duchem rycerskim już na wskroś przejęty, odpowiedział mu na to:

– Będę go miał ciągle na oku – a jak będzie w niebezpieczeństwie, przyjdę jemu z pomocą. Z tym poszli odwiedzać innych królewskich rycerzy.

Tymczasem Wilczek zamknął drzwi na zasuwkę, aby nikt do niego nie przyszedł, bo mu wstrętną była każda twarz ludzka – wyspał się – a o świcie, nie widziawszy nikogo na zamku, wsiadł na koń i pojechał na Tustań.

Kiedy się dowiedziano w obozie, że król jest na Niskim Zamku, cała starszyzna się zbiegła do niego, bo każdy pragnął mu się osobiście pokłonić. Ale król kazał wszystkich przeprosić, że dziś nie może przyjąć nikogo, a tylko Fredrę wezwał do siebie. Fredro mu zdał raport o stanie armii i wyliczył mu osmdziesiąt tysięcy uzbrojonego żołnierza, nie biorąc wcale ciurów i służby w rachubę. Opisując mu szczegółowo wszystkie wypadki zaszłe w obozie, wspomniawszy także o owych swawolach i o Chryzostomie, opowiedziawszy zaś, jaki wpływ nieodparty wywierały jego kazania na żołnierzy, dodał radosnym sercem te słowa:

– Powiadam waszej królewskiej mości, że od czasu, jak św. Jan Kapistran kazał w Krakowie, nie mieliśmy w Polsce takiego kaznodziei. Gdybyśmy wówczas, kiedy Chryzostom powiedział swoje pierwsze kazanie w obozie, byli zaraz uderzyli na Turka, to byśmy byli przelecieli jak burza przez całe cesarstwo tureckie i nie oparli się aż o grób Chrystusa Pana, aby Mu podziękować za zwycięstwo.

Więc król, wzięwszy to na uwagę, kazał zaraz szukać Chryzostoma i nie czekając, prowadzić na zamek. A kiedy Chryzostom przyszedł, król bardzo uprzejmie go prosił, ażeby został w obozie i szedł na wyprawę. Chryzostom protestował się w swojej skromności, mówiąc, że sam nie wie, jakim się to stało sposobem, że swoim kazaniem taki wpływ wywarł na obóz, czuł bowiem tylko dreszcze po całym ciele, a słowa wylatywały z ust jego bez jego wiedzy, zaczem rozumie, że chyba Pan Bóg sam użył go za narzędzie i mówił jego ustami; ale się chętnie poddał woli królewskiej – i mianowany jest kaznodzieją pospolitego ruszenia.

Nazajutrz rano król jechał ze wszystkimi nadwornymi dygnitarzami i rotmistrzami, ażeby obóz oglądał. Wszystkie chorągwie, regimenty i sotnie wystąpiły pod rozwiniętymi sztandarami, każda na swoim miejscu – a wtedy było co widzieć: bo obóz wyglądał właśnie jak las

drzew ruchomych, a poprzybieranych w błyszczące pancerze, tarcze, hełmy, kopie i różnobarwne proporce, a najstarsi żołnierze nie pamiętali, ażeby kiedy tak liczną armię polską widzieli.

U ołtarza w środku obozu odprawiono mszę św., a celebrował sam arcybiskup lwowski, otoczony nieprzeliczonym mnóstwem biskupów i kanoników, że ich tak wielu razem także nieczęsto zdarzało się widzieć. Kazania nie było, bo królowi niemało czasu było potrzeba, ażeby cały obóz objechał. Natomiast mieszczanie uświetnili to nabożeństwo, bo wytoczyli dwanaście armat na Wysoki Zamek i bili z nich przez całą mszę prawie bez upamiętania, tak że ziemia się trzęsła, a słyhać ich było pewnie do Żółkwi. A mieli bardzo piękne armaty spiżowe, pomiędzy którymi jedna darowana im przez kardynała Fryderyka z jego herbami, artylerzyści byli także bardzo przystojnie ubrani, w białych kabatach, w czerwonych pludrach i w sapeluszach skórzanych, w mosiądz oprawnych a ozdobionych pióropuszcami. Owo szalone bicie z armat było nastrojone przez starego Kijasa, o czym też doniesiono królowi. Po mszy św. król jechał do każdej chorągwi i rozmawiał łaskawie z wojewodą, kasztelanem albo rotmistrzem, kto właśnie stał na jej czele. Taką samą rozmową zaszczycił także Kergolaja, Tigranesa i Olizara, wszakże przy tym ostatnim się najdłużej zatrzymał, bo mu się bardzo podobali jego kozacy, że mieli konie takie zwinne a szybkie, a i ludzie byli nad podziw zuchwali, co im też i z oczu patrzyło.

Król kazał im zrobić kilki obrotów, a widząc, że są właśnie jak wiatr, co go nikt zgonić nie może, nie mógł się nimi nacieszyć i rzekł do Olzara:

– Niechże ci będzie na zdrowie, mój panie Olizar! toż ty latasz jak ptak z tym twoin koźactwem. Chciałbym, abyś miał takich choć z dziesięć tysięcy, a wtedy rozumiałbym, żebyś mi wszystkich Tatarów utrzymał na wodzy. Pomyślimy też o tym swojego czasu; ażebyś nam takich sotni przymnożył.

Potem król jechał aż do Srok i do Łaszek – a wszędzie witany jest i żegnany rozgłośniami okrzyki, bo też swoją wymową, znajomością wszelakiej broni i dobrocią serca wszystkich sobie pozyskał.

Mieszczanie, także za namową starego Kijasa, chcieli wyprawić wielki festyn dla króla, ale król im się na teraz grzecznie wyprosił, mówiąc, że przed wojną nie czas się weselić; natomiast wszakże u niego co dzień po kilkadziesiąt osób siadało do stołu, których przyjmował i raczył z jagiellońską hojnością.

Niebawem potem powrócili posłowie z Suczawy. Krzesław z Kurozwęk i Podlodowski zdali sprawę ze swego poselstwa dosłownie tak samo, jak Wilczek, zaczętem król im powiedział:

– Widzicie więc, że w Stefanie mamy sprzymierzeńca, nie wroga.

Jakoż ani przy tej audiencji, ani też potem, w żadne dalsze dyskusje się z nimi nie wdawał, a milczał, tak że wszyscy byli przekonani, że Wołosza jest z nami, a my idziem na Turka.

Natomiast król już nazajutrz kazał otrąbić pochód i dał pospolitemu ruszeniu ośm dni czasu do zwinięcia namiotów.

A wtedy król przystąpił do pasowania niektórych szlacheckich młodzieńców na rycerzy. Było ich wszystkich tylko dziewięciu, którzy wtedy dostąpili tego zaszczytu: dwóch Koniecpolskich, młody Herburt z Fulsztyna, dwóch kniaziów Olszańskich, Sienko Łopatka de Ostalowice, brat Pachny, Lubek Pretficz, Frąc Ajchinger własnego herbu i przyjęty przez Kamienieckiego do herbu Tigranes Chiaao de Skniłow.

Piękna ta uroczystość odprawiła się jeszcze według dawnych zwyczajów.

Dniem przedtem wszyscy dziewięciu służyli królowi u stołu, podając mu potrawy, nalewając napoje i przynosząc po wieczery wodę do umycia rąk i ręczniki. Po wieczery król w obecności wszystkich swych biesiadników, którzy kołem za nim stanęli, uderzył każdego z nich lekko ręką po twarzy na znak, jako odtąd wyzwoleń jest od służby paziowskiej i wszelkiej innej, stawiającej go niżej od któregokolwiek rycerza, a zarazem na świadectwo, jako

zmyte są zeń wszelkie hańbiące kary, jakie dotychczas od swego pana otrzymał. Obrzęd ten zdjął wielki ciężar z serca Pretficza i widać to było po wdzięcznym uśmiechu na jego twarzy.

Nazajutrz przed świtem szli wszyscy do łaźni, zaczem każdy wracał do siebie i ubierał się w bieliznę i suknie całkiem nowe, których nikt jeszcze nigdy nie nosił. O wschodzie słońca każdy szedł do spowiedzi, katolicy do zamkowego kościoła, Olszańscy i Łopatka do ruskiej cerkwi, ale Tigranes, który przy tej sposobności przeszedł na katolicki obrządek, także do zamkowego kościoła, i wszyscy przystępowali do przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej. Potem każdy znów wracał do domu i ubierał się w pełną zbroję rycerską, w pancerz i hełm, tylko bez miecza. Natenczas szli na mszę św., która na ich intencją się odprawiała w kościele św. Katarzyny, znajdującym się wewnątrz Niskiego Zamku, i słuchali całego nabożeństwa, klęcząc przy drzwiach za plecyma rycerstwa.

Po mszy rycerstwo się rozstało, a oni stanęli w środku kaplicy i słuchali kazania, które miał dla nich tym razem Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski, chociaż duchowny, jednak sam bardzo wspaniałym duchem rycerskim przejęty.

Po kazaniu król zasiadł pod baldachimem w zamkowym dziedzińcu, po jego prawej stanęli w półkolu dygnitarze koronni i nadworni, duchowni i świeccy, po lewej co najprzedniejsi rycerze, w głębi naprzeciw króla owi dziewięciu młodzieńców ze swymi chrzestnymi ojcami. Z krążganków patrzyli na tę uroczystość goście świątecznie przybrani, pomiędzy którymi widać było starego Kijasa i Formozę. Każdy z młodzieńców miał obok siebie dwóch chrzestnych ojców albo też swatów (jak ich u nas po staremu wołano), za których instancją zaszczyt ten otrzymywał: Tigranesowi służyli za swatów Kamieniecki i wojewoda ruski Tęczyński. Gniewosz mu się tak od przyjęcia go do swego herbu, jak i od tej służby, bardzo zręcznie wymówił (zapewne się obawiał, ażeby z tego jakich plotek nie było), ale mu za to dał tak znamienitych i sławnych rycerzy, że lepszymi swatami nikt się nie mógł pochwalić.

Potem każdy z młodzieńców przystępował ze swymi swatami do królewskiego tronu i klękał na ostatnim stopniu przed królem. Król uderzył go gołym mieczem trzy razy po lewym ramieniu i mówił: „W imię Boga wszechmogącego, a z naszej łaski królewskiej pasujemy cię na rycerza i wkładamy na ciebie obowiązek, ażebyś zawsze i wszędzie stawał walecznie i mężnie w obronie św. wiary chrześcijańskiej, majestatu naszej królewskiej korony, czci twojej własnej i twoich braci i wszelkiej niewinności a cnoty pomiędzy ludźmi”. Natenczas młody rycerz podnosił prawą rękę do góry, wymawiał uroczyście te słowa: „Tak mi Panie Boże dopomóż!” i kłaniał się niziuteńko królowi, zaczem jego swatowie zawieszali mu miecz jego przez prawe ramię i prowadzili go między rycerstwo, gdzie jest uprzejmie witany przez wszystkich braterskim ściśnięciem ręki.

Konieczpolscy, Herbut i inni odprawili tę uroczystość z uśmiechem na ustach, jak ludzie mający przekonanie, że tylko to otrzymali, co im się należy; Ajchinger był nastrojony bardzo poważnie, bo chociaż był szlachcicem niemieckim i lekce sobie ważył rycerstwo polskie, przecież czuł, że mu tego rycerstwa nie dostawało i że przez nie został wywyższon w znaczeniu: ale Tigranes był do głębi wzruszony i łzy miał w oczach, kiedy go co przedniejsi rycerze ściskali za rękę. Chociaż już od lat kilku za granicą i w kraju przez wielu młodszych rycerzy był traktowany jako ich równy, a jego bogactwa, wspaniałość i hojność odznaczały go nieraz nawet bardzo korzystnie pomiędzy nimi, przecież dotychczas miał to uczucie, jak gdyby był tylko jakimś zwierzątkiem cierpianym przez szlachtę – a dopiero teraz narodził się całym człowiekiem. Toż ochłonawszy cokolwiek z pierwszego wrażenia, spojrzął z nieopisanym wyrazem szczęścia, a nawet cokolwiek dumy na zamkową galerię, skąd jego ojciec i jego żona spoglądali na niego. Stary Kijas, dojrawszy go w tłumie, złożył ręce ku niemu i podniósł oczy do góry, i zdało się, jak gdyby mówił: Stało się, Panie! teraz puść duszę moją w spokoju. Formoza go także dojrzała i pozdrowiła go ręką, ale zdawała się roztargnioną, co tym się tłumaczy, że za nią stał Gniewosz i pokazując jej niektóre znamienitsze osoby królewskiego dworu, opowiadał jej, kto są i co znaczą.

Po tym obrzędzie król mianował kilkunastu rotmistrzów i poruczników, wszelako przed wszystkimi innymi Olizar uczyniony jest pułkownikiem, a przy nominacji zaszczycony bardzo grzecznymi komplementami od króla. Był to pierwszy pułkownik kozacki mianowany z ramienia korony polskiej.

Tego wieczora stary Kijas wyprawił haniebnie sutą biesiadę, ażeby uczcić rycerski chrzest swego syna. Niewielu gości mógł sprosić, bo jako w przeddzień ruszenia obozu niemal u wszystkich możniejszych panów były biesiady. Przybyli tylko wszyscy młodzi rycerze ze swymi swatami, a z nimi Kergolaj i Olizar. Było i kobiet cokolwiek, i panien, a między nimi Pachn a, różowa, uśmiechniona, wesoła i pusta jak zawsze. Pomiedzy gośćmi znajdowali się Tęczyński i Fredro, zaczęło być dwóch wojewodów ruskich żywych za jednym stołem, czego jeszcze ludzkie oko nigdy nie widziało i czym się bardzo bawiono. Rybałci grali i śpiewali podczas biesiady, zaś wyborowi błaznowie powiadali wesołe rymy polskie, niemieckie i włoskie. Pito wielką gębą owę przedziwną malmazją, jakiej i w piwnicy królewskiej nie było. Fredro przepyszne żarty wyprawiał z błaznami, przekręcając ich rymy we wszystkich językach i dodając swoje do tego, a każąc im kozły wywracać przed sobą, jeden za drugim rozgłośnymi wybuchami śmiechu witane, lecz przy tym miał także oko na piękne kobiety, bo chociaż już to kawalerskie rzemiosło zarzucił, przecie lubił z nimi żartować – a bodaj czy się zawsze na żartach kończyło, bo jak diabeł w jakim piecu wziął palić, to i na to nie uważa, że się piec już podstarzał. Dostało się też i Pachnie niemało dosadnych komplementów od niego, bo swawolnicy się zawsze zaraz na sobie poznają, chociaż była jak gdyby w obłączeniu od Kergolaja i Ajchingera, do których i Olizar się przyczepił, podobno już nie tyle z miłości dla niej, ile ze złości na Frąca, któremu tej nimfy serdecznie zawidził, a teraz go już wcale zniercierpiał, kiedy nie wiedzieć za czyją protekcją pasowan jest na rycerza. Jakoż mu ciągle docinał, mówiąc:

– Już cię ktoś wywindował na rycerza, mógłbyś się teraz ściąć z tym Francuzem; ale podobno masz przed nim respekt i ja ci to chwale.

– Z Francuzem albo i z tobą – odpowiadał mu Frąc, który już teraz miał fantazją po temu.

– Więc jutro – zawołał Olizar, przyskakując do niego.

– Jak wola, choćby i dziś. Jeno między rycerstwem jest taki obyczaj, że się przed wojną pojedynkiem nie biją, potrzeba pierwej trochę Turków nasiekać...

– Będę ja tobie dobrze patrzył na ręce, ile to tam tych Turków nasieciesz. Jakoż to wiedz, że jeśli stchórzysz, to będziesz miał świadka. A potem, wiesz... ja sam własnymi rękami ci czepec wsadzę na głowę. A będzie to widowisko, że cały obóz się będzie trzymał za boki.

I Rusin śmiał się, a Niemiec się gniewał.

Obok nich z dala, w odległości, jaką nakazywała na doświadczeniu oparta roztropność, stał Kundrat, podtrzymywał ręką swój tłusciutki podbródek i mówił z cicha do siebie:

– Przecież nie wszyscy trzej wrócą z tej wojny – a może i wszyscy trzej dostąpią tej łaski Boskiej, że dadzą gardła za zdrowie królewskie. Niechże im Pan Bóg pomaga. A jeśli który z nich wróci bez ręki albo bez nogi... to mu dam łóżko w miejskim szpitalu.

I śmiał się Kundrat, ale zaraz w kąć się zasunął, aby który nie spostrzegł jego uśmiechu.

Tak w rozmaitych grupach rozsypali się goście po wszystkich komnatach, pijąc, śmiejąc się, śpiewając i hałasując, zaś w największej komnacie ci i owi zaczęli taniec przystojny i skromny, we dwoje albo we czworo, któremu starsi wtórowali gestami i śpiewem.

Jednakże w tej komnacie było dwoje ludzi, którzy nie hałasowali z innymi. Byli to Formoza i Gniewosz. Zasiedli oni w kąciku, a korzystając z ogólnej wrzawy, rozmawiali spokojnie ze sobą.

Gniewosz, od czasu jak z królem przyjechał do Lwowa, bywał codziennie u starego Kijasa i co dzień widywał Formozę. Będąc w wielkim poszanowaniu u jej teścia, mógł z nią zawsze rozmawiać bez przeszkody: ale też tyle było ich szczęścia, ile im przynosiła ta swobodna rozmowa.

Owszem, poznawszy się teraz bliżej i wymieniwszy ze sobą wszystkie swe myśli i wszystkie uczucia, miłość ich, która z początku pociągała ich wprawdzie gwałtownie, ale tylko instynktowo ku sobie i tłała tylko jak iskra, mocno paląca i nieugaszona, ale szczelnie zamknięta w ich sercach, rozlała się teraz po całym ich ciele, objęła umysł i duszę i spoiła ich tak nierozdzielnie ze sobą, jak gdyby w nich obojgu tylko jedna myśl żyła i jedno ożywiało ich tchnienie. Duchowy ich związek był tak potężny, że żadne z nich ani sobie wyobrazić nie mogło, ażeby istniała jakaś taka nadludzka siła, która by ich potrafiła rozerwać – chociaż oboje razem także dostrzec nie mogli, jakich by na to potrzeba wypadków, ażeby się mogli kiedyś przed Bogiem i ludźmi połączyć. Była w tym sprzeczność wobec rozumu; ale ta miłość, na której świat stoi, rodzi uczucia tak sprzeczne, a przecież spodem idące ze sobą, bo rodzi zarazem tę wiarę, że jest od Boga natchniona i że oparte na niej nadzieje muszą się spełnić, chociażby się przeciw nim całe piekło sprzysięgło. Formoza miała dotychczas gorętszą wiarę niżeli jej ulubieniec, ale dziś była smutną i nie tała przed nim tych rzewnych uczuć, którymi była przejęta.

– Dzisiaj wszyscy się cieszą – mówiła do niego – jedni otrzymali tytuły i honory, drudzy radują się życiem, które im płynie po myśli, tylko nas ciężka przygniała żaloba, bo nie wiemy, jakie jutro nas czeka. A nadto jeszcze i nasze chwilowe szczęście już nas porzuca: waszmość już jutro będziesz w drodze Bóg sam wie dokąd – a ja tu sama zostanę i chyba w moich łzach znajdę pociechę.

– Ufajmy Bogu – rzekł Gniewosz – jakeśmy dotąd ufali. Bóg widzi, że jesteśmy bez grzechu, że nie budujemy naszych nadziei na cudzym nieszczęściu, że nawet żadna myśl taka w nas nie powstała, do której byśmy się przyznać nie mogli – a On znajdzie sposób, aby nam to nagrodzić.

– I ja nigdy inaczej o tym nie myślę – mówiła dalej Formoza – toż nie to mnie dzisiaj zasnuca. Ale waszmość jedziesz na wojnę, a z wojny (bodajbym tego nie wymówiła w nieszczęśliwą godzinę) nie każdy zdrowo powraca.

Lecz na to Gniewosz ścisnął ją żywo za rękę i rzekł głosem czystym i pewnym:

– Nie frasujże się tym, moja najmilsza. Jużci na wojnie śmierć chodzi po ludziach, ale i na nią jest sposób. Na wojnie mam ja pancierz na sobie, co go żaden młot nie rozwali. Mam też miecz i siekiere, a moja ręka tak do nich przyzwyczajona, że jeszcze takiego nie widział, co by do mnie przystąpił, chociażem na niejednej wojnie już bywał, a Bóg mi świadkiem, że nie uciekał przed bitwą. Teraz zaś mam jeszcze moje własną chorągiew, każdy tam człowiek jak wieża żelazna, a wszyscy się siebie trzymają, jak gdyby byli skuci łańcuchem; chciałbym też widzieć tych Turków, co by się o nas nie rozbili jak garniec gliniany. I wojna się przegra, jeżeli Bóg zechce, i z całego pospolitego ruszenia tylko strzępłe zostaną, a ja z moją chorągwią tak samo tu wrócę, jakem wyjechał.

Więc Formoza odetchnęła z głębokiej piersi i spojrzała nań oczyma pełnymi wesela i uwielbienia, boć wprawdzie zawsze wiedziała, że to nie taki rycerz, jak inni, ale teraz on sam to potwierdził, on, który nigdy nic nie udaje, on, który ma rozum bystrzejszy niż którykolwiek z ludzi żyjących, on, który wie wszystko i nigdy się w niczym nie myli...

Te słowa jego ją całkiem uspokoiły. Widząc to, Gniewosz także się rozweselił i tak mówił dalej:

– Nie chciałem ci tego powiadać, bo nie lubię budować na piasku, ale ci powiem, bo słowo królewskie to przecie nie piasek. Podczas rycerskiego obrzędu król nas spostrzegł na zamkowej galerii, a po obrzędzie na osobności ze mną rozmawiał, mówiąc: – Słysz Gniewosz! widziałem ciebie za plecyma tej damy, co cię chwyciła za serce i żal mi się was zrobiło, bom czytał na waszych twarzach jak w książce, że oboje dalibyście życie za siebie. Z powodu tego tam sejmu i terażniejszej wojny nie miałem czasu tym się zatrudnić, ale daję tobie moje słowo królewskie, że jak tylko z tej wojny powrócimy, zaraz się zajmę tą sprawą – a choćbym miał którego biskupa z tym posłać do Rzymu, to poszlę, ażeby wam obojgu rozwód wyrobić. Mój

brat kardynał zaprzęgnie co najmądrzejszych teologów do tej roboty, ażeby papieżowi do zrozumienia wyłożyli wasze *gravamina*, a ja też także za tym przemówię. A potem już cię i z rotmistrzostwa wypuszczę i dam ci jaką kasztelanią, ażebyś też sobie po trudach wojennych w małżeńskim szczęściu wycpoczał...

Kiedy Gniewosz to mówił, Formoza go z całej siły cisnęła za rękę, aż też i sobie wycisnęła łzy z oczu. Ale te łzy spływały po rozpromienionej twarzy – i wyglądały jak brylantowe krople rosy na listkach róży, patrzącej swoją radosną twarzą na słońce wschodzące.

A wtedy starsi już tak podpili, że dalej nie mogli, zaczęli żegnać się ze starym Kijasem na środku komnaty i zabrawszy młodzież ze sobą, wyszli tłumnie z gościny.

Gniewosz tylko jeszcze raz ścisnął Formozę za rękę i wyszedł także z innymi.

A nazajutrz rano królewskie chorągwie pierwsze ruszyły w pochód, stanowiąc straż przednią obozu.

W obozie już od samego świtu wszczął się ruch wielki, rumor i hałas jak w piekle. Trąbiono i bito w bębny na wszystkich punktach, od Niskiego Zamku do Malechowa, a od Zboisk do Łaszek. Chorągwie się ściągały jedna za drugą, za nimi regimenty piesze zaciężne, niemieckie i czeskie, armaty na wozach uprzężonych wołami, a wreszcie wozy wyładowane namiotami, kuchnią, piwnicą, a strzeżone przez służbę pańską i ciurów.

W czas rano król z wielkim dworem zjechał do obozu i słuchał z konia mszy św. – po mszy zaś puścił się w drogę mijając miasto, a za nim cały obóz wyruszył.

Natenczas były znowu złe znaki, z których trwożliwi wywodzili złe wróżby. Ksiądz przy mszy św. w obozie upuścił był sakrament na ziemię i ledwie go mógł odszukać; szły nawet głosy, że go całe nie znalazł. Po nabożeństwie jeszcze raz on chłop ze skażonym rozumem się zjawił i zastępując chorągwiom drogę, wołał do nich: „Na swe złe jedzicie, żaden z was stamtąd nie wróci, lepiej wracajcie do domu.” Królewski koń biały, co szedł na podwodzie, w bardzo mizernym potoku utonął. Nuż wreszcie woły, co spiżę wiozły, a których było ze dwieście, wiatr porozpędzał po polach, że aż konnych pacholców trzeba było za nimi wysyłać, aby je spędzić do wozów. Niektórym więc serce zmiękło do tego stopnia, że jęli przedkładać królowi, aby zaniechał tej wyprawy. Ale król jeszcze na nich się zgniewał i sfukał ich, mówiąc:

– Kto chce wróżb słuchać, niech idzie do wróżki – a jeśli kogo tchórz oblatuje, to niechaj wraca do domu.

Zaczem jak tylko król wspomniał o tchórze, zaraz wszyscy umilkli.

Ale w dalszym pochodzie zdarzył się inny wypadek, który był także złym znakiem, tylko zupełnie innej natury. Albowiem kiedy król do Halicza przyciągnął, zastąpili mu drogę posłowie od wojewody Stefana. Było ich trzech: wszyscy trzej bardzo zacni bojarowie wołoscy, o ogorzałych twarzach, orlich nosach, czarnych oczach jak gałki; w atłasach i aksamitach, i czapkach uszatyh, węgierskich, z piórami, na koniach wielkich, tureckich, z długimi grzywami – a jechali pod rozwiniętym sztandarem, na którym było widać czarną głowę bawołą w jasnym polu.

Po tym sztandarze król ich poznał z daleka i zaraz się srodze zachmurzył, zaczęli rzekł do Kamienieckiego, który jechał po jego lewej:

– Imć pan wojewoda pewno mi znowu upomnienia posyła, ale teraz nie czas na dysymulacje.

Kamieniecki, będąc wtajemniczony we wszystkie skryte zamiary królewskie i przeczuwając zapewne, co się w tym razie stać może, zrobił mu na to półgłosem jakąś uwagę, ale król odpowiedział mu dumnie:

– Co król polski, to nie wielki książę litewski, nie będzie też wchodził w traktaty z hospodarem wołoskim.

Był to przycinek do brata królewskiego, Aleksandra, który ciągle przyjmował posłów Stefana i ponawiał z nim zapewnienia przyjaźni, a posiłków jeszcze dotąd nie przysłał, o czym król dobrze wiedział i nie mógł mu tej dwoistości przebaczyć.

Zaczem Kamieniecki umilkł – a tymczasem posłowie wołoscy zbliżyli się do króla, pokłonili mu się z wielkim respektem i zaraz zaczęli przedkładać swoje poselstwo.

Mówili po rusku: język rumuński na Wołoszczyźnie i Multanach krył się jeszcze natenczas pomiędzy ludem, bojarowie znali wprawdzie język łaciński, ale niedostatecznie, zaczem górował tam język ruski, tym też językiem mówiono powszechnie i w nim spisywano dokumenty publiczne. Posłowie powtórzyli królowi te same oświadczenia wojewody, jakie mu niedawno przywieźli Krzesław z Kurozwęk i Podlodowski, ale była w ich wykładzie znaczna różnica, albowiem określiwszy dosyć pobieżnie gotowość Stefana połączenia się z królem i uderzenia z nim razem na Turka, zażądali z naciskiem, ażeby król szedł na Kamieniec prosto do Białogrodu, a Wołoszczyznę ominął, a dodali już prawie groźnie: „że jeźliby król wtargnął w ziemie wołoskie, tedy wojewoda Stefan mu każe powiedzieć, że będzie tego żałował”.

Kiedy król usłyszał tę groźbę, spłonął tak srogim gniewem, w jakim go jeszcze nikt nigdy nie widział. Oczy mu się zaiskrzyły jak dwie gromnice, usta mu drgały jak w febrze, prawą ręką kapelusz przesunął na prawe ucho i tylko pojedyncze słowa mu wylatywały spomiędzy zębów jak kule z armaty:

– Zuchwalcy!... Cygany!... Ten wójt wołoski... mnie będzie groził! Ja piekło mu zrobię na jego wójtostwie, a ogniem i krwią mu odpowiem na jego groźby. W dyby tych panów posłów!

Jakoż zaraz krzyknął na Kamienieckiego, aby ich całą chorągwią otoczył. Kamieniecki skoczył, gdyby go kto z procy wystrzelił, w jednym mrugnieniu oka odciął Wołoszę od króla i ścisnął ją w środku swojego rycerstwa.

Na próżno posłowie protestowali się przed Kamienieckim i nawoływali swą nietykalność, na próżno niektórzy panowie polscy usiłowali gniew króla uspokoić i przywodzili racje polityczne, ażeby posłów nie więzić: król nikogo nie słuchał – a natomiast dał rozkaz, ażeby posłów pod dobrą strażą odprowadzono do Lwowa i zamknięto do turmy, który to rozkaz natychmiast jest wykonany.

Owo więc na ten choleryczny postępek króla zaczęto mruzczyć w całym obozie, a zwłaszcza pomiędzy starszyzną. Jednogłośnie wyrokowano, że posłów nie godzi się imać i więzić, bo jest to przeciwko powszechnemu prawu narodów. Jedni uważali to za znak najgorszy i ominowali<sup>49</sup> z tego nieszczęścia, inni zaś wpadali na rozmaite domysły o powodach, które tak nagle zmieniły przyjacielskie sentymenty Stefana. Ale pomiędzy znaczniejszymi panami, którzy się na własną rękę trudnili politycznymi sprawami i mieli po zagranicznych dworach swoich przyjaciół, a często i szpiegów, szła już wieść głucha, jakoby Węgrzy, nie chcąc dopuścić, ażeby król zabrał ziemie wołoskie dla Polski, ostrzegli Stefana o sekretnych zamiarach królewskich, a nawet jakoby mu na ten wypadek już posłali zbrojne posiłki. Tak też było w samej istocie.

Wprawdzie w obozie tylko niektórzy znaczniejsi panowie o tym wiedzieli, ale jak to za zwyczaj zły humor spływa nieświadomie z większych na mniejszych, tak i tym razem nieukontentowanie rozniosło się po całym pospolitym ruszeniu, szlachta bardzo cierpko sarkąła za to na króla (o czym Wilczek dawniej już wiedział), że prowadzi politykę dynastyczną, jagiellońską, ale nie polską, że szafuje krwią polskiego narodu dla osadzenia swojego brata na księstwie wołoskim, że żadnych z nikim nie pozawierał sojuszków, że wcale nie myśli o wojnie w obronie wiary przeciwko niewiernym Turkom, że, owszem, chrześcijańskich chce zwojować Wołochów, że wreszcie tą wojną tylko jeszcze całą potęgę turecką ściągnie na Polskę... Król, dowiedziawszy się o tych kwasach w obozie, kazał pospolitego ruszenia bystrzej

---

<sup>49</sup> ominować (łac.) – wróżyć, przepowiadać

pilnować i pochód przyspieszył; ale mimo to ten i ów szlachcic wspomniał sobie na żonę i dzieci i wymknął się chyłkiem z obozu – a kiedy armia do Śniatyna przybyła, nie było już całych ośmdziesięciu tysięcy żołnierzy.

Jednakże od Czerniowiec znowu lepszy duch wstąpił nawet w pospolite ruszenie, albowiem, straże przednie zastały miasto całkiem wyludnione, wszyscy mieszkańcy wynieśli się w lasy i nikt go nie bronił i takie opustoszone wsie spotykano w całym dalszym pochodzie. Zaczem poszedł głos po całym obozie: Jakeśmy wzięli Czerniowce, tak i Suczawę weźmiemy, nigdzie Stefan nie postawi nam czoła.

Ale Suczawa, położona na górze, była fortecą, jak na owe czasy nawet bardzo silnie obwarowaną. Panując nad rozległą doliną, rozciągającą się pomiędzy pochylistymi wzgórzami, była ze wszystkich stron otoczona wałami i nadzwyczajnie silnymi murami, na których gęste wznosiły się baszty, armatami zjeżone. Zdobycie jej nie było łatwym zadaniem, nawet dla tak potężnej armii, jak polska.

Król, myśląc zrazu, że znajduje się w niej tylko słaba załoga, rozwiniawszy całą swą armią opodal pod lasem, tak aby ją z murów widziano, posłał parlamentarzy, wzywając załogę do poddania się, obiecując w takim wypadku nie tknąć żadnej osoby ani niczyjej własności, lecz na wypadek oporu grożąc srogimi karami. Ale komendanci kazali mu odpowiedzieć: że wojewoda Stefan zagroził im również srogimi karami, jeżeliby się poddali, zaczem bronić się muszą do ostatniego oddechu. Natenczas król postanowił oblec Suczawę.

Fredro, jako najdoświadczeńszy ze starych rycerzy, z dodatkiem Kamienieckiego, bardzo uczonego żołnierza, otrzymał od króla rozkaz urządzenia oblężenia. Fredro wywiązał się bardzo rozumnie ze swego zadania. Podzieliwszy całe pospolite ruszenie na cztery obozy, otoczył nimi ze wszystkich czterech stron tę rozległą fortecę. Każdy obóz okopał się na swoim stanowisku, okrążył się z trzech stron swymi wozami, wytoczył dwanaście armat przed siebie i został opatrzony w zaciężną piechotę i ciurów, uzbrojonych w młoty i siekiery do rąbania murów. Wszystkie cztery obozy zostały powiązane ze sobą łańcuchem czat, bardzo pilnie strzeżonych. Naczelne dowództwo nad tymi obozami wzięli czterej wojewodowie: Spytek Jarosławski – krakowski, Jan Szram Tarnowski – sandomierski, Ambroży Pampowski – poznański, a teraz generał wielkopolski, i Mikołaj Tęczyński – ruski.

Król stanął od wjazdu pod lasem i oprócz dwunastu dział zatrzymał przy sobie cały swój dwór wojskowy. Dwór ten składał się z przeszło pięciu tysięcy samego konnego rycerstwa z knechtami, lecz było przy nim więcej niż drugie tyle piechoty, ciurów i rozmaitej służby królewskiej. Z dworem królewskim stanęli razem biskupi ze swymi pancernymi pocztami – a przyłączyły się doń także wszystkie chorągwie wolontariuszów, jak Kergolaja, Tigranesa i Olizara. Do dworu należał także Wilczek, na czele bardzo pięknej chorągwi, złożonej z jego własnych żołnierzy, z okolicznej szlachty i niektórych mieszczan tustańskich.

Przy jego chorągwi wisiał także Biłowus z pocztem swoich dziesięciu żołnierzy i był dziwowiskiem dla wszystkich dworskich paniczów, tak okrutnie dziko wyglądał. Był bowiem ubrany w pancerz i hełm skórzany, tarczę miał także skórzaną, siedział zaś na swoim kudłatym, cętkowanym ogierze, z łukiem na plecach, z toporem pod lewym kolaniem i z pałą na temlaku – i tak samo byli przybrani jego wszyscy żołnierze, bo nawet i konie takiego samego miotu, chociaż niejednakowej maści, im podobierał. Biłowus nienawidził Wilczka jak wcielonego szatana, nosił nawet w skrytości swojego serca zamiary zemsty przeciwko niemu za uwiedzenie swej córki, którego mu nie mógł przebaczyć; gdyby się z nim znalazł sam na sam, to kto wie, czyby go złość nie uniosła i czyby się nie rzucił na niego, aby go zabić: ale Wilczek był jego panem. Kazał mu się stawić z swym pocztem i ciągnąć z nim razem na wojnę. Biłowus chyba by nie był Rusinem, gdyby był tylko o tym pomyślał, aby się sprzeciwić rozkazowi swojego pana. Długoletnia niewola tak samo się zamienia w tradycję i żyje we krwi następujących po sobie pokoleń, jak дума rodowa, opozycja przeciwko władzy monarszej i żądza niepodległości.



Urządzenie oblężenia trwało przez cały tydzień, po czym się wzięto do szturmów. Obozy polskie biły kolejną z armat w mury Suczawy – a Wołosi odpowiadali im z murów działowymi kulami. Kule te niewielką szkodę wyrządzały sobie wzajemnie, bo pod owe czasy o strzał celny nie było łatwo. Czasem kula wołoska porwała kilku żołnierzy w polskim obozie, pogrzebano ich z żalem; czasem kula polska zerwała kilkunastu Wołochów z murów i wielki popłoch uczyniła pomiędzy nimi – a wtedy rozgłośny śmiech wybuchał w polskim obozie i rozlegał się przez strażę po innych obozach.

Artyleria polska była lepszą od wołoskiej, byli pomiędzy nią artylerzyści za granicą wyćwiczeni w tej służbie. Toż kilka, ba, nawet kilkanaście razy udało się jej, strzelając przez cały dzień bez ustanku, wybić pod wieczór dostateczny wyłom w murze fortecy, ażeby weń rzucić piechotę z drabinami i siekierami. Wtedy przygotowywano się do szturm nazajutrz rano: ale zawsze Wołosi przez noc wyłom zamurowali na nowo, tak że nazajutrz trzeba było znowu kazać grać działom, ażeby nowy wyłom wystrzelić.

W tej oblężniczej robocie było dużo opieszałości z naszej strony: naczelni dowódcy obozów nie rozwijali należytej energii. Król na nich wcale nie naglił, sam bardzo rzadko się pokazywał w obozach, powiadano, że jacyś obcy posłowie przyjeżdżają do jego namiotu, że z nimi układy prowadzi, że wojewoda Stefan kryje się z swymi wojskami po lasach pobliskich, że sam prosi o pokój, że król węgierski przez swoich wysłanników także do pokoju namawia, że więc to wszystko się skończy na niczym. Stąd szlachta także się nie bardzo śpieszyła z wzięciem Suczawy, pozwalając sobie wczasów, jak gdyby w własnym kraju leżała, jedzono i pito, grano w karty i w kości, a rozpoczynano strzelanie do murów dopiero z południa, jak gdyby tylko dla rozrywki po dobrym obiedzie.

Byli wprawdzie i niecierpliwszi, co przyszedłszy na wojnę, pragnęli się wybić. Ci podjeżdżali bliżej pod mury fortecy i wyzywali Wołochów na harce, usiłując ich w pole wywabić dosadnymi komplementami i wołając do nich na mury:

– Murdziaki! Cygany! wielcy rycerze za murem! wyleźcie no z tej wilczej jamy, a dajcie nam pole! Ty taki synu, z tym garnkiem dziurawym na łbie a kogucimi piórami, sam do mnie, a spróbuj się ze mną!

Inni wyrabiali im różne psoty, podnosząc łby bawole na kopych jakoby na drwiny z sztandarów Stefana, wywieszając czepce kobiece na tykach i strzelając do nich z samopałów, nabitych śmieciem rozmaitego rodzaju. Wołosi się też czasem zniecierpliwili, otwierali nagle bramę i wybiegali ku naszym, po kilkunastu, po kilku, nawet i pojedynkiem, a wtedy w oczach tego albo owego obozu staczały się bitwy, czasem bardzo piękne, nieraz zaś ku śmiechowi całego rycerstwa. Na te harce wyjeżdżało bardzo wiele młodzieży, nawet z domów najpierwszych, bo jest to wyborna szkoła dla młodego rycerza, wszakże pomiędzy nimi i wielu starszych, ten z nudów, ów dla popisania się z swoją zręcznością, a trzeci dla łupu, bo wyjeżdżali przeciw nim często bojarowie na bardzo pięknych koniach i ubrani w wyłacane pancerze i hełmy, czasem w jedwabie i aksamity jak na wesele.

Dlatego też i Biłowus nigdy przy takich harcach nie chybił: wyjeżdżał w dziesięć koni, sam nie wyzywał nikogo, tylko się gdzie za krzakami przyczaił – a w danej chwili jak lew z chaszczów wypadał, nie zważając wcale na obyczaje rycerskie, Wołosę pałką zabijał, wołając za każdym uderzeniem: „Kyrie elejson! Chryste elejson!” – zabitych lub ogłuszonych obdzierał do naga, zabierał konie i z tryumfem powracał do królewskiego obozu.

Wszelako w tych podjazdowych potyczkach najdzielniej się odznaczał Olizar: ten nieczęsto podjeżdżał pod mury fortecy, natomiast zaś na czele dwudziestu albo trzydziestu kozaków zapuszczał się w dalsze kraje poza fortecę, tam czasem zdobył jakich kilka wozów z żywnością, czasem jaki dworzec bojarowski wytrzebił, a zawsze niemylnie i nieochybnie przyprowadził z sobą języka. Od tych języków dowiadywano się przeróżnych rzeczy. Wieści te zrazu były bałamutne i sprzeczne, lecz z czasem wyłoniła się z nich ta ważna a zarazem niepokojąca wiadomość, że wojewoda Stefan na czele bardzo znacznych i dobrze uzbrojonych hufców

włóczy się naokoło Suczawy, że styka się z Tatarami, którzy się całymi chmurami błakają po obydwóch brzegach Seretu i że są wieści, jakoby Turcy ciągnęli od Multan ku północnemu zachodowi. Olizar przyprowadził dwóch języków tatarskich, których Tęczyński, znający ich mowę, sam badał i którzy mu potwierdzili te wieści...

Oblężenie trwało już wtedy dwa miesiące z okładem i wszystkim się uprzykrzyło. Te wieści zatrwające rzuciły popłoch pomiędzy starszyznę pospolitego ruszenia – a wtedy się dowiedziano, że król już od miesiąca jest chory, nabawił się febry mołdawskiej, schudł, pożółkł na twarzy i prawie jak stwór już wygląda, zwłaszcza że nie mogąc wstać z łoża, nawet i brodę zapuścił.

Więc województwa jeły się niecierpliwić, zaczęły się wyrzekania na króla, sprzeczkę ze stronnikami dworu, nieposłuszeństwa i sejmikowania – i miano już posłów wysyłać do króla: kiedy jednego dnia otrąbiono po wszystkich obozach, że król za pośrednictwem posłów węgierskich zawarł pokój z wojewodą Stefanem i cała armia ma się wybierać do domu.

Zaczem wszyscy chwalili Pana i króla: bo wtedy już się zabrało na drugą połowę października, ojcowie rodzin od sześciu miesięcy nie widzieli żon swoich i dzieci, już żołnierze objedli wszystkie wsie okoliczne i głód się dawał uczuwać w obozie, regimenty zaciężne, niemieckie i czeskie, powylały się całkiem z karność, wyprawiały się na rabunki w głąb kraju, paliły i rabowały wsie, popełniały najdziksze okrucieństwa na poddanych wołoskich, a nawet buntowały się przeciw swym przełożonym. Już i tchórze się zjawiać zaczęli, których ubierano w czepce niewieście i tak oprowadzano po wszystkich obozach; już się wreszcie i zdrajcy zdarzyli, których pochwycono, jako się przekradali do Wołoszy, a których król kazał przez kata żywcem ćwiertować. Kto zatem kochał ojczyznę i króla, choćby mu się serce krajało z bólu, że taka świetna wyprawa tak spełzła na niczym, ten musiał przecie z wdzięcznością westchnąć do Boga, że się nareszcie ta niepoczesna wojna skończyła.

Ośm dni trwało zwijanie namiotów, ładowanie spiżów i wszelakich pakunków na wozy i przygotowywanie się do pochodu, aż wreszcie na pięć dni przed końcem tego miesiąca cała armia ruszyła w pochód.

Do tego odwrotu król miał dwie drogi przed sobą: jedne położystsza, lecz dłuższa, brzegami rzeki Suczawy – a drugą górzystą, lecz krótszą, przez las zwany Bukowiną. Król, nie ufając chytremu Stefanowi, pomimo rozpoczętych pokojowych układów, a wiedząc już, że Tatarzy gromadzą się nad brzegami rzek gęstymi chmurami, obawiając się zatem nad rzeką zasadzek, obrał drogę przez las. A wtedy już wszędzie czyhały na niego zasadzki...

Król, zawsze wiedziony szlachetnym duchem rycerskim, nie chcąc dopuścić, ażeby ktokolwiek go mógł posadzić, że sam pierwszy uchodzi z pola, a szlachtę zostawia za sobą, chociaż z powodu choroby leżał na wozie, kazał województwom iść naprzód i między nie porozdziałał piechotę i spiże. Tak szli naprzód Mazury, za nimi Wielkopole, potem Małopolska, a Ruś na końcu. A szli wygodnie, broń poskładawszy na wozy; niektórzy nawet pozdejmowali ze siebie pancerze albo koszulki i poruczyli je swoim woźnikom. Zgoła odprawowano ten odwrot z tak spokojnym umysłem, jak gdyby żadnego niebezpieczeństwa nie było.

Tymczasem kiedy pospolite ruszenie weszło w sam środek lasu, którego było więcej niżeli na dwie mile, zaczęły się zjawiać na bokach zbrojne gromady, z prawej strony i z lewej, ba, nawet i z przodu, i hałasować z naszym żołnierstwem. Popłoch poszedł po całym pospolitym ruszeniu: zagrano w trąby, uderzono w bębny i kotły, dając znać jedni drugim, że są napadnięci i muszą się bronić. A wtedy wszczął się gwałt, hałas i nieład, i zamieszanie, jakiego jeszcze nikt nigdy nie widział w armii tak licznej i tak obciążonej wozami. Ten szuka swojego pancerza, ten broni, a znaleźć nie może; ów woła na swoich ludzi, ale nikt go nie słyszy; wojewodowie, kasztelani, rotmistrze latają na koniach tam i sam, krzyczą wniebogłosy na swych towarzyszy, ażeby ich zebrać i sprawić, ale towarzysze się zebrać nie mogą pomiędzy drzewami, rzucają się w tę stronę i w owe, nie poznają się, wpadają jedni na drugich, nie mogą ani

głosu dosłyszeć, ani też dojrzyć swojej chorągwi, której chorąży między drzewami rozwinąć nie może. Zgoła wre, kipi i przewraca się to wszystko na całomilowej przestrzeni jak w kotle – a z tego wrzątku wylatują tysiączne wołania i głosy, właśnie jak gdyby się dno piekiel rozwarło i wylatywały zeń rozpaczliwe jęki dusz potępionych.

A tu tymczasem z prawej, lewej i z przodu chmury cudzego żołnierstwa rozmaitej broni, pomiędzy którym wszakże widziano dobrze siedmiogrodzkich Szeklerów, gromady chłopów wołoskich, uzbrojonych w siekiery i noże, i całe ściahy<sup>50</sup>, ba, nawet czambuły Tatarów, właśnie jak roje pszczoł rozigranych rzucają się na nas, obsiadają nasze rycerstwo, gromadzące się w grupy, uderzają z wściekłością dzikiego zwierza, kłują, rąbią, mordują. Tu i ówdzie ponadcinane drzewa wałą się na nas, druzgocą ludzi, konie i wozy, na obalonych wpadają chłopci wołoscy z nożami, wykluwają im oczy i wypruwają wnętrzności...

W lesie ani pomyśleć o tym nie można, ażeby bronić się kupą, każdy więc broni się pojedynkiem jak może, inny wymyka się z lasu i chce się ratować ucieczką, ale niebawem, zgony, pada pod toporem chłopów wołoskich na polu...

Pomiędzy walczącymi stary Fredro był pierwszym, który się w tym straszliwym popłochu obaczył, całą przytomność umysłu odzyskał i młodzieńczą rozwinął energią. W mały czas po pierwszym napadzie, widząc, że w gęstym lesie hufca sformować nie może, rzucił się z trębaczami na najbliższą polanę i rozwinawszy tam swoją chorągiew, wołając przy tym ze wszystkiej piersi a trąbiąc, zgromadził przecie około siebie blisko sto jezdnych. Z tym hufcem zaczął na najeźdźców uderzać, gdzie tylko do nich mógł dotrzeć i swoją siarczystą a uporną odwagą prawie cudów dokazał. Podrzuł bowiem kilka oddziałów wołoskich i tatarskich na miązgę, które się po kolei na niego rzucały, potratował ich niedobitki, a trupy ich wdeptał w ziemię końskimi kopyty. Niemało swoich, co byli już w tykach, z pazurów tatarskich uwolnił, wołoskiego hetmana Szoszumiła, murze Mulasza, jego brata Jadyńa i dziesięciu murdziaków zabrał w niewolę i z takim samym zuchwalstwem na dalszych najeżdżał: ale siedm razy w tych bitwach w bok ranny i dwa razy w głowę, opadł na siłach, zsunął się z konia i został przez Tatarów nielitościwie dobity.

Fredro zginął! – rozleciał się głos po obozie i nową grozą nappełnił serca rozpaczliwie się broniącego rycerstwa.

Jego przykładem zagrzany, Mikołaj Tęczyński, wojewoda ruski, poszedł za jego śladem. Także wypruł się z lasu z kilkoma towarzyszami, pomiędzy którymi był Kmita, i w czystym polu przystojny hufiec zgromadził. Ale raz tylko na siedmiogrodzkich Szeklerów uderzył, złamał ich i rozproszył – a w rozsypce, uganiając się za ich hetmanem, uderzony młotem żelaznym w głowę, spadł z konia, ażeby już nie wstać.

Kmita, który w niebezpieczeństwie poczuł swoje krew młodą, wściekł się ze złości na tych chłopów węgierskich, którzy młotem śmieli uderzać na pana, zebrał hufiec na nowo i od siedmiu tysięcy diabłów na Węgrów uderzył: ale ranny w pierwszym ataku, szczęśliwie uniesiony jest z pola przez swego syna i swoich zamkowych żołnierzy.

Tęczyński zginął! – rozbiegł się znowu głos złowrogi po całym obozie – a odtąd już takie przerażające głosy się wciąż powtarzały: Gabriel Tęczyński zabity! Piotr Murdelio usieczon! kasztelan sądecki Grot ze Słupca i Konar na drzewie powieszon! Tarnowiecki, Pruchnicki, Humieński, zginęli! Odrowąża uprowadzili Tatarzy! Strach wielkooki zdejmuje coraz bardziej walczących: ale mordercza bitwa trwa dalej.

Król, stojący jeszcze w tym samym miejscu, na brzegu lasu od strony Suczawy, gdzie przez cały czas oblężenia leżał obozem, na wieść tego niespodziewanego napadu niezmiernie się przeraził i zrazu chciał ruszać na odsiecz pospolitemu ruszeniu. Miał on wszystkie swoje chorągwie nietknięte pod ręką – a była to siła nieszpeta, zwłaszcza że tam człek w człeka i koń w konia były w wielkim porządku i doskonałej karności, było też przy tym i kilka tysięcy

---

<sup>50</sup> ściah – oddział żołnierzy pod dowództwem rotmistrza

piechoty w odwodzie. Ale po naradzie ze starszyzną odsiecz okazała się niemożliwą, bo chyba było jeszcze i tę resztę armii rzucić w tę paszczę piekielną, aby ją pojedyńkiem wybito.

Król posłał Kamienieckiego w las, aby mu przyniósł wiadomość, ale Kamieniecki nie wrócił. Nie pozostało tedy nic innego, jak porzucić chorągwie po brzegach lasu, a zarazem mieć oko na Suczawę, ażeby przynajmniej z tyłu nie dopuścić napadu. Chorągwie tedy przechadzały się po brzegach lasu, ta i owa starła się z jakim hufcem wołoskim albo ściahem Tatarów i powracała z wiadomościami do króla.

Potem zaczęły przylatywać do niego wieści o tych, co zginęli. Śmierć Fredry głębokim dotknęła go bólem – a kiedy mu doniesiono, że Tęczyński zginął, łzy mu w oczach stanęły. Rannego Kmitę kazał przynieść do swego wozu i zapomniawszy dawnych niechęci, żałował go szczerze i kazał opatrzyć przez swoich lekarzy.

Niebawem potem i Kamienieckiego przyniesiono na derkach, ranny był w rękę i w głowę. Król go pytał, co robić?

– Nic – odpowiedział mu Kamieniecki – w lesie drzewa popodcinane, właśnie jakoby cały las był napełniony wilczymi jamami. Padliśmy ofiarą naszej nieopatrności. Połowa Polski tam zginie. My patrzmy, abyśmy w czystym polu zostali, gdzie się można obronić, a wreszcie nie żal i zginąć.

Król się odwrócił od niego, bo Kamieniecki pewnie mu także tej wojny odradzał i cokolwiek teraz powiedział, to brzmiało mu w uszach jak gdyby wymówka, zatwierdzona krwią tyłu szlachetnych.

Tak przylatywały wciąż wieści z lasu i uderzały w króla jak kule armatnie: ten został usieczon, drugi powieszon, a trzeciemu wypruto jelita. I było tych pobitych i pomordowanych już całe setki, ba, nieledwie tysiące. Gdyby mu całe piekło było runęło na głowę, to byłby nie czuł więcej palącego ciężaru na swoim sumieniu: jakoż otaczający wóz jego panowie i senatorowie duchowni mieli już litość nad nim i nie powiadali mu, kto tam znów zginął.

Jednak niebawem zaczęły tak samo gonić za sobą wieści jeszcze daleko straszniejsze.

Oddział Wołochów, złożony z jakich trzech tysięcy jazdy, uderzył na czoło obozu i wyciął sześćset Mazurów do nogi, że ich ledwie kilku uciekło.

Ci sami Wołosi prą dalej w las, pozabierali armaty i wywożą je z lasu...

Nasze własne piechoty niemieckie i czeskie zaczynają się burzyć. Owi okrzyczani husyci spod Łaszek napadają na nasze własne wozy i zaczynają rabować...

A wreszcie Olizar, który najdalsze robił wycieczki i głównie miał na oku fortecę, przyleciał pędem tak wściekłym, że się koń pod nim rozpieął, i przyniósł wiadomość, że kędyś znad brzegów Seretu ciągną znaczne oddziały wojsk ku Suczawie, jedne zajmują stanowiska opuszczonych przez nas obozów, a drugie wchodzą w bramy fortecy, jakoż widać dobrze coraz wzmagający się ruch zbrojnego ludu na murach...

Trudno już było tych wiadomości nie powiedzieć królowi. Kiedy bowiem pospolite ruszenie, co chociaż się tylko broniło, jednak usiłowało przeć naprzód, mogło zostać rozbitym i rozproszonym przez tych Wołochów, co uderzyli na Mazurów, a ci Wołosi, wsparci świeżymi posiłkami, mogli dotrzeć przez las aż do królewskiego obozu; wojska ściągające się ku Suczawie mogły nań z tyłu uderzyć – a tak dwór królewski mógł zostać wziętym w dwa ognie. Zważywszy to położenie, król już się nie namyślał, tylko wysłał co najodważniejszych towarzyszy w las z rozkazem, ażeby się pospolite ruszenie, gdziekolwiek jest, cofało ku brzegom lasu i oparło o obóz królewski.

A wtedy już słońce zaczęło zapadać – i bitwa w lesie zaczęła ustawać.

Wołosi, co Mazurów wycięli, cofnęli się sami, Szeklerzy i chłopcy wołoscy powychodzili także z lasu, uprowadziwszy wiele armat i wozów z łupami, pospolite ruszenie mogło się zatem zgromadzić spokojnie i cofnąć bez wstępu w tę stronę lasu, gdzie leżał obóz królewski. Znajdowały się tam dosyć liczne, chociaż nie bardzo rozłożyste polany, na których chorągwie

mogły się jakokolwiek pomieścić, porozkładawszy swoich żołnierzy i wozy po lesie i otoczywszy się silnymi strażami.

Ale usposobienie pospolitego ruszenia było jak wśród pomoru, gdzie trupy leżą jeszcze nie pogrzebane, co chwila ktoś z jękiem bóleści duszę oddaje Bogu, a przeto każdemu się trzęsą wnętrzności, bo czuje, że i on w pół pacierza może dać sobą o ziemię. Nieuniknione po takim pogromie żale, niechęci, obawy i narzekania zaczęły się rozlegać po całym pospolitym ruszeniu, a tu i owdzie srogie się podnosiły lamenty. A nikt nikogo nie koł, bo każdy sam miał za czym żałować. Ten stracił ojca, ten syna, ów szwagra lub przyjaciela, jednemu zabrano wozy z ładunkiem, drugi sam został spieszony, a trzeci nie miał już ani kawałka broni przy sobie...

Strach nie tylko odbiera serce, ale i wyobraźni nasuwa niestworzone widziadła – a tak z zapadającą nocą rozeszła się straszliwa dla wszystkich wieść po tym rozbitym obozie, że król umyślnie wydał szlachtę na rzeź, ażeby ją zmniejszyć w królestwie i podbić, zaś teraz po rzezi ujechał milczkiem brzegami lasu i nie masz go już w obozie. Ci i owi towarzysze powiatowych chorągwi przylatywali doń z wybladłymi twarzami i wystraszonymi oczyma, przynosząc mu tę wiadomość i zapowiadając, że jeśli temu nie zapobieży, to albo bunt wybuchnie w obozie, albo nim słońce zejdzie, całe pospolite ruszenie się na cztery wiatry rozleci...

Natenczas król, chociaż tak bardzo niemocen, że ledwie się mógł utrzymać na nogach, zlął z wozu i kazał sobie dać konia. Razem z nim wsiedli na koń co najwaleczniejsi rotmistrze jego chorągwi, biskupi i dygnitarze nadworni, król kazał swoim halabardnikom pozapalać łuczywa i świece woskowe i w tym otoczeniu, wśród ciemnej nocy, pojechał w las, objeżdżając wszystkie chorągwie pospolitego ruszenia, zatrzymując się przy każdym wojewodzie, rotmistrzu lub kasztelanie, pokazując się wszystkim przy jasnym blasku łuczywa, przemawiając do każdego powiatu, dodając serca żołnierzom i zapewniając ich: że jest przy nich, że zginie z nimi, jeżeli jest taka wola Boża, ale ma w Bogu nadzieję i waleczności swoich chorągwi, że się obronim i klęskę tę wynagrodzimy sownie tym zdrajcom...

Tuż za orszakiem królewskim, na swoim białym koniu, w pancerzu a hełmie i z mniszym habitem przewieszonym przez plecy, z krzyżem w lewym ręku, a z wężykowatym mieczem w prawicy, jechał o. Chryzostom – i zaraz przy pierwszym powiecie, jak tylko król skończył swoje krótką przemowę, zabrał głos z konia i swoją zlotoustą wymową miotał na nich zaklęcia i błogosławieństwa, które tak na nich padały, jak gdyby po czarnym niebie jasne błyskawice biegały. Zaczem z natchnienia Bożego świetne im zapowiadał zwycięstwo – a kiedy im to proroctwo wykladał, to wszystkim się zdało, że niebo się wyjaśniło, a od zachodu do wschodu jasna tęcza się na nim rozpięła...

Chryzostom tej nocy kazał jeszcze daleko wymowniej i świetniej niżeli ongi w obozie pod Lwowem. Słowa wylewały się z ust jego jako srebrzysty potok, wytryskujący ze skały, a czasem wyskakiwały z przerażającym grzmiotem jak gromy. Przypominał im, jako we Lwowie za obozową rozpustę przepowiedział im karę Bożą – i ta kara Boża spadła teraz na obóz; ale dzisiaj im przepowiada, że gniew Boży już jest przebłagany – i będzie zwycięstwo... A nim słońce zajdzie nazajutrz, orzeł polski obali na ziemię wołoskiego bawoła i będzie pić ciepłą krew jego w obliczności Suczawy. A w końcu swego kazania wielkim głosem zawołał;

– Bóg zbudził ze snu swojego sługę i kazał mu iść, ażeby widział, jaka jest wiara wasza i jakim sercem będziecie iść do tej sprawy. A jeśli bym nie wskrzesił w was wiary i widział, że się chwiejecie przed wypełnieniem Bożego rozkazu, jam winien, żem nie był godzien przelać na was tej łaski, z którą mnie do was posłano. Natenczas ten miecz podniosę przed wami i sam was powiodę na nieprzyjacioły i wszystką krew moję przeleję, ażebym was odkupił z tej haniebnej niewoli i aby naród wasz odrodził się z miecza, jako jest napisano, i żył w łasce Bożej po dzień wszystkich dni i po wiek wszystkich wieków.

A mówiąc te słowa, podniósł miecz w górę nad głowami cisnących się ku niemu żołnierzy. A przy czerwonym blasku płonącego łuczywa i wśród dymów bijących w górę wszystkim się zdało, że jego miecz goreje płomieniem i jasne światło bije od całej jego postaci, jak gdyby

był Boskim rycerzem, przysłanym z nieba na ziemię. Toż jedni spuszczały oczy ku ziemi i bili się w piersi, drudzy rzucali się na kolana, a inni patrzyli nań zachwyconym i rozpromienionym obliczem, jak gdyby już odnieśli zwycięstwo.

Ten las, w którym król z Chryzostomem i małą garstką swoich rycerzy, otoczony ze wszystkich stron płomieniami gorejącego łuczywa, błędził od jednej chorągwi do drugiej, gdzie ku niemu ze wszystkich zakątków lasu zbiegali się żołnierze najrozmaitszej broni, gdzie wreszcie tu i owdzie trup leżał, co dopiero co skonał, gdzie indziej wóz przewrócony, a spod drzew odzywały się jęki umierających, ten las, tak oświetlony i zaludniony wśród nocy, przedstawiał zaprawdę widok jakby nie z tego świata. Ktokolwiek patrzył nań z dala, temu się ziemia usuwała sprzed oczu i był przekonany, że go złe duchy przeniosły powietrzem w jakiś kąć czyśćca, gdzie także w dzikich ostępach, skalistych i leśnych, szatani męczą dusze grzeszników ogniem piekielnym, pędząc je przed sobą takimi samymi obłądnymi drogami, jakimi chodzili za życia. I w tym lesie było natenczas także grzeszników niemało, którzy cierpieli męki czyścicowe, krwawiąc swe serca w bólu za poległymi i w groźnej obawie o własne swe życie.

Wszelako królowi udało się niebawem uspokoić umysły – a o. Chryzostom orzeźwił serca i obudził nadzieję. Król wrócił także z spokojniejszym umysłem do swego obozu, rad temu, że odjął pospolitemu ruszeniu ubliżające mu podejrzenia i pełen wdzięczności dla Chryzostoma, może nawet, chociaż niełatwo uwierzył w siły nadprzyrodzone, z uczuciem poczynającej się wiary w cudowność jego wymowy.

Zaczem obydwaj obozy przepędziły noc, wprawdzie bezsenną, ale spokojną – bo tylko po krańcach słychać było hałasy, gdzie regimenty zaciężne się buntowały i trzeba było używać gwałtu, aby je jakokolwiek poskromić.

Nazajutrz rano, już o pierwszym świtaniu, wielki ruch się wszczął w królewskim obozie.

Już w nocy poczty konnicy, patrolujące po brzegach lasu, dawały znać po kolei, że mniejsze i większe oddziały wojsk wołoskich, tatarskich i siedmiogrodzkich ściągają się ku Suczawie: teraz, przy brzasku dnia, dojrzano jakby na dłoni, że pod murami fortecy, obrócona frontem ku królewskiemu obozowi, rozłożyła się cała armia, obejmująca co najmniej dwadzieścia tysięcy ludzi, konnych i pieszych, wołoskich i siedmiogrodzkich. Była więc prawie pewność, że ta armia ma zamiar na króla uderzyć, w każdym zaś razie wsiąść nam na kark i jechać na nas, aż póki nas nie wyparuje poza granice kraju.

Na odwrót pod naciskiem takiej nawały, za którą prawdopodobnie kryły się całe chmury Tatarów, a może nawet i posiłki tureckie, na żaden sposób nie można się było zgodzić.

Król zwołał radę: jednakże na tej radzie nie było żadnej dyskusji, bo postanowiono jednogłośnie i bez namysłu dać bitwę Wołochom pod murami Suczawy.

– Tu zginiemy lub zwyciężymy! Niech żyje król! – zawołał pierwszy Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski i kanclerz wielki koronny, a za nim zawołali wszyscy jakby z jednego gardła: – Niech żyje król! – i na tym radę zamknęto.

Ten okrzyk Krzesława z Kurozwęk, który już wtedy był starcem z białą brodą jak mleko, a w pozłocistym pancerzu i hełmie nie jak księżę Kościoła, ale jak archanioł Michał wyglądał i swoją wspaniałą postacią prawie nad wszystkimi górował, o tyle więcej porywające wywarł na całej starszyźnie wrażenie, ile że powszechnie wiedziano, że najzawzięciej się oponował przeciwko tej wojnie. Oponował przed wojną: ale teraz, kiedy rycerstwo polskie wpadło w tak haniebną zasadzkę i cześć i przyszłość całego narodu były w niebezpieczeństwie, pierwszy się podniósł szlachetnym duchem nad wszystkich i dał hasło do czynu, którego po nas wymagali Bóg i ojczyzna. Toż jego okrzyk przejął świętym dreszczem wszystkich obecnych i jak blask błyskawicy uderzył we wszystkie chorągwie – i słychać było przez długą chwilę wybuchające na polu i odpowiadające im z lasu okrzyki jak strzały działowe: – Niech żyje króli!

Za szczęśliwym przewodem rycerskiego biskupa nowy duch wstąpił we wszystkie chorągwie, a niektórych porwał niepowściągniętym zapalem: jedni się rzucali ku niemu i ściskali go za kolana, drudzy klękali przed nim i o błogosławieństwo prosili. Spokojny Gniewosz patrzył z uwielbieniem na niego, Wilczek trząsł się z niecierpliwości, ażeby jak najprędzej uderzyć. A miękkiego serca Tigranes gorącymi rozplakał się łzami i szlochał jak dziecko. Wdzieli to starsi i mówili między sobą:

– Zaczny to młodzieniaszek! Daj jemu Boże, ażeby odbył ten krwawy chrzest z chwałą dla swego imienia.

Potem król kazał się znowu wsadzić na konia i otoczony starszyzną, począł zasięgać rady doświadczniejszych żołnierzy, jak uszykować chorągwie i jakim porządkiem stoczyć bitwę z Wołoszą. Ci i owi proponowali, ażeby całą armią uszykować do boju, a zostawiwszy co najsilniejsze chorągwie dworskie przy królu, wszystkimi siłami od razu uderzyć. Ale król się temu sprzeciwił, mówiąc:

– Nigdy ja na to nie pozwolę, ażebyśmy wszystko od razu postawili na jedną kartę. Ani się na to nie zgodzę, ażeby województwa znów pierwsze się narażały. Już mi tam nie szczędzono przymówek, że zanadto szafuję krwią szlachty, nie daj tego Boże, ażeby na takie przymówki rzeczywiście zasłużył. Dwór królewski a ja – to jedno, mój dwór dzisiaj pierwszy uderzy.

Zaczem idąc za zdaniem króla, które też było i szlachetne, i mądre, postanowiono, ażeby województwa stanęły pod bronią i były gotowe do uderzenia, ale nie wychylały się z lasu, ażeby Wołosza nie mogła wiedzieć, jakie są nasze siły, i rozumiała, że nas czapkami zarzuci. Kto się w swojej rachubie przeliczy, ten potem za to zapłaci. Zaś chorągwie królewskie niechaj społem uderzą.

Natenczas wszakże Gniewosz wysunął się naprzód na koniu, pokłonił się królowi i starszym i zabrał głos, mówiąc w ten sens:

– Uchyliwszy czoła przed zdaniem jego królewskiej mości, proszę o łaskę, ażebym też mógł co dodać do niego. Dwór królewski niewielkiego bohaterstwa dokaze, jeżeli zbitym szykiem uderzy, boć tak rozumię za wolą Bożą, że się Wołoszy rozerwać nie da. Ale też uderzywszy społem, tej émy wołoskiej nie zbije, bo *nec Hercules contra plures*<sup>51</sup>. A co potem na to województwa powiedzą? – Uderzyli, bo wiedzieli, że ich Wołosi nie zjedzą. Poradziwszy się z naszymi rotmistrzami, prosiłbym waszej królewskiej mości o łaskę, ażeby swoim chorągwiom kazał pojedyńkiem uderzać. Mamy w Bogu nadzieję, że jak w kilkanaście chorągwi jedna po drugiej w różne punkty ich linii uderzym i jak się z nimi pomłócimy czas jaki, to tak ich poszarpiemy a pomęczymy, że województwa ich potem bez wielkiej pracy jakby niewodem zagarną. Jeżeli zaś jest napisano, że nas po jednemu zjeść mają, to zginiemy: ale wtedy nikt w Polsce nie powie, że król krew szlachecką wydał na pastwę, a swojej oszczędzał! Dwór królewski a jego pan miłościwy, to jedna dusza i jedno ciało, jako już powiedziano. Damy się pierwej wszyscy wyciąć do nogi, niżelibyśmy mieli dopuścić, ażeby na nas obelgi rzucano: tak nam Boże dopomóż! Niech żyje król!

Ten okrzyk: niech żyje król! rozległ się znowu jak gromy bijące jeden po drugim po wszystkich chorągwiach królewskich i powtórzyli go, jak gdyby z jednej piersi, Wilczek, Myszkowscy, Lanckorońscy, Tęczyńscy, Kergolaj, Tigranes i wszyscy rotmistrze i porucznicy królewscy.

Król spojrział na Gniewosza wilgotnymi oczyma i pewnie by go był rad do piersi przycisnąć, zaczem się obrócił do Krzesława z Kurozwęk, jak gdyby go pytał, co on o tym rozumie. A biskup kujawski rzekł:

– Przed takim sentymentem rycerskim chyba już tylko kapelusza uchylić, idźmyż za wolą tych, którym Bóg dał takie natchnienie.

---

<sup>51</sup> *nec Hercules...* (łac.) – nawet Herkules nie poradzi przeciw wielu

Zaczem król w miejsce rannego Kamienieckiego oddał Gniewoszowi komendę nad chorągwiami swojego dworu, zostawiając hetmaństwo przy sobie. A Gniewosz zaczął zaraz chorągwie szykować, stawiając je tam i sam, kryjąc je jedna za drugą albo za kosmykami lasu, ażeby Wołosza nie mogła sił naszych policzyć i nie ściągnęła zawczasu posiłków, jeżeli ma jakie za miastem. Niektóre z nich tylko po ich proporcach, wiejących na drzewcach na dwanaście stóp długich, można było poznać, gdzie stoją.

Słońce już zaczęło dobrze dogrzewać. Już było widać jakby na dłoni, jako Wołosza się wyciągnęła pod murami fortecy w linią niezmiernie długą i dobrze wewnątrz podszytą, hufce konne na przedzie, za nimi piechoty, tatarskie ściany, błakające się za obydwojma skrzydłami – a kto wie, co się tam jeszcze kryło w mieście i z drugiej strony Suczawy. Duch zdawał się między nimi być dobry (co zawsze oko wprawnego żołnierza odgadnie), ich hetmani przelatywali na dobrych koniach przed frontem konnicy, wesoly szmer czasem od nich dochodził, zdawało się, że nas lekceważą i są pewni zwycięstwa.

U nas wesołości nie było, owszem, nastrój bardzo poważny, zwłaszcza pomiędzy dworem królewskim, gdzie każdy czuł, że dzisiaj ma raczej dać duszę za honor znaku, pod którym służy, niżeliby sobą miał podrwić.

Już więc chorągwie stanęły każda na swoim miejscu, już Gniewosz rozważał w sobie, którą miałby zaczynać: kiedy wtem po prawej ręce królewskiej dał się słyszeć hałas tak wielki, szcęk żelaza, nawoływania i jęki, jak gdyby tam całe piekło zawrzało.

Wszyscy zwrócili w tę stronę swe oczy, co by to było – a wtedy całe niespodziewany i bardzo przykry widok im się otworzył.

Po tej stronie ciągnęły się wzgórza, na tych wzgórzach jeszcze przed świtem zatoczono resztę armat nie wziętych i rozłożono obozem piechoty. Owoż pomiędzy piechotami był regiment owych husytów spod Laszek, regiment silny, bo go liczono na cały tysiąc, a złożony był z samych Czechów, co w lasach mieszkali, a nie mając co jeść u siebie, najmowali się radzi do każdej wojny. Byli to ludzie tak dzicy (jak opowiadają świadkowie współcześni), że trzeba ich było nieraz zakuwać w żelaza, aby się nie pozabijali pomiędzy sobą, dlatego też zawsze za nimi wożono łańcuchy na wozach. Kudłaci byli okrutnie i z rozczochranymi brodami, ubierali się w kozuchy sierścią wywrócone na zewnątrz, niektórzy mieli przy kozuchach i łby tych bestyj, z których pozdejmowali skóry, jedni w butach kowanych, z cholewami powyżej kolan, drudzy zaś w łapciach z rzemieniami, którymi sznurowali swe łydki, a wszyscy z halabardami, opatrzonymi w siekiery i z ogromnymi toporami u pasów. Nieocenieni byli przy szturmach do fortec i zamków. Kiedy już wyłom był wystrzelony armatą, to z niesłychanym zuchwalstwem się wdzierali na mury i jak dzikie zwierzęta nie dali się niczym odstraszyć. Ale niechby Bóg bronił to miasto, do którego się wdarli, bo ich topór krwiożerczy nie znał litości dla niewiasty ni starca, a tak zawzięta była ich żądza niszczenia, że zawsze sto razy więcej podruzgotali dobytku, niżeli go zjedli albo ze sobą unieśli. Toż i karności nie można było pomiędzy nimi utrzymać, bo mimo najśroźszych kar ciągle się buntowali i zabijali swoich setników.

Wczorajszego dnia, myśląc zapewne, że nasza armia już jest pobita, rzucili się w lesie na polskie wozy. Zamiast się bronić Wołochom, musiano na nich uderzać, jakoż ich kilkunastu zabito, a niemal całą setkę zakuto w kajdany. Tak ich przyprowadzono w nocy na owe wzgórze, gdzie się rozłożyli obozem, ogromny stos drzewa zapalili w środku obozu, jedli i pili przez resztę nocy, o świcie jęli się burzyć, a teraz zaczęli się wzajemnie z kajdan rozkuwać i znowu zabijać swych starszych.

Pierwszy, który spostrzegł ten bunt, był Frąc Ajchinger, który na czele dwóchset porządnej i karnej piechoty niemieckiej stał przy armatach; ale ani się ruszył, tylko patrzył spokojnie na to widowisko, właśnie jak gdyby był na teatrum. Dopiero stary Pampowski, jeneral wielkopolski, co właśnie sam działa szykował, krzyknął na niego:



– Ruszże się przecie, bałwanie! a podeptaj to chłopstwo, co się na swoich starszych rzuciło.

Natenczas Frąc, po rozkazu, skoczył na koniu do swoich ludzi, sprawił ich raźnie i bardzo porządny szykiem na obóz husytów uderzył. Ale husyci, równie sprawni do boju, odrzucili go swymi halabardami jak piłkę od siebie, ubiwszy mu kilku ludzi. Frąc odskoczył jak pies od jeża i stanął na boku, patrząc, azali mu kto na sukurs nie przyjdzie, bo widział, że swymi dwiema sotniami nie da im rady. Ledwie Frąc odskoczył, młody Herburt z Odolanowic, który po drugiej stronie husytów właśnie zbierał piechotę i miał już około stu ludzi, młodzieniec żartkiew fantazji, ale niedoświadczony, z tym, co miał, rzucił się na nich. Ale także jest odrzucony jak jabłko od skały i stanawszy w oddaleniu, zaczął nawoływać dalszą piechotę.

Owóż w owej to chwili husyci tak piekielny hałas podnieśli – a czy to był krzyk buntowniczy, czy ogłoszenie tryumfu, że dwa ataki tak gładko odbili, trudno było zrozumieć.

Lecz wtedy temu hałasowi w obozie husytów także dwudziestotysięczny okrzyk spod murów Suczawy zawtórzył: Wołosza dostrzegła zapewne z murów, że Polacy się biją pomiędzy sobą, i powitała ten widok szyderczym okrzykiem.

Wtedy król przyzwał Wilczka do siebie i dał mu rozkaz, ażeby na husytów uderzył, powiadając mu, jak ma to zrobić; Wilczek skoczył do swojej chorągwi, która się właśnie szykowała pod lasem.

O. Chryzostom modlił się od świtu przed ołtarzykiem obozowym, który się znajdował w królewskim namiocie, potem miał mszę św., której wszelako tylko kilkunastu starszych rycerzy słuchało, a potem niektórych spowiadał i dawał im absolucję. Przed namiotem czekał koń jego, a słudzy trzymali pancerz i hełm z mieczem na pogotowiu, bo Chryzostom miał zamiar przewieść stulę przez pancerz, objechać wszystkie chorągwie królewskie i każdej dać absolucję bez spowiedzi, jaką daje się *in extremis*<sup>52</sup>. Tymczasem ów hałas piekielny doszedł do jego uszu – a usłyszał go lepiej niż wszyscy, bo namiot królewski znajdował się bliżej obozu husytów niżeli to miejsce, na którym stał król ze starszyzną.

Chryzostom wybiegł tedy co prędzej przed namiot i zaraz się dowiedział od stojących tamże żołnierzy, co jest. Nawet mu obóz husytów wskazano, który stamtąd było widać jakby na dłoni.

– Bunt w obozie! – zawołał Chryzostom, chwytając się obydwoma rękami za głowę – bunt w obozie, to pół bitwy przegranej!

Jakoż już nie pytając o nic nikogo, tak jak był, w habicie, w komży i stule, tylko krzyż wzięwszy do ręki, wskoczył na koń i pędem poleciał do obozu husytów.

We dwa pacierze przybiegł do szańca i wskoczył na swoim białym koniu w sam środek obozu, jawiąc się szalejącym husytem jak anioł Boży, który właśnie spadł z nieba. Osadziwszy konia, podniósł krzyż w swojej prawicy i zaczął do nich przemawiać w języku niemieckim, karcąc ognistymi słowy ich zbrodnie i nawołując ich w imię Boga do posłuszeństwa. Husyci otoczyli go kołem, zrazu bardzo zdziwieni: ale kiedy się spostrzegli, że to ksiądz katolicki, i usłyszeli, że ich karci niewybrednymi słowami, poganie ci zaczęli mruczeć, a potem wołać na niego, że nie ma do nich żadnego prawa, a wreszcie i lżyć go najohydniejszymi przekleństwami.

Słyszając to, bogobojny a zarazem rycerskim duchem przejęty Chryzostom, świętym gniewem zapłonął, a wierząc silnie i niezachwianie w potęgę swojej natchnionej wymowy, rzucił na nich kłatwę kościelną i wielkim głosem zawołał, że będą wybici do nogi i diabeł ich duszę na dno piekła zabierze, jeżeli przed nim na kolana nie padną i do karności nie wrócą.

A wtedy pierwszy poganin, który stał przy nim, uderzył go żelazną halabardą w odkrytą głowę, tak że krew wytrysnęła i strumieniem pociekła po twarzy. Chryzostom jeszcze przeto przytomności nie stracił, owszem, podniósłszy oczy ku niebu zaczął wołać:

---

<sup>52</sup> *in extremis* (łac.) – w chwili konania

– Jeruzalem! Jeruzalem! które zabijasz proroki i kamienujesz te, którzy do ciebie są posłani...

Ale dalszych słów już nie domówił, bo ten sam poganin jeszcze raz halabardą uderzył go w głowę, zaczęła cała tłuszcza się rzuciła na niego, zerwali go z konia i rohatynami rozerwali na sztuki.

Kto by był wtedy jego męczeńskie zwłoki obaczył, nigdy by był nie poznał, że to jest ciało zabitego człowieka. Czego zapewne przestraszywszy się ci poganie, zebrali jego członki porozrywane, zawinęli je w habit jego i na stos płonący rzucili, gdzie natychmiast zgorzały.

Koń Chryzostoma, kiedy zeń jego pana zerwano, wspiął się do góry, przystrzygł uszyna, rozwarł szeroko swe chrapy i zęby wyszczerzył, jak gdyby chciał pożreć morderców. Był wtedy tak straszny, że nawet ci rozwściekieni poganie odskoczyli od niego. Zaczem zwrócił się na tylnych nogach i poleciał jak wiatr ku królewskiemu dworowi, gdzie stanął z rozwianą grzywą i krwią zaszłymi oczyma, grzebiąc ziemię kopytem i rżąc tak przeraźliwie, że zdało się, jak gdyby wył z bólu za swym opiekunem.

Król i cała starszszyna, którzy to morderstwo widzieli, a teraz ten koń dał mu tak niewątpliwe świadectwo, zostali nim tak przerażeni, że na chwilę oddech zaparli w piersiach i nikt nie mógł słowa wymówić. Dopiero po chwili biskup kujawski powiedział:

– Bóg najlepszego z nas wziął na ofiarę, ufajmy mu, że miara się dopełniła.

A wtedy właśnie Wilczek na husytów uderzył. Spadł on na nich co koń wyskoczy w dwieście pięćdziesiąt pancernych z dobytymi mieczami i stratował ich tak, jak gdyby zboże kto zmłócił, siekąc i koląc ich z taką szybkością i siłą, że o obronie ani mogli pomyśleć. Mało co potem Ajchinger i Herburt uderzyli na nich z pieszymi sotniami i dokończyli tych pogan, tak że prawie połowa ich padła śmiercią pod kopytami i pod ostrzem żelaza, a resztę porozdzielano pomiędzy inną piechotę.

Wilczek, zjechawszy z pola i wracając do swoich, rzekł do siebie:

– Tyś mi życie odebrał, jam się pomścił twej śmierci, wstawże się za mną do Boga, abym się długo nie męczył w tym ziemskim więzieniu.

Lecz wtedy już trzeba było uderzać bez zwłoki, bo wszyscy to czuli, że Wołosza się z nas naśmiewa, rozumiejąc na pewno, że już tylko niedobitki zostały przy królu, a i te jeszcze się buntują przeciwko sobie.

Wszyscy spojrzeli na nieprzyjaciela i obaczyli, że i on już się do roboty zabiera i harcowników wysyła, po jednym, po dwóch, albo po kilkunastu. Niektórzy z nich byli nawet tak zuchwali, że na rzucenie kamieniem ku nam podjeżdżali i nawoływali, łącząc ohydnyimi słowami polskie rycerstwo, biskupów i króla.

Król dał znak Gniewoszowi, który niedaleko od niego stał na czele swojej chorągwi, mając też kilkunastu szlachetnych młodzieńców przy sobie na posyłki, ażeby zaczął puszczać chorągwie.

Gniewosz posłał młodzieńca do Kergolaja, ażeby pierwszy uderzał, będąc pewnym, że ten doświadczony rycerz złotej ostrogi swoich ludzi koń przy koniu utrzyma i jak kula armatnia uderzy, co powinno by na Wołochach dobre sprawić wrażenie.

Ale w tej chwili Tigranes przyskoczył do króla, niziuteńko mu się z konia pokłonił i prosił go bardzo wymownie, ażeby mu pozwolił przed wszystkimi uderzyć.

Król był bardzo zdziwiony tak piękną odwagą tego młodzika, ale go zarazem ujęło, zaczęł podniósł rękę prawie nad jego głowę i rzekł:

– Bijże więc w Boży czas, Bóg z tobą!

Tigranes zaraz ruszył ze swoją chorągwią i bardzo pięknie się sprawił. Ścisnął dobrze swoich żołnierzy pomiędzy siebie i młodego Pretficza i ruszył stępą, w pół stajania puścił się kłusem, potem sam na czoło swojego hufca wyskoczył i całym pędem w sam środek Wołoszy uderzył.

Trudno było dojrzeć, czy przebił wołoskie szeregi, czy zdradliwa Wołosza sama mu się rozstała, ale to było widać, że się w niej utopił, a za nim znów się wołoska linia zamknęła.

Jednak nim jeszcze Tigranes dobiegł do szeregów wołoskich, już Gniewosz zawołał takim ogromnym głosem, że go powtórzyły lasy i skały:

– Kergolaj naprzód!

Kergolaj, któremu dusza się śmiała na takie wesele, gdzie mu kazano w sto ludzi na całą armią uderzać, uderzył istotnie tak, jak gdyby kto kamień z procy wypuścił i także się między Wołosza utopił.

Za nim wyrwał się zaraz Myszkowski ze swoją chorągwią, prosząc ze łzami w oczach Gniewosza, aby go puścił, za Myszkowskim Zawisza z Konradzie, za Zawiszą Mikołaj z Lubienia Doliwczyk, wszyscy młodzi rycerze ze szkoły niemieckiej albo sabaudzkiej, a dziś wolontariusze, co z własnymi pocztami przyczepili się do armii królewskiej i radzi byli w obliczności dwóch armij popisać się swoją odwagą. Gniewosz ich puszczał, wołając:

– Myszkowski naprzód! Zawisza naprzód! Lubieniecki za nimi!

I znowu wołał:

– Wolno! pomahu! nie wyprzedzać się! o pięćset kroków jeden za drugim!

A po chwili zawołał po rusku:

– *Olizaru! rypaj!*

Olizar stał ze swoją sotnią kozaków opodal także w pogotowiu, ale nie myślał wcale, że i jemu każą w murowane czoło Wołoszy uderzać. Tamte chorągwie to rzecz cał inna: tam żołnierze zakuci w żelazo, na ciężkich koniach, choćby ich było tylko stu razem, jeżeli dobrze się ścisną, to mogą swymi ogromnymi kopiami i swoim ciężarem najpotężniejszą linią przełamać. Ale on, na lekkich konikach, z ludźmi w sukienych kubrakach i z lekkimi spisami – jemu chyba rwać nieprzyjaciela po bokach albo gonić uciekających, ale nie w takie zbrojne mury uderzać. Rozkaz Gniewosza wcale mu nie był po myśli. Ale trudno mu się sprzeciwić, bo wydaje rozkazy po woli króla.

Tak sobie Olizar ten dziwny rozkaz przez oka mgnienie rozważał w swojej głowie: kiedy wtę na bardzo pięknym koniku a w srebrzystym pancerzu przyskoczył paniczek Górka ku niemu, siostrzeniec Buczackich, co nie miał jeszcze lat siedemnastu, maluczko szeplecił, a bardzo był krotochwilny, i pokłoniwszy mu się swoim mieczykiem, rzeki z wesołym uśmiechem na twarzy:

– Pan Gniewos kaze, zęby pułkownik napsód rypał.

Kiedy Olizar obaczył tego młodzika, co jeszcze jakby sobie drwił z niego, złość go wzięła okrutna, naszczurzył się z pałaszem ku niemu i zawołał przedrzeźniając go w gniewie:

– Hniwos kaze! *Howoryty newmije, a wże wozyt rozkazy! Idy do ditczoj matery...*

I jeszcze dalej coś kłął sobie pod nosem.

Górka rozśmiał się głośno, spiął konia, pokłonił mu się i odjechał galopem do starszyny.

Tymczasem Olizar odsapnął, poprawił wąsa i stanął na czele swojej sotni. Rad nierad, musiał uderzać. Widząc, że inni rotmistrze, nim z miejsca ruszyli, przemawiali do swoich chorągwi, więc i on także obrócił się do swoich kozaków i poprawiwszy czapkę na bakier, miał do nich przemowę. Oratorem nie był, bo to nie jego rzecz, ale w ciężkich chwilach mądry człowiek sobie radzi fantazją.

Zaczem, wezwawszy na pomoc Demostenesa, a zwłaszcza Senekę, ulubionego mędrca Rusinów, wypalił do nich oracją w ten sens:

– *Chłopci! rypaty, ta rypaty. Korol kaze, ta rypajmo. Ano tak szczoob'sia skry posypaly. Trysta im mat' mordowalo! hurra!*

Kozacy krzyknęli: „Hurra!” on zaś, zwróciwszy konia na tylnych nogach, podniósł krzywą szablę do góry i nie zważając całe na niemieckie reguły: stępą, kłusem i pędem, świstnął wraz z nimi od razu z kopyta prosto na wyciągniętą linią Wołochów. Jego sotnia, pędząca naprzód, a nie bardzo w sobie ściśnięta, wyglądała z daleka jak stado koni spłoszonych, bo w cienkiej

mgle kurzu widać było tylko zady końskie, a ponad nimi w górę pozadzierane ogony. Pal ich kat! tak rypie Olizar.

A wtedy Gniewosz zaczął już puszczać coraz cięższe chorągwie królewskie, które uderzały w masę Wołochów jak kule.

Wołosza zaczęła już spostrzegać, że to nie żarty. Jej harcownicy, na których zresztą nikt nie zważał, dawno już uciekli pod mury. Jej linia frontowa była już w kilku miejscach złamana, poza nią, pod samymi wałami, już kipiało jak w kotle, bo się tam bito ząb za ząb i oko za oko, ale luki wybite w linii frontowej jeszcze się zapełniały i linia zawsze się zamykała na nowo.

Wszelako wtenczas już całym naszym rycerstwem zawładnęła owa moc niepojęta, co w ważnych chwilach całe armie jednym duchem przejmuje i nieprzepartą siłą ciągnie za sobą. Tą siłą ciągnięta, już wtedy wszystkie chorągwie królewskie posuwały się naprzód: nawet sam Gniewosz nie mógł się z swoją chorągwią oprzeć temu prądowi i z wolna się naprzód posuwał.

Jednocześnie też i chorągwie wojewódzkie zaczęły wykluwać się z lasu, wyglądając same ze swymi najeżonymi kopiami jak lasy ruchome, nad którymi wszakże powiewały barwiste proporce; nawet i król z biskupami i ich zbrojnymi pocztami także powoli posuwał się naprzód.

Widząc to Gniewosz, rozesał swoich młodzieńców do wszystkich chorągwi, ażeby na miłość Boga kamieniem leżały na miejscu, aż póki ich nie zawoła – a zarazem i swoje zatrzymał, sam zaś wyteżył wzrok ku Suczawie, aby widzieć dokładnie, co się tam dzieje.

A kiedy tak patrzył z podniesioną przyłbicą, nagle oddech zapał w piersi i zbladł jak ściana. Musiało się tam stać coś wcale niezwyčajnego, bo w tej samej chwili ogromny okrzyk się rozległ pomiędzy Wołoszą, okrzyk tryumfujący albo szyderczy, bo zdało się, jak gdyby cała ich armia się śmiała.

W tej wszakże chwili Wilczek przyskoczył do Gniewosza na koniu z zachmurzonym czołem i wielką boleścią na twarzy i rzekł do niego:

– Gniewosz! nie pastwże się nade mną. Wiesz przecie, jak mi śmierć pilna, puszczażę mnie nareszcie!

Lecz Gniewosz spojrział chmurno i jakby w roztargnieniu na niego i odpowiedział mu sucho:

– Stać! przyjdzie kolej na nas obydwóch. Śmierć sobie wybierze którego zechce. Niech pierwszej lekkie chorągwie uderzą.

Gniewosz oczywiście nie chciał, aby go pomówiono, że Wilczka umyślnie na większe niebezpieczeństwo naraził i posłał go w ogień pierwszej, niż sam uderzył.

Wilczek z gniewnymi oczyma i z chmurą gradową na czole odjechał.

Gniewosz siadł twardziej na siodle, dobył szkiełko z zanadru i wysilając swój wzrok do najwyższego stopnia, wpatrzył się w to samo miejsce, gdzie dopiero co coś niezwyčajnego obaczył.

Już przedtem, nim Wilczek do niego przyskoczył, dojrzał on rzecz niesłychanie oburzającą: na przednim wale fortecy pal wbity w ziemię i rycerza wbitego na pal. Wzrok jego wtedy nie doniósł, ale przeczucie mu powiedziało, że musi to być jeden z polskich rycerzy. Teraz wyteżywszy wzrok przez szkiełko przybliżające, poznał tego nieszczęśliwego rycerza: był to Tigranes.

Czy wzrok miał tak bystry, czy wyobraźnia dopomogła wzrokowi, ale widział wyraźnie na palu Tigranesa w pancerzu, lecz z gołą głową, jako miał oczy zamknięte, twarz spokojną jak gdyby snem słodkim uśpioną, a wiatr mu jego jasne włosy rozwiewał.

Wołosi, widząc, jak na nich pierwszy z maleńkim poczem uderzał, otworzyli mu sami swoje szeregi, po czym oczywiście bez trudu zerwali go z konia – a rozumiejąc jeszcze natenczas, żeśmy wszyscy tak słabi, na urągowisko naszej armii rozbitej, wbili go na pal na naj-

wyższym miejscu wałów fortecznych. Jeszcze teraz zbiegowisko ogromne otaczało i ten pal i wydawało takie rozgłośnie okrzyki, że aż tu dochodziły.

Na ten widok Gniewoszowi ani nawet ciemne przecucie nie powiedziało, jak pomyślnie dla niego ze śmierci męża Formozy mogą się wywinać następstwa; owszem, tylko niepowstrzymane zdjęło go oburzenie na takie barbarzyńskie zuchwalstwo Wołoszy, zacisnął zęby i zawołał do siebie:

– Psia wasza mać! Daj wam Boże odpłacić.

I z tym szlachetnym gniewem w swym sercu spuścił przyłbicę i zaraz sam ruszył naprzód z swoją chorągwią.

Była to straszna chorągiew. Gniewosz sam ją kosztem królewskim złożył, uzbroił i wyćwiczył według najwyborniejszych wzorów, jakie sam widział we Włoszech i w Niemczech. Stu rycerzy, prawie wszyscy takiego wzrostu i siły, jak on, od stóp do głów zakuci w brązowane pancerze, siedzieli tam w pierwszym szeregu na koniach ogromnych jak słonie i także zakutych w żelazo. Rycerze mieli obok piór, każdy swego koloru, końskie ogony przy hełmach – a konie żelazne groty osadzone w naczółkach, tak że kiedy rycerz kopią w swego przeciwnika uderzył, gdy kopią skruszył, koń w jego konia uderzał tym grotem. Za tymi rycerzami siedziało dwóchset knechtów na równie potężnych koniach, także z przodu zakuci w żelazo, bez kopij, ale z szerokimi mieczami. Sam ciężar takiej chorągwi był tak ogromny, że uderzając całym pędem i w zbitych szeregach, mogła była nieledwie murowane miasto obalić.

Gniewosz, przemówiwszy ognić do swych towarzyszy i wskazawszy im Polaka w białego na pal na wałach fortecy, taki gniew w nich zapalił, że jego chorągiew złała się z sobą jak gdyby w jedną bryłę żelazną – i uderzyła w Wołoszę z takim grzmotem ogromnym, jak gdyby się cały świat na nią zawalił. Jakoż bardzo szeroki wybiła w niej wylom, jakoby paszczę ziejącą, w której zaraz zawrzało i zakipiało jakby w kraterze wulkanu.

Król stanął teraz na miejscu cokolwiek wyniosłym, skąd bitwę tę pod murami fortecy można było widzieć jakby na własnym dziedzińcu. Jakoż wszyscy widzieli, jak Gniewosz jakiegoś Wołoszyna kopią zgiął z konia i podniósł na kopii na jej całą wysokość w tę stronę wałów, gdzie na palu wisiał Tigranes. Na ten widok król zatarł ręce i rzekł do biskupów:

– Dał im poznać królewskich rycerzy, ale jeszcze to na tym nie koniec.

Jakoż towarzysze Gniewosza, rozparłszy się między Wołoszą, całe kupy Wołochów nakładli kopiami – a kiedy je pokruszyli, dobyli mieczów na sześć stóp długich i jak zwierciadła błyszczących i nimi wokoto siebie rąbali i kłuli: miecze ich odbijały na sobie promienie słońca, że się zdawało, jakby tam ustawicznie błyskawice latały, aż póki miecze krwią zlane nie mogły już rzucać błyskawic od siebie.

Wołosza, stęknąwszy ciężko pod chorągwią Gniewosza, usiłowała jeszcze zawrzeć ją w sobie i wypuściła naprzód z prawej strony i z lewej mnogie hufce konne, ażeby wybity wylom załatać i połknięte chorągwie między sobą zadusić.

Ale natenczas Wilczek na czele swojej chorągwi, wzbogaconej szlachtą halicką, z takim impetem w te hufce uderzył, że się przed nim rozbryzgnęły tak właśnie, jak woda się rozbryzgiwa, kiedy kto kamień w nią wrzuci.

Za Wilczkiem uderzyły jeszcze dwie chorągwie królewskie i linią wołoską już szeroko rozwarły, przeciąwszy Wołochów prawie na dwie połowy i utrzymując oddech dla bijących się polskich rycerzy z tej strony.

A wtedy ruszyli stojący około króla biskupi.

Z nich pierwszy biskup kujawski podniósł miecz w górę i w dwieście pancerników swojego dworu z takim samym impetem na Wołoszę uderzył, jak gdyby był świeckim rycerzem; za nim wspanialej postaci Jędrzej Boryszewski, arcybiskup lwowski, we dwieście pięćdziesiąt koni, nuż Jakub Buczacki, biskup kamieniecki, pan jeszcze młody, ale wielkiej powagi, w czterysta lekkiej konnicy samych Rusinów. Złociste i srebrzyste pancerze biskupów i ich rozwinięte sztandary, dzierżgane również srebrem i złotem, opromieniły jakby cudownym

blaskiem armią królewską – a może jej i szczęście przyniosły, bo od tej chwili Wołosza się całkiem zachwiała i jakby pochyliła ku ziemi: nad nią wypływały coraz gęściej na wierzch nasze chorągwie, które też jej widocznie na karkach siedziały.

Ale natenczas zaczęły wyskakiwać spoza Suczawy świeże hufce wołoskie i ściahy tatarskie.

Pod owe porę już wszystkie wojewódzkie chorągwie powyklowały się z lasu i poustawiały się po wzgórzach i w czystym polu. Po klęsce wczorajszej, poniesionej w lesie, nikt by się nie był spodziewał, że mamy jeszcze tak wielką potęgę. Król spojrzął na nią z wielkim zadowoleniem. Jednak wiedziony miłością własną i rozumiejąc, że pokona Wołoszę swym własnym dworem, czego gorąco pragnął, posłał Jana Potulickiego, kasztelana rogozińskiego, ażeby te chorągwie się nie ruszały, aż na nie zawoła. Ale zaraz pierwszy Spytek Jarosławski Leliwita, wojewoda krakowski, srodze się na to oburzył i odpowiedział bardzo rozumnie:

– Nie dosyć królowi na jednym grzechu, chciałby zaraz i drugi popełnić! A jak Wołosza dwór jego potłumi, co wtedy będzie? I tamtych ludzi nam braknie, i u nas duch podupadnie. A potem, i my byśmy też chcieli być na tych godach, bo i myśmy tym rozbójnikom co winni.

I zaraz sam ruszył z całym województwem krakowskim.

A wtedy już niepodobna było żadnej chorągwi utrzymać. Wszystkie rzuciły się na oślep na wojska wołoskie i prawie je sobą nakryły.

Toż dopiero wtedy zaczęła się bitwa prawdziwa, bardzo nieregularna, bo nie było żadnej komendy, lecz niesłychanie zawzięta.

Obydwa wojska porozrzucały się prawie na całe pół mili albo i więcej, Wołochom przybyły jeszcze posiłki zza murów miasta, zjawili się także Tatarzy nieledwie całymi chmurami: bito się chorągwiami, pułkami, drobniejszymi hufcami, a nawet i pojedynkiem, gdzie kogo kto dopadł i gdzie go własna ciągnęła fantazja.

Król, stojąc zawsze na tym samym miejscu pod lasem z królewiczem Zygmuntem i kilkunastą urzędników swojego dworu, miał prócz piechoty pod komendą Ajchingera już tylko jedną dworską chorągiew przy sobie, którą starszy Górka dowodził, a która nazywała się „gończa”: wszystkie inne w bój poleciały. Stamtąd też było widać jak na talerzu tę rąbaninę i wszystkie gonitwy, o ile ich nie zasłaniały kosmyki lasów i porozrzucane tam i sam gęste zarośla: ale było tych utarczek i tych pogoni tak wiele, że im oko jednego człowieka nie mogło nastarczyć. Toż ten i ów z urzędników, stojących przy królu, zwracał jego uwagę na to lub owo widowisko, które przed innymi wpadało w oczy.

Tak spostrzeżono, że Spytek Jarosławski całym swym województwem, które ku podziwieniu wszystkich utrzymał w kupie, oderwał całkiem prawe skrzydło Wołoszy, przez długą chwilę tłumił je na miejscu – a kiedy mu tył podało, pojechał na jego karkach brzegami lasu ku zachodowi. Za Krakowiakami jeszcze jedno województwo ruszyło, nie można było rozpoznać, które to było, ale już nikt o tym nie wątpił, że tam z tego kawałka Wołoszy ledwie *nuntius cladis*<sup>53</sup> zostanie.

Województwo ruskie po śmierci Tęczyńskiego nie miało wodza, więc się rozproszyło, ale ziemia przemyska trzymała się kupy, widać ją było dobrze po rozwiniętym sztandarze, rzucała się na prawo i na lewo, a zawsze zbita ze sobą koń przy koniu. Ktoś jej tam bardzo rozumnie hetmanił, a nie wiedziano który, bo jej kasztelan był ranny: dopiero potem się dowiedziano, że był to syn jego, młodziutki Stanisław Kmita, co na tę wyprawę z Sabaudii przyjechał, późniejszymi rycerz znamienity czasu króla Zygmunta.

Wilczka widziano, jako się tłumił z dwoma chorągwiami Szeklerów na lewym skrzydle wołoskim, Biłowus wisiał wciąż przy nim ze swymi ludźmi, poznano go po jego palce i koniu kudłatym: oczyścili wały w tym miejscu, a potem, wsiadłszy na kark tymże Szeklerom, popędzili za nimi aż poza mury Suczawy. Widząc to król, rzekł do Potulickiego:

---

<sup>53</sup> *nuntius cladis* (łac.) – znak klęski

– Chwałę taką zaciętość w bitwie, bo też i znam ją od dawna u Wilczka; ale niepotrzebnie się zapędza za miasto, bo może tam wpaść w jaką zasadzkę.

Wilczek właśnie to miejsce wałów fortecznych oczyścił, gdzie na ich grzbiecie wisiał na palu Tigranes. Jakoż zaraz widziano, jak przybiegła w to miejsce jakaś pomieszana chorągiew, jedni żołnierze mieli na sobie płaszcze czarne, drudzy błękitne, biegła z nimi razem także piechota z halabardami i toporami, drudzy zaś nieśli drabiny. Niektórzy rycerze pozeskakiwali z koni i zaczęli się drapać na wały. Już ci i owi wdarli się na sam grzbiet wałów, już ich całą garść było widać około pala – a wtedy Wołosza uderzyła na nich z wewnątrz wałów i zaczęła się tam zawzięta ubijatyka halabardami, mieczami i toporami. Jednym i drugim przybywały posiłki, już się wały tak mnogim ludem okryły, jak gdyby chmura much na nie opadła, bito się z wielkim hałasem i zaciętością, strącano się z wałów, obalono pal z trupem – a nie można było zgadnąć, o co tam idzie. Królowi się zdało, że dojrzał tam Kergolaja na szczycie wału i jego ludzi, ubranych czarno z białymi krzyżami, ale w głowę zachodził, po co tam Kergolaj wlaź na te wały. Zaczem się śmiał, chociaż przy febrze mu wcale nie było do śmiechu, i rzekł:

– Po co ten Francuz drapie się sam do fortecy? przecie tam musi być silna załoga. Jeszcze go pojmagają i wbijają na pal jak tamtego.

A Potulicki na to:

– Brano już lepsze fortece. A zawsze się to stało za przewodem jednego człowieka, który obudził fantazję u innych.

– Już bym się też zaraz otrząś z mojej gorączki – powiedział król – gdybyśmy temu wołoskiemu wójtowi jeszcze jego wilczą jamę zabrali.

A wtedy przewaliła się znowu bitwa w tę stronę. Najprzód Szeklery, których Wilczek za mury fortecy przepędził, wzmocniwszy się silnym czambułem Tatarów, co kędyś tam stali za lasem, oparli mu się i z wielkim hałasem, tak że się jego echo kilkakrotnie obilo o skały, wjechali na nim znowu na czoło fortecy; z drugiej zaś strony kilka naszych chorągwi przewaliło się także w to miejsce i wszyscy razem wzięli się bić bez ładu i składu.

Wołosi i Węgrzy trzymali się karniej od naszych, niełatwo się dawali rozrywać, tworzyli ciała zbite ze sobą i plecy sobie dawali, była tam u nich jeszcze jakaś komenda; z naszych tylko jeden Wilczek utrzymał jakokolwiek w kupie swój hufiec, doświadczony Ramułt dzielnie mu w tym pomagał – inne nasze chorągwie się poszarpały, a rycerze i knechci uderzali pojedynkiem albo małymi garstkami.

W tym tłumie, który zajął sobą więcej niż całe stajanie, łatwo było poznać żelaznych rycerzy Gniewosza. Gniewosz oczywiście, może zresztą przez Tatarów tu wparty, przyszedł Wilczkowi na pomoc. Ale jego chorągiew była prawie zupełnie poszarpana i tak rozrzuciona, że prawie każdy towarzysz pojedynkiem najeżdżał. Jużci tam każdy towarzysz był sam jak wieża żelazna i mógł się bronić bez cudzej pomocy, ale przecież i między nimi było widać niektórych dobrze już nadpoczętych, temu hełm potrzaskano, z drugiego pancierz poodlatywał częściami, na koniach potrzaskano kropierze, a ten i ów nawet już był spieszony.

Dziwnie zawzięcie broniła się ta zbierana hołota. Tak bito się z jaką godzinę albo i więcej, tłumy się zaczęły przeredzać, zaczem Wołosi i Węgrzy, jedni padli pod naszymi mieczami, drudzy uciekli, tylko jeszcze Tatarzy z niesłychanym zuchwalstwem się nam naprzykrzali.

A wtedy było widać Gniewosza, którego też po żółtych i czarnych piórach u hełmu sam król poznał od razu, jako się za jakimś pozłocistym murzą tatarskim albo może i baszą tureckim odsądził i z mieczem podniesionym do góry, grzbieciami wzgórza za nim pogonił. Słońce już wtedy zaszło za góry i jeszcze tylko jasne blaski rzucało na ziemię, zaczem na ciemniejącym tle wschodniego nieba widać ich było obydwóch, jak czarne cienie na dnie ciemnobłękitnym. Tatar pędził co koń wyskoczy i od czasu do czasu mu się krzywą szablą odjadał, on za nim, trzymając miecz w podniesionej prawicy, tuż prawie nad nim, a nie mogąc go dostać albo też może chcąc go wziąć żywcem w niewolę – i tak obydwaj zniknęli w zaroślach.

Co się z Gniewoszem stało, tego już nie dojrzano: widziano tylko już przy zapadającym zmroku rycerskiego konia, kulejącego, z rozdartymi chrapami, grzbietem tego samego wżgórza, kędy Gniewosz za Tatarem popędził. Jedni mówili, że koń był bez jeźdźca, drugim się zasię zdawało, że koń niósł na sobie jeźdźca bez głowy...

Noc była pogodna i ciepła. Księżyc jasno przyświecał, kiedy chorągwie zaczęły się ściągać około królewskiego obozu. Chaos tam był niesłychany jak przed stworzeniem świata, trąby, tarabany i nawoływania wzniewały hałas i wrzawę jak na dniu sądnym, ściągnięcie się też trwało aż do północy, bo nie z jednego pola, ale z niezliczonych pól bitew wracano. Trudno tam było się wszystkim rozeznąć, a całe niepodobna policzyć. Szedł tylko głos po całej armii, że Wołosza jest na miazgę pobita, a z naszych mało kto zginął.

Król pytał tylko o swoje chorągwie. Z tych każda po kilku towarzyszy straciła, mało co więcej.

Wilczek powrócił nietknięty – a chociaż, Bóg jemu świadkiem, uderzał zawsze, gdzie było najgęściej, i śmierć z rozpaczliwym zuchwalstwem wyzywał, ani go nawet nikt nie zadrasnął. Nawet i ze swojej zbroi ani jednego płatka nie stracił, tak że ci, co go w tej ciężkiej robocie widzieli, a sami byli haniebnie podarci, patrzali na niego spod oka i mówili sobie: – Jeżeliż ten nie jest charakternikiem, to chyba że już nie masz charakterników na świecie.

Biłowus także cały powrócił, a wszyscy jego żołnierze byli tak obładowani łupami, jak gdyby z jarmarku wracali.

Olizar również mało żołnierzy stracił, tylko jego kozacy uronili wszystkie swe dzidy, połamawszy je na karkach Wołochów. Natomiast wszakże przyprowadził kilka wozów z żywnością i różnaitą inną zdobyczą, które Szeklerom odebrał, a zarazem siedmiu Tatarów i dwa wielbłądy, które zdobył na jakimś murzie tatarskim. Z wielbłądów okrutnie się śmiano i pytano go, na co je brał? Ale on tylko ramionami wzruszał na taką płytkość rozumów i odpowiadał:

– Ot, głupi! Na cóż człowiek się bije? Najprzód za króla, to prawda – przy tych słowach czapki uchylał – a potem, to przecież na to, aby co wziął. A wy, kogoście wzięli w niewolę?

Kergolaj dosyć dziwne widowisko wyprawił królewskiemu dworowi. Jego małą chorągiew fatalnie mu poszarpano, prawie trzecia część jego żołnierzy zginęła, co też niedziwno, bo nią na całą armię wołoską uderzył, został w nią zawarty i musiał na wszystkie strony się bronić. Kiedy Tigranesa pojmano i niesiono na wały, aby go stracić, on nawołał Pretficza do siebie, który już leżał na ziemi, i wziął resztę Tigranesowych ludzi z nim samym pod swoją komendę. Potem się bił z różnym szczęściem i wiele ludzi natracił, a między nimi i Pretficz mu zginął. Kiedy Wilczek tę stronę wałów oczyścił, on zebrał swoich i cudzych ludzi, co mógł, i wdarł się na wały – a wiedział dobrze, dlaczego to czyni. W tym wielkim popłochu mogło mu się udać zrobić wyłom w fortecy i wziąć ją, zwłaszcza że jeśliby mu się udało utrzymać na wałach, to by go pewnie drugie chorągwie poparły. Widywał on nieraz, ba, nawet był przy tym, jak brano daleko mocniejsze zamki bez porównania słabszymi siłami. Sztuka ta mu się nie udała, bo żadnej komendy nie było, która by jego zamiar spostrzegła i dała mu zaraz silne poparcie. Ale kiedy już tam był, odbił przynajmniej trupa Tigranesa, największą, a przy tym hańbiącą dla nas trofeę Wołochów: czyn heroiczny, za który cała armia powinna mu być wdzięczną, a za który jeszcze jaka inna mogła się zdarzyć nagroda. Toż przywiózł istotnie zwłoki tego biedaka ze sobą – a położywszy je przed dworem królewskim na ziemi, rzekł z nie tajonym uczuciem zadowolenia :

– Nie godziło mi się zostawiać zwłok tej ofiary w rękach Wołoszy, aby jeszcze dalej z nas urągała; dlatego zdrowie zaważył, ażeby je dostać.



Królewscy dworzanie, obstąpiwszy to *corpus exsangue*<sup>54</sup> Tigranesa dokoła, który z twarzą białą jak z wosku i w pancerzyku błyszczącym leżał na krzyżach przed nimi, bardzo mu ten czyn rycerski chwalili, mówiąc:

– I Polak nie stanąłby lepiej w obronie narodowego honoru. Dank mu się od nas za to należy i trzeba, aby mu sam król podziękował.

Ale Wilczek uśmiechnął się na to złośliwie. On jeden rozumiał, że wie, dlaczego Kergolaj karku nadstawił, ażeby to *corpus exsangue* a zarazem i *corpus delicti* od Wołoszy wydobyć, i na czyje wdzięczność za to on liczy, jeżeli je przywiezie do Lwowa. Ale machnął ręką i rzekł do siebie:

– Właśnie tak samo, jak ja Jagienkę, tak ty ją dostaniesz!...

Zaczem bardzo tym zachmurzony, że jeszcze żyje, poszedł do swojej chorągwi, aby jej stanowisko na nocleg wytyczyć.

Na chorągiew Gniewosza bardzo długo czekano. Król już nie mógł na koniu dosiedzieć, usiadł więc przed swoim namiotem na krześle polowym, i tam niemoc go tak rozbierała, że się przed sobą na mieczu opierał – a przecie czekał. Nareszcie i ta chorągiew wróciła. Jej towarzysze bardzo byli potrzaskani, wielu spieszonych, kilkunastu knechtów stracili, z nich samych żaden nie zginął – ale Gniewosza nie było.

Król tak się tą wiadomością przeraził, że ręce załamał i zawołał:

– Na Boga żywego! cóż się z nim stało?

– Tatarzy na nas z wielką siłą natarli – odpowiedzieli mu Gniewoszowi rycerze – rozbiliśmy ich, nacięli i podeptali, ale murza nam uszedł, Gniewosz się za nim wysadził, zapewne wpadł na drugi czambuł tatarski i tam jest usieczon.

– Na miłość Boga! – zawołał król – wsiadajcież na koń, którzy są mniej pomęczeni, i idźcie go szukać. Nie sługa mi to był, ano przyjaciel, nie rozweseli mnie to zwycięstwo, jeśli on zginął.

Ale rycerze mu odpowiedzieli:

– Miłościwy panie! jużśmy go wszędzie szukali, dlatego też tak późno wracamy. Widzieliśmy własnymi oczyma wielki czambuł tatarski za miastem, do którego się niedobitki wołoskie i siedmiogrodzkie ściągają, tam zginął.

Zaczem król ze spuszczoną głową poszedł do swego namiotu – i powiadano, że całą noc nie spał, swojego kapelana wciąż trzymał przy sobie i kazał mu czytać modlitwy za duszę Gniewosza.

---

<sup>54</sup> *corpus exsangue* (łac.) – dost: ciało bez krwi (martwe)

## XIII

### PO WOJNIE

Wielkie to było zwycięstwo nasze pod murami Suczawy! Daleko większe niżeli owa rozgłośna klęska w lesie bukowym, którą nienawiść do króla i polityczne kabały w późniejszych czasach rozdmuchały do tak ogromnych rozmiarów i nadały jej tak głęboko tragiczne znaczenie. Zwycięstwo to było o tyle jeszcze świetniejsze i godne wiecznej pamięci, ile żeśmy tam mieli przed sobą wielkiego wojewodę Stefana, człowieka potężnej głowy, niezwalczonej energii i niesłychanej chytryści, który natenczas cały swój lud do broni powołał, bardzo znaczne posiłki ze Siedmiogrodu skrycie sprowadził, około czterdzieści tysięcy Tatarów miał po swej stronie, drugie tyle Turków w odwodzie i stanął przeciw nam w niezmiernie silnej pozycji pod murami Suczawy – z naszej zaś strony tylko królewskie chorągwie były nietknięte i w dobrym ładzie, a całe pospolite ruszenie, choć jeszcze dość liczne, jednak rozbite i przerażone do najwyższego stopnia niespodziewanym w lesie napadem. Do tego jeszcze król chory, Fredro, najdoświadczeńszy i najprzytomniejszy z wodzów ówczesnych, zginął dniem przedtem wśród lasu, Mikołaj Tęczyński, najlepszy po nim, także zabity, nawet i Kamieniecki, który miał ducha po temu, ażeby objąć naczelne dowództwo nad całą armią, ranny musiał zejść z pola: zgoła tak było, żeśmy dnia tego jeszcze nie ochłonęli z popłochu i nie mieli żadnej komendy. Chorągwie uderzały i były się potem każda wedle własnej fantazji – a przeciw zbiliśmy tę ogromną potęgę Wołochów, Tatarów i Węgrów na miazgę; zostały się z niej tylko niedobitki, z których jedne skryły się do fortecy, drugie uciekły za miasto do Tatar, a trzecie, jak powiadano, pod wodzą samego Stefana pociągnęły jeszcze w dość znacznych kupach brzegami lasu kędyś ku północnemu zachodowi.

Jakkolwiek te rozproszone kupy Wołochów mogły się jeszcze gdzieś zebrać za lasem i nam drogę zastąpić, jednak na teraz nie było wcale obawy nowego napadu. Armia nasza się rozłożyła obozem pod lasem w obliczności Suczawy i po różnych polanach leśnych, porostawiano silne czaty dokoła z takich chorągwi, które wcale w boju nie były, długo w noc jeszcze nawoływano się, trąbiono, bębnilo, karmiono konie i posilano się, gdzie kto mógł jak kawałek jadła uchwycić – a potem całodzienną bitwą zmęczeni żołnierze ułożyli się do snu.

Wilczek, wytyczywszy stanowisko dla swojej chorągwi pomiędzy dworem królewskim i zdawszy resztę na Ramuła, jak tylko mu namiot rozpięto, wyciągnął się na swoich wojskach i także zasnął snem twardym.

Spał wygodniej od innych, bo miał wiernego sługę, który niez mordowaną swą usłużnością wszystkich innych wyprzedzał, jego namiotów i pakunków jak pies pilnował, zawsze wszystko przewidział i nigdy nie zapominał o niczym, toteż i teraz, kiedy inni dopiero swoich namiotów szukali, on dawno już rozpiął namiot swojego pana i bardzo wygodne mu łoże wyścielił. Tym sługą był ów Kostruban, którego Wilczek przeszłego roku spotkał był w lesie przy Chryzostoma eremie i przyjął do siebie na służbę.

Wilczek się tak przyzwyczaił do niego, że gdziekolwiek się znajdował, w podróży czy w domu, na służbie u króla czy też na wojnie, zawsze go miał nieodstępny przy sobie. Jego dworzanie i pacholikiowie zrazu śmieli się z niego, bo najprzód znajdowali go okrutnie brzyd-

kim – z tym długim nosem, ze swymi rybimi oczyma i z ryżą czupryną, ledwie był do człowieka podobny – a potem mówił łamano z niemiecka i często takich dziwacznych używał wyrazów, że kto nie znał gwary niemieckiej, nie zawsze mógł go zrozumieć. Ale i oni się z czasem przyzwyczaili do niego, zwłaszcza też widząc, że jest w łaskach u pana. Prócz tego Kostruban uwalniał ich od wielu trosk i zachodów, bo pracował za wszystkich, każdemu chętnie usłużył, w każdym trudnym terminie umiał sposób wynaleźć, a gdzie już nikt nie poradził, to on jeszcze zawsze człowieka jakąś sztuką wykręcił.

Wilczek przypominał sobie czasami wśród jakich okoliczności go wziął do siebie na służbę. Przesądny, jak wszyscy jego współcześni, niejednokrotnie, kiedy Kostruban jakimś niezwykłym odznaczył się sprytem, przypuszczał u siebie, że albo to sam diabeł jest, albo ma diabłów przy sobie, dlatego nigdy całym sercem go nie polubił, a czasem nawet uczuwał jakby wstręt jakiś do niego. Ale zarazem czuł, że już by nie mógł się obejść bez niego, co więcej, pomimo braku przywiązania i wbrew wstrętom chwilowym, tak przylgnął do niego, wśród swego rozpaczliwego usposobienia miał jakieś nieokreślone, ale tak silne przecucie, że ten człowiek mu jeszcze kiedyś jakąś wielką wyrządzi przysługę, że gdyby go był jakim przypadkiem utracił, to byłby całkiem zrozpaczał, bo byłby miał przekonanie, że ten słaby brzask jeszcze gdzieś w dali migocącej nadziei już zgasł na zawsze przed jego oczyma. Tak nieraz widzimy, jako niektórzy człowiek, zacny i niezawisły, przywiązał się do takiego indywiduum, którego w gruncie serca nie lubi, od którego czasem wstręt go porywa, którego nawet się boi – a przecie go ciągnie do niego: filozofowie takie niewytłumaczone pociągi nazywają psychologiczną zagadką albo szukają ich źródła w nie dającym się dojrzeć duchowym powinowactwie; my wszakże, szukający każdej prawdy nie spekulacją, tylko naszymi żywymi oczyma, widzimy jasno, że źródłem takiego zagadkowego pociągu jest zawsze jakiś pożytek albo przynajmniej nadzieja pożytku.

Toż takim samym, choć może nie całkiem świadomym pociągiem wiedziony Wilczek, nie tylko się do Kostrubana przywiązał, ale już dawno mu się zwierzył ze wszystkimi swymi tajemnicami. Kostruban już znał bardzo dokładnie nie tylko jego wszystkie interesa w Tustaniu i jego stosunki z Kijasem, ale wiedział o jego nieugaszonej miłości dla Jagienki i jego nieprzepartym pragnieniu, ażeby ją dostać. Wilczek nawet czasem o tym z nim mówił, a Kostruban go zawsze pocieszał, zapewniając go na wszystkie zaklęcia, że jego pragnienie będzie zadowolonym.

– Niech pan starosta będzie tylko cierpliwy – powiadał mu wtedy – znajdzie się na to sposób swojego czasu, dostaniemy Jagienkę.

Kiedy Wilczek czasami nastawał na niego, aby mu powiedział, czyli i jakich szuka na to sposobów, zmyślny ten sługa, a nie bardzo sumienny, ofiarował się przekraść do niej z listami, umówić z nią schadzkę dla niego, a nawet go kusił, ażeby nieposłuszną fortunę wziął za łeb i wykradł Jagienkę z Czorsztyna. Ale Wilczek zawsze sfukał go za to, mówiąc:

– Głupiś! Do takiego sposobu nie potrzebowałbym ciebie. Ale nie rycerska to rzecz. Gniewosz mi towarzyszem i przyjacielem, choć nie wiem, co mi tam życzy w tej swojej przyjaźni. Wszelako nie mnie w to wchodzić. Ja się dlatego nie zmienię i pierwiej zginę, niżelibym miał wykroczyć przeciwko temu zakonowi, pod którego prawami żyję.

Kostruban zapewne sobie głowę łamał nad wynalezieniem innego sposobu, ale dotąd nic nie wymyślił.

Tej nocy, kiedy Wilczek spał pod namiotem, on, wypawszy się w dzień, przechadzał się po królewskim obozie, gdzie słudzy rycerscy jeszcze tu i owdzie ze sobą gwarzyli, wachał na wszystkie strony, rozmawiał z nimi, podsłuchiwał, szpiegował. Nareszcie w jednym miejscu coś dojrzał, czegoś się tam dowiedział – a była to pewnie rzecz ważna, bo zaraz potem pobiegl do namiotu swojego pana.

Wtedy jeszcze ciemna noc była, księżyc już zaszedł, gwiazdy poblądły, jeszcze daleko było do świtu. Kostruban niecierpliwił się przed namiotem, co chwila kotarę odchyłał i zaglą-

dał wewnątrz namiotu, i znowu powracał, przestępował z nogi na nogę i podsłuchiwał. Ale jak tylko na wschodzie cokolwiek szarzyć zaczęło, zebrał w sobie odwagę, wszedł do namiotu i zaczął chrząkać.

Wilczek się zbudził, spojrzął, na niego i spytał, czy już oświłło.

– Panie starosto! – rzekł mu Kostruban – wstawaj jegomość, wielka nowina.

– Cóż tam takiego? – zapytał Wilczek, wstając rażno z posłania.

– Pan Gniewosz zginął.

– Gniewosz zginął?! – zawołał Wilczek, chwytając go rękami za obydwa ramiona – Gniewosz zginął? gdzie? kiedy? skąd ta nowina?

– Zginął kędyś za miastem – powiadał mu prędko Kostruban – wczoraj wieczorem ze swoją chorągwią nie wrócił, a w nocy koń jego okulawiony przywłókł się na trzech nogach do naszego obozu. Żołnierze konia dobili, a teraz plądrują wołoki pana Gniewosza.

– Chodź! – rzecze Wilczek, trzęsąc się cały z wzruszenia i z niecierpliwości – chodź, gdzie jest koń i gdzie są ci żołnierze?

Kostruban wybiegł pierwszy z namiotu, Wilczek za nim i obydwa szli prędkimi krokami za namioty królewskie, gdzie nocowała chorągiew Gniewosza.

Przyszedłszy niebawem w to miejsce, do którego biegł pierwszy Kostruban, spostrzegli pomiędzy krzakami kilku żołnierzy, należących zapewne do służby dworskiej, jako wypatroszywszy kilka sporych wołoków, leżących przed nimi na ziemi, dzielili się znalezionymi w ich wnętrzu rzeczami. Jeden z nich, przeszukując wołok już wypróżniony, znalazł w nim kieszeń, a wydobywszy z tej kieszeni jakoby skórzany pulares, pokazywał go drugim. Obaczywszy to Wilczek, krzyknął na nich surowo:

– A co to tu plądrujecie, złodzieje! Gdzie jest koń pana Gniewosza?

A kiedy to mówił Wilczek, Kostruban wyrwał żołnierzowi z ręki ów skórzany pulares i został przy wołokach, zaś wystraszeni żołnierze poprowadzili Wilczka do konia.

O kilkadziesiąt kroków od tego miejsca leżał istotnie na ziemi zabity koń Gniewosza. Już wtedy świtać zaczęło. Wilczek obszedł konia dokoła, aby go dobrze obejrzeć i poznał go bez wątpienia, bo go znał dobrze: był to bułany *dextrarius* Gniewosza, jeden z największych a zarazem najszybszych koni w całym dworze królewskim, którego rozum i zręczność podziwiali nawet cudzoziemscy rycerze. Teraz miał nogę przednią złamaną i łeb zakrwawiony, który mu roztrzaskali żołnierze.

– Teraz wierzę, że go zabito, jak skoro koń pod nim szwankował – rzekł Wilczek do siebie i zaraz szedł do wołoków.

– Popakujcie nazad te rzeczy – zawołał do żołnierzy – i zanieście je za mną do namiotu porucznika. A tam was każę zakuć w łańcuchy! To wy tacy słudzy, co okradacie własnego pana?

I łajał ich dalej, obiecując im srogie kary za to łotrństwo.

A wtedy Kostruban przystąpił do niego i podając mu ów skórzany pulares, rzekł:

– I to także ukradli.

Wilczek, wzięwszy pulares do ręki, rzucił nań okiem i dostrzegł, że była na nim żółtawa pergaminowa kartka, przyszyta lub przyklejona, a na niej napis. Przypatrzył się bliżej temu napisowi i wyczytał na niej te słowa:

„IMĆ Pana Gniewoschowy testament”.

Wilczek otworzył prędko pulares i wydobył zeń dużą ćwiartkę pergaminową, złożoną we czworo, którą też zaraz rozwinał; lecz kiedy ją rozwijał, coś z niej wypadło i brzękło na ziemi, uderzając o jakieś metalowe przybory.

Kostruban się pochylił i podał mu ten przedmiot.

Wilczek go wziął do ręki i niepomału się zdziwił: była to bowiem połowa złotej obrączki ślubnej, nie przepiłowanej, tylko przełamanej gwałtownie. Wilczek nie mógł zrozumieć, co

by ta połowa obrączki miała znaczyć, zaczęłam wyprostował na kolanie kartkę pergaminową i zaczął ją czytać. I czytał w ten sens:

„Chwała Panu Bogu wszechmogącemu w Trójcy szwienthey yedynemu, Panu Jezusowi y Duchowi szwenthemu. Nayszwientszey Pannie, opyekuntse chrzestyanskyego rycerstwa, nuszkyy całuyey y oblewamy ye łzami, ażeby za yey przyczyną testhament then był wypełnyony. A oto moy testhament. Kthoby znalazł tę okruschyenę moyey schlubney obrątschky, proszę go, aby ją zanyosił żenię moyey, Yejmość Paniey Agnieschce Gniewoschowej z domu Kmythów, Stharoszczynye na Zamku w Cszorschtynye, w Małey Polsce, nad Dunnaytsem, przy scianyng wengyerskyy. Z czego pozna, jako pomyendzy namy yesth umówiono, że na they woynye zabith yesth. Zaczem dawschy odprawycz przysthoynye nabożeństhwo za zbawyenye duschy moyey, thoż darowawschy mnie grzechy a wyny moye, z dopuszczenya Bożego przeczyw nyey popełnyone, nyech nye czekayąc ydzie w drugyey małżeństwy według swego natchnyenya, czem theż za łaską Bożą skruci moye menki tschystcowe. A kthory yey te okruschyenę zanyesie, yestli yesth rycerz, zdobendzye sobye łaskę u Panny Maryey nayschwientszey; yestli zasie yesth pacholyk albo drugy tschłek pospołyty, wynna mu dać z moyey schkathuły sowytą nagrodę, o co ją proszę dla nyego. Boże! zmyłuy ssey nade mną, a nye sąż thych, co mnie sążyli za žycya, nye wyedząc wschystkych sspraw moych. Cherubyn Gniewosch z Olexowa, Rothmagister Jeko Kr. M. a Stharosta Csorschtynski”.

Kiedy Wilczek ten list przeczytał, łzy mu w oczach stanęły. Żał mu się zrobiło tego zacnego człowieka: jakiegokolwiek się w jego sercu chwilowo dla niego obudziły uczucia, dziś musiał przyznać, że był to jeden z najlepszych – a zginął tak młodo. Żał mu było także Formozy: los ją właśnie uwolnił od męża, upadła połowa przeszkód połączenia się z swym ulubionym – a niebawem będzie musiała się dowiedzieć o śmierci swego oblubieńca i pogrzebać na zawsze swoje najpiękniejsze nadzieje.

Jednak te łzy ustąpiły po chwili: bo przecież on sam, który o zniszczeniu swych własnych nadziei już wcale nie myślał i w najczarniejszej utonął rozpacz, skutkiem tego samego wypadku śmierci całkiem niespodziewanie otwarte niebo przed sobą obaczył. Jagienka wolna: teraz już nie masz żadnej przeszkody dla niego. Matka Gniewosza żadnej już władzy mieć nad nią nie może. Chryzostoma, jej opiekuna, już nie ma na świecie, o wolę Kmitów sobieńskich wcale nie potrzebuje się pytać. Jagienka jest wdową, panią swej woli, zrobi, co zechce. Wilczek odżył na nowo, stanął silnie na nogach, był siebie pewnym, był w niebie. Obejrzał jeszcze raz okruszynę obrączki, zawinął ją w testament, włożył do pularesu, pulares w zana-drze – i poszedł do króla po rozkazy jak zwykle.

Nie potrzebując już teraz niczyjej protekcji, podniósł głowę jeszcze wyżej, niżeli ją nosił w swoim nieszczęściu, ale pomimo to nie chciał dumnym być w szczęściu i postanowił sobie postępować rozumnie i honorowo jak zawsze: Gniewoszowym żołnierzom zasłużoną karę darował, Kostrubanowi kazał milczeć o wszystkim, co widział i sam nikomu, ani nawet królowi, nie wspomniał nic o tym, co znalazł.

Nie była to zresztą pora na sprawy miłosne. O wschodzie słońca obóz zaczął się zbierać do pochodu. Gdyby król nie był chory, to po tym świetnym zwycięstwie byłby się może jeszcze raz pokusił o wzięcie Suczawy. Ale po wczorajszych wzruszeniach i wysileniach jego niemoc się wzmogła do tego stopnia, że ledwie mógł doleżeć na wozie. Prócz tego cała okolica była już tak objedzona i wyniszczona, że nie można było o tym ani pomyśleć, ażeby tak liczną armią wyżywić.

Armia zatem puściła się w pochód, przez ten sam las bukowiński. Wśród tego pochodu pozbierano jeszcze немало naszych żołnierzy, rannych i zdrowych, którzy się pochowali w gęstwinach, zabrano z sobą ciała niektórych zabitych, które ich krewnym lub przyjaciółom udało się poodzukiwać, poodbijano jeszcze dużo wozów z namiotami i bronią; tylko straconych armat blisko sześćdziesiąt już nie odbito, które dopiero w kilkanaście lat potem wielki hetman Tarnowski odebrał i w wielkim tryumfie przywiózł do Krakowa.

U wyjścia z lasu Wołosi jeszcze raz próbowali nam drogę zastąpić, a nad Prutem zebrali się wraz z Szeklerami i mając Tatarów w odwodzie, bitwę nam dali; ale już wtedy żadna pociąg nie mogła się na nas porywać bezkarnie, bo duch w całej armii był wielki i ognista przeciwno Wołochom zawziętość; toż ich tam haniebnie pobito nad Prutem, a jeszcze im i ich kraj spustoszone i niemało nabrano zdobyczy.

Tak cała armia, oplakawszy swe straty, a powetowawszy je za Bożą pomocą w dwójnasób na skórze wołoskiej, z dobrą fantazją stanęła w Śniatynie, gdzie król na kilka dni spoczął i całe pospolite ruszenie rozpuścił.

W Śniatynie Wilczek się już zniecierpliwiał, bo rad by był na skrzydłach polecieć na Czorsztyń. Jakoż zaraz nazajutrz poszedł do króla i prosił go unieżenie, aby także i jego na mały czas puścił do domu.

Król spojrział zrazu chmurnie na niego i milczał przez oka mgnienie. Widać było po jego twarzy, że mu się nie podobała ta prośba. Ale niebawem się ocknął, a wtedy już łagodniejszymi oczyma patrzył na Wilczka i rzekł:

– Twoja panna dziś wdową jest na Czorsztyń, to pewnie dlatego ci się tak śpieszy.

– Jużci dlatego – rzekł Wilczek – bo inaczej by mi ani na myśl nie przyszło oddalać się od mego miłościwego króla, zwłaszcza kiedy jest chory.

Zaczem król jeszcze trochę pomyślał, a potem tak mówił:

– Słysz, Wilczek! widziałem ciebie, jakieś twojego zdrowia dla mnie nadstawiał pod murami Suczawy, i tak ci powiadam, że nigdy tego ci nie zapomnę, bo nikt tam lepiej nie stawał od ciebie i takim czuł, patrząc na twoją odwagę i pracę, że się bijesz za honor twego króla. Powiedzą ci to naoczni świadkowie, że nawet raz krzyknął za tobą, spostrzegłszy, żeś się za daleko zapędził, żebyś nie wpadł w jaką połapkę, jak się to właśnie mało co potem temu biednemu Gniewoszowi zdarzyło. Aleś mi też dlatego tak przyrósł do serca, że już nie widzę, kogo bym miał wierniejszego od ciebie. Do tego popatrz, co się tu stało koło mnie! Kamieniecki jeszcze się nie obaczył, Gniewosz spoczywa w Bogu, inni moi rotmistrze i porucznicy, co nie zginęli, to młodzież i sami panice, jako ich znasz, cały mój dwór jest jakby w rozsypce... Pospolite ruszenie się rozjechało, królewicz, brat mój, dziś do Krakowa wyjeżdża, jam chory: jeżeliby mnie w drodze kto napadł, to nawet nie wiem, kto by mnie bronił. Słysz, Wilczek! rozumiem dobrze, jak ci pilno do twojej wdowy, ale ona ci nie ucieknie – a ja bym tu całe już osierocił bez ciebie. Owo więc, o co cię proszę: zdaj twoją chorągiew twemu namiestnikowi, weź rotmistrzowską buławę nad chorągwią Gniewosza, weź komendę nad moim dworem i odprowadź mnie jeszcze do Lwowa. A ze Lwowa już cię puszcę na Czorsztyń i zabawisz się tam, jak długo zechcesz.

Wilczek, wierny sługa królewski, słuchał z wzruszonym sercem tej serdecznej mowy swojego pana. Jużci taka gorąca miłość, jaką on miał dla Jagienki, grzeje okrutnie; ale łaska królewska i grzeje, i łechce, i opromienia. Jagienka mu nie ucieknie, sam król to powiedział. Zaczem ucałował rękę królewską – i został.

Król jeszcze trzy dni leżał w Śniatynie – a potem krótkimi noclegami ruszył do Lwowa.

Bardzo to smutny był pochód. Dwór jego, chociaż zwycięski, a nawet świadomością swych przewag wysoko podniesiony na duchu, zdarł się okrutnie. Bardzo wielu rycerzy miało tak potrzaskane zbroje, że nawet ich przywdziać nie mogli, niektórzy z nich potracili swoje pakunki i poubierali się w pakłakowe kubraki, a nawet i w chłopskie opończe, wszyscy byli zmizerowani, wynędzniali, wychudli, a ten i ów nawet pożółkł jak wosk, nabawiwszy się febrą wołoskiej, która mu wyżerała wnętrzności. Konie ich wyglądały już jak szkielety, zwłaszcza też owe wielkie ogiery rycerskie, przyzwyczajone do wygod, wiele z nich nawet wyginęło w tych trudach niezwykłych, a panowie ich siedzieli na małych bachmatach albo też na zdobywanych koniach wołoskich i siedmiogrodzkich, z pięknymi grzywami prawie do kolan, ale z łbami jak cebry i garbatymi nosami. Wleklić oni za sobą niemało wozów z rozmaitym zdoby-

czą, prowadzono w tej karawanie bawoły i kilkanaście wielbłądów, między nimi i jeńców cokolwiek: ale wieźli za sobą także i trupy.

Ciało walecznego Fredry, które odszukano na pobojowisku, a nad którym cała armia płakała, zostało po drodze w Niżniowie; ale zwłoki dwóch Tęczyńskich, wojewody ruskiego i jego synowca, wieziono w trumnach na wielkim wozie sześciokonnym, woskowanymi płótnami nakrytym, w otoczeniu sług tego znakomitego domu Toporów.

Za nimi ciągnął Kergolaj z wozem, na którym była złożona trumienka z ciałem Tigranesa. Chorągiew Kergolaja była zdarta do niepoznania, chociaż przed wojną była tak znakomicie złożona. Ale ten rycerz francuski „bez lęku ni zmaży” był w okrutnych opałach pod murami Suczawy, bił się jak lew ze wszystkich stron osaczony, a chociaż poszarpany na szmaty, powziął jeszcze myśl heroiczną Tigranesa zdjąć z pala, aby tę smutną trofeę nie zostawić w rękach Wołochów. Krew swoich i Tigranesowych żołnierzy tak mało ważył, jak swoje własną, gdzie chodziło o honor: zaczął prawie trzy czwarte części tych ludzi wytracił – a teraz zostało mu swoich żołnierzy ledwie trzydziestu, pomiędzy którymi wszyscy trzej Bernatowicze, chociaż także obdarci, pozostali nietknięci. Jednak jeszcze i z ich czarnych płaszczów tyle zostało, że otaczając wóz z trumną wyglądali właśnie jak owi żałobni rycerze, co kruszą tarcze herbowe po zmarłych ostatnich potomkach rycerskich rodów i odprowadzają ich zwłoki do grobu. Nad tym pogrzebowym konduktem powiewała czarna chorągiew Kergolaja ze złotym lewkiem, z której wprawdzie także już strzępie wisiały, ale której nie dał sobie wydrzeć, chociaż Bóg sam wie tylko, ile razy był z nią w takiej ciasnocie, że po sto ramion po nią sięgało. Za wozem postępowała reszta Tigranesowych żołnierzy. Stracili swojego rotmistrza i swoją chorągiew także stracili: w podartych płaszczach błękitnych i żółtych, w poszczerbionych pancerzach siedziało ich ledwie dwudziestu na koniach, ale Pretficza pomiędzy nimi nie było...

Za tymi trumnami ciągnęło jeszcze sporo piechoty pod komendą Frąca Ajchingera. On sam siedział na dobrym koniu i rumiane wyglądał, bo mu się też tak szczęśliwie udało, że w żadnej bitwie się nie bił: ale jego łucznicy i halabardnicy byli już prawie w łachmanach, wychudli i poobdzierani, jak gdyby istna armia żebraków.

Olizar ze swoją sotnią kozaków był także przy tym pochodzie, ale wcale się ładu nie trzymał, tylko się odsądzał od armii to w tę stronę, to w owe i po dworach nocował, gdzie i on sam, i jego kozacy bardzo dobrze się mieli. Jednak z wszystkimi razem przyciągnął do Lwowa.

Biłowus, obładowany tak ciężkimi łupami, że jego ludzie musieli iść pieszo, ażeby konie mogły udźwignąć woźki, już w Śniatynie pokłonił się Wilczkowi, prosząc go, aby go puścił do domu. Na co mu Wilczek pozwolił, zaczął Biłowus nająć sobie dwa wozy w Śniatynie i pojechał stamtąd prosto na Tustań.

Kiedy król przyciągnął nareszcie do Lwowa, z Bramy Halickiej wyrunęli przeciwko niemu wszyscy halabardnicy miejscy i niezliczone gromady ludu. We Lwowie mało jeszcze wiedziano o odniesionym zwycięstwie, ale natomiast miano już nieprzeliczone i najpotworniejsze wieści o klęsce w lesie bukowym, do których przymieszały się także wiadomości o stratach poniesionych pod murami Suczawy. Ci, co pierwsi uciekli z lasu, roznieśli już taki popłoch po mieście, iż zrazu zrozumiano, że w tym lesie piekielnym, gdzie według tradycji Polacy już za Kazimierza Jagiellończyka równie tragiczną klęskę ponieśli, po prostu wszyscy zginęli. Lecz z pierwszymi przybywali drudzy, a potem pospolite ruszenie ziemi lwowskiej i bełskiej przez Lwów przeciągnęło – a tak miano już i całkiem wiarogodne podania od świadków naczynych. Zaczem już wiedziano na pewno, jaka śmierć Tigranesa spotkała, i że Gniewosz został od Tatar zabity, a jego koń okaleczony do obozu powrócił. Wiedziano także, że Kergolaj wiezie zwłoki Tigranesowe.

Stąd poszło, że z ludem miejskim, który się na przyjęcie króla za Bramę Halicką wysypał, wybiegli także stary Kijas i Kundrat.

Lud przyjął króla z spuszczoneymi głowami i bez żadnych okrzyków, przypatrywał się jeszcze przez jakiś czas ciągnącym za królem chorągwiom i wozom i pomału nazad się wciśnął do miasta: ale Kijas i Kundrat czekali z godzinę. nim wreszcie Kergolaj z trumną nadciągnął.

Kijas był bardzo zgryziony, wszelako jako człowiek rozumny, wytrawny i już licznymi klęskami doświadczany przez swoje życie, zdawał się być spokojnym i zrezygnowanym. Ale o wiele młodszy od niego Kundrat, który zresztą nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego się ludzie zabijają między sobą, kiedy by jedni z drugimi mogli żyć w szczęściu i w zgodzie, był jak na sprężynach, nie mógł ustać na jednym miejscu, patrzył wytrzeszczonymi oczyma na poszarpane chorągwie, otwierał gębę na ścieżaj, kiedy obaczył którego z bogatych panów w łachmanach, a kiedy nadciągnął wóz ze zwłokami Tęczyńskich, podparł sobie ręką podbródek i mówił półgłosem do siebie:

– Taki pan wielki! wojewoda ruski, jego zamków i włości nikt by nawet nie zliczył! I trzeba mu było iść między Wołochów i dać się im zabić, jak prosty chłop, jak halabardnik, co nie ma w gębę co włożyć...

A kiedy nareszcie Kergolaj nadjechał z trumną Tigranesową, jemu już ledwie oczy nie wyskoczyły z powiek, przybliżył się do wozu, podniósł płócienne nakrycie i patrzył na trumnę zadziwionymi, ale zarazem niedowierzającymi oczyma. Kergolaj nie cierpiał, miał go za awanturnika, co gotów sobie zadrwić z rzeczy najświętszych, chciałby był podnieść wieko od trumny, aby obaczyć, czy Tigranes istotnie tam leży. Szczęściem, nadjechał właśnie w tej chwili Olizar. Kundrat spojrział na niego i od wozu odskoczył; przypomniał sobie zapewne jego buty kowane, z którymi nie chciał się jeszcze raz spotkać.

Tymczasem wszakże Kergolaj, podniósłszy głowę miernie do góry, zabrał głos i bardzo wymownymi słowy do Kijasa przemówił, opowiadając mu krótko, jak jego syn zginął śmiercią bohaterską a zarazem męczeńską, za co już dotąd otrzymał niebieską nagrodę. Potem delikatnie nadmienił, jako on sam swoje życie zaważył, ażeby jego zwłoki spomiędzy barbarzyńców wyrąbać i przywieźć je jego rodzinie – a w końcu pięknym zwrotem dołożył, że jego misja w tej chwili się kończy, oddaje mu ciało swojego towarzysza i przyjaciela i prosi, aby je obyczajem rycerskim kazał pochować.

Wśród tej przemowy Kijas rozplakał się rzewnymi łzami, chciał odpowiedzieć, ale na próżno się silił, jego słowa zawsze mu łzy w gardle zalały. Co widząc Olizar, człowiek złote-go serca, zeskoczył z konia, objął go w swoje ramiona i rzekł:

– *Ta szczo!* nie ma co płakać! Twój syn zginął śmiercią pocziwego człowieka. Taki los jest każdego żołnierza. Dziś jemu, a jutro mnie. I ciebie także niebawem czort weźmie, choć-eś nie żołnierz...

Chociaż Olizar był także bardzo wzruszony, a nawet i łzy mu się w oczach kręciły, jednak tą swoją przemową uspokoił Kijasa. Który też, odzyskawszy całą swoje przytomność i powagę, serdecznie podziękował Kergolajowi za tak wielką usługę, oddaną jego rodzinie, i odciągnawszy go trochę na stronę, zaczął z nim rozmawiać półgłosem. Zdarzyła się bowiem pewna trudność co do pogrzebu, w której stroskany ojciec chciał się z tym doświadczonym rycerzem poradzić.

Kijas, jak tylko się na pewno o śmierci swojego syna dowiedział, zaraz pomyślał o przyzwoitym pogrzebie i chciał go w ormiańskiej cerkwi pochować, gdzie miał niejako swój grób rodzinny, bo już jego ojciec tam leżał. Ale biskup ormiański, wiedząc już o tym, że Tigranes przeszedł na łono katolickiego Kościoła, chociaż mu był przyjacielem, powiedział stanowczo: – *Quod non!*<sup>55</sup> – i przyjęcia zwłok do swej cerkwi odmówił. Zaczem Kijas udał się do katedry łacińskiej; ale tam kanonicy także mu odmówili, zastawiając się tym, że o przejściu Tigranesa na wiarę katolicką urzędownie nie wiedzą. Wychrzcił się tam gdzieś w zamkowym kościele –

---

<sup>55</sup> Quod non! (łac.)– Dlatego nie!



powiadali mu zgryźliwie – i to Bóg wie po jakimu, niechże go tam także pogrzebią. Żądali dokumentów – a dokumentów nie było, bo się to stało naprędce. Stroskany Kijas, znalazłszy się w takim kłopotcie, udał się do kościoła N. Panny Marii i proboszcz tamtejszy po długich błaganiach wprawdzie go przyjął, ale tylko pozwolił, ażeby zwłoki Tigranesa pochowano tymczasowo na tamtejszym cmentarzu, do kościoła zaś dopiero wtedy go przyjmie, jak mu Kijas urzędowe świadectwa przedłoży, jako jego syn został po wszelkiej formie na łono katolickiego Kościoła przyjęty. Główna trudność została zatem usunięta, ale mimo to jeszcze ciężka troska mu pozostała, albowiem kościółek N. Panny Marii była to wtedy bardzo mizerna budowa, leżąca *extra muros*<sup>56</sup>, pomiędzy Wysokim a Niskim Zamkiem, na terytorium starościńskim, niezawisłym od miasta, i nie używająca w mieście żadnej konsyderacji.

Takie spospolitowanie jego godności, oddanie zwłok syna pod jurysdykcją starostów i odroczenie paradnego pogrzebu dla niego, kto wie na jak długo, bardzo go zabolalo. Więc radził się Kergolaja, co by miał zrobić, mówiąc, że mógłby się teraz udać z tą sprawą do arcybiskupa Boryszewskiego, który właśnie z królem powrócił, ale nie może sobie robić wielkich nadziei, bo i arcybiskup nie załatwi tej sprawy na razie. Kijas opowiadał mu te swoje boleści ze łzami w oczach, a już mu prawie głos w gardle zamierał, kiedy dodał na końcu te słowa:

– Nie dziwuj się wasza miłość, że mi głosu nie staje na moje skargi. Ale zważ tylko, jaka to nie przetrawiona boleść dla ojca, którego syna nielitościwy los prześladuje tak strasznie. Z pierwszego mieszczanina, gdzie by był w szczęściu i znaczeniu opływał, stał się rycerzem – i za to wbito go na pal na wałach Suczawy; porzucił wiarę swych ojców i przeszedł na wiarę łacińską – za to łacinnicy mu odmawiają ludzkiego pogrzebu!

I płakał biedny starzec jak dziecko. Ale Kergolaj odpowiedział mu na to przytomnie i trafnie:

– Nie skarż się waszmość na Pana Boga, bo On wie lepiej, co robi. Im więcej twój syn ucierpiał na ziemi, tym lepiej będzie mu w niebie. A na sprzeczki z księżami także teraz nie pora. Idź zatem za moją radą. Pochowajmy go zaraz na cmentarzysku u Panny Marii – a potem już ja się sam o to postaram, ażeby go przyjęto do katedralnego kościoła.

Tak się też stało. Ci sami żołnierze z Kergolajem na czele odprowadzili zwłoki Tigranesa przez miasto na cmentarzyk około kościoła Panny Marii i tam je pochowali w cichości.

Wśród wielkiego rozgwaru w mieście nikt na ten skromniutki kondukt nie zważał. Za trumną szli tylko oprócz Kijasa i wiernego Kundrata Kergolaj, Olizar i Frąc Ajchinger, który po starej dla domu Kijasa przyjaźni w mieście się do nich przyłączył. Trumnę pokropił wikary i odmówił cichą modlitwę. Zaczem każdy rzucił grudkę ziemi na trumnę i wszyscy się w milczeniu rozeszli.

Kergolaj, Frąc i Olizar, zapomniawszy niektórych wzajemnych niechęci przy tak smutnym obrzędzie, wzięwszy się pod ramiona, poszli sobie do Bazaru – na stypę.

Kijas zaś, oparłszy się na ramieniu Kundrata, poszedł wolnym krokiem do domu.

Kijas w smutnych utonął myślach: jedyny jego syn, cała jego nadzieja, która miała oświecać ostatnie dni jego życia, marnie zszedł z tego świata; on, starzec bezdzietny, został osierocony i nie ma nawet nikogo ze swoich, kto by mu zamknął powieki... Kundrat także był bardzo zamyślony, także się na swój los skarżył i także był przepełniony goryczą; ale jemu przychodziły myśli więcej światowe. Rzucając gniewliwym okiem na owych trzech rycerzy, co poszli się poweselić ze sobą, powiadał sobie:

– Ot, głupi ludzie, że się biją ze sobą, ale też i swoje wojny po głupiemu prowadzą. Dali wbić na pal Tigranesa, co nigdy nikomu wody nie zmaćcił; dali zabić Gniewosza, takiego zanego pana, ba, i najpiękniejszego rycerza, co był tak grzeczny dla wszystkich: a z tych trzech drabów żaden nie zginął, ba, nawet i po łbie nie dostał... Nie wiem ja, kto tam rządzi tymi wojnami, ale to widzę, że nie masz sprawiedliwości na świecie.

---

<sup>56</sup> *extra muros* (łac.) – zewnątrz murów

Kergolaj, wypawszy się po sutej libacji w Bazarze i urządziwszy nazajutrz rano swoje kwaterę na Niskim Zamku, uczuł się bardzo zadowolonym ze siebie. Wybił się pod Suczawą od stu tysięcy, był w tak gorących opalach jak mało kiedy w swym życiu, i wyszedł z nich cało, zaś nadto jeszcze dokazał takiej sztuki rycerskiej, na jaką nikt inny się nie odważył: to wszystko razem czyniło go tak szczęśliwym ze siebie i dumnym, że każdy rycerz musiał mu tego szczęścia zazdrościć. Bo taki rycerz ówczesny nigdy niczego więcej nie pragnął, jak wybić się setnie, stawić odważnie czoło największym niebezpieczeństwom, a wreszcie czegoś niezwykłego dokonać: mniejsza o to, czy ta rzecz nadzwyczajna służyła jakiemuś wyższemu celowi i czy się komu na co przydała, dobre i to, ale niekoniecznie o to chodziło, tylko o to, aby to była sztuka nad sztuką. To się więc stało: on jeden wdarł się na wały Suczawy i zdjął z pala ofiarę, kroniki o tym będą pisać i sława jego dojdzie do Francji i do Sabaudii. Ale za takie przewagi należała się rycerzowi nagroda od dam, bo ta, według pojęć ówczesnych, była niejako bukiem jego czynów rycerskich. Jednak i taka nagroda była, jego zdaniem, gotowa i tylko czekała na niego.

Formoza została wdową – i oczywiście teraz zechce wyjść za mąż powtórnie. A komuż by chętniej oddała rękę niż jemu, który życie swoje zaważył, aby jej się przysłużyć? Formoza jest nadzwyczaj piękną kobietą, piękności tak doskonałych i tak świetnego blasku bardzo jest mało na całym świecie. Diana i Juno musiałyby się wzajemnie dopełnić, ażeby tak wykończoną całość utworzyć. W promieniach jej oczu serce się topi i mdleje, okrągłość i miękkość jej form wlewają jakby lawę kipiącą w żyły człowieka. Jakie tam ciało cudowne! – a do tego jest jeszcze jak Wenus Afrodite, co dopiero co wypłynęła z pian morskich w niepokalanej czystości. Dusza także wspaniała, może nawet zanadto. Ma trochę za mało humoru... za wiele surowej powagi: ale kiedy mnie nie chciała dopuścić do swojej sypialni, to i humor się znalazł, i dzisiaj sam z tego się śmieję, jakem jej wtedy te pudełka wytrząsał. O majątku już nawet i wspominać nie trzeba: Kijas nie ma już dzieci, nawet i o krewnych nigdy nic nie słyszałem, wszystko ona zabierze i będzie to krezusowa fortuna. Więc...

To rzekłszy, zatarł ręce, ubrał się bardzo paradnie i z południa poszedł odwiedzić Kijasa.

Kijas go przyjął bardzo serdecznie, objął go w swoje ramiona, spłakał się nad nim i zapewnił go, że jest mu wdzięcznym i będzie do śmierci.

– Moja kasa chudobna – rzekł Kijas – moje magazyny i sklepy, mój cały dom, moje wszystkie usługi są na rozkazy waszej miłości. Siadaj waszmość tu przy mnie, jak ciebie widzę, to mi mój syn staje przed oczyma jak żywy, jest to jedyna moja pociecha, och! jakżebym pragnął go tylko raz jeszcze obaczyć, a potem już pójść za nim w te kraje, gdzie nie masz żadnej zgryzoty!...

Kergolaj był tym przyjęciem niezmiernie uradowany, wszakże to było prawie już oświadczenie, jakoby go chciał mieć wiecznie przy sobie.

Zaczem siadł przy nim i podał mu się do bardzo długiej rozmowy. Albowiem Kijas wypytywał go bardzo ciekawie o wszystkie szczegóły śmierci swojego syna. Kergolaj mu opowiadał wszystko, co wiedział, czego nie wiedział, to zmyślił, a aby go wreszcie pocieszyć, zapewnił go, że Tigranes był już zabity, kiedy go zawieszono na palu, zaczem żadnej męki nie cierpiał.

Bardzo to uspokoiło nieszczęśliwego ojca, po czym już o wiele swobodniej rozpytywał go o tę wojnę nieszczęsną, która jego zdaniem była bardzo lekkomyślnie poczętą, a prowadzoną tak niezdarne i głupio, że nawet trudno zrozumieć, jakim sposobem król, taki rozumny, mógł za jednym zamachem tyle błędów popełnić. Kergolaj usprawiedliwiał króla, jak mógł, lecz przy tym starał się Kijasowi wytłumaczyć, że piękność i całą wartość wojny nie należy sądzić po skutkach, tylko po tym, z jakimi niebezpieczeństwami miało się w niej do walczenia. Owóż on, chociaż już ze trzydzieści wojen odprawił, może go zapewnić, że na tak pięknej wojnie jeszcze nigdy nie był: bo to tam nie tylko, że się miało najrozmaitszych nieprzyjaciół na wybór: Wołochów, Szeklerów, Węgrów, Tatarów, a nawet i chłopów, nie tylko, że na pale

wbijano i bito się młotami i siekierami, ale jeszcze i popodrzynane buki na żołnierzy leciały – a to jest rzecz, z jaką tylko taki rycerz się spotkał, co nadzwyczajne miał szczęście.

Kijas tylko z wielką trudnością pojmował te rycerskie wyobrażenia o szczęściu – a Kundrat, który był przy tym, całe go nie rozumiał i mówiąc sobie, że albo ten człowiek już do reszty rozum utracił, albo też może ma diabła przy sobie, jeszcze głębiej w kąć się zasunął.

Tymczasem Kergolaj, nabawiwszy się z tymi mieszczany do woli, bo też ich miał ledwie za Boże stworzenia, zaczął się niecierpliwić i wreszcie rzekł do Kijasa, że chciałby się pokłonić pani Formozie. Ale Kijas odpowiedział mu na to z bolesnym, uśmiechem:

– Tej sztuki wasza miłość trudno dokażesz. Formoza od śmierci męża czerni się w żałobie i oprócz księdza nikogo nie wpuszcza do siebie. Nawet i ja bardzo ją rzadko widuję. Biedna kobieta! jeśli ten ciężar, co serce jej gniecie, nie ulży się, jak się dowie, żeśmy jego ciało tu pogrzebali i że będzie się mogła modlić na jego grobie, to bodajby Bóg to odwrócił, ale tak mi się zdaje, że jego śmierci pewnie nie przeżyje.

Kergolaja, znawcę ludzkiego serca, bardzo to zadziwiło. Jużci wiedział, że wdowy ówczesne bardzo surową po swoich mężach zachowywały żałobę, ale żeby ona do tego stopnia i to jeszcze za nominalnym mężem bolała... jakoś mu się to nie zdawało. Zaczął więc na Kijasa mocno nalegać: ale na próżno. Kijas mu odpowiedział, że go Formozie oznajmi i wstawi się za nim, lecz bardzo wątpi, ażeby to jaki skutek odniosło. Może za sześć miesięcy, jak minie połowa żałoby; ale pierwej, to będzie trudno...

– Za sześć miesięcy! – zawołał Kergolaj, udając, że go to śmieszy – ja za sześć godzin byłbym wziął Suczawę, gdyby mi był król tylko trochę dopomógł.

– Ale w tym razie i król nie pomoże waszmości – rzekł Kijas – bo żałobna komnata wdowy to kościół, a do kościoła i król się przemocą nie wdziera.

Kergolaj myślał zrazu, że z niego żartują, ale teraz się postrzegł, że nie, bo dlaczegoż by Kijas miał z niego żartować? Dlaczegoż by wreszcie miał mu bronić przystępu do tej kobiety, która teraz już nawet nie jest jego synową? Ale go to dziwnie zniecierpliwiło.

– *Voyons!*<sup>57</sup> – zawołał do siebie – jam dla niej łba nastawił i przywiozłem jej zwłoki jej męża, a ona by mnie nawet nie przyjęła u siebie? To przecie jest niemożliwym.

Jakoż teraz poszedł, ale nazajutrz znów przyszedł i dnia następnego, a potem codziennie przychodził przez cały tydzień, jednak zawsze bez skutku. Formoza kazała mu podziękować przez teścia za oddane usługi, ale go nie przyjęła.

A wtedy Kergolaj już całkiem stracił cierpliwość. Tego postępowania sam nie mógł zrozumieć, musiał się kogoś poradzić i poszedł na radę – do Pachny.

Tymczasem Formoza była istotnie w bardzo ciężkiej żałobie.

Kiedy nowiny z pola bitwy zaczęły dobiegać do Lwowa, wiadomość o okrutnej śmierci Tigranesa przyszła najpierwsza, zaraz po przerażających powieściach o niesłychanej klęsce na Bukowinie i po wiadomości o śmierci Tęczyńskiego i Fredry. Wiadomość o śmierci Gniewosza przyszła dopiero nazajutrz.

W zniepokojone serce Formozy uderzyły dwa gromy jeden po drugim.

Po pierwszym gromie, acz go uczuła boleśnie, niebo rozgorzało płomieniem w jej oczach i świeciło przed nią jasną światłością. Ból przejął jej serce za przyjaciелеm i zacnym człowiekiem, ale otworzył zarazem widok na lepsze nadzieje w przyszłości.

Ale drugi grom, uderzając w nią jeszcze daleko gwałtowniej, olśnił oczy jej ducha zupełnie i zostawił po sobie noc czarną dokoła. Grom ten rozdarł jej duszę do dna, zagasił świtające z daleka blaski nadziei i zostawił bezdenną rozpacz po sobie.

Dwa takie gromy, jeden po drugim, był to cios tak gwałtowny i nielitościwy, że Formoza znieść go nie mogła i upadła pod jego ciężarem, który ją zmiażdżył i przygniótł do ziemi.

---

<sup>57</sup> *Voyons!* (fr.) – Zobaczmy!

Nawet i ziemia jej się spod nóg usunęła, jej umysł się rozchwiał, straciła zupełnie świadomość siebie, była bez czucia i myśli i nie wiedziała wcale, co się z nią dzieje.

Kiedy nazajutrz rano wróciła do przytomności i spostrzegła, że jeszcze żyje, kazała wybić swoją sypialnię czarnym sukniem od góry do dołu, łóżko swe czarną kapą nakryła, czarną suknię przywdziała na siebie, wszystkie sprzęty błyszczące kazała wynieść do innych pokoi, zostawiła tylko klęcznik przy łóżku i zapowiedziała wszystkim domownikom przez teścia, że zgoła nikogo nie przyjmuje u siebie. Nawet sługi swe oddaliła od siebie, sprowadziła sobie mniszkę z ormiańskiego klasztoru panien do zwykłej usługi – a do swojej sypialni wpuszczała tylko księdza franciszkanina, który codziennie rano i wieczorem przychodził i czytał jej łacińskie modlitwy za dusze zmarłe. Zgoła za życia zamknęła się w grobie: tak w owych czasach wdowy za swymi mężami odprawiały żałobę.

W ciągu następnych dni jej umysł zaczął z wolna się uspokajać. Modlitwy czytane przez pobożnego mnicha w języku łacińskim, który rozumiała, wywierały na nią wpływ bardzo zbawienny. Ten język martwy, a przy tym język kościelny przynosił jej głosy jakby nie z tego świata i przypominał jej, że za tą ziemią jest jeszcze świat inny, w którym po śmierci żyć będziemy na wieki. W tym świecie znajdziemy tych wszystkich, którzycheśmy stracili na ziemi, i tam połączymy się z nimi, aby już nigdy się nie rozłączyć. Słowa te, którymi mnich do niej z książki przemawiał, zdawały jej się być słowami tych, którzy już są na tamym świecie i tam na nią czekają. Na ziemi już się wszystko skończyło, ale jest inne życie – i tam będzie lepiej...

Wszelako mimo tej rezygnacji, im więcej odzyskiwała władzę myślenia i czucia, tym częściej przychodziły jej myśli ziemskie. Po modlitwach wypytywała mnicha o dalsze wiadomości z teatru wojny: kto jeszcze zginął? azali który, miano za poległego, nie odszukał się później? – Mnich wiedział wszystko; ale nie miał dla niej wiadomości pocieszających. Nie tylko że kogo miano za poległego, ten pewnie zginął, ale okazuje się jeszcze, że wielu innych zginęło, o których rozumiano, że żyją. Podobno tam niemało Wołochów, Węgrów i Tatar nabitó, aleśmy to zwycięstwo bardzo drogimi opłacili ofiarami. Mnich zdawał się nie być stronnikiem królewskm, bo już wtedy powiadał jej, jako ludzie sobie powtarzają *dictum*: „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta”.

Nie było więc żadnej nadziei!...

Wśród tego czasu król wrócił do Lwowa.

Kiedy Formoza się dowiedziała, że z królem Wilczek przyjechał, przyjęła tę wiadomość prawie z radością. Kergolaja kazała przeprosić, ale gdy Wilczek się zameldował, zaraz go przyjęła.

Kiedy Wilczek wszedł do jej sypialni, serce jej roztajało, rzuciła mu się z rozgłosnym jękiem w ramiona i całe strumienie łez jej się potoczyły po twarzy.

Dotychczas jeszcze ani jedna łza nie wytrysnęła jej z oka, z wielkiego bólu, w którym zakrzepło jej ciało, wszystkie łzy w jej piersiach zamarzły: dopiero teraz, na widok duszy przyjaznej i sobie pokrewnej, serce jej się rozgrzało i wszystkie łzy wyskoczyły jak wodotrysk z jej oczu i całą twarz jej zalały.

Biedna ta męczennica długo nie mogła słowa przemówić, płacząc głośno, oparta głową na jego ramieniu, tak że i żelazny Wilczek, który, jak długo żył, nie miał nigdy łzy w oku, był do głębi wzruszony i uczuł wilgoć w swych oczach.

Po tym gwałtownym wybuchu żalu, który rozgrzał od dawna zakrzepłą krew w jej żyłach, usiadła w głębokim krześle naprzeciw Wilczka i nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy, zawołała rozdzierającym głosem, spuszczając rękę, w której łzami zwilżoną chustkę trzymała, na swoje kolano:

– Miałam wiarę, ale mnie moja wiara zawiodła. Pan Bóg rozporządził inaczej!...

Na to Wilczek powiedział jej, może nierozmyślnie cokolwiek :

– Wierz dalej. Wiara czasem góry przenosi.

Wtedy Formoza zadrgnęła, otworzyła oczy szeroko, wpoila je w twarz Wilczka i zapytała spokojnie, usiłując panować nad sobą:

– Czy mogę mieć jeszcze jaką nadzieję?

Tu Wilczek się spostrzegł, że owe słowa niebacznie powiedział: będąc zaś przekonany, że po stracie doznanej robienie sobie próżnych nadziei jest podwojeniem nieszczęścia, bo też według tej samej zasady po stracie Jagienki postępował ze samym sobą, odpowiedział jej głosem wdzięcznym, ale stanowczym:

– Dałbym pół życia za to, gdybym cię mógł pocieszyć, ale nie mogę. Gniewosz zginął z pewnością, nie może być o tym najmniejszego wątplenia.

Słowa te jednakże nie sprawiły spodziewanego wrażenia na Formozie. Albowiem przyszło jej na myśl w tej chwili, że jeżeli ona pragnie, ażeby wiadomość o śmierci Gniewosza okazała się mylną, to on, przeciwnie, musi sobie życzyć, ażeby była prawdziwą, inaczej bowiem Jagienka nie będzie wdową. Pod wpływem tej myśli zaczęła patrzeć z niedowierzaniem na niego. Byłaby poniosła największą ofiarę, aby mogła pierś jego rozedrzeć i na jej dno zajrzeć, ażeby widzieć, co on istotnie o tym rozumie. Ale wydrzeć mu tę tajemnicę było niepodobieństwem, bo choćby nawet dopuszczał, że Gniewosz może żyć jeszcze, to mimo najserdeczniejszej przyjaźni nawet jej tego nie powie. Wszelako ciekawość jej nad nią całkiem zapanowała i zaczęła go wypytywać, mówiąc:

– Powiedźże mi otwarcie i szczerze... wiesz przecie, że ciebie nie zdradzę, bo zresztą tym samym i siebie bym zdradziła; powiedz mi, czy nie masz już żadnego podobieństwa, ażeby się Gniewosz odszukał? Przecież tyle a tyle razy słyszeliśmy, że ten i ów zginął, już go jego krewni oplakali i *requiem* kazali za niego odprawić, i podzielili się jego dobrami – a on żyw wraca z jakiejś niewoli...

Tu przyjaźń Wilczka dla Formozy ustąpiła jego miłości dla siebie samego, jej przewidywania zaczęły go niecierpliwic, jakoż odpowiedział jej sucho:

– Juźci to czasem się zdarza, ale tym razem się zdarzyć nie może, bo Gniewosz zginął na pewno, jego konia ze złamaną nogą sam widziałem, jak do obozu powrócił...

Na te słowa Formozę znowu żal ścisnął za serce i rzekła smutno, prawie bez myśli:

– Mógł jeszcze pieszo się bronić, ani siły, ani odwagi mu pewnie nie brakło...

Wtedy Wilczek już całe się niecierpliwiał i rzekł porywczo:

– Juźci pewnie się bronił, ale się nie obronił. A tu masz dowód, że zginął... To mówiąc, wy dobył z zanadru ów znaleziony pulars Gniewosza, pokazał jej połowę jego obrączki, a testament dał jej do przeczytania.

Formoza wzięła pergamin z żywością do ręki i lotem błyskawicy go przeczytała. Przy czytaniu jej kolory się dziwnie mieniły, lecz kiedy skończyła, twarz jej się nagle rozpromieniła – i tutaj przenikliwy rozum kobiety odniósł świetne zwycięstwo nad rozumem zaślepionego swym interesem mężczyzny. Albowiem Formoza raźnie zerwała się z krzesła i pokazując mu ten pergamin, zawołała z zachwycającą energią:

– Jak to? to dowód? Cóż to za dowód, że zginął? To dowód, że zrobił testament przed wojną i że ten testament znaleziono w jego wojłokach. To dowód, że był człowiekiem szlachetnym i zacnym do uwielbienia, bo nie chciał dopuścić, ażeby jego żona zagrzebała się w wiecznej po nim żałobie. To może dowód, że w owej chwili zacnymi uczuciami był przejęty dla ciebie. Ale gdzie tu jest dowód, że zginął?... O! wy mężczyźni! wy macie bardzo mądre głowy, ale nie zawsze je nosicie na karku!

Na te słowa Wilczek zbladł jak ściana i zdrętwiał. Dotąd ani mu przez myśl nie przeszło, aby ten pergamin nie był niezbitym dowodem śmierci Gniewosza. Zerwał się z krzesła i wyjął Formozie pergamin z ręki, składając go i chcąc go schować na powrót w zanadru.

Formoza przeszła się parę razy niespokojnym krokiem po swojej sypialni. W jej wnętrzu kipiało jak w kotle. Niebo nadziei i piekło rozpaczki chodziły tam w walce zażartej z sobą o

lepsze. Nie zwyciężyło wszakże ni jedno, ni drugie, tylko głębokie rozrzewnienie wzięło górę nad nimi. Formoza odebrała znowu Wilczkowi testament, mówiąc:

– Pokaż mi jeszcze to pismo. Są to jego słowa ostatnie... Ja nie mam żadnej od niego pamiętki... oprócz tego krucyfiks, na który wierność mi przysiągł, a który tu widzisz na moim klęczniku. Modląc się przed nim, jestem pewną, że Zbawiciel mnie słyszy i on, nieszczęsny, mnie słyszy...

Powiedziawszy te słowa, przeczytała jeszcze raz cały testament. A kiedy czytała te słowa: „Boże! zmyłuy syę nademną, a nye sądz tych, co mnie sądzili za życya...” głośnym wybuchnęła płaczem i konwulsyjnie przez długą chwilę szlochała. Po czym mu pergamin oddała.

Ale oddając go i widząc, że Wilczek go drżącą ręką odbiera, a przy tym wygląda jak struty, znowu się jej twarz rozpromieniła i zawołała do niego znów z wielką energią i prawie jakby w natchnieniu:

– Jedź! jedź, nie trać czasu i żeń się! Jedź, żeń się! przynajmniej wy oboje będziecie szczęśliwi!

Wilczek patrzył na nią nieświadomymi oczyma, bo sam nie wiedział, co się w nim działo. Tu go brał jakiś lęk, którego sam nie mógł określić, tu znowu żal krajał mu serce na widok tej męczennicy. Wiedziony lękiem, chciał zerwać się z krzesła i lecieć zaraz na Czorsztyn, ale żywe współczucie dla Formozy ciążyło na nim i nie chciało go puścić. Tymczasem Formoza, patrząc na niego z miłością siostry, tak dalek mówiła:

– Słuchaj, Lenarcie! Oprócz mojego spowiednika ty jeden tylko znasz wszystkie tajemnice mojego serca. Niechże ci jeszcze co powiem. Dla mnie już się wszystko skończyło na tym świecie. Na próżno ludzie będą mi gadać, że żałoba przeminie, że żal się zapomni, że świat się znowu dla mnie otworzy. Dla mnie na tej ziemi już się nic nie otworzy. Ja tylko jego mam w sercu, mam w duszy, mam jego w całej krwi mojej. Bez niego świat dla mnie nie istnieje... Postanowienie moje jest już prawie powzięte. Nie mogąc usłużyć ni sobie, ni ludziom, stanę na służbę u Pana Boga. Jak się moja żałoba skończy i ten ostatni obowiązek światowy się spełni, za mój majątek zbuduję klasztor i w nim się zamknę na całe życie. Nie mam nikogo na całym świecie, czyj los by mnie bliżej obchodził, ludzie o mnie prędko zapomną, ja o nich – i dobrze mi będzie w tej samotności. Ale jeżeli ty się z Jagienką ożenisz, to przy was osiedzę, będę wam opiekunką i matką, będę wam dzieci niańczyć, będę je wychowywać i będę żyć waszym szczęściem. Jedź, żeń się – i przysyłaj mi lotem wiadomość, że już jesteście po ślubie...

Wilczek bardzo był roztargniony. Patrzył nie widząc, słuchał nie słysząc, jakiś wewnętrzny niepokój mącił mu zmysły. Wszakże te ostatnie słowa dosłyszał. Jakoż zerwał się z krzesła i rzekł znów nieopatrznie:

– Masz racją! nie tracić mi czasu i jechać zaraz na Czorsztyn. Czasem i cuda bywają na świecie...

I z tymi słowami wybiegł prawie bez pożegnania z sypialni.

Dlaczego Formoza tak nagliła na Wilczka, ażeby jechał czym prędzej zenić się z Jagienką: czy tylko z szczerego pragnienia, ażeby jak najprędzej dostąpił tego szczęścia, które już miał za stracone? czy więc zrobiła to z bezinteresownego uczucia przyjaźni?... Czy odezwała się w niej ta cudowna przytomność umysłu, która jest tylko kobietom właściwa, a która jej podszepnęła; że trzeba, ażeby się Wilczek jak najprędzej ożenił, bo w takim razie i z tamtej strony zostanie usunięta przeszkoda na wypadek, jeżeli Gniewosz nie zginął?... Czy zatem było to u niej natchnieniem interesownego instynktu? Na to ona sama nie mogła odpowiedzieć.

Po jego wyjściu miała tylko to jedno uczucie, że jej się lżej cokolwiek zrobiło. Wypłakała się przy nim – a łzy zawsze ulgę przynoszą. Rozbudziła w sobie przeróżne myśli, które ją zajmowały – a każde zajęcie także koi żalobę. A wreszcie zaczęły się w jej wyobraźni snuć rozmaite obrazy, wprowadzie na tle bardzo ciemnym, ale jak tylko choćby na najczarniejszym

tle rysują się jakieś kształty, to już przez to samo się widok rozjaśnia. Dotąd żyła tylko sama rozpaczą: odtąd tę rozpacz zaczęły przerywać jakieś senne marzenia...

Tragedia, którą matka Gniewosza, wiedzona zbyt dużą gorliwością o przyszłość swojego syna, odegrała na zamku sobieńskim, jeszcze się tam nie skończyła. Dalsze jej sceny przeniosły się na zamek czorszyński. Było to w głównej rzeczy winą jej samej, lecz przyczyniła się do tego także Jagienka.

Kiedy Gniewoszowa przywiozła państwa młodych na Czorsztyn, serce jej było przepełnione tym niewysłowionym uczuciem szczęścia matki, która ożeniła świetnie swojego syna, a zarazem uczuciem dumy, że to małżeństwo dzięki swojej energii i przytomności umysłu przeparała przeciwko tak wielu trudnościom. Tryumf ten jednak trwał zaledwie dni kilka. Albowiem ta tak rozumna i tak przenikliwym wzrokiem obdarzona matrona nie mogła już w dni kilka nie spostrzec, że pomiędzy małżonkami nie wywiązują się takie stosunki, jak to zazwyczaj bywa u państwa młodych. Gniewosz był zanadto grzeczny dla żony, Jagienka za mało rozweselona; po nim nie było widać tej ciepłej czułości dla żony, jaką młody małżonek wszystkich uderza, a często nawet i nudzi – a po niej tego uczucia zadowolenia, jakim młoda małżonka zazwyczaj sama jaśnieje i rozpromienia wszystkich, którzy dobrze jej życzą. Gniewoszowa była pewna, że małżonkowie jeszcze dotychczas są sobie obcy...

Smutne to spostrzeżenie ją mocno zaniepokoiło. Jak kobieta się czym zaniepokoi, to ją zaraz i korcić zaczyna, najprzód, ażeby się całej prawdy dowiedzieć, a potem, ażeby na to coś zrobić. Bardzo ją też korciło z synem o tym pogadać, ale nie mogła się zrazu zdobyć na tę odwagę: są to przecież rzeczy, o których kobieta, chociażby matka, niełatwo może wspomnieć mężczyźnie, chociażby ten mężczyzna był własnym jej synem. Zwróciła się zatem z tym do Jagienki: kobiety mogą przecież mówić ze sobą o wszystkim.

Ale Jagienka okazała się dla niej zamkniętą jak skrzynia żelazna. Kiedy Gniewoszowa zaczęła ją wypytywać o jej szczęście małżeńskie, Jagienka odpowiedziała jej z lekkim przekąsem:

– Stała się wola waszej miłości – a więc musi być dobrze.

A kiedy zaczęła mocniej naciskać na struny swej lutni i uderzać w aluzje, Jagienka jej nie mogła zrozumieć.

Powtórzyła takie same ataki po kilka razy, ale zawsze z tym samym skutkiem.

Musiała zatem zdobyć się na odwagę i zwrócić się do swego syna.

Syn ją wysłuchał, nie udawał, że nie rozumie, ale mając już teraz także więcej odwagi, odpowiedział jej z cierpkim uśmiechem:

– Wypiłem posłusznie to piwo, coś mi jejmość dobrodziejka raczyła nawarzyć, ale nie po wiem, aby mi to smakowało.

– Ale czyś tylko wypił? – zapytała go matka.

Na to wszakże Gniewosz bez wahania odwrócił się od niej i wyszedł.

Gniewoszowej, jak każdemu, co chciałby kielich goryczy odwrócić od siebie, jeszcze wtedy przyszła myśl, że jej syn może się sromać jej odpowiedzieć i dlatego wyszedł z komnaty. Postanowiła przy drugiej sposobności jeszcze raz go o to samo zapytać: ale nazajutrz właśnie przybiegł goniec królewski – i Gniewosz w ten moment do Krakowa wyjechał.

Ze sposobu, w jaki pożegnał się z żoną, a jeszcze bardziej z tej okoliczności, że ani wspominał o tym, jakoby miał zamiar żonę do Krakowa sprowadzić, musiała koniecznie wysnuć sobie wniosek, że jej podejrzenie jest zupełnie ugruntowane: małżeństwo to jest chybione – Jagienka ma oczywisty wstręt od swego męża, o co jeszcze by mniejsza – ale jej syn nie może znieść swojej żony, a to jest wielkie nieszczęście. Zamiast uszczęśliwić swojego syna, zawiązała mu świat i zrobiła go nieszczęśliwym – i kto wie jeszcze, jakie stąd później mogą się wywiązać nieszczęścia.

Dalsze zachowanie się jej syna względem swej żony, a nawet względem niej samej, utwierdziło ją wreszcie jak najzupełniej w jej przekonaniu. Gniewosz tylko raz na miesiąc przysyłał gońca na Czorsztyn z listami do żony i matki: dla żony był grzeczny i o jej spokój troskliwy, dla matki uniżony, lecz zimny – a w żadnym liście nie było najmniejszego wyrazu tęsknoty za żoną...

Gniewoszowa była w gruncie rzeczy bardzo złą matroną. Nie było nigdy żadnej skazy na jej sumieniu ani w jej uczuciach, ani w jej myślach. Była tylko dzieckiem swojego wieku i odbijała w sobie wiernie jego wyobrażenia. Miała potężny rozum – a to nie jest wadą; miała temperament zdolny wielkiej energii – a i to nie jest grzechem; nie kajała się kabał, aby cel swój osiągnąć – a to jest nieodłącznym przymiotem prawie wszystkich ludzi rozumnych i energicznych. Żeniąc syna według swego wyboru i zmuszając go do tego małżeństwa, nie miała sobie nic do wyrzucenia, bo wedle pojęć ówczesnych było to jej prawem a zarazem jej obowiązkiem. Ale zobaczywszy skutki tego małżeństwa, dojrzała jasno, że się omyliła w wyborze. A tego nie mogła sobie darować. Uczuła się strasznie upokorzona w swej dumie, że ją jej rozum tak fatalnie omylił – i uczuła nieprzeparty, śmiertelny ból w swoim poczciwym sercu, że unieszczęśliwiła swojego syna. Sumienie jej zaczęło się kruszyć pod tym ciężkim brzemieniem.

Nie przyzwyczajona zaraz rozpaczać w nieszczęściu, usiłowała na to coś poradzić: ale na próżno. Rozwódów nie ma. Albowiem Chrystus Pan powiedział Szymonowi Bariona, budując na nim kościół swój: „A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiach...”. I powiedział faryzeuszom: „A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza”. Chrześcijanin, bojący się Boga, nie może nawet myśleć o rozwodzie bez grzechu. Nie masz na to żadnego ratunku.

Jakkolwiek ciężko jej było radzić się drugich, bo jest to zawsze upokorzeniem, jednak w tym razie, gdzie już zwątpiła o swoim własnym rozumie, musiała i na to się zdecydować. Miała dwóch ludzi pod ręką, którym nie odmawiała rozumu i dla których miała szacunek.

Jednym z nich był namiestnik Gniewosza, rezydujący na zamku. Był to człowiek mający pięćdziesiąt lat z górą, potężny budową i wzrostem, z ogromnymi siwymi wąsami, z głębokimi siwymi oczyma, które ocieniały brwi siwe, żołnierz z profesji a przy tym surowy biurokrata wojskowy. Nazywał się Paweł Zaklika Wolski, był herbu Topór, pochodził od tej najstarszej szlachty małopolskiej, której jedna para wyszła z arki Noego, miał przodków świętych i sławnych, miał własną posiadłość pod Starym Sączem, mógł być się piąć na wyższe urzędy, ale służąc od pacholecia wojskowo, pozostał w tej służbie i nie tylko był rad, ale nawet dumny był z tego, że się zawczasu dosłużył urzędu namiestnika na zamku czorsztyńskim.

Według jego rozumienia był też to urząd nie lada, albowiem Czorsztyn był jednym z najznamienitszych zamków granicznych w królestwie (z jego kruzganków patrzyło się Węgrom w sam brzuch aż do nerek). Było to także najznamienitsze starostwo wojskowe. Starosta bawił się zawsze kędyś przy królu, namiestnik go zastępował we wszystkim, a grzeczni ludzie tytułowali go nawet podstarostą. Kiedy się sam na jakim dokumencie podpisywał *vice-capitaneus*, to mu także nikt tego nie bronił. Miał zawsze do stu żołnierzy pod swoją komen-dą, kilkanaście wiosek należało do zamku, miał starościńską jurysdykcją nad nimi, kilka mil ściany węgierskiej było na jego pieczy, mucha tamtędy nie mogła przelecieć, jeśli nie miała glejtu od niego – a więc to był w samej istocie urząd, respektowany nie żartem po obydwóch stronach Dunajca, a o którym też i w całej Polsce wiedziano.

Wolski był to człowiek bardzo surowy dla innych, ale też i sam pracowity. Wszyscy jego żołnierze byli zawsze tak ubrani i uzbrojeni, jak gdyby dziś mieli się popisywać przed królem. W jego zbrojowniach panował zawsze taki ład jakby w sklepie, administracja starościńskich majątków szła jak ten zegar, co bił regularnie godziny na wieży, sądy się odprawiały każdej soboty i nigdy nikt na sędziego nie czekał, a ład, porządek służby i pracy i czystość na całym



zamku były tak wielkie, że nawet zamek królewski w Krakowie, jak mu to nieraz powiadali gońcy królewscy, musiałby się przed Czorsztynem w kąć schować.

Ale też Wolski bardzo mało troszczył się o to, co się działo poza granicami czorsztyńskiego starostwa. Wiedział ci o tym, że jest król w Krakowie i jest polskie królestwo, co ledwie nie co rok zmienia z którejś strony swoje granice, że w Polsce są wielcy panowie, co mają własne chorągwie i chodzą z nimi na wojny, że wreszcie jest szlachta, która w razie potrzeby zbiera się pospolitym ruszeniem, ażeby Polskę od obcych najazdów oganiać; ale od ściany węgierskiej jest Czorsztyn, tutaj granica się nigdy nie zmienia – a gdyby kiedy, co nie daj Boże, to węgierskie hultajstwo przełamało tę ścianę, natenczas bywaj zdrów, królu, bo wtedy nie pomogą ci ani panowie, ani pospolite ruszenie. Czorsztyn był, według niego, najpierwszą twierdzą i głównym puklerzem całego królestwa, jego żołnierze pierwsi żołnierze świata, a niemały to był honor dla młodego człowieka dostać się na służbę pod jego komendę. Jego najstarszy syn służył u niego prostym żołnierzem, byli i drudzy synowie szlacheccy w terminie na zamku, ale nie każdemu się dostał ten zaszczyt, kto go zapragnął...

Taki był horyzont Wolskiego i taki zakres jego zajęcia. Zresztą wszystko mu było obojętnym. Oprócz Gniewosza nikogo zbyt nie kochał, lecz oprócz Węgrów nikogo też nie nienawdził. Matkę Gniewosza respektował, miał pilne oko na to, aby jej na niczym nie brakowało, ale w jej sprawy się nigdy nie mieszał. Dla Jagienki był jeszcze z większym respektem, bo tak mu Gniewosz nakazał, ale ani mu na myśl nie przyszło zastanawiać się nad tym, jakie są między nią a jej mężem stosunki.

Babskie to sprawy, żołnierz nie powinien się tym zajmować.

Drugim człowiekiem, którego Gniewoszowa miała pod ręką, był proboszcz w Krościenku, najgłośniejszej osadzie w starostwie czorsztyńskim, która już wtedy była miasteczkiem. Nazywał się Jędrzej Pudełko i był młodszym bratem owego przezacnego biskupa łuckiego, który na sejmie piotrkowskim był jednym z senatorów duchownych i świeckich, co występował w obronie dawnych swobód wiejskiego ludu. Był on w wieku Wolskiego i także był silnej budowy, lecz chudy; jako pochodzący z rodu kmiecego nosił całą twarz ogoloną, miał gęstą siwą czuprynę i oczy siwe, ale pełne słodczy i nigdy niezmaconego spokoju. Od tego kapłana bił jakby jakiś duch apostołski, tak był pracowitym, tak troskliwym o wszelkie dobro swych gromad i tak niezmordowanym w swoim nauczycielskim zawodzie. Obok kościoła założył z własnej ochoty szkółkę dla dzieci wiejskich, które do wyższych szkół przygotowywał. Jak w całej Polsce w tym wieku, tak i u niego tak tłumny był napływ synów chłopskich do nauki, że jak w szkołach wyższych musiano prawem ograniczyć liczbę uczniów, tak i on musiał się od nich opędnąć; ale on dla tych, których jego szkołka nie mogła pomieścić, miał wykłady w otwartym polu albo gdziekolwiek się po temu zdarzyła sposobność.

Jakoż niejednokrotnie można go było widywać na rynku, na górnym pastwisku pod lasem, nad brzegiem rzeki, gdzie bydełko pojono, nawet i na drodze publicznej, jako pastuszkowie go obkoczyli, a on ich nauczał, jako trzeba Pana Boga kochać ze wszystkiej myśli i ze wszystkiej duszy swojej, a swego bliźniego jak siebie samego. Widząc go starsi, porzucali robotę i także się gromadzili około niego – a on ich odsyłał mówiąc: „Nie porzucajcie pracy dla słuchania słów moich, bo z pracy człek żyje, a wy macie żony i dzieci do wyżywienia, ale przyjdę do was o zachodzie słońca i będę wam słowo Boże powiadał, a wtedy mnie słuchać będziecie choćby do nocy, bez szkody dla waszego dobytku.” – Żył też ze swymi gromadami jak z braćmi, strzegł zbawienia ich duszy i opiekował się ich dobrem doczesnym, pomagał im dobrą radą w ich gospodarstwach, zachęcał wymownym słowem do wytrwania w nieszczęściu, ostatni grosz swój wydawał na wspomnienie ubogich, sam żył w ubóstwie, a może i cierpiał, bo często widywano go w połatanych trzewikach i w sukni tak wyszarzanej, że był raczej żebrakowi podobien.

Pomiędzy nim a Wolskim wielka była zażyłość. Pudełko bywał w piątek na zaniku, odprawiał mszę św. w zamkowej kaplicy, spowiadał żołnierzy i komunikował, potem zostawał

na postnym obiedzie u namiestnika, a po obiedzie miewał z nim długie rozmowy. Jakoż bardzo często mu mawiał :

– Mam ja jeszcze poszanowanie dla waszmości, a to dlatego, że umiałeś swojemu zawodowi pewien zakres naznaczyć i nie wychylasz się poza te granice. Albowiem powiadam tobie, że człowiek nie jest na to stworzony od Pana Boga, ażeby się dziesięciorgiem rzemiosł zajmował i gromadził na sobie dziesięcioro urzędów – a który to czyni, nie zasłuży się ani Panu Bogu, ani też ludziom. Może to dogadzać próżności człowieka, jeżeli występuje z hałasem na wielkiej arenie i swoim tygrysim kozuchem a pióropuszem nawet i tam zabłyśnie, kędy go nie posiano; jego praca nie wyda pożywnych owoców, a Pismo mówi: „Poznacie ich po ich owocach”. Ale jeżeli człowiek oddał się jednemu rzemiosłu, a pracy swej słuszny zakres naznaczył, to owoce tej pracy będą pożywne dla ludzi i podobają się Bogu. Jakoż powiadam tobie: Będą się tam ponad nami zmieniać króle jeden po drugim, będą swymi wojskami toczyć wojny z nieprzyjacielem, będą zwyciężać i znów będą pobici, będą odpierać najazdy albo też im ulegać, będą burzyć stare rządy, a nowe budować, będą dawne prawa odsuwać, a inne narzucać, zgoła całe królestwo się na nice wywróci i takie przyjmie oblicze, że gdyby ojce z grobu powstali, toby go nie poznali – ale to, co my tutaj zbudujemy, co zaszczepimy w serca i sumienia tych gromad naszego ludu, nad którymi piecza nam jest powierzona, to się nie ruszy z miejsca, tak jak ta czerwona skała, na której ten zamek stoi, bo jest napisano: „Że ziemia przeminie i gwiazdy przeminą, a co Syn człowieczy w imię Boże zbuduje, to nigdy nie minie”.

I miał słuszność Pudełko: bo żołnierz-rolnik, co uczył młodzież ziemię ojców uprawiać i bronić orężem jej granic, daleko głębiej podmurowywał niepożyte podstawy narodu niżeli ci wszyscy, co na sejmikach i sejmach gardłowali o nowe prawa – a kapłan-apostoł, nauczający ludzi wszech stanów, aby się między sobą kochali, tkał niespracowanie i utrzymywał w całości tę więź społeczną, która wieki przetrwała i trwa jeszcze do dziś dnia.

Byli to zatem bardzo rozumni ludzie: ale mieli swoje rozumy na to, ażeby budować, a nie rozwalać, ażeby prawa Boże utrzymywać w powadze i poszanowaniu, a nie wynajdywać sposoby, jak by je złamać bezkarnie lub obejść.

Gniewoszowa nie znalazła u nich pomocy na zgryzoty swego sumienia.

Wolski, wyrozumiawszy rzecz, zbył ją cierpką uwagą, mówiąc;

– A co jejmość pani się mieszasz w nie swoje rzeczy! Rzeczą rodziców jest związać przystojnie małżeństwo – a co się tam między małżonkami dzieje, to już nie należy do ich jurysdykcji. Chyba żeby się bili pomiędzy sobą; ale i wtedy jeszcze nie godzi się męża chwytać za rękę, kiedy żonę strofuje, boć to jest jego prawo. Wszelako tu tego nie było. Jeżeliś zaś jejmość co przeszkobała przy tym swataniu i masz to na swoim sumieniu, to już z tym raczej się udaj do księdza, a nie do żołnierza.

Wszakże z proboszczem poszło jej jeszcze daleko gorzej, albowiem Pudełko, wypytawszy ją o wszystkie okoliczności, bardzo głową pokiwał i rzekł:

– Pan Bóg dał władzę rodzicom nad dziećmi, ażeby jej używali, ale nie, aby gwałty im zadawali. Pani staroscina nadużyłaś swej władzy, bo kiedy ci syn twój powiedział, że ma wstręt od tej dziewczki, ba, nawet, że się dał innej uplatać, to trzeba było stemporyzować, ażeby mieć czas do wyrozumienia obojga i do perswazji...

– Ale tam nie było ani jednego dnia do stracenia! – przerwała mu staroscina.

– A więc jejmość nie oglądałaś się wcale na wolę Bożą – odpowiedział jej Pudełko – bo gdzie jest wola Boża, tam jest i czas, aby ją spełnić. Jest tu zatem, jak widzę, więcej grzechów niż jeden. Trzeba będzie te rzeczy zbadać bardzo sumiennie, nim się będzie mogło powieścić, ilekroć jejmość tym jednym czynem zgrzeszyłaś. Tymczasem zaś radzę jejmości najprzód, wcale nie myśleć o tym, jak by złe dokonane odrobić, bo tu jest dopełniony sakrament – a kto podkopuje sakrament, ten swoje sumienie nowym obładowuje grzechem. Grzechów już jejmość masz dosyć, nie trzeba do nich nowych dodawać. Druga zaś rada jest ta, ażebyś

jejmość odprawiła pokutę, a Pana Boga prosiła, ażeby On się nad jej dziećmi zmiłował, bo tylko On może na to poradzić.

Te słowa świątobliwego kapłana uderzyły jak grom w starościnę. Łudziła się dotąd w swoim rozumie, że potrafi wynaleźć środek, którym złe wyrządzone naprawi, środek taki, który cel zamierzony osiągnie, a nie będzie wierze przeciwny – a tymczasem nieodwołalny sędzia ludzkich uczynków i stróż jej sumienia nauczył ją, że już sama myśl o takim środku zaradczym jest nowym grzechem. Starościna była nie tylko pobożną, ale głęboko przejętą wiarą: wyrok ten skruszył jej sumienie do reszty i obalił ją w proch. Przekonana dotychczas o swojej nieskazitelnej zacności, uczuła się teraz grzesznicą. Dumna ze swego roumu, imponująca innym swoją mądrością, zdolna rządzić nie tylko rodziną, ale może nawet całym królestwem, zrozumiała sama w swym wnętrzu, że odtąd nie pozostaje jej nic jak pokuta. Ten kolos świadomej siebie i energicznej kobiety padł teraz na ziemię jak dąb niebotyczny, co burza go powaliła, i odtąd, niższy od krzewin najmniejszych a żywych, będzie trupieszec i nie wypuści nigdy zielonej gałązki ze siebie: na jego pniu obalonym igrać będą najdrobniejsze zwierzątka, a płaz maluczki, co dotąd nie mógł dojrzeć jego wierzchołka, roztoczy jego potężne słoje na popiół, który wichry rozniosą po lesie.

Starościna, palona wewnątrz, jak ogniem, wyrzutami sumienia, że unieszczęśliwiła swojego syna, rozdarła rozpaczą, że tego błędu nigdy nie zdoła naprawić, skruszona wreszcie nauką kapłana, że jest pełną grzechów przeciwko Kościołowi i Bogu, oddała się dobrowolnie jak najcięższej pokucie.

Przywdziała włosiennicę, nałożyła sobie post nieustanny i prawie całe dni trawiła na modłach, bądź w zamkowej kaplicy, bądź w swojej sypialni.

Wszelako modły przynosiły jej tylko tę ulgę, że odwracały jej myśli od ziemi. Natomiast wszakże każda wiadomość od syna z Krakowa, nie wspominająca ani słowem o tym, że albo zamierza na Czorsztyn przyjechać, albo też żonę sprowadzić do siebie, przygniatała ją nową boleścią.

Cierpienia jej były wielkie i niewysłowione: ale do ich nieznośnej goryczy przyczyniała się jeszcze niemało Jagienka.

Jagienka, przecierpiawszy także męki piekielne, jak długo Gniewosz bawił na zamku, po jego wyjeździe odetchnęła cokolwiek.

Nie potrzebowała się przynajmniej tego obawiać, że swoją miłość i wierność dla Wilczka będzie musiała opłacić życiem.

Kto uniknął szczęśliwie większego nieszczęścia, ten chociaż pozostał w mniejszym i choć to nieszczęście niezmiernie go boli, przecież czuje pewne zadowolenie, znosi łatwiej swoje zmartwienie i pomału się przyzwyczaja do niego. Tak i Jagienka, urządziwszy sobie wygodne mieszkanie w skrzydle wschodnim, o całą szerokość zamku odległym od mieszkania macochy, zaczęła się przyzwyczajać do swego więzienia i wyczekiwać spokojniejszym umysłem, swojej przyszłości od dalszych wypadków. Wyglądała codziennie całymi godzinami przez wąskie okno swojej komnaty na wschód, marzyła o nim, snuła sobie rozmaite fantastyczne widoki, skubała listki kwiatków zerwanych w ogrodzie: Wróci? nie wróci? e, wróci! A jeśli wróci, to przyjedzie stamtąd, gdzie słońce wschodzi, gdzie między tymi czarnymi lasami leży zamek tustański...

Czasami, w dniach cięższej tęsknoty, robiła mu ciche wyrzuty. Gdzie jest? co robi? dlaczego mi nie przysłała wiadomości o sobie? Dlaczego nie napadnie na czele zbrojnych na Czorsztyn i nie porwie mnie z tego więzienia? Grzeszne to myśli, ale tak mi tu ciężko, że już się nawet grzechu nie boję. Niechby mnie porwał, niechbyśmy jedne chwilę z sobą przeżyli i niechby się potem świat zawalił pod nami...

Wszakże po takich paroksyzmach niecierpliwości znowu się uspokajała, bo Wilczka gorąco i szczerze kochała – a szczerze kochająca kobieta wierzy, że jej ulubiony jest najzaciejszy i najrozumniejszy ze wszystkich. On wie, co robi: czekajmy. Tak żyjąc nadzieją i wiarą, spę-

działa swe dnie w znośnym spokoju, będąc przy tym dobrą dla wszystkich, obsypując podarunkami żołnierzy, mając zawsze garść groszy szerokich dla księdza proboszcza, aby je rozdawał ubogim, zartując nawet czasem ze starym Wolskim i rozweselając go swymi figlarnymi komplementami. Z czasem stała się też oblubienicą wszystkich zamkowych mieszkańców i była dla nich jak promień słoneczny, co gdziekolwiek zabłyśnie, radość i szczęście rozsiewa.

Ale kogo cierpieć nie mogła, to swojej macochy. Dość jej było dzwonek usłyszeć, który dawał znak do obiadu i do wieczerzy, aby jej całą twarz zmienić i osadzić gradowe chmury na jej czole. Toż przychodząc do stołu, zawsze z daleka kłaniała się swojej macosze, zginając się pokornie ku ziemi, nigdy nie dotykała jej ręki, przy stole milczała. Jeżeli byli jacy goście, to z nimi rozmawiała z żywością, lecz obracając się zawsze plecyma do Gniewoszowej. Jeżeli musiała jej odpowiedzieć, to odpowiadała krótko, sucho i cierpko – a wstawszy od stołu, znowu jej się kłaniała z daleka, zgięta we dwoje, i odchodziła krokiem człowieka, który ucieka od wstrętnego widoku.

Z początku starościna próbowała po kilka i kilkanaście razy wciągnąć ją w dłuższą rozmowę i nie szczędziła pięknych słów i słodyczy. Czuła to, że i przeciw niej także jest winną i szczerze pragnęła gorycz jej położenia przynajmniej dobrym słowem złagodzić. Ale Jagienka była tak zaciętą i tak niewzruszoną w swojej zaciętości, że nigdy się nie dała w żadne konfidencje uwikłać, zawsze stawała od niej z daleka, zawsze ją tytułowała waszą miłością i zawsze odpowiadała tak sucho, ażeby z jej odpowiedzi nie wywijały się dalsze pytania.

To zachowanie się Jagienki bardzo jej macochę bolało, bo jej przypominało, do jakiego stopnia i ją także nieszczęśliwą zrobiła: ale na to nie było ratunku.

Kiedy Jagienka spostrzegła, że jej macocha się gryzie, że pości, że włosiennicę przywdziała, że ustawicznie się modli i pokuty odprawia, wcale nie ulitowała się nad nią, nie przychyliła się niczym, aby jej ulżyć albo ją czym pocieszyć, owszem przeciwnie, kazała jej powiedzieć, że ona nie ma żadnego powodu do martwienia się postem i odtąd będzie jadać osobno.

A kiedy po raz pierwszy sama ze swymi służebnymi pannami do stołu zasiadła, rzekła do nich:

– Ja się tu w mojej samotności zagryzę, ale ona się pierwszej zagryzie!

Odtąd widywała starościnię tylko co niedzielę na mszy w zamkowej kaplicy.

Tam także zawsze się jej tylko z daleka ukłoniła i nigdy do niej słowa nie przemówiła; natomiast wszakże uważnie się jej przypatrywała, jak wygląda.

I bardzo być może, że znajdowała w tym swoją pociechę, widząc, jak starościna niknie z dniem każdym. Jakoż istotnie do tego czasu zrobił się stwór z tej kobiety. Już wtedy się właśnie wiosna rozzieleniła, każdy twór Boży odetchnął ciepłym powietrzem i ożywił skrzepłą od zimy krew w swoich żyłach: a ona miała twarz wychudłą do niepoznania, skórę na niej jak stary pomarszczony pergamin, pod jej suknią, skrojoną w kształcie habitu, czuć było tylko chodzący kościotrup, ledwie że jej oczy się jeszcze niedogastym blaskiem świeciły.

Wtedy też przyszła wiadomość, że król ciągnie na wojnę. Goniec przywiózł dwa wielkie listy od Gniewosza, jeden do matki, a drugi do żony.

Kiedy Jagienka ten list odebrała i otworzyła, znalazła w nim najprzód połowę złotej obrączki, co ją niezmiernie zdziwiło. Oglądnęła ją pilnie i poznała: ale nie mogła zgadnąć, co by ta połowa przełamanej obrączki miała znaczyć. Serce jej uderzyło gwałtownie, a twarz jej zaczęła się mienić, przechodząc z ciemnego pąsu w błądź śmiertelną. Czuła, że nie ma siły listu przeczytać. Odetchnawszy po chwili, wzięła się do czytania. Nie będąc biegłą w czytaniu, po kilka razy zaczynała i skończyć nie mogła, potem zaczynała we środku, to znowu niecierpliwie ostatnie wiersze czytała i znów do początku wracała. Trwało to bardzo długo: aż nareszcie skończyła i zrozumiała. Po czym list opuściła na kolana, na twarzy jej odbiło się bardzo głębokie wzruszenie i długo myślała. A w końcu łzy jej zakreśliły się w oczach i strumieniami spłynęły po twarzy i rzekła do siebie:

– Nie życzę mu śmierci... Bóg widzi. Prosi o przebaczenie... padł tak samo, jak ja, tyrańską ofiarą tej nielitościwej kobiety. Bóg łaskaw... może to inaczej obróci.

Przesiedziawszy tak jeszcze długą godzinę z listem na kolanach, zawinęła weń na powrót połowę obrączki, schowała go do srebrnej szkatuły, która stała przy jej łóżku, szkatułę na klucz zamknęła i klucz schowała do kieszeni, czego dotąd nigdy nie czyniła.

Starościna także listem swojego syna została głęboko wzruszoną. Nikt nie wiedział, co w nim stało, bo i ona go także po przeczytaniu zamknęła do skrzyni. Ale wszyscy widzieli, że ten list ją dotknął bardzo boleśnie. Albowiem od tego listu już tylko kilka dni się trzymała na nogach.

Jednej niedzieli wyspowiadała się i przystąpiła do stołu Pańskiego, po mszy posłała po panny klaryski do Starego Sącza – a sama się położyła do łóżka. Nazajutrz dwie mniszki przyjechały na zamek i już przy niej zostały. Odtąd nie mogła już podnieść się z łoża, ale i umrzeć nie mogła. Ciało jej bardzo powolnie, ale bezustanku niszczało. W kilka miesięcy stała się kościotrupem żyjącym, zawiniętym we włosienicę, włosy jej pobieleły jak mleko, pomarszczona skóra na twarzy przybrała kolor żółtawobrunatny jak u mumii egipskiej, usta jej pobieleły, jej oczy błyszcząły już tylko jak próchna, w końcu już ledwie się mogła o własnej sile przewrócić na łóżku: ale potężne jej ciało jeszcze opierało się śmierci.

Tak przyszyły pierwsze dni listopada – a wtedy zaczęły przybiegać pierwsze wieści o klęsce na Bukowinie.

Wiadomość o śmierci Gniewosza przybiegła wraz z nimi. Wolski czekał z nią dzień jeden i drugi: ale kiedy przyjechał szlachcic z pospolitego ruszenia, który się zaklął na słowo rycerskie, że sam widział Gniewosza jak został usieczon od Tatar, Wolski kazał strąbić całą załogę w zamkowy dziedziniec, ogłosił jej urzędownie śmierć swego starosty, a ks. Pudełko odprawił nabożeństwo za jego duszę w zamkowej kaplicy.

A wtedy ta przerażająca wiadomość musiała się donieść do starościny. Sam ks. Pudełko do jej łoża przystąpił i powiedział jej, że jej syn zginął śmiercią walecznych.

Kiedy starościna go zrozumiała, energicznym ruchem podniosła się do połowy na swoim łożu, jej twarz się ożywiła, oczy zabłysły, usta się do połowy rozwarły, podniosła rękę do góry, aby coś powiedzieć: ale w tej samej chwili znów między poduszki upadła.

Ks. Pudełko się nad nią pochylił: matka Gniewosza nie żyła.

A wtedy ten zacny kapłan podniósł oczy i ręce do nieba i rzekł do mniszek:

– Niech będzie Bóg pochwalony! Tak umierają tylko ludzie poczciwi.

W małą chwilę potem zapalono dwie świece woskowe przy ołtarzyku, który stał przy jej łożu, wszyscy zamkowi mieszkańcy zbiegli się do jej sypialnej komnaty, a ukłękawszy, modlili się za zbawienie duszy swej pani.

Im więcej się wieść o jej śmierci rozbiegała po skrzydłach i dalszych zabudowaniach zamkowych, tym gęściej się napełniały nawet dalsze komnaty, a ktokolwiek przybiegł, zaraz rzucał się na kolana i składał ręce do modłów: aż wreszcie tak mnogie nagromadziły się tłumy, że nikt by się przez nie nie potrafił przecisnąć – ale Jagienki pomiędzy nimi nie było.

Razem z owym szlachcicem, co przyniósł pewną wiadomość o śmierci Gniewosza, zjawił się ksiądz Wara na zamku.

Wara, jedząc i pijąc przy stołach rycerskich w obozie pod Lwowem, odgrażał się okrutnie, że i on także pójdzie na wojnę. Na ten rachunek jeden z bogatszej szlachty darował mu konia, drugi kawałek pancerza, trzeci opończę, a ten i ów kilka groszy. Ale Wara niegłupi nadstawiać łba za to, ażeby jakiś królewicz otrzymał osobny kraik dla siebie: królewiczów bez ziemi jest po świecie bez liku, gdyby przyszło dla wszystkich ziemie zdobywać, to by człowiekowi nareszcie i łba dla nich nie stało.

Warę już brzuszkiem zabolął w Śniatynie i został tam z tymi, którzy politykować zaczęli, a wyłożywszy jedni drugim do zrozumienia, że król wielki błąd popełnił, uwięziwszy posłów wołoskich, że, Bogiem a prawdą, nie ma żadnych sojuszów, że sam jeden porywa się na Wo-

łochów, Tatarów i Turków, właśnie jak z motyką na słońce, że wreszcie zażegnał tę wojnę w celach osobistych a familijnych, także się tam zatrzymali i stamtąd jeden za drugim wracali milczkiem do domów. Czekał więc spokojnie w Śniatynie, powiadając sobie: Jeśli zwyciężą, toż mi niewielka rzecz za nim pośpieszyć i przybyć zawczasu do podzielenia z nimi sławy i łupów; jeśli zaś będą pobici, to i ja z pobitymi powrócę i znajdę takiego, co mnie nieszczęśliwego, obdartego na wojnie, do siebie przytuli. – Tymczasem zaś bacznie rozważał, gdzie by się mógł przytulić. Wara był jak ów wół, co pasąc się na łące, jak jedno miejsce wypasie, już na nie nie wraca, chyba żeby tymczasem znów trawa podrosła. Tak wiedział, że na Sobniu musi się już nie pokazywać, boby go tam o konia Kmitowskiego spytano, do Tigranesa i Kergolaja także nie lża mu było powracać, bo go tam ubrano i uzbrojono, a nie widziano go potem na wojnie, Jagienkę zaś już mu chyba objeżdżać na miłę, bo łańcuch wziął od niej i przehulał, a zabałamuciwszy się, poselstwa jej nie sprawił na czasie.

Ale wypadki tak zrzędziły, że właśnie na łące Jagienki świeża mu trawa odrosła. Otrzymując w Śniatynie wiadomość z pola bitwy, dowiedział się jednego dnia, że Gniewosz został zabity. Gniewosz zabity, Jagienka wdowa, może teraz pójść za męża za swego ulubionego; jeśli jej pierwszy tę wiadomość przywiezie, to Jagienka nie tylko mu tamtego łańcucha zapomni, ale jeszcze da drugi. A może też da dawno obiecane w swych dobrach probostwo. W każdym zaś razie zwiastuna tak pomyślniej nowiny za drzwi nie wyrzuci...

Zerwał się więc, wsiadł na koń i kopnął się najkrótszą drogą na Czorsztyn. I gdyby nie to fatalne nieszczęście, co go tak zawsze i wszędzie prześladowało, to byłby istotnie pierwszy przyjechał z tą wiadomością. Ale to nieszczęście... Po drodze miał tu i ówdzie takie dwory, gdzie dawniej już coś przeszkrobał, musiał je zatem omijać i drogi nakładać, tam zaś, gdzie jeszcze trawy nie wypasł, zatrzymywano go, kazano sobie opowiadać wszystkie szczegóły klęski i odniesionego zwycięstwa, a Wara, jak tylko mógł kłamać przy pełnym dzbanie i wniejącej pieczeni, tracił siłę nad sobą i nie mógł się oderwać od swoich słuchaczy. Był on, jak wszyscy fałszywi prorocy, którzy zawsze nadużywają swojej wymowy i choćby najliczniejsze rzesze zgromadzili około siebie, wykładają im swoje brednie tak długo, aż póki się próżnia koło nich nie robi. Jednak przyjechał jeszcze zawczasu, bo właśnie w dzień otrzymanej pewnej wiadomości o zabiciu Gniewosza i w chwili śmierci jego matki na zamku.

Zsiadłszy z konia w zamkowym dziedzińcu, szedł zaraz do pokoiów Jagienki.

Jagienka znajdowała się w tej chwili w tak niesłychanym rozstrojeniu umysłu, przez jakie przechodził rzadko który z ludzi żyjących.

Śmierć męża i śmierć macochy uderzyły w nią tak potężnym gromem i olśniły ją tak rażącymi błyskawicami, że całkiem straciła przytomność. Najprzeciwiejsze uczucia się krzyżowały w jej sercu, najdziwaczniejsze myśli przelatowały jej przez głowę. Mąż zginął, spadły z niej więzy i otworzyły się przed nią widoki szczęścia – a przecie nie godziło się radować jego śmiercią, bo był to człowiek nieszczęśliwy jak ona i niewątpliwie szlachetny. Macocha uległa nielitościwej karze za fatalny błąd popełniony, którym dwoje ludzi rzuciła w przepaść niewysłowionych boleści – ale już teraz nie żyje, a umarła dlatego, że nie mogła przeżyć tych nieszczęść, które na drugich ściągnęła. Gniewosz zginął, ale i tylu innych zginęło: cóż z Wilczkiem się dzieje? Na tę myśl brał ją lęk niesłychany, który ją dreszczem przejmował i targał wnętrzości. Natenczas ręce łamała przed sobą z obawy i grozy – i w takich chwilach czuła się prawie nieszczęśliwszą, niżeli była przez cały czas swego więzienia.

W takiej chwili wszedł Wara do jej komnaty.

Warze powodziło się dobrze w ostatnich czasach, był zatem ubrany dostatnio, a nawet dosyć okazańie. Miał na sobie żupan długi poniżej kolan z przedniego sukna, na nim pas wyzlącany kłamrowy i mieczyk w srebro oprawny, a na tym wszystkim opończę sukienną, pięknymi łasicami podbitą, i czapkę aksamitną ze stojącymi uszami a bramowaną kunami. Ażeby zaś każdy poznał od razu, że jest osobą duchowną i bywał pątnikiem do Ziemi Świętej, przyszył sobie kilka muszli na piersiach żupana i dwie muszle u czapki. Być może nawet, że miał

cienką koszulę na sobie, bo jakąś białą kryzę mu było widać u szyi. Wyglądał przy tym rumiano i zdrowo i miał brodę uczesaną starannie, a długie siwe włosy spadały mu w kędziorkach na plecy.

– Wara! Wara! – zawołała Jagienka do niego, rzucając się szybkim ruchem ku niemu, że ledwie mu nie padła w ramiona – Bóg ciebie przynosi! skąd jedziesz? pewnie z wojny. Powiadajże mi prędko, coś słyszał.

– Miłościwa pani – rzekł Wara, spuszczać głowę ku ziemi, ale uśmiechając się przy tym spode łba – smutne wieści przynoszę. Stała się wola Boża, pan Gniewosz jest pod Suczawą usieczon.

– Wiesz pewnie? – spytała, zmuszając się do powagi, Jagienka.

– Wracam z Śniatyna – rzekł Wara – widziałem tam kilkuset szlachty, co własnymi oczyma na jego śmierć heroiczną patrzyli.

– Biedny człowiek! – zawołała z szczerego serca Jagienka – być może, że się umyślnie dał zabić. Ale gdzie Wilczek? cóż słyszałeś o Wilczku?

– Pan Wilczek zdrow – odpowiedział jej Wara na domysł – wraca z królem do Lwowa.

– Prawda to? skądże wiesz o tym?

– Sam go na własne oczy widziałem w Śniatynie. Poklepał mnie po ramieniu i rzekł: – Wara! leć, nie czekając, na Czorsztyń i powiedz Jagience, że zdrow, a Gniewosza wzięł Pan Bóg do swojej chwały, muszę mały czas zostać przy królu, ale jak tylko król mnie puści, zaraz do niej polecę.

Na tę wiadomość, chociaż się jej spodziewała, Jagienka nie mogła słowa przemówić, tylko drżała na całym ciele, a łzy radości potoczyły się po jej licach. Dopiero po małej chwili zawołała z niecierpliwością:

– To czemuż już nie przyjeżdża? Co tam król! Ja mam swoje własne królestwo. Jemu także majątku nie braknie. Słysz, Wara! jedź lotem do niego. Dam ci pieniędzy, dam koni, weźmiesz, co chcesz, jedź dzisiaj, zaraz, i powiedz mu, teraz wdowa, że jego własna, jakem mu ślubowała, niechaj wszystko porzuci, a zaraz przyjeżdża.

– Miłościwa pani – rzekł Wara – jam jest najniższy sługa waszej miłości, gotów lecieć na dzień i noc, ale to niepotrzebne. Bo najprzód jegomość Wilczek sam mi powiedział, że jak tylko król go uwolni, zaraz na skrzydłach tutaj przyleci. Znam ja pana starostę i wiem, że tam się ziemia pali pod jego nogami, więc go też wcale naglić nie trzeba. A potem – mówił dalej Wara z uśmiechem zadowolenia – mam ja też łaskę u niektórych św. Pańskich, którzy mi się też objawiają i powiadają, co trzeba...

– Widziałeś może św. Agnieszkę, moją patronkę? – zapytała porywczo Jagienka.

– Nie – rzecze Wara – do św. Agnieszki nie trzeba się w takich sprawach udawać. To jest trzynastoletnia panienka, co poślubiwszy czystość dziewiczą Panu Jezusowi, sama wzgardziła Semproniusza, syna rzymskiego starosty, i za to śmierć męczeńską poniosła. Gdybym się do niej udał, ażeby mi dopomogła skojarzyć małżeństwo, pewnie by mnie napędziła i jeszcze by mi może drzwi do innych św. Pańskich zaparła.

– Prawdąż to? – zawołała Jagienka – a jam się zawsze do niej modliła! Teraz już wiem, dlaczego mi się tak nie wiodło dotychczas! To może widziałeś św. Lenarda?

Tu Wara, kuty na cztery nogi *in puncto* żywotów świętych, litościwie się nad nią uśmiechnął i rzekł:

– Takiego świętego nie masz w całym Królestwie Niebieskim, które, nie chwając się, znam przecie od kołka do kołka. Być może, że kiedy będzie, ale dotąd jeszcze żaden Lenard nie został przyjęty na służbę do dworu Chrystusa Pana.

– Więc kogóż widziałeś? mów prędko.

– Nocując wczoraj w gospodzie pod Starym Sączem – powiadał Wara – jakom to był tą nagłą jazdą bardzo zmęczony, trochę twardo przysnąłem nad ranem. Aż tu czuję, że mnie ktoś targnął za ucho. Otwieram oczy i patrzę, a tu mój stary dobrodziej, św. Stanisław stoi nade

mną i mówi: „Wstań Wara, a nie zasypiaj gruszek w popiele. Jeszczem też nie miał takiego durnia, jak ty, pomiędzy moimi sługami, co mieszkają na ziemi. I tak tobie powiadam, że podobno już durniem zostaniesz, aż póki cię nie wezmę na dwór mój własny do nieba. Owom tobie dla Kmity odpuszczenie grzechów śmiertelnych wyrobił, co mnie też kosztowało немало deptania, a uczyniłem to tylko dlatego, ażeby ci Kmity dał to mizerne probostwo na Lesku – a ty z twojej głupiej dobroci serca odbiegłeś tej sprawy, właśnie kiedy ci Kmity na przekór swojej żonie miał dać tę prebendę”. I powiada mi św. Stanisław: „A poleciałeś z poselstwem tej tam Jagienki do tego tam Wilczka, co była rzecz bardzo głupia, a czym nawet o mało, że nie popełniłeś brzydkiego grzechu, bo kiedyś do Wilczka przyjechał, Jagienka już była po ślubie. Pięknaż by to była rzecz, zwłaszcza dla księdza, nosić listki od kobiety zamężnej do gacha! Szczęście, żeś o tym nie wiedział, zaczem ci tego za grzech nie nakarbowano, inaczej byłbym się musiał kryć pod stół ze wstydu, że takiego kalafaktora mam swoim sługą na ziemi”. Więc mówi mi św. Stanisław: „Tak więc znowu i teraz, niby to śpieszysz się do Jagienki, jakom cię natchnął, abyś jej pierwszy przywiózł wiadomość, że owdowiała, za co by ci pewnie dała dobre probostwo u siebie, jako ci obiecała – a ty, nie dosyć żeś przez twoje uczciwość nie wziął jednego ręczego bachmata w Śniatynie, ano się wleciesz na twojej chudej szkapie na Czorsztyń, jeszcze i takeś sobie chrapnął w tej gospodzie, że aż sam muszę cię budzić. Wiedźże o tym, że Wilczek już wyjechał ze Lwowa – a on jeździ inaczej na swoim Wronym niżeli ty na twoim woziwodzie. Niechże przyjedzie przed tobą, to ci znów wszystkie twoje zasługi przepadną, wyrzucą cię za drzwi z twoją starą nowiną i jeszcze wyśmieją, a potem, jak twego ucha, tak i twego probostwa nie obaczysz na życiu. Zaczem – powiada mi św. Stanisław – zostaniesz już pątnikiem do śmierci, a ja będę musiał dalej przestawać na takim mizernym słudze, co lada wczorajszy święty, co mi nie dorósł do pasa, nawet by się nie przyznał do niego...” Więc z tego wnoszę – zakończył Wara – że jegomość pan Wilczek już jest na drodze. I tak rozumiem, że za trzy, a najdalej za cztery dni upadnie do nóg waszej miłości, jeżeliby zaś zaszła jaka przeszkoda, to św. Stanisław znów mi się objawi.

– Słysz, Wara! – zawołała do niego, trąc ręce Jagienka – dam tobie wszystko, co chcesz, i dam ci najlepsze probostwo, ale idź, módl się do św. Stanisława, aby Wilczek jeszcze dzisiaj przyjechał. On przecie może to zrobić. Idź, Wara, idź módl się – dziś jeszcze.

Więc Wara się mile uśmiechnął i mówił:

– Pojmuję ja niecierpliwosć waszej miłości, chociażem sam miłości nie zaznał, bo my duchowni nie zażywamy tych rzeczy. Będę się też modlić rzetelnie. Ale chciałbym waszej miłości powiedzieć, że nie trzeba się świętym Pańskim zanadto naprzykrzać, zwłaszcza kiedy już dla nas coś uczynili. Albowiem nie trzeba myśleć, że oni tam siedzą z rękami założonymi za pasem, jako to prostaczekowie sobie wyobrażają, co ich też bezustannie molestują prośbami. Mają oni немало roboty, że nawet i trudno człowiekowi zrozumieć, jak się z nią mogą uporać. Bo zważ tylko wasza miłość, że to tysiące a tysiące próśb do nich codziennie dochodzi, a przecie każdą trzeba jakoś załatwić. Dalej więc każdy z nich ma tysiące kościołów, po całej ziemi rozsianych, a zbudowanych pod jego wezwaniem, więc na każdy z nich musi mieć oko, ażeby też wiedział, jak tam w nim księża gospodarują. Nuż wreszcie te nabożeństwa solenne, co się w niebie wciąż odprawiają, którym każdy z nich asystować musi, a czasem i sam celebrytuje – że już nie wspomnę nic o aniołach, których także trzeba utrzymać w ryzach, a to jest rzecz całę nielatwa, bo to młodzież bardzo zacna, to prawda, ale czasem pusto w ich głowach, co też niedziwno, bo im się dobrze dzieje – a są ich chmury nieprzeliczone i wszyscy skrzydła mają, więc też i Bóg sam wie tylko, kędy czasem latają. Zgoła, chociaż to człowiek widział na własne oczy, przecie mu się ani w głowie pomieścić nie może, jak taki święty Pański może nastarczyć takiej robocie. Jakoż ja sobie nieraz tak myślę, że jeżeliby mnie łaska Boska...

Ale tu mu Jagienka przerwała, mówiąc:

– Słysz, Wara! ja bym ciebie do ciemnej nocy słuchała, ale nie mogę ustać na nogach. Idź, módl się, a zrób to, ażeby Wilczek jeszcze dzisiaj przyjechał. A jeśli już dzisiaj na żaden spo-



sób nie może być, to jutro. Trzy dni czekać, to wieczność, ja zginę z niecierpliwości. Idź, Wara, jest tu na zamku kaplica...

Więc Wara musiał już iść. I poszedł, obiecawszy Jagience, że zaraz się weźmie do modłów, a może być, że będzie widział św. Stanisława jeszcze tej nocy.

Ale do kaplicy nie poszedł, tylko, jako człowiek przezorny i mądry, szedł pokłonić się imć panu Wolskiemu, najprzód, aby sobie zaskarbić łaskę komendanta fortecy, a potem, aby się też trochę dowiedzieć, jacy tu ludzie są na tym zamku, co wiedzą o Gniewoszu i jak są usposobieni dla jego wdowy.

Wolskiemu prezentował się jako ksiądz Biały, szlachcic *possessionatus* w ziemi sanockiej, pielgrzymujący tymczasem po miejscach świętych, zanim na stare lata odpocznie na jakiej kanonii albo może i na stolcu biskupim.

Wolski był człowiek surowy, ale niepodejrzliwy, a przy tym bardzo nabożny, przyjął go więc bardzo uprzejmie i zapewnił, że nie masz gościnniejszego zamku na świecie jak Czorsztyn.

Wara mu opowiedział, że wiosną wracał właśnie ze Ziemi Świętej i już był doszedł do Lwowa, ale zastał tam obóz, skąd go już nie puszczono, najprzód dla jego świątobliwości, którą ludzie radzi mu przypisują, a potem dla osobliwszego daru, który ma z łaski Bożej, wpajania w ludzi ducha odwagi.

– Choćby największy tchórz, jako to bywa – powiada Wara – jak go wypowiadam raz, drugi i trzeci, a dam mu naukę, jakoś Pan Bóg tak daje, że potem z niego najwaleczniejszy rycerz się robi, któremu rzadko kto na placu dotrzyma.

Na co Wolski odpowiedział mu sucho:

– U nas tu, chwała Bogu, tego nie potrzeba. My rzniem na sieczkę każdego, kto nam drogę zastąpi. A który by się wybrał z takim kazaniem, do moich żołnierzy, temu by się mogło co zdarzyć, bo żołnierze wzięliby to pewnie za obrazę i poleciałyby z niego otręby, nimby się jeszcze obaczył. To tam dobre dla pospolitego ruszenia w obozie, ale tutaj tylko ja miewam kazania do moich żołnierzy.

Wara spojrział na niego z uwagą i znalazł, że jest to człowiek bardzo zajmujący, ale lepiej jest siedzieć od niego z daleka.

Po czym Wolski wypytywał go o Chryzostoma, o którego cudach we Lwowie i śmierci pod Suczawą już wiedział. Chciał się teraz dowiedzieć, jaki to był człowiek i jak przyszedł do tego, że takie porywające kazania miewał w obozie pod Lwowem i w mieście. Wara mu to wytłumaczył bardzo dokładnie.

– Chryzostom Kmita – powiadał Wara – mój powinowaty, bo wszyscy Kmitowie to moi krewni, był swego czasu bardzo pięknym rycerzem, ale głowę do nauk miał trochę przytępą. Kiedy poczuł wokacją do stanu duchownego, jam go uczył w Rzymie św. teologii, z czym miałem trący niemało; ale że był dwa razy u grobu Chrystusa Pana i miał niejaki zasługi, więc mi się udało wyrobić mu kapłańskie święcenia, pomiędzy nami mówiąc, raczej *honoris causa*. Wymowę miał bardzo piękną, ale kazania sobie wymyśleć nie umiał. Ja więc koncy-powałem jemu wszystkie kazania, które miał z takim cudownym skutkiem w obozie i we Lwowie. I tak było dobrze. Ale jak pod Suczawą raz tylko przemówił z własnego konceptu, zaraz go zabito. Prawda, że było to nierozważnie iść między zbuntowanych husytów, bo to są poganie – a już i Pismo przed niewiernymi ostrzega, mówiąc u Mateusza: „I nie uczynił tam cudów wiele dla niedowiarstwa ich”.

Potem skierował zřęcznie rozmowę na Jagienkę i dotknął ogłędnie kwestii Wilczka, bo to bardzo łatwo mu było przewidzieć, że Wilczek prędzej lub później przybiegnie na Czorsztyn i wdowę zaswata, a on chciałby być przecie odegrać jak najważniejszą rolę przy tych swatach. Ale stary żołnierz odpowiedział mu na to całkiem otwarcie:

– Już tu i wróble świszczą o tym na dachach, że nasza młoda pani była pierwiej zmówiona z panem starostą tustańskim. I o tym wiemy, że nasza stara pani, Panie Boże świeć nad jej

duszą! swaty te rozerwała i prawie gwałtem ożeniła swojego syna z Jagienką. Człowiek złączył – a Pan Bóg rozłączył. Starosta zginął, Jagienka wdową, jeżeli więc Wilczek wyszedł żyw z wojny, to mogą się teraz pożenić ze sobą. Babskie to rzeczy, ja się tam w takie sprawy nie mieszam. Jeśliby Wilczek chciał brać zamek spode mnie, albo mi zabierać armaty, albo wysnuwać moich żołnierzy z załogi, ach!... to bym mu drogę zastąpił i tak waści powiadam, żeby się o mnie roztrącił. Ale jeżeli babę zabierze – i owszem. Baba z wozu, konikom lżej.

Więc Wara rzecze mu na to łaskawie, obdarzając go swym zaufaniem:

– Kiedy waszmość, jak widzę, wiesz już o wszystkim, więc mu jeszcze powiem cokolwiek. Ów Kmita węgierski, ojciec pani Jagienki, był ze mną od młodu w nierozzerwanej przyjaźni. Przez całe życie byliśmy z sobą jak dwa palce u ręki. Kiedy na wojnie został usieczon od Turków, byłem przy nim, wypowiadałem go i pomazałem olejem świętym. Owóż, konając na moich rękach, zlecił mi opiekę nad swoją dziewczeczką, mówiąc do mnie te słowa: „Wydadź ją za mąż jak możesz najlepiej, a wedle twego własnego wyboru”. – Zaczem ja dla niej wybrałem Wilczka, co jest pan wielki i kawaler wielkiego serca, nie przymierzając prawie jak nieboszczyk pan Gniewosz.

– Już to tam do Gniewosza pono jemu daleko – powie mu Wolski.

– To też właśnie powiedziałem: „nie przymierzając” – poprawił się Wara. – Więc tedy zaszatałem ich jak należy i była rzecz ułożona. Ale licho nadało, że właśnie kiedy Wilczek pojechał poszukać swatów, a ja tymczasem poszedłem był w góry, ażeby kazać tamtejszemu ludowi, i jak to z woli Bożej zawsze już bywa, takie nieprzeliczone rzesze się do mnie zbiegły, żem się spomiędzy nich nie mógł całe wydobyć; owo więc właśnie wtedy licho nadało, że starościna nieboszczka, niechajże jej tego Bóg nie pamięta! spadła jak jastrząb na zamek sobieński, sprowadziła tam syna bodaj nie powietrzem, sprowadziła i Chryzostoma także Bóg nie wie jakim sposobem, i ożeniła go, bez zapowiedzi, bez indultu, a między nami mówiąc, nawet i bez spowiedzi...

– Już to tam pono nie całkiem po katolicku odbyły się te śluby – rzekł Wolski z uśmiechem – ale co nam do tego.

– Owo więc Wilczek – powiadał dalej Wara – dowiedziawszy się o tym, tak się tym niezszczęściem sfrasował, że byłby pewnie rozum utracił, gdyby nie to, żem go od tego czasu ani na krok nie odstąpił.

– A co to waść gadasz? – przerwie mu Wolski – dopieroś powiedział, żeś wracał ze Ziemi Świętej, kiedy się obóz zbierał pod Lwowem, teraz zaś mówisz, żeś był ciągle przy Wilczku.

– Toż to ja właśnie dlatego chodziłem do Ziemi Świętej – rzekł prędko Wara – ażeby u Pana Boga łaskę uprosić dla niego, żeby się przecie ożenił z Jagienką.

– A toś się tam modlił o śmierć dla pana Gniewosza! – zawołał Wolski, marszcząc brwi i patrząc surowym wzrokiem na niego.

– Chowajże Boże! – zawołał Wara, zmuszając się do uśmiechu – co też waszmość powiadasz! przecież ja pana Gniewosza znałem także od dziecka i kochałem go jak mego własnego syna. Co waszmość gadasz! Obraziłeś mnie ciężko tą myślą, niechże ci Pan Bóg przebaczy! Ja bym jemu był nieba przychylił – a waszmość mnie o taką zbrodnię przeciwko niemu obwiniasz. Ja właśnie dlatego poszedłem do Ziemi Świętej, że mi tak ciężko było na sercu, a chwiejne w moim sumieniu, aby mnie też Pan Bóg oświecił. Bo tu miałem obowiązki względem nieszczęśliwej Jagienki, aby też ją z tego pieprzu wydobyć, a tu znów respekt dla nieboszczyka Gniewosza...

– Coś tam waść bałamucisz, jak widzę – przerwał mu Wolski – ale co mnie do tego. Powiedziałem już waści i jeszcze raz mówię, że ja się tam w wasze babskie kabały mieszać nie myślę, bo to nie należy do mego włodarstwa. Ani wam przeszkadzać, ani pomagać nie będę, bo to nie moja rzecz. Ale ponieważ mi waść wspomniałeś o tym, że rad rzesze gromadzisz po górach, aby im kazać, więc i to waści powiem, że w tutejszym starostwie nikomu kazać nie wolno, bo tu jest ks. Pudelko, który ma jurysdykcją duchowną nad całym ludem – a gdybyś ty

chciał jakie nauki wyklądać jego ludowi, to on by ci dopiero takiego dał pieprzu, żebyś się z niego, jak żyw, nie wykichał. Dobrze to wiedzieć zawczasu. A tak, jeśli wola, zostań sobie gościem na zamku, w skrzydle pani Jagienki. Ona ma dwór swój i kuchnie, i sługi, i wszystko, co trzeba, więc ci tam niczego nie braknie. A jeśli pocziwe rzeczy macie na myśli, to niech wam Bóg dopomaga.

Tak więc Wara dowiedział się już teraz wszystkiego. Słyszał on z dawna o wielkiej zacności i surowych obyczajach Gniewosza i musiał sobie powiedzieć: „Jaki pan, taki kram”. Ten Wolski za byle co gotów zerznąć człowieka na sieczkę, a to jest jurysdykcja wojskowa i cywilna; zaś jurysdykcją duchowną ma jakiś ks. Pudełko, co gotów znowu za byle co dać pieprzu, że się człowiek z niego jak żyw nie wykicha. Trzeba tu po tym starostwie chodzić na palcach. Wszelako w gruncie rzeczy był kontent, bo się upewnił, że będzie mógł odgrywać rolę protektora i swata, a przy tym też tę i ową pieczeń upiec dla siebie.

We dwa dni potem odprawił się pogrzeb starościny.

Z księży, których zresztą w bliskości było niewiele, tylko jeden proboszcz z Starego Sącza przyjechał. Wara był zatem gościem upragnionym. Ksiądz Pudełko w innym razie byłby go widział niechętnie i z nieufnością, bo nie lubił tych księży bez parafii i bez *locum standi*<sup>58</sup>, których się wówczas po wszystkich krajach włóczyło tak wielu, a o których nawet nie można było wiedzieć dowodnie, czyli i jakie mają święcenia; ale dziś, pragnąc ile możliwości podnieść splendor pogrzebu swej kolatorki, przyjął go rad, zaprosił do uczestnictwa w tej uroczystości i kazał mu dać ornat, który się znajdował w kaplicy, leżącej na Podzamczu pod lasem. Wara uderzył w strunę skromności, wypraszał się od ornata, mówiąc, że przy tak świątobliwym pralacie, jak ks. Pudełko, przystoi mu raczej poprzestać na komży; ale Pudełko chcąc, aby było przynajmniej trzech księży, uparł się przy swoim – i Wara figurował na pogrzebie w ornacie.

Szlachty się także bardzo mało zjechało, bo jeszcze mało kto z wojny powrócił. Natomiast wszakże zbiegły się takie tłumy wiejskiego ludu, że się nie mogły w zamkowych dziedzińcach pomieścić. Załoga zamku wystąpiła także w wielkiej paradzie pod komendą Wolskiego – a tak temu smutnemu obrzędowi przybyło cokolwiek świetności. Jagienka była także na pogrzebie, modliła się klęcząc i rzewnymi łzami płakała: nieboszczka wprawdzie ciężką wyrządziła jej krzywdę, ale teraz już stała przed Bogiem – a zresztą, już to minęło i teraz się wszystko zmieniło.

Starościnę pochowano w grobach zamkowych, gdzie się starostowie czorsztyńscy chowali – a po pogrzebie tłumy się w cichości rozeszły.

Po pogrzebie, który się skończył dopiero z południa, Jagienka wróciła do swoich pokojów. Zaledwie przestąpiła próg swojej sypialni, już zapomniała o swojej macosze – a natomiast coraz większa zaczęła ją brać niecierpliwość, że dotąd nie masz jeszcze żadnej wiadomości od Wilczka. Kazała wołać Warę do siebie, ale jej powiedziano, że Wolski dla znamienitszych gości małą stypę u siebie wyprawił i Wara, naturalnie, nie mógł mu się wymówić. Jagienka przystąpiła do okna i stęsknionymi oczyma patrzyła na drogę, która od Krościenka wiodła do zamku. Jeżeli przyjedzie, to stamtąd powinien przyjechać...

Późna jesień już była natenczas: niebo ołowiane, cały świat szary, dzień już zaczynał zapadać, tylko jasne blaski padały od śniegów, które już grubymi warstwami leżały na górach. Jagienka wyteęzała swe biedne oczy, ile siły im stało, ale nic dostrzec nie mogła. Jeszcze dużo ludzi się snuło po drodze, ale byli [to] wracający z pogrzebu, wszyscy szli od zamku, gubiąc się tu i owdzie po drodze. Nareszcie i ludzi już brakło, droga stanęła pustką. Jagienka ręce opuściła po sobie, mówiąc z ciężkim westchnieniem do siebie:

– Już dziś nie przyjedzie, jeszcze jedna noc takiej męczarni...

---

<sup>58</sup> *locus standi* (łac.) – miejsce pobytu

Jednak dalej patrzała. Już się zmierzchać zaczęło, ale wzrok bystry mógł jeszcze rozróżnić przedmioty. Jej wzrok tak się wyteżał, że byłby najmniejszy ruch na tej drodze dojrzał wśród ciemnej nocy. Lecz jeszcze zmrok całkiem nie zapadł, a śniegi dobrze błyszczały. Tak patrząc, nagle zadrgnęła. Jacyś jeźdźcy się pokazali na drodze. Było ich trzech albo czterech. Jechali rysią, jak gdyby się wielka kula toczyła po drodze i w oczach wzrastała. Jeden z nich jechał na przedzie, widać hełm jego, na którym się pióra kołyszą. Koń kary z białymi nogami... To on! Jagience serce uderzyło tak mocno, że jej się w oczach zaćmiło: musiała się uchwycić żelaznej poręczy u okna, aby na ziemię nie padła.

Kiedy jej się wzrok znowu rozjaśnił i wyrzała przez okno, rycerze już w bramę wjeżdżali.

Jagienka stanęła na środku komnaty i oddech w piersi zapała. Teraz już nie wzrok, ale słuch wyteżyła: byłaby usłyszała muszkę brzęczącą w dziedzińcu.

Przez chwilę cisza.

Służebna weszła i postawiła oliwny kaganiec na stole.

– Idź sobie – powiedziała do niej Jagienka.

Służebna wyszła. Cisza znowu zapanowała. Potem usłyszała jakieś głosy pod bramą. Głos Wolskiego, który jakoby witał kogoś z wielkim respektem, jakoby raport mu zdawał...

– Na Boga! co to jest?... Gniewosz?...

Ta myśl jej przeleciała jak błyskawica przez głowę. Jagienka cała zakrzepła.

Potem znów cisza. Jagienka stała jakby w głąz zamieniona na środku komnaty. Myśl jej zamarła i bicie serca stanęło. Raz czuła niebo nad swymi głowami, to znowu piekło pod nią się otwierało. Cisza trwała przez chwilę. Potem usłyszała kroki butów rycerskich z ostrogami na kamiennych posadzkach. Serce jej znów uderzyło. Aż wreszcie drzwi się rozwarły – i Wilczek prędkimi krokami wszedł do komnaty.

Wilczek otworzył szeroko swoje ramiona, Jagienka z krzykiem, jak gdyby jej się serce rozdarło z radości, rzuciła mu się na piersi – i stali tak chwilę jak posąg podwójny w nierozetwanych ze sobą objęciach.

Wilczek pierwszy przyszedł do przytomności i rzekł:

– Bóg łaskaw! nad wszelkie nasze nadzieje...

Jagienka zbudziła się, a wysunąwszy się z jego ramion, ale trzymając go silnie za rękę, zapytała:

– Zginął? wiesz pewnie?

– Wszyscy już wiedzą. Mam zresztą dowody. Masz okruszynę obrączki?

– Obrączki? – zawołała Jagienka, przypominając sobie list swego męża – mam. Ale gdzie druga połowa?

– Jest u mnie – rzekł Wilczek.

– Masz? pokaż? – krzyknęła Jagienka i skoczyła do swojej szkatuły.

Otworzyła ją prędko i przyniosła list męża z połową obrączki. Tymczasem Wilczek wydobyl z zanadru testament Gniewosza i drugą połowę obrączki. Jagienka wyrwała mu ją z ręki i pobiegła do kagańca, gdzie zaraz obydwie połowy ze sobą złożyła. Wilczek patrzył na to i oboje widzieli, że były to dwie połowy tej samej obrączki. Jagienka spojrziała z zachwyconiem na Wilczka – a on jej podał testament Gniewosza do przeczytania.

– Czytaj – powiedziała Jagienka.

Wilczek także nie bardzo biegły w czytaniu, jąkał się trochę, ale nareszcie przeczytał.

A wtedy Jagienka sama mu się rzuciła na szyję, wołając;

– Teraz już nas nikt nie rozłączy!

Wilczek ją znowu przez długą chwilę trzymał w swoich objęciach, a czując bicie jej serca na swojej piersi i jej oddech gorący przy swoich ustach, wszystka krew mu uderzyła do twarzy, co było bardzo niedobrze.

Toż nie chciał jej już wypuścić, ale mu się sama wydarła. Zaczem oboje usiedli naprzeciw siebie i zaczęli sobie opowiadać urywanymi słowy, ile cierpieli.

Wilczek mało mówił, tylko trzymając jej rękę w swojej gorącej dłoni, połykał jej słowa i patrzył jej w twarz rozplamionymi oczyma. Natomiast Jagienka opowiadała mu wszystko: jak ją na Sobniu zgwałcono do ślubu, jak nikt nie miał nad nią litości, jak sobie święcie przysięgła, że raczej się da rozedrzeć w kawałki, niżeliby miała dopuścić, ażeby Gniewosz się tylko dotknął jej ręki, jak jednak Gniewosz przez czas podróży i swego pobytu na zamku obchodził się z nią jak z świętą.

Opowiedziawszy to wszystko, zerwała się z miejsca i zawołała z zapalem:

– Pan Bóg dopomógł mojej stałości. Dziś jestem twoją – a chociaż wdowa, jestem jak gdybym dopiero dzisiaj na ten świat przyszła!

Natenczas Wilczek spłonął ogniem miłości jak kierz Mojżeszowy, porwał ją jak łąteczkę w swoje żelazne ramiona, ona go objęła za szyję i na jego piersi zawisła – a wtedy ziemia im się spod nóg usunęła, niebo się otworzyło przed nimi, trzydzieści sześć gwiazd zapłonęło w ich oczach, a aniołowie grali im hymny niebieskie – do świtu.

## XIV

### UMARLI WSTAJĄ

Pod zamkiem czorsztyńskim leżały porzrzucone niektóre chaty a inne budynki, co nazywano Podzamczem, a między nimi obszerna i bardzo dostatnio zaopatrzona gospoda, w której mieścili się podróżni, mający sprawy do załatwienia na zamku, i kupcy węgierscy, przejeżdżający wciąż z towarami do Polski. Jakkolwiek Wolski przyjął Wilczka z rewerencją królewskiemu rotmistrzowi należną, zdał mu raport ze stanu rzeczy w tej królewskiej fortecy i zaprosił go, ażeby stanął ze swymi ludźmi na zamku (co Wilczka zatrzymało tak długo pod bramą zamkową), jednakże Wilczek podziękował mu za gościnę, dając do zrozumienia, że mu się nie godzi u młodej wdowy zamieszkać. Wolski, człek obyczajów surowych, zrozumiał tę delikatność rycerską i kazał zaprowadzić jego sługi i konie do owej gospody, zapewniając go, że arendarz, jako zależny od zamku, otrzyma dokładną instrukcją, jak się ma obchodzić z gościem tak wysokiej godności. Ludzie Wilczka umieścili się zatem w gospodzie: ale było ich tylko dwóch, Włostek i drugi żołnierz, i dwa konie podwodne. Inni żołnierze Wilczka dopiero w kilka dni mieli przyjść za nim.

Albowiem kiedy Wilczek otrzymał pozwolenie od króla pojechać na Czorsztyn, wyprawił Ramułta ze swoją chorągwią na Tustań, do swojej służby zachował tylko dwunastu zbrojnych – a że pomiędzy nimi była większa połowa młodzi szlacheckiej, których potrzebował dla okazałości swojego dworu, a którzy jeszcze nie bardzo umieli się rządzić w podróży, więc zostawił przy nich Kostrubana, aby im był na wysłudze. Ci ludzie, idąc zwykłymi etapami, powinni byli przyjść po nim we trzy dni, ale dopiero piątego dnia nadciągnęli, bo Kostruban kazał im leżeć przez całą dobę w Wiszni, a sam przez ten czas wałęsał się kędyś po puszczech tamtejszych.

Kiedy Wilczek nazajutrz po ich przybyciu kazał im wystąpić przed sobą na popis, znalazł wszystko w porządku, lecz zauważał, że Włostek był zapłakany, ba, nawet i w jego obecności się na nowo rozplakał.

– Czego ten błazen tak beczy? – zapytał Wilczek.

Kostruban poskoczył na to ku niemu i rzekł:

– Nic to. Opowiem potem jegomości.

Ale Wilczek był ciekawy i pociągnął zaraz Kostrubana na stronę. A wtedy Kostruban powiedział mu, że się stało nieszczęście z Ofką i Włostek dlatego tak płacze.

– Cóż się tam stało? – zapytał Wilczek, blednąc cokolwiek.

– Proszę jegomości – powiedział mu Kostruban – kiedy mnichy się dowiedzieli, że ks. Chryzostom zabity, zaraz kazali Marusze, aby się wynosiła ze swojej zagrody. Właśnie niedawno jej mąż był umarł, więc powiadali, że ona nie ma prawa do tej zagrody. Marucha nie chciała – i tak to jakiś czas było. Ale przeszłego tygodnia jacyś zbrojni ludzie napadli na chatę Maruchy i wszystkich wymordowali, a chatę złupili.

– Kogoż zabili?

– I Maruchę, i Ofkę.

– A dziecko?

- Także zabili.
- Byłeś tam? widziałeś?
- Byłem, a powiadali mi to ci ludzie, co Maruchę grzebali.

Więc Wilczek się nad tym zamyślił, a potem rzekł:

- Cóż ty mi gadasz? przecie księza takiej rzeczy by nie zrobili.

– Ale to nie księza – rzekł Kostruban – księza ją tylko chcieli napędzić. Jeno jak to zazwyczaj po wojnie dużo rozpuszczonego żołdactwa się włóczy po kraju, co nie mają żyć z czego, więc tak rozumiem, że to oni chałupę złupili, a baby pomordowali.

Wilczek jeszcze trochę nad tym pomyślał, a potem rzeki do siebie:

- Jam temu nie winien. Bóg wie, co robi. Panie, świeć nad jej duszą.

Żołnierze Wilczka rozlokowali się w tej obszernej gospodzie i bardzo dobrze im się tam działo. Wolski, oddając królewskiemu rotmistrzowi, co mu się należało na stacji królewskiej, przysłał im wina, mięs, chlebów i furazów dla koni, w gospodzie także im win przednich węgierskich nie brakło; Wilczek, w rzeczach służby niezmiernie surowy, ale po pańsku hojny dla swoich ludzi, nie żałował im grosza, było im więc daleko lepiej w tej gościnie niż w domu.

Wara, mający okrutny respekt przed Wolskim i nie chcąc mu się naprzykrzać, przepędzał u nich długie zimowe wieczory, jedząc jak wilk, pijąc jak wór dziurawy i opowiadając im bardzo ciekawe historie ze swoich niezliczonych podróży. Gdzie on nie był, czego nie widział, ile razy był w Rzymie i u grobu Chrystusa Pana, ile dobrych rad dał papieżowi, ile ufundował klasztorów, ile pogan nawrócił, ile świętych relikwii z rąk ich wydobył, ilu świętych Pańskich widział na swoje oczy, ile absolucyj od grzechów śmiertelnych przez nich dla biednych ludzi wyrobił: tego nie potrafiłby nawet przez cały rok opowiedzieć. A opowiadania te płynęły z ust jego właśnie jak ten Dunajec, co się sączył bez zatrzymania prawie pod ich stopami. Były to rzeczy bardzo zajmujące – a po staremu tym więcej podziwiane przez jego słuchaczy, ile że w nich ani krzty prawdy nie było. Ale i najśłodszy piernik nareszcie się przeje... Tak więc i tej młodzie żołnierskiej zaczęły się przykrzyć pomału te piękne powieści, zwłaszcza że były jak dwie krople wody do siebie podobne; bo jak dziś jest, tak i dawniej bywało, że rób, co chcesz, i nadrabiaj coraz to nowym konceptem, wymyślaj niesłyszane dotąd zdarzenia, zmieniaj za każdym razem i ton, i tok twego opowiadania, przecie z jednego dzbana zawsze ten sam płyn płynie. Tego prawa natury żadna moc ludzka nie zmieni: całe zadanie ludzkiego rozumu tylko w tym leży, ażeby miarę zachować. Ale Wara nie miał rozumu – a więc nie miał i miary. Młodzież więc zaczęła się nudzić – a to tym bardziej, ile że już zima nie żartem ziemię ścisnęła, zaczęły się śnieżne zawieje i czasem przez cały dzień nie można było nosa wyścibić za bramę.

A tu Wilczek siedzi i siedzi w Czorszynie: niby to mieszka w gospodzie, ale całe dnie i całe wieczory przesiaduje na zamku, ba, nawet i noce kędyś przepędza, bo zwykle wraca dopiero o świcie.

Żołnierze z nudów zaczęli już sobie żartować, mówiąc:

- Pan się przy swoich swatach nie nudzi, może się też obejdzie i bez wesela.

Któryś złośliwy a niecierpliwy powiedział:

- Będziem tu siedzieć tak długo, aż póki małe wilczątka nie powieziemy na Tustań.

Zaś Włostek był zły naprawdę i mówił:

– Taki to pański obyczaj. Przed nim żadna się nie utrzyma. Co zrobił tej biednej Ofce, to i tej zrobi.

Słyszając takie niepoczciwe gadania, Kostruban starał się je łagodzić, wykładając żołnierzom, że obyczajów rycerskich nie znają, że rycerz nie tak się żeni, jak chłop, co jeno raz dziewczkę obaczył, zaraz też ze swatami przychodzi, rycerz się pierwiej na wszystko ogląda, aby też wyrozumiał, z kim się wiąże na całe życie; dlatego też panowie żyją w zgodzie ze swymi żonami, nie tak jak chłopci, co biją swe żony zaraz po ślubie, a potem się rozpijają z

rozpaczy, że się na nich zawiedli. Ale żołnierze, jako to głowy u nich zazwyczaj są puste, nawet i z tego się śmieli, mówiąc:

– Chyba że tam u was pomiędzy Niemcami takie przewrotne są obyczaje. Bo u nas chłop, pan i rycerz spowiada się, pości i suszy przed ślubem, aby też potem się poweselił, pan zaś się najprzód weseli, chyba że po weselu mają przyjść post i suchoty.

Kostruban tak się tym niecierpliwił, że postanowił rzucić o tym słówko Wilczkowi; ale zabierał się po kilka razy – a nigdy nie miał odwagi. Wilczek późno się kładł spać i późno wstawał, potem nagle się zrywał, czy deszcz, czy śnieżyca, czy zawierucha, kazał na koń wsiadać żołnierzom, odprowadzał z nimi musztry i marsze, do Krościenka, do wiosek przyległych, czasem nawet do Węgier – a kiedy wrócił, zawsze mu było tak spieszno na zamek, że już trudno mu było jedno słowo powiedzieć.

Tak minęło trzy tygodnie.

Jagience przesunęły się te trzy tygodnie jak sen wiosenny, na zielonym kobiercu wonnej zieleni, wśród róż i latających motyli, przy odgłosie anielskich harf, które rozkoszą przejmowały jej duszę, a nie budziły jej ze snu. Nie znająca rzeczywistego świata, przyzwyczajona z dziecka nienawidzić każde prawo, co wiąże swobodę człowieka, czująca się teraz nieograniczoną panią swej woli – a nad to wszystko, dostąpiwszy teraz tego szczęścia, o którym przez półtora roku w swoim więzieniu w łzach ustawicznych i niewymownych cierpieniach marzyła, ani na chwilę nie pomyślała o tym, gdzie jest i co robi. Upojona swym szczęściem, zamykała oczy do snu pełnego marzeń rozkosznych – a kiedy się przed południem zbudziła, jej rozkosznym uczuciom przewodniczyła tylko równie rozkoszna tęsknota, ażeby jej ulubiony przyszedł jak najprędzej i ażeby jej serce stęsknione mogło się znowu rozpląnąć w jego gorących objęciach. Jeżeli kiedy w chwili samotnej przyszła jej myśl, że mógłby się zjawić ktoś taki, jakiś zły duch, może Gniewosz albo kto inny, co by chciał przerwać jej szczęście, to wtedy budziła się w niej tak silna wola i powstawała w niej taka energia, iż miała pełną świadomość, żeby go potrzaskała w kawałki.

Ale był ktoś na zamku, który tam, gdzie chodziło o dopełnienie obowiązku, nie bał się żadnej woli odpornej, ani żadnej energii.

Po trzech tygodniach, jednego rana, bardzo rano, kiedy Wilczek dopiero co się chyłkiem wyslizgnął ze zamku, zjawił się Wolski w pokojach Jagienki i rzekł do służebnej, że się chce z panią rozmówić. Służebna mu odpowiedziała, że pani śpi jeszcze, nie wolno nikomu jej budzić, póki nie zadzwoni. Ale Wolski rzekł na to surowo:

– Przy twojej pani jest dzwonek, a przy mnie trąba. Jak ja zatrabie, kto mieszka na zamku musi wstawać w tym oka mgnieniu, a bez oporu. Idź i zbudź starościnę.

Służebna poszła. Jagienka przetarta oczy niechętnie, a dowiedziawszy się, kto kazał ją zbudzić, rzekła kwaśno:

– Czego mnie nudzi tak rano? Powiedz mu, niech przyjdzie w południe.

– Wolski czeka – rzekła służebna – jakoś straszno wygląda, musi być coś ważnego.

Wtedy Jagienkę lekki dreszcz przeszedł i serce jej bić zaczęło. Ubrała się prędko i kazała zawołać Wolskiego.

– Moja miłościwa pani – rzekł Wolski – wiadomo jest waszej miłości, że ja się w babskie rzeczy nie mieszam. Pan Gniewosz zginął. Nie wiem ja naprawdę, czy zginął...

– Jak to nie wiesz? – zawołała błędąc Jagienka, a krew niej zaczęła zastygać.

– Nie wiem, bom ani sam nie był przy jego śmierci, żadnego naocznego świadka nie widział. Ale mam z kancelarii królewskiej, jako pod Suczawą jest zabit, więc zginął. A kiedy zginął, to wasza miłość jesteś wdową i możesz sobą rozporządzać do woli, mnie tam nic do tego.

Jagienka odetchnęła cokolwiek.

– Przyjechał tu imię pan Wilczek – mówił dalej Wolski – bywa na zamku, powiadają, że idzie w konkur o rękę jejmości: to mnie tam nic do tego, niech Bóg błogosławi.



Jagience się całkiem lekko zrobiło i rzekła:

– Tak jest, więc o cóż chodzi?

– Ale imć pan Wilczek wylega się tutaj po nocach – powiadał dalej Wolski tym samym tonem – i już o tym zgorszeniu głośno jest na zamku i po wszystkich gromadach. Owo więc, ja mam instrukcje względem imci pana Wilczka jeszcze od pana Gniewosza i mam obowiązki, których sam jestem świadom, i deklaruje waszej miłości, że na to pozwolić nie mogę.

A wtedy Jagienka się straszliwie zmieszała, ale się zebrała, jak mogła, i zaczęła mówić w pomieszczeniu, ale z pewną niecierpliwością:

– Każdemu wolno plotki nosić, jeśli mu się to podoba. Ale nic nie masz w tym złego. Tobie wiadomo, mój panie Wolski, że jeśli się jest po zrękowinach, to nikt nie ma prawa liczyć zmówionym godziny i zaglądać przez okna, czy słońce już zaszło...

Ale Wolski jej przerwał, mówiąc:

– To tam ekskuzuj dla innych. Jam pana Wilczka sam dzisiaj widział, jako się z zamku wykradał dopiero o świcie, i deklaruje waszej miłości, że ja tu w tych murach porubstwa nie znoszę.

Na to słowo, chociaż ewangeliczne, Jagience wszystka krew uderzyła do twarzy. Porwały ją razem gniew i oburzenie, ścisnęła pięści, usta jej drgały i zawołała:

– Ty śmiesz! precz! za drzwi!

Ale Wolski stał jak mur i rzekł spokojnie, ale dobitnie:

– Daję waszej miłości dzień cały, ażebyś zarządziła, wedle swej woli, co trzeba, mnie tam nic do tego; lecz deklaruje, że jeżeliby imci pan Wilczek chciał wejść do zamku o zmroku, to bramę przed nim zatrzasnę.

To rzekłszy wyszedł.

Po jego wyjściu Jagienka otrzeźwiała zupełnie.

Trzech tygodniowy raj unosił się wprawdzie nad nią w całej swej pełni czarownej, ale czuła się odgradzona od niego gorzkim zbudzeniem. Przejrzała instynktem całą nielitościwość rzeczywistego świata, zmierzyła niezaćmionym wzrokiem całą głęb tej przepaści, w którą się nieświadomie zsunęła. Przyszła od razu do przekonania, że tak dalej zostać nie może. Ale przypomniała sobie zarazem, że Wolski powiedział, jako nie jest całkiem pewnym śmierci Gniewosza. Ta myśl, lubo całkiem nieprawdopodobna, przecież przejęła ją dreszczem. A wtedy powiedziała sobie: Niech się dzieje, co chce, tu nie masz jednej chwili do stracenia.

I posłała w ten moment po Wilczka.

Kiedy opowiedziała Wilczkowi, co się stało, młody jej oblubieniec w pierwszej chwili strasznie zapłonął gniewem. Jego godność rycerska się w nim odezwała, a ręka rycerska, gotowa zawsze bronić tak dobrze prawa, jak i bezprawia, uderzyła o miecz. Jak to! taki miżerny ciura, taki zamkowy namiestnik, śmie mnie prawo dyktować? Kroki moje nadzorować? Bramę zatrzasnąć przede mną?... I gdyby nie wzgląd na położenie, gdyby nie poczucie się do występu, gdyby nie wzrok zatrwożonej Jagienki, byłby pewnie Wolskiemu łeb mieczem rozszczypał, a zapewne i zamek zabrał pod swoje komendę.

Ale Jagienka stała nad nim drżąca i wystraszona i takimi oczyma na niego patrzyła, że nie mógł dalej się gniewać.

A wtedy i on się z tego snu obudził, w którym, równie jak ona, bez świadomości siebie, bez myśli, a w upojeniu rozkoszy, prześnił całe trzy tygodnie tak prędko, że ani się spostrzegł. I wtedy sam się zasmucił i rzekł:

– Moja to wina. Ta nagła zmiana, zem ciebie, już stokroć oplakaną przeze mnie, znowu obaczył, odebrała mi zmysły, a miłość mnie ogłupiła do reszty. Teraz sam nie wiem i nie pojmuję, jak mogłem zapomnieć o tym, że przede wszystkim trzeba było o ślubie pomyśleć. Wciąż o tym myślałem, ażeby się za swatami obejrzyć i wciąż odkładałem z dnia na dzień, bom się ani na jedną chwilę nie mógł od ciebie oderwać. Sama myśl o tym, że będę cię musiał

na dni kilka porzucić, napełniała mnie strachem, że może potem znowu cię nie obaczę, i odbierała mi odwagę o tej podróży. Ale nie mamy czego żałować, teraz się to zrobi bez zwłoki.

– Ale dziś! – zawołała Jagienka – ja się czegoś boję, sama nie wiem czego i kogo, ja ani jednego dnia czekać nie będę.

– Jakże dziś? – zapytał Wilczek – do ślubu potrzeba swatów i družbów, i księży i godzi się przecież odprawić wesele.

– Nie potrzeba żadnego wesela – wołała niecierpliwie Jagienka, nie mogąc ustać na miejscu – ja jestem w żałobie. Nie potrzeba i swatów. Družbów ty masz przy sobie, ja znajdę družki między moimi pannami. Ks. Pudełko jest w Krościenku, to dobry człowiek, da nam ślub zaraz bez zapowiedzi. Mój Lenardzie! dzisiaj, dziś jeszcze!

Wilczek zastanowił się nad tym, ale jako był prędkiej determinacji, rzekł zaraz:

– Więc dobrze. Dziś, zaraz. Nagotujże sobie suknię do ślubu i družki i każ do karocy zapręgać – a ja pójdę się przebrać i moich družbów namówić.

Jagienka się rozpląkała z radości, wielki ciężar spadł jej ze serca. Wilczek, objąwszy ją w swoje ramiona, wybiegł także z radosnym sercem do swojej gospody.

Wróciwszy do siebie, posłał przede wszystkim jednego ze swojej szlachty do Krościenka, do ks. Pudełka, zapowiadając mu, że się żeni z Jagienką, i prosząc, aby mu dał ślub dzisiaj z południa.

Z południa zaś, kiedy już wszystko było gotowe, wyruszył orszak weselny do Krościenka: Wilczek ze swoją młodzieżą naprzód na koniach, Jagienka w poszóstnej karocy ze swymi družkami za nim.

Zajechawszy przed kościół, Wilczek i jego żołnierze poseskakiwali z koni, kobiety wysiadły z karocy, Wilczek wziął Jagienkę za rękę i szli do kościoła.

Kościół zastali otwarty i spostrzegli, że ks. Pudełko oczekiwał ich w kruhcie zaraz przy samej bramie. Ta rewerencja powinna była ująć państwa młodych: ale Wilczek zauważył, że Pudełko nie miał ani komży, ani stuły na sobie, tylko był w swojej wytartej rewerendzie, w której chodził codziennie. To spostrzeżenie go trochę ubodło; ale nie zważał na to, tylko, zbliżywszy się do niego, opowiedział mu, po co przyjeżdża, i prosił go, aby się pośpieszył ze ślubem.

Pudełko mu się bardzo pokornie uklonił, ale odpowiedział opornie, mówiąc:

– Jestem zawsze gotów wypełniać rozkazy urzędników królewskich, ale ja jestem przede wszystkim sługą Kościoła i muszę wykonywać prawa Boże. Ja nie wiem o tym na pewno, że pan Gniewosz nie żyje; czy wasza miłość masz na to jakie dowody?

– Jak to, nie wiesz? – zawołał Wilczek niecierpliwie – przecież Wolski otrzymał instrukcje królewskie, w których o śmierci Gniewosza stoi wyraźnie.

– To dla mnie nie wystarcza – rzekł mu spokojnie Pudełko – rzekomo zabici na wojnie często po latach w dobrym zdrowiu wracają. Czy masz wasza miłość jaki akt śmierci albo też akt pogrzebu?

Na te słowa Jagienka zbladła jak śmierć i chwyciła Wilczka pod ramię, aby nie upadła, W Wilczku zaczęła się krew niepokoić, raz mu się zimno robiło, to znowu gorąco, przez oka mgnienie nie wiedział, co robić: czy ma księdza bić w łeb, czy też mu perswadować. Jednak w tej samej chwili przypomniał sobie, że za namową Jagienki wziął z sobą testament Gniewosza z okruszyną obrączki i list jego, do Jagienki pisany, z drugą połową obrączki: zaczętem dobył to wszystko z zanadrza, dał księdzu i rzekł:

– Masz dowód.

Ks. Pudełko, stojąc ciągle w kruhcie przy samym progu, jak gdyby im nawet chciał bronić wejścia do kościoła, wziął te obydwie skryptury do ręki i przeczytał z uwagą. Lecz przeczytawszy, zwrócił je Wilczkowi i rzekł:

– To nie jest dowód. To pisał pan Gniewosz, kiedy żył jeszcze.

– Głupiś! – rzekł Wilczek ze złośliwym szyderstwem – przecież po śmierci nikt do ciebie listów pisać nie będzie. Więc czegoż ci trzeba?

Ale Pudełko wcale się tym nie obraził – ludzie nieszlacheckiego stanu byli przyzwyczajeni do gwałtowności owoczesnych rycerzy – owszem, odpowiedział mu z cierpliwością i pokorą, chociaż zarazem z powagą kapłańską:

– Rad bym waszym miłościom dopomóc, choćby tylko dlatego, ażeby drogę zawalić dalszemu zgorszeniu; ale praw Bożych nawet dla samego króla łamać nie mogę. W takich wypadkach, gdzie nie masz dokumentnych dowodów, jako umarł, wdowa ma czekać rok i sześć niedziel. A i wtedy dopiero biskup może dać pozwolenie do wejścia powtórnie w śluby małżeńskie, chociaż *urgente necessitate*<sup>59</sup> może takie pozwolenie dać także i wcześniej.

A wtedy Wilczek, jako był zawsze okrutnie porywczy, już kipiał.

– Rok i sześć niedziel! – zawołał drżącym głosem od gniewu – ani sześć godzin! Dasz ślub w ten moment, czy nie dasz?

– Nie dam – odpowiedział mu Pudełko, rozszerzając ramiona – nie dam! ani was nawet do kościoła nie wpuszczę, chyba że chcecie iść do spowiedzi.

Na te słowa Wilczek już wściekł się ze złości. Twarz jego stała się sinawoczną, jak gdyby była z żelaza, oczy piorunami zagrały, wargi mu się tak trzęsły, że aż zęby szczękały.

– Nie dasz! – zawołał głosem przerywanym, a jego słowa wylatywały sylabami jak kule pomiędzy zębów – nie dasz! Otóż ja ci pokazę, że dasz! Albo dasz – albo zaraz cię zetnę!

A to mówiąc, dobył miecz z pochwy i świsnął nim w górze.

Natenczas Pudełko padł przed nim na kolana, jak gdyby do ścięcia, a złożywszy ręce, zawołał:

– Tnij w imię złych duchów, co nad tobą panują. Panie! w ręce Twoje oddaję duszę moją!

Ale w tej samej chwili Jagienka z podniesionymi w górę rękami rzuciła się jak błyskawica pomiędzy niego i księdza i tym silnym rzutem zachwiała go na nogach; tymczasem zaś jego młodzi żołnierze, przejęci zgrozą, nabrali odwagi, chwycili go silnymi rękami za ramię i porwali na próg kościoła, sprowadzając go jak pijanego ze schodów.

Widząc ich odchodzących, Pudełko wstał z kolan, poszedł wolnym krokiem przed ołtarz, tam klęknął na pierwszym schodzie i modlił się długo, dziękując Bogu, że go cudownie ratował od śmierci, ale ofiarując Mu się zarazem, że zawsze gotów jest swoje krew przelać za Jego prawa odwieczne, i prosząc pokornie o taką śmierć świątobliwą.

Tak o tych dwóch ludzi, bardzo maluczkich, ale żelaznej woli i niewzruszonego sumienia, roztrąciła się nieokielzana samowola takiego potężnego rycerza, jak Wilczek. Bo też tak było po całej Polsce natenczas: u góry szumiały, jak wichry śród burzy, najgwałtowniejsze namiętności, wypiętrzone ambicje, rwanie się o zaszczyty i władze, gwałty o dziedzictwa, o posagi, o wiana, niejednokrotnie występki i zbrodnie – a na tych maluczkich, co w imię czy to praw Boskich, czy ludzkich sprawowali sumiennie swe obowiązki, nie wychodząc poza obręb swoich urzędów, opierała się jak na opoce moralność publiczna i na nich stała rodzina i społeczeństwo, i naród, i państwo.

Wilczek, sprowadzony prawie gwałtem ze schodów kościoła, był w samej istocie jak człowiek pijany. Jego gorąca krew, rozpalona do żaru, odebrała mu przytomność umysłu. Dał się bez oporu prowadzić, bo w tej chwili nie wiedział, co się z nim dzieje.

Jagienka, chociaż wcale krwi w sobie nie czuła, była przecież przytomniejszą od niego. Za jej radą wsiadł z nią do karocy, żołnierze pobrali panny służebne i powsadzali je na swoje kułbaki przed siebie, trzymając je wpół, aby nie spadły, i tak ta kawalkada weselna puściła się wolnym krokiem nazad na Czorsztyn.

Wilczek, trzymając Jagienkę za rękę i cisnąc ją konwulsyjnie, patrzył przez długą chwilę przed siebie w milczeniu. A oprzytomniawszy cokolwiek, rzekł do niej:

---

<sup>59</sup> *urgente necessitate* (łac.) – w razie nagłej potrzeby

– Nie wiem zaprawdę, jaki zły duch nas prześladowuje, że nam się tak wszystko nie wiedzie. Cóż teraz robić?

Jagienka odpowiedziała mu na to przytomnie:

– Ofiarujemy te przeciwieństwa Panu Bogu za grzechy nasze. Taki jest świat! Jeżeli ten świat będzie nam wstręty czynił, abyśmy żyli z sobą po ludzku, to pluniemy mu w twarz – a przecie żyć będziemy ze sobą, bo teraz żadna moc ludzka już nas nie rozłączy.

To mówiąc, mocno go ścisnęła za rękę. Wilczek oddał jej uścisk i rzekł:

– To pewna. Ale co robić? bo przecie zawsze lepiej żyć w zgodzie ze światem.

A na to Jagienka:

– Uważałam, jako Pudełko powiedział, że biskup może wyjątkowo dać pozwolenie na ślub takiej wdowie, co nie może dokumentnie dowieść śmierci swojego pierwszego męża. Trzeba by więc udać się do jakiego poczciwego biskupa.

Te słowa otrzeźwiły Wilczka, jakoż odpowiedział jej na to:

– Masz rację. Ale ja nawet takiego poczciwego biskupa długo szukać nie potrzebuję. Jest przecie królewicz Fryderyk, biskup krakowski i kardynał, służyłem trzy lata na jego dworze, kochał mnie bardzo, ma on władzę nad wszystkie biskupy, a potem nie jest to kapłan takiego ciasnego łba i takiego nieużytego serca, jak inni; on sam sobie wielu rzeczy pozwala, na które nie dały mu pozwolenia kanony... Zaraz jadę do niego.

To rzekłszy, zaczął kręcić się w powozie, ażeby jak najprędzej wyskoczyć.

Jagience przyniosły ulgę te słowa, ale na myśl, że Wilczek odjedzie, zarazem ciężka ją porwała tęsknota. Prawie już żałowała, że mu to powiedziała. Ścisnęła go znowu za rękę, łzy jej w oczach stanęły i rzekła:

– Ty jedziesz! a ja tu sama zostanę? Lenardzie! ja nie chcę. Ja nie wyżyję bez ciebie. A potem, ja się boję. Albo nie jedź, albo ja z tobą pojedę.

Wilczek zastanowił się nad tym, a potem rzekł:

– Czegóż się boisz? To tam bajki, co o Gniewoszu gadają. Nie chciałbym ja tak żyć, jak on żyje. Umarli z grobu nie wstają. A co do twojej podróży, to byłaby rzecz także niemądra. Wiesz, jakie śniegi pozawałały drogi: nimbyś ty przyjechała do Krakowa, ja już nazad powrócę.

– Ja wsiądę na koń i przy tobie pojedę – zawołała Jagienka.

Ale Wilczek się na to uśmiechnął, objął ją w swoje ramiona, pocałował ją w czoło i rzekł:

– Wszystkoś dla mnie zrobić gotowa! Ale dzisiaj na koniu ty byś umarła. Ja sam może nieraz piechotą będę się musiał przebijać przez zasy. Ale już ja się przebiję. Nie pośpieszę, jak w lecie, ale tak sędzę, że za dwa dni tam będę, dwa dni na powrót, a więc czwartego, a najdalej piątego dnia będę nazad w Czorsztynie. I da Bóg z dokumentnym rozkazem, a z tegim nosem dla ks. Pudełka!

Z tymi słowami przyjechali przed Wilczkową gospodę. Tutaj się rzewnie zegnali i jeszcze raz im się serce z bólu rozdarło. Jagienka zalała się łzami i tak mu się uwiesiła na szyi, że jej nie mógł od siebie oderwać. Ale nawet i nie chciał jej od siebie odrywać, bo i jemu łzy zakręciły się w oczach, i tak zwiądl cały, że nie czuł sił w sobie. Dopiero po długiej chwili wypuścili się z objęć: Jagienka, rozpląnięta we łzach, odjechała na zamek – a Wilczek został w gospodzie i kazał sobie konie kułbaczyć i juki gotować.

Zima onego roku nie była mroźna, lecz śnieżna. Cała Małopolska tak była zasypana śniegami, jak gdyby ją białą płachtą kto nakrył. Cały Kraków ugrzązł jak w puchu, na dachach kamienic leżały grube płachty białego śniegu, zwieszając się zębatymi rąbkami ze strzech i krużganków, cały zamek królewski wyrastał jak gdyby z góry białych obłoków, trzy wieże katedry były śnieżnymi płachtami nakryte, a w ulicach widać było tylko wąskie drożyny pomiędzy napiętrzonymi wałami śniegu. Jasno i biało było dokoła choć w nocy, niebo się wyiskrzyło gwiazdami, powietrze zdało się być jakoby przejrzystym morzem oparów, cisza ob-

jęła wszystkie dzielnice miasta – a nad miastem unosił się w tym opalowym powietrzu uroczy obraz Matki Boskiej Śnieżnej.

Kiedy Wilczek, kopiając się przez trzy dni przez śniegi, wjeżdżał do miasta, właśnie północ wybiła, a na Wawelu zadzwoniono na jutrznię. Nabożeństwo zaczynało się wtenczas o samej północy. Jak tylko dzwon zamkowy uderzył na jutrznię, budziły się za nim natychmiast wszystkie klasztory męskie i żeńskie i zaczynały nabożne śpiewy każdy w swoim kościele. Przędowała im wszystkim w drodze kamienie, w srebro, złoto i Sw. Pańskich relikwie niezmiernie wówczas bogata, a już pięć wieków licząca katedra – a nabożeństwa w jej murach, ze wszystkich stron we wspaniałe nagrobki ozdobnych, nie ustawały ani na chwilę. Po jutrzni i *Laudes*<sup>60</sup>, które przez dwie godziny trzydziestu wikariuszów śpiewało, intonowali inni kapłani *Officium*<sup>61</sup> św. krzyża, *Officium* za dusze zmarłe, a w końcu *Officium B. Virginis Mariae*. Następnie ośm mszy się odprawiało jedna po drugiej, po których psalterzyści śpiewali Psalterz aż do nieszporów, zaś po czworakich nieszporach znów psalterzyści wracali i śpiewali psalmy do samej północy. Tak przez cały dzień Boży, od jednej jutrzni do drugiej, i tak przez cały rok i po wszystkie lata Kraków brzmiał chwałą Pańską bez odetchnienia, czego nie można było widzieć w żadnym mieście całego świata.

Wilczek zajechał na zamek i tam przenocował.

Nazajutrz wstał rano i chciał iść zaraz do kardynała. Ale ani do kardynała, ani do kogo innego dostać się nie mógł, był to bowiem trzynasty dzień grudnia, dzień św. Łucji w którym właśnie z rozporządzenia królewicza Fryderyka odbywały się solenne nabożeństwa w katedrze.

Królewicz został pierwotnie mianowany kardynałem św. Sergiusza i Bacha, ale że tytuł Bacha z powodu jego zamiłowania w kielichach i nimfach kusił złośliwych ludzi do rozmaitych conceptów, papież mu zmienił tego tam Bacha na św. Łucją, za co wdzięczny królewicz obrał sobie tę świętą patronkę i jej dzień święcił nabożeństwem tak uroczystym, jakich rokrocznie niewiele bywało w katedrze.

Kto zatem żył na zamku i w mieście, wszyscy byli w kościele. Nawet i król, w pozłociste szaty przybrany, z koroną na głowie a berłem w rękę, siedział pod baldachimem na tronie po prawej stronie wielkiego ołtarza, a otoczony całym swym dworem, błyszczącym od aksamiatów, srebra, złota i drogich kamieni, dotrwał aż do końca uroczystości.

Już było dobrze z południa, kiedy król, wróciwszy na swoje pokoje i przebrawszy się w suknie codzienne, siadł do obiadu. Wilczek przyszedł także do stołu, jako miał prawo i obowiązek. Król, spostrzegłszy go między panami, sam przystąpił do niego i rzekł:

– Jakże tam? czy już mi cię witać kosmato?

Wilczek odpowiedział mu, że jeszcze się to przewleka i że właśnie dlatego do Krakowa przyjechał. A król na to:

– Przyjdźże po obiedzie do mnie na pokój, rad bym się tobą nacieszyć.

Obiad trwał ze dwie godziny, już i świece pozapalano, a król jeszcze kazał wina dolewać swoim dworzanom i bawił się z nimi. Wilczek siedział jakby na węglach. Wstano wreszcie od stołu, król poszedł na swoje pokoje, ale poszedł za nim najprzód kanclerz koronny, potem marszałek, nuż Kamieniecki za nimi, który siedział niezmiernie długo u króla. Wilczkowi już mdło się robić zaczęło od samego czekania. Przecież na koniec przyszła kolej na niego.

Król przyjął go, stojąc o stół oparty i bardzo zamyślony. Ale jakoś nie bardzo go wypytywał o to, gdzie przez ten czas bywał, tylko mu opowiadał, jako jego dworskie chorągwie są teraz w nieładzie i że trzeba je uporządkować przez zimę, bo bardzo być może, że na wiosnę znowu będziemy mieć wojnę, teraz już nie z wojewodą wołoskim, z którym za wdaniem się króla węgierskiego zawarł sojusz bezpieczny, ale z Tatarami, a może nawet z Turkami.

<sup>60</sup> *Laudes* (łac.) – II część poranna brewiarza, zawierająca psalmy, hymny i modlitwy pochwalne (I część: *Matutinum* (łac.) – jutrznia)

<sup>61</sup> *Officium* (łac.) – część modlitw brewiarzowych, obowiązujących na dany dzień

Wilczek skorzystał z tej sposobności i powiedział mu, że na taki wypadek lepiej by było, gdyby mu król rozkazał zostać u siebie, bo zamek tustański jest najsilniejszą fortecą na całej Rusi w tych stronach, o który się pogańska nawała pewnie pokusi. Król mu odpowiedział:

– Właśnieśmy o tym z Kamienieckim mówili i podobno tak będzie.

Dopiero potem spytał:

– Jakże tam? czy już jesteś po ślubie?

Więc Wilczek mu odpowiedział, koloryzując rzecz wedle potrzeby: jako z powodu pogrzebu matki Gniewosza trzeba było przeczekać czas jakiś, jako potem pani młoda potrzebowała cokolwiek czasu dla przygotowania się do wesela – a kiedy nareszcie pojechali do ślubu, owo więc co mu się stało.

Król myślał nad tym przez oka mgnienie, a potem rzekł:

– Ci nasi księża, gdzie tylko mogą, wstręty nam czynią. Cóż teraz zrobisz?

– Chcę iść do księdza kardynała, przecie jest od tego biskupem, aby prawa dyktował probošczom.

– Idźże więc do niego – rzekł na to król prędko – a powiedz mu, że ja go proszę, aby to *stante pede* załatwił, bo jest *periculum in mora*<sup>62</sup>.

Więc Wilczek bardzo się uradował, ale to *periculum in mora* trochę go przeraziło, zaczął spytał:

– Czy może są jakie wieści o Gniewoszu?

Tu król znowu się małą chwilkę namyślił i rzekł:

– Nie. Ale żeby Kmitowie tymczasem się w to nie wmieszali. Idźże więc zaraz, zastaniesz teraz mojego brata przy dobrej myśli, jak się rączy weźmiesz do niego, to ci jeszcze dzisiaj da indult i pozwolenie do ślubu.

Wilczek pobiegł więc zaraz na ulicę Kanonną do biskupiego pałacu.

Jako dawny dworzanin królewicza jest zaraz przez wszystkie sługi poznany, bardzo serdecznie witany i prowadzony na pokoje, do których pierwsze drzwi mu otworzono na ścieżaj.

Wilczek wiedział dobrze, jakie życie prowadził ten młody kardynał.

Bardzo wyniosłej postaci, o pięknej twarzy, o płci wiele jaśniejszej od króla, a pełnej wryrazu ujmującej dobroci, chociaż także niepróżnej uczucia swojej wysokiej godności, o dużych, szeroko otwartych oczach i ciemnych bogatych włosach, spadających na kark w wdzięcznych kędziorach, umiał on wszędzie, gdzie tego była potrzeba, zachować prawdziwie książęcą powagę i budzić rzetelny respekt dla siebie u wszystkich: ale kiedy siedział z przyjaciółmi przy stole biesiadnym, gdzie nie było mowy ani o sprawach kościelnych, ani nawet publicznych, bo trzymał się ściśle zasady *ne misceantur sacra profanis*<sup>63</sup>, tam był najweselszym ze wszystkich i każdego traktował jak brata. Bardzo rozumny i ukształcony, może najrozumniejszy ze wszystkich swych braci, znający jak najdokładniej prawa i interesa Kościoła, widzący bardzo daleko i trafnie we wszelkich sprawach publicznych, ilekroć urzędowo wystąpił, zawsze trafił w rdzeń rzeczy i sprawił swój urząd sumiennie, dokładnie i z niezwykłą energią; ale w życiu prywatnym miał temperament niepowściągliwy do swawoli i zbytków i swojej konduity fatalnej nie umiał na żaden sposób utrzymać w szrankach. Królewicz z rodu, udzielnny książę siewierski, kardynał Stolicy Świętej, biskup krakowski i kanclerz Akademii Krakowskiej, arcybiskup gnieźnieński, prymas i pierwszy senator królestwa, wszystkim tym tak rozlicznym obowiązkom czynił zadość sumiennie, z hojnością wielkiego pana i z dobrocią serca najzacniejszego człowieka: ale za jego czasu nikt go nie przesadził w najwyuzdańszej swawoli, nikt nie był zapaleńszym i niepowściągliwszym wielbicielem płci pięknej, nikt nie potrafił więcej wypić od niego.

---

<sup>62</sup> *periculum in mora* (łac.) – dosł. niebezpieczeństwo w zwłocę (hasło alarmujące, wzywające do szybkiego działania)

<sup>63</sup> *ne misceantur...* (łac.) – nie mieszać rzeczy świętych ze świeckimi

Dzień w dzień wieczorami gromadziły się tłumy duchów hulaszczycy u niego, noc w noc wyprawiały się orgie przy instrumentach dętych i rzniętych do brzasku, a o wschodzącej jutrzence wymykały się z jego pałacu wystrojone kobiety, nakrywając głowy kapturem, jak duchy ponocne, nie mogące znieść jasnych promieni słońca...

Wilczek już w pierwszych komnatach spotykał grupy takich biesiadników, którzy królewiczowi nie mogli dotrzymać, jednych śmiejących się do rozpuku, drugich kłócących się z sobą, a innych trzymających się muru, bijących się w piersi i żałujących za grzechy.

W komnacie jadalnej tłum jeszcze był gęsty, ale już wszyscy stali na nogach około stołu. Już świece się dopalały, drugie pogasły, napełniając komnatę swędem i dymem, już powietrze w komnacie było gęste i siwe, w którym stojące osoby szarzały tylko jakby we mgle. Już wtedy grubego i korzennego piwa Piątkowskiego wypito jedną beczkę i drugą, już wypróżniono dzbanów wina niemało, już muzykanci tylko ochryplymi się odzywali głosami, już w dalszych komnatach słychać było szelesty sukien jedwabnych, już każdy musiał stołu się trzymać, aby nie upadł – a królewicz w kardynalskiej purpurze stał jeszcze twardo na nogach, trzymał czarę napełnioną winem w podniesionej prawicy i wołał:

– *Bibamus papaliter!*<sup>64</sup> jeszcze jedna, a potem was puszcze.

Wtedy wszedł Wilczek do komnaty.

Królewicz spojrział na niego szklanymi oczyma, ale go poznał zaraz i zawołał;

– Wilczek! mój stary druhu, jakież duch ciebie przynosi? Masz, wypij tę czarę na powitanie i niech ci będzie na zdrowie!

To mówiąc podał mu swoje czarę, którą właśnie trzymał w ręku.

Inni biesiadnicy, korzystając z tej sposobności, pousuwali się i jedni usiedli, pochyliwszy głowy nad stołem, a drudzy patrzali, kędy mogli się wynieść.

Wilczek wypił czarę duszkiem – a nie chcąc czasu tracić, zaraz powiedział kardynałowi, że przychodzi od króla.

Na to królewicz stanął mocniej na nogach i oparł się ręką o wysoką poręcz swojego krzesła – a chociaż był nalany po samą szyję, widać było po jego twarzy, że usiłuje zebrać swoją przytomność.

– Cóż mi więc przynosisz od króla? – zapytał Wilczka.

Wilczek, jak mógł najprędzej, opowiedział mu swoją sprawę, prosząc o rezolucję.

– Tak ci to pilno? – zapytał kardynał.

– *Eminentissime*<sup>65</sup> – odpowiedział mu Wilczek, zmuszając się do uśmiechu – tak mi pilno, że chciałbym tam jeszcze dziś lecieć, choćby powietrzem. Jest *periculum in mora*, sam król to powiedział.

Kardynał nad tym się zastanowił. Widać było, że niełatwo zbiera swe myśli, ale je zebrał, a potem rzekł:

– Rad bym ci pomóc. Ale takich rzeczy tak *primo impetu*<sup>66</sup> rezolwować nie można, bo przecież są prawa kościelne. Maszże jakie dowody na to, że Gniewosz nie żyje?

– Mam – rzecze Wilczek, a sięgnawszy w zanadrze, podał mu dokumenty.

Ale kardynał te papiery odsunął od siebie, wszelako rzekł bardzo łaskawie:

– Więc dobrze. Więc kiedy ci tak pilno, to idźże zaraz do Konarskiego, on jeszcze nie śpi, i powiedz mu ode mnie, żeby się w tej sprawie rozpatrzył. Ale dokument ci wydam przecież dopiero jutro rano, bo ponieważ ci tam proboszcz wstręt czyni, więc dla większej powagi muszę sam go podpisać.

Kardynał był tak głęboko przejęty swymi obowiązkami, iż mimo to że prawie był nieprzytomnym, przecież zachował wszelką ostrożność.

Bardzo się to Wilczkowi nie podobało, ale pokłoniwszy się, poszedł do Konarskiego.

<sup>64</sup> *bibamus papaliter* (łac.) – pijmy po papiesku

<sup>65</sup> *Eminentissime* (łac.) – Najprzewielebniejszy

<sup>66</sup> *primo impetu* (łac.) – za pierwszym popędem

Królewicz miał swój dwór duchowny, który za niego pracował w sprawach kościelnych.

Kanclerzem krakowskiego biskupstwa był wtedy Zygmunt Targowicki, ale był to człowiek już bardzo stary, nie mógł pracować i prosił od dawna o uwolnienie od służby. Król Tomickiego na kanclerza zawołał, ale Tomicki był wtedy w Rzymie i nie przyjeżdżał. Na czele duchownego dworu stał zatem ks. Jan Konarski, ten sam, który po kardynale Fryderyku pod imieniem Jana XLI został biskupem krakowskim.

Konarski miał wtenczas lat równo pięćdziesiąt, był prawie słusznego wzrostu i silnej budowy, nosił krótko ostrzyżoną siwą czuprynę i całą twarz ogoloną, był poważny bez surowości i zawsze jednostajnego humoru, niezmiernie był pracowity, ale niewiele się ruszał, bo nie domagał na nogi, dlatego też wszystkich siedząc przyjmował.

Pochodził ze starożytnego wielkopolskiego rodu, herbu Abdank, miał senatorów w swym rodzie i miał sam trochę majątku, ale należał do tych kapłanów, którzy zawód swój opierają wyłącznie na pracy i rzeczywistej zasłudze. Wolny od fanatyzmu, był w rzeczach wiary nieubłagany surowym dla siebie i drugich i był w owym czasie jednym z najpotężniejszych filarów Kościoła w Polsce. On pierwszy postawił dla wszystkich tę gruntowną naukę: „że takie bogactwo najlepsze, co go złodziej nie wyniesie, a woda nie zabierze, ani ogień nie spali”. Będąc podówczas kanonikiem krakowskim i proboszczem u św. Michała, był niejako duchownym majordomus u kardynała, zawiadywał wszystkimi jego dobrami, zarządzał wszystkimi kościelnymi sprawami jego obydwóch episkopatów i był stróżem jego sumienia. Od swawoli powstrzymać go nie mógł, bo żadna siła ludzka nie byłaby w to potrafiła, ale patrzył, aby królewicz nie zaniedbywał przeto swoich obowiązków duchownych, aby ludzie uczeni miewali poszanowanie u niego, ażeby młodzież szlachecka, co się na jego dworze chowała, nie psowała się jego zbytkami: jakoż sam kardynał tak go považał, że kiedy go spostrzegł wchodzącego na pokoje podczas biesiady, to roztruchany się pod stół chował i wszyscy udawali, jakoby nic złego nie było.

Konarski Wilczka znał z dziecka, a ceniąc wedle wartości jego rycerskie zalety i rygor wojskowy, dosyć go lubił, zacem uprzejmie go przyjął, naprzeciw siebie za stołem posadził, a rozpytawszy o wszystko, wziął się do przeczytania dokumentów i obejrzenia na dwie połowy rozłamanej obrączki.

Lecz przeczytawszy, oddał mu te pergaminy na powrót i rzekł głosem jasnym i pewnym:

Panie bracie, nic z tego nie będzie. Pani Gniewoszowej pozwolenia do ślubu na teraz nie damy. Te pergaminy nic nie dowodzą. Ks. Pudelko miał racją, jak zawsze.

Na ten piorunujący wyrok Wilczek zbladł, jak gdyby wszystka krew mu z twarzy uciekła, i na chwilę zapał mu się głos w gardle. Zaczerpnąwszy powietrza, zaczął mu dowodzić wszystkimi możliwymi argumentami, że nie masz najmniejszego wątplenia, jako Gniewosz nie żyje. Ale Konarski był niewzruszony i stał tak przeciw niemu, jako bazylika św. Piotra stoi niewzruszenie na swych fundamentach i najwścieklejsza burza nigdy nią nie zachwieje.

– I ja tak rozumiem – powiadał mu ten niezachwiany sędzia w rzeczach religii – i ja tak rozumiem, że Gniewosz nie żyje. Król, który go tak kochał, że dałby wszystkich swoich rotmistrzów za niego, pewnie nie zaniedbał niczego, aby go odpytać, jeśliby był w niewoli – a i on go już także opłakał. Ale to są dowody dla ludzi świeckich. Kościół zaś, znając kruchość ludzkiego rozumu, a wiedząc, że z woli Bożej bardzo często dzieją się rzeczy, których najrozumniejsi ludzie nie przewidzieli, nie poprzestaje na takich dowodach. Kościół nie może ścielić drogi ciężkiemu grzechowi bigamii i obładować się odpowiedzialnością za to, co by właśnie się stało w tym razie, gdyby dla ciebie prawo przełamał i gdyby potem Gniewosz powrócił.

Ale Wilczek już tych rozumnych wywodów wcale nie słuchał. Jemu już wtedy znowu jego niespokojna krew puściła się w obieg po żyłach i zółć mu się zaczęła przelewać.

– Więc nie? – zapytał, patrząc gniewnie na Konarskiego.



– Nie – odpowiedział mu stanowczo Konarski – poczekacie rok i sześć niedziel, a potem, jeżeli przez ten czas żadna wieść o Gniewoszu nie przyjdzie, potrafimy to od księcia kardynała otrzymać, że na te śluby zezwoli.

– Od kardynała! – zawołał Wilczek szyderczo, nie umiejąc już powściągnąć swego oburzenia i zrywając się z krzesła – od tego kardynała, co się tak spił, że ledwie mnie poznał? od tego kardynała, co swój pałac zamienił na dom publiczny, na dom obżarstwa, opilstwa i wszelkiej rozpusty? To są ojcowie waszego Kościoła? To są wasze powagi, które mają rozrządzać losami swych wiernych? Niech żeby raczej piorun trząsł w wasze kardynalskie pałace...

Konarski słuchał zrazu tego niepowściągliwego wybuchu tylko z głębokim oburzeniem, a z jowiszowym wyrazem na twarzy. Ale w tej chwili zerwał się raźnie i stojąc odpowiedział mu głosem wielkim od gniewu w ten sens:

– Waśc jesteś głupi jak stołowa noga, jeżeli rozumiesz, że Kościół Boży ma takie kruche podstawy, jak ułomna natura ludzka z ciała i krwi! Ty błazen jesteś, jeżeli myślisz, że on się opiera na takich biskupach, co ze względu na związki rodzinne otrzymali swe pastorały! Albo na takich książętach, co w swojej królewskiej kolebce prymasostwa znaleźli! Albo i na takich papieżach, którym, na przestrożę dla innych, nie była dana od Boga moc poskromienia gorącej krwi swojej! Właśnie na tych wyjątkowych wypadkach, że bywali i zawsze będą tacy książęta Kościoła, co, uwiedzeni zbytkiem doczesnych dostatków, puścili wodze swoim ludzkim namiętnościami, a mimo to nie przynieśli uszczerbku naszej świętej wierze, owszem, nawet nie przeszkodzili jej ustawicznemu wzrostowi – właśnie w tym każdy rozumny człowiek, choćby nawet poganin, powinien widzieć niezbity dowód, na jak niewzruszonej opoce Kościół nasz stoi! A opoką tą nie jest ciało i krew ludzka, u każdego człowieka ułomnościami podległe, ani są ludzkie rozумы, zawsze skłonne do błędów, a bardzo chwiejne w swoich postanowieniach: tylko jest nią słowo Boże, które jest wieczne! A fundamentem ludzkim, na którym opiera się Kościół i żyje bez przerwy, i wciąż się dalej rozwija, nie są ci książęta Kościoła albo też obłąkani kapłani, co jak pasożyty się uczepili Chrystusowego drzewa i ciągną zeń soki dla siebie: ale te tysiące i drugie tysiące ubogich sług Bożych, co w wytartych chodzą sutannach albo też gruby habit przywdziali, co się ciała wyrzekli, a Bogu poślubili swe dusze, co z zaparciem się siebie, a przepelnieni miłością ludzi, w pocie swojego czoła, o głodzie i chłodzie, w dzień i w nocy, bez przestanku i bez odetchnienia pracują nad tym, ażeby ludzie wzajemną dla siebie miłością a uczynkami swymi mnożyli chwałę Bożą na ziemi i sobie ścielili drogę do wiecznego zbawienia! Opoki nie wzruszysz, bo ona jest słowem – a słowa ludzkimi rękami nie dotkniesz! Tych zaś tysięcy i drugich tysięcy także nie pokruszysz, bo jest ich na ludzkie ręce za wiele. Jeżeli zaś którego zabijesz, to z krwi jednego wyrastają nowe tysiące, bo *sanguis martyrum est semen Christianorum*<sup>67</sup> Musiałeś ty umysł twój dziwnie obłąkać – zakończył łagodnie Konarski – albo też diabła masz w sobie, jeżeliś się nie udławił tymi bluźnierstwami, które dopiero co wyleciały z twej krtani. Idź i pomódl się Bogu, ażeby twój łeb zagorzały oświecił!

Mówiąc te słowa Konarski, wyglądał wspaniale i imponująco, jak każdy człowiek, co w dopełnieniu swych obowiązków mówi z głębi swoich przekonań, i jak właśnie wtenczas mówili ci, co się czuli reprezentantami i obrońcami katolickiego Kościoła.

Wszelako wymowne te słowa obłyły się o Wilczka jak o skałę. Słuchał ich stojąc, kręcąc się w miejscu i posuwając się z wolna ku drzwiom komnaty. Zaś kiedy Konarski skończył, zawołał niepowściągliwie ku niemu:

– Co mi tam wasze wywody! Stara to pieśń – a przecie jej nuta fałszywa. Kiedy czas na was przyjdzie, to was nie mieczem wojować będą, lecz także słowem, jakoście na tych widzieli, coście ich popalili na stosach. Ale co mnie tam na tym! Nie o wasz Kościół mi idzie,

---

<sup>67</sup> *sanguis...* (łac.) – krew męczenników jest posiewem chrystianizmu

tylko o mnie samego. Ja chcę żyć uczciwie – a wy się murem kładziecie przede mną. Jeżeli mi pozwolenia do ślubu nie dacie, to wiedzciez o tym, że ja przeto jej nie opuszczę, a będę z nią żył w konkubinacie.

Konarski mu na to odpowiedział spokojnie:

– Ja radzę cierpliwość i wstrzeźliwość. Ale rób, co chcesz. Konkubinat jest wielkim zgorzeniem: robimy też, co możemy, aby mu ułatwić poddanie się pod prawa Kościoła. Ale bigamii za żadną cenę dopuścić nie możemy, niechaj się dzieje, co chce! bo małżeństwo jest sakramentem, na którym stoi rodzina, a na rodzinie opiera się chrześcijańska społeczność. Idź i pomódl się Bogu...

Jednak Wilczek dalej już słuchać nie chciał. Zawołał jeszcze:

– Jam chciał jak najlepiej. Wyście nie chcieli, wy za to odpowiecie przed Bogiem.

– Odpowiemy! – zawołał stanowczym głosem Konarski.

Tymczasem Wilczek rzucił się do drzwi i zniknął z komnaty.

W drodze do zamku okrutnie mu ciężko było na sercu. Chciał jak najlepiej, ale czekać nie chciał. Według swego uczucia nawet czekać nie mógł, bo przecie zupełnej pewności nie było, że Gniewosz nie wróci – a tak jego najlepsze chęci musiały się rozbić o przepisy Kościoła. Rozmyślał nad tym, czy jeszcze jakiego ratunku nie znajdzie, ale go nie znalazł. Konarski odmówił, więc i kardynał odmówi, z królem już mówił, a król go odesłał do kardynała. Na nich dla niego kończył się świat.

Wilczek przespał się na zamku – nazajutrz przed świtem puścił się nazad na Czorsztyn.

Tego dnia nowa się puściła śnieżnica, Wilczek musiał się przekopywać przez zasy od wsi do wsi, idąc więcej piechotą, niż jadąc na koniu, i dopiero szóstego dnia rano dokopał się do zamku Gniewosza.

Jagienka spędziła te kilkanaście dni w śmiertelnej tęsknocie i w śmiertelnej obawie.

Dzień jeszcze jakkolwiek jej mijał na wyglądaniu przez okno, na rozmowie ze swymi pannami i na rozmaitych rojeniach. Ale kiedy noc przyszła, niewysłowione zaczynały się męki. Do północy zasnąć ani sposobu, potem sen jej kleił powieki, ale wzburzony umysł snu nie dopuszczał; kiedy zaś nad ranem usnęła, przywidywały jej się takie straszliwe mary, że się co chwila ze snu zrywała...

Raz zdało jej się, że Gniewoszowa stoi nad jej łóżkiem, z trupią twarzą a otwartymi oczyma, białą kościstą ręką jej grozi i ciężkie jej robi wyrzuty, że zamek ten, który po wszystkie wieki był niepokalanym przybytkiem zacności i cnoty, oddała na bożnicę bezcześci i obyczajów pogańskich. Jagienka broniła się we śnie przed tym straszliwym upiorem, wznosiła ręce przed siebie, uderzała całym swym ciałem o łóżko, chciała uciekać – a nie mogła się zbudzić...

Innym razem zdawało jej się, że jest gdzieś na nieskończonej pustyni, zaścielonej gruzem i popiołami, a zarośniętej głógami i cierniem. Jest sama jedna w koszuli, bosa i z rozpuszczonymi włosami. Z dala jakiś rycerz się zjawia w brązowej zbroi na karym koniu – to Gniewosz. Uderza na nią i goni, ona przed nim ucieka, kaleczy sobie nogi o ostre kamienie, koszula się na niej rozdziera o ciernie, ona wciąż pędzi, już jest prawie naga, już całe jej ciało jest zakrwawione, że jej oddechu nie staje; czuje nareszcie, że śni, ale oczu otworzyć nie może...

W innych chwilach miała sen spokojniejszy. Lecz wtedy nieznośny ból ścisnął jej serce i krajał je jak gdyby ostrym żelazem. Zdawało jej się, że Wilczek już nie powróci. I widziała go wtedy, jak stał w własnej osobie na zamku w Krakowie, ręce założył przed sobą, patrzył na nią szyderczymi oczyma i śmiał się. Brało ją takie oburzenie natenczas, że chciała go zabić, ale nie mogła. Po czym ją lęk zdejmował i uciekała od niego – i ukryła się w jakiejś jaskini, zarośniętej gęstymi krzewami, i w tej jaskini wydała na świat dzieciątko, i musiała się kryć przed ludźmi, i była szyderstwem i pośmiewiskiem całego świata...

Były to wszystko wytwory rozgrzanej imaginacji, nieokiełzanej oświeconym rozumem, a podniecanej przesadami owego wieku. Ale być może, że niezwykłość i nieregularność jej położenia jeszcze daleko więcej się przyczyniała do takich nieposkromionych rzutów jej wyobraźni. Albowiem rzeczywistość także w sposób nieposkromiony rzucała jej losem. Poszedłszy za męża, została panną, owdowiawszy, została kobietą, a może jeszcze czymś więcej, a nie była zamężną: dziś już na pozór wszystko się ułożyło po temu, ażeby była żoną i matką jak inne – a tu całkiem niespodziewane stanęły temu na drodze przeszkody. Nadto zaś wszystko jeszcze i Wilczek pojechał i tak długo nie wraca...

W same niedziele, na dwa dni przed wilią Bożego Narodzenia, wrócił nareszcie:

Jagienka mu się rzuciła na szyję i długo na jego piersiach płakała. Smutne miała przecucia, ale radość je zwyciężyła: przynajmniej jest przy niej, jeżeli ma zginąć, to razem z nim zginie.

Jednak kiedy po tym długim uścisku w twarz mu spojrzała, zbladła jak ściana, bo wtedy już wyraźnie z niej wyczytała, że Wilczek z niczym powrócił.

Był on także blady, zwiądl jak powismo<sup>68</sup> i widać było po nim, że sam nie wie, od czego ma zacząć.

Ale wtedy Jagienka się ożywiła. Na jej twarzy zajaśniała determinacja, stanowczość i zadziwiająca energia – a mówiła nie jak nieszczęśliwa, uwiedziona dziewczyna, ale jak matka,

– Odmówili ci? – spytała go głosem jasnym i czystym.

– Odmówili na teraz.

– Boją się, że Gniewosz powróci?

– Nie tyle tego się boją, bo wszyscy wiedzą, że zginął, ale mają tam jakieś kanony.

– Więc dobrze – powiedziała Jagienka – oni mają kanony, a my obowiązki. Słysz, Lenard! a słuchaj dobrze, abyś zrozumiał. Ja ani jednej doby nie zostanę w tym położeniu. Albo jadę zaraz z tobą na Tustań, choćbym miała brnąć pieszo przez śniegi, albo zaraz ślub ze sobą weźmiemy. A czy jedno, czy drugie, dziś, zaraz.

Na to Wilczek, doświadczwszy już tyle zawodów, spojrział na nią bolesnymi oczyma i rzekł:

– Zażądaj życia mego ode mnie i bierz je. Ale nie żądaj cudu albo też zbrodni. Z tych śniegów tylko ptak dzisiaj może wylecieć – a ja ci księdza nie stworzę, ani mu głowy nie utnę. Czekajmy. Jak tylko drogi się trochę przetrą, ja najprzód przed tobą wyjadę i kędyś znajdę jakiegoś księdza, co nam ślub da jak trzeba. Wyjeżdżać razem, cóż by świat na to powiedział? A księdza także nie wydobyć spod ziemi, kiedy go nie ma.

A na to mu powiedziała Jagienka:

– Może jest, ano go nie widzimy. Był u mnie wczoraj Kostruban, człek zmyślny, a rozumniejszy ode mnie i od ciebie, i tak mi powiedział: „Pan starosta niepotrzebnie się porwał do miecza na tutejszego proboszcza, bo ludzie za to sarkają na niego. Niepotrzebnie też do Krakowa pojechał, bo to tam wszystko kurki czubate, prędeż by kazali jejmości do sądneho dnia czekać na nieboszczyka pana Gniewosza, niżeliby mieli na ten ślub zezwolić. A tu jest przecie ksiądz Biały, ten pewnie tej posługi nie odmówi. Jeśliby zaś chciał się namyślać, to niech pan starosta weźmie w jedną rękę miecz, a w drugą worek czerwonych złotych i każe mu wybrać, jak znam księdza Ware, tak myślę, że worek wybierze”.

Na tę wiadomość Wilczek uderzył się w czoło i zawołał:

– Człek zawsze głupi! Ani mi to na myśl nie przyszło...

Jagience się twarz rozpromieniła z radości, tymczasem Wilczek się trochę namyślił i rzekł:

– Ba, dobrze. Ale ks. Pudełko kościół zatrzaśnie przed nami.

A na to Jagienka:

---

<sup>68</sup> powismo (ukr.) – pęk przędzy wyczesany i spleciony

Na Podzamczu pod lasem jest słuszna kaplica, odprawiają się w niej msze po kilka razy do roku, jest tam ołtarz, są ornaty, są świece, jest wszystko.

Więc Wilczek już prawie nie mógł się pościć z radości, objął Jagienkę w swoje ramiona, rozplakali się oboje uśmiechnionymi twarzami, po czym Wilczek rzekł: – Ubierajże się zaraz do ślubu! – i wybiegł do swojej gospody.

W gospodzie żołnierze siedzieli już przy rannym obiedzie, a Wara między nimi rej wodził. Wilczek kazał go zaraz zawołać do swojej izby.

– Słysz, Wara! ty przecie jesteś księdzem jak trzeba!

– A jakżeż, panie starosto! – zawołał Wara – przecież Kmitowie mnie znają od wieków i wiedzą, ile mszy świętych odprawiałem za nich u grobu Chrystusa Pana, nimem dla Kmity rozgrzeszenie otrzymał. Kmita mi nawet dawał probostwo na Lesku, jeno że to chuda fara...

– Więc dobrze. Gotujże się w lot, dasz mi ślub z panią Jagienką.

Na ten cale niespodziewany rozkaz Wara jakoś jakby zdechł pies. Otworzył gębę, patrzył na Wilczka, zaczął się jękać, ale nic nie wyjąkał.

– Więc cóż? – zagrzmiął Wilczek ku niemu – coś ci się to nie podoba, chyba że księdzem nie jesteś, tylko jakimś oszustem a drabem, co księdza udaje.

– Chowajże Boże! – zawołał Wara, obawiając się, ażeby go za jednym rzutem nie wyrzucano z jego przybranej roli – chowajże Boże. Tylko że ludzie rzadko mnie proszą do dania ślubu, bo to zawsze proboszcz miejscowy...

– W Czorsztynie nie masz miejscowego proboszcza – rzekł Wilczek – jeno w Krościenku, a ten się na mnie pogniewał, jak wiesz. Więc ty mi dasz ślub.

Wara się jeszcze namyślał, chciał coś powiedzieć, ale nie miał odwagi. Wilczek mu przerażał, mówiąc:

– Nie rozmyślaj o rzeczach, które ciebie nie tyczą. *Urgente necessitate* każdemu chrzcic wolno, toż i innych sakramentów udzielać. Będzie worek złotych węgierskich i probostwo w dobrach pani Jagienki na wybór. Śpiesz się więc, idź do kaplicy i czekaj nas, my tam zaraz przyjdziemy.

Wnrn, choć jeszcze zamyślony, ale już z uśmiechem na twarzy, wyszedł do sieni, aby iść do kaplicy.

I to jeszcze nie było łatwo, bo i do kaplicy nie można było się dostać przez śniegi. Wilczek posłał swoich żołnierzy, ażeby drogę rozmiękli. Żołnierze przywiązani do niego a radzi, że się im już kończy nareszcie to czorsztyńskie więzienie, przekopali drogę w godzinę.

Jagienka przysła pieszko ze swymi pannami.

Orszak weselny był jeszcze dość okazały. Że to była niedziela, więc i z zamku, i z podzamcza nagromadziło się rozmaitego ludu niemało – a tak i świadków nie brakło.

Wara w komży i stule oczekiwał młodą parę u ołtarza, dziadek pilnujący kapliczki mu służył. Zaczem dał im ślub po wszelkiej formie, zamienił perścionki i pobłogosławił.

Nie było nikogo, coby się na tym znał, więc nie można było wiedzieć, czy przy tym obrzędzie się w czym nie pomylił: natomiast wszakże, kiedy po dopełnieniu obrzędu ze stopni ołtarza jął prawić kazanie, jednogłośnie uznano, że takich predykantów nie co dzień się słyszy nawet i w Krakowie, które to miasto w całym chrześcijaństwie jest sławne ze swych kaznodziei.

W tym kazaniu wprawdzie mniej mówił o obowiązkach małżeńskich, a natomiast zajechał do Rzymu i do Ziemi Świętej, na czas nawet wstąpił do nieba i opowiadał, jak wyglądają święci Pańscy, z którymi z woli Bożej dobrą ma komitywę: ale to właśnie tak wzruszające sprawiło na słuchaczach wrażenie, że wszyscy płakali.

Stary szafarz zamkowy, człowiek nieufny, a znany powszechnie ze swego gderania, zauważył wprawdzie, że jakiś to dziwny ksiądz musi być z niego, kiedy ślub daje w sam adwent, co jest przeciwko wierze, a nawet i niepotrzebne, bo przecie niedaleko Trzech Króli. Ale inni powiedzieli mu na to, że taki ksiądz, co zna samego papieża, a nawet i świętych wi-

duże, wie przecie dobrze, co robi, ludziom zaś świeckim nie wolno jest dyskutować o wierze. A tak i ta gderliwa opozycja umilkła – i wszystko odbyło się bardzo pięknie ku powszechnemu zadowoleniu.

Jagienka i Wilczek odetchnęli przecież swobodnie.

Już teraz nie pozostało im nic, jak gotować się do wyjazdu. Ale o tym jeszcze nie można było ani pomyśleć dla śniegów. Po wszystkich wąwozach i przesmykach pomiędzy górami takie ogromne zasy leżały, że ani pieszo nie można ich było przebrodzić – a tymczasem co drugi lub trzeci dzień nowe zrywały się burze ze śniegiem i leżące już zasy jeszcze wyżej spiętrzały. Żadna siła ludzka nie była w stanie walczyć zwycięsko z tą dziką i Nielitościwą naturą, przeciwko której człowiek jako jedyną broń ma tylko cierpliwość.

Małżonkowie zatem musieli czekać. A to czekanie, jak każda niewola, nie tylko że im się niesłychanie przykrzyło, ale jeszcze i dlatego stało się dla nich nieznośnym, że Wilczek nie mógł widywać swej żony wieczorem.

Jużci wziął ślub po wszelkiej formie, miał wszelkie prawa, lecz mimo to liczył się z Wolskim. Wolski powiedział, że go o zmroku nie wpuści do zamku, nieużyty ten człowiek nie był nawet na ślubie, kto wie, co on tam rozumie o księdzu Warze, gotów jeszcze jaki gwałt zrobić i wywołać procesy z duchownymi sądami: kto przeszedł już tyle przeciwności i nareszcie je zwalczył, ten nie mógł się narażać na nowe zgryzoty. Wilczek niejednokrotnie się niecierpliwił, mówiąc: że Czorsztyń to stacja królewska, a on jest rotmistrzem królewskim, jak zechce, to w zamku zamieszka, a biada temu namiestnikowi, co by śmiał mu się sprzeciwić. Ale Jagienka zawsze go ugłaskała, odpowiadając: że tej małej ofiary wymaga po jego miłości, że śniegi przecie na wieki leżeć nie będą, a jak tylko drogi się przetrą, zaraz wyjadą.

Miłość przeszkód nie lubi: im więcej zapór spotyka, tym więcej się wzmaga i choć pozornie przycicha, tym gorętszymi w głębi serca się żarzy ogniami. Miłość Jagienki i Wilczka nie potrzebowała takiej podniety: ale to ograniczenie, ta niewola widywania się tylko w dzień biały, a spędzanie wieczorów samotnie i w odosobnieniu, jeszcze ją bardziej rozpłomieniła i otoczyła tym niewysłowionym urokiem, jaki tworzy tęsknota. Szczęście ich nie było jeszcze zupełnym: pragnęli gorąco, aby się mogli jak najprędzej z tej niewoli wydobyć.

Cały miesiąc z okładem trwała ta zima, pamiętna po wszystkie czasy swoimi nieprzebytymi śniegami. Dopiero na Pannę Gromniczną mróz ścisnął ziemię, niedźwiedź swoją budę rozwalił, nastaly dnie pogodne i ciepłe – a wtedy i drogi przebito.

Toż w parę dni potem nowożeńcy ruszyli w podróż, bardzo ludnym i okazałym taborem. Najprzód jechało pięciu żołnierzy Wilczkowych, ażeby drogę torować, patrzeć, azali nie masz jakiego niebezpieczeństwa i przygotowywać noclegi. Za nimi jechała Jagienka w sześciokonnej karocy, położonej na saniach, za tą karocą troje czworokonnych ogromnych sani z jej fraucymerem i bagażami. Zaś za tą kawalkatą na samym końcu jechał sam Wilczek konno na czele reszty swoich żołnierzy, nad którymi starszym był Włostek.

Wolski pożegnał swoją starościnę z wielkim respektem na czele całej zamkowej załogi, dziękując jej za łaski, jakie na niego zlewała, życząc jej szczęścia i powodzenia i zgoła, jak gdyby pomiędzy nimi nic nigdy nie było.

Wara, wzięwszy worek złotych węgierskich, o probostwo wcale się nie upominał na teraz, zastrzegając je sobie wszakże na później, tymczasem zaś wziął sobie tylko dobrego konia ze stajni zamkowej i razem z nowożeńcami wyjechał; ale gdzieś został po drodze: żołnierze opowiadali sobie, że go w Starym Sączu zaproszono na chrzciny.

Długi a ciężki ten konwój włókł się bardzo pomału, po dwie mile na dzień, po cztery najwyżej. Jagienka, dla dróg sposobniejszych, musiała często kołować. Uważano także za rzecz rozsądną ominąć zamek sobieński. Zaczem musiano Góry Chwaniowskie objeżdżać na Przemysł i Sambor i stamtąd dopiero spuszczać się ku Drohobyczy.

Wilczek czasem brał krótszą drogę, czasem zaś odskakiwał, nawiedzając przyjaciół, opowiadając wszędzie, jako się z wdową po Gniewoszu ożenił i wiezie ją na Tustań. Gdzieniegdzie z nią nawet na zamki zajeżdżał i nocował, jako w Przemyślu u Koniecpolskich i w Samborze u Melsztyńskich, tamtejszych starostów. Wszyscy jego przyjaciele witali go kosmato i szczerze mu szczęścia życzyli. Ci, którzy znali Jagienkę dawniej na zamku sobieńskim, znajdowali, że wypiękniała nad podziw, stała się nawet wspaniała, zaczęli winażować mu, mówiąc: że chociaż kawalerowi jego rodu i tak wysokiego znaczenia zacna dziewczka się należała, przecież musiał się w czepku urodzić, dostawszy damę tak gładką, Kmitównę z domu, a jeszcze do tego dziedziczkę trzech kluczków. Wilczek rósł jak na drożdżach i nie posiadał się w szczęściu.

Wyprawiwszy Jagienkę z Sambora raniutko, ażeby mogła wygodnie do Drohobyczy na noc zajeżdżać, sam jeszcze zabawił się z Melsztyńskimi i dopiero o południu wyjechał. Jadąc stępa, był wesół i miał serce rozradowane jak nigdy: albowiem rozważywszy wszystkie okoliczności, co dla tej swojej miłości przecierpiał, jak wszystko było przeciwko niemu i z jak zupełnym zwycięstwem wydobyl się z tych przeciwności, przyszedł do przekonania, że teraz już skończyły się wszystkie jego zgrzyoty. Jagienki mu teraz już żadna moc ludzka nie wydrze, tustańskiego zamku spod niego nikt nie dobedzie – a gdyby nawet i Gniewosz, przeciwko wszelkiemu podobieństwu, kiedyś po latach się zjawił, to nie masz najmniejszego wątpienia, że ani mu na myśl nie przyjdzie odbierać mu żonę, owszem, rad będzie, że się jej pozbył. Tak więc jego życia widokręg, według jego uczucia i przekonania, jak najzupełniej się wypogodził, słońce na nim w pełnym blasku świeciło i nie powinno było się zaćmić najmniejszą chmurką aż do zachodu.

Ale widokręg rzeczywistości nie zawsze jest w zgodzie z widokręgiem naszego umysłu.

Kiedy Wilczek wśród takiej jasnej pogody w swej duszy dojeżdżał do Drohobyczy, słońce już zaszło, niebo było okryte ciężkimi chmurami barwy żelaznej, duszno było w powietrzu, ziemia okryta topniejącymi śniegami błyszczała tym światłem szarawobiałym, w którym wszystkie przedmioty wyglądają jak widma i które też duszę smutno nastraja, bo ustawicznie ciemnieje, ustępując miejsca nocy czarnej i głuchej, w której tylko duchom żyć, ale nie ludziom.

Wilczek właśnie ścisnął kolanami swojego konia, ażeby kroku przyspieszył, kiedy wtem usłyszał za sobą głos Kostrubana, który coś pokazywał jego żołnierzom. Wilczek zatrzymał konia – a wtedy po prawej stronie drogi dziwny widok go w oczy uderzył.

Pod częstokołem, który w lesie jakąś pasiekę ogradał, a teraz był w znacznej części porozrywany, na białym śniegu leżała wyciągnięta na plecach kobieta, wyglądająca jakby umarła. Twarz miała żółtawobiałą jak z wosku, usta zsiniałe, oczy zamknięte, a jasne jej włosy leżały porozwiewane około jej głowy po śniegu. Jakkolwiek ciało jej było wypłowiałymi łachmanami nakryte, widać było po jej nadzwyczaj pięknej twarzy i delikatnej cerze, że dawniej nie była żebraczką i musiała być córką zamożniejszych rodziców. Leżąc nieruchomie, lewą rękę trzymała przy swoim ciele, a prawą wyciągniętą i odrzuconą daleko: zdawało się, jak gdyby przed śmiercią chciała się tą ręką częstokołu uchwycić, ale w tej chwili siły ją opuściły i padła. Pomiedzy tym wyciągniętym ramieniem a ciałem stało na nogach dziecko, mające może półtora roku albo cokolwiek więcej, o ile się zdawało, chłopaczek, dobrze żywiony, starannie wełnianymi łachmanami okryty, w dostatnich skórzanych trzewikach, o bardzo pięknej okrągłej twarzyczce, z niebieskimi oczyma i bogatych ciemnoblon włosach, porzrucanych w nieładzie. Na częstokole siedziało kilkudziesięciu kruków i jeszcze inne do nich się zlatywały, kracząc na żer. Trzy albo cztery z tych kruków już spadły na ziemię blisko ciała kobiety i skakały na miejscu, kracząc ku sobie i wyciągając dzioby, jakby się naradzały pomiędzy sobą, który z nich pierwszy ma rozpocząć biesiadę. Na starym zmurzałym drzewie, o kilkanaście kroków odległym, żbik siedział i patrzył swoimi zielonymi oczyma, kiedy by mógł zeskoczyć na ziemię, żarłocznych ptaków rozpędzić i sam pożreć ofiarę.

Dziecko patrzyło na te kruki szeroko otwartymi oczyma, pełnymi łez, które jednak nie chciały mu z oczu wypłynąć, bo zapewne ból nieświadomy i strach zatrzymywał mu je w powiekach... Ta młoda i piękna kobieta, która ze znużenia i głodu umarła, i to dziecko, którego niewinna duszyczka przeczuwała zapewne, że będzie świadkiem, jako żarłoczni krucy będą jego matkę pożerać, przedstawiały widok wzruszający serce do głębi i dziwnie przerażający.

Kiedy Wilczek ten obraz obaczył, zrazu tylko się mocno zadziwił; ale kiedy się wpatrzył w twarz umarłej kobiety, wszystka krew się w nim ścięła i stał tak nieruchomy przez chwilę, jak gdyby go jakaś wyższa potęga wraz z koniem zamieniła w posąg kamienny.

Tymczasem kiedy Kostruban się śmiał swoimi rybimi oczyma i pokazywał żołnierzom to widowisko, Włostek pierwszy zawołał takim głosem, że wszystkim poszedł jak gdyby zgrzyt po wnętrznościach:

– Dla Boga! to Ofka!

Na te straszliwe słowa Wilczek się zbudził, zatrząsł się, jak gdyby go sam szatan za duszę zatargał, i zawołał ku swoim żołnierzom:

– Hej! zbierzcie tę kobietę i zawieźcie wraz z dzieckiem do wsi – a nie żałujcie pieniędzy na pogrzeb i na opatrzenie dla dziecka.

I dawszy koniowi ostrogę, popędził cwałem ku Drohobyczy.

Waleczny Wilczek nigdy nie uciekał przed wrogiem. Zawsze każdemu nieprzyjacielowi stawiał czoło z nieprzepartym zuchwalstwem i raczej by się dał w kawałki posiekać, niżeliby mu na jeden krok gruntu ustąpił. Ale teraz parł ostrogami swojego konia, co mu tchu stało – a chociaż pędził jak opętany, że śnieg się rozbryzgiwał pod kopytami na wszystkie strony, zimny dreszcz mu przebiegał przez cały krzyż pacierzowy: zdało mu się, że Ofka pędzi za nim powietrzem i dziecko mu wtyka pomiędzy ramiona, a stado kruków leci nad nimi, kracząc mu w uszy najohydniejsze bluźnierstwa.

Włostek był pierwszy, co Ofkę poznał i pierwszy zeskoczył z konia, aby ją ratować. Przypadłszy do niej, porwał ją w swoje żyłaste ramiona, przykląkł na ziemi, oparł na swoich kolanach i zaczął ją trzeźwić. Ofka jeszcze była ciepła.

Włostkowi serce uderzyło gwałtownie, zawołał na żołnierzy, aby mu podali gorzałki. Porwawszy prędko manierkę, nalał jej w zaciśnięte usta gorzałki i zaczął jej skronie nacierać. Ofka odetchnęła i oczy otworzyła pomału. Na widok jej oczu otwartych pocziwy Włostek głośnym płaczem wybuchnął. Po czym zaczął jej twarz okrywać pocałunkami, oblewając gorącymi łzami jej blade policzki.

Wszyscy żołnierze mieli łzy w oczach i rażnie mu pomagali. Okryli Ofkę ciepłymi burkami, nacierali jej ręce i dali jej wina, aby się pokrzepiła. Napiwszy się wina i ogrzawszy się, spowita po samą szyję burkami i wojłokami, zaczęła oddychać i patrzeć szeroko otwartymi oczyma, co się z nią dzieje.

Wkrótce potem, wpatrzywszy się pilnie w twarz Włostka, powiedziała te słowa:

– Niech ci Bóg nagrodzi... a jemu niech Bóg nie pamięta.

A potem spytała:

– I on był tutaj?

– Był! – zawołał Włostek przez łzy – był, ten zbój, ukradł żonę takiemu drugiemu zbójowi, jak sam, i wiezie ją sobie na Tustań.

Ofka myślała przez chwilę, a potem rzekła jakby do siebie:

– Nie o mnie mi chodziło, tylko o dziecko.

Po czym zaraz się wyswobodziła z powicia, wzięła dziecko do siebie i okryła go wojłokami. Włostek, trzymając ją wciąż na kolanach, rzekł do niej:

– Nie bójże się już teraz. Już ja ci nie dam zginąć, choćbym miał służbę porzucić i niechby ojciec mnie przeklął.

Potem znowu dano jej wina i kawałek kołacza, a kiedy już całkiem przyszła do siebie, Włostek ją wypytywał, jakim sposobem się tutaj znalazła na drodze.

Bardzo to zwykła była historia, chociaż bardzo bolesna. Ofka kryła się przez półtora roku u starej Maruchy, która ją chowała u siebie jak własną córkę. Pod jesień Maruszyn mąż umarł i wypowiedziano jej zagrodę. Marucha, mając dosyć pieniędzy, nie bardzo się tym zafrasowała i zaczęła się zbierać pomału, aby się przenieść do Wiszni. Ale tymczasem włóczący się około Lwowa żołnierze, co z wojny wrócili, napadli na zagrodę Maruchy i ją zabili, a chatę złupili. Ofka przez zmiłowanie Boże nad niewinnym dzieciątkiem ocalała w komorze i przez jakiś czas jeszcze żyła w zagrodzie z resztek niezłupionych dobytków Maruchy. Ale niedawno nielitościwy włodarz klasztoru wypędził ją z zagrody. Szła o zebrany chleb, ażeby się dostać do miasteczka Tustania i tam już zginąć, ale przynajmniej dziecko oddać pod opiekę starosty. Tak doszła aż do tej wsi nieszczęsnej, którą stąd widać, ale tam niepocziwi ludzie nie dali jej chleba i psami wyszczuli. Myślała, że jeszcze dojdzie do Drohobyczy, ale tutaj opuściły ją siły – a dalej już nie wie, co się z nią stało.

Włostek, wysłuchawszy tej smutnej powieści, płacząc ciągle szczerymi łzami, kiedy skończyła, rzekł do niej:

– Już ja cię do tej diabelskiej wsi nie powiozę, a chyba ją spalę. Ale cię zawiozę do Drohobyczy i tam opatrzę – a potem już nie zapomnę o tobie.

Zaczem otulił ją w burkę i posadził na koń przed siebie, drugi żołnierz zawinął dziecko i pomieścił go u siebie na łęku, i tak ciemną nocą pojechali do Drohobyczy.

A odtąd, dzięki zacności Włostka, nie było już obawy, ażeby Ofka z głodu umarła.

Wrażliwy Wilczek, przyjechawszy do Drohobyczy, tak byt przerażony widokiem umarłej Ofki i swego dziecka pomiędzy krukami a trupem matki, że zaproponował Jagience, aby tutaj nie nocowali, tylko jechali zaraz na Tustań, choćby na całą noc. Drogi były utarte, konie wypoczęte i nakarmione, lepiej nocą nadłożyć, a w domu wypocząć, niżeli nocować w brudnej gospodzie. Jagienka nie pragnęła niczego goręcej, jak spocząć nareszcie we własnym zamku, więc propozycją tę radosnym sercem przyjęła. Zaczem wyjechali w nocy – i nad ranem stanęli w Tustaniu.

Jagienka tak była uradowana przybyciem na miejsce, że już tego dnia całe spać się nie kładła, pragnąc jak najprędzej rozgospodarować się u siebie. Rozejrzawszy się po wszystkich murach i skrzydłach, znalazła, że zamek czorsztyński ani się równać może z tustańskim. Bo najprzód czorsztyński, chociaż cokolwiek większy, przecież nie jest taki skalisty i tak silnie obronny, a potem tamto na poły kordegarda żołnierska, na poły klasztor. W tych zakopconych wiekami murzyskach, pomiędzy tymi drewnianymi sprzętami, które jeszcze od czasów Łokietka tam stoją, najweselsze serce musi wpaść w melancholię; podczas gdy tutaj całe drugie piętro nabite jest złoconymi sprzętami a makatami, które trzeba tylko z prochu odmuchać, aby się roześmiały weselem, a dość wyjrzeć przez okno, ażeby się oko i dusza rozradowały promienistym widokiem krajów, miodem a mlekiem płynących i uszczęśliwionych wszelakimi darami Bożymi. Jeżeliby Jagienka ze swoim najukochańszym Wilczkiem była i w najuboższej chacie szczęśliwą, to tutaj, w tej wspaniałej rycerskiej siedzibie, była jeszcze stokroć szczęśliwszą i czuła, że aby przeżyła całe swe życie jak w raj, nic jej brakować nie będzie.

I odtąd zaczęli żyć tym niezmaconym szczęściem, co każdą chwilą się cieszy, a o jutrze nie myśli, bo jutra jest pewnym.

Wszelako na tym pogodnym niebie zjawiła się niebawem mała chmureczka, bo gdzież jej nie ma? – Wilczek, pragnąc do szczęścia Jagienki przyczynić także trochę rozrywki, a jak najwięcej świetności, chciałby był dwór wielki prowadzić, na co miał teraz aż nadto majątku, bywać z wielką paradą po wszystkich sąsiedztwach i przyjmować u siebie po pańsku. Myślał o tym, ale sam nie wiedział, jak by się wziąć do tego, bo jakiś głuchy wewnętrzny głos mu mówił, że może by wypadało się nad tym namyśleć. Tymczasem, nim się jeszcze namyślił,



zajechał do niego Paniowski, starosta stryjski, jego serdeczny przyjaciel. Wilczek, ugościwszy go po staremu, zwierzył mu się z tą myślą. Paniowski był zrazu tym zakłopotany cokolwiek, ale potem wywnętrzył mu się z szczerego serca i rzekł:

– Słysz, Wilczek! wiesz, zem ci jest przyjacielem, co gotów ci nawet krwią swoją usłużyć; zaczem przyjmij ode mnie tę radę, żebyś się z tym nie śpieszył, bo to tam ludzie teraz jeszcze różnie o tym gadają.

– Cóż mówią? – zapytał Wilczek, chmurząc się trochę.

– Ot, głupstwa, jak zwykle. Powiadają, żeś był u biskupa w Krakowie, aby ci dał dyspensę czy indult, czy jak to tam nazywają: ale że ci odmówił – a tyś się przecie ożenił. Więc mówią: co to tam za ksiądz być musiał, co mu dał ślub przeciw prawu i przeciw zakazowi biskupa? A jeszcze do tego w sam adwent: cóż to go tak nagliło, zwłaszcza że niedaleko mu było do Trzech Króli? Takie to rzeczy tam sobie plotą. Więc ja tak mówię, że lepiej może niewiele zaczekać, aż się to utrże, bo żeby tam prawowierne matrony nie kręciły nosem na twoją żonę.

Wilczek się na to zaraz okrutnie zgniwał i rzekł szyderczo:

– Może też jeszcze kto gada, że Gniewosz nie zginął!

– To nie – rzecze Paniowski – bośmy przecie wszyscy tam byli i wiemy, że zginął. Ale tak... wedle tego tam ślubu, co przeciw prawu. Jakoż, jakem tobie przyjaciel, tak tobie mówię: dajże im wyczekać ich rok i sześć niedziel, a potem już nikt o tym nie pisnie.

– Jeśli tak – zawołał Wilczek – to poczekają sobie przez całe życie. Ani Wilczkowie, ani Kmitowie nie potrzebują nikogo, aby żyć sobie szczęśliwie i coś znaczyć w królestwie. Zaczem tak sobie mówię i możesz im to powiedzieć, niechże się te baby mojej żonie nie pokazują, bo i po roku, i po trzech latach drzwi przed nimi zatrzaśnie.

Po wyjeździe Paniowskiego Wilczek się trochę smucił, ale niebawem gniew smutek zadusił, bo powiedział sobie: Niechże ich jasny piorun powybija do nogi! Ani ja nigdzie nie pojedę, ani nikogo u siebie nie przyjmę; obaczą wprędce, że się bez nich obejdę.

Wszelako kiedy w parę dni potem, kiedy jeszcze śniegi leżały, pani Pretficzowa ze Sokółowa przyjechała na zamek, serce mu uderzyło z radości i sam wybiegł w dziedziniec, aby ją wysadzić z powozu.

Jagienka i Wilczek przyjęli tę zając matronę nadzwyczajnie serdecznie. Zdało się im, że przez nią serce wszystkich sąsiadów się dla nich otworło. Pretficzowa ich sobie jeszcze tym bardziej ujęła, ile że po kilkakrotnie ścisnęła Jagienkę, przy tych uściskach łzy jej w oczach stawały i widać było, choć nie wiedzieli dlaczego, że żywą a szczerą uczuła dla niej sympatią: stało się to oczywiście dlatego, że jej syn tę kobietę tak serdecznie ukochał, a miłość ukochanego syna znalazła odgłos w sercu poczciwej matki. Przez cały obiad poranny rozmawiano o wszystkim, a zawsze serdecznie; ale pod koniec obiadu Pretficzowa wydała się, z czym przyjechała. Chciała się od Wilczka dowiedzieć, czy nie masz jeszcze jakiego podobieństwa, że Lubek może nie zginął. O to pytała się Wilczka, mówiąc:

– Mój mąż nie chce na żaden sposób w to uwierzyć, że zginął, a jako doświadczony żołnierz, powiada, że byłby ktoś przecie jego trupa obaczył, a to tym bardziej, że miał bardzo lśniący pancerz na sobie, płaszcz jasnoblękitny, żółto podbity, a białe i żółte, bardzo puszyste pióra na hełmie, jako je niesie herb Wczele. Co wszystko tak wpada w oko, że niepodobna przypuścić, ażeby w bitwie, która trwała dzień cały, nie dojrzał go ktoś leżącego na ziemi. Ta śnieżna zima nas zaskoczyła tak nagle, żeśmy nic zrobić nie mogli, ale jak tylko śniegi tając zaczęły, mój mąż puścił się w drogę pomiędzy tych wszystkich rycerzy, którzy tam byli, był i w Krakowie, nigdzie się nic nie dowiedział, właśnie wczoraj powrócił, ale trochę zaniemógł, że nie może się ruszyć, więc mnie do waszmości wyprawił, abym się go rozpytała o Lubka. Wszyscy nam powiadają, że waszmość byłeś prawie przez cały ten dzień pod murami Suczawy, widziano waszmości po kilka razy właśnie w tym miejscu, gdzie Lubek miał zginąć, powiedzże nam w swej łasce: widziałeś go zabitego? widział go który inny? i co sam o tym rozumiesz?

Wszakże Wilczek nie wiedział o tym więcej, jak wszyscy inni, co też jej opowiedział. Jednak namyśliwszy się, dodał:

– Na pal go Wołosi nie wbili, bobyśmy o tym wiedzieli. Jam go zabitego nie widział i nie słyszałem, aby go widział kto inny, alem nie słyszał także, aby go uprowadzono w niewolę. Jednak, jeżeliby kto mógł o tym co wiedzieć, to chyba ten rycerz francuski, co zaraz za nimi na Wołoszę uderzył, a po południu zebrał Tigranesowych ludzi i wdarł się z nimi na wały, ażeby trupa Tigranesa zdjąć z pala. On mógł co widzieć, albo też ci ludzie, którzy z nim byli

– Już nam o tym francuskim rycerzu mówiono – rzekła na to Pretfciczowa – ale nie mogliśmy się dowiedzieć, gdzie bywa. Memu mężowi powiadano, że w Krakowie, że jest rotmistrzem królewskim i ma być w Krakowie, a jeśli go nie ma, to chyba już wrócił do Francji. Mój mąż go nie mógł odpytać na razie. Różni też różnie go nazywają, drudzy zaś powiadają, że się zwie Kmita.

Na to zaś odpowiedział jej Wilczek:

– Rycerz ten zwie się Kergolaj, a tylko z matki krewny jest Kmitom; znam go tak z bliska, właśnie jak pana Pretfcicza. Jeśli wrócił do Francji, tego ja nie wiem, ale rozumiem, że jeśli jest w kraju, a nie bywa w Krakowie, to ani chybi, że się zabawia we Lwowie. Tam także można odpytać tych ludzi, co razem z Lubkiem służyli. A z tym się trzeba udać do kamienicy starego Kijasa, gdzie jest jego wódarz, nazwiskiem Kundrat, ten tych ludzi dla Tigranesa spisywał, ubierał ich i żołd im wypłacał, musi zatem znać wszystkich, którzy żywi wrócili.

Jak tylko Pretfciczowa dowiedziała się tych ważnych rzeczy, zaraz wstała, a podziękowawszy za przyjacielską gościnę, brała się do wyjazdu. Już było dobrze z południa, a sześć mil do Sokołowa, zaczem oboje Wilczkowie bardzo ją prosili, ażeby przenocowała. Ale ona na żaden sposób nie chciała, wszystkim naleganiom uparcie się obroniła i wyjechała.

Po jej wyjeździe Wilczek mocno się zafrasował. Nie dlatego, że swymi informacjami może otworzył drogę kwerendom, które jemu samemu mogły zaszkodzić, bo o tym wcale nie myślał, ale dlatego, że Pretfciczowa nie chciała na zamku nocować. Wilczek, zbudzony przez Paniowskiego ze swoich snów o niebie bez żadnej chmurki, stał się niezmiernie drażliwym. Matrona ta przyjechała nie w odwiedziny, ale po interesie, a upaliwszy już sześć mil drogą zimową do południa, woli jeszcze drugie sześć mil męczyć się w drodze, niżeli u nich nocować; bardzo to przykro Wilczka dotknęło. Być może, że było to tylko przywidzenie śledzienne, bo przecież matce, poszukującej syna, musi być pilno: ale jemu to sprawiło niewysłowioną zgryzotę.

Odtąd już nikt więcej nie przyjechał na zamek. Już się wiosna rozzieleniła, już i lato zaczęło, a ani żywy duch się u nich nie zjawił. Młodzi małżonkowie musieli przyzwyczać się do samotności. Ale się nie skarżyli. Po tylu burzach życia spokój nie był im wstrętnym. Dobrze im było, byli ze sobą szczęśliwi – a szczęście ich miało już wkrótce do najwyższego wynieść się szczytu, bo z końcem sierpnia, a najdalej z początkiem września oczekiwali bociana, co miał im przynieść maleńkie dzieciątko i, zawinięte w puchowe koronki, złożyć na zamku. Obeszli się bez sąsiadów, gdy byli sami, obejdą się bez nich jeszcze daleko łatwiej, jak między nimi zamieszka aniołek Boży, co doda ich serdecznej miłości rodzicielskiej powagi i silniej niżeli jakikolwiek sakrament, o który nielitościwe matrony takie wstręty im robią, zwiąże ich serca w ich dziecku na zawsze.

U Pretfcichów, na Sokołowie, wszystek ten czas przepłynął w jednostajnej ciszy jak zawsze. Tam nigdy nie ustawały: praca około roli, troska około dzieci, ażeby je jak najlepiej wychować i jak najwięcej dobytku im zostawić, i pieczołowitość około poddanych i domowników, powierzonych opiece dworu. Sejmy nie sejmy, wojny nie wojny, obowiązki te musiały tam być wypełniane przynajmniej o tyle, o ile wypadki, silniejsze od ludzkiej woli, nie postawiły im przemijającej przeszkody.

Wszelako Pretficz, przesłużywszy całą swą młodość wojskowo, a nie wymawiając się jeszcze i teraz od żadnej służby obywatelskiej, dźwigając zaś na swych barkach obowiązki względem swej własnej rodziny, uważał za rzecz godziwą nawet od takich przemijających przeszkód się ile-możliwości ochraniać. Kiedy król przeszłej zimy zaczął się gotować na wojnę, konferował mu kasztelanią halicką, wakującą właśnie natenczas. Pretficz chciał się zrazu od niej wyprosić, mówiąc: że ani się podjąć nie może jakokolwiek porządne pospolite ruszenie zwołać w tej ziemi, ani się czuje na siłach, zależawszy pole od lat tak wielu, powiatowym chorągwiom rotmistrzować jak trzeba. Jednak natenczas o zwołaniu pospolitego ruszenia w halickiej ziemi nie mogło być mowy, bo najprzód w tych stronach jeszcze niewiele było szlachty pomniejszej, a prawie sami panowie, co własne mieli chorągwie; ile zaś drobnej szlachty się między nimi znalazło, tę zawsze przed wojną porozrywali pomiędzy siebie starostowie stryjscy, haliccy, tustańscy, samborscy i lwowscy, tak że na pospolite ruszenie nic nie zostało. Pretficz zatem przyjął kasztelanią, ale tylko z tym, obowiązkiem, że w czasie wojny będzie czuwał nad królewskimi stacjami i bezpieczeństwem publicznym w powiecie. Swojego syna rad by był lepiej pomieścić niżeli na urzędzie porucznika w małej chorągwi mieszczkańskiej, ale nareszcie nie sprzeciwił się temu, bo był zdania wszystkich doświadczonych rycerzy, że wojennego rzemiosła najlepiej ten się nauczy, który od knechta zaczyna. Tak więc siedział spokojnie u siebie przez cały czas wojny, aż do powrotu armii spod Bukowiny.

Kiedy wieść o śmierci Lubka przybiegła do Sokołowa, wielki lament się rozległ po całym dworze. Matka nie mogła utulić się w żalu – a cały niewieści dwór obyczajem Rusinów głośnym płaczem za nim zawodził. Tylko mały Bernard otarł łzy prędko i ku wielkiemu zgorzzeniu swojej nauczycielki mniszki powiedział: – Żle się bił Lubek, kiedy się dał zabić chłopom wołoskim.

Rozumny a doświadczony ojciec także się nie od razu poddał żalowi i nie pozwolił nawet odprawić mszy żałobnej za jego duszę, mówiąc: – Że Fredro zginął i Tęczyńscy, i Chryzostom Kmita, o tym nie wątpię, bo też ich trupy widziano. Ale jego ciała nikt nie widział – a nieprzyjaciel nie zbiera trupów po polu. – Potem, jak tylko się drogi przetały, do Krakowa wyjechał, ale z dobrą wiadomością powrócił, bo nikogo nie znalazł, kto by zabitego Lubka był widział. Powróciwszy, zaniemógł, ale tylko trochę pocierpiał i za skazówką, przywiezioną przez jego żonę od Wilczka, do Lwowa pojechał.

We Lwowie Kergolaja nie zastał, bo ten rycerz francuski, służący z upodobania Wenerze, lecz z obowiązku Marsowi, już się był wtedy dowiedział, że król zamierza nową armią wystawić na wiosnę, pobiegł więc do Krakowa, ażeby sobie u króla wyrobić komendę, a potem do Niewistki zjechał, aby zebrać trochę szerokich groszy i konie swoje odświeżyć, Wszelako Pretficz zastał Kandrata, a przez niego wszystkich żołnierzy odszukał, którzy z Lubkiem służyli i zdrowo wrócili.

Żołnierze ci mocno się teraz rozhultaili, stali się nawet prawdziwą plagą miasta i przedmieść, jedząc i pijąc na kredkę, biorąc gwałtem, gdzie kredka już pisać nie chciała, łuszcząc nawet prawie w sposób zbójcecki przedmieścia: trudno więc było z takimi hultajami dojść czegoś pewnego. Ale przecież pomiędzy nimi znalazł jednego, który mu opowiedział dokładnie i wiernie: jako widział na własne oczy, że Lubka, tak samo jak Tigranesa, Wołosi zerwali z konia, ale trupa Lubka nie widział, chociaż się w owej chwili bił w tym samym miejscu, aż póki Kergolaj nie uderzył, a potem znów z Kergolajem w tym samym punkcie się wdzierał na wały i zdaje mu się, że tam Lubek był z nimi.

Natenczas Pretficz był przekonany u siebie, że Lubek, jeżeli nie został zameczony w fortecy, musi się znajdować w niewoli.

I wówczas bez zwłoki, znów za pomocą Kandrata, wyszukał bardzo zmyślnego i zaufanego, chociaż ubogiego Ormianina we Lwowie, który za handlowymi sprawami Kijasa jeździł po całym Wschodzie, wyrobił mu królewski glejt u wojewody i kredyty u Kijasa na Suczawę, na Kaffę i na Carogród i wyprawił go na kwerendę za Lubkiem.

Wtedy Formoza dowiedziała się o tym i kazała bardzo prosić Pretfcicza, aby ją na chwilę odwiedził, co też Pretfcicz z chęcią uczynił.

Formoza była jeszcze zawsze w ciężkiej żałobie, ale już się z swym bólem cokolwiek przegryzła, bo nie porzuciła nadziei. Pretfcicz był trochę tym zdziwiony, że go Formoza tak szczegółowo wypytuje o sposoby i środki, jakich użyć zamyśla, ażeby nabyć pewności o losie Lubka, bo przecież jej mąż leżał już na cmentarzu we Lwowie, jakoż spytał ją o to; na co Formoza mu odpowiedziała niebacznie:

– Chciałabym się dowiedzieć na pewno o losie pana Gniewosza, bo jego ciała także nie znaleziono.

Powiedziawszy to, spostrzegła się i żalowała, że się niepotrzebnie zdradziła, ale słówko już wyleciało. Jednakże Pretfcicz tylko machnął ręką na wspomnienie Gniewosza, mówiąc:

– To rzecz całkiem inna.

Formoza zaczęła bardzo ciekawie rozpytywać Pretfcicza, jakie jest jego zdanie o rzekomej śmierci Gniewosza; ale to, co jej powiedział, niezmiernie ją zasmuciło. Ażeby ukryć ten smutek, zaczęła mu opowiadać o Lubku, jako go знаła, wiele z nim rozmawiała i pokochała go jak brata – a tym jego stroskanego ojca tak za serce chwyciła, że stary Pretfcicz po kilkakrotnie ją ścisnął za rękę i wyszedł od niej pełen szczerego współczucia dla tej nieszczęśliwej kobiety, która, jak się trafnie domyślał nieszczęśliwie wyszedłszy zamaż, straciła męża, lecz oddawszy serce innemu i tego także straciła, a teraz łudzi się próżną nadzieją, że jeszcze go kiedyś obaczy.

Odkąd Pretfcicz powrócił ze Lwowa, w Sokolowie niecierpliwie czekano, kiedy i z czym też ów Ormianin powróci.

Ale minęły wiosna i lato, i jesień, i już się zima zaczęła – przez ten czas nowa wojna się zakurzyła na Rusi i także się już skończyła – a o Ormianinie żadnej wieści nie było. Przy zbliżającym się Bożym Narodzeniu rozumiano już prawie na pewno, że i Lubka nie znalazł, i jego zabito. Tymczasem w sam dzień św. Szczepana jeszcze przed zmrokiem zajechały małe saneczki przed ganek środkowy – a z nich wysiedli najprzód Ormianin, a za nim Lubek.

Wielkaż tedy pociecha i radość bez wszelkiej miary. Ojciec i matka wydzielali go sobie z kolei, a cały dwór zbiegł się do ostatniego sługi, bo każdy chciał tego prawdziwego zmarłychwstańca własnymi oglądać oczyma. Najserdeczniej zaś i najhałaśliwiej cieszyły się nim dzieci, wieszając mu się na szyję i macając jego dziwaczny ubiór, uszyty modą turecką – a mały Bernard, co często wszystkich zadziwiał nad wiek swój trafnymi spostrzeżeniami, rzekł z wielką powagą: – Jak Turcy dostali od nas po skórze, tak i ciebie puścili, takem to sobie rozumiał.

Przy wieczerzy, do której przeszło trzydzieści osób zasiadło, Lubek miał opowiadać historię swojej niewoli; wszelako z jego opowiadania dowiedziano się tylko bardzo wielu ciekawych szczegółów, ale bez związku, bo ze wszystkich stron rzucano mu zapytania, na które musiał odpowiadać wrywkiem.

Dopiero po wieczerzy, kiedy domownicy się po pokojach rozeszli, a on sam z rodzicami został przy stole, ojciec kazał mu tę całą historię opowiedzieć porządnie. Lubek opowiedział więc wszystko z wielką szczerością, a często i z tą naiwnością, która była głównym przedmiotem jego zacnego serca i prostego umysłu.

– Bogiem a prawdą – mówił ten młody rycerz, w którym wszakże więcej było trubadura niżeli rycerza – dopiero na tej wojnie zrozumiałem, że podobno Pan Bóg nie stworzył mnie na żołnierza. Jużci siedzę na koniu nie gorzej jak inni, umiem narabiać wszelaką bronią tak samo, jak drudzy, i strach mnie przed nieprzyjacielem nie bierze; ale widok krwi ludzkiej mnie ścisną za serce, a kiedy na kogo uderzam, to czuję drzenie w moim sumieniu, że niewinnego człowieka chcę zabić i tak moją rękę prowadzę, abym go, nie bardzo uszkodził. A potem nie mam przytomności umysłu, tom dobrze widział na sobie. Kiedy Wołosi tego poczciwego Ti-

granesa zerwali z konia i jak dzikie zwierzęta zaczęli krzyżeć: „Na pal! na pal!” mnie się tak serce ścisnęło, że nie wiedział, co się ze mną dzieje, a dopiero wtędy się ocknął, kiedy już sam leżał na ziemi.

Stary Pretficz się nad tym bardzo zamyślił, a Lubek tak i dalej powiadał:

– Nie bardzo też wiem, co potem działo się ze mną, bo mi okrutnie w głowie szumiało, musiał mnie któryś zaćnić młotem żelaznym. Pomnę tylko, że jeszcze raz szedł do szturm i jeszcze raz zwałono mnie z konia, potem Wołosi zdarli ze mnie cały rynsztunek i wrzucili mnie do cięmych piwnic, których mają dosyć pod wałami fortęcy. Trzymano mnie tam o chlebie i wodzie, na co nie bardzo się skarżył, ale to mnie serce krwawiło i spać nie dawało po nocach, że było tam dużo drugich żołnierzy, co mieli członki poszarpane i kości podrużgotane i umierali w jękach takich bolesnych, że mi się darły wnątrżności, a nie mogłem im pomóc. I musiałem spać z ich trupami, a dusze ich się nade mną wieszały. W kilkanaście dni potem wojewoda Stefan przyjechał, kazał wszystkim jeńców prowadzić przed siebie i sam każdego oglądał. Wojewoda, człowiek już stary, ze siwą brodą i przesywającymi do głębi duszy czarnymi oczyma, spokojnego rozumu, ale nielitościwie okrutny, niektórym jeńców kazał zaraz poćcinać, mianowicie Rusinów z Pokucia, mówiąc, że to jego poddani; innych zaś kazał w jarzma zaprzęgać i orać nimi jak wołami, których też orzących na polu mało co potem sam na własne oczy widziałem. Kiedy na mnie kolej przyszła, że to już po moich łachmanach nie można było poznać, jakiegom jest rodu, powiedziałem, że jestem synem ubogiego mieszczanina ze Lwowa, ale że umiem kilka języków i piszę barwnymi inkaustami na pergaminie. Więc wojewoda kazał mnie na bok odstawić: a potem dano mnie do kancelarii i kazało mi różne listy łacińskie tłumaczyć na język ruski i przepisywać. Wtedy już lepiej mi było – i dano mi szaty i jużem nie cierpiał głodu. A niebawem wojewoda, mając swego syna Negrula zakładnikiem u cesarza Bajazeta, wyprawił poselstwo do Carogrodu, z raportami o wojnie do carza, a z upominkami do syna – i mnie z tymi posłami wyprawił, zakazując pod stryczkiem wydania się z tym, że jestem jeńcem Polakiem, a pozwalając mi zostać przy Negrulu, jeśliby chciał mnie zatrzymać. Więc Negrul upodobał mnie sobie, kazał sobie grać na cytrze i na mandolinie i już mnie od siebie nie puścił. Zaczęem jesienią ów Ormianin przekradł się do mnie, wysiedziawszy parę miesięcy w Suczawie, nim się wywiedział, że posłan jest do Negrula, a potem znowu parę miesięcy w Stambule, nim się mógł do mnie przedostać. A przedostawszy się do mnie, chciał zrazu Negrulowi ofiarować za mnie okup sowity; aleśmy się namyślili, że Negrul, sam będąc w więzieniu, nie potrzebuje pieniędzy, więc Ormianin zaczął na niego podarunkami najeżdżać, aż mu nareszcie serce tak zmiękczył, że mnie wypuścił. Puścił mnie już z początkiem zimy, jeno że śród tej wojennej powodzi musieliśmy nieraz manowcami wielkie trakty objeżdżać, a Suczawę z daleka omijać, więcemy dopiero teraz zdążyli.

Taka była historia niewoli Lubka. Rodzice bardzo nad tym cierpieli, że ich syn musiał przez takie poniewierki przechodzić; ale miawszy go już za umarłego, chwalili Pana Boga, że się na tym skończyło. Zaczęem stary Pretficz węża poprawił i brodę sobie pogłaskał i rzekł:

– Niechaj tam ludzie mówią, co chcą, przecież to zawsze rozum jest najprzedniejszym służą człowieka. Mój rozum nie chciał w to nigdy uwierzyć, żeś ty tam zginął. Pokazało się teraz, że miałem słuszność.

A potem spytał:

– Powiedzże nam, mój Lubku, czy zasłyszales tam co o innych Polakach, co są u Turków w niewoli?

– Jest ich tam trochę – rzekł Lubek – ale niewielu. Jedni pływają na tureckich galarach, inni się zasię sturczyli. W więzieniu u Bajazeta tylko kilku ich siedzi.

– Którzyż to są? bo byłaby to ludzka rzecz, zawiadomić o tym ich krewnych.

– Jest ich tam ośmiu albo dziesięciu, bo tam w tym więzieniu, wewnątrz carskich pałaców, gdzie Negrul siedzi, tylko co najprzedniejszych chowają – a że nam nie wolno było z nimi się

komunikować, więc też i nie wiem, jak ich wołają. Wiem tylko, że jest między nimi wojewodzic ruski Odrowąż, jest także Cherubin Gniewosz.

– Gniewosz tam jest? – zawołał Pretfcicz, niezmiernie zdziwiony – wieszże to pewnie?

– Jużci wiem pewnie, jak skoro mówią.

– Ej, Lubku! – rzecze mu ojciec – pono plotkę ci w ucho włożono. Gniewosz, to nie taki chudzina, jak ty, co nikt się nie pyta o niego, jeno pan wielki a ulubieniec królewski, gdyby on tam był, już by król był się dawno o tym dowiedział i byłby posłał okup za niego, choćby i dziesięć tysięcy czerwonych.

– Ale jest pewnie – rzekł Lubek – przecie go nieraz z daleka na własne oczy widziałem, a raz nawet z nim rozmawiałem.

Więc stary Pretfcicz krzesło sobie przysunął do niego i rzekł:

– Powiadajże mi wszystko, co o nim wiesz i co on ci powiadał. Jakimże więc sposobem dostał się w ręce tureckie?

Zaczem Lubek opowiadał w ten sens:

– Jak mi to sam Gniewosz opowiedział naprędce, pod Suczawą zapędził się był za jakimś znacznym Tatarzem, chcąc go koniecznie wziąć jeńcem, ale koń upadł pod nim, złamawszy nogę na pniu przewróconym. Nim Gniewosz w swej ciężkiej zbroi się spod konia wydobył, cała chmura Tatarów się rzuciła na niego i nakryli go sobą, właśnie jak gdyby kto cały ul pszczoł na niego wysypał. Wstawszy na nogi, chociaż bez broni, mógł ich i pięścią natłuc немало, ale rozważywszy u siebie, że przecie go w końcu przemogą, a z niewoli może się jeszcze wykręcić, dał im się wziąć. Tatarzy, rozumiejąc po jego wzroście i zbroi, że może samego króla albo choć królewicza złowili, pomknęli z nim zaraz na całą noc i potem dalej, aż póki się nie przebrali do Turków – a tam go Turkom oddali, posyłając go w darze tureckiemu carzowi. To mi powiedział sam Gniewosz – a potem nasi słudzy tureccy bardzo dziwne rzeczy mi o nim opowiadali. Kiedy carz się o tym dowiedział, powiadali mi słudzy, że mu przywieziono jeńcem jakiegoś polskiego chana, kazał go najprzód zaprowadzić do pałacowego więzienia i zakuć w kajdany, a potem wprowadzić przed siebie. Gniewosz zakuć się dał, ale jak go zakuto, zaraz kajdany potargał jak nici. A kiedy mu drugie, jeszcze grubsze kajdany włożono, on i drugie potargał jak nici. Zaczem im rzekł: „Widzicie, że mógłbym was wszystkich pobić jak myszy, a przecie wam szkody nie czynię, powiedzcież więc waszemu carzowi, że i jemu nic złego nie zrobię, a jako pan z panem zachowam się wobec niego przystojnie.” – Carz zatem, namyśliwszy się mało niewiele, bo bardzo był ciekaw go widzieć, kazał go wolno przywieść przed siebie, a przyjął go w ganku, otoczony wielkim dworem pomniejszych sułtanów i baszów. Zaczem obejrzawszy go dobrze, rzekł do sułtanów: „Aż to dziwno, że tym Polakom nie możemy dać rady, kiedy ich armia składa się z takich olbrzymów? Ten jeden mógłby cały mój dwór wyharatać, jeno widzi mi się jest dosyć pokorny”. – A potem carz rzekł do Gniewosza: „Twój Bóg chrześcijański dał tobie wzrost i siłę nad podziw. Musisz ty być albo bratem królewskim, albo też jakimś wielkim hetmanem, a pewno niewielu takich jest między wami”. – A Gniewosz na to: „Nie wiesz ty, carzu, co mówisz. Jam jest tylko polskim rycerzem, jakich jest u nas więcej niżeli ciurów u ciebie, a jam jest między nimi najmniejszy; są, którzy mię wzrostem o dwie głowy przenoszą, a dęby stuletnie wyrrywają z korzeniami, właśnie jak gdyby tobie twój balwierz zęb wyrwał”. – Więc na to carzowi oczy wywróciły się białością, a język zaczął mu latać w gębie jak pytel we młynie, sułtanom i baszom także oczy latały jak gałki i bełkotali coś z sobą przez trzy pacierze. Zaczem carz rzecze: „Nie boję ja się twoich Polaków, bo mam tyle żołnierzy, że jak ciebie zasypali Tatarzy, tak ja nimi całą Polskę zasypię. Ale z tobą obejdę się grzecznie, bo chcę, aby cię moi baszowie mogli co dzień oglądać, ażeby też wiedzieli, z jakimi żołnierzami będą się musieli borykać, kiedy na wiosnę na Polskę najadę. Powiedzże mi więc, jak mam się z tobą obchodzić, abym cię zachował żywego, a wiedz o tym, że ja znajdę na ciebie takie kajdany, których nie przerwiesz”. – A Gniewosz na to: „Bardzo mądrze to czynisz, że się chcesz ze mną układać,

albowiem masz wiedzieć o tym, że rycerz polski jest tobie równy, możesz więc, jak pan z panem, zawrzeć z nim traktat, nic ci to nie ubliży. Więc najprzód, kiedy chcesz ze mną żyć w zgodzie, masz mnie trzymać u siebie z respektem, jaki się panu należy. A potem, jeżeli ty się względem mnie zobowiązesz, że mnie u siebie przetrzymasz przez rok i sześć niedziel i przez ten czas to w sekrecie zachowasz, jakom jest u ciebie w poniewolnej gościnie, tedy ja tobie dam parol rycerski, że ci nie ucieknę, a i w twoich ludziach ci szkody nie zrobię”. – Więc carz się znowu z sułtanami naradzał, a potem rzekł: „A co będzie po roku i sześciu niedzielach? Albowiem wiedz o tym, że jeśliby mi twoi Polacy w tej wojnie, na którą się właśnie gotują, wzięli, co nie daj Boże! jakiego zacnego sułtana albo zgoła krewnego w niewolę, to ja będę wolał dać ciebie w zamian za niego, niżelibym miał okup posyłać”. – A na to Gniewosz: „Kiedy panowie zawierają ze sobą traktat na czas oznaczony, to nigdy sobie nie wymawiają, co ma się stać po expiracji<sup>69</sup> traktatu. Potem stanie się to, na co się znowu ze sobą namówią”. – Zaczem carz i sułtani, i wszyscy baszowie na to kiwali głowami i cmokali ustami, mówiąc, że ten rycerz polski przedni ma rozum i zdaje się być godzien respektu. A tak pomiędzy carzem Bajazetem a panem Gniewoszem stanął traktat, który też między sobą dotąd chowają.

Stary Pretficz słuchał tego opowiadania z wielką uwagą, a potem rzekł:

– Powiadajże nam teraz, jakoś sam widział Gniewosza i jako z nim rozmawiałeś.

Więc Lubek opowiadał dalej w ten sens:

– Negrula tam w tym samym więzieniu trzymają, co i Gniewosza, ale każdego osobno i każdy ma sługi osobne. Jeno że jeden jest ogród, więc oba po tym samym ogrodzie się przechadzają. Carz taki dał rozkaz, ażeby zakładnicy albo też jeńcy nigdy się z sobą nie spotykali, zaczem my zabawialiśmy się w ogrodzie o innych godzinach, a Gniewosz o innych. Ale żem ja do sług Negrula należał, więc mi też nie broniono zabawić się w ogrodzie o każdej porze, kiedy mnie Negrul przy sobie nie trzymał. Tak nieraz Gniewosza z daleka widziałem i Odroważa także zajrzałem, chociaż jego nie z takim respektem trzymają. I Gniewosz musiał także mnie poznać, bo uważałem, że na mnie spogląda i pewnie chciałby do mnie przemówić, jeno że mu to nie wolno dla straży. Aż jednego dnia w lecie, kiedy okrutny upał panował, a jego strażnicy posnęli pod drzewem, dał mi znak i sam zbliżył się do mnie i rzekł: „Tyś to jest ów Pretficz, coś był mały czas paziem u króla, a potem cię król na rycerza pasował we Lwowie?” – Ukłoniłem mu się niziutko i odpowiedziałem: „Tak jest, jak wasza miłość powiadasz”. – A on na to: „Przecz mi się kłaniasz tak nisko? Takiś ty rycerz, jak ja, a dzisiaj taki sam niewolnik”. – Potem mnie pytał, jakim sposobem dostałem się do niewoli. A kiedym mu opowiedział, rzekł: „Mądrześ to zrobił, żeś się małym uczynił, będziesz się mógł wypsnąć przy jakiej okazji, jako to muszka i przez gęstą sieć się prześliznie, a bąk w niej uwiąźnie”. – Więc ja mu na to: „Wszelako częściej muszka w sieci uwiąźnie, a bąk się przebije. Jakoż już nieraz głowę sobie nad tym łamałem, jakim sposobem wasze miłość wzięto żywego”. – A wtedy Gniewosz mi opowiedział, jak się to stało. Po czym rzekł, kładnąc mi rękę na ramieniu: „Słysz, Pretficz! Wiesz o tym, że my, rycerze, jesteśmy jako mnichowie jednego zakonu, co zawsze i wszędzie stają wszyscy za jednego, a jeden za wszystkich. Jest też i obediencja, którą młodszy powinien starszemu. Owo więc ja biorę od ciebie parol rycerski na to, że jeślibyś się wypsnął z tej niewoli, a wrócił do domu, tedy do roku i sześciu niedziel nie powiesz nikomu, żeś mnie tu widział i żem żyw na tym świecie. Mam wiadomości od drugich jeńców, co ich pod Czerniowcami zabrano, że cała Polska rozumie, jakom jest zabił pod Suczawą, potrzeba, aby tak rozumiano przez cały ten czas dla szczęścia ludzkiego. Zaczem liczę na ciebie, że nic nie powiesz, choćby cię kto rzezał po gardle”. – Zaczem dałem mu rękę, a on sobie poszedł. A potem jeszcze go nieraz widziałem, alem już z nim drugich dyskursów nie miewał.

Stary Pretficz, wysłuchawszy reszty tego opowiadania, wstał i dał znak Ormianinowi, który się z dworzanami w rogu komnaty zabawiał, aby szedł za nim i poszedł z nim do ostatniej

---

<sup>69</sup> expiracja (łac.) – upływ terminu

izby w lewym skrzydle dworzyska, gdzie miał swoje kancelarię i swoje archiwa. Tam, siadłszy przy stole i posadziwszy Ormianina naprzeciw siebie, zaczął go rozpytywać, azali słyszał co o jeńcach polskich, znajdujących się w ręku tureckich. Ale Ormianin nic o tym nie wiedział i odpowiedział mu krótko:

– Ani wiem, ani nawet o nich się nie pytałem z obawy, aby się nie dowiedziano, że jestem z Polski. Albowiem jak skoro mi syn waszej miłości powiedział, że mu wojewoda zakazał pod stryczkiem przyznawać się do tego, że jest Polakiem, zaczęłam on przed Turkami udaje się za Niemca, tak też i ja powiedziałem się Grekiem i nigdy słówka nie pisałem o Polsce.

Na co rzecze mu Pretficz:

– Siedźże sobie spokojnie, a pocierp tutaj cokolwiek, zaczęłam cię o coś poproszę.

Potem zaraz jął pisać i napisał list bardzo długi, zamknął go w jedną kopertę, a potem w drugą, wielką pieczęć na kopercie przyłożył, a oddając mu go, rzekł:

– Chciałem, abyś tu u nas dzień jaki odpoczął, ale zważywszy, że się powinien pośpieszyć z uregulowaniem moich rachunków z domem Kijasa, proszę cię, abyś jutro ra-niutko jechał do Lwowa. A tu masz list, który tam oddasz, gdzie też będą wiedzieć, co mają z nim zrobić.

Ormianin, rad w duszy, że go nie zatrzymują i że będzie mógł pośpieszyć do żony i dzieci, pobiegł zaraz do Lubka, aby się z nim pożegnać, i jeszcze tej nocy wyjechał do Lwowa.

Lubek, kiedy go ojciec samego z matką zostawił, kręcił się przez chwilę na krześle, bladł i czerwieniał, ale nareszcie zdobył się na odwagę i spytał matkę, co się stało z Jagienką.

Matka mu powiedziała.

Na tę niespodziewaną wiadomość Lubkowi szumiało w głowie, nieopisany chaos uczuć i myśli zaczął się kłębić w jego sercu i duszy, a wśród tego chaosu całkiem stracił przytomność. Kiedy się swego czasu o zamęściu Jagienki z Gniewoszem dowiedział, za zbawienną pomocą nerwowej gorączki cios ten jakokolwiek przeboleł, przyznał sam, że był dla niego nieuniknionym, oswoił się z swym położeniem i pocieszał się żywym a nieustającym w swym sercu życzeniem, ażeby przynajmniej ona była szczęśliwą. Domysł albo wiadomość, bo to nie było sekretem dla ludzi ciekawych, że Gniewosz z Jagienką nie żyje, obudziła w jego sercu dwa dziwnie ze sobą niezgodne uczucia: pod wpływem szczerzej przyjaźni dla niej, bolał nad tym, że nie jest szczęśliwa – a pod wpływem miłości znajdował w tym pewne zadowolenie. Na wiadomość o śmierci Gniewosza odetchnął lekko, jego żartka wyobraźnia grać w nim zaczęła, otwierając mu tak rozkoszne widoki, o jakich dotąd nigdy nie śmiał zamarzyć. Kiedy Gniewosza obaczył żywego, znowu ból głęboki go przejął, bo znowu z nieba upadł na ziemię; jednak po dokładniejszej rozwadze znów się pocieszył, bo Gniewosz był jeńcem i zdało się, że sam się nie śpieszył, ażeby się wydobyć z niewoli. Jakkolwiek Lubek nie był człowiekiem czynu, tylko marzycielem, a marzycieli zawsze więcej pociąga ku sobie marzenie niż rzeczywistość, częstokroć nawet, chociaż bezwiednie, sami opóźniają spełnienie się rzeczywistości, ażeby marzeń nie stracić; jednak w podróży ze Stambułu do domu jego marzenia zaczęły pewne kształty przybierać i przeczuwać, że może teraz zamienią się w rzeczywistość. Tymczasem właśnie teraz się dowiedział od matki, że Jagienka poszła powtórnie za męża za Wilczka! Kto tak kochał, jak Lubek, kto cały swój świat widział tylko w Jagience, a poza nią nic, tylko puszcę bezludną, śmierć i nicestwo, temu nie można się dziwić, że pod ciosem tej wiadomości zakłębiło się w jego umyśle i całkiem stracił przytomność.

Spostrzegła to matka po jego twarzy i milcząc dała mu czas, aby przyszedł do siebie.

Lubek potrzebował długiego czasu, nim zebrał swe myśli, po czym rzekł z przejmującą gorącością w głosie:

– Jakże oni się mogli pożenić, kiedy Gniewosz żyje?

A wtedy matka, chcąc go uspokoić, odpowiedziała mu zapewne wbrew swemu przekonaniu:



– Ależ oni byli pewni, co też i wszyscy mówili, że Gniewosz jest zabity, zaczem grzechu nie mają.

Patrzając zaś nań, po chwili dodała:

– I tak rozumiem, że Jagienka jest zadowolona z swojego męża.

Natenczas Lubek, już oprzytomniawszy zupełnie, powiedział z ciężkim westchnieniem:

– Ja też niczego nie pragnę, jak tylko, ażeby ona była szczęśliwą.

W tej chwili wszedł Ormianin, ażeby się z nim pożegnać, a za nim stary Pretficz do jadalnej komnaty.

Żegnając się z pocziwym Ormianinem, który mu tak ważne oddał usługi, Lubek rozczulił się, lecz widząc go odjeżdżającego i spojrzawszy w twarz ojcu, jakieś złowrogie przecucie ukłuło go w serce, uderzył się ręką w czoło i rzeki do ojca:

– Znowum głupstwo zrobił! Nawet nie głupstwo, tylko po prostu występek. Dałem Gniewoszowi parol rycerski, że go nie zdradzę, a przecież się z tym wygadałem. Spodziewam się przecież, że ojciec tego nikomu nie powie.

Ale stary Pretficz się na to uśmiechnął i rzekł:

– Twój ojciec twego parolu nie złamie, ale i tyś go nie złamał, jenoś się z czasem nie obliczył. Przecież od owej pory, kiedy Gniewosz dostał się do niewoli, minęło już więcej jak rok i sześć niedziel.

Lubek nad tym się zastanowił, odetchnął swobodniej i rzekł:

– Ale zawsze nie trzeba o tym nikomu powiadać.

Lubek w tej chwili więcej o tym nie myślał, ale mimo to miał noc niespokojną.

Jakież to zmiany zaszły podczas jego nieobecności.

Lubek potrzebował kilku dni czasu, nim się wmyślił w ten nowy stan rzeczy. Lecz jak się wmyślił, powiedział sobie, że właściwie się nic nie zmieniło. Przecież on nigdy o tym nawet nie marzył, ażeby mógł osiąść Jagienkę. A czy ona tego ma męża, czy którego innego, to w gruncie rzeczy jest jedno. Owszem, ta zmiana wyszła jej bez wątpienia na lepsze. Gniewosza nienawidziła – a kiedy poszła z własnej woli za Wilczka, to przecież musiała wiedzieć, dlaczego to robi. Jak to tam było w rzeczywistości, Lubek nie wiedział. Stąd wpadł na domysł, iż może być, że Jagienka tylko dlatego poszła za Wilczka, aby się od Gniewosza uwolnić. A wtedy przypominał sobie, jak zawsze na Sobniu miłościwymi oczyma na niego patrzyła i jak mu w tej ciężkiej chwili, kiedy ją gwałtem za mąż wydano, bukiet kwiatów rzuciła do okna. A potem grał jej na lutni, a ona go do późnej nocy słuchała. Jakiekolwiek później zaszły wypadki, Jagienka go nie mogła zapomnieć. Zaczem uczuł tęsknotę i zapragnął ją jak najprędzej obaczyć, i postanowił sobie w przyszłą niedzielę pojechać na Tustań.

Od czasu jak Wilczek przywiózł Jagienkę na Tustań, zamek tustański nabral dziwnej reputacji w bliższych i dalszych sąsiedztwach.

Ludzie ówczesni, mimo to że im ich rozum nie tylko do życia, ale do spełnienia tak wielkich czynów wystarczał, na jakie późniejsze wieki nie mogły się zdobyć, byli niezmiernie przesądni i zawsze skłonni do uwierzenia każdej plotce, którą inni opowiadali. Lada drobna bajeczka, którą ktoś zmyślił, przebiegając z ust do ust, bogacąc się w ustach każdego w nowe dodatki, wyrastała w legendę, która stawała się wprędce artykułem wiary dla całego powiatu, często nawet dla całego kraju i nieraz później przechodziła w kroniki jako najprawdziwsza, bo wszystkim znajoma historia. Tak i o Wilczku, nie wiadomo skąd, urosła powieść, jako nieludzkim sposobem wziął Gniewoszowi żonę z Czorsztyna. Opowiadano o nim, że diabłu duszę zapisał i diabeł zabił Gniewosza pod murami Suczawy; inaczej nie rozumiano, jakim sposobem taki żelazny rycerz mógł się dać zabić chłopom wołoskim, których Biłowus tłukł pałką, ile mu się podobało. Mówiono dalej, że diabeł się przebrał za księdza i dał mu ślub w czorsztyńskiej kaplicy przeciwko prawu i na przekór zakazowi biskupów. Inni zaś utrzy-

mywali, że diabeł nie zabił Gniewosza, tylko go trzyma ukrytego w lasach wołoskich i jednego dnia puści go, aby odebrać żonę Wilczkowi...

Te bajki otoczyły zamek tustański, jak gromady złych duchów, i zamieniły go w wyobraźni okolicznego ludu jakoby w jakąś zaczarowaną siedzibę, którą trzymają w swych rękach moce piekielne i już jej nie wypuszczą, aż póki ludzie w niej mieszkający nie odpokutują swych grzechów. Stąd poszło, że zamek ten już w owe czasy każdy chrześcijanin omijał i żaden gość nigdy doń nie zajechał. Wilczek z Jagienką znaleźli się zatem całkiem odosobnieni od ludzi – i widywali tylko swoich własnych sług i żołnierzy, i mieszczan z Tustania. Nawet Auctus Paniowski, jedyny wierny przyjaciel Wilczka, jeżeli czasem przyjechał, to tylko na to, aby go z obowiązku przyjaźni próżnymi słowami pocieszyć i do cierpliwości zachęcić, ale i on bawił zawsze tylko kilka godzin i nigdy za żadną cenę nie chciał nocować.

Wilczek i Jagienka czuli to przez kilka pierwszych miesięcy głęboko i bardzo boleśnie. Przyzwyczajali się z czasem. Niczym nie zamącona ich miłość im wystarczała do szczęścia. Prześlizne i zdrowiuteńkie dzieciątko rozpędzało swoim anielskim uśmiechem wszystkie powieści o duchach, które czasem im dochodziły do uszu, i rozpościerało w ich uczuciu jakoby niebieską opiekę nad zamkiem. Wiodło im się zresztą wszystko nad podziw. Wilczek zaczął pozbierać nagromadzone pieniądze po kluczach Jagienki i najprzód Baranów wykupił. Potem przez Ramułta wyrównał wszystkie zaległe rachunki z domem Kijasa. Nikomu nic nie był winien, jego zapasy się wciąż pomnażały, dom jego opływał we wszelkie dostatki, zatem mu wszelakiego szczęścia nie brakło. Ale to nieszczęśliwe odosobnienie przecież napełniało ich smutkiem, bo i najzupełniejsze szczęście jeszcze nam nie wystarcza, jeżeli nie możemy się nim z innymi podzielić. Często z nieopisaną tęsknotą wyglądali przez okna, mówiąc sobie: „Gdyby już wreszcie ktokolwiek bądź, choćby jaki rybałt wędrowny albo szlachcic ubogi, którego by można nakarmić i odziać”. Ale nigdy żywa dusza się nie zjawiała...

Toż kiedy między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem Lubek wjechał w dziedziniec zamku, oboje Wilczkowie wydzielali go sobie i nie mogli miejsca mu znaleźć. Jagienka porwawszy go za rękę, nie chciała jej wcale wypuścić z swojej gorącej dłoni, jak gdyby się obawiała, że jak ją wypuści, to i on sam się ulotni. Lubek uczul ciepło jej krwi, a wtedy taka błogość jego duszę objęła, jakiej jeszcze nigdy nie doznał w swym życiu.

Przez cały wieczór musiał im opowiadać, przez jakie losy przechodził czasu swojej niedoli i jak się z niej nareszcie wydobył. Jagienką go słuchała z natężoną uwagą i czasem dziwny jakiś niepokój malował się na jej twarzy; zdało się, jakoby go chciała o coś zapytać, ale nie miała odwagi. Wszelako Lubek na to nie zważał. Kiedy go zaś Wilczkowie zaprosili, ażeby na noc pozostał, a on zaproszenie przyjął radosnym sercem, wszyscy troje byli tym nadzwyczajnie uszczęśliwieni – a Lubek najwięcej.

Lubek bawił trzy dni na zamku. Przez ten czas spostrzegł, że Jagience niczego nie brakuje do szczęścia. Stąd powziął w swoim poczciwym sercu szczerą sympatią i szacunek dla Wilczka. Lecz obok tego jego miłość dla Jagienki także się ożywiła. Jagienką mówiła mu „ty” jak dawniej, rozmawiała z nim sercem otwartym jak z bratem, opowiadała o przebytych przez siebie cierpieniach i swoim szczęściu dzisiejszym, a czasem go brała za rękę i mówiła głosem, który jak dźwięk natchniony przebiegał po wszystkich strunach jego duszy zbolelej:

– Po wszystkie czasy myślałam o tobie, bom zawsze wiedziała, że oprócz mojego męża ty jesteś jedynym na całym świecie, który mnie kocha jak siostrę.

Lubek nie umiał na to nic odpowiedzieć, ale czuł się niewymownie szczęśliwym.

Trzeciego dnia Jagienka, dręczona zapewne niepokojem wewnętrznym, znalazłszy się z nim sam na sam, zebrała się na odwagę i zaczęła go wypytywać natrętnie, czy nie masz jeszcze innych jeńców polskich u Turków, u Tatar, albo gdziekolwiek indziej w tych krajach. Lubek umiał się opanować i odpowiedział spokojnie, że nic o nich nie słyszał. Ale kiedy Jagienka ostro spojrziała mu w oczy i zapytała wprost: – Czy nie słyszał co o Gniewoszu? – nadzwyczajnie się zmienił, twarz mu się zarumieniła i oddech mu się zaparł na chwilę. Od-

powiedział wprawdzie stanowczo: – Nie, z pewnością nie – i dodał, że śmierć Gniewosza jest niewątpliwie stwierdzoną – ale jego pomieszenie nie uszło uwagi Jagienki i pewne podejrzenie w niej pozostało.

Zauważał to Lubek i z obawy, ażeby mu Jagienka tych pytań nie powtarzała, jeszcze tego samego dnia do Sokołowa odjechał.

Od tego czasu jeździł co tydzień na Tustań.

Jego ojciec, przypatrzwszy mu się uważniej i przyszedłszy do przekonania, że on ani do zawodu wojskowego, ani też do żadnej służby publicznej nie jest stworzony i że najszcześniejszym jest w samotności, dał mu folwark należący do Sokołowa i zostawił mu jak najzupełniejszą swobodę. Lubek, zamieszkawszy pod swoją strzechą, spędzał czas według swego upodobania: grywał sobie na lutni albo na mandolinie, rysował obrazki, układał wiersze, wyrzynał figurki z drzewa, zaglądał do chat ubogich ludzi, dawał im rady i bawił się z ich dziećmi, które daleko więcej go zajmowały niżeli ich rodzice. Ale w rzeczywistości wcale nie wiedział, czy słońce świeci, czy niebo jest pokryte chmurami, czy jeszcze dzień jest, czy noc już zapadła, tylko dni liczył i pragnął, ażeby jak najprędzej nadeszła niedziela – a w niedzielę jechał na Tustań.

Przyjmowany zawsze serdecznie, mogąc swobodnie patrzeć w czarujące oczy Jagienki, oddychać tym samym powietrzem, co ona, czasem się dotknąć jej ręki, czuć ciepło jej krwi, pełne sympatii dla niego, i widzieć ją w szczęściu niczym niezamąconym, był sam tak szczęśliwym, że wcale wyższego szczęścia nie pragnął dla siebie. Ludzie, goniący za innymi uciechami w tym życiu, nazywają takie niewinne szczęście złudzeniem: ale czyż szczęście, któreśmy sobie stworzyli, które z całą świadomością czujemy i którym jesteśmy zupełnie zadowoleni, nie jest taką samą rzeczywistością, jak każda inna, o której nam się zdaje, że jej jesteśmy świadomi? Co w naszej duszy jest rzeczywistością a co urojeniem, tego jeszcze nigdy nikt nie określił. Lubek był tym szczęśliwy, co miał, i tylko pragnął, aby tak został na wieki.

## XV

### ŻYWI GINĄ

Ten rok 1498, co nastąpił po bukowińskiej wyprawie, nie przeszedł tak spokojnie we Lwowie, jak w Tustaniu i Sokołowie. Był to owszem na całej Rusi rok bardzo wojenny, chociaż to, co o nim kroniki nam przekazały, było widocznie raczej niszczeniem i łupieniem kraju niżeli wojną.

Wojewoda wołoski, pozbywszy się Polaków ze swego kraiku, chociaż za pośrednictwem Węgrów zawarł podobno z Polską jakiś rozejm czy pokój do czasu, nie chciał, a nawet i nie mógł na takiej niedostatecznej umowie poprzestać. Albowiem położenie jego było niezmiernie trudne i niebezpieczne: państwowy byt Wołoszczyzny nie był wcale zapewniony, rościły sobie do niej pretensje trzy wielkie mocarstwa: Polska, Węgry i Turcja, co chwila któreś z nich wymagało od niej poddania się i złożenia hołdu przez księcia, popierając swe wymagania groźbami, a często i siłą zbrojną – i tylko księżę tak bystrego rozumu, takiej niezwykłej chytrności i tak niepożytej energii, jak Stefan, za co też w dziejach swego narodu nazywa się Wielkim, mógł przez lat przeszło trzydzieści swoje państewko bronić zwycięsko przeciwko trzem takim potęgom i zostawić je swoim następcom. Po bukowińskiej wyprawie, nie mając żadnej pewności, że Polacy znów się zerwą na niego, postawił się na stopę przyjazną z Węgrami, skojarzył się z Turcją i zebrawszy około czterdziestu tysięcy zbrojnego ludu, złożonego z Wołochów, Tatarów i Turków, najechał Ruś, należącą do Polski. Celem jego było bez żadnego wątpienia, nie zdobyć ziemi, tylko zniewolenie Polski i Węgier do zawarcia z nim stałego pokoju: ale tymczasem pod jego najazdem ruskie kraje cierpiały.

Król Olbracht, którego postęпки, skutkiem lekkości ducha i niepowściągliwego temperamentu, bardzo często w rażącej były niezgodzie z jego rozumnymi myślami i zamiarami, tym razem wcale o obronie swych krajów nie myślał. Przeleżawszy po powrocie z wojny wołoskiej kilka tygodni we Lwowie, wrócił do Krakowa i zaniedbując zupełnie sprawy publiczne, jak gdyby chciał sobie wstrzemięźliwość, którą mu nałożyły przeszłoroczna wojna i nastąpiła po niej choroba, w dwójnasób nagrodzić, oddał się najwyuzdańszej swawoli. W całym jego życiu nie masz drugiej epoki, w której by się tak zupełnie dał unieść swojemu swawolnemu temperamentowi – i właśnie w owym to czasie zdarzyło mu się, że kiedy nocą zakradał się do jakiejś swawolnicy, pobił się w ciemnej ulicy z pijanymi pacholkami i został od nich czekaniem w głowę raniony, którą to ranę jego balwierze mu przez cały miesiąc leczyli.

Nie czując żadnej ze strony króla obrony, starostowie i inni zamożniejsi panowie pozamykali się przed najazdem w swoich zamkach i dworach obronnych i tak samo także uczyniły obronne miasta, naprawiając swe mury i gromadząc u siebie na swój koszt ludzi zbrojnych, skądkolwiek mogły ich dostać. Lwów stał się wtedy zbiegowiskiem żołnierstwa wszelkiej broni i wszelkich narodowości, pomiędzy którym nie brakło także drobniejszej szlachty, nie mogącej się bronić w swoich drewnianych dworach i nie brakło także wszelkiego rodzaju awanturników, dla których takie czasy i takie miasta najpożądanym i najobfitszym są żywem. Miasto więc samo było tymi gośćmi nabite, pełne ich były wszystkie gospody i domy, gwar nieustanny, pijatyka, bójki, kalectwa, nie ustawały ni w dzień, ni w nocy: drabowie

miejszy rąk nie mogli nastarczyć, ażeby jakikolwiek utrzymać porządek – a tylko szynkarze i kupcy dobrze się mieli.

Wszelako na przedmieściach działo się jeszcze daleko gorzej. Kiedy bowiem do miasta ściągali się tylko ci, co mieli pieniądze albo choć kredyt, lub wreszcie tacy, co na to liczyli, że sobie filuterią grosz i gościnę u drugich wykręca, po przedmieściach włóczyli się sami tacy hultaje, co nie wahali się kraść, a kiedy ukraść nie było można, to wzięli gwałtem, nawet i w biały dzień, a jeszcze i zrabowanego wyśmiali. Nabrawszy towarów, sprzedawali je Żydom, a nawet i po żydowskich gospodach mieszkali; inni zaś, że to: już ciepło było, bo wiosna w tym roku była wczesna i prawie od razu gorąca, nocowali sobie po przedmiejskich ogrodach, po cmentarzach i po krzaczach, otaczających góry zamkowe.

Do Łopatki, że to do jego starościńskiej jurysdykcji należały przedmieścia, z początkiem wiosny dzień w dzień przybiegali przedmieszczanie z lamentem, że temu wypłukano komorę, innemu spichrz przetrzebiono, a trzeciemu nawet wyprowadzono jałówkę z obory. Łopatka kazał swym drabom robić na nich obławy, ale bez skutku, bo chociaż już kilku, złowionych na gorącym uczynku, kazał wrzucić na dno wieży, jednak to wcale nie pomagało: kradzieże te i łupiestwa mimo to ciągle się powtarzały – a co najgorsza, to że bardzo mało tych hultajów chwymano i było wielkie podejrzenie, że Żydzi ich protegują, a drabi zamkowi, na nocne ronty wysyłani, zamiast ich śledzić i chwytać, po całych nocach wysiadują przy dzbanach w żydowskich gospodach. Łopatka o tym wiedział przez szpiegów, bardzo się tym frasował, ale nie umiał sobie na to poradzić.

Tak jednego dnia rano, po nabożeństwie – a był to właśnie dzień św. Stanisława biskupa – siedział sobie na ławie kamiennej przy bramie Niskiego Zamku, przy nim siedzieli Olizar i Frąc, a on im opowiadał swoje kłopoty, chcąc zasięgnąć ich rady.

– Wiem wszystko – powiadał zafrasowany Łopatka – wiem, kiedy co komu ukradną, wiem, kędy idą ukradzione towary, wiem nawet, gdzie odbywają swoje noclegi, a przecie ich dopaść nie mogę.

A na to rzecze Olizar bardzo podstępnie:

– Najlepiejbyś zrobił, gdybyś kazał zlustrować żydowskie gospody, tam byś znalazł nie-mało nakradzionych towarów, przynajmniej mógłbyś je oddać poszkodowanym.

Łopatce ta propozycja cale nie była do smaku, bo Żydzi byli w wielkich łaskach w starostwie, starostowie ich nawet nieraz protegowali przeciwko miastu, więc odpowiedział mu na to niechętnie:

– Trudnoż nam Żydów lustrować komory, jak skoro nikt się na nich nie skarży. Na tym zresztą niewiele zależy, ja bym chciał wyłapać złodziejów.

– Powiadają w Krakowie – rzecze mu na to Olizar – że kruk krukowi oka nie wydzióbie, a u nas we Lwowie taka jest gadka, że starosta nie wydzióbie oka Żydowi.

Więc Łopatka się tym uczuł dotknięty, lecz rzekł niby żartem:

– A tobie by się to nie podobało, żebym wyłapał złodziejów, bo wyłapawszy ich w nocy, a przypatrzwszy się im do słońca, może by się pomiędzy nimi znalazło kilku Olizarowych kozaków.

Ale Olizar się śmiał naprawdę i mówił:

– Słysz, Łopatka, jak którego z nich złapiesz, to ja cię sam proszę, abyś go zaraz kazał powiesić, bo taki kozak i mnie się na nic nie przyda, co się przy takim bzdurstwie, jako właśnie to łuszczenie bezbronnych przedmieszczan, da złapać. Ale nie myśl ty tak o moich kozakach. Przywieźli oni sobie dosyć zdobyczy z wojny wołoskiej, że jeszcze mają żyć z czego, a nawet wyżyją o tym choćby do zimy. A nie myśl także, żeby moi kozacy, co są przecie żołnierze, żyli w przyjaźni z takimi hultajami, co przedmieszczan rabują. Gdybym ja był z tym hultajstwem w przyjaźni, to Fesia mieszkałaby sobie spokojnie na swoim folwarku pod Wysokim Zamkiem – a ja sam dałem jej radę, aby sobie najęła domek na Halickiej ulicy w sąsiedztwie Pachny, a jej folwarku pilnują moi kozacy.

– Ot, pleciesz! – rzecze do niego, przymrużając jedno oko, Łopatka – *na selo ludyj duryty*<sup>70</sup> – Obawiałeś się, żeby ci hultaje nie zbałamucili ci Fesi, albo żebyś od nich w nocy po łbie nie dostał, jako się to właśnie naszemu panu zdarzyło w Krakowie – i dlategoś ją przeprowadził do miasta i oddał pod opiekę Pachny. *Ne zdurysz ty Seneki*. Pachny teraz już nie dostaniesz, bo głupia by była, gdyby to brała dla siebie, co po Fesi zostanie. Powie ci ona także, jak mawiał Seneka. Ale co mnie tam do tego!

Na te słowa Frąc pogładził się z zadowoleniem po brodzie, a Łopatka tak mówił dalej:

– Ale co robić? w tym sęk i dlatego chciałbym się was poradzić. Ja sobie myślę, że trzeba by na tych hultajów gęstą sieć utkać z żołnierzy i wszystkich do sieci napędzić.

Na to Olizar się rozśmiał i rzekł:

– Widać zaraz starostę, co na to szablę nosi u boku, aby przy niej zasiadał na sądach, ale nigdy nie bywał na wojnach. Jeżelibyś ty chciał gęstą sieć utkać choćby tylko na tych, co się włóczą po Krakowskim Przedmieściu, to trzeba by ci na to co najmniej z pięć tysięcy żołnierzy. Chyba że wiesz, gdzie się zbierają.

– Jużci wiem – rzecze Łopatka. – Przy kościółku N. Marii Panny jest cmentarz mało co okopany a zarośnięty chaszczami, zaś za cmentarzem ciągną się w górę pomiędzy dworkami warzywne ogrody probostwa aż prawie pod górę Piaskową. Na probostwie tylko stary ksiądz siedzi z organistą i dwoma dziadami, a wszyscy spać idą z kurami. Owo więc na tym cmentarzu ci złodzieje się zbierają, zwłaszcza w niedziele i święta, kiedy im łatwiej kraść i zdobywać komory, i tam się dzielą kradzieżą. A tak są przy tym zuchwali, że czasem koło północy, albo też i nad ranem nawet, i ognie nakładają, i jedzą przy nich, i piją, co w nocy ukradli.

Na to rzekł Frąc:

– No, to tam posłać tylko z pięćdziesięciu halabardników, aby na nich za krzakami albo za sąsiednimi domami zasiedli, a potem ich otoczyli i wzięli.

– Ba! – rzecze Łopatka – jużem tego próbował, ale nigdy mi się nie udało. Zawsze halabardnicy uciekli, mówiąc, że to nie złodzieje, tylko dusze umarłych przy tych tam ogniach odprawiają swoje biesiady. Widzieli na własne oczy, jak z grobów wybuchały płomienie i chmury dymów, a z nich występowali umarli. Raz nawet zaczęli, aż kur zapieje; ale jak kur zapiał, wszystkie te mary zniknęły i moi żołnierze po nich nic nie znaleźli...

To mówiąc Łopatka, zrobił krzyż święty na piersiach i rzekł:

– Nie wiem więc, czy się godzi na dusze zmarłe najeżdzać, bo żeby za to potępienia nie było.

Ale niewierny Frąc się na to uśmiechnął i rzekł:

– Takie to dusze zmarłe, co kradną. A potem, chciałbym ja widzieć te dusze, co przede mną nie pierchną, kiedy na nie z gołym mieczem najadę.

Łopatka spojrział zadziwionymi oczyma na niego i rzekł półgłosem do Olizara:

– Chyba że husyta albo też charakternik. A ty, co powiadasz?

A Olizar, nienawidzący Frąca, a jako Rusin zawsze pełen sztucznych konceptów, powiedział na to te słowa:

– Mogą być dusze, co o północy z grobów wylażą, jako to bywa, ja jednak rozumiem, że prędzej złodzieje. Jednak czy dusze, czy złodzieje, nic ty im piechotą nie zrobisz, bo człowiek zawsze około północy strachów się boi, jeno koń nie dba o strachy, i choćby nawet na dusze, zawsze śmiało najeżdża. Zaczem tak sądzę, że Frąc powinien by co w tym pomóc. Siedzi on teraz jako komendant na Wysokim Zamku i ma sześćdziesiąt ciężkich koni pod sobą. Niechże więc przed północą milczkiem pod górą Piaskową zasiędzie, a ty postaw swych drabów w zasadzce od Niskiego Zamku i niech mają oko na cmentarz. A jak tam ruch jaki obaczą, niechże więc dadzą znak, wystrzeliwszy z muszkietu, wtedy Frąc z swymi konnymi ludźmi z

---

<sup>70</sup> *na selo...* (ukr.) – na wieś (idź) ludzi ogłupiać

całym impetem uderzy na cmentarz i których złodziejów nie potrątuje, tych twoim drabom w same paszczę napędzi.

Więc Łopatka, kiedy myśl Olizara zrozumiał, tak się nią uradował, że mu się rzucił na szyję i zawołał:

– A ty, Wyrypaju, masz zawsze sposób na wszystko! Więc cóż, panie Frąc, uderzysz, jak mówi Olizar?

– Dlaczego nie – odpowiedział Frąc – przecie to mój obowiązek.

– Więc dziś! – zawołał Łopatka – bo to dziś święto i pewnie ich tam złowimy. Więc na strzał z muszkietu od Piaskowej góry w pięćdziesiąt koni uderzysz, a już ja sam będę z moimi drabami na dole i przypilnuję, aby się wszystko wywinęło jak z płatka.

– Będę i ja tam – dodał do tego Olizar – nie dla złodziejów, jeno jeżeli to będą dusze, to chciałbym widzieć, jaki też opór postawią koniom.

Zaczem Łopatka ich do siebie na obiad zaprosił i gościł serdecznie – a przed wieczorem rozeszli się, aby się o północy znowu obaczyć.

Pomimo tak bardzo ożywionego ruchu w mieście i w swoich sklepach, pomimo obaw nowej wojny i niebezpieczeństw nowej łupieży, stary Kijas nie zdołał się otrząść z ciężkiej żałoby, w którą popadł od śmierci swojego syna. Zrazu zniósł wprawdzie ten cios z odwagą i wyrozumieniem doświadczonego męża, który wie, że wszystko mija w tym życiu, a przeto na wszystkie nieszczęścia jest z góry przygotowany. Jednak im więcej myślał nad obecnym swym położeniem, tym cięższy smutek opanowywał jego umysł znękany i tym niżej go przyniatał do ziemi...

Już sam ten wypadek, że zwłokom jego syna nie pozwolono krypty w żadnej cerkwi i żadnym kościele i Tigranes leżał dotąd na ubogim cmentarzu przy drewnianym kościółku, był dla niego niewysłowionym zmartwieniem. Prowadził o to proces z biskupem ormiańskim, lecz bez nadziei, albowiem biskup, chociaż jego przyjaciel, bronił się zawzięcie i był w swoim prawie: on, jak powiadał, ludzi innych obrządków nie nawraca na prawosławie, ale przerzucania się swoich parafian na inne obrządki nie może przebaczać, a jeszcze do tego niejako swą własną ręką uświęcać. Tigranes wystąpił z gminy kościelnej ormiańskiej, niechże więc jego zwłoki ci wezmą do siebie, co go do swojej gminy przyjęli. Kijas toczył także proces z arcybiskupem lwowskim, ale również bez skutku. Ks. Boryszewski miał dwa powody, dla których zwłok Tigranesa nie chciał przyjąć do piwnic katedralnych: najprzód, chciał dać naukę proboszczowi zamkowego kościoła, który się wciąż wylaamywał spod jego władzy biskupiej, a uważając siebie jako urzędnika królewskiego, rewindykował eksterytorialność dla siebie – a po wtóre, uznaniem przejścia Tigranesa na łono katolickiego Kościoła, które w samej istocie stało się Bóg wie po jakimu, nie chciał obrażać biskupa ormiańskiego, unikając w tym razie, jak zresztą zawsze i wszędzie, ażeby nie był posądzonym o nawracanie podstępem lub gwałtem wyznawców innych obrządków na katolicyzm. Rządy polskiego Kościoła znajdowały się jeszcze wtedy wyłącznie i w zupełności w rękach duchowieństwa świeckiego, które, dalekie od fanatyzmu a pełne rozumu, wyniosłych pojęć o wierze i obywatelskiej miłości ojczyzny, usiłowało swoją powagą, miłością, ludzkością i światłem łączyć ze sobą sąsiednie narody i społeczeństwa – a łapanie dusz podszeptami, kabałą, gwałtem albo prześladowaniem odtrącało od siebie jako ubliżające swojej wysokiej godności, nie przynoszące ani zaszczytu, ani pożytku katolickiemu Kościołowi, a uwłaczające dobrze zrozumianym interesom polskiego narodu. Kijas przeto stracił już zupełnie nadzieję przeniesienia zwłok swego syna do jakiejś poważnej świątyni i wystawienia mu marmurowego nagrobku w kościele, i to go niezmiernie bolało.

Rozmyślając dalej nad tym, jako jego syn zginął marnie w tak młodym wieku, nie osiągnąwszy swojego celu i zostawiwszy tak znakomity dom handlowy i jego samego w sierocinie, jak to zazwyczaj się zdarza poczciwym ludziom, robił sobie wyrzuty, że przez słabość

do jedynaka, a może trochę przez własną próżność na to zezwolił. Po co się kupiec ma pchać między rycerstwo, kiedy ma swoje własne powołanie, wcale nie gorsze, a bez wątpienia pożyteczniejsze od żołnierskiego zawodu? Gdyby był zachował w tej sprawie swój rozum, jak go umiał mieć w każdej innej, i gdyby był nie zrobił ustępstwa z swej władzy ojcowskiej, jego syn byłby żył dotąd, on by był nie osierociał na starość, a jego dom byłby się utrzymał w jego rodzinie może na wiele wieków. Kijas nie mógł sobie tych grzechów darować i gryzł się nimi do tego stopnia, iż miewał chwile, w których mu się zdawało, że był swojego syna zabójcą.

Stękając ciężko pod tymi wyrzutami rozdrażnionego sumienia, wytwarzał sobie wyrzuty inne, które go rozczulały. Niejednokrotnie człowiek poczciwy i czuły, ale zajęty nieustającą pracą, nie mając czasu do zajmowania się uczuciami, trzyma na wodzy swe serce przez cały wiek męski i jest tak samo twardym dla innych, jak dla siebie samego: lecz kiedy starość nadeszła, twarda praca z konieczności ustała, chwile spoczynku się coraz przedłużają, a do tego zjawily się te i owe nieszczęścia, w starcu rozbudza się serce i staje się często tak tkliwym, jakim nie było nawet w wieku dziecięcym. Taka tkliwość rozbudziła się teraz w starym Kijasie. Wyrzucał sobie, że kiedy już tak być musiało, że jego syn miał sobie obrać zawód wojskowy, to on temu winien, że wystawił tak słabą chorągiew, on winien, że go nie zniewolił poddać się pod rozkazy jakiegoś doświadczonego rotmistrza, on wreszcie winien, że wszystko poszło tak nieszczęśliwie. A nadto jeszcze, jakże się względem swojego syna w ostatnich czasach zachował? Kiedy Tigranes przez dwa miesiące leżał w obozie, on ledwie go dwa lub trzy razy odwiedził, a kiedy wyjeżdżał na wojnę, to nawet go do swej piersi nie przycisnął, a pożegnał się z nim tak, jak gdyby go za tydzień miał znowu obaczyć. Gdyby mu się ten czas powrócił, ani na chwilę by go nie odstąpił, A nawet by go odprowadził przynajmniej do granicy królestwa. Dziś mu się pamięć tak mąci, że prawie już nie może sobie przypomnieć, jak syn jego w ostatnich czasach wyglądał. Gdybyż go mógł obaczyć choć tylko raz jeszcze W tym życiu!

W chwilach kiedy Kijas nie męczył siebie wyrzutami sumienia i nie myślał o swoim synu, myślał o sobie. Starość już przyszła. Siły go z każdym dniem opuszczają. Życie się kończy. Jego dom, jego składy kupieckie, jego bogactwa, wszystko stało mu się obojętnym. Nawet i na tym mu nic nie zależy, kto to po nim zabierze. Niech to weźmie Formoza, jedyna po jego synu dziedziczka. Niech Kundrat jego dom dla niej dalej prowadzi albo niechaj go zwinie i na pieniądze albo na dobra zamieni, nic go to nie obchodzi. Ale co się z nim samym stanie po śmierci?

Kijas należał dawniej do tych ludzi, co się nie zajmują takimi zagadnieniami. Wiedział, że jest chrześcijańska religia, przyznawał jej wyższość nad każdym pogaństwem, uważał, że religia jest dla ludzi koniecznie potrzebną, pomiędzy jej obrządkami nie znajdował wielkiej różnicy, obowiązków względem swego Kościoła sumiennie dopełniał, na mszę chodził co niedzielę i święto, rzadko się spowiadał, to prawda, ale natomiast bardzo był szczodrym dla swojej cerkwi, dla księży i dla ubogich ludzi przede wszystkim – a zresztą był tego zdania, że człowiek powinien pracować bez odetchnienia na pożytek dla siebie, dla swojej rodziny i dla swego narodu, nie tracąc czasu na dociekanie zakrytych przed nim tajemnic, bo po śmierci stanie się z nim w każdym razie to tylko, na co zasłużył, a czego on żadnym dociekaniami nie zmieni. Taki był jego katechizm i taka filozofia dotychczas – i to mu wystarczało zupełnie.

Ale teraz, w tym smutnym usposobieniu umysłu i widząc już grób otwarty przed sobą, nie mógł na tym poprzestać i zaczął prawdy dociekać. Sam nic nie mógł wymyśleć, bo nie miał ani nauki, ani wprawy do takiego rozmyślenia – a jak zaatakował tę kwestię swoim prostym rozumem kupieckim, to mu się zdało, że nawet nie ma nad czym rozmyślać, bo jest rzeczą oczywistą, że dusza ludzka, dusza bez ciała, dech, tchnienie, nie może żyć po śmierci człowieka. Nawet nie wiedzieć, na co by się komu przydała, nie mając ani nóg, ani rąk, ani głowy, nie mogąc zatem pracować, ani żadnego przynieść pożytku, ni sobie, ni komukolwiek.



Wszelako taki rezultat nie mógł go zadowolić, bo niepodobna mu było pogodzić się z tą myślą, że po nim się nie zostanie nic więcej, jak tylko garść prochu – a i ten proch jeszcze prędzej lub później wiatry rozwieją. Czy to tak być może? A jego rozum, jego wola, jego wewnętrzna istota, tak doskonale siebie świadoma, gdzież się to wszystko wtedy podzieje?

Tej sprzeczności, którą znalazł w samym sobie, nie umiał swoim rozumem rozwiązać. Ale miał trochę książek, które dotychczas czytywał lekko, bez zagłębiania się w myśl ich autora, raczej dla przyozdobienia swego umysłu niż dla nauki: teraz więc zaczął je czytać z uwagą i postanowił w nie się zagłębić. Najpierw wpadło mu w ręce kilka dialogów Platona, które go żywo zajęły, bo dojrzał w nich człowieka dobrej woli i z szerokim na świat duchowy poglądem. Niezmiernie mu się podobało w Platonie, że przepisuje kupcom umiarkowanie i panowanie nad sobą, a uległość istniejącym ustawom i prawom. On zawsze był umiarkowany we wszystkim i zawsze się ugiął przed prawem, a zatem dopełnił swych obowiązków: Platon by kontent był z niego – i to mu przyniosło wielkie uspokojenie. Natomiast wcale mu się nie podobały trzy dusze Platona, bo mówił sobie, że jeżeli człowiek ma trzy dusze, to tak właśnie, jak gdyby żadnej nie miał: „Moje trzy dusze się porozlatują każda w swoje stronę, a gdzież ja się zostanę?”.

Zaczem odłożył Platona na bok, a wziął Danta do ręki, którego miał w niekompletnym, ale bardzo pięknym odpisie na pergaminie; kawałek *Nieba* w nim brakowało i kilka pieśni o *Czyśćcu*, ale *Piekło* było całe od początku do końca. Ktokolwiek, jak wszyscy ludzie, co nie mają wyrobionych własnych przekonań, wierzy w to święcie; co czyta, tego żaden z pisarzy całego świata nie przekona tak łatwo, jak Dante, że dusza ludzka żyje indywidualnie po śmierci człowieka, bo jest ona tam przedstawiona z porywającą potęgą wyższego nad zwykły poziom ludzkiej inteligencji geniuszu i widzi ją oko czytającego, jak wygląda i jak jej się powodzi w niebie, w czyśćcu i w piekle. Sytuacja duszy ludzkiej, zwłaszcza w piekle; jest całkiem nie do wytrzymania: gdyby takie męki miała cierpieć na ziemi, to by w kilka godzin umarła – a przecież i w piekle jest żywa i żyje, nawet całkiem w postaci ludzkiej, na wieki. Kijas się w Dantem jakby na nowo odrodził. Do piekła się nie dostanie, bo był zawsze uczciwym człowiekiem. Może mu się co w czyśćcu oberwie, bo kto narabia łokciem a miarką, ten zawsze się może na szkodę ludzką omylić. Jednak i za to, nie on, tylko Kundrat będzie brał basy, bo to on łokciem i miarką manipulował, Kijas sam ich się nigdy nie dotknął. Ale jakkolwiek bądź, dusza ludzka żyje po śmierci, o tym już wątplić nie można – a to jest rzecz kapitalna. Potem wziął jeszcze w rękę kilka pisarzy kościelnych, których miał w kopiach, miał i ewangelie w fragmentach, pisane po grecku, czytał to wszystko pilnie, z rozumieniem i przejęciem się ich autorami, i wszędzie znalazł potwierdzenie tego, co w Dantem wyczytał.

Kijas pod zgryzotami i pod ciężarem starości, prawie nieznacznie, lecz bezustannie, upadał na siłach fizycznych: zgarbił się, zgrzybiał, po wschodach chodził z trudnością, czasem musiał się nawet na kimś opierać, ażeby przejść z jednej komnaty do drugiej; ale wewnętrznie znacznie się uspokoił. Od czasu do czasu, w chwilach pochmurnego humoru, nasuwały mu się jeszcze niejaki wątpliwości, czy dusza ludzka jest nieśmiertelną, i dlatego bardzo lubił o tym rozmawiać. W końcu, cokolwiek bądź mu kto przeciwko jego przekonaniom powiedział, zawsze to sobie Dantem rozproszył. Wszelako jeszcze inna go trapiła wątpliwość, na którą w żadnej książce wyjaśnienia nie znalazł: a to, czy po śmierci swojego syna obaczy? – Bo jużci, dusze są nieśmiertelne, Tigranes w błyszczącym pancerzu i hełmie a w płaszczu niebieskim, żółto podbitym, gdzieś sobie tam żyje pomiędzy chmurami: ale czy dusze, na tej niezmiernej przestrzeni, gdzie tyle milionów gwiazd koło siebie się mieści, a jedna drugiej nie tyka, mogą tak łatwo spotkać się z sobą? To jest rzecz godna głębszego zastanowienia. Miasto Lwów przecie niewielkie, gdzie mu się tam równać do nieba? człowiek co dzień na ulicę wychodzi – a przecie czasem i przez cały rok drugiego znajomego nie spotka? cóż to dopiero musi być w niebie?

Kijas swoimi konwersacjami o nieśmiertelności duszy okrutnie męczył wszystkich swoich znajomych. Z początku zimy znamienitsi mieszczanie, księża, a nawet i przedniejsi żołnierze bardzo gęsto go odwiedzali, raz, aby go z obowiązku przyjaźni w jego ciężkiej żałobie pocieszać, a potem, aby z nim rozumnie pogadać i wypić kubek małmazji. Ale jak zaczął ich bombardować nieśmiertelnością duszy i swymi zapytaniem, jak też oni to rozumieją, czy on po śmierci potrafi duszę Tigranesa odszukać pomiędzy tymi niezliczonymi gwiazdami – tak ich wszystkich wypłoszył. Najzawołąnsi bibosze, jak Łopatka, Olizar i inni, woleli się wyrzec najprzedniejszej małmazji, niżeli za każdym haustem brać w łeb Platonem lub Dantem i przyznawać się do tego, że o nich nigdy nic nie słyszeli – a oprócz tego jeszcze i słuchać, jaką sarabandę diabli wyprawiają ich duszom w czyśćcu i w piekle i na jakich instrumentach będą im do tego przygrywać. Wkrótce też Kijas znalazł się zupełnie osamotnionym; nawet i Kergolaj, nie mogąc się nigdy u Formozy doprosić, aby go u siebie przyjęła, bardzo rzadko się pokazywał: do rozmowy zostali mu tylko Formoza i Kundrat.

Formoza umiała się jego nedorzecznym pytaniom jeszcze jakokolwiek obronić, albowiem pojmując religię z wyższego punktu widzenia i nie zapuszczając się w bliższe badanie takich artykułów wiary, które w ustach osób świeckich a nieuczonych przybierają zawsze pozory guseł lub bajek, sprowadzała go do prawd religijno-moralnych, a wreszcie do spraw rodzinnych i gospodarskich. Miała ona zresztą taką nad nim powagę, że cokolwiek zrobiła lub powiedziała, jeżeli to tylko nie była przesadzona pochwała dla niemiłego jemu rycerstwa, to zawsze na wszystko się zgodził.

Ale Kundrat był z nim bardzo nieszczęśliwy. To już kwiecień się kończy, już trzeba szkuty spławiać Dniestrem do Kaffy, do Kili i Białogrodu, tu jeszcze ze wszystkich miast zalegają rachunki, tu miejskie sklepy nie mogą dostarczyć towarów, gwar, nieład, nie wiedzieć komu dać kredyt i jak się pozbyć natrętnych, tu, jak słyhać, Wołosza już najechała Pokucie, tu wreszcie Pachna jakieś zdradliwe knuje przeciwko niemu zamiary, zgoła sam nie wie, do czego ma pierwiej rękę przyłożyć i jak jego głowa temu wszystkiemu da radę – a tu go Kijas nieraz po całych godzinach prawie trzyma za poły i dyskutuje z nim kwestią nieśmiertelności duszy, tudzież – jeszcze daleko ważniejszą kwestią swojego spotkania się z Tigranesem.

Wszyscy diabli mogliby wziąć człowieka za życia, kiedy się znajdzie w takich tarapatach. Kundrat sobie bardzo mozolnie suszył głowę nad tym, jaki by na to sposób wynaleźć, ażeby zamknąć gębę staremu i przynajmniej na jakiś czas go uspokoić, myślał nad tym i myślał, i nareszcie coś bardzo mądrego wymyślił.

Tego dnia – a było to już w pierwszych dniach maja – Kijas właśnie go męczył daleko nielitościwiej, jak zwykle, mówiąc:

– Ale ty mnie nie rozumiesz, bo też i nie słuchasz jak trzeba. Ja tobie o takich ważnych rzeczach powiadam, ty niby słuchasz – a ja widzę po twojej twarzy, że myślisz o czym innym. Pewnie o Pachnie, pożał się Boże. Dusza ludzka jest nieśmiertelną, to jest rzecz pewna. Dusza ludzka żyje i tak właśnie wygląda, jak wyglądała za życia, jeno zrzuciwszy ciało ze siebie, nie da się chwycić rękami. Jakim sposobem można ją palić rozmaitymi ogniami, kiedy ciała nie ma, to mi się jakoś nie ochapia, ale musi to tak być, kiedy tak napisano. Cóżkolwiek bądź, zawsze i to jest rzecz pewna, że można by ją widzieć, gdyby tu przyszła, jeno nie wiem, czy kiedy przychodzi na ziemię.

– Przychodzi – rzekł Kundrat głosem stanowczym – tych ludzi, co dusze widzieli, nawet by nikt nie policzył.

– I mnie to powiadano – odpowiedział mu Kijas, bardzo tą sprawą zajęty – chociaż sam nigdy żadnej nie widziałem. Czekajże więc, bo nie o to teraz mi chodzi, tylko o to, czy dusze mogą być tego pewne, że się z sobą spotkają po śmierci. Bo uważasz mnie, dusza Tigranesa, co, jak wiesz, nie miał żadnego grzechu na sobie, a do tego jeszcze i zginął śmiercią męczeńską, pewnie jest w niebie. Formoza także mi zawsze powiada, że jest w niebie. A ja... ucho-

waj Boże, ale przecie być może, że się do czyścica dostanę: a to nie jedna droga. Więc myślę sobie: Czy ja też jego odszukam? Cóż ty o tym rozumiesz?

– A czy ja wiem? – rzecze mu Kundrat – trudno to zgadnąć, jak to tam będzie na tamtym świecie. Jenó to mogę jegomości powiedzieć, że to, co jegomość robisz i gadasz, jest *contra fidem*. Bom ja się tych rzeczy uczył w Krakowie i wiem dokumentnie (bo też i żaden biskup inaczej nie powie), że człowiekowi świeckiemu nie wolno dyskutować artykułów wiary. Jenó jeżeli ma jaką wątpliwość, tedy powinien poradzić się księdza, a co mu ksiądz powie, w to ma wierzyć – i basta. Jeżeliby zaś dyskutował, tedy już za to samo pójdzie do czyścica – a tam mu za to daleko lepiej natargają czupryny niżeli za jaki grzech pospolity: bo kto dyskutuje, ten wąpi, kto wąpi, ten nie wierzy, a kto nie wierzy, ten grzech śmiertelny popełnia, więc diabeł go za łeb i do czyścica! A tam go ogniem z tych wątpliwości oczyszczą, co też jest środek pewny i niezawodny.

A na to Kijas:

– Wszelako czytałem u jakiego świętego, że *in dubiis libertas*<sup>71</sup>.

– *In dubiis libertas* – rzekł Kundrat – ale to nie jest *dubium*, że dusza jest nieśmiertelna.

– Ależ ja wierzę – zawołał Kijas – że dusza jest nieśmiertelna i chroń mnie Boże! abym miał o tym najmniejsze powątpiewanie. Jenó o to mi chodzi, czy się dusze mogą i odszukać po śmierci.

– Jegomość tego nie rozumiesz – rzekł Kundrat – boś ślę teologii nie uczył. A co tam wasi ormiańscy teologowie o tym popisali, to nawet szkoda i czytać, bo to tam niepomalu jest zaproszone kacerstwem. Według naszej teologii, dusza ludzka nie jest przywiązana do miejsca, jak człowiek, bo to jest duch; więc może być wszędzie, gdzie chce. Więc też i nie masz żadnego szukania. Ja to jegomości wytłumaczę. Przypuśćmy na ten przykład, co nie daj Boże! że jegomość umierasz, więc Tigranes, co o tym wie, bo dusza wie wszystko, a co jegomości tak kochał, już jest przy jego łóżku i czeka – a jak jegomość duszę ze siebie wypuścił, więc zaraz obydwie dusze się widzą i idą sobie razem, gdzie chcą.

– Więc on i teraz tu jest? – rzecze Kijas, zamyślając się nad tym.

– Jużci jest, jeżeli chce, jenó że go nie widzimy.

Więc Kijas mocno nad tym się zastanowił, a potem rzekł:

– Widzisz, widzisz, mój Kundrat, jak to każda rzecz na tym świecie ma dwie strony, często całkiem sprzeczne ze sobą. My, ludzie pracy, mamy tę zaletę, że przynosimy sobie, naszym współbraciom i całemu królestwu pożytek, ale mamy tę wielką wadę, że bezustanną pracą zajęci, nie myślimy o duszy. Tak mnie dopiero na starość przychodzi się uczyć tych rzeczy, o których powinienem był myśleć co dzień przez całe życie...

Po czym się znowu przez chwilę namyślił, westchnął głęboko i rzekł:

– Nie wąpię ja o tym, że jeśli łaska Boża będzie po temu, to go obaczę po śmierci, ale przeciebym go chciał widzieć, nim umrę. Czy nie masz na to jakiego sposobu? Trzeba by się o to zapytać jakiego księdza...

Kijas się oczywiście obawiał, że pójdzie do czyścica. Zatem Kundrat powiedział mu, patrząc tryumfującym wzrokiem na niego:

– Jużem ja się o to wpytał.

– Wpytałeś się? – zawołał Kijas – a nic nie powiadasz. Powiadaj że mi, co wiesz. Ja myśle, że każdy ksiądz może duszę wywołać.

– Może – rzekł Kundrat – jeżeli chce; ale nie chce – i w tym właśnie jest trudność. Mówiłem ja o tym z kilkoma księżami, ale wszyscy mi odmówili, składając się Pismem. Niektórzy mnie nawet wytuzowali – a niech to pomiędzy nami zostanie, ale uważam to za prawdziwy cud Boży, że mi się przy tym jeszcze co nie oberwało. Albowiem widząc, że z naszymi księżami się nie mogę dogadać, choć mówiąc z nimi miałem zawsze kiesę przy sobie, wezwałem

---

<sup>71</sup> *in dubiis libertas* (łac.) – w razie wątpliwości wolność

Pana Boga na pomoc i poszedłem onegdaj do naszego księdza arcybiskupa. Pan to wielki, głowę nosi wysoko, chudy pacholek przy nim czuje się ledwie maleńkim robaczkiem; alem sobie myślał, że ksiądz arcybiskup bywa czasem u jegomości, zawsze łaskaw jest na nas, więc się może nad nami zlituje. A miałem szczerą intencją, kiedy by o złote węgierskie na kościół chodziło, obiecać choćby i sto, a choćby i więcej, i nawet potem dotrzymać, bom wiedział, że jegomość złota pewnie nie pożałujesz.

– Dobrześ zrobił – rzecze mu Kijas – wiesz, że mi o złoto nie chodzi.

– Ba! dobrześ zrobił! – powiadał Kundrat dalej – ziem zrobił. Albowiem, słuchaj jegomość, co mi się stało. Kiedym się księdzu arcybiskupowi w jego pałacu pokłonił, przyjął mnie bardzo łaskawie i rzekł mi: „Panie notariuszu lonherii, cóż mi tam dobrego przynosisz? czy nie namyśliłeś się wreszcie i czy nie przychodzisz prosić o pozwolenie na ślub i dać kiesę złota na zapowiedzi? boć wiem ja dobrae, kędy żonka ci pachnie, a tak mi się zdaje, że już wielki czas jest po temu”. – Tak mnie to nawet najwięksi panowie kochają i wszyscy życzą mi Pachny. Ale kiedym mu się raz jeszcze pokłonił i opowiedział, jako jegomość chorujesz na śmierć swego syna i pewnie umrzesz na tę chorobę (takem mu to umyślnie powiedział), więc żeby rozkazał księżom jego duszę wywołać, bo tylko to jedno mogłoby jegomości dawne zdrowie powrócić; więc ksiądz arcybiskup zerwał się na równe nogi i wyrósł tak wielki, że głową się oparł o pułap, a takim srogim gniewem zapłonął, jak gdyby samego antychrysta obaczył, i zawołał takim głosem, że aż się podłoga pode mną zatrzęsała: „Durniu jeden! kołtunie! kacerzu! won! za drzwi! a jak mi się tu jeszcze raz z taką supliką pokażesz, to każę cię wziąć moim żołnierzom, a oni ci tyle wsypią batogów, że dusze twoich wszystkich pradziadków obaczysz, jeżeli ich miałeś!” – I jeszcze coś tam dalej grzmiał za mną: ale jam już tego nie słyszał, bo prawdę mówiąc, dusza w pięty mi poszła od strachu, więc przycupnąłem do ziemi i w nogi... Nawet i sam nie wiem, jakem się tam bez szwanku przecisnął przez tych drabów arcybiskupich, co w pancerzach i hełmach, z rohatynami w rękę, a z różańcami u pasa, zalegają tam wszystkie korytarze i schody. Szczęście, że mi się noga nie pośliznęła, bo jako to ci rycerscy hultaje zawsze są okrutnie łakomi na skórę mieszczańską, byliby mi pewnie dali takiego łupnia, żebym był pradziadka obaczył, jako więc sam arcybiskup mi w swojej łasce powiedział. A że i brama była otwarta, więc ja chlust na ulicę – i jakoś nic mi się nie stało. Jenom w tym pośpiechu mojej aksamitnej czapki kędyś odbieżał, nie wiem, czy na pokojach, czy też na schodach; dwa czerwone złote mnie kosztowała, oni ją pewnie za dwa szerokie grosze przepiją: ale trudnoż, miałem za nią wracać między tych rozbójników...

Więc Kijas mocno się nad tym zamyślił, a potem rzekł sentencjonalnie:

– Gdzie kto kij podniesie, waść zawsze swoich pleców nastawisz. Człowiek z ciebie niby rozumny, ale miewasz głupie koncepty, właśnie jako to mówią: „W butach chodzi, a bose ślady robi”. Po co tobie było chodzić z tym do arcybiskupa? Myślałeś, że go wzruszysz moim zmartwieniem – a nie zastanowiłeś się nad tym, że i ja, i cały mój dom, i cała moja rodzina, to okrutne bzdurstwo u niego. To rycerz i biskup – a ja mieszczanin: dalej ode mnie do niego niżeli od ziemi do słońca. Takie nam czasy nadeszły, cóż robić? Łokciem a miarką nie pobijesz ani miecza, ani krzyża, a cóż dopiero, jeżeli krzyż i miecz w jednych znajduje się rękę. A jeśli myślisz, że w nich respekt obudzisz twoimi pieniędzmi, to i w tym się mylisz. Bo najprzód, mają oni dóbr daleko więcej niżeli my, a potem, mają przecie garść swoje, tak silną, że taki kupczyk nie miałby czasu ani ziewnąć, kiedy by się jej dostał pomiędzy palce. Głupstwoś zrobił, mój bracie, żeś z tym poszedł do arcybiskupa. Mniejsza tam o to, że ci strachu napędził, boś już z niego ochłonał, a konfuzja się z czasem zapomni. Ale to źle, że teraz już trudno będzie znaleźć takiego księdza, co by nam duszę Tigranesa wywołał.

Ale Kundrat rzekł na to wesoło:

– A ja przecież takiego znalazłem i mogę jegomości zapewnić, bo się też na tym znam jak potrzeba, że jest lepszy do takich rzeczy od wszystkich. Znałem ja jego już dawniej, bo był u Tigranesa w obozie, alem się dopiero teraz dowiedział, jaką ma moc nad duszami. Nazywa

się ksiądz Biały albo też Wara, bo i tak go wołają. Jest księdzem jak trzeba, ofiarowano mu już rozmaite probostwa, a nawet kanonie, ale nie przyjął, bo pielgrzymstwem się bawi, co roku jest w Rzymie i Ziemi Świętej i tam ze świętymi obcuje. Jakich już rzeczy dokazał, o tym się nie można dosyć nasłuchać. On Kmicie na Sobniu, co zabił dwóch chłopów, chociaż tym dwa grzechy śmiertelne popełnił, absolicją wyrobił i teraz Kmita jest, jak każdy inny człowiek, bez grzechu...

Na to opowiadanie obudził się w nawróconym Kijasie jego człowiek dawny, trzeźwy i tylko w to wierzący, co widzi, i rzekł:

– Jeśli to był odpust pisany, to takich rzeczy w dzisiejszych czasach i za pieniądze dostanie.

– Ale gdzież tam! – zawołał Kundrat i opowiedział mu, jak to było, że na znak, jako jego grzechy są odpuszczone, kapłon pieczony zatrzepotał skrzydłami i zapiał. A Kijas na to z bolesnym uśmiechem na twarzy:

– Jeśliby tego kapłona było upieczono w mojej kuchni, to ręczę ci za to, że nie byłby zapiał.

Wszakże Kundrata, jako człowieka przekonanego, takie uwagi niecierpliwiły, zaczem rzekł:

– Było przy tym więcej niżeli dwadzieścia osób, więc nie ma co oponować. A zresztą Kmita ofiarował Warze probostwo na Lesku, a Wara nie przyjął, więc nie godzi się go podejrzewać o żadne nieuczciwości. Ale to jeszcze nic. Albowiem tenże sam Wara, będąc w przyjaźni z Wilczkiem, uprosił to u Pana Boga, że Gniewosz zginął... Gdybym to był wiedział, byłbym Kergolaja zarekomendował jego modlitwom. Owo więc: że Gniewosz zginął i że stara Gniewszowa umarła, a potem sam dał ślub Wilczkowi.

– On to jemu dał ślub? – rzecze Kijas – ale to tam różnie mówią o tym ślubie. I podobno dlatego Wilczek jeszcze nas nie odwiedził, chociażśmy mu przyjaciółmi, a jego żona bliska krewna pani Formozy...

– Jegomość bałamucisz cokolwiek – powiedział mu Kundrat, nabierając coraz więcej odwagi wobec zrozpaczonego starca – przecież sam byłem niedawno na zamku tustańskim i mówiłem jegomości, jako Wilczek mnie prosił, abym jegomości powiedział: że dlatego jeszcze się do nas nie wybrał, że on jest w szczęściu, a u nas żałoba, że się więc ekskuzuje, ale później przyjedzie. A potem słabość pani Wilczkowej, maleńkie dzieciątko w domu i co tam dalej, jegomość wiesz.

– Prawda, prawda – rzekł Kijas – widzisz, jak to ja już nie mam pamięci. Więc tedy cóż tam ksiądz Wara? Wywoła duszę mojego syna?

– Wywoła. Ale...

– Ale pewnie chce być wynagrodzonym.

– Chce kiesę złota, w której ma być sto czerwonych złotych węgierskich.

– To daj mu.

– Obiecałem, ale...

– Ale i to mu za mało. To daj mu dwie kiesie. Co mi tam na tym! byle mi syna wywołał, byłem już wiedział na pewno, że jest w niebie, i byłem się mu wytłumaczył, dlaczego zwłok jego jeszcze dotąd do kościoła nie przeniósł, bo mi to okrutnie cięży na sercu.

– Nie – rzecze Kundrat – jedna kiesa wystarczy.

– Więc jedna, ale spodziewam się po tobie, że przecie z nim zawrzesz umowę, że tylko wtedy kiesę dostanie, jeżeli ja duszę mojego syna obaczę.

– To się rozumie. Umowa już zawarta w tych samych słowach, na com mu też wydał cero-graf.

– Więc o cóż jeszcze idzie? Więc niech jeszcze dziś tu przychodzi i niechaj duszę zawoła.

– Nie tak to ma się odprawić – rzekł Kundrat – bo duszy tak zawołać nie można, jak jakiego pachółka. Więc najprzód, Wara tutaj nie przyjdzie. On mieszka na Krakowskim Przedmie-

ściu pomiędzy żołnierzami, z którymi ma komitywę, do miasta się pokazywać nie może, bo go tu księża nie lubią za to, że cuda robi, lepsze jak oni. Potem, duszy wywołać gdzie indziej nie może, tylko z własnego jej grobu, więc będziemy musieli pójść na cmentarz...

– Ja bym i do Krakowa pojechał – przerwał mu Kijas – to mniejsza.

– Potem, nie może jej zaraz wywołać – powiadał dalej Kundrat – bo się o to modli do św. Stanisława biskupa, a jeszcze sobie odpowiedzi nie wymodlił.

– Więc zaczekamy.

– A wreszcie jest jeszcze inny warunek. Oto jegomość masz iść do spowiedzi i oczyścić się z grzechów, bo człowiekowi grzesznemu dusze się nie pokazują, chyba żeby go za uszy wytargać za winy, które przeciw nim popełnił. A po spowiedzi masz jegomość chodzić co dzień do cerkwi i modlić się, a wciąż myśleć o swoim synu, ażeby też wiedział, że jegomość pragniesz go widzieć. A potem ta rzecz tak się odbędzie: w dzień oznaczony przez Warę, na godzinę przed północą, pójdziemy na cmentarz i tam Wara Tigranesa z grobu wywoła, jegomość go na własne oczy obaczysz, ale nie będziesz się z nim wdawał w żadne dyskursy. Jednak kiedy wrócisz do domu, Tigranes się jegomości pokaże nad łóżkiem, a wtedy będziesz się mógł z nim nagadać do woli.

Kijas nad tym trochę pomyślał, a potem tak odpowiedział:

– Słysz, Kundrat! gdyby mi to arcybiskup powiedział albo nieboszczyk o Chryzostom, to bym na ślepo wierzył. Bo już ci dusze żyją na tamtym świecie, o tym żaden chrześcijanin nie może wątpić, a już sam rozum mówi, że kiedy żyją, to mogą się pokazywać. Ten twój ksiądz Wara jest mi podejrzany cokolwiek, zwłaszcza że pielgrzymuje, bośmy tu już takich pielgrzymów i do turmy sadzać musieli, prawda, że każdy z nich się jakimś cudem z turmy wyłamał. Ale powiadam sobie: Co mi to szkodzi? Wywoła Tigranesa, to dobrze – a jeśli go nie wywoła, to sobie spokojnie wrócimy do domu. Ja duszy nie obaczę, on kiesy nie dostanie, dla niego i dla mnie będzie to *lucrum cessans*<sup>72</sup>, ale nie *damnum emergens*<sup>73</sup>, i na tym wszystko się skończy.

Na tym także skończyła się ich dzisiejsza rozmowa.

Nazajutrz dzień Kijas szedł do spowiedzi i potem co dzień raniutko chodził do cerkwi i dopiero koło południa powracał. Zniepokoiło to cokolwiek Formozę, a to tym bardziej, ile że teść jej dawniej nigdy nie był tak bardzo nabożnym, teraz zaś nie tylko że się modlił tak pilnie, ale nadto bywał tak zamyślonym, że czasem trzeba było kilka razy do niego przemawiać, nim się dorozumiał, o co go zapytywano. Zaś jak się rozgadał, to nie było mu końca i opowiadał takie rzeczy o duszach ludzkich, o niebie, o czyścicu i piekle, jakich nigdy od niego nie słyszano. Formoza, zawsze rozsądna, choć tak głęboko przytłumiona żalobą, uważała to za znak jakiś niedobry, bardzo się tym zajęła i usiłowała dowiedzieć się od Kundrata, co on o tym rozumie. Ale Kundrat miał z Kijasem umowę, że jej ani słówka o tym nie powiedzą, co się przygotowuje: bo obydwaj wiedzieli, że ona nigdy by na to nie zezwoliła, ażeby w jaki bądź sposób niepokojono dusze umarłych.

Kijas, choć niby Warze nie ufał, przecież z każdym dniem więcej się niecierpliwił; ale nareszcie nadszedł dzień św. Stanisława biskupa i Kundrat już przybiegł zaraz z południa, ażeby zapowiedzieć Kijasowi, jako mu Wara właśnie oznajmił, że dzisiaj w nocy duszę Tigranesa wywoła. Dziś, mówił Wara, sam św. Stanisław mu się objawił i powiedział mu, że dziś, w dzień swoich imienin, pozwoli Tigranesowi, aby się swemu ojcu pokazał.

Wara powiedział także Kundratowi, że ma ciężkie zmartwienie, bo ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedział się, że Tigranes jest w czyścicu. Ot! jacy to ludzie są na tym świecie! Kto go znał, byłby przysiągł, że tam najmniejszej skazy nie masz na jego duszy, a tu tymczasem tyle się nagrzeszło, że nawet i pal męczeński nie pomógł i trzeba było skąpać się w

---

<sup>72</sup> *lucrum cessans* (łac.) – spodziewany zysk

<sup>73</sup> *damnum emergens* (łac.) – rzeczywista szkoda

czyśćcu. Nic to nie szkodzi. Tylko Wara zapowiada z góry, iż z tego powodu dusza Tigranesa pokaże się tak, jak jest w czyśćcu, w ogniach i dymach, więc żeby się tego nie przestraszyli.

Kundrat nie chciał martwić zacnego ojca i nie powiedział mu tej fatalnej nowiny, tylko rozmawiając z nim o tym przez całą godzinę, wspominał mu nawiasowo, że dusze rozmaicie się objawiają, czasem w chmurze, a czasem w ogniu i dymie. Kijas nielitościwie męczył Kundrata, ażeby mu wszystko szczegółowo wyłożył, co mu powiadał Wara; Kundrat byłby rad jaki pozór wymyślił, aby się wymknąć z tej inkwizycji, ale nie mógł, bo było to święto, wszystkie sklepy i sklepy pozamykane i nie można było zmyślić jakiej roboty: jednak na szczęście pod wieczór Kergolaj, który właśnie wczoraj znów do Lwowa przyjechał, przyszedł z odwiedzinami i konwersacja się odwróciła do innych przedmiotów.

Zaproszono go, aby został na wieczerzy, przyszła także Formoza, Kergolaj od czasu wojny dziś po raz pierwszy obaczył Formozę, usiłował ją ile możliwości rozerwać, opowiadał rozmaite ciekawe historie i wieczerza się długo przeciągnęła. Kundrat bardzo kontent był z tego. Po dziesiątej na półzegarzu Formoza pokłoniła się i odeszła do swoich pokojów; ale Kergolaj został, pił małmazją wielkim pucharem, był dobrej myśli, rozgadał się i ani myślał odchodzić. Już pół do jedenastej, już jedenasta się zbliża, a on jeszcze wciąż pije i gada. Kijas i Kundrat coraz więcej się niecierpliwią, już się kręcą na krzesłach, już siedzą jakby na węglach, rzucają oczyma na siebie, nie wiedząc, co począć, aż wreszcie porozumiewają się z sobą i decydują, że nie masz innego sposobu, tylko trzeba Kergolajowi powiedzieć, że muszą wyjść, bo mają duszę Tigranesa obaczyć.

– Duszę Tigranesa! – zawołał Kergolaj – to ja pójdę z wami. Widziałem ja dusz niemało, niektóre z nich dały mi się dobrze we znaki, ale mnie przecie nie zjadły. Tigranesa zaś bardzo rad będę oglądał, bom go też kochał jak brata.

– Waszmość dusze widywałeś? – zapytał Kijas ciekawie.

A Kergolaj na to wziął go rękami za obydwie ramiona, spojrział mu w oczy i rzekł:

– Panie Epaminondas! masz ty jeszcze dość gęstą czuprynę, ale przecie ci powiem, że nie masz ty tyle włosów na głowie, ile ja dusz w moim życiu widziałem. Są między nimi niektóre okrutnie złośliwe, co jak ci w nocy siedzą na piersiach, to i sapnąć nie możesz i już jest pewien, że cię uduszą; zerwiesz się z łóżka i uciekniesz, one gonią za tobą i nie uwolnisz się od nich, aż sobie łeb na jakim kamieniu rozbijesz. Wtedy znikają: ale przecie nie słyszał, ażeby kogo na śmierć zamęczyły – a widzieć je, zawsze to rzecz bardzo ciekawa, choć się przy tym jakiego guza oberwie.

– Tym razem żadnego guza nie oberwiemy – rzecze mu Kijas z uśmiechem – boć mój syn przecie nam nic złego nie zrobi.

Zaczem szli wszyscy trzej jak najlepszej myśli na cmentarz.

Było to właśnie dni kilka po pełni, noc była pogodna, lecz ciemna. Światła we wszystkich oknach były już pogaszone. Przez wąskie ulice miasta przeszli bez żadnej przeszkody, bo je znali dokładnie. Wyszedszy za bramę, trochę trudniej im było, ale Kundrat znał drogę. Tak minęli kościółek N. Panny Marii i weszli na cmentarz. Kundrat zalecał ostrożność, bo tu i owdzie znajdowały się groby pozapadane, inne sterczały wysoko nad ziemię, a być może, że tu i owdzie dopiero wczoraj jaki świeży grób wykopano, o czym nie można było wiedzieć na pewno. Zaś między grobami sterczały krzyżyki i rosły krzaczyska, które trzeba było wymijać.

Grób Tigranesa, pielęgnowany starannie, także się zapadł cokolwiek na wiosnę, ale był obsadzony gęstą krzewiną. Choć było ciemno, Kijas już o trzydzieści kroków go poznał.

Tu się też zatrzymali – a Kundrat, nie bez strachu, bo tak dygotał zębami, że można było je słyszeć, poszedł ku temu grobowi, ażeby powiedzieć Warze, że Kijas już jest i czeka.

Kergolaj był w złotym humorze, bardzo go ta wyprawa bawiła, jakoż usłyszawszy, jak Kundrat zębami klekotał, rozśmiał się głośno i rzekł do Kijasa:

– Owo rycerz od łokcia i miarki! jeszcze nic nie obaczył, a już go tłucze zimnica.

Ale Kijas, przejęty ważnością chwili, kiwnął ręką na niego, ażeby milczał.

W tej chwili Kundrat zniknął – a niebawem dały się słyszeć szepty za krzakami, które się przedłużały. Kergolaj zapytał Kijasa:

– A z kim to tam Kundrat rozmawia nad grobem? Bo jakoś mi się to nie podoba.

Ale Kijas, nie odwracając oczu od grobu, ścisnął go mocno za ramię, dając mu znowu znak tym sposobem, ażeby milczał.

Na to przybiegł Kundrat, ciągle dygocąc zębami, i rzekł szeptem do Kijasa:

– Postąp jegomość naprzód.

Kijas postąpił naprzód, a Kundrat wziął Kergolaja za rękę, zatrzymując go w miejscu i prawie się opierając o niego.

Kergolaj się trochę odsunął i chciał Kundrata od siebie odtrącić, bo mu widok zasłaniał: ale w tej chwili dał się słyszeć okrutny szelest za krzakami i głos się odezwał:

– Ojczy mój! ojczy!

Był to oczywiście głos Tigranesa, głos przytłumiony, jęczący, jak gdyby się wydobywał spod ziemi.

Wszystkich dreszcz przeszedł.

Kergolaj uczył się także wzruszonym, otworzył usta, dech zaparł i wyteżył wzrok w te krzaki, skąd się ten głos odezwał.

Kundratowi wszakże mdło się zrobiło, obejrzał się koło siebie, ustąpił na bok o kilka kroków i wlaź w gęste krzaki, które tam stały, przycupnąwszy do ziemi.

Jeszcze jedno oka mgnienie – a wtem na grobie Tigranesa pomiędzy krzewami buchnął ogromny ogień, właśnie jak gdyby garniec strzelnego prochu się spalił, jasny płomień olśnił oczy patrzących, iskry całymi snopami wystrzeliły do góry i chmury białego dymu osiadły na grobie, podnosząc się z wolna w powietrze.

Kijas złożył ręce przed sobą i zawołał:

– Synu mój! synu!

Zapewne w tej chwili duszę Tigranesa obaczył.

Kergolaj jeszcze mocniej oczy wyteżył i nic nie widział – a w tym momencie dał się słyszeć strzał z potężnego muszkietu kędyś poniżej cmentarza, w kierunku Niskiego Zamku.

Kergolaj ten strzał doskonale usłyszał i odwrócił się w tę stronę, wyteżając oko i ucho: ale w tej samej chwili ziemia zaczęła tętnić w stronie przeciwnej.

Kergolaj, mając ucho niezmiernie wprawne do takich rzeczy, poznał natychmiast, że od góry Piaskowej puściła się kłusem konnica, właśnie jak gdyby w kierunku cmentarza. Słuchał przez chwilę, lecz kiedy galop usłyszał, nie namyślał się długo, tylko w lot na bok uskoczył, usiłując się przedrzeć przez krzewy i wybiec z cmentarza.

Ale choć bardzo był szybkim w swych ruchach, już było za późno. Konna chorągiew, złożona z czterdziestu lub pięćdziesięciu ludzi na ciężkich koniach, przeleciała galopem jak burza przez cmentarz i popędziła na dół ku Niskiemu Zamkowi. Kergolaj został obalony końskimi piersiami, padł zacmielony na ziemię, a chorągiew przeleciała ponad nim jak wiatr.

Jednak rycerz, przyzwyczajony do takich wypadków, zaraz wrócił do przytomności. Na swoje szczęście, porwany tylko skrzydłem tej konnicy, odleciał na stronę i wpadł w grób zapadnięty, zaczem czuł tylko kontuzje, lecz, obmacawszy się, znalazł, że żadnej rany nie odniósł. Wylazłszy więc z grobu, rozejrzał się naokoło i pomyślał nad tym, co to się stało.

Według jego przekonania, była to oczywiście jakaś zmowa na niego. Mieszczanie się zszepnęli przeciwko niemu i wprowadzili go w matnię. To ten drab Kundrat, co by go za Pachnę w łyżce wody utopił, to wszystko ułożył – a on taki głupi, że się dał złapać...

Tak sobie mówiąc, zaczął się rozglądać po cmentarzu. Cisza była w tej chwili, jak na polu śmierci wśród nocy. Księżyc wypłynął na niebo i zaczął po cmentarzu swe światło rozlewać. Światło było słabe, lecz dostateczne, ażeby taki rycerz, co i w nocy widzi jak kot, mógł dobrze rozeznąć przedmioty. Kergolaj chciał dojść do grobu Tigranesa i obaczyć na własne oczy, jakie to ognie tam się spaliły. Lecz idąc, spostrzegł Kundrata przycupniętego w krza-



kach, którego właśnie te krzaki ocaliły. Tego mu też było potrzeba. Kergolaj był także chytry jak lis, więc rzekł po przyjacielsku do niego:

– Wylaż no, panie bracie, z tych krzów, teraz przecie już nic ci się nie stanie.

Kundrat kontent, że przecie się jakaś żywa dusza zjawiała, wylaż z gęstwiny i rzekł wesoło:

– Jacyś konni tu przelecieli przez cmentarz, pewnie duchy diabelskie, ale Kundrat niegłupi...

Jednak jeszcze tych słów nie dokończył, kiedy Kergolajowi zaokrągliły się oczy, porwał go lewą ręką za piersi, podniósł w górę jak łątkę i srogim głosem zawołał:

– To ty, hultaju, wprowadziłeś mnie w taką połapkę! Bekniesz ty za to twoją duszą diabelską!

A to mówiąc, podniósł swoje drapieżną prawicę do góry i oczywiście chciał go bić w papę.

Ale kiedy Kundrat, wiszący w powietrzu, tę strasliwą prawicę nad sobą obaczył, zwiądnął jak powismo, przymknął oczy, a w jego wnętrzu coś tak okrutnie zabulkotało, właśnie jak gdyby jakiś grzmot mu przeleciał po kiszkach. Bardzo przestraszył się nieboraczek...

Jednakże Kergolaj, w gruncie serca dobre chłopisko, kiedy ten grzmot wewnętrzny usłyszał, rozśmiał się w głos i rzucił go jak czapkę na ziemię, mówiąc:

– Masz dosyć i na tym.

A to rzekłszy, spokojnym krokiem precz poszedł z cmentarza.

Kundrat leżał przez długą chwilę z zamrużonymi oczyma. Już mu się zdało, że zamiast duszę Tigranesa obaczyć, swoje własną wypuścił. Dopiero po chwili wrócił do przytomności.

Ale wtedy usłyszał głosy opodał, zerwał się więc na równe nogi – a obaczywszy jakichś ludzi idących z latarniami w tę stronę, szedł ku nim śmiało, będąc pewnym, że mu pomogą starego Kijasa odszukać.

Jednak ci ludzie, jak tylko jego spostrzegli, rzucili się jak opętani ku niemu, jeden go porwał za lewe, drugi za prawe ramię, a trzeci za kołnierz, i kiedy mu czwarty zaświecił w oczy latarnią, piąty krzyknął nad nim takim okrutnym głosem, że wszystka krew w nim zamarzła:

– To ty, złodzieju! mewasz tu schadzki z tymi rabusiami i ty im odkupujesz porabowane towary! Poczekaj! znajdzie się tu w starostwie szubienica na ciebie, choć jesteś notariuszem lonherii!

Kundratowi znowu się w oczach zaćmiło. Nie miał ani przeczucia, co by to miało znaczyć i co by to byli za ludzie. Zdało mu się, jakoby tak wołał na niego Łopatka, bo wołał z ruska, ale nie mógł dopuścić, ażeby pan, zawsze tak grzeczny, traktował go tak niegrzeczными słowami. Jednak wtem inny zajrzał mu w oczy – a to był Olizar – i rzekł:

– Ja ciebie zawsze miałem za wielkiego złodzieja, ale przecie nie myślał, żebyś ty handlował zrabowanym towarem.

Kundrat dopiero teraz rozumiał, że się znajduje na gruncie jurysdykcji starościńskiej, z którą nie można było żartować: bo to tam szubienica jest zawsze nagotowana, a biedny człowiek, jeszcze się ledwie dowiedział, za co go wzięto, już wisi. Były też ciągłe spory pomiędzy starostą a miastem, a każdy mieszczanin unikał jak morowej zarazy, aby się nie dostał w drapieżne pazury drabów zamkowych. Wszystko to przeleciało teraz jak błyskawica przez głowę Kundrata i zdjął go strach wielkooki. W tym strachu rzucił się na kolana przed Łopatką i trzęsąc się cały a płacząc, zaczął się przed nim tłumaczyć. Urywanymi słowami i z wielką trudnością, lecz przecie mu opowiedział, dlaczego tak późno w nocy znajduje się na cmentarzu i że sam Kijas zaświadczy, jako to prawda, trzeba go tylko odszukać. Na to Łopatka obrócił się do Olizara i rzekł:

– A widzisz, com ci powiedział, że tu dusze chodzą po tym cmentarzu.

Ale Olizar patrzył bardzo gniewnymi oczyma na Kundrata i odpowiedział:

– Dusze to co innego. Ale to nie jest dusza, jeno Niemiec a kołtun, co wszyscy znamy jego kabały, jakie na naszych rycerzy zastawia, zaś całe miasto go zna z jego drapiestwa. Oszukuje

na miarze i wadze, a już niejednego puścił lichwą z torbami. Jak skoroś go złapał na gorącym uczynku, to go każ przypiąć do szubienicy, bo i tak już cię te miejskie kołtuny za nic nie mają.

Łopatka może się chwiał w swoim sumieniu, lecz odpowiedział groźnie:

– Juźci ja z takiej obławy nie wyjdę z próżnymi rękami, a ten Niemiec nałoży szyją, choćby też dla przykładu. Jeno przecie chciałbym wiedzieć na pewno, po co ten drab tu chodził na cmentarz po nocy.

– Co go tam będziesz pytał! – zawołał Olizar – po co tu chodził? kraść chodził – a wszystko, co on ci powie, to brechnia. Ten szelma tak łże, że i księdza na spowiedzi obelga. Na hak z nim przed świtem, bo i tego nie godzien, aby go słońce zastało żywego.

Bardzo więc krucho już było z Kundratem. Już w nim nie grzmiało, jeno oczy zasły mu białkiem, a dusza siedziała mu na ramieniu. Już nie dygotał zębami, jeno się, trząsał całym ciałem, jak gdyby go spod lodu wyjęto. Ale go Frąca wyratował.

Albowiem Frąca już od chwili stał za Łopatką i przypatrywał się tej tarapacie, w jakiej się Kundrat znajdował. A jako to swój zawsze trzyma za swoim, teraz się naprzód wysunął i rzekł z niemiecką powagą:

– Nie trzeba go wieszać bez inkwizycji. Jeżeli się bowiem wywiedzie, że tu przyszedł z Kijasem, ażeby duszę Tigranesa obaczyć, to oczywiście nie winien.

I zaraz się zbliżył do niego i spytał:

– Gdzież Kijas?

Zaczem Kundrat odetchnął, spojrział wdzięcznymi oczyma na Frąca i opowiedział im jeszcze raz, jak to było.

Więc wszyscy szli szukać Kijasa.

Szukali go długo i znaleźć nie mogli. Kundrat już był w rozpacz i mówił:

– Nie wiedzieć gdzie się zaproszył w tym strachu pomiędzy końmi. Zapewne się ratował ucieczką i poszedł do domu. Jeżeli więc nie dziś, to jutro wam zezna. Zresztą i pan Kergolaj był tutaj z nami, a świadectwo takiego rycerza przecież u pana starosty coś znaczy.

A wtem krzyknął jeden z żołnierzy:

– Ot! jakiś człowiek tu leży.

Wszyscy się zbiegli w to miejsce, przyświecili latarnią i wszyscy zaraz Kijasa poznali.

Leżał on rozciągnięty na plecach, z rozkrzyżowanymi ramionami i nie ruszał się wcale. Rany żadnej na nim nie było, tylko na jego czarnych aksamitnych sukniach widać było błotniste ślady kopyt końskich i suknia była w jednym miejscu rozdarta. Natomiast wszakże twarz jego wyglądała okropnie. Albowiem cera na niej była żółtawoblada jak stary pergamin, pod którym ani śladu krwi nie ma, oczy miał otwarte i w słupek obrócone i gębę miał rozwartą. Ten strach, który go objął, kiedy go nagle z ogromnym rumorem najechała konnica, odbił się na jego twarzy i zakrzepł, jak gdyby go śmierć zamroziła.

Olizar pochylił się nad nim, potrząsnął go, ale Kijas się nie obudził. Zaczem Olizar rzekł:

– Poszedł *ad patres*<sup>74</sup>, chyba że na dzień sądny się zbudzi.

Kundrat zacisnął obydwie ręce przed sobą na piersiach i wpatrzył się wytrzeszczonymi oczyma w martwą twarz swego patrona.

A wtedy już nie strach, ale zgroza jego duszę przejęła, w której też skostniał, bo już sam nie wiedział, co się z nim dzieje.

Pod tym wrażeniem zaczął drzeć na całym ciele, bo mu straszliwa myśl przeszła przez głowę, że go teraz pewnie uznają winnym tej śmierci i bez sądu powieszą.

Wszyscy obecni także byli przejęci żalem za tym poczciwym człowiekiem i przez chwilę milczeli.

Dopiero Olizar ich zbudził, bo przystąpił do Kundrata, trącił go pięścią w ramię i zawołał:

---

<sup>74</sup> *ad patres* (łac.) – do ojców

– To ty, kołtunie, wyprawiłeś tego człowieka na tamten świat! Czy słyszał kto kiedy, ażeby takiego starego dziada prowadzić o północy na cmentarz? Ty duszę chciał wywoływać?... A czy to ty jesteś czarownik, czy cudotwórca? Ty jego tu zaprowadził, aby go zabić. Dałbym ja tobie pierwszej pięćset batogów, a dopiero potem założyłbym ci stryczek na szyję.

Jednak Łopatka, chłop w gruncie rzeczy dobrego serca, a do tego niegłupi, inaczej osądził tę sprawę. Z jednej strony, żal mu było starego Kijasa, w którego gościnnym domu był zawsze kubek małmazji dla niego, a z drugiej, nie zdało mu się, aby to było rzeczą roztropną, rozgłaszać przed całym światem, że zamkowa konnica, wyprawiwszy się na złodziejów, nie tylko że nie schwytała ani jednego złodzieja, ale jeszcze roztratowała niewinnego człowieka i tak zacnego obywatela. Zaczem odwrócił się do Kundrata i spytał:

– Na cóż ty chciał wywoływać tę duszę?

– Bo Kijas mi spokoju nie dawał – odpowiedział mu Kundrat ze łzami w oczach, a kłaniając się nisko – i zawsze mi mówił, że dopiero wtedy go na jakiś czas uspokoję, jeżeli to zrobię, ażeby duszę swojego syna obaczył.

– Jużci duszę swojego syna obaczył – rzecze Łopatka – może się nią nacieszyć do woli, aleś go też uspokoił na zawsze. Jakże ty teraz rozumiesz? dlaczego Kijas umarł tu na cmentarzu?

– Jużci go roztratowali żołnierze – rzekł Kundrat.

– A co ty powiedział, gałganie! – krzyknął na niego okrutnym głosem Łopatka – a gdzie ty tu widział żołnierzy? Tu żadnych żołnierzy nie było. Rozumiesz? Kijas obaczył duszę swojego syna i umarł ze strachu. A jak będziesz gadał inaczej, to dopiero wtenczas będą batogi. Zabierzże teraz twojego dziada i każ go zanieść do kamienicy, moi żołnierze ci dopomogą. A pamiętaj, com ci powiedział!

To rzekłszy, Łopatka wziął Olizara pod ramię i obydwaj odeszli do zamku. Jak o kilkanaście kroków się oddalili, słysząc ich było, jako się śmiali i wesoło ze sobą gwarzyli.

Frać został przez grzeczność i dopilnował, ażeby żołnierze włożyli zwłoki Kijasa na płaszcz i sam ich odprowadził do bramy miejskiej, za co Kundrat mu bardzo był wdzięczny.

We trzy dni potem pochowano Kijasa przy wielkim napływie ludu w piwnicach cerkwi ormiańskiej.

Formoza odziedziczyła po nim cały jego majątek. Zostawiła zarząd przy Kundracie, ale wydała mu rozkaz, ażeby wszystkie sklepy i składy pozwijał, a otrzymane za nie pieniądze złożył w jej kasach.

Kundrat, bezpieczny zupełnie na gruncie miejskim, gdzie też miał urząd, dający mu pewne znaczenie, postawiony odtąd sam jeden na czele tak ogromnego majątku i rozporządzający losem tak wielu ludzi, prędko zapomniał swojej konfuzji, a natomiast poczuł się teraz tym więcej w swojej potędze i wpływach, ile że był tego pewnym, że wszystkie sklepy i składy sam od Formozy kupi i zajmie tym jeszcze znaczniejsze stanowisko w mieszczaństwie lwowskim. Trwożliwy i mały wobec mocniejszych od siebie, był on zawsze despotycznym i niezmiernie butnym wobec tych, których się nie bał: toż teraz już wcale nie wiedział, którą nogą ma stąpać naprzód i jak wysoko ma nosić swoją okrągłą głowę.

W takim usposobieniu umysłu, w dzień po pogrzebie Kijasa, otrzymał karteczkę od Wary, w której Wara żąda od niego, ażeby go osobiście odwiedził w takiej a takiej gospodzie, na Krakowskim Przedmieściu.

Kundrat tę kartkę przeczytał z pogardą i zawołał:

– Niegłupi! ja na grunt starościński? niegłupi!

I odprawił posłańca bez odpowiedzi.

Ale nazajutrz sam Wara się zjawił u niego.

Jak Kundrat nie uważał za rzecz roztropną pokazywać się w obrębie jurysdykcji starościńskiej, tak znowu Wara, o ile się zdaje, nie czuł się całkiem bezpiecznym na gruncie miejskim,

gdzie szynkarze i kupcy znani są z swego grubiaństwa i gotowi najzacniejszego człowieka kazać wsadzić do turmy za to, że sobie na niego sami napisali coś kredką. Ale w tym ważnym wypadku Wara zebrał się na odwagę. Zresztą ubrał się w ubiór pielgrzymski, dla którego nawet i szynkarze mają poszanowanie, a który jest jeszcze i z tego względu dogodnym, że przy nim nosi się drag ogromny, który może być i dębowy, i żelazem okuty, i tak stawiał się przed Kundratem.

Kundrat siedział szeroko rozparty w poręczowym krześle i ani się ruszył do niego, natomiast zaś spytał go szorstko:

– Czego waść mnie nachodzisz?

Na to zaś Wara dosyć pokornie:

– Przychodzę po kiesę złota, w której ma być sto czerwonych, jako jest umówiono.

Na takie zuchwalstwo Kundrat zerwał się z krzesła, przyskoczył jak wściekły do niego i grożąc mu pięścią pod nosem, zawołał:

– Tobie sto czerwonych? sto batogów ci się należy! sto złotych? a za co? może mnie będziesz łągał, żeś duszę wywołał? Przecie tam byłem. Jeszcze tego zacnego człowieka na tamten świat posłał! Ruszaj sobie do tysiąc diabłów, bo cię każę strącić ze schodów.

Ale Wara, człowiek wytrawny a zarazem spokojny, jak wszyscy ludzie, co są w swoim prawie, odpowiedział mu cicho, ale jasno i zrozumiale:

– Powoli, panie Kundrat, powoli! Najprzód popatrz na ten pastorał pobożnego pielgrzyma, jest to dębczak śmigły i goździami nabity, nim ty mnie każesz strącić ze schodów, za każdy złoty węgierski dostaniesz raz po łbie tym pastorałem, a wątpię, ażeby twój łeb dziesięć takich razów wytrzymał...

Więc Kundrat odskoczył od niego, spojrzał wystraszonymi oczyma na ten pastorał i rzekł:

– Taki ty pielgrzym? rozbójnik, nie pielgrzym... Więc i czegoż chcesz? Oszukałeś mnie, duszy nie wywołałeś, ani szerokiego grosza ci nie dam!

– Dasz, panie Kundrat – rzecze mu Wara – poczytaj sobie trochę w tym cerografie, który mi wydałeś. Tam stoi jak najwyraźniej, że mi dasz kiesę złota, „jeżeli Kijas duszę swojego syna obaczy”. Powiedźże więc, jak jesteś katolik, i azaliż Kijas nie obaczył jeszcze tej samej nocy duszy swojego syna? Chyba że jesteś heretyk i w nieśmiertelność duszy nie wierzysz. Więc w takim razie inna to sprawa, pójdziemy z tym do sądów duchownych.

Na to Kundrat spojrzał na niego zdziwionymi oczyma, a potem zawołał:

– Kręt szelma, nie pielgrzym! kręt, jak najgorszy torbifer!<sup>75</sup> Ale ode mnie ty nic nie wykręcisz takimi kruczkami. Sądy duchowne! Minęły te czasy! Jan Olbracht dobrze okroił ich władzę, nikt się ich dzisiaj nie boi. A potem, powinienes wiedzieć, że ja sam jestem doktorem obojga prawa, ze mną procesu nie wygrasz.

A na to Wara:

– Wygram przed sądem duchownym, który cię pewnie potępi, jeżeli będziesz oponował, że Kijas nie obaczył duszy swojego syna. Żaden król ci w tym nie pomoże. Ale ja wygram także przed sądem świeckim, bo masz wiedzieć o tym, że ja nie taki głupi, abym cię pozywał przed sądy miejskie. Jużem ja się o to poradził Łopatki – a wiesz przecie, że jest tu *proconsul regius* i są *judicia burgrabialia*<sup>76</sup>, które od niego zależą.

Na ten argument Kundrat zbladł trochę; ale się opamiętał i zmieniwszy ton, tak teraz mówił:

– Czego ty szedł do Łopatki? co ty się masz radzić Łopatki! Przecież sprawę masz ze mną. Do mnie trzeba było przyjść z tym najpierwej. Ja jestem wprawdzie człowiek gorący i bardzo niebezpieczny dla tych, co mnie napastują niewinnie, bo mam pięść daleko silniejszą od każdego rycerza, a do tego i dobrą głowę na karku, czym się nie każdy rycerz poszczyci. Ja bym ci twój pastorał tak strzaskał jak garnek glinany, a każdy proces tak ci wygram, właśnie jak

<sup>75</sup> torbifer (niem.) – żart.: praktykant u adwokata lub rejenta

<sup>76</sup> *judicia burgrabialia* (łac.) – sądy grodzkie

gdybym grał w kości. Zważ przecie, że jako notariusz lonherii muszę mieć komitywę z sędziami, właśnie jak ty masz komitywę z tymi żołnierzami, co chędożą przedmieścia. *Proconsul regius! Judicia burgrabialia!* śmiać mi się chce z tego! ja ich mam wszystkich w kieszeni. Ale ja jestem człowiek poczciwy i bardzo miękkie mam serce dla ludzi ubogich. Ty ubogi, nieprawda? bo między nami mówiąc, żebraniną się żywisz, więc ja mam litość nad tobą. Ale co tobie w łeb wlało gadać mi o stu złotych węgierskich! Ty mnie masz chyba za jakiego głuptasa. A czy miał ty kiedy choć dziesięć złotych węgierskich? Nie miałeś, więc widzisz. A potem, ty masz rozum. Zaczem wiesz dobrze, żeś duszy nie wywołał, jeszcześ i na tamten świat puścił staruszka. Tego ty nigdy mi nie dowiedziesz, że Kijas duszę obaczył, bo on nie stanie za świadka – a ja ci przed każdym sądem dowiodę, że go roztratowali żołnierze. Strata to wielka... są też i kosza pogrzebu. Mógłbym cię wykwitować, choćby ci sąd nawet sto złotych przysądził, i nie miałbyś ani złamanego szeląga. Ale jam twój przyjaciel i mam litość nad tobą: więc dam ci, ażebyś wiedział, z kim masz do czynienia, więc dam ci pięćdziesiąt złotych.

Wara go wysłuchał cierpliwie, ale na teraz jeszcze nie widział powodu do robienia koncepcji, owszem, nowego jeszcze użył argumentu, mówiąc:

– Do czego to takie gadanie! Ty przecież nie będziesz oskarżał Łopatki, że swoimi żołnierzami roztratował Kijasa. Byłem ja tam za krzakiem i słyszałem, co się gadało. Tam żadnych żołnierzy nie było. Kijas duszę obaczył i umarł ze strachu. Ani jednego szerokiego grosza ci nie opuszczę. Nie dasz? to sąd duchowny i *proconsul regius*.

Tu Kundrat wprawdzie już uczuł, że trudno będzie co wytargować od tego rabusia, ale spróbował jeszcze raz się rozgniewać i napędzić mu strachu i zawołał ogromnym głosem:

– Ani grosza ci nie dam! A co to? czy ty myślisz, że ja nie wiem, co ty tam robisz po przedmieściach? Wiedźże o tym, że jesteś na gruncie miejskim...

Wszelako Wara, gracz lepszy od niego, przerwał mu, mówiąc z uśmiechem na ustach:

– Ale Łopatka, panie bracie, Łopatka!

Na to Kundrat rzeczywistym zapłonął gniewem, ale bezsilnym: ten pielgrzym, to łotr z piekła rodem i ma za sobą takiego drugiego draba, Łopatkę! – Kundrat musiał się ugiąć i krzyknął:

– Dawaj cerograf!

Wara wydobyl cerograf z zanadrza, Kundrat wydobyl kiesę złota ze skrzyni, zamienili ze sobą dobre za nadobne, Wara mu się uklonił i wyszedł.

Kundrat się nie posiadał ze złości. Targnął się za czuprynę, przejechał niecierpliwą ręką po twarzy, nie mógł się uspokoić. Skoczył więc ku drzwiom i wybiegł do sieni, a widząc Warę, schodzącego wolnym krokiem po schodach, zawołał za nim:

– Wziąłeś sto złotych?

– Jużci wziąłem.

– Bodajżeś się nimi udławił!

To rzekłszy, wrócił do swojej izby, siadł twardo na swoim krześle za stołem, sapał czas jakiś bez myśli – a jak się wysapał, zaczął nad tym się zastanawiać: jakim sposobem się dzieje, że mu się tak wszystko nie wiedzie.

W przemyśle, w handlu, w kupiectwie, w wszelakich sprawach pieniężnych i majątkowych, winie mu się jak z płatką; ale jak tylko czegokolwiek innego dotknie się ręką, zaraz się jakiś diabeł w to wmiesza – i nie tylko, że rzecz mu się nie uda, ale jeszcze najczęściej w łeb weźmie, a nieraz, mówiąc Bogiem a prawdą, ledwie że z duszą ucieknie. Była to rzecz bardzo prosta: albowiem człowiekowi tylko w takim zawodzie się dobrze powodzi, który dokładnie rozumie – a wcale mu się powodzić nie może w takim rzemiośle, którego z gruntu się nie nauczył. Kundrat o tym nie wiedział. Co więcej, na tym biednym świecie, który tak ciężko wzdycha pod nieskończonym ciężarem niepowodzeń, przeciwności i zmartwień, twórcami największej ilości nieszczęść są właśnie ci ludzie, którzy przez próżność, zarozumiałość lub

lekkomyślność biorą się do takich zawodów, których nie rozumieją. Ileż to ruiny majątków, ile gorzkich zawodów, ile łez, ile krwi nawet dałoby się ludzkości oszczędzić, gdyby każdy człowiek ograniczył swoją działalność tylko do tego rzemiosła, do którego gruntownie się usposobił. Ale Kundrat i tego nie wiedział – i dopiero teraz miał się o tym dowiedzieć.

We trzy tygodnie potem siedział on sobie na swoim wygodnym krześle w tej samej izbie i właśnie nad tymi samymi rzeczami, ale daleko spokojniej i wcale filozoficznie rozmyślał. Czuł on teraz grunt daleko silniejszy pod sobą: prowadził handel bardzo rozległy od Jarosława do Kaffy, korespondował z Gdańskiem, z Genuą, Wenecją, Cyprzem i Carogrodem, w mieście wiódł prym w wszelakim handlu i obrocie pieniężnym, tysiące ludzi zależało od niego, miał zatem teraz daleko szersze poglądy, więcej stanowcze opinie i daleko upartsze zarozumienie. Myślał przede wszystkim o ogólnych sprawach krajowych, od których powodzenie w przemyśle i handlu, los każdej warstwy społecznej, a nawet i każdego człowieka zależy; ale ponieważ przede wszystkim innym nienawidził rycerstwa, więc wszystkie jego rozmyślenia albo z tego punktu wybiegały, albo do niego wracały. Tak mówił sobie: Co to się w ostatnich czasach z tej Polski zrobiło! Juźci i w dawnych wiekach bywali u nas rycerze, bo jak długo i w krajach sąsiednich są ludzie, co prowadzą to rozbójnicze rzemiosło, to któż by ściany tego królestwa przed nimi oganiał? Ale wiedzą to starzy ludzie, a i w kronikach się można tego doczytać, że dawniej było inaczej. Dawniej obok rycerstwa i miasta coś przecie znaczyły, i kміeć był panem na swojej roli, a nawet i chłopu dobrze się działo. Każdy chłop, kміeć i mieszczanin, jeżeli miał kwalifikacją po temu, mógł zostać rycerzem, senatorem albo biskupem, a miasta miały swe przywileje i tak przy nich stały, że rycerzowi i nosa nie wolno było wetknąć w ich sprawy. Dziś co? chłop w niewoli, kміeć pod jurysdykcją szlachcica, a w miastach pozaprowadzali sądy burgrabskie, że nam mieszczanom wolno tylko brukować ulice, a śmiecie na nich wymiatać. Chłop, kміeć, mieszczanin niczym już zostać nie może – a jeśli którego z nich dopuszczą do rycerskiego zawodu, to go poszłą na pierwszy ogień i wbić go dadzą na pal. Ej, nie wiem ja, jak to tam było z tym Tigraneseem...

Nuż tedy rycerstwo, mówił sobie Kundrat, w jaką to butę urosło! kto nie rycerz, ten niewart za bydłę. Osiadły mieszczanin, *consul*, *advocatus*, notariusz, *baccalaureus*<sup>77</sup>, a choćby i doktor prawa, niewart u nich za psa. Niech tylko stanie koło nich: paszoł! won! i zaraz z pięścią, z kowanym butem albo i z batogiem na niego. Wszystkie gospody dla nich, w winiarni i miejsca nie znajdziesz, a choćbyś je znalazł, to musisz ich prosić, aby ci pozwolili usiąść przy sobie – a o kobietach to już nawet nie ma co mówić. Ej, te kobiety! gdyby one nie były takie głupie, że im prym dają przed wszystkimi innymi, inaczej by było na tym świecie. Temu niesłychanemu zuchwalstwu rycerstwa najwięcej winne kobiety. Jeszczeż, jeżeli to kobiety rycerskie, to niech ich tam... ale i nasze mieszczki! co przecież są nasze. I jaki one tam smak znajdują w tych ludziach żelaznych, co się ich dotknąć nie można, ażeby sińca nie dostać! Niechże mi to kto wytłumaczy. A do tego jeszcze jaka ich konduita! Jedzą i piją jak smoki, biją się między sobą jak rozbójnik!, grają wciąż w karty i w kości, że żaden z nich nigdy nie ma ani grosza przy duszy, mają żony, a bałamucą inne kobiety, nieraz i panna przed nimi się nie utrzyma; jakie to czasy! jakie to obyczaje! I nie masz nikogo, co by to hultajstwo utrzymał w ryzach. Król? Panie Boże mu odpuść! chroń Boże tego, co by miał gładką żonę lub córkę i jemu ją pokazał. Biskupi? Juści biskupi powinni by temu zaradzić, ich to jest obowiązek, mają też władzę po temu. Ale w każdym naszym biskupie jest prawie więcej rycerza niżeli księdza, a co najmniej obydwu się w nim równoważą. Sami rycerscy synowie, to krew z ich krwi i kość z ich kości, na wszystko patrzą przez szpary, a do tego jeszcze i sami trzymają żołnierzy na swoich dworach, że człek spokojny nawet nie może do nich przystąpić!

---

<sup>77</sup> *baccalaureus* (łac.) – bakałarz; od XIII wieku najniższa godność akademicka

Kundrat westchnął z głębokiej piersi i zaczął myśleć o Pachnie. Pachna – mówił do siebie – głupi bym był, gdybym to taił przed sobą, bezpowrotnie dla mnie przepadła. Prawdę mówiąc, byłem dosyć głupi i dawniej, zem sobie robił nadzieje. Nuż teraz kiedy już zaręczyła się z Frącem, nie ma nawet co o tym myśleć. Jużci mam ją niby w mych ręku, ale Frącowi ani jej nie wydrę, ani jej nie wykręcę. Wprawdzie teraz Kergolaj znów jest we Lwowie i znowu do niej zachodzi, bardzo ostrożnie, bo pewnie Frąca się boi: Frąc chłop jak niedźwiedź...

Wymówiwszy te słowa, Kundrat poprawił się w krześle, podparł sobie ręką podbródek i zaczął się do siebie uśmiechać – i myślał dalej po cichu.

Sytuacja Pachny rzeczywiście się znacznie zmieniła. Była to zamożna kobieta, miała dość znaczny majątek, lecz rozrzucony, trudny do zawiadywania. Ona sama nie umiała go rządzić, a do tego, od czasu jak owdowiała i zaczęła się bawić, stała się niepomalu rozrzutną. W przeciągu jednego roku narobiła tyle długów, że sama nie wiedziała, jak się z nich wydobędzie. Udała się do Kundrata po radę – a Kundrat chwycił za tę sposobność, podjął się zawiadostwa, ale zarazem w taką ją wziął kuratelę, że nie tylko folwarki i sklepy, ale i dom jej, i sługi zagarnął pod swoją opiekę. Sługi, naturalnie, dla siebie przekupił, wchodził do jej domu we dnie i w nocy i nic się tam stać nie mogło bez niego: ale cóż z tego? Serca jej przez to jeszcze nie zyskał – a Pachna umiała go mimo to wszystko utrzymać w takim respekcie dla siebie, że nawet jej nie śmiał uczynić wyznania. Nie miał rycerskiego zuchwalstwa, był sobie potulnym mieszczukiem, jak sobie to sam nieraz wyrzucał, trudno było co na to poradzić.

Nieraz już zbierał się z oświadczeniem, ale zawsze mu coś przeszkodziło. To Kijas go zaprzął do jakiej roboty, to musiał za towarami wyjechać, to właśnie ktoś przyszedł – a kiedy kilkakrotnie tak się zdarzyło, że sam na sam był z Pachną, już spojrzał na nią miłościvymi oczyma, już rękę podniósł i położył na piersiach, już nawet usta otworzył: to zawsze Pachna jakimś takim nieokreślonym wzrokiem spojrzała na niego i jakiś taki niby szyderczy uśmiech miała na ustach, że go mróz przeszedł i całkiem opuściła odwaga.

Tymczasem, Bóg sam wie, jak się to stało, bo nawet i nie wiedzieć, dlaczego to tak nagle się stało, Pachna sama mu powiedziała, że właśnie dała słowo Frącowi. A w tydzień potem odbyły się zaręczyny – i ślub naznaczono na św. Piotra i Pawła. Zaczem kłamka zapadła, Kundrat nie widział na to żadnego ratunku i musiał się zgodzić z swym losem.

Ale tymczasem Kergolaj przyjechał. Zaraz po pogrzebie Kijasa był po południu u Pachny. Kundrat ich podsłuchiwał z drugiego pokoju. Pachna robiła Kergolajowi jakieś wyrzuty, Kergolaj się z czegoś przed nią usprawiedliwiał, potem się śmiali, a potem się znowu ze sobą sprzeczali. Diabli tam wiedzą, co ci ludzie mają ze sobą!

Kundrat, będąc sam na sam ze sobą w swoim mieszkaniu, zastanawiał się nad tym filozoficznie i za pomocą sylogizmów scholastycznych przyszedł do przekonania, że się to na takich niewinnych wizytach nie skończy. Oni pewnie namówią się na to, ażeby Frącowi przypawić rogi, nim się jeszcze ożeni. Dotychczas nie mogli sobie pozwolić takiej swawoli, bo... ale teraz jest już pokrywka. W dzień trudno, ale Kergolaj pewnie do niej zakradnie się w nocy, albo też przyjdzie którego wieczora, skryje się, a potem już nie wyjdzie, chyba o świcie. Zresztą okna tam niewysokie, zwłaszcza od ogrodu, taki rycerz jest jak linoskok, wdrapie się choćby na dach, zaś w razie niebezpieczeństwa na lada sznurze spuści się z okna, a nawet i na równe nogi wyskoczy.

A może się to już stało?... Kundrat zamyślił się nad tym; ale ledwie trochę pomyślił, uderzył się ręką w czoło i zawołał: – Ja głupi! Właśnie też na mnie czekali! Oczywiście, że się do niej zakrada w nocy. – To rzekłszy porwał czapkę i pobiegł do Pachny.

Było to już przed samym wieczorem.

Pachny nie było w domu, tym lepiej. Zaczem zawołał sobie jej pierwszą pannę służebną, zaciągnął ją do ogrodu i zaczął ją brać na konfesaty. Panna, dla niego ujęta, na wszystkie jego pytania się uśmiechała.

– Więc się nocą zakrada? – zapytał Kundrat niecierpliwie – więc jakże to robi?

– Ot, jak! – mówiła panna – jak wszyscy. Jak stróże zawołają: „Ostrożnie z ogniem!” – pani staje w otwartym oknie swojej sypialni, on siedzi w krzakach w ogrodzie i jak panią obaczy, zbliża się chyłkiem do okna i po kołkach, co je sam ponabijał w ścianę, wchodzi do niej przez okno.

– Oto zuchwalec! – zawołał Kundrat – właśnie jak złodziej. Jeszcze i kołków ponabijał w ścianę cudzego domu. A potem co?

Na to panna się zaczęła chichotać i rzekła:

– A potem przecie ja nie wiem.

– Ale co potem? – mówił Kundrat, drepcząc nogami – kiedyż znów stamtąd wychodzi? i jak to robi?

– Zawsze przed świtem. Otworzy sobie okno, obejrzy się na wszystkie strony, a potem buch w krzaki i koniec.

– Oto szelma! – zawołał Kundrat – czy słyszał kto kiedy o takich sztukach złodziejskich! A tu jest *proconsul nocturnus* i sześćdziesięciu drabów trzymamy, ażeby pilnowali bezpieczeństwa kamienic. „Buch w krzaki i koniec!” A ja tobie powiadam, że na tym nie koniec. Dam ja jemu: buch w krzaki, że sobie pradziadka przypomni...

Tu panna się przestraszyła, mówiąc: że gdyby Kundrat, uchowaj Boże! ją zdradził, toby ją na całe życie unieszczęśliwił. Ale Kundrat ją uspokoił i potem się z nią jeszcze bardzo długo namawiał.

A potem wyszedł i chodził długo jak błędna owca po ulicach, namyślając się mocno. Oto hultaj! – mówił półgłosem do siebie – a przecie to *adulterium in flagranti*<sup>78</sup>, a jeszcze do tego przed ślubem, o czym jeszcze nikt nigdy nie słyszał. *Adulterium* przed ślubem! to chyba tylko taki łotr Francuz coś podobnego wymyśli! ale są przecie na to sądy duchowne... Tu stanął i spytał się siebie: Gdybym z tym poszedł do arcybiskupa? dałby mu łupnia... – Ale potem się zastanowił, mówiąc: Do arcybiskupa? Niegłupi. To pan zanadto prędki. Zaraz się gniewem unosi i żołnierzyska stoją u niego na schodach. Niech tam idzie do niego kto inny... Ale przecie Frąc, to jego rzecz. Dla Frąca mam nawet obowiązek wdzięczności, bo życie mi wyratował. Nie mogę przecie dopuścić, aby mu rogi przyprawiano, a jeszcze do tego przed ślubem...

Na tę myśl się uśmiechnął, a rozważywszy rzecz głębiej, tak sobie mówił: Frącowi muszę powiedzieć, bom mu to winien. Jeżeli mu powiem, to Frąc tego Kergolajowi nie daruje. Są przecie obydwaj rycerze i o swój honor dbać muszą. Ani chybi, że się z sobą pobiją. Frąc chłop jak niedźwiedź, pewnie Francuza zabije. Ja nic na tym nie zyskam, ale przynajmniej pomszczę się na tym przekętym Francuzie, co mnie w beczkę wpakował, a jeszcze i zimną wodą mnie polał. Jeżeliby Francuz Niemca zamordował, to może byłoby lepiej. Ale nie. Bo przecie, jak się Frąc naocznie przekona, że jego narzeczona go oszukuje, to już się z nią nie ożeni. A wtedy Pachna...

To rzekłszy, uśmiechnął się znowu, zatarł ręce z radości i poszedł poszukać Frąca.

Znalazł go zaraz, bo wiedział, gdzie go ma szukać. Frąc siedział w piwiarni w Bazarze, już dobrze piwem nalany, ale właśnie co nowy garniec nadpoczął. Chociaż piwiarnia była żołnierzami nabita, siedział sam jeden, bo od czasu, jak został rycerzem, stał z rygiorem niemieckim na straży swego honoru i ludzi niższych rangą od siebie nie przypuszczał do swojej poufałości. Z kupcem, nie mającym żadnej rangi, mógł się pobratać, chociaż go miał za stworzenie o wiele niższe od siebie. A potem, kupiec zawsze żołnierzowi się przyda. Kundrat siadł przy nim i najprzód dziękował mu po raz dziesiąty, że na cmentarzu tak dzielnie stanął w jego obronie.

Frąc mu odpowiedział z godnością:

– Nie masz za co dziękować, bo jest to obowiązek rycerski stawać w obronie niewinnych, chociaż ty na sztrof zasłużył za to, że chciałeś wywoływać dusze umarłych. Ty nie wiesz,

---

<sup>78</sup> *adulterium in flagranti* (łac.) – cudzołóstwo na gorąco (schwyte na gorącym uczynku)



jaka to straszna jest rzecz dusza ludzka, co błądzi nocą po ziemi. Gdybyś był duszę obaczył, byłbyś tak samo umarł ze strachu, jak Kijas. Żaden człowiek podłej kondycji widoku dusz nie wytrzyma, bo też i żołnierz niełatwo do nich się przyzwyczaja. Na Wysokim Zamku, po starościńskich komnatach, dusze chodzą co nocy, dzwonią łańcuchami i zieją z gęby płomieniem. Spałem ja tam trzy noce, ale przecie mi się sprzykrzyło i teraz spiam w moim dawnym mieszkaniu na Niskim Zamku, gdzie mnie też potrzebuje Łopatka, bo wśród tego natłoku żołnierzy i rozmaitego hultajstwa obejść się beze mnie nie może. Ale nie mów tego nikomu, bom ja powinien i w nocy siedzieć na Górnym Zamku.

– Bądź waszmość spokojny – rzecze mu Kundrat – u mnie każdy sekret jak w grobie. A co to pijesz takiego?

– Piwo przemyskie. Bardzo dobre, napij się ze mną.

– Ja piwa nie pijam, bo od tego żyły miękną w człowieku. Ale jeżeli pozwolisz, to każe dać wina.

Frąc przyjął łaskawie, postawiono przed nimi dzban wina i pili. Kundrat chciał już przystąpić do rzeczy, ale nie było sposobu. Albowiem Frąc, nalawszy się winem, stał się gadatliwym i zaczął mu opowiadać szeroko i długo, jak ciężką służbę ma teraz. Ma komendę na Wysokim Zamku, trzeba mu tam prawie cały dzień bawić, w nocy zaś musi przedmieść doglądać, gdzie się tak wiele nagromadziło hultajstwa i takie bójki bywają po nocach, że trzeba by Bóg wie wiele mieć żołnierzy, aby je uspokajać. Ale on na to sposób wymyślił, albowiem uzbroił zamkowych żołnierzy w muszkiety, które się siekańcami nabija, więc jak się to hultajstwo zgromadzi w kupę i ze sobą pobije, każe do nich palić z muszkietów: środek to doskonały, bo siekańcem nikogo nie zabije, ale ich wszystkich popstrzy – a tak zaraz się z jękiem porozbiegają. Czasem i śmiechu jest z tego niemało...

Kundrat, człek ludzki, widział w tym wielkie barbarzyństwo, jeżeli ktoś z tego się śmieje, że komuś drugiemu nasypał siekańców za skórę: ale się jeszcze więcej tym niecierpliwił, że Frąc się tak nieskończenie rozgadał. Podobno niemądrze to zrobił, że mu kazał dać wina, bo oto już oczy zaczynają mu białkiem zachodzić – a tu już północ, ba, może i więcej, a on jeszcze nie mógł przystąpić do rzeczy.

Nareszcie Frąc oparł się plecyma o gzymsy ściany, pod którą siedzieli, głowę wyciągnął, oczy trochę przymrużył i przestał mówić; Kundrat więc chwycił za tę sposobność, zabrał głos i pomału opowiedział mu rzecz. Kundrat mówił bardzo rozumnie, najprzód rozbudził w nim jego uczucia dla Pachny, potem podłechtał w nim jego sentymenty rycerskie, a dopiero na końcu opowiedział mu haniebną zdradę Francuza.

Frąc niby go słuchał z uwagą, ale zdaje się, że wcale go nie zrozumiał, bo mu odpowiedział z uśmiechem:

– Juźci ja wiem od dawna, że Kergolaj się mizdrzy do mojej bratowej, tak jak i o tobie wiem dawno...

Tu Kundrat się trochę odsunął od niego – a tymczasem Frąc skończył:

– Ale to w tym nie masz nic złego.

– Jak to nie masz nic złego? – zawołał Kundrat, przysuwając się znowu ku niemu – przecie mówię waszmości, chyba że mnie nie rozumiesz, że Kergolaj się do niej zakrada, kiedy stróże wołają: – „Ostrożnie z ogniem!” – a wychodzi dopiero o świcie.

Teraz Frąc go zrozumiał. Ale teraz zerwał się jak oparzony i zaraz go porwał za gardło, wołając:

– Łiesz drabie jeden! Łiesz jak pies! Nigdy by Pachna... Wiem dobrze, dlaczego to mówisz...

A tak wołając i trzymając go lewą ręką za gardło, prawą zaczął czegoś szukać około siebie.

Czy go diabli nadali! Kundratowi wszystka krew uderzyła do twarzy, już zaczął się krztusić, zebrał więc całą swoje energią i wydarł mu się z jego łapy drapieżnej. A wydarłszy się, stanął twardo przeciwko niemu i zawołał:

– Czego mnie dusisz! Ja tobie chcę po przyjacielsku usłużyć, a ty mnie dusisz.  
Ale wtedy Frąć stał już nad nim, wielki jak wieża, chwycił go lewą łapą za ramię i wołał:  
– Zaraz mi tego dowiedziesz! A jeśli mi nie dowiedziesz...  
A to mówiąc, wciąż prawą ręką czegoś szukał za sobą.  
– Dowiodę ci – rzekł mu Kundrat – ale siadaj i mówmy rozumnie.  
Więc siedli. Frąć zapyrzony, Kundrat uspokojony cokolwiek.  
– Gadaj! – zawołał Frąć.  
– A czego to tam szukasz za sobą? – zapytał Kundrat.  
– Muszkiet tu miałem – odpowiedział mu Frąć – może mi go już ukradli.  
To rzekłszy, wstał i obejrzał się za swoim muszkietem. Ale znalazł go w kącie, postawił go między kolanami i sapiąc, rzekł do Kundrata:  
– Teraz gadaj, co wiesz.  
Ale Kundrat wciąż patrzył na muszkiet i rzekł:  
– Dlaczego trzymasz ten muszkiet między nogami, może jeszcze nabity i strzeli.  
Kundrat tak mówił niby z obawy, ale się po diabelska przy tym uśmiechał, bo widział dobrze, że jeżeliby muszkiet wystrzelił, toby Frąćowi wpakował wszystkie siekance w jego tłusty podbródek, w czym by też była wola Boża, na którą nie wolno się skarżyć.  
– Bez lontu nie strzeli – rzekł Frąć.  
– Ja tam nie wiem, ale z prochem podobno nie można żartować.  
– Nie zagaduj! – zawołał Frąć groźnie do niego – jeno powiadaj, co wiesz.  
Więc Kundrat opowiedział mu wszystko dokładnie, co się dowiedział od panny.  
Frąć, który swojego czasu dał w siebie wmówić, że śpi godzin piętnaście, kiedy idzie spać o dziesiątej, a wstaje o piątej, wszystko Kundratowi uwierzył. A że był pijany, tym sroższym zapłonął gniewem, zerwał się z ławy, muszkiet podniósł do góry i rzekł:  
– Więc on i teraz tam jest? Więc chodźmy. Obaczysz, jak ja naszpikuję tego Francuza – a potem się z nim wybiję, jak zechce. Ale pierwej go naszpikuję, abym miał dowód, bo inaczej się wyprze.  
Jednak Kundratowi wcale się nie podobała ta propozycja. Jakoż mu odpowiedział:  
– Po co ja tam mam chodzić? Ty znasz tę drogę lepiej ode mnie, a teraz już wiesz, co masz robić. Stań pod sztachetami ogrodu, zczekaj do brzasku (i tak już niedaleko), a jak Kergolaj pokaże się w oknie i zechce buchnąć w krzaki, pal do niego z muszkietem.  
To rzekłszy, zatarł ręce i patrzył na niego z uśmiechem zadowolenia.  
Ale Frąć na to pokiwał mu swoim ogromnym indeksem<sup>79</sup> trzy razy pod samym nosem i rzekł:  
– Ty musisz iść za mną, bo muszę cię mieć pod ręką, jeżeliś skłamał. Chodź – a jeśli nie chcesz, to cię wezmę jak kota pod ramię i zaniosę ze sobą.  
Nie było to Kundratowi do smaku, ale trudno się było wykręcić, więc wyszli obydwa.  
Niebawem przyszli na ulicę Halicką i stanęli przed domem Pachny.  
Jeszcze było ciemno, chociaż na wschodzie już troszeczkę szarzało. Dom Pachny był od ulicy o trzech oknach, na jednego chłopca, jak wówczas mawiano, ale był długi, a jego główne okna wychodziły na ogród, który był także na jednego chłopca od ulicy, ale ciągnął się w głąb dosyć daleko. Dom był piętrowy, ale piąterko było niepokaźne, opatrzone krużgankami, i służyło tylko na mieszkanie dla sług i nianiek, które pilnowały jej synka. Pachna sama miała wyniosłe i piękne apartamenty w przyziemiach, na bardzo wysokim podmurowaniu, tak że jej duże okna pomimo krzaków w ogrodzie było dobrze widać z ulicy. Ostatnie okno w samej głębi oświecało właśnie jej sypialnię. Ogród był odgradzony od ulicy niskimi sztachetami, popod które wewnątrz ogrodu gęste ciągnęły się krzewy. Chociaż noc była ciemna, wszystko to było widać z ulicy jakby na dłoni.

---

<sup>79</sup> indeks (łac.) – tu: palec wskazujący

Kiedy obydwaj przy sztachetach stanęli, pijany Frąc wymierzył muszkiet w okno sypialni i rzekł do Kundrata:

– Więc tam trzeba walić?

– Tam – odpowiedział mu Kundrat – ale zaczekaj, aż póki okno się nie otworzy i póki go nie obaczysz w oknie, bo inaczej strzelisz na wiatr i tylko hałasu narobisz.

Jednak kiedy to powiedział, spostrzegł się w tym, co robi, i jakoś ckliwo mu się zrobiło. Pomyślał sobie: Jak strzeli, oczywiście, ludzie się zbiegną, gwałt, rozbój, on strzelił, ale ja przy nim, więc obydwoh nas wezmą do turmy. To gardłem pachnie w tych czasach. Co tu począć w takim terminie? Bodajże mnie wszyscy diabli wzięli, żem się sam wraził w taką brzydką połapkę... – Kundrat byłby się wyrzekł Pachny na wieki, gdyby tylko mógł uciec, ale się bał Frąca, pijanego wariata. – Jeśli drapnę, jak Bóg na niebie, palnie za mną z muszkietu. Co więc robić w tym razie?

Tymczasem Frąc, chociaż pijany, ale od dawna zaprawiony do takich zasadzek, daleko lepiej rozumiał położenie od niego. Na niebie już szarzyć zaczyna, za jakie dziesięć pacierzy już świtać zacznie, Francuz nie wyłazi, może zasnął – a może go wcale tam nie ma i Kundrat go tylko okłamał. Obrócił się więc do niego i rzekł:

– Słysz, Kundrat, ja tu nie będę czekać do świtu. Trzeba wystraszyć Francuza. Idź więc, zakradnij się do pokojów i wystrasz go stamtąd. To złodziej, na lada rumor zaraz wyskoczy przez okno. Ale mi daj znak, jak go wystraszysz, bo muszę lont nagotować zawczasu.

Na te słowa Kundrat aż podskoczył z radości i zawołał:

– Co rozum, to rozum. Słuchajże, panie Frąc, ja się w lot wsunę do domu i wejdę aż do tej izby, co przytyka do jej sypialni. Tam sobie najprzód cichutko okno otworzę, widzisz to okno przedostatnie, co jest trochę zakłęśle, a tamto od jej sypialni razem z murem wystaje. Otworzywszy to okno, zacznę rumorzyć – a jak tylko dosłyszę, że Francuz otwiera okno od sypialni, ja ci się w moim oknie pokażę i kiwnę białą chustką na ciebie. Wtedy on buch w krzaki, a ty pal do niego z muszkietu.

– *Gut!*<sup>80</sup> – rzecze mu Frąc – tylko się śpiesz, aby nie zaświtało tymczasem.

Kundrat skoczył jak zając, w oka mgnieniu dopchnął się do drzwi (a może i klucz miał w kieszeni) i zniknął za drzwiami.

Frąc czekał niedługo. Albowiem po małej chwili otworzyło się przedostatnie okno, wychodzące na ogród. Zaraz potem dał się słyszeć rumor w tej izbie, jak gdyby kto sprzęty z miejsca na miejsce przesuwiał, właśnie jak kiedy słudzy zaczynają już sprzątać. Jeszcze chwila – a wtedy Frąc dosłyszał wyraźnie, jako się okno sypialni otwiera. W tej samej chwili w przedostatnim oknie Kundrat się energicznie całą piersią na dwór wychylił i zawiął białą chustką trzy razy.

I w tejże samej chwili Kergolaj się z ostatniego okna wychylił, ażeby w ogród wyskoczyć.

Natenczas Frąc dobrze wymierzył, przytknął lont i palnął z muszkieta.

W jedno mrugnięcie oka po strzale dał się słyszeć krzyk męski, krzyk taki, jak gdyby się komu wnętrzności rozdarły, gdzieś koło okien – a Frąc w głos się roześmiał, właśnie jak gdyby bawół zaryczał, i wyteżył wzrok w ogród, aby obaczyć, gdzie tam Kergolaj leży pomiędzy krzakami.

Ale w tej chwili otworzyły się także wszystkie okna i drzwi w kamienicach sąsiednich i lud zaczął na ulicę wybiegać.

Razem z tym ludem wybiegł także Olizar z sąsiedniego domu od Fesi, wybiegł na wół tylko ubrany i przestraszony, bo się to działo w czasach wojennych, zaczęli zapewne myśleć, że na miasto najechali Tatarzy. Ale kiedy lud tylko ciekawie się koło Frąca gromadził, on, żołnierz, zaraz zrozumiał, co się stało, bo Frąc trzymał muszkiet w ręku, a z muszkieta się jeszcze kurzyło. Więc Olizar wściekł się ze złości, przyskoczył jak tygrys do Frąca, porwał go

---

<sup>80</sup> *Gut!* (niem.) – Dobrze!

lewą ręką za gardło, a prawą, jako to Rusin zawsze skory do bójki, zaczął go pięścią bić w gębę, wołając:

– Zbóju niemiecki! to ty strzelasz tu po ulicach! A strzelasz do kobiet albo do innych poczciwych ludzi, aby się po zbójceku mścić na nich! Duszę tu z ciebie wypędzę!

Frać tak zgłupiał, że w pierwszej chwili się nawet nie bronił. Dopiero wzięwszy cały pęk pięści po gębę, odrzucił Olizara od siebie, który wszakże jeszcze wciąż skakał jak osa do niego.

Tymczasem zbiegowisko zrobiło się wielkie, do domu Pachny wpadło już mnóstwo ludzi, inni zeń wybiegali i oblegali Frąca, wołając:

– Zbój! Niemiec! zabił pana notariusza lonherii, co nocował u Pachny!

Frać się znalazł w okrutnych opalach. Lud, nie lubiący żołnierzy zamkowych, a rozwścieklony tym strzałem śród miasta, zaczął się rzucać na niego, Olizar ich szczuł, jak się psy szczuje na zwierza, i byliby go pewnie rozdarli: ale wtem nadszedł *consul nocturnus* z rontem halabardników i zaraz przywrócił porządek.

*Consul nocturnus* był to człowiek okrutnie surowy i respektowany przez wszystkich. Ogromnie wysoki a chudy jak szczypa, z zapadniętymi policzkami, z okiem siwym, nakrytym krzaczastymi brwiami, i z wąsem miotlastym, przystąpił poważnie do Frąca i rzekł:

– A czego to waść strzelasz po ulicach po nocy? Pewnie chciałeś kogoś milczkiem wyprawić *ad patres*. Chodź no ze mną do kordegardy, tam cię weźmiemy na konfesaty.

I zaraz go otoczył halabardnikami.

Frać dał się wziąć jak baranek, najprzód z uległości dla legalnej władzy w obrębie jurysdykcji miejskiej, a potem że się czuł bezpieczniejszy pomiędzy halabardnikami niżeli pomiędzy ludem. Lecz prowadzony przez nich, opamiętał się, obejrzał się za Olizarem i zawołał za nim:

– A ty mi zdasz sprawę rycerską z twojego chłopskiego postępowania!

– Zdam tobie sprawę! – odpowiedział mu Olizar – jeno ty pierwszej zdasz sprawę z swego rozbójniczego rzemiosła.

Lud jeszcze przez jakiś czas stał na ulicy. Olizar zaś poszedł do domu Pachny, aby się dokładnie dowiedzieć, co się tam stało.

A kiedy *honoratiores*<sup>81</sup> miasta także do domu Pachny przybyli, on im takie *species facti*<sup>82</sup> przedłożył: Francuz buch w krzaki i uciekł – Kundrat dostał w łeb cały nabój siekańców – a Frac siedzi w kordegardzie, gdzie będzie badany przez sądy miejskie o zamierzone zabójstwo.

Bardzo to smutne były wypadki. Ale Olizar miał w nich swoją pociechę: bo najprzód Kergolaj, jako serdeczny przyjaciel, wyszedł cało z tego niebezpieczeństwa; potem nabił się Frąca pięścią w gębę, ile mu się podobało, a wreszcie, ot! i ten kołtun tu leży w tym piwie, co sam sobie nawarzył.

Albowiem właśnie balwierz rozebrał Kundrata do naga i wyjmował mu spoza skóry siekance, którymi miał połowę twarzy i cały bok prawy, od głowy do pasa, jak indycze jaje, upstrzony.

A jako to Olizar był chłop prawdomówny, że mu się zawsze serce przelewało ustami, pochylił się nad nim i kiedy Kundrat jęczał z bólu pod szczypcami balwierza, a krew się strumykami po jego ciele sączyła, zawołał do niego:

– *Trysta tobi mat' mordowdto*, jaki z ciebie filozof! Kergolaj sprawił ci zimną kąpiel, żeś ruski miesiąc na nią wyleżał, chciałeś go zgubić, a jam ci za to wsypał tyle nahajek, żeś się ich sam nie doliczył – nuż wyprawiłeś twojego pana w taką podróż za duszą syna, że już z niej nigdy nie wróci – a teraz i sam leżysz do samego diabła podobny, że rodzona mać by cię nie poznała!

---

<sup>81</sup> *honoratiores* (łac.) – osoby zajmujące wyższe stanowiska

<sup>82</sup> *species facti* (łac.) – przedstawienie stanu rzeczy

Frącowi w szponach sądów miejskich niedobrze się powodziło. Wójt, *sceptrum argenteum manu gestans*<sup>83</sup>, i panowie ławnicy, wywiedli przeciwko niemu proces kryminalny „o gwałtowne najście domu i razy śmiertelne” i koniecznie chcieli go sądzić. Uciskani często nieznośnie przez zamkowych żołnierzy, pamiętni tego, że to właściwie Frąc swymi końmi roztratował Kijasa, podszczuwani nareszcie przez mściwego Kundrata, uparli się przy tym, ażeby postanowić *exemplum*<sup>84</sup>, zwłaszcza też w tym wypadku, gdzie byli w swym prawie. Długie były o to spory pomiędzy starostwem a miastem, lecz próżne, i bardzo już krucho było z tym zamkowym rycerzem. Więcej niż trzy tygodnie przesiedział w turmie, już się indagacje skończyły i już miano go sądzić.

Ale na jego szczęście zjechał właśnie do Lwowa nowy wojewoda ruski, Jan Amor Tarnowski, brat rodzony pani Kmitowej, kasztelanowej przemyskiej, pan wielkiej powagi i bardzo ludzki dla wszystkich, i ten go z turmy wydobył. Przedłożywszy bowiem mieszczanom, że w czasach wojennych nie należy osłabiać swojej własnej obrony, że Frąc im to zapewne niebawem w dwójnasób nagrodzi, bijąc się za nich przeciw Wołochom albo Tatarom, że wreszcie nikogo nie zabił, tylko popstrzył człowieka, co stroił kabały, a nawet i sam na karę zasłużył, otrzymał to od nich, że Frąca puścili, wymieniwszy go za kilku mieszczan, co w turmie zamkowej za przemytnictwo siedzieli. Frąc prędko się otrząsł z pleśni więziennej, bo zaraz nazajutrz zaniósł skargę do Łopatki za ukrzywdzenie, którego doznał, mówiąc:

– Mieszczanom, co mi chcieli wziąć szyję za to, com zrobił po pijanemu, daruję, bo byli w swoim prawie. Kergolajowi, co mi narzeczoną zbeczcześcił, daruję, bom sam temu winien, że jej nie pilnowałem. Kundratowi, co mnie do tego strzału namówił, daruję, bo już dostał za swoje. Ale Olizarowi nie daruję, bo mnie bił w głowę – a taką krzywdę każdy rycerz krwią zmyć musi.

Zaczem prosił Łopatkę, ażeby, jeżeli łaska, wyzwał w jego imieniu Olizara do walki: „na śmierć lub niewolę, na krótkie miecze albo na długie, konno lub pieszo, pojedynkiem albo samotrzeć”.

Łopatce bardzo przykra była ta prośba. Odmówić mu nie mógł tej posługi, bo pod jednym znakiem z nim służył i w nim został obrażony honor jego własnego starostwa – a tymczasem Olizar bliższym mu był przyjacielem i zdałomu się, że walka będzie nierówna. Próbował więc odwieść go od tego zamiaru, a przynajmniej walkę odroczyć, opierając się na tej racji, że wojewoda jest w zamku i czasy wojenne, więc by to było bardzo źle widziane przez starszych. Frąc, zawsze pełen respektu dla wyższej władzy, na zwłokę zezwolił, ale we dwa dni potem wojewoda wyjechał, więc już nie było żadnego pretekstu do dalszej zwłoki. Łopatka więc poszedł sam do Olizara, przedłożył mu z żalem wyzwanie Frąca i prosił go, aby mu wymienił swojego przyjaciela, z którym by miał kartel<sup>85</sup> omówić.

Olizar w gruncie serca nie był kontent z tego wyzwania. Odwagi mu pewnie nie brakło, o życie niewiele dbał, wszakże je już tyle razy narażał! bitwę nawet lubił namiętnie, czy to na wojnie, czy w jakim napadzie, czy w gospodzie, czy na ulicy: ale taka uroczysta bitwa z ceremoniami jakoś mu nie była do smaku. Jednak nie dał tego poznać po sobie, nawet Łopatce. Owszem, przyjął go wesoło, powiedział mu, że mu to wszystko jedno, czy na koniu, czy pieszo, czy na długie miecze, czy krótkie, i odesłał go do Kergolaja, jako do swego świadka.

Kergolaj, jako doświadczony mistrz w tym rzemiośle i szczerze przywiązany do Olizara, już wszystko bardzo rozumnie obmyślił. Zaczem powiedział Łopatce: najprzód, że Olizar nie będzie walczył konno, tylko pieszo, bo Frąc ma tylko ciężkie konie, a Olizar lekkie, więc by nie było równości; po wtóre, że Olizar nie chce się bić w rynsztunku, bo ma także tylko lekkie półpancerze, a Frąc bardzo ciężkie, więc i w tym by nie było równości; a po trzecie, że nie będzie się bić ani na krótkie miecze, ani na długie, tylko na średnie, długości trzy stopy, bo,

<sup>83</sup> *sceptrum*... (łac.) – dosł.: trzymając w ręku srebrne berło.

<sup>84</sup> *exemplum* (łac.) – przykład

<sup>85</sup> kartel (fr.) – tu: porządek w turniejach i pojedynkach, który obowiązywał walczących

jako przyzwyczajony do szabli, taki miecz będzie jemu najdogodniejszy, a Frąć do każdego miecza jest sprawny. Ponieważ Frąć przyjął z góry wszelkie warunki, byle nie były z jego widoczną krzywdą, więc Łopatka na żądania Kergolaja bez oporu się zgodził. Po czym postanowiono, że bitwa odbędzie się jutro, na trzy godziny przed zachodem słońca, kiedy się upał już trochę ochłodzi, przy drodze do Hołoska wiodącej, w pustym polu, gdzie stoi krzyż męki Pańskiej i mała mogiłka, na gruncie suchym, a nie należącym do lwowskiego starostwa.

Kiedy już wszystko było umówione, Łopatka mocno się zasumował i rzekł do Kergolaja:

– Cóż myślisz? czy nasz Olizar się Niemcowi obroni?

– Zrobimy, co można – odpowiedział mu na to Kergolaj poważnie.

– Słysz, Kergolaj – rzecze mu Łopatka – ja wiem, co to obowiązek rycerski, ja Frąćowi usłużę sumiennie. Ale sercem ja z wami. Olizar mi brat, bardzo się boję o niego. Gdyby tak Niemca można czym zestrąszyć, aby nie bardzo na niego najeżdżał?

A Kergolaj na to:

– Niemca nie strasz, bo Niemiec, jak się przestraszy, to zaraz zabije. Olizar już wie, jakim sztychem może go zmacać. Jakoż tak sądzę, że mu się obroni. Tymczasem zaś sekret, aby nikt o tym nie wiedział.

Łopatka jeszcze trochę się posumował, a potem wyszedł z jakąkolwiek nadzieją.

Pomimo to że postanowiono dzień bitwy i miejsce utrzymać w sekrecie, jeszcze dnia tego się to po mieście rozniosło – a nazajutrz już zaraz z południa nieprzejrzone rzesze rozmaitego ludu ciągnęły ku Hołosku w to miejsce, gdzie bitwa miała się odbyć. W mieście i między ludem wytworzył się nastrój bardzo poważny, bo wszyscy wiedzieli, że to nie taka bójka, jaką można widzieć w gospodzie albo i na ulicy, jeno panowie się będą bić z sobą, na koniach w pełnej zbroi i rycerskimi mieczami. Rozeszła się nawet wieść między rzeszami, że ci rycerze mają walczyć o honor Matki Najświętszej: taką wieść bez wątpienia księża roznieśli, ażeby usprawiedliwić rozlew krwi między chrześcijańskimi panami, którego nie mogli powstrzymać. Jakoż widziano pomiędzy rzeszami kilku mnichów w habitach, jeden z nich, z odkrytą głową, niósł nawet kościelną chorągiew przed sobą, a chłopiec w komży szedł za nim: był to zapewne ksiądz, który tam szedł dlatego, ażeby umierających spowiadać albo też *in extremis* dać im ostatnie pomazanie.

Miejsce, gdzie bitwa miała się odbyć, było wyniosłe, lecz równe, a otoczone z daleka olśzyna, przesianą wyniosłymi świerkami. Po prawej ręce szła droga, po lewej za drogą stał krzyż ogromny drewniany, z Chrystusem Panem malowanym na blasze, pod krzyżem zaś stała mogiłka, ledwie na sążeń wysoka: powiadano, że kiedyś, dawnymi czasy, jakiś kniaź ruski tu zginął w bitwie, którego pochowano w mogile i krzyż postawiono koło niej.

Dzień był skwarny okrutnie, lecz z dała, od północy i od zachodu, gromadziły się chmury żelaznego koloru na niebie jak gdyby w porozrywanych kawałach i stamtąd cokolwiek chłodniejsze zawiewało powietrze. Czasem płat czarnej chmury przeciągnął przez słońce, zaćmił je i także na chwilę skwar słoneczny ochłodził. Na trzy godziny przed zachodem nadciągnęli, każdy z osobna, wszyscy rycerze, którzy mieli stanąć do walki.

Frąć w całej zbroi, w hełmie z piórami, z podniesioną przyłbicą, na ogromnym koniu karym z bogatą grzywą, co mu spływała do kolan. Obok niego jechał Łopatka, na pięknym koniu kasztanowatym, ale bez zbroi, bo miał tylko sukienny kubrak na sobie, pilśniową kucznię z piórkiem na głowie i szablę u boku. Za nimi jechali w pierwszym szeregu trębacz Frąca z trąbą opartą o prawe biodro, a obok niego żołnierz z rozwiniętą chorągwią czerwoną i żółtą, na której było widać herb Ajchingerów, czerwoną wiewiórkę pomiędzy dwoma rogami w złotym polu. Dalej jechało sześciu knechtów w półpancerzach i hełmach bez piór, a na końcu dwóch pacholików Łopatki.

Niebawem za Frącem nadciągnął Olizar. Siedział na dziwnie pięknym koniu tureckim srebrzystosiwym, był całkiem bez zbroi: wszelako bardzo świetnie wyglądał. Miał bowiem na

sobie aksamitny żupan, bramowany złotem i zapięty na guzy złote, drogimi kamieniami sadzone, pas także złoty i prawie już rubinami a brylantami nabity, złoty ryngraf pod szyją z Boga Rodzicą na nim rzeźbioną, czapkę aksamitną z piórkiem na bakier i bogatą szablę u boku. Olizar wyjechał jak na wesele i miał też minę wesołą, bo obaczywszy lud zgromadzony, poprawił wąsa i śmiejąc się, coś powiedział Kergolajowi. Obok niego jechał Kergolaj na wielkim białym koniu, ale na wszelkie wypadki był uzbrojony, miał bowiem hełm na głowie, drucianą koszulkę na sobie i krótki miecz razem z mizerikordią u boku. Za nimi, pod wodzą Tymka Biłowusa, jechało ośmiu Olizarowych kozaków, także świątecznie ubranych: z nich jeden służył trębaczem, drugi niósł chorągiew Olizara czerwoną, błękitną i białą, z trzema andegaweńskimi liliami, sześciu następnych mieli tylko szable u boku – a dalej jechało dwóch knechtów Kergolaja w pancerzach i hełmach.

Po obydwóch więc stronach były siły zupełnie równe, bo tego przestrzegaly surowo prawa rycerskie.

Frać stanął ze swymi ludźmi u dołu od miasta, Olizar zaś o jakie sto kroków wyżej, zaczem najprzód obustronni trębacze ich otrąbili, jako są już na placu.

Potem Kergolaj i Łopatka, każdy ze swymi knechtami i pachołkami, zeskoczyli z koni i odmierzyli plac bitwy, na sześć sążni długi, a na cztery szeroki, i obłożyli go ze wszystkich stron kamieniami. Jeden szereg kamieni dotykał prawie mogiły i krzyża, jakoż niektórzy ludzie z tłumu zaczęli wylazić na mogiłę i po krzyżu się wspinać, ale żołnierze ich rozpedzili i kazali im stać z daleka, inaczej końmi na nich najadą, z którego to powodu lud się rozleciał daleko, i kiedy jedni się ogromadzili na wzgórkach odległych, inni powylazili na drzewa i stamtąd patrzali na to, co się teraz dziać miało.

Kiedy żołnierze pole bitwy obkładali kamieniami, Frąc i Olizar także zeskoczyli z koni, Frąc rzucił hełm i pancerz ze siebie, jak było umówiono, i został się tylko w łosiowym kaftanie, Olizar zaś tylko czapkę rzucił na ziemię, bo nie miał żadnego rynsztunku na sobie.

Tak wprowadzili ich w szranki, Frąca Łopatka od dołu, Kergolaj Olizara od góry, a ich żołnierze stanęli na koniach o kilkanaście kroków za polem bitwy za nimi.

Jak tylko stanęli w szrankach, Olizar pierwszy klęknął na ziemi, przeżegnał się trzy razy, a potem wziął prawą ręką grudkę ziemi, włożył ją w usta otwarte i połknął. Zaczem zawołał głośno:

– Tak mi Boże dopomóż, że nie mam żadnej mocy nieczystej przy sobie.

Ruscy rycerze taki mieli obyczaj odprzysięgania się, jako nie mają broni zaczarowanej.

Frać jednak nie klękał, tylko podniósł dwa palce wraz z prawą ręką do góry i rzekł:

– Przysięgam na rany Chrystusa Pana, jakom się nie uciekał do złych duchów o pomoc.

A wtedy Kergolaj dał im dwa miecze, jeden Olizarowi, a drugi Frącowi, na trzy stopy długie, jak było umówiono.

Zaczem zaraz stanęli do walki.

Frać natarł pierwszy, ale bardzo spokojnie. Po jego natarciu widać było wyraźnie, że przede wszystkim chce wyrozumieć, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia, ażeby też wiedział, jak go ma zażyć. Kergolajowi bardzo się to nie podobało: albowiem liczył na to, że Frąc uderzy gwałtownie, a jako jest tłusty i ciężki, że prędko się zmacha, zaczem Olizar świeżymi siłami przeciwko gwałtownemu natarciu łatwo się obroni, a zmachanego potem również łatwo gdzieś zmaca.

Ale Niemiec miał flegmę.

Olizar z początku z wielką fantazją się bronił, nawet dwa razy bardzo zręcznie miecz Frąca sparował i już o mało go nie zachwyił, ale taką obroną on pierwiej się zmachał, a Niemiec też zaczął coraz gwałtowniej najeżdżać.

Olizar może miał siłę gdzie indziej, ale nie w ręku, toż coraz słabiej się bronił, tak że w jednej chwili Kergolaj już się zaczął obawiać o niego i mimo woli zawołał:

– Eh, eh, eh!

W tej samej chwili i Łopatka dostrzegł, że źle z Olizarem, a rozumiejąc, że mu potrzeba zachęty, chociaż tego robić był nie powinien, zawołał ku niemu:

– Olizar! *Derżij sia krepko!*

Ale jeszcze tych słów nie skończył, kiedy Frąc niezmiernie zręcznym zamachem z dołu Olizarowi miecz z ręki wytrącił i tym samym zamachem ciął go z całą siłą w sam środek głowy.

Cięcie to było tak silne, że mu głowę na dwoje rozszczypał jakby rzeźniczym toporem, z rozszczypanej czaszki mózg z krwią wyskoczył i Olizar na wznak upadł na ziemię.

Szmer zgrozy przeszedł po rzeszach, a ci i owi zaczęli się do placu boju bliżej przysuwać, lecz obustronni żołnierze także się przysunęli z jednej i z drugiej strony do szeregów kamieni.

Łopatka, widząc Olizara padającego bez duszy na ziemię, zakrył sobie twarz obydwoma rękami i głośno jak dziecko zapłakał.

Kergolaj, chociaż do takich widoków przyzwyczajony, także był silnie wzruszony, wąs kręcił i opuścił głowę ku ziemi, ale spod oka wciąż patrzył na Frąca.

Tymczasem Frąc, rzuciwszy miecz na bok, przystąpił do trupa Olizara, przyłożył mu kolano do piersi i zaczął go własnymi rękami z jego drogich kamieni odzierać.

Na to wszakże Kergolaj przybliżył się do niego i rzekł głosem surowym:

– A co to robisz, panie Ajchinger?

Ale Frącowi, którego zapewne rozzuchwaliło zwycięstwo, ten gniewny ton wcale się nie podobał, jakoż odpowiedział mu szorstko:

– Biorę zdobycz, a tobie nic do tego.

Natenczas Kergolaj powiedział mu głosem stanowczym:

– Tym razem żadnej zdobyczy nie weźmiesz. Frąc na to srogim zapłonął gniewem, zerwał się z kolan jak wściekły i nastawiwszy się z pięścią do Kergolaja, zawołał trzęsąc się cały od złości:

– Wszystką zdobycz wezmę, brylanty i konie, i wszystkich jego żołnierzy wezmę w niewolę, jak jest rycerskie prawo – a ty mi w tym nie przeszkodzisz!

Na te słowa Frąca, jako Olizarowych żołnierzy zabierze w niewolę, Tymko Biłowus, nie zasypiając gruszek w popiele, co nie jest rzeczą kozaka, mrugnął na swoich żołnierzy, skropił swojego konia nahajką po żebrach i ruszył z kopyta, zaczem jego kozacy za nim i zaraz drapnąwszy – że tylko ziemia się zakurzyła za nimi.

Ale wtedy już Kergolaj był pąsowy na twarzy jak rak i tak drżał na całym ciele, że mu zęby dygotały; wyrwał swój krótki miecz z pochwy i trzymając go klingą ku ziemi, a ścisnąwszy rękę w pięści, tą pięścią Frąca w piersi uderzył, wołając głosem okrutnym:

– Praw nie znasz, ty knechcie niemiecki! żadna zdobycz ci się nie należy, boś mu miecz pierwiej z ręki wytrącił i bezbronnemu głowę rozszczypał, jak zbój! Żadnej zdobyczy nie weźmiesz!

Na to znów Frąc się zapyrzył okrutnie i zawołał:

– Knecht! ty mnie będziesz praw uczył?! ty mnie zabronisz? stawaj mi zaraz do sprawy!

– Chodź! stawaj! zaraz ja ci usłużę! – zawołał Kergolaj i zaraz dał znak żołnierzom, ażeby trupa Olizara uprzątęli z placu.

Żołnierze porwali Olizara i położyli go obok mogiły – a Kergolaj stanął na jego miejscu z krótkim mieczem w rękę.

Frąc porwał swój dłuższy miecz, który był pierwiej odrzucił, i stanął naprzeciw niemu. Ale Kergolaj krzyknął groźnie na niego:

– Na krótkie miecze rycerskie, panie knecht! nie z kozakiem to sprawa!

Frąc się zmieszał cokolwiek, lecz mając krótki rycerski miecz u boku, tamten miecz odrzucił, a ten wziął do ręki i stanął: ale był blady i zdało się, że go złość całkiem już opuściła.



W tej chwili nieznaczny uśmiech jak błyskawica przeleciał po twarzy Francuza, krew ustąpiła mu z twarzy i widać było po nim, że ze świadomością doświadczonego szermierza całą swą siłą fizyczną zestrzelił w nogach i w rękę, a całą siłą duchową w oku.

Tak przeciw sobie stanęli.

Kergolaj czekał spokojnie, aż Frąc na niego uderzy: Frąc uderzył, lekko i zręcznie, miecze ich się wciąż krzyżowały, czasem było słycać klekot jak w kuźni, czasem zgrzyt jednego miecza po drugim, w jednej chwili stykali się z sobą pierś do piersi, a w drugiej odskakiwali od siebie, ażeby się znów rzucić ku sobie.

Frąc liczył wyraźnie na swoją siłę fizyczną i uderzał po kilka razy całą pierśią w mniejszego od siebie Francuza, chcąc go na ziemię obalić, a nawet usiłował go lewą ręką zachwycić: ale Francuz był jak kot i jak piskorz zarazem, odskakiwał o kilka kroków jak piłka, a lewą ręką ani mu się dał dotknąć.

Tak trwały te linoskokie zapasy z jakie trzy pacierze albo i więcej – i Frącowi już pot grubymi kroplami wystąpił na czoło i strumykami ściekał po twarzy.

Czując wszakże, że mu już ręka drętwieje, chciał skończyć, upatrzył chwilę sposobną i dał Francuzowi katowskie cięcie w sam kark: ale Francuz zamiar spostrzegł zawczasu, odskoczył jak strzała i kucznał ku ziemi – a jak cięcie Frąca poleciało w powietrze, skoczył jak tygrys ku niemu i wepchnął mu obydwoma rękami swój krótki miecz w samo gardło.

Frąc pod ciężarem uderzenia i dławiąc się mieczem, upadł na wznak – a wtedy Kergolaj siadł na nim i targnąwszy mieczem w jego szyi w prawo i w lewo, do reszty go dorzwał.

Frąc upadając, rozkrzyżował ramiona i teraz tak leżał, kąpiąc się w ogromnej kałuży krwi, która się jeszcze wciąż z niego sączyła.

Kergolaj, oddawszy miecz swojemu knechtowi, ażeby ze krwi go otarł, przystąpił do Łopatki i uderzywszy go po ramieniu, rzekł:

– Zdrow, panie Łopatka! Ten Niemiec wyprawił nam Olizara do starych Kierdejewiczów, ale jam go posłał w też tropy za nim, aby go też zaraz przeprosił.

Ale Łopatka, Rusin miękkiego serca, z żalu, z bólu i ze wstrętu do krwi, cały roztopił się w łzach i ledwie wiedział, co się z nim dzieje. Jego pacholikowie wsadzili go prawie bezprzytomnego na koń – a że i Kergolaj już nie miał co robić na placu boju, więc wsiadł także na koń i obydwa razem odjechali do miasta.

Zamkowi żołnierze zabrali zwłoki Frąca ze sobą i odjechali za nimi.

Już wtedy się zmierzchać zaczęło. Czarne chmury w grubych płatach, nadpowietrznymi wichrami pędzone, przelatywały jak zaświatowe okręty po niebie, księżyc w pełni, z twarzą bladą i szeroko rozwartymi oczyma, wznosił się z wolna na strop niebieski, a malejąc wciąż i bielejąc, czasem krył się za chmury, zostawiając ziemię w nieprzepartej ciemnicy, a czasem, kiedy się chmury przed jego twarzą rozdarły, rzucił blask prawie dzienny na ziemię.

Ów mnich, który przyszedł z chorągwią i z chłopcem w komży, dowiedziawszy się, że pobici rycerze nie czekali na niego i bez wiatyku odjechali na tamten świat, ukląkł pod lasem i odmówił modlitwę za dusze zmarłe. Rzesze ludu także się z nim na kolanach modliły, ale niebawem, z zapadającą nocą, rozeszły się spiesznie po wsiach i przedmieściach.

O zabraniu zwłok Olizara nikt nie pomyślał.

Noc ciemna zapadła, cisza zaległa plac boju, zdawało się, że już żywej duszy tam nie ma.

A jednak kiedy chwilami księżyc wypłynął zza chmur, widać było na wierzchu owej mogiłki, która stała pod krzyżem przy drodze, a pod którą zwłoki Olizara złożono, siedzącą jakoby postać kobiety. Miała chustkę kwiecistą, z turecka zawiązaną na głowie, białe inderak na sobie i twarz młodą, dziwnej piękności, ale łzami zalaną.

Była to Fesia: jedyna pocziwa dusza, wierna jeszcze po śmierci swemu kozakowi. Siedziała na szczycie mogiłki – a u nóg leżał jej miły, złotem i brylantami okryty, ale bez duszy.

Chwilami patrzyła na niego i milczała, lecz czasem budziła się jakby ze snu i zawodziła żałośnie po rusku:

*Olizaru, Wyrypaju! hdeż ja, tebe pochowaju?  
Maty moja, maty!*

Po tej zwrotce jęczała długo, a echo jej jęków odzywało się w lesie. Ucichła, lecz po chwili znów zaśpiewała:

*Pochowaju pid werboju, taj nakryju perynoju,  
Maty moja, maty!*

I jeszcze raz jej głos dał się słyszeć:

*Pochowaju na mohyli, szczob po tobi wouki wylu,  
Maty moja, maty...*

Potem chmury się ściągnęły na niebie, noc czarna jak płachta pogrzebowa objęła ziemię i już nic ani widać, ani słyszeć nie było.

A kiedy około północy wiatr chmury rozpędził i jasny księżyc wypłynął na niebo, kobieta z mogiłki zniknęła i zwłoki Olizara zniknęły.

## XVI

### UMARLI I ŻYWI

Od czasu jak Frąc, zawróciwszy swoje niemądłą głowę zazdrością i trunkiem, strzelił do Kergolaja, a ranił Kundrata, po całym mieście rozniosły się głośnie i bardzo uszczypliwe szemrania na Pachnę.

Wesoła ta wdówka bawiła się od śmierci swojego męża wedle swojej fantazji i uchodziło jej to bezkarnie, bo w miastach nie było tak surowej cenzury na obyczaje, jak po zamkach rycerskich i dworach szlacheckich – a że była młodą, bogatą, piękną i miłą dla wszystkich, więc oprócz starszych matron, które sobie w kąciuku to i owo o niej szeptały, miała wszystkich po sobie i wszyscy się nią bawili. Ale kiedy taki gorszący gwałt stał się w jej domu, kiedy jawnie się okazało, że podczas gdy była już zaręczoną z Frącem, przyjmowała Kergolaja o podejrzanych godzinach w swym domu, a nadto jeszcze i Kundrat przebywał nocą w jej apartamentach, czego już wcale nie umiano sobie wytłumaczyć, potępiono ją jednogłośnie, mówiąc: że, cóżkolwiek bądź, przecie to się nie godzi takie zbytki wyprawiać, a jeszcze do tego tak mocno bałamucić swoich amantów, ażeby aż zasiadali nocą na sobie i strzelali po mieście z muszkietów. Pod takim sarkaniem opinii publicznej Pachna znalazła się opuszczoną przez wszystkich, nikt do niej nie przychodził, nikt do siebie jej nie zapraszał – a że oczywistym faktem trudno było zaprzeczyć i jej własne sumienie ją potępiało, więc też i ona nie śmiała się nigdzie pokazać.

Nadto, w parę dni po tym nieszczęsnym strzale, sądy miejskie zasiadły na Frąca i ją wezwały na świadka. Sądy ówczesne były wprawdzie bardzo grzeczne dla kobiet: kobieta nie była obowiązana stawiać się osobiście przed sędzią, mogła robić zeznania przez swoich zastępców, lecz zwykle sam sędzia przychodził do jej mieszkania. Ale to wcale nie umniejszało jej wstydu, bo chociaż w swym własnym mieszkaniu, musiała przecież przyznać się do tego, że kiedy jej narzeczony strzelił z muszkietu o samym świcie, dwóch innych kawalerów znajdowało się ukrytych w jej apartamentach. Instygatorowi<sup>86</sup> i panom ławnikom pobladły od tego zeznania łysiny, kiwali do siebie głowami, mówiąc z niepohamowanym zdziwieniem: – Co to za smok musi być ta kobieta! Bo gdyby jeszcze jeden, co się też zdarza, ale dwóch razem... rzecz niesłychana! – Na próżno Pachna płakała rzewnymi łzami i klęła się na wszystkie bogi, że Kergolaj, przyszedłszy późnym wieczorem, jak to Francuz jest gadatliwy, po prostu zagadał się – a jako to noc jest bardzo krótka w tej porze, więc ani się spostrzegł, kiedy świtać zaczęło; Kundrat zaś zakradł się bez jej wiedzy z zazdrości: ani instygator, ani ławnicy na żaden sposób nie chcieli temu uwierzyć. Bo już to tak jest na tym świecie, że kiedy ludzie powezmą podejrzenie na kogo, to wtedy podejrzeniom ich już nie ma końca.

Pachna była bardzo nieszczęśliwą, a to tym bardziej, ile że nie mogła się nawet przed nikim poskarżyć. Albowiem Kundrat leżał w łóżku po owych siekańcach, a nawet i poszedłszy do niego, nie bardzo by się można było z nim dogadać, bo tak był bezkrwisty, jak gdyby mu kto był dopiero co sto pijawek przystawił; Kergolaj, uszedłszy szczęśliwie muszkietu i sły-

---

<sup>86</sup> *Instygator* (łac.) – prokurator królewski, oskarżyciel publiczny

sząc, jakie plotki chodzą o nim *ex puncto* Pachny, nawet wcale nie pokazywał się w mieście: zresztą zaś wszyscy obchodzili jej dom z daleka, jakby był zapowietrzony. W tym ciężkim ucisku serca, nie mogąc wytrzymać samotności. Pachna zebrała się na odwagę i poszła do Formozy.

Formoza nie pochwałała nigdy prowadzenia się Pachny; od czasu tych scen gorszących, o których całe miasto mówiło, wcale nie pragnęła jej widzieć: ale kiedy Pachna przyszła do niej w odwiedzin, mając serce bardzo dobre a tkliwe na cudze nieszczęścia, chętnie ją u siebie przyjęła i słuchała jej spowiedzi ze szczerym udziałem. Formoza, surowa dla siebie, była po-  
błażliwą dla innych, lecz czy ją usprawiedliwiała, czy nie, z czego zresztą nie musiała się przed nią spowiadać, jako kobieta rozsądna i zacna, pragnęła dla niej, aby się poprawiła i usiłowała jak najprędzej przebłagać swoim postępowaniem wzburzoną przeciw niej opinią publiczną. W tym celu dała jej radę. Rada ta była krótka i zwięzła, jak wszystko, co jest rozumne, i zamykała się w tych słowach:

– Idź za męż, jak możesz, najprędzej.

Pachna ją zrozumiała tym łatwiej, ile że i jej nie brakowało zdrowego rozsądku. Wśród nieustającej swawoli, przy lekkim usposobieniu serca, umysł jej przyćmił się trochę, bo swawolna kobieta, wybrawszy się na wyprawę dla podboju serc męskich a zarazem dla dogodzenia swojej miłości własnej, tak samo, jak rycerz, wojujący dla zdobyczy i sławy, bardzo łatwo się zwycięstwami upaja i często w tym szale zapomina o tym, że za zbytciem zwycięstw jest zguba: ale umysłowi zdrowemu lekkie wstrząśnienie wystarczy, ażeby wrócił do siebie i prawdę obaczył. Takiego wstrząśnienia doznała Pachna na radę Formozy i dlatego odpowiedziała jej energicznie:

– Jak tylko Frąc wyjdzie z więzienia, zaraz z nim idę do ślubu – a jeśli będzie można, to go nawet przyśpieszę.

– A jeżeli Frąc nie zechce? – zauważyła nieśmiało, ale z przyjaznym uśmiechem Formoza.

Na to Pachna się zarumieniła, ale z równą odpowiedziała energią:

– Nie zechce? Ja jego zmuszę.

– A jak nie zmusisz?

– Jak nie zmuszę... to mam drugiego. I ten może się zechce wykręcać, ale ja tego mam w ręku.

Formoza dalej nie nastawała na jej tajemnice, ale jej energia się jej podobała, dlatego odtąd ją przyjmowała codziennie i chętnie z nią rozmawiała o środkach, jakimi by Frąca w razie oporu można zmusić do ślubu. W końcu pomiędzy obydwoma kobietami stało na pewno, że Frąc, człek dosyć głupi, a więc łatwowierny, nie będzie się tak zawzięcie upierał w swych uprzedzeniach, da się przekonać i pójdzie do ślubu.

Ale tymczasem Frąc (kto by się był tego spodziewał!) ani z Kergolajem, ani z Kundratem, ale pokłócił się z Olizarem i jego wyzwał na rękę. Wieść o tym zasmuciła i zniepokoiła Formozę: dlaczego ma się krew ludzka przelewać? Jeszcze z tego nowa plotka powstanie, że i Olizar był Pachny amantem. Czy nie można by temu zapobiec? Ale swawolnej a próżnej Pachnie to pochlebiało. Miała ona i Olizara na pieńku za to, że także się starał o jej względy a – wstyd powiedzieć – dla takiej Fesi ją rzucił. Niech się z sobą pobiją. Co to szkodzi? Przecie wszyscy nie zginą – a zresztą, mężczyzn jest dosyć na świecie. Tylko ją nieprzeparła ciekawość paliła, kto kogo zabije...

Dlatego w dzień pojedynku już wcześniej z południa do Formozy przybiegła i tam oczekiwała wiadomości z pola bitwy: Formoza ze smutkiem i bólem nad tym, co zginie, ona trąca ręce z niecierpliwości i zaglądając co chwila do okna.

Kundrat, który się już z siekańców wyleczył, i tylko prawy policzek miał cętkowany czerwono, wyprawił kilku chłopców sklepowych do Hołoska z rozkazem, ażeby w czwał przybiegali z wieściami, sam zaś siadł w pierwszej komnacie w tym samym kąciuku, w którym zwykle siadywał za czasów starego Kijasa. I jemu także to było na jedno, kto zginie. A choćby się

i wszyscy wytlukli! O tyle mniej będzie hałaburdów i napastników na świecie. Jakoż wcale nie mógł zrozumieć, dlaczego Formoza się smuci – a bardzo pochwalał Pachnę, tak zgodną z nim w sentymentach.

Wrószono tak i owak, przepowiadano śmierć to temu, to owemu, tylko Pachna wciąż trwała przy swoim, mówiąc:

– Obaczycie, że Olizar zginie. Ani mu równać się z Frącem. Frąc tylko raz machnie mieczem i zaraz go na dwoje rozetnie.

Kundrat nie mógł Olizarowi darować kowanego buta, dlatego nie miałby być nic przeciw temu, ale rad by był dać pierwszeństwo Frącowi, więc zrobił uwagę:

– A w mieście wszyscy tak rozumieją, że Frąc żyw nie powróci, bo na karym koniu wyjechał, a karym koniu, to nieszczęście.

Pachna rzuciła pogardliwym okiem na niego – a wtem wbiegł chłopiec, wołając ze drzwi:

– Olizar zginął! Frąc go przeciął na dwoje.

– Widzicie więc. A nie mówiłam? – zawołała Pachna, trapiąc rękę i patrząc na Kundrata tryumfującymi oczyma.

Formozie łzy w oczach stanęły, założyła ręce przed sobą i rzekła:

– Biedny Olizar! poczciwy człowiek, lecz na nieszczęście niestatek, a tacy ludzie zawsze tak giną.

Z tymi słowami wyszła do drugiej komnaty, ażeby za jego duszę zmówić modlitwę.

Pachna spojrzała znów na Kundrata, lecz teraz już okiem badawczym i rzekła:

– A waszmość byłby sobie życzył, ażeby Frąc zginął?

– Ja nikomu śmierci nie życzę – rzekł Kundrat pokornie – owszem, życzę tylko jejmość pani, ażeby ten został przy życiu, który ją uszczęśliwi.

– Więc ten właśnie został przy życiu, jako słyszałeś – odpowiedziała mu Pachną – zapewne niebawem wjedzie z tryumfem do miasta.

To rzekłszy, przystąpiła do okna, patrząc na rynek.

Ale wtem drugi chłopiec wbiegł do komnaty, wołając ze drzwi:

– Frąc zginął! Francuz go zabił za Olizara.

– Frąc zginął? Francuz go zabił? – zawołała Pachna, przyskakując do chłopca i biorąc go za obydwie ramiona. – Co ty gadasz? mów jak to było.

Formoza przybiegła z załamanyimi rękami z drugiej komnaty i stanęła obok Pachny przed chłopcem.

Kundrat wcale się nie ruszył z miejsca, tylko się misternie uśmiechał przed siebie i bębnił sobie z lekka palcami na stole.

Chłopiec im opowiedział bitwę pomiędzy Kergolajem a Frącem z fantastycznymi dodatkami, które natychmiast pomiędzy naocznymi świadkami urosły, a potem i w kroniki przeszły.

– Bo proszę państwa – powiadał chłopiec – bo też to i nierówna była ta bitwa pomiędzy Francuzem a Niemcem. Bo pan Olizar i pan Ajchinger obydwaj przysięgali przed bitwą, jako czarta nie mają przy sobie – a Francuz nie przysięgł, bo też i miał go. Więc najprzód diabeł tak Frąca oślepił, że nawet i od Francuza nie żądał, aby się go wyprzysięgł. A kiedy do bitwy stanęli, co Frąc uderzył mieczem w Francuza, to miecz leci w powietrze; Francuza nie ma, chociaż dopiero stał przed nim. Patrzy, gdzie Francuz, a on siedzi przy ziemi o sto kroków od niego. Tak Frąc, nieborak, wciąż machał na próżno. Ej! żeby go był tylko raz zmacał, byłby go pewnie rozszczytał na dwoje jak Olizara, ale gdzie się tam kto diabła domaca. A kiedy Frąc jeszcze raz machnął na próżno, Francuz, co siedział z daleka, kuczniejszy przy ziemi, bęc! naraz przerzucił się w kota, skoczył Frącowi na piersi, wepchnął mu cały miecz w gardło i rzucił go zaraz na ziemię, a potem, z przeproszeniem państwa, dorzezał. Co też wszyscy na własne oczy widzieli i bardzo się temu dziwią, że to tak diabłu wolno chodzić po ziemi i krew katolicką rozlewać, a nikt mu tego nie broni.

Pachnę śmierć Frąca bardzo żywo dotknęła. Zbladła, załamała ręce przed sobą i podobno nawet już na lzy jej się zbierać zaczęło. Ale kiedy chłopiec ją opowiadać, jak to tam Kergolaj sobie poczynął, co też wszyscy ludzie na własne oczy widzieli, zapomniała o Frącu, a całkiem zajęła się Kergolajem. A wtedy bardzo dziwne myśli się jej snuły po głowie...

Już nieraz dawniej myślała sobie i miała do tego jej samej tylko, ale zapewne dobrze wiadome powody, że w tym Francuzie sam diabeł siedzi. Albowiem przyjmuje na siebie, wedle potrzeby, najrozmaitszych zwierząt przymioty: raz śpiewa jak słowik, że się przy jego śpiewie prawie omdlewa, to znowu zarży jak koń i staje dęba z taką potęgą, że żadna ludzka siła mu się oprzeć nie może; potem znowu zakwili jak najmilszy skowronek, że się serce przy nim rozplywa, to znów się wspaniale podnosi jak lew, potrząsa grzywą, a swoim potężnym ogonem cały świat by roztrzaskał – a przy tym wszystkim zawsze jest dobrej myśli i nigdy nie znać na nim znużenia. Sama nie wiedziałam, co mam – mówiła Pachna do siebie – dopiero teraz jasno to widzę i czuję we wszystkich tętnach krwi mojej. Czy jemu diabeł pomaga, czy nie, to mi tam wszystko jedno: dwóch takich amantów nie masz na świecie, tego człowieka muszę na wieczne czasy przykuć do siebie.

W tej właśnie chwili wszedł Kergolaj do komnaty.

Nie mogąc widywać Formozy tak często, jak tego pragnął, nie zdoławszy dotychczas ani podbić jej serca, ani nawet obudzić w niej tej części dla swoich rycerskich przymiotów, z której zazwyczaj potem miłość się rodzi, teraz, pokonawszy takiego rycerza, który powszechnie za Achillesa uchodził we Lwowie, chciał jej się pokazać w świeżuteńkim blasku swej sławy.

I wszedł z głową podniesioną do góry jak duch Ajaksa na Ajanteje<sup>87</sup>, będąc pewnym, że cała Grecja do nóg mu padnie – a przede wszystkim uwielbiona przez niego Greczynka włoży mu wieniec dębowy na głowę i odda mu swoje serce i rękę na zawsze.

Obok wspaniałej Greczynki zastał mieszczańkę Pachnę, od której już żadnego wieńca nie pragnął; to go niemile dotknęło – ale dlatego nie stracił wcale fantazji. Gdyby dla takich zjawisk trzeba zaraz tracić fantazję, to grzeczny kawaler chyba by się już nie mógł w żadnym towarzystwie pokazać. Więc też i Kergolaj, z wdzięcznym uśmiechem na twarzy, trzymając lewą rękę na mieczu, a hełmik swój w prawej, ukłonił się z rycerską powagą Formozie, oczekując tych komplementów, które się z jej ust miodopłynnych miały na niego posypać.

Rycerska sława, a zwłaszcza po świeżym zwycięstwie, sprawia na każdej kobiecie podniosłe wrażenie i obudza w szlachetnym jej sercu uczucie uwielbienia; dlatego i Formoza, rozpromieniwszy twarz swoją, postąpiła ku niemu, chcąc pewnie go ścisnąć za rękę i wypowiedzieć mu swoje radość, że wyszedł cało z tej bitwy: ale uprzedziła ją niepowściągliwa w swoich zapędach Pachna. Pachna rzuciła mu się jak strzała w ramiona, wołając z zapalem:

– Obrońco mojej sławy i mego szczęścia na ziemi! Byłam nieczułą na wszystkie twoje zaślęczenia i wszystkie błagania, bom ciebie miała za lekkiego człowieka, który kocha kobietę li dla rozrywki, ale zdrowia swojego dla niej na szwank nie wystawi. Przyrzekłam rzekomo moje rękę Frącowi, aby ciebie na próbę wystawić. Lecz widząc teraz, żeś życie twoje za mnie na ostre miecze naraził, przyznaję ci się, żeś tylko ciebie jednego kochała i byłabym raczej na wieki wdową została, niżelibym miała oddać rękę innemu. Dziś ci się za to należy nagroda: jestem twoją – i możesz mnie jeszcze dzisiaj prowadzić do ślubu.

Na tę apostrofę, choć pewnie z szczerego serca wylaną, co też widać było po błyskawicowej szybkości wymowy, Kergolajowi w objęciach Pachny tak się twarz przekrzywiła, właśnie jak gdyby się był napił octu siedmiu złodziejów. Kawaler takiej wysokiej krwi, rycerz złotej ostrogi, który po innych miastach z nie takimi kobietami nieraz morze przepłynął i nic mu nie było – miałby teraz z taką niepoczesną Rusinką utonąć w Pełtwi?

– W Pełtwi? – rzekł sobie Kergolaj i zimno mu się zrobiło.

---

<sup>87</sup> ...jak duch Ajaksa na Ajanteje... – duch Ajaksa (bohatera trojańskiego) ukazujący się w czasie święta (Ajanteje), urządzonego w Grecji na jego cześć

Lecz przeto przytomności nie stracił. Odsunął Pachnę z grzecznym uśmiechem od siebie i odchrząknął, nimby miał jej odpowiedzieć.

Kundrat patrzył na nich ciekawymi oczyma, co też to z tego będzie? Ale że każdy to tylko pamięta, co mu właśnie jest miłym, więc i jemu słowa Pachny, jak dawniej była nieczuła na Kergolaja zaklęcia, dobrze uwiąły w pamięci i był z tego bardzo zadowolony.

Tymczasem Kergolaj, odchrząknawszy raz jeszcze i spuściwszy oczy ku ziemi, odpowiedział jej swoim klarynetowym głosem w ten sens:

– Moja miłościwa pani! nikt nie jest czulszym ode mnie na wdzięki tak zacnej kobiety, jak waszmość pani. Jakoż Bóg mi jest świadkiem, żem gotów przy niej pełnić służbę rycerską do śmierci. Ale na moje nieszczęście o sakramencie małżeństwa mi myśleć nie wolno. Jestem rycerzem rodyjskim, przysięgałem na czystość i tego ślubu złamać nie mogę pod karą hańby i śmierci.

Słyszając to Kundrat, mało się nie zakrztusił od śmiechu, skrzył się na swoim krześle i rzekł do siebie:

– Oto kret szelma, prawie jak Wara...

Ale w tej samej chwili przyknął sobie usta ręką, ażeby go nie dosłyszano.

Wszelako Pachna się wcale nie śmiała, tylko skoczyła ku niemu jak lwica, wołając głosem szyderyczym:

– Ty na czystość przysięgał? ty!... czystość!... mogłabym puknąć od śmiechu. Słysz, Kergolaj! przecież mnie nie będziesz takich rzeczy powiadał!

Ale Kergolaj stał niewzruszony jak mur. Byłby mógł także puknąć od śmiechu, ale się wstrzymał, tylko świdrując ją błyszczącymi oczyma, rzekł niby poważnie:

– Jeżeli waszmość pani możesz mi dowieść, jakom mój rodyjski ślub złamał, to proszę...

Na to Pachna mogłaby już była pęknąć ze złości. Zacerwieniła się pąsem, z jej oczu się iskry sypały, ścisnęła pięście jak gdyby w konwulsji, lecz nie wiedziała sama, co począć w tym razie. Gdyby była mogła, to byłaby na proch starła tego bezczelnego Francuza. Ale oczywiście nie mogła. Uczucie bezsilności pierś jej ścisnęło. Aby sobie ulżyć, obróciła się do Formozy i zawołała głosem kipiącym od gniewu:

– Łotr! kłamca! szubiennik! A jakim to głosem śpiewał ten wisus, kiedy u nóg mi leżał! Och! jakże żałuję, że mu Frac łba nie rozszczypał na dwoje! Niechby był potem sam zginął, ale przynajmniej byłby pomstę wziął za mnie. Cóż ja teraz pocznę z tym drabem?

Formoza, choć pełna smutku i wcale nie usposobiona do mieszania się w cudze sprawy, przypatrywała się z zajęciem temu zajściu pomiędzy Kergolajem a Pachną, bo była to dla niej rzecz nowa. Sercem swoim nie stawiała ani po jednej stronie, ani po drugiej, bo obydwie osoby były jej obojętne: ale kiedy Pachna ją zapytała, co robić, odpowiedziała jej rozsądnie jak zawsze:

– Trudno zmusić mężczyznę do ślubu, jeżeli nie chce. Trzeba ci teraz znaleźć innego.

Na te słowa Pachna stanęła przed nią, spojrzała na nią szerokimi oczyma, a jako to u lekomyślnych kobiet decyzja jest prędką, zawołała:

– Masz racją! Za mąż iść muszę, niechże ten zdrajca wie, że mi i bez niego konkurentów nie braknie.

To rzekłszy, zaraz zwróciła się do Kundrata, mówiąc:

– Panie Kundrat! Wiem o tym dobrze, jakie sentymenty masz dla mnie, chociaż mi tego nigdy nie powiedział, za co też miałam szacunek dla jegomości. Próżność moja mnie oślepiła, żem w rycerzach wzór mężów widziała, ale teraz wiem dobrze, jaki to ród przeniewierczy i jacy zdrajcy w nim siedzą. Jeżeli wola... zaraz ci złożę przysięgę, że nigdy okiem nie spojrzę na żadnego rycerza.

Więc Kundrat skoczył do niej, jak gdyby się dopiero na świat narodził, chwycił jej rękę, przycisnął do ust z zapalem i tak się rozczulił, że nie mógł ani słowa wymówić. Tylko tyle miał przytomności, że kiedy już Pachnę mocno trzymał za rękę, a ona go także ścisnęła, spoj-

rzał tryumfującym wzrokiem na Kergolaja, jak gdyby mu mówił: Widzisz więc, panie rycerzu, nie dla kota szperka.

Kergolaj czuł się tym bardzo upokorzony, ale, jak zwykle, kontenansu nie stracił. Przybliżył się do Kundra, a uderzywszy go z francuska płaską ręką po brzuszku, rzekł:

– A ty, panie Kundra, jak widzę, frant kuty na cztery nogi. Bo kiedy tyłu rycerzy starało się z wielkim hałasem i trzaskiem o względy pani Pachny i jedni się za nią pozabijali, a drudzy odesłani są z kwitkiem, tyś się tymczasem milczkiem jak kret do jej serca dogrzebał. Wiedziałem ja coś o tym, ale przez delikatność rycerską milczałem jak grób – a teraz tak mówię: dobrze jest na świat przyjść przy ostrogach, ale daleko lepiej urodzić się w czepku.

Te słowa uspokoiły Pachnę cokolwiek, bo były pięknym kawalerskim duchem natchnione. Widząc to Kergolaj, obrócił się do niej i rzekł:

– Wszystkich świętych biorę na świadków, jakom chciał przy waszmość pani w rodyjskiej obyczajów czystości pełnić służbę rycerską do końca życia. Gdybyś była moją służbę przyjęła, byłbym na twoją cześć nosił żelazny łańcuch na szyi i byłbym ci z wojny przyniósł dwanaście głów saraceńskich w ofierze. A gdybym był zginął na wojnie, ty byłabyś przypięła czarną wstęgę do twego ramienia, na wieczną pamiątkę, że ten, który był wielbicielem twych wdzięków i twoich cnót niepożytych, zginął na polu sławy, unosząc z sobą do nieba promienny obraz twojego wdzięcznego oblicza, Aleś waszmość pani moją służbą wzgardziła, tak rozumiejąc, że najpiękniejsze służby rycerskie powinny ustąpić obowiązkowi małżeństwa. Zakon mój mnie zabrania tego obowiązku dopełnić, nad czym będę cierpiał bardzo boleśnie do grobu: ale w tym moim zmartwieniu mam przecież tę wielką pociechę, że się gorące życzenia waszmość pani spełniły i masz męża, który posiada szacunek całego miasta, a któremu i ja dałem mojej przyjaźni niejednokrotne dowody. Będąc jako rycerz rodyjski zarazem kapłanem, daję wam moje błogosławieństwo – i niech was Bóg ma w swojej opiece.

Ta piękna przemowa wzruszyła Pachnę do głębi. A żeby zaraz dać dowód, jako już nigdy o rycerzach myśleć nie będzie, obróciła się do Formozy i rzekła:

– Zdraycy są, o tym wie każdy, ale to trzeba im przyznać, że dla kobiet w każdej okoliczności pełni są sentymentów rycerskich.

Niewierny Kundra, słysząc tę sztuczną przemowę, powiedział sobie: Skórka na buty. – Ale w tej chwili był tak uszczęśliwiony, że i jego kupieckie serce się wzniosło nad poziom społecznych walk i osobistych zazdrości i musiał sobie pomyśleć: że ci rycerze wprawdzie dawno już zasłużyli, aby ich wszystkich powywieszano, ale trudno zaprzeczyć, że w danych chwilach dają się na nich spostrzegać pewne zalety. Tym sentymentem wiedziony, zbliżył się do niego, podał mu rękę i dziękował mu za jego kawalerskie uczucia.

Z tej chwili skorzystała Formoza – a rada temu, że Pachna przecie nareszcie weszła na zwyczajny i przywoity tor życia, wzięła ją pod ramię, odprowadziła na stronę i rzekła do niej z szczerego serca:

– Nie uwierzysz, moja kochana Pachno, jak się cieszę, że się nareszcie to małżeństwo złożyło. Wierz mi, że będziesz miała doskonałego męża, bo Kundra to bardzo dobry człowiek; czasem chciał komuś figla wypłatać i zawsze się jakoś tak stało, że się na nim skrupiło, ale wszystko to robił z miłości dla ciebie. Dziś, kiedy już jego żoną zostałam, figłów robić nie będzie i będziesz w nim miała najtroskliwszego męża i najwierniejszego sługę. Tylko trzeba, ażebyś i ty już figłów zaprzestała i dała pokój rycerzom.

A na to Pachna również z szczerego serca:

– Juźci bym chciała, Bóg świadkiem. Zawsze to sobie sama powiadam. Ale wiesz... między nami... jakoś nigdy nie mogę. Jak obaczę takiego pięknego rycerza, co cały zakuty w żelazo i sam jakby z żelaza, kawalerska postawa, twarz jak u Bożego anioła, wąs wymuskany, śliczne na plecach kędziory, a na ustach same miodowe słowa: kiedy na mnie spojrzę swoimi rycerskimi oczyma, a zwłaszcza kiedy do mnie przemówi, tak mi się zaraz mdło robi na sercu... cóż chcesz? nie mogę.



– To bardzo źle – rzekła z uśmiechem Formoza – źle dla świata i ludzi i źle dla duszy zbawienia, bo za to są kary wieczne.

– Jużci ja wiem – odpowiedziała jej Pachna na pół melancholicznie, a na połowę z uśmiechem – jużci ja wiem: ale cóż? kiedy nie mogę. Ludzie są bardzo źli, niepotrzebnie się w te rzeczy mieszają. A co do zbawienia duszy, to tak sobie myślę, że i Magdalenie jest przebaczone, bo bardzo kochała.

Na to Formoza głośno się roześmiała, mówiąc;

– Magdalenie jest przebaczone dlatego, bo Pana Boga bardzo kochała, ale nie dlatego, że jerozolimskich kawalerów kochała. Takie znaczenie tej biblijnej powieści tylko ci dają, co źle ewangelią czytają.

– Już ja tam nie wiem, jak oni ewangelią czytają, ale to wiem, że nie mogę, nie mogę, na żaden sposób nie mogę. Zresztą, powiedzże sama, ale mów prawdę, czy jest jaka kobieta na świecie, co by się takiemu rycerzowi oparła, takiemu jak Kergolaj albo jak Gniewosz?

Tu już Formoza musiała sama przerwać tę rozmowę.

Z tych kilku słów łatwo było zrozumieć, jaka przyszłość ścieliła się Kundratowi. Ale mimo to Formoza była dobrej myśli, posłała zaraz po Łopatkę i kilku bliższych znajomych Kundrata, i nowożeńcom sutą wydała biesiadę.

We trzy tygodnie potem Kundrat ożenił się z Pachną. Ślub odbył się skromnie, bo Kundrat nie będąc pewnym, czy panowie ławnicy i rajcy zechcą przyjść na wesele tej samej Pachny, którą niedawno tak surowo cenzurowali, nikogo z przedniejszych mieszczan nie zaprosił. Prócz tego godziło mu się uszanować żalobę Formozy.

Kergolaj miał mu družbować, ale się także nie stawił. Albowiem za zabicie Frąca, które przypisano jego sztukom diabelskim, pospólstwo, zapewne podszczute przez zamkowych żołnierzy, srodze się przeciw niemu zburzyło i zaczęło już wieczorami oblegać jego gospodę. Zaczem Kergolaj, nie chcąc mieć po raz drugi do czynienia z motłochem lwowskim, wyjechał milczkiem z miasta, zachowując się na lepsze czasy Rzeczypospolitej polskiej. Ale, jako wdzięcznego serca kawaler, nie zapomniał o Pachnie – w roku następnym był jeszcze raz z królem we Lwowie i znowu się przypomniał jej łasce – a w lat kilkanaście potem, za panowania Zygmunta Starego, wyrobił dla jej syna szlachectwo polskie, które też możesz czytać we wszystkich herbarzach.

Wszystko to działo się w czasach, kiedy cała Ruś bardzo ciężko stękała pod podwójnym najazdem. Albowiem o samej wiośnie, jak to już powiedziano, przeniewierczy wojewoda wołoski wpadł na Pokucie, niszcząc i paląc kraj cały – a w też tropy za nim wpadli Tatarzy na Ruś i zapuścili swoje zagony pod Przemyśl, Radymno, Łańcut i Przeworsk. Miasta, statecznymi murami obronne, mijali, lecz takie, co leżały otwarte, palili i rabowali: wtedy też wygorzał Drohobycz do szczytu, a w Samborze tylko sam zamek się ostał.

Król, oddany swawolnym rozrywkom w Krakowie, nie tylko że się sam z miasta nie ruszył, ale zrazu nawet żadnych nie wydał rozkazów w celu obrony kraju. Natomiast zaś kazał na gwałt naprawiać mury Krakowa, właśnie jak gdyby cały kraj ze wszystkimi miastami wydał na łup najeźdźnikom, a tylko samej stolicy chciał bronić. Kraków na tym skorzystał, bo wtedy oprawiono mury forteczne bardzo porządnie, zbudowano obronną bramę św. Floriana, wzniesiono wał murowany od strony Kleparza i wpuszczono Rudawę między wały a mury. Ale kraj został się bez obrony. Wojewodowie, kasztelani i starostowie pozamykali się z swymi żołnierzami w swoich zamkach rycerskich, zamożniejsza szlachta okopała się w swoich dworach, a błakający się po kraju żołnierze i drobna szlachta, nie mogąca się bronić w swych dworach, pościgali do miast obronnych, oczekując tam wici królewskich. Nareszcie król zwołał pospolite ruszenie do Sandomierza, zebrało się tam szlachty wielko- i małopolskiej dostatkami, ażeby z niej stateczną armią utworzyć, ale żadnej komendy nad nią nie było:

szlachta objadła tylko pograniczne powiaty – a tymczasem Wołosza i Tatarzy, nabrawszy łupów w towarach, w bydłe i w ludziach, wrócili bez wstrętu do domu.

Król zaczął wtedy traktować o zawarciu sojuszów ze swymi braćmi, Władysławem, królem węgierskim i czeskim, i Aleksandrem, w. księciem litewskim, a zarazem i z wojewodą wołoskim, który u tych panów chrześcijańskich wtedy już szczerze szukał obrony przeciwko Turcji; sojusze te zostały istotnie zawarte; ale wtedy cesarz turecki w siedmdziesiąt tysięcy żołnierza uderzył na Ruś. Zuchwały Bajazet był pewnym, że mając przed sobą Polskę, osłabioną przeszłoroczną wojną na Bukowinie, a teraz przez Wołochów i Tatarów znów do połowy zniszczoną, nie znajdzie statecznego oporu i pójdzie do Krakowa i dalej bez żadnej przeszkody, i przejdzie przez nią jak wiatr, co trawy i trzciny swoim podmuchem ugina. Dlatego, tak samo jak Tatarzy, miasta obronne i zamki omijał i parł naprzód niepowszrymanie; jego przednie stráže już Lwów pominęły i zbliżały się do brzegów Sanu. Polska była bezbronną i nigdzie nie czyniła mu wstrętu: wszelako szczęśliwy przypadek tak zrządził, że Turcy nie tylko żadnej nie wynieśli zdobyczy, ale jeszcze tak dosadną a krwawą klęskę ponieśli, jakiej nie zaznali od czasu, jak zaczęli na Europę napadać.

Bajazet bowiem, uderzając podówczas po raz pierwszy na Polskę, nie policzył się z porami roku, w których na te ziemie można wygodnie najeżdzać – a tymczasem Polakom polska zima przyszła na pomoc. Tureckie wojska wpadły do Polski dopiero w listopadzie i ledwie się zbliżyły do Lwowa, kiedy mrozy ścisnąć zaczęły. Zima w tym roku była jeszcze daleko sroższą niż przeszłoroczna: takie same śniegi nawalne, ale obok nich mrozy tak silne, jakich od dawna nie pamiętano. Wszystkie rzeki, nawet i najbystrzejsze górskie potoki, stanęły lodem, ziemia stężała tak silnie, że była nakryta jakby skorupą z żelaza, cała roślinność wyschła do szczytu i była do tej skorupy jakby przykuta, a powietrze ścięło się takim zimnem sybirskim, że ptak upadał zmarznięty na ziemię, a dziki zwierz leżał martwy przy drodze ze szklanymi oczyma.

Turcy, nie przywykli do takich mrozów i niedostatecznie odziani, nie mając czym swoich koni pokarmić, ani nawet napoić, nie mogąc się nigdzie przytulić, bo wsie były wypalone i wyniszczone, palili lasy, żywili się mięsem swych własnych koni, lecz mimo to ginęli z zimna i z głodu jak muchy. A wtedy rycerze z zamków i niektórzy żołnierze z miast ku nim wypadli i zaczęli ich tępić bez miłosierdzia. Tylko co najprzedniejszych baszów brano w niewolę, resztę do nogi wybito. Czterdzieści tysięcy ich na samej Rusi zginęło – a tych, co się przez Dniestr przebrali, wojewoda wołoski, siedzący na nich w zasadzce, pobił i pobrał w niewolę. Do Bajazeta, z tych siedmdziesięciu tysięcy, którymi chciał Polskę zwojować, ledwie tyłu dotarło, ażeby mu opowiedzieć dokładnie, na jaki naród i na jakie królestwo się zerwał – i jeżeli jeszcze pamiętał, co mu Gniewosz, według powieści młodego Pretficza, o polskich rycerzach powiadał, to się teraz przekonał, że Gniewosz nie kłamał.

Po tym tak niesłychanym zwycięstwie nad straszną wówczas dla całej Europy potęgą turecką, król zjechał do Lwowa, raz, aby się z miastem, które nic wcale nie ucierpiało, tym tryumfem nacieszyć, potem, ażeby środki obmyśleć, którymi by popalonym miasteczkom przyjść z pomocą, a wreszcie, ażeby stamtąd obaczyć, azali nie da się zawrzeć jakiś korzystny pokój z upokorzoną, lecz jeszcze nie pokonaną potęgą turecką.

Przyjechawszy w samo Boże Narodzenie z małym dworem do Lwowa, stanął jak zwykle na Niskim Zamku, święta w cichości przepędził, ale po świętach już się bardzo ludno zrobiło na zamku, bo rycerstwo z bliższych, a potem i z dalszych okolic zaczęło się zjeżdżać do niego, ażeby mu opowiadać wszelakie szczegóły o odniesionym nad Turkami zwycięstwie i o zachowaniu się wojewody Stefana, które tym więcej go zajmowały, ile że sam jeszcze nie wiedział, jak i przez kogo ma rozpocząć układy z Turkami.

Działo się to właśnie w tę samą porę, kiedy ów Ormianin, co przywiózł Lubka z niewoli, przyjechał do Lwowa i przywiózł Formozie list od starego Pretficza z wiadomością, że Gniewosz żyje i jest u Bajazeta w niewoli.

Formoza w pierwszych czasach po wojnie wołoskiej miała, jakeśmy to uważali, niejako instynktowe przecucie, że Gniewosz nie zginął. Przecucie to wszakże nie miało żadnej realnej podstawy – a opierało się tylko na tym, cokolwiek dziecinnym, lecz zakochanej dziewczicy bardzo właściwym wyobrażeniu, że taki rycerz żelazny, co rwie podkowy jak nici i jednym zamachem mógłby dziesięciu żołnierzy obalić na ziemię, taki przy tym rozumny, przezorny, spokojny i taki mistrz niezrównany w rycerskim rzemiośle, nie może być przez nikogo zabitym. Taki rycerz, jak Gniewosz, jest nieśmiertelnym, ze wszystkich walk wychodzi zwycięsko, musi koniecznie później doczekać starości, ażeby był wzorem dla wszystkich młodszych rycerzy, ażeby go po śmierci wykuto z kamienia w katedralnym kościele, i aby się wszystkie pokolenia późniejsze do niego modliły. Wiara w to, że Gniewosz niewątpliwie gdzieś żyje, stała się jej doczesną religią – i jak we wszystkich religiach, za przewodem głównego artykułu wiary, wysnuwały się w jej wierzącym umyśle rozmaite legendy o tym, co się z nim stało. Tak uroiła sobie, że się dostał w niewolę Tatarom, że Tatarzy pewnie go Turkom sprzedali, że potem dostał się na tureckie galary, ale z galar musiał się oczywiście wyłamać – a teraz gdzieś wojuje po morzach, może jest w Ziemi Świętej, może w innych krajach murzyńskich, wybija się z nich, smoki, złe duchy i inne potwory stają mu w drodze, musi z nimi walczyć, ażeby sobie rum zrobić, ale jak tylko te wstręty pokona i dobije się do ojczyzny, to pewnie powróci do niej i jednego dnia zjawi się przed nią, tak jak jego duch teraz jej się zjawia po nocach.

Jednak jeżeli główne artykuły wiary mogą trwać wiecznie, a nawet znaleźć wyrozumowaną podstawę, tak znowu takie z czystej imaginacji wysnute legendy zazwyczaj nie wytrzymują próby czasu, jeżeli żadne rzeczywiste zdarzenia nie podtrzymują ich życia, i bledną z wolną wobec trzeźwiejącego rozumu – a rozum bardzo prędko trzeźwieje w nieszczęściu. Tak i Formoza, im więcej swoim rozumem zastanawiała się nad tym, co się stać mogło, i kiedy żadna wieść nowa nie utwierdzała jej wiary, tym więcej się chwiała i tym jaśniej dostrzegała, że jej wszystkie legendy są tylko wymysłem jej wyobraźni. Zaczem, odrzucając pomalą jedną po drugiej, zaczęła nareszcie powątpiewać o prawdzie głównego artykułu swej wiary. Postępując tym trybem, rozbierając szczegółowo prawdopodobieństwo swoich pierwotnych przypuszczeń, im więcej nad nimi pracowała swoim rozumem, tym częściej przychodziła do przekonania całkiem przeciwnych. Gniewosz nie zginął? – mówiła sobie natenczas – więc cóż się z nim stało? Mąż tak wysokiej godności, jeden z najpierwszych urzędników królewskich, ulubieniec samego króla, mający tylu przyjaciół u dworu, znany nawet po wszystkich krajach postronnych, gdziekolwiek by był, azaliżby dotąd, od czternastu miesięcy, nic się o nim nie dowiedziano? Azaliżby król, który pewnie kazał się dowiadywać o niego, nie był dotychczas choć jakiej głuchej wieści o nim otrzymał? azaliżby on sam nie znalazł dotąd sposobu, ażeby dać wiadomość o sobie? azaliż stary Pretficz, mąż taki rozumny i tak doświadczony, nie powiedział jej sam: że co do Gniewosza, to rzecz całkiem inna, że gdyby żył, to król byłby już dawno się o tym dowiedział? – A zatem wszystko, co dotąd o nim sobie roiała, wszystkie obrazy o niewoli u Turków, o galarach, o przebijaniu się jego przez ziemie murzyńskie, wszystko to były. próżne marzenia!

Ale takie grzebanie w legendach, które nam wiara przynosi, jest niebezpiecznym: albowiem każda wiara właśnie i głównie opiera się na tych legendach, które opanowując wyobraźnię człowieka i przywiązując jego serce do siebie, utrzymują w jego umyśle jej ducha. Kto zacznie te legendy odrzucać jedne po drugiej, ten w końcu i same wiarę w sobie zachwieje. Tak stało się także Formozie: poodrzucawszy wszystkie swe przypuszczenia jedno po drugim, zachwiała się wreszcie w swojej niegdyś tak silnej wierze, że Gniewosz jest jeszcze przy życiu. I tak jak we wszystkich ludziach, usiłujących wszystkiego dochodzić rozumem, kiedy nie mogą na to znaleźć dowodów, w co niegdyś wierzyli, ale w swym zacnym sercu nieradzi porzucać ideałów swojej młodości, pozostaje tylko jakiś oderwany od ziemi i

całkiem eteryczny duch wiary, którym się już nie rządzą w swym życiu, a który się już tylko nad ich myślami unosi: tak i z jej wiary już tylko tyle jej pozostało. Gniewosz gdzieś jest, na ziemi lub w niebie, może go jeszcze kiedyś obaczę, może zgrzybiałym starcem przed grobem, a może dopiero po śmierci...

Wśród takiej walki we wnętrzu jej duszy, w której trzeźwe poglądy usuwały coraz więcej w głąb jej idealne nadzieje, zaszły wzruszające wypadki: niespodziewana śmierć starego Kijasa, krwawe zabójstwo Olizara i Fraça, ożenienie się Kundrata, konieczność zajęcia się osobście majątkowymi sprawami – a wtedy i myśli jej musiały się spuścić na najniższy poziom tej ziemi i iść za przewodem zimnego rozumu. Ciężka, zabijająca to praca dla takiej kobiety, której serce ogromne swoją miłością i umysł wyniosły, patrzący z wysoka na ziemię, pragnęły zawsze i godne były daleko wyższych celów w tym życiu! Lecz właśnie za przewodem tego serca i tego umysłu, poddających się kornie nieubłaganemu losowi, dojrzało w niej wtenczas zupełnie postanowienie zbudowania jakiegoś wielkiego klasztoru, urzędnienia w nim spokojnego przytułku dla bogobojnych dziewcząt, zajęcia się nędzą ubogich i nieszczęśliwych. Przez zimę miała się zająć wypracowaniem tych wszystkich projektów, a na wiosnę zabrać się do ich wykonania.

Owo więc wtedy, jednego dnia przed samym wieczorem, pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, zjawił się u niej ów Ormianin z listem starego Pretficza.

Nieznamy jej dotąd Ormianin powiedział jej najprzód, że to on jeździł za Lubkiem do Turcji, że teraz dopiero powrócił i że go pan Pretficz do niej przysłał.

Na tę wiadomość Formoza się trochę zmieszała, twarz jej się zarumieniła, serce jej uderzyło, ale się opanowała i zapytała Ormianina:

– Tyś to jeździł za Lubkiem? cóżeś tam zrobił?

– Po długich kwerendach – odpowiedział jej Ormianin z uśmiechem zadowolenia – odszukałem pana Lubomira w niewoli, wykupiłem go, przywiozłem do Sokołowa, a teraz wróciłem do Lwowa.

– Więc Lubek ocalał! – zawołała Formoza – z całego serca się cieszę, bom też tego zacnego chłopca szczerze kochała. Co to tam za radość musiała być w Sokołowie! Więc z tą wiadomością cię pan Pretficz do mnie przysłał?

– Z tą wiadomością i z listem – rzecze Ormianin i to mówiąc, wydobyl list zza szerokiego pasa i oddał go jej, dodając te słowa: – Oddawszy list, polecam się łasce waszej miłości, bo mi się śpieszy do żony i dzieci, którychem prawie od roku nie widział.

– List do mnie? – zawołała Formoza, niezmiernie tym zadziwiona, bo listy pisywano owego czasu tylko w bardzo ważnych wypadkach – List? jak to? idziesz już? Czekał...

Trzymała list w ręku i drżała na całym ciele. Sama nie wiedziała, co się z nią działo. Tyśiące myśli jej przeleciało przez głowę, tysiące uczuć skrzyżowało się w sercu.

– Czekał... Dlaczegoż się tak śpieszysz? Chciałam się z tobą rozmówić. Czekał... albo idź, ale bądź tak dobry, przyjdź, jak cię każe zawołać.

Ormianin wyszedł. Formoza trzymała list w ręku i nie miała odwagi oderwać pieczęci z koperty. Ale po chwili odetchnęła z głębi piersi, mówiąc do siebie: Jakaż jestem dziecinna! a czas by mieć rozum. Pretficz mi oczywiście o Lubku donosi... – To mówiąc, zerwała pieczęć, otworzyła list i przystąpiła do okna, bo się już wtedy zmierzchało, aby go spokojnie przeczytać.

Lecz ledwie pierwszy wiersz odczytała, otworzyła usta, jakiś niezrozumiały głos z ust jej wyleciał, oddech zupełnie zaparł się w piersiach, w oczach jej się zaćmiło, oparła się o uszak okna i rękę wraz z listem opuściła ku ziemi. List starego Pretficza zaczynał się od słów:

„Pospyescham donyeść waschej miłości czo prendzey, że yegomość pan Gniewosch yest przy życy, bendonc w niewoley u Thurka. Muy syn Lubek, czo właśnye powrucil, sam go widzial na własne ocszy y myał z nym dyskurs”...

Pod pierwszym wrażeniem krew w niej zastygła z radości i wszystkie władze umysłu stanęły. Trwało to jednak tylko przez oka mgnienie, po czym serce jej uderzyło gwałtownie, krew jej zaczęła się przelewać po całym ciele jak wzburzone morskie bałwany, ręce jej dygotały, podniosła list ku oczom, chciała dalej czytać, ale nie mogła: nie mogła listu utrzymać w ręku i zmrok już zapadł natenczas. Zaczem przyskoczyła do stołu, porwała za dzwonek i zadzwoniła tak silnie, że trzy służebne wpadły z różnych drzwi razem do komnaty.

– Światła! – zawołała Formoza – kaganiec... wielką lampę oliwną... nie! lichtarz z woskowymi świecami. Albo co bądź...

Sama nie wiedziała, co mówi, chciałaby była, ażeby słońce teraz weszło w całym blasku promieni.

Służebne wybiegły i za chwilę wróciły, zastawiwszy cały stół kagańcami i świecznikami.

– Idźcie sobie teraz, proszę was, aż was zawołam.

Kiedy służące wyszły, siadła do stołu, aby list czytać. Lecz chociaż biegłą była w czytaniu, jakoś jej nie szło. Pierwsze wiersze przeczytała trzy razy, sześć razy, i nie mogła dalej postąpić. Pomimo światła jarzących w oczach jej się ćmiło, litery się chwiały, całe wiersze się zlewały ze sobą. Po kilka razy podnosiła głowę do góry, zaczerpywała powietrza i znów do czytania wracała. Radość ją tak zupełnie opanowała, że żaden zmysł nie chciał jej służyć po woli. Ale po chwili, widząc, że list jest tak bardzo długi, przysła jej myśl przerażająca, że może dalej znajdują się jakie złe wiadomości, i to ją otrzeźwiło: siadła więc silniej na krześle, oparła się o stół obydwoma łokciami i cały list prędko przebiegła. Złej wiadomości aż do końca nie było, były tylko szczegóły niezrozumiałe, zaczęła odetchnęła i zaczęła list czytać na nowo, zastanawiając się nad każdym szczegółem z osobna. Próżne usiłowanie! Ten i ów szczegół ją silniej uderzył, inny obudził w niej uwielbienie dla jej oblubieńca, ale myśleć nad tym wszystkim nie była w stanie. Dowiedziała się tylko całości – i na dziś musiała na tym poprzestać.

Noc nie rozjaśniła także jej głowy. Sen nie chciał skleić jej powiek. Przez całą noc tylko najdziwniejsze marzenia snuły się po jej głowie: była w Carogrodzie, widziała Gniewosza, rwącego żelazne kajdany jak nici, stojącego przed carzem tureckim, imponującego całemu dywanowi<sup>88</sup> swoją wspaniałą postacią, zmuszającego Turków swoją godnością do poszanowania dla siebie... Ale dlaczego Gniewosz zażądał sam, aby go tam trzymano przez rok i sześć niedziel, kiedy prawdopodobnie mógł się pierwiej wydobyć? Czy był to czas próby, który jej miłości wyznaczył?... Ta niepojęta zagadka zmorzyła ją nareszcie nad ranem i sprawdziła na nią kamienny sen, z którego się obudziła dopiero w dzień biały.

Przetarłszy oczy, najpierw pochwyciła za list, który pod poduszkę schowała, i jeszcze raz go przeczytała. Wszystko tam tak stało, jak wczoraj wyrozumiała. Jest, żyje i nic mu się nie stało. Cóż teraz zrobić, aby go z tej niewoli wydobyć?

Pierwsza jej myśl była zaraz dziś jechać do Carogrodu. Wolną jest, nikt jej tej podróży za złe nie weźmie; pieniędzy ma dosyć, może go łatwo wykupić. Ale czy dobrze to będzie? Czy dobrze to, żeby kobieta, nie będąca żoną Gniewosza, za nim jechała? i czy Gniewosz nie znajdzie w tym pewnego upokorzenia, jeżeli ona go zechce wykupić swoimi pieniędzmi? – Boże! mój Boże! – wołała wtedy, łamiąc ręce przed sobą i zalewając się łzami – co ja tu pocznę? – Zastanowiła się nad tym, nie umiała sobie dać odpowiedzi, chciałaby była kogoś się poradzić. Ale kogo? starego Pretfcicza? Pretfcicz daleko, człowiek zanadto rozważny, odradzi jej jechać, każe czekać – a tu jej ziemia pali się pod nogami. Poradzić się Kundrata? Kundrat zmyślny, lecz głupi, nieszczęśliwą ma rękę, jeszcze jej jakieś głupstwo poradzi. Radzić się ludzi obcych? Za nic w świecie. I źle jej poradzą i jeszcze plotek narobią. W tym wielkim kłopotcie przeczytała jeszcze raz list starego Pretfcicza i dopiero teraz spostrzegła, że Pretfcicz jej radzi wiadomość tę donieść bez zwłoki królowi. Zaczem uderzyła się w czoło, mówiąc do

---

<sup>88</sup> dywan (pers.) – turecka rada państwa i sąd najwyższy

siebie: Jużci Pretfcicz ma racją. Jest przecie król! Król wie o wszystkim. Gniewosza kocha, on da jej radę najlepszą i niezawodnie pomoże. – Postanowienie było zatem powzięte.

Ubrała się więc zaraz bardzo pięknie i wzięwszy ze sobą dwie panny służebne, poszła na Niski Zamek. Było to już z południa, w królewskiej antykamerze był cały tłum senatorów, prałatów, rycerzy, szlachty i mieszczan. Formoza nie знаła nikogo z dworzan królewskich, na widok tyłu panów brodatych, pancernych, w świąteczne suknie przybranych, rumieniec jej na twarz wystąpił, wzrok jej się błakał po obcych twarzach, nie wiedziała, co ma począć ze sobą. Na szczęście jednak Kamieniecki ją poznał, zaraz do niej przystąpił, powiedział jej dobre słowo, sam ją zameldował królowi i sam jej drzwi do jego komnaty otworzył.

Król, gdy ją obaczył, chociaż już wiedział, kto wchodzi, niezmiernie jej widokiem był uderzony. Albowiem Formoza, lubo w bardzo skromną suknię ciemnego koloru ubrana, z wąską białą kryzą około szyi i w jedwabnym czepcu na głowie, wyglądała tak wspaniale, jej twarz zarumieniona, na której było widać głębokie wzruszenie, jej oczy skromne, lecz pełne tego poważnego wyrazu, co świadczy o uczuciu swej własnej godności, jej usta prawie zachwycone w tej chwili, musiały sprawić na każdym przejmujące wrażenie – a tym bardziej na królu, tak umiejętnym i doświadczonym znawcy wszelakich odcieni kobiecego uroku. Zaczem wstał, a objąwszy swym wprawnym wzrokiem całą jej postać, rzekł do niej:

– Ceres albo Diana! krewna Kmitów... Pamiętam dobrze, że waszmość panią widział przed dwoma laty, kiedym był u jej teścia w gościnie, bo takich piękności się nigdy nie zapomina; lecz muszę przyznać, że od tego czasu jej wdzięki, jeśli to być może, nabrały jeszcze daleko więcej świetności i blasku. Od tego czasu, jak dla mnie, tak i dla waszmość pani, to i owo się zmieniło. Mąż zginął, a teraz się dowiaduję, że i teść życie postradał. Masz pewnie jakieś rodzinne trudności, będziemy radzi, jeżeli potrafimy jej w czym pomóc.

– Miłościwy królu – odpowiedziała Formoza, panując świetnie nad swoim wzruszeniem – w ostatnich dwóch latach podobało się Bogu dotknąć mnie całym szeregiem umartwień. Zniosłam je z poddaniem się i z pokorą, jak chrześcijanice przystoi. Dotknęły mnie także różne niepowodzenia, ale nie są one tego rodzaju, ażebym musiała nimi zatrudniać mojego miłościwego pana i króla. Jeżeli się ośmieliła stawić się przed obliczem waszej królewskiej mości, to dlatego, że otrzymała wiadomość, która mnie bardzo z bliska dotyka, a która zapewne i waszej królewskiej mości nie powinna być obojętną: imć pan Gniewosz żyje i jest u Turka w niewoli.

– Gniewosz żyje?! – zawołał król, przystępując do niej o jeden krok bliżej i wpatrując się silnie w jej oczy – któż to waszmość pani powiedział? Rad bym pewnie, ale nie może to być, bobym się był przecie o tym dowiedział.

Na to Formoza dobyte list starego Pretfcicza z kieszeni, ale nie dając go jeszcze królowi, rzekła te słowa:

– Miłościwy królu! W ludzkim sercu bywają uczucia, które nie są grzechem, a przecie nie godzi się, ażeby ludzie o nich wiedzieli, bo mogliby je na naszą krzywdę tłumaczyć. Z takich uczuć odkrywam się dzisiaj przed waszą królewską mością, przynosząc memu miłościwemu panu o Gniewoszu wiadomość. Zaczem liczę na rycerską szlachetność waszej królewskiej mości, jako będziesz miał wzgląd na cześć i dobre imię kobiety. Oto jest list, w którym stoi świadectwo, jako Gniewosz jest w Carogrodzie.

Te słowa wzruszyły króla, jakoż wzięwszy Formozę za rękę, rzekł do niej głosem serdecznym:

– Nie bójże się, moja zacna pani, żadnej niedyskrecji ode mnie, a wiedz o tym, że honor rycerski stoi u mnie nad wszystkim; strzegę go jak oka w głowie u moich dworzan, a tym bardziej u siebie. Siadajże sobie i spocznij, bo widzę łzy w twoich oczach. Pamiętam dobrze, że mi Gniewosz wspominał o tobie. Los nim pokierował inaczej, dziś by się to mogło znów na prostować. Życzę z serca, ale by mnie to bardzo dziwiło...

To mówiąc, siadł u stołu i czytał list Pretfcicza z uwagą.

A przeczytawszy go, rzekł:

– Zaprawdę, dziwna to rzecz! Jużci prawda, że przez cały ten czas nie mieliśmy z Turcją żadnych relacyj, bo Bajazet gotował się na nas do wojny i ani przez Wołochy, ani przez Tatarszczyznę, nie mogliśmy się do Carogrodu przedostać. Być zatem może... zwłaszcza że widzę z tego listu, jako Gniewosz sam pragnął swoje niewolę przechować w sekrecie przez rok i sześć niedziel.

– Jaki miał powód do tego – rzekła na to żywo Formoza – tego się nie mogę domyśleć.

– Więc ja ci to wytłumaczę, odpowiedział jej bystry król z uprzejmym uśmiechem – jest w tym dowód miłości, którą wiernie chowa dla waszmość pani. Ma przecież żonę, prawo wymaga, ażeby wdowa złożyła dowód, jako jej mąż nie żyje, jeżeli zaś dowodu nie złoży, to musi czekać rok i sześć niedziel. Zaczem tak mi się zdaje, że Gniewosz chciał dać swojej żonie rok i sześć niedziel, ażeby za mąż pójść mogła. Ale ona, jak ci to pewnie wiadomo, nie czekała tak długo...

– Cóż teraz będzie, jak Gniewosz powróci? – zapytała Formoza, bledniejąc jak ściana, bo dotąd o tej przeszkodzie nie pomyślała.

Ale ją król uspokoił, mówiąc:

– Nic nie będzie. Rok i sześć niedziel minęły. Jeżeliby zaś księża chcieli się w to mieszać, to już ja w tym będę, abyśmy wstrętów nie mieli.

Na to Formoza wstała, a odetchnawszy z głębi piersi, nisko się ukloniła królowi. Król także wstał i rzekł:

– Już ja to biorę na siebie, bo też i Gniewoszowi pewnie niczego nie odmówię. Ale co teraz zrobić, najprzód, ażeby mieć pewność, że on żyje, a potem, aby go stamtąd wydobyć?

Formoza, złożywszy ręce przed sobą, zawołała ze łzami w oczach:

– Najjaśniejszy panie! Turcy są łakomi pieniędzy, ja jestem teraz bogatą i każdą ofiarę poniosę dla niego. Dam wszystkie pieniądze, sprzedam ostatni klejnot ze skrzyni, ostatnią wioskę, ostatnie bydło z obory... byle tylko powrócił.

Formoza wyglądała jak bóstwo w tym szlachetnym zapale, a mogłaby była wzruszyć kamienie, kiedy po tych słowach łzy jej się strumieniami potoczyły po twarzy.

Królowi, chociaż nie był czułym do zbytku, także łzy w oczach stanęły i rzekł:

– Dałbym i ja także coś za Gniewosza, jakoż nie o to tu chodzi.

Po czym znowu kazał usiąść Formozie i sam siadł, i myślał przez chwilę. A potem powiedział:

– W tym liście Pretficza stoi, jako Bajazet sam Gniewoszowi powiedział, że go w danym razie za jakiego słusznego baszę wymieni. Owo mam ja tu w zamku jakiegoś tureckiego mordercy, co długo nie wiadano, który on jest, dopiero wczoraj się z tym wygadał, jako jest Bajazeta synowcem. Prawdęli mówi, czy kłamie, trudno to dociec. Ale jeżeli jest Bajazeta synowcem, to musi przecie wiedzieć, co się dzieje w pałacach cesarskich, a przeto powinien by także wiedzieć, azali Gniewosz tam jest, którego, jak Pretficz pisze, trzymają tam z takim respektem.

To rzekłszy, król klasnął w ręce, a kiedy paż drzwi otworzył, krzyknął do niego:

– Zawołaj pana Kamienieckiego!

Na to Formoza zerwała się z krzesła, złożyła ręce do króla i rzekła głosem błagalnym:

– Prosiłam waszej królewskiej mości o sekret!

Ale król znowu ją uspokoił, mówiąc:

– Zostawże to mnie, moje dziecko. Za Kamienieckiego ręczę ci, jak za siebie samego, a potem, przecież to najserdeczniejszy przyjaciel Gniewosza i pewnie wie lepiej od ciebie, co kiedykolwiek w jego sercu się działo.

Na to wszedł Kamieniecki. Kiedy król mu powiedział, co jest, Kamieniecki niezmiernie się ucieszył, a serce mu się nawet rozradowało do tego stopnia, że kilkakrotnie Formozę ścisnął za rękę, mówiąc:

– Byłem ja spowiednikiem Gniewosza i wierz mi waszmość pani, że na jej miłość zasłużył. Bądźże nam waszmość pani spokojną, już my go stamtąd wydobędziemy, a nawet tak rozumiemy, że go nam Turcy z wielkimi honorami odeszlą.

Do króla zaś rzekł:

– Jeżeli Gniewosz tam jest, toż to bardzo szczęśliwa dla nas okazja...

Król wszakże mrugnął na niego nieznacznie i powiedział:

– Idź no przede wszystkim sam do tego murdziaka z dobrym tłumaczem, a ażeby ci się do dna wypowiedział, daj mu do zrozumienia, że go za Gniewosza wymienimy.

Kamieniecki wyszedł, a król kazał czekać Formozie, wypytując ją tymczasem o śmierć starego Kijasa, o Fraça i Olizara i kwilił nad tym, że tak marnie zginęli.

– Nade wszystko mi żal Olizara – powiadał jej poufale – bo myślałem o pewnej funkcji dla niego, na której i sam byłby się dobił niemałych zaszczytów, i naszemu królestwu byłby przyniósł pożytek. Ale ci ludzie sami sobie winni, jeżeli dotąd nie zrozumieli, jak ogromna zachodzi różnica pomiędzy rycerzem, co z dziecka sposobił umysł i ciało do tego rzemiosła, a takim domorosłym mołojcem, co jakokolwiek siedzi na koniu i gęsto macha szabelką. U takiego rycerza, jak Kergolaj, a zwłaszcza Gniewosz, kości są jakby z żelaza, a żyły ze stali, oko i ucho, i zręczność jak u dzikiego zwierza, przytomność umysłu, co nigdy go nie zawodzi, a nadto jeszcze i dusza inaczej wyniosła niżeli u takiego kozaka. Widzimy przecież, jak taki rycerz nieraz w całej zbroi równymi nogami wskakuje z ziemi na konia, czego drugi człek nagi by nie potrafił. Niedawno temu jeden z moich rycerzy skoczył w pełnym rynsztunku w szyb solny w Wieliczce, mówiąc do mnie, że skacze za zdrowie królewskie: rozumieliśmy, że tam z niego tylko takie strzępie zostaną, co je miotłą zamiecie – a przecie zdrów wyszedł ze szybu i nic mu nie było. A gdybyś waszmość pani była widziała, z jaką fantazją Gniewosz stanął pod Suczawą w obronie mojego honoru i jak potem uderzył, tobyś go dziecięć razy więcej kochała. Jakoż to muszę waszmość pani powiedzieć, że krom jej zacnego serca, które wysoko cenię, mam także niemałe uznanie dla jej rozumu, żeś sobie takiego męża wybrała. Żelazny to człowiek, chłop zacny na wskroś, jakich niewielu, a przy tym, o ile to będzie od naszej możliwości zależeć, ma też i przyszłość przed sobą.

Formozie, na te pochwały królewskie ogromnie serce urosło – a wtedy wszedł Kamieniecki.

Kamieniecki zdał sprawę królowi w ten sens: jako murdziak rad się do tego przyznaje, że jest Bajazeta synowcem, obiecuje okup za siebie w pieniądzach, jaki sam król na niego nałoży, zareczy za to, że jego stryj a carz turecki da każdego polskiego jeńca w zamian za niego, którego by sobie wybrano; zaś co do jeńców, to mówi, że wie z pewnością, bo też sam nieraz go widział, jako jest w carskim więzieniu jeden rycerz polski ogromny wzrostem, którego trzymają z wielkim respektem i czasem gościom go pokazują.

– Więc to się zgadza z listem Pretficza – rzekł na to król – cóż ty o tym rozumiesz?

– Zdaje mi się, że to jest Gniewosz – odpowiedział mu Kamieniecki.

– Gniewosz, z pewnością! – zawołała Formoza – nie może inaczej być, jużci młody Pretficz takiej rzeczy nie skłamał.

– Kłamano nam już w sprawach daleko ważniejszych – rzekł na to król – kłamano umyślnie, ale co gorsza, niektórym się coś przywidziało, przysięgał na rany Chrystusa Pana, że prawda, a potem się pokazało, że mu się coś chyba przyśniło, a gęba reszty dosnuła. Ten młody Pretficz, o ile go pomnę, całe mi na takiego człowieka wygląda, co w biały dzień rozmaite sny miewa... Ale tym razem i ja tak rozumiem, że to może być Gniewosz.

Zaczem zbliżył się do Formozy, wziął ją za rękę i rzekł bardzo łaskawie:

– Wróćże sobie waszmość pani spokojnie do domu, a resztę nam zostaw. Jutro, a najdalej pojutrze wyjedzie nasz poseł do Bajazeta i wszystko ze sobą powiezie, co trzeba, ażeby Gniewosza wydobył. Nie zapomnimy o niczym, a tylko o cierpliwość prosimy.



– Najjaśniejszy królu – zapytała Formoza – czy poseł waszej królewskiej mości weźmie tego murdziaka ze sobą?

Na co król się uśmiechnął i rzekł:

– To nie, boby mu Turcy murdziaka wzięli, a Gniewosza nie dali. Ale się z Bajazetem o tę wymianę umówi, a potem zaraz ich wymienimy.

Formoza na to spuściła oczy ze smutkiem ku ziemi, co król spostrzegłszy, powiedział jej grzecznie:

– Moja droga pani, gdybyśmy ptaków mieli na nasze usługi, tobyśmy ich pewnie w tym razie użyli, ale we wszystkich rzeczach ludzkich musimy posługiwać się ludźmi.

Więc Formoza zrozumiała, że inaczej nie może być, odpowiedziała królowi:

– Miłościwy królu, czekałam cierpliwie czternaście miesięcy, jeszcze i na drugie tyle mi cierpliwości nie braknie, byłem tylko wiedziała na pewno, że Gniewosz żyje i wróci.

To rzekłszy ukłoniła się nisko królowi, podziękowała za łaskę i powróciła do siebie.

Od tego czasu Formoza się całkiem zmieniła. Uczuła się jakby odrodzoną na nowo, jej żaloba ustąpiła zupełnie z jej myśli i serca, świat żywy i słoneczny, do którego była stworzoną, zaczął się teraz do niej tak wesoło uśmiechać, jak dotąd nigdy w jej życiu: ale pomimo to nie miała spokoju.

Król wypowiedział wątpliwość, może ma racją; Lubek, jak go w obozie poznała, zdawał się i jej także być takim człowiekiem, co dla pieśni i pięknej powieści gotów rozminąć się z prawdą: zresztą tak wiele bajek krąży po świecie, na które wszyscy gotowi przysiąc, a które przecież na końcu okazują się czystym zmyśleniem. Uwagi te zachwiały jej przekonanie, chociaż się opierało na liście Pretlicza i na zeznaniu murdziaka, zaczęła postanowiła przede wszystkim wiadomość o Gniewoszu zachować przed ludźmi w sekrecie.

– Jeżeli im powiem – mówiła sobie – to będą mojemu szczęściu zazdrościć – a jeśli potem, co nie daj Boże! wiadomość ta się okaże zmyśloną, to będą się cieszyć moim nieszczęściem.

Natomiast wszakże zapragnęła ile możności wiadomość tę stwierdzić. Do murdziaka się dostać nie mogła. Do Pretlicza jechać nie chciała, bo obawiała się Pretliczowej, która by jej zbyteczne krzątanie się za Gniewoszem mogła wziąć za złe. Ale napisała list do starego Pretlicza, prosząc go, aby jej przysłał Lubka na dzień jeden do Lwowa.

Lubek przyjechał i wszystko jej dosłownie potwierdził. Widział Gniewosza na własne oczy, sam z nim rozmawiał, sam Gniewosz wziął parol kawalerski od niego, że o tym nikomu nie wspomni. Lubek, mający głowę zajęłą czym innym, nie wiedząc wcale, a nawet nie pytając o to, dlaczego Formoza wypytuje go o Gniewosza, tylko wiedziony instynktownym przecuciem, prosił ją i zaklinał, ażeby wiadomość tę zgodnie z wolą Gniewosza zachowała w sekrecie.

Więc wszystko dobrze, Formoza się całkiem uspokoiła i czekała cierpliwie.

Tak minął jej styczeń, luty i marzec w spokoju, lecz w kwietniu zaczęła się znów niecierpliwić. Starła się coś dowiedzieć na Niskim Zamku, ale na próżno. Król był wtedy na sejmie w Piotrkowie i wszyscy dygnitarze byli na sejmie. Na zamku rezydował tylko sam Łopatka – a Łopatka miał wobec niej gębę zamkniętą na kłódkę. – Poseł do Bajazeta? – pytał jej niby zdziwiony – a gdzież by też król posłów posyłał do Turków, których pobił na miazgę? toż chyba prędzej pobici Turcy przyszlą swoich posłów do króla. – Murdziak, Bajazeta synowiec, jeńcem na zamku? – Łopatka nic o tym nie wiedział. – Było tu kilku łapserdaków tureckich – powiadał Formozie – ale ich szlachta porozbierała pomiędzy siebie, a myśmy ich chętnie porozdawali, co i na ten chleb nie umieli zarobić, co u nas zjadali. – Więc nie masz już żadnych jeńców tureckich na zamku? – Nie masz ani jednego.

– Cóż to ma znaczyć? – zapytywała siebie stroskana Formoza. – Miałżeby król mnie okłamać? miałżeby Kamieniecki zdradzić Gniewosza? miałżeby go obydwaj zostawić w niewoli, aby tam zgnił w tureckich więzieniach?

W kwietniu jej niecierpliwość wzrosła do tego stopnia, że już snu w nocy nie miała. Lecz przyszedł maj – a i w maju także jeszcze żadnej wiadomości nie było.

W Sokołowie już bardzo wcześnie zaczynały się skrzętne prace wiosenne.

Jak tylko śniegi stajały, a i ziemia cokolwiek podeschła, sto pługów okrywało jak mrowie szerokie łany ornego pola, tysiące owiec wełnistych się pasło po wzgórzach, nieprzeliczone stada bydeł i koni tłumiło się wesoło po łąkach, a lasy dymiły się ogniskami nałożonymi przez karczowników. Skowronek unosił się nad rolami, dodając swoim dźwięcznym świegotem oraczom ochoty do pracy, żarłoczne wrony postępowały poważnym krokiem za pługami, oczyszczając świeżo wyorane skiby z robactwa, a od krzaczystych brzegów Świcy pastuszkowie przygrywali na fletniach, które sobie misternie wycięli z soczystej wierzbiny.

Stary Pretficz już w kwietniu wrócił z Piotrkowa ze sejmu, gdzie po raz pierwszy zasiadł między senatorami, i już od tego czasu codziennie o wschodzie słońca sam wyprawiał pługi na pole, bacząc pilnie, ażeby każdy postronek i każdy kołek był w swoim miejscu; potem przez cały dzień konno orne pola, pastwiska i lasy objeżdżał – a po południu wracał do domu, aby pod jego okiem przygotowano zawczasu dostatnie pożywienie dla bydła i ludzi. Pańszczyzna jeszcze wtedy nie wystarczała do obrobienia takich gospodarstw, gdzie się po tysiąc korcy siewało, wolnych kmieci jeszcze było dużo na Rusi, a osadników niesporo, trzeba było trzymać liczne zaprzęgi i licznych parobków – i dla nich to już zaraz z południa pracowały po gumnach sieczkarnie, a słupy dymów podnosiły się w górę z kuchien folwarcznych.

Toż i dziś, kiedy słońce dopiero zaczęło złocić powietrze za jodłowymi lasami na niebie zachodnim, on już odpoczywał w środkowym ganku po pracy, czekając cierpliwie, kiedy usłyszy turkot wozów na drodze i odgłos dzwonek, którymi ciężkie krowy podolskie ogłoszą swój powrót z paszy majowej do przewietrzonej tymczasem obory, gdzie dziewczki rumiane, gwarząc wesoło ze sobą, czekają na nie z czysto wypłukanymi skopcami.

Koło niego siedziała matka, cicha i spokojna jak zawsze, a naprzeciw niego Lubek, oparty plecyma o poręcz ławy, z świeżymi rumieńcami na twarzy, ale z zamyślonymi oczyma.

Lubek gospodarował na swoim folwarku, ale zdaje się, że nie bardzo umiejętnie swe gospodarstwo prowadził, bo ojciec wzięwszy go dzisiaj ze sobą w pole i pokazawszy mu, jak się powinno sprawować rolę, teraz mu opowiadał, jak trzeba chodzić około bydła i koni, ażeby obora i stajnia przynosiły pożytek swą pracą i oddawały co roku odpowiedny przychówek. Jednakże Lubek, chociaż go słuchał niby z uwagą słowom ojca należną, patrzył w dziedzińiec, gdzie brzozy płaczące już kapały swoje zielone warkocze w sadzawce, a róże, w większej połowie już rozkwitnięte, łączyły swoje woń prawie odurzającą, a przypominającą powietrze, wiejące w pałacach tureckich, z świeżym zapachem majowej zieleni. Spozrzegłszy to ojciec, rzekł do niego łagodnie, choć z pewnym wyrzutem:

– Ja tobie daję pożyteczne nauki, a ty patrzysz gdzie indziej: róże są na twoje usługi przez cały dzień, a ja bardzo rzadkie mam chwile, w których mogę spokojnie z tobą pogadać.

– Nie – rzecze Lubek – ja słucham ojca uważnie, tylko mnie taka woń zaleciała od stawu, że mi się przypomniało moje carogrodzkie więzienie, gdzie nieraz ciężko się wzdycha w niewoli, ale gdzie wszystko pachnie różami. A czując ten zapach, myślałem o tych nieszczęsnych, którzy tam po mnie jeszcze zostali i może nigdy nie wrócą do swoich...

Na to stary Pretficz, człek bardzo zacny, ale wcale nie-sklonny do marzeń, machnął ręką z niechęcią i rzekł:

– Dobrze jest towarzyszyć nieszczęściu współczuciem, ale pierwszym obowiązkiem człowieka i obywatela jest praca na chleb powszedni, aby go mieć dostatkami dla siebie i drugim udzielić.

Ale w tej chwili Lubek wstał raźnie, wyteżył oczy ku braminie i zawołał:

– Ktoś wjeżdża w bramę, jacyś rycerze.

Natenczas wszyscy w bramę spojrzeli i obaczyli istotnie, jako w nią wjeżdżał przystojny poczet rycerzy.

Było ich sześciu. Na czele ich jechał na wielkim koniu rycerskim rycerz bardzo wielkiego wzrostu, był cały w zbroi brązowego koloru, miał taki sam hełm z barwnymi piórami i końskim ogonem na głowie i podniesioną przyłbicę, ale jego twarzy nie można było poznać, było to za daleko. W pierwszym szeregu za nim jechał trębacz, a dalej czterech żołnierzy, w półpancerzach i hełmach, a na koniach tureckich. Na pierwszy rzut oka było widać, kto się znał na tym, że był to poczet ubrany i uzbrojony porządnie, a tak błyszczący, jak gdyby na popis wyjechał.

Ledwie ci ludzie wysunęli się z bramy, trębacz uderzył w trąbę i zagrał odzew królewski.

– Paniowski albo też Wilczek! – zawołał stary Pretficz, przykładając prawą rękę do czoła, aby zasłonić oczy od promieni zachodzącego słońca.

Ale Lubek zbladł na to i krzyknął mocno zmienionym głosem:

– Gniewosz! to Gniewosz, poznaję go po brązowanym pancerzu.

Tymczasem poczet zajechał stępą przed ganek – a kiedy stanął przed gankiem, wszyscy od razu jego rotmistrza poznali: był to Gniewosz.

Zaraz więc obydwaj Pretficzne ku niemu skoczyli, a ojciec zawołał:

– Wszelki duch chwali Pana Boga! Przecie nam wracasz! A myśmy tu już rozumieli, żeś tam sobie zdobył jakie królestwo między pogany i już nigdy nie wrócisz...

Gniewosz zsiadł z konia, podał prawą rękę staremu Pretficzowi, lewą położył na ramieniu Lubka i rzekł:

– Do niewoli się prędko dostaje, ale nieprędko się z niej powraca.

Po czym kłaniał się Pretficzowej, której nie znał dotychczas, powiadając jej komplementy po kawalersku i zapewniając ją, że dla jej cnót, znanych całemu krajowi, zawsze był pełen uwielbienia.

Gniewosz wyglądał czerstwo i świeżo. Jego szafirowe oczy świeciły prawdziwym blaskiem szczęścia i spokoju, na jego białych policzkach błyszczały lekkie rumieńce, około ust igrał ten uśmiech swobodny, po którym widać człowieka, pełnego miłości dla wszystkich i przejętego uczuciem zadowolenia. Widząc to Pretficz, zawołał do niego:

– Bodajże nam tak wszyscy wracali z niewoli! Jednak podobno tobie nie tak bardzo źle się tam powodziło, jak innym, bo jak wszystkich, tak też i Turków potrafiłeś do respektu dla siebie zniewolić, jak nam to Lubek powiadał.

– Jużci mnie tam nie męczono, ale niewola zawsze jest gorzka – odpowiedział mu Gniewosz.

A na to Pretficz:

– Nie widać tego po tobie, bo wracasz z niewoli tak pięknie okryty, jak gdybyś przyjechał z Czorsztyna, co mnie też dziwi.

– Jeszcze się bardziej zadziwisz – rzekł Gniewosz – kiedy ci powiem, że ten koń wielki rycerski, co na nim jadę, i te dwa przednie konie tureckie, na których siedzą ci dwaj szlachcice, com ich także wyprosił z niewoli, to prezent, którym mnie obdarował sam cesarz turecki.

Na to znów Pretficz:

– Więc to tam przyjaźń się ścięła pomiędzy nami a Turecczyzną? co by też było bardzo pożądanym, bo nie życzyć nam wojny z tym mocarstwem, co ma zbrojnego ludu jak mrowia, a do tego jeszcze i Tatar, i Wołoszczyznę na zawołanie. Jeżeliś tam pokój z Bajazetem ułożył, choćby tylko na jakie lat kilka, abyśmy też odetchnęli po tych dwóch latach wojennych, tobyś tym wielką położył zasługę około naszego dziś bardzo wycieńczonego królestwa.

– Nasz pan miłościwy nosi się z tymi myślami – odpowiedział mu Gniewosz – ale mu się zdało za prędko, że ja tę sprawę załatwię. Ofiarując cesarskiego synowca w zamian za mnie, przysłał mi kredytywy do Bajazeta, a mnie instrukcje, ażebym zaraz o pokój traktował. Zrobiłem, co mogłem, ale to nie tak prędko idą te rzeczy, bo carz turecki czuje się bardzo potęż-

nym, a w nasze potęgę nie bardzo wierzy, chociaż dosadne cięgi wziął w Polsce przeszłego roku; zaczem to jeszcze dużo pracy i innych posłów będzie potrzeba, nim się go do pokoju namówi. Czyli i o ile mnie się udało wygładzić drogę do tych układów, to się dopiero później pokaże; ja tylko wiem tyle, że gdyby mi król niebył nałożył tej misji, to byłbym już w marcu powrócił, a tak powracam dopiero w maju.

Wszakże to rzekłszy, zapewne nie chcąc się dalej spowiadać z tych rzeczy, położył znów rękę na ramieniu Lubka i spytał:

– Powiedzże mi, młodzieńcze, dotrzymałeś sekretu, jakieś mi to obiecał?

Na to zapytanie Lubek zbladł i zająknął się, mówiąc:

– Nie mogłem mieć sekretu przed ojcem...

Jednak w tej chwili ojciec go wyrwał z kłopotu, mówiąc do Gniewosza:

– Bądźże sobie spokojny. Nikt o tobie nic nie wie – a jeśli się kto swego czasu o tym dowiedział, żeś jest w niewoli, to ci to wyszło na dobre...

Gniewosz się nad tym zamyślił, a potem zapytał:

– Powiedzże mi otwarcie, któż się o tym od was dowiedział, że żyję?

– Król jeden – odpowiedział mu Pretficz – a oprócz niego może tylko jedna osoba. Zresztą w całym kraju nikt nie wie o tobie i wszyscy cię mają za umarłego.

– Jedna osoba w Polsce – rzekł na to Gniewosz z gorzkim uśmiechem – to cała Polska bez mała...

Tu już sam Pretficz nie wiedział, o co mu chodzi, jednak rzekł głosem stanowczym:

– Pogadamy o tym. Tymczasem zaś tylko tyle ci powiem, że ci ręczę za tę osobę...

Z tym poszli do wieczerzy. Przy stole, wobec tak wielkiej liczby domowników, stary Pretficz tak się urządził, że mu wciąż opowiadał o rzeczach publicznych, które bardzo go zajmowały, a ani jednym słowem nie dotknięto spraw osobistych i rodzinnych. Jednak zaraz po wieczerzy domowników odprawił, a przy stole zostali tylko on z żoną, Gniewosz i Lubek. Pretficz widząc, że Gniewosz jest zajęty jakimiś tajemnymi myślami, które go niepokoją, chcąc go w lepszy humor wprowadzić, tak się do niego odezwał:

– Nikt w całym kraju nie wie, żeś żyw i już powrócił, ani nawet, że wracasz, ale ty także nie wiesz, jak się kraj cały ucieszy, kiedy się o tym dowie, i jakie gody ci sprawi, kiedy ciebie obaczy. Boś też i prawdę mówiąc, rzetelnie na to zasłużył.

– Nie wiem zaprawdę – rzekł Gniewosz – czym bym sobie na to zasłużył.

– Jużci tym – powie mu Pretficz – żeś swoją przemową, a potem i czynem tak dzielnie pod Suczawą wystąpił, zaczem i upadłego ducha w całej armii podniosłeś i uratowałeś honor królewski, a jak wszyscy to powiadają, sprowadziłeś tak świetne zwycięstwo.

Na to mu Gniewosz odpowiedział ze zwykłą sobie skromnością:

– Cóżem tam zrobił tak niezwykajnego? wypełniłem mój obowiązek – i na tym wszystko się kończy.

Zaczem Pretficz zabrał głos i tak mówił:

– Jużci tak: ale dopełnienie swych obowiązków jest też najwyższym czynem, jakiego człowiek może dokonać w tym życiu. Zapewne, że wiele od tego zależy, jak kto swoje obowiązki rozumiał i sobie ich dopełnienie określił, ale kto je pojął rozumnie i zacie i szeroko ogarnął, a w najszerszym zakresie sumiennie dopełnił, ten, choćby był bardzo maluczkim obywatelem tej ziemi, a jego zakres działania bardzo skromniutki... ten *tulit punctum*<sup>89</sup> i wierz mi, że nie masz większego człowieka nad niego. Zapewne, że ten i ów, obdarzony zuchwałą fantazją, może czasem coś zrobić ponad swój obowiązek, w czym świat znajdzie upodobanie i za co go też głośnym obsypie aplauzem: ale jeżeli się czynom takich śmiałków z bliska przypatrzysz, to zawsze znajdziesz, że były one natchnione duchem więcej; awanturniczym

<sup>89</sup> *tulit punctum* (łac.) – przen.: zyskał ogólne uznanie; dosł.: wszystkie głosy ma za sobą – wyrażenie wzięte ze sposobu głosowania na zgromadzeniach ludowych w Rzymie (głosy obliczano według punktów zapisywanych na tablicy)

nizeli obywatelskim. Jakoż ci ludzie są to po prostu gracze, co grają nie kośćmi albo kartami o złote węgierskie, ale krwią ludzką o losy państw i narodów, a co najgorsza, to, że ich grą często kieruje nie dobro ludzi, lecz miłość własna. Jakoż świat ich traktuje jak graczy: jeśli wygrali, rzadko sami zbierają owoce swojej wygranej – a jeśli przegrali, świat nie bierze w rachubę ich dobrych intencji, tylko za krew bezskutecznie przelaną płaci im klątwą, w najlepszym zaś razie imiona ich zapomnieniu oddaje. Natomiast zaś człowiek, co swoich obowiązków dopełnił, sowitą znajduje nagrodę w swym własnym sumieniu i we czci swoich bliźnich, którą mu dadzą za życia; jeśli zaś padł śród zawodu, naród stawia mu niepożyty pomnik w pamięci wszystkich następnych pokoleń, a jego imię trwa wiecznie jako wzór cnoty obywatelskiej. Tak jest i tak być powinno: bo nie na tych świat stoi, co jak gwiazdy spadające niezwykłym blaskiem zabłysną i zgasną, lecz na tych, co w niezmordowanej pracy dopełniają swych obowiązków, w dzień i w nocy służą tej społeczności, do której należą, a swymi własnymi rękami toczą naprzód rydwan tego królestwa, które, ochraniając ich swymi prawami, daje im możliwość życia ze sobą i spożywania owoców swej pracy w bezpieczeństwie, w spokoju i zgodzie.

Tak mówił Pretficz. Ale Gniewosz słuchał go w roztargnieniu. Był on widocznie innymi myślami zajęty, a może-nawet zniepokojony. Co widząc Pretficz, zapytał go:

– Powiedź mi, jako przyjacielowi, który ci rad we wszystkim usłużyć, wieszże ty o tym, co się tu stało podczas twojej nieobecności?

– Jużci wiem – rzecze Gniewosz – bo Kamieniecki z rozkazu króla wszystko mi napisał. Moja matka umarła... Moja żona poszła za Wilczka... Miała prawo do tego, bo Wilczek znalazł mój testament w obozie, w którym ja sam ją do zamęścia upoważniłem. Pośpieszyli się, powinni byli czekać rok i sześć niedziel, może będą o to korowody z Kościołem: ale król mi pisze, żebym się tym nie frasował, bo on to sam bierze na siebie, ażeby ślub został uznany za ważny. Potrzeba tylko mojej deklaracji, jako tej mojej żony reklamować nie będę...

W tej chwili Pretficzowa wstała od stołu i odeszła, Pretficz zaś rzekł:

– Daszże tę deklaracją?

– Jużci dam. Jakoż nie o to mi chodzi, tylko o to, jak by to zrobić.

– Toż to rzecz bardzo prosta – rzekł Pretficz – złożysz deklaracją u arcybiskupa we Lwowie albo u kardynała w Krakowie, który jest zarazem prymasem, i koniec.

– Ba! – rzecze Gniewosz – jeszcze to na tym nie koniec. Bo przecież trzeba i Wilczków o tym zawiadomić zawczasu. Najprzód dlatego, że pewnie od nich będą wymagać dowodów, jako ślub wzięli, gdzie, jak i kiedy? A potem, mam sobie za obowiązek sumienia uprzedzić ich o tym, jakie są moje zamiary, ażeby nie rozumieli, dowiedziawszy się skądinąd o moim powrocie, jako będę im wstręty wyprawiał i aby mnie przez ten czas nie przeklinali. Tego bym nie zniósł – a oprócz tego, Bogiem a prawdą, zachowanie takich względów jestem im winien, bo Wilczek zawsze mi był przyjacielem, a Jagienka poczciwa, skromna a nieszczęśliwa, także mi nigdy nie zrobiła nic złego. Owszem, mozem ja jej co winien – i jeśli mogę ją czym za jej dobre serce nagrodzić, to chyba tym tylko, jeżeli jej zgryźliwości oszczędzę.

Więc stary Pretficz mocno zastanowił się nad tym. Przez delikatność nie chciał Gniewoszowi powiedzieć, że jeżeli Wilczkowie będą musieli dowodzić, jako ze sobą regularny ślub wzięli, to mogą się z tego nowe wywiązać trudności, ale tym bardziej musiał mu przyznać, że trzeba koniecznie Wilczków tak o jego powrocie, jak też o jego dobrej woli uprzedzić. Zaczem namyśliwszy się, powziął zacne postanowienie i rzekł:

– Słysz, Gniewosz! Ja nigdy nikogo nie swatam, nawet i poważionych małżeństw nigdy nie godzę, bo i za to ci czasem niewdzięcznością zapłacą, ale w tym trudnym terminie już chyba sam ci się z moją usługą narzucę. Jeżeli wola, to pojedę sam jutro do Wilczka, a tak rozumiem, że dosyć składnie dopełnię tego poselstwa.

Teraz znów Gniewosz mocno nad tym namyśliwszy się, rzekł:

– Dziękuję ci z całego serca za twoją przyjaźń, ale nie wiem, czy powinienem przyjąć ofiarowaną usługę. Ty nie znasz Wilczka. Był on od najmłodszych lat swoich zawsze pochmurny, w sobie zamknięty, nie ufający nikomu, a podejrzliwy przeciwko wszystkim – i takim już będzie przez całe życie. Do tego jeszcze jest to człowiek uparty, niezmiernie wrażliwy i nie odstępujący za nic w świecie od swego pierwszego wrażenia: kto wie, jak cię przyjmie, i kto wie, czy ci uwierzy? Bywacież często u siebie i macie dobrą przyjaźń ze sobą?

Na to pytanie stary Pretficz mocno się zmienił i zaczął się jękać:

– Wilczkowie się całkiem odosobnili... Zamknęli się u siebie... Nie byli u nas...

– Więc widzisz – rzekł na to Gniewosz, a nie wiedząc o tym, że nie Wilczkowie się przed sąsiadami, ale sąsiedzi się przed nimi zamknęli, dodał do tego – owo masz Wilczka, jakim był zawsze. Obawiając się zapewne, ażeby kto nosem nie skrzywił na jego żonę za to, że poszła za niego, nie czekając prawnego terminu, odgrodził się murem od całego świata i pewnie psy wiesz na wszystkich.

Ażeby tę cierpką uwagę złagodzić, odezwał się stary Pretficz, mówiąc:

– Nie tak całkiem się odgrodzili od świata... Mój Lubek co niedzielę tam bywa.

– Bywasz u nich? – rzekł Gniewosz żywo – jakże więc żyją ze sobą?

Lubek przez cały czas tej rozmowy był bardzo zniepokojony. Na pierwszy widok Gniewosza tak się przestraszył, że wszystka krew w nim zakrzepła; kiedy się dowiedział, że Gniewosz żony reklamować nie myśli, uspokoił się trochę: ale przecie w jego sercu najprzeciwniejsze się krzyżowały uczucia, a w jego głowie niesłychanie bezładne myśli goniły za sobą. Bładł i czerwieniał i oddech mu się zapierał w piersi, i sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Teraz się ocknął, ale tylko wymówił te słowa:

– Bardzo są z sobą szczęśliwi...

– Cóż ty rozumiesz – spytał go Gniewosz – jeżeli twój ojciec im powie, że ja ich separować nie myślę, czy uwierzą?

– Sam nie wiem – rzekł na to Lubek – może się Wilczek zrazu rozgniewa, bom to uważał, że zaraz w wielką złość wpada, kiedy kto wspomni o jego ślubie. Dlatego też nierad kogo przyjmuje u siebie i zawsze brama w zamku zamknięta. Juźci, kiedy mu ojciec to powie, to zapewne uwierzy... ale co potem będzie gadał, jak ojciec odjedzie, to trudno zgadnąć.

– Mnie uwierzy, za to ci ręczę – rzekł Pretficz ze stanowczością człowieka, który nie pozwala, aby temu nie wierzone, co mówi.

– Juźci uwierzy – rzekł Gniewosz – o tym ja ani na chwilę nie wątpię. Ale zawsze potem z tego wynikną długie ceregiele, bo juźci trzeba, abym ja z Wilczkiem ułożył wspólną akcją w dobrym porozumieniu, ażeby jego śluby zostały uznane; przez pośredników, choćby najrozumniejszych, porozumienie takie będzie dłuższego wymagać czasu – a ja jednego dnia nie mam do stracenia. Zważywszy więc wszystko, jaką myśl miałem, kiedym moją drogę tędy obrócił, do tej też wracam – i raczej sam pojedę na Tustań.

– Jak cię obaczą tak niespodzianie, dziwnie się przestraszą – rzekł Pretficz.

– Więc się przestraszą – odpowiedział mu Gniewosz – ale przecie ze strachu nie umrą. Zresztą, nie dam im nawet czasu do strachu, bo pierwsze słowo, które do nich przemówię, będzie to, że przyjeżdżam, ażeby zgodę ułożyć.

– Żeby tylko Wilczek się nie uniósł przeciwko tobie, nim jeszcze to słowo usłyszysz – rzekł Pretficz – bo był zawsze bardzo porywczy, a teraz podobno stał się tak drażliwy, że nawet nikt nie może do niego przystąpić.

– Przeciwko mnie Wilczek się nie uniesie – rzekł Gniewosz, podnosząc dumnie głowę do góry – a potem, od czegoż przezorność? Mogę mu przecież, jak na wojnie i jak jest obyczaj rycerski, przez trębacza ogłosić, że przyjeżdżam po zgodę.

Stary Pretficz już sam nie wiedział, co ma o tym rozumieć, obrócił się więc do Lubka i rzekł:

– Cóż ty na to powiadasz? boć ty ich znasz lepiej od nas wszystkich.

A Lubek, który teraz całkiem się już uspokoił i był dobrej myśli, powiedział na to:

– Podobno najlepiej, ażeby pan Gniewosz sam jechał. Zrazu się przestraszą, ale jak się dowiedzą, że ze zgodą przyjeżdża, bardzo się uradują, a potem się uspokoją na zawsze. A przecież do ich szczęścia tylko tego im jeszcze brakuje...

– Bardzo rozumnie mi radzisz – rzekł Gniewosz – więc tak! Ja sobie jutro wyjadę o świcie, wezmę tę małą drogę na dwa popasy, przed zachodem słońca stanę w zamku tustańskim, a da Bóg, przy wieczerzy wypijemy wielkim kielichem za zdrowie nas wszystkich.

I tak się stało. Nazajutrz rano Gniewosz wyjechał – a w Sokołowie czekano z gorączkową niecierpliwością wiadomości o tym, co się tam stanie w Tustaniu.

Na czym polega najwyższe szczęście człowieka na ziemi? Odkąd ludzkość goni za szczęściem świadomie i nad tym się zastanawia, bardzo różne o tym są zdania. Wszelako wszystkie mniej więcej w tym się zgadzają, że człowiek dostąpił szczytu swojego szczęścia natenczas, kiedy się w zupełności spełniły jego najgorętsze życzenia. Jakoż jeżeli tak się zapatrzymy na szczęście Wilczków, to musimy powiedzieć, że byli to ludzie najszczęśliwsi na świecie.

Wilczek, potomek jednego z najznajmniejszych rodów, miał jako starosta królewski takie stanowisko społeczne, na którym naówczas był równym każdemu dygnitarzowi; jeśliby chciał mieć dygnitarstwa, to potrzebował tylko rękę po nie wyciągnąć, a nawet, choćby się o nie nie starał, to nie mogły go one swego czasu ominąć. Od czasu ożenienia się miał majątek ogromny, a stąd tak obfite dostatki, że nie potrzebował ich najbogatszym zazdrościć. Dwór też u niego był wielki i ludny, a przy jego hojności, której się z ojca i dziada od Jagiellonów nauczył, kto żył na jego zamku, ten we wszelki dar Boży opływał. Kiedy za czasów kawalerskich, właśnie z powodu tej rycerskiej hojności, nie zawsze się końce stykały u niego, jego duma nieraz nad tym mocno cierpiała, że musiał się zapożyczać u Ormian; ale teraz skrzynie u niego były tak pełne, że mógł jeszcze drugim pomagać – a przeto jego umysł z tego względu bardzo się wypogodził i przynosił mu wielkie zadowolenie. Los zrządził, że zawarł nieprzepartą miłością dla kobiety, która mu się wydała najlepszą, najpiękniejszą i najwspanialszą ze wszystkich, bo też istotnie blaskiem swojej urody górowała nad inne, a swoim imieniem stała z najwyższymi na równi. Były trudności, zdawały się nawet niezwyciężone; ale on się nie cofnął przed nimi, owszem, wytoczył im walkę, a poniósłszy umartwień i trudów, i ofiar bez końca, odniósł zwycięstwo. Uczucie to, że mimo niezwyciężonych trudności, własną zasługą dobił się wreszcie do celu, podwoiło mu wartość dostąpionego szczęścia. Jagienka odpowiedziała jego oczekiwaniom nad wszelkie najidealniejsze marzenia. Kochała go i ceniła jak bóstwo, na cały świat patrzyła tylko jego oczyma, wszystkie jego uczucia odczuwała w swym sercu, wszystkie sprawy sądziła tylko jego rozumem. Przez cały czas ich pożycia nigdy żadnej chmurki pomiędzy nimi nie było. Owszem, przeszłej jesieni niebo się otworzyło nad nimi, bo mieli maleńkie dzieciątko, według ich zdania, jednocześnie i do ojca, i do matki jak dwie krople wody podobne, a piękne, wesołe, uśmiechnione i rozumne jak anioł. O cóż im jeszcze chodziło? O to, aby tylko żadna chmurka się na tym jasnym niebie nie pokazała, aby nic nie zakłóciło ich niebieskiego spokoju, ażeby się jaki wąż jadowity nie wśliznął do ich raju i nie zwarzył swoim zatrutym oddechem tych róż wiecznie kwitnących, które go napełniały.

Wśród tego szczęścia Wilczek przecież miewał czasami chwile, w których pochmurne zmarszczki się gromadziły na jego wypogodzonym czole. Był on skłonny z natury do czarnego zapatrywania się na świat i życie człowieka na ziemi – a tacy ludzie nie mogą znieść długo jasnej i jednostajnej pogody: muszą koniecznie mieć coś, czym by się gryzli, a jeśli zgryzoty w rzeczywistości nie mają, to sobie ją stworzą w swej wyobraźni. Jest coś w ich wnętrzu, co tam żyje świadomie albo i nieświadomie, i te mary w nich płodzi – a to coś jest najczęściej wyrzutem sumienia, czasem o jakiś występki, a czasem tylko o błąd popełniony, który wszelako zostawił ciemną plamę na jasnej karcie przeszłości ich życia. Wilczek miewał

takie chwile pochmurnego zamyślenia się – a wtedy czasem w ciężki, melancholiczny smutek zapadał, a czasem niepowściągliwym wybuchał gniewem na kogo bądź, kto mu się właśnie przed oczy przesunął, nie wiedząc nigdy, za co się gniewa.

W takich chwilach najrozmaitsze myśli mu przychodziły do głowy, które wszelako zawsze przedstawiał sobie w takim znaczeniu, aby się nimi mógł nagryźć do syta. Tak czasem gryzł się tym, że mimo swego bogactwa i swego znaczenia, tak jest odosobniony. Co sobie ci głupi ludzie upatrzyli do niego? Zarzucali mu zrazu ślub jego, niby nieregularny i przeciw prawu. Więc dobrze, mogli wtenczas mieć jakąś racją za sobą. Ale teraz, kiedy już nie rok i sześć niedziel, ale półtora roku minęło? I teraz kiedy już nie masz najmniejszego wątpienia, że Gniewosz nie żyje? Tego ludziom nie mógł przebaczyć i wtedy pragnął, aby go odwiedzali, chociaż sam pierwszy nie pojechał do nikogo.

Od czasu do czasu jednak się zdarzało, że go ktoś odwiedził. Miał przecie jurysdykcją dosyć obszerną, a w niej szlachty i kmieci, i kniaziów, i wójtów bardzo wielu, nad którymi sądy sprawował, musiał się znosić w sprawach publicznych ze starostami zamków poblższych, a wreszcie czasem się zdarzył jaki rycerz lub szlachcic podróżny. Ale zawsze mu tak się zdarzało, że kiedy gościa zameldowano, rad mu był bardzo i serdecznie go przyjął, lecz jak się z nim tylko trochę rozgadał, już go gość znudził i rad by był, żeby sobie jak najprędzej odjechał. Albowiem czy tak było w istocie, czy tylko tak mu się zdawało, wszyscy ci goście byli niezmiernie zimni dla niego, w głosie każdego z nich czuć było, że jest przed nim zamknięty i trzyma się z dala od niego – a jeśli który się z serca przed nim otworzył, to zawsze mu dał do zrozumienia, jakoby jego ślub w opinii publicznej podlegał cenzurze, że wprawdzie w tym nie masz nic złego, ale że trzeba by z tym coś zrobić takiego, ażeby uczynić zadość życzeniom tych, którzy go radzi szanują i zawsze go bronią.

Na takie mowy, chociaż one były tylko dowodem, do jakiego stopnia opinia publiczna w wyższych warstwach; społecznych była już silną natenczas w sprawach obyczajowych, Wilczek wpadał w złość cale niepowściągliwą. – Z czego mnie bronić? Przed kim mnie bronić? niechże was wszyscy diabli porwą z waszą obroną! Jeślibym się dowiedział, że mnie kto broni, tobym mu pierwszy łeb rozplątał na dwoje! – Takimi słowy odpowiadał na tego rodzaju uwagi swoich przyjaciół – a ile razy mu się zdarzyło tak się na kogoś rozgniewać, zawsze przez parę dni potem krew miał zburzoną i nie mógł powrócić do swego zwykłego spokoju.

Z tego powodu coraz mniej swoich przyjaciół u siebie przyjmował i nie wyjeżdżał nigdzie w sąsiedztwa, z tego powodu nie był dotychczas nawet we Lwowie i nie przedstawił Formozie swej żony, chociaż Jagienka była jej siostrą cioteczną, lecz z tegoż samego powodu owe pochmurne zmarszczki się gromadziły na jego czole i miewał częstokroć chwile bardzo czarnego usposobienia umysłu.

Pomiędzy zamkową załogą, a nawet i między starszyzną po okolicznych wsiach i miasteczkach bardzo dobrze o tych jego pochmurnych chwilach wiedziano, chociaż nie wszędzie te same im przypisywano powody. Jedni mówili, jak gdyby o tym wiedzieli na pewno, że Wilczek ożenił się przeciw wyraźnemu zakazowi prymasa i króla, że za to nałożono na niego pokutę i dlatego nie śmie opuścić swojego zamku do czasu. Inni szli dalej i utrzymywali, jakoby Wilczek był w wojnie z Kościołem, jakoby dlatego zakazano mu żenić się z Jagienką, że uwiódł Ofkę i Nielitościwie porzucił, że kiedy się pomimo to ożenił, Kościół rzucił klątwę na niego, zaczem nie może się nigdzie pokazać, bo gdzie by go przychwycono, zaraz by mu szyję ucięto. Zaś między ludem najpotworniejsze chodziły wieści, jakoby Wilczek diabłu duszę zapisał, jakoby czart zabił Gniewosza na wojnie, zdjął z trupa ślubną obrączkę, zaniósł ją do Jagienki i tym sposobem skłonił ją do ślubu przeciwko zakazowi Kościoła – i kto wie, czy wieści te nie utworzyły się z opowiadań samegoż Kostrubana, który rad włóczył się między chaty, chłopom i babom rozmaite wyrządzał przysługi, przez wszystkich chętnie był przyjmowany i nagradzany, chociaż i o nim niesamowite chodziły wieści pomiędzy zadymionymi chatami. Zwłaszcza gdzie mądre mieszkaly baby, którym psował ich czarownicze rze-



miosło, tam bardzo podejrzaną miał reputacją: tam go już miano wcale za sługę tego, którego nazwisko można wymówić tylko po przeżegnaniu się krzyżem świętym, i tam przepowiadano na pewno, że jednego dnia starosta tak zniknie, jak gdyby świecę kto zgasił, ale i Kostruban z nim zniknie, bo sam jego duszę zanieśie do piekła.

O tych wieściach nikt nie śmiał wspominać Wilczkowi.

Lubek, zajmujący się żywo bajkami krążącymi pomiędzy ludem, wiedział je wszystkie; dla Wilczka wprawdzie miał tylko przyjaźń za to, że był wybornym mężem dla swojej żony, ale Jagienkę tak kochał i tak ją ubóstwiał, że za nic w świecie nie byłby takiego słówka wypuścił z ust swoich, które by mogło na jedno mrugnięcie oka zaniepokoić jej serce. Dlatego ani sam się nie podjął misji zawiadomienia Wilczków, że Gniewosz żyje, ani też za tym wotował, ażeby jego ojciec pojechał z tym fatalnym poselstwem, a natomiast Gniewoszowi dał radę, ażeby sam własną pierś na ten gwałtowny cios wystawił, którym mu Wilczek na razie za tę wiadomość zapłaci.

Ramuł, szczywany lis dworski, nie tylko sam o tych rzeczach ani słówkiem nie pisał swojemu panu, ale nawet surowo karał żołnierzy za to, jeżeli tylko pomiędzy sobą o tym gadałi.

Wszystkich innych dworaków, nawet tych, co z nim do stołu siadali, Wilczek trzymał tak od siebie z daleka, że żaden nie śmiał mu nawet wspomnieć o rzeczach dotyczących jego osoby.

Tylko jeden stary Kukuć, dla swego wieku i zasług bardzo przezeń respektowany, mógł czasem z nim o takich sprawach rozmawiać. Niejednokrotnie nawet sam Wilczek, kiedy się mocno zgniewał na kogo, a potem wysapał, rad przemówił do niego, zasiadł z nim w ganku albo na przyzbie stajennej i wywnętrzał się przed nim, skarżąc się cierpko na świat i ludzi, jako są źli i nielitościwi, i człowiekowi dla stu zalet i cnót nawet jednego marnego błędu nie przebaczą.

Kukuć, jako dworak jeszcze daleko doświadczeńszy niż Ramuł, także się nie powazył z łaską pańską żartować: ale że Wilczek sam przed nim przypuszczał, że może nie jest bez błędu, więc mu czasem coś rzucił, czego by mu kto inny nie był powiedział. Plotek mu nie powtarzał, które by go tylko gniewały, a nie nauczyły niczego: ale mu bąknął po raz i drugi, że nie masz takiego błędu, którego by człowiek rozumny nie mógł naprawić. Dawniej wyrażał się tylko ogólnikowo, ale teraz, ku wiośnie, czasem na swoje uwagi większy nacisk położył, aż wreszcie Wilczek raz go zapytał:

– Więc cóż z tym robić?

– Ot, co! - rzecze mu Kukuć – rok i sześć niedziel minęło, prawu stało się zadość, pojechać do Lwowa i wziąć ślub w katedralnym kościele, a niechaj sam arcybiskup pobłogosławi. A wtedy chyba psi pysk jeszcze jakie plotki siać będzie.

Wilczek bardzo zastanowił się nad tym. Ale po zastanowieniu ta myśl mu się nie podobała. Jeżeliby wziął ślub powtórnie – mówił do siebie – to dopiero teraz powiedzieliby wszyscy, że tamten był dany Bóg wie po jakiemu, i dopiero teraz zaczęłoby się wielkie szczekanie... Nie! tego nie zrobię, tej satysfakcji nie doczekają ode mnie. – Jego miłość własna i duma obrzyły się na to i dały mu, jak zwyczajnie, złą radę, że lepiej trwać w błędzie, niżeli się przyznać do błędu, choćby go zarazem naprawić. Rozmawiał o tym dalej z Kukuciem, bo lubił go słuchać, lecz tylko na to, aby go zbijać: zdawało mu się, że jak jego przekona, to już wszystkich swych przeciwników przekonał.

Niedawno temu sam zaczął o tym rozmowę z rozumnym starszkiem i mocno się przy swoim upierał. Kukuć tym razem był więcej stanowczy niż kiedykolwiek, a wyczerpawszy wszystkie swe argumenty, na koniec rzekł:

– Niech pan starosta to zrobi. Ja dobrze radzę. Bo jeśli ja wiem, że ktoś na mnie z boku zgrzyta zębami, to sam mu podam sposobność, aby się wyszczekał – a jak się wyszczeka, to

potem na zawsze umilknie. Tak będzie i z tymi ślubami. A jeśli tam oprócz tego będzie potrzeba i co innego naprawić, to i o tym się myśli, i to się także naprawi.

Tych ostatnich słów Wilczek nie słyszał. Jeszcze tamte w uszach mu brzmiały, nie chciał ich słuchać i odszedł, ale podobno już bardzo w sobie zachwiany.

Wszelako wtedy wmieszała się w tę sprawę Jagienka.

Jagienka, szczęśliwa tym szczęściem, które każdej mężatce, nie obalamuconej obcymi jej naturalnemu powołaniu myślami, za cały świat starczy, nigdy się dotąd nie zastanowiła nad ważnością swojego ślubu. Wiedziała wprawdzie swojego czasu, że proboszcz w Czorszynie i biskupi w Krakowie robili jakieś trudności i że dlatego dał im ślub ksiądz Wara, ale dawno już o tym zapomniała – a czy tam Kościół z tego jest kontent, czy nie, i co tam o tym myślą sąsiedzi, było jej zupełnie obojętnym i nawet nie miała żadnego powodu nad tym się zastanawiać. Miała męża, którego mieć chciała i całą duszą wielbiła, miała swoje dzieciątko, które do szaleństwa kochała i którym się nigdy nie mogła dosyć nacieszyć, opływała we wszystkie dostatki, jakich tylko może zapragnąć najwybredniejsza fantazja, czegoż jej jeszcze było potrzeba? Zaś ta okoliczność, że mało kto u nich bywał, a oni krokiem nie ruszali się z domu, w jej nieznamości świata jej wcale nie uderzała: ona nie czuła dotąd żadnej potrzeby udzielania się światu i zdało się jej, że każda młoda mężatka ma pilnować męża i dzieci, a dopiero potem, kiedy już jest matroną, zaczyna się włóczyć po świecie. Jej serce i umysł były zatem z tego względu jak najzupełniej spokojne.

Ale nie mogły ujść jej uwagi owe pochmurne zmarszczki na czole jej męża i owe chwile ciężkiego smutku, które go napadały, a których nie znała przyczyny. Już dawniej go nieraz o to pytała, ale on zawsze ją uspokoił, mówiąc, że przy gospodarstwie jakokolwiek rozległym i przy tak licznej załodze wojskowej nie może się obejść bez zgryźliwości, które wszakże mijają. Wszelako pod wiosnę, odkąd Wilczek zaczął swoje dysputy z Kukuciem, nie tylko że owe chwile zamyślenia się częściej się powtarzały, ale widać było po nim stały niepokój, który już wcale nie ustępował. To ją niezmiernie zniepokoiło.

Zapytała go kilka razy – a kiedy nie otrzymała odpowiedzi, jej bujna wyobraźnia grać w niej poczęła i przyniosła jej myśl rozpaczliwą, że może Wilczek otrzymał jaką wiadomość o Gniewoszu i dlatego nie chce jej powiedzieć, co go tak gryzie. Z tym podejrzeniem długo się nosiła, w dzień była roztargniona, w nocy się ze snu budziła, ale je w sobie tłumiała, bo bała się choćby tylko wymówić to słowo.

Wszakże przyszedł dzień taki, kiedy wypytując swego męża o jego troski, drżała na całym ciele i on musiał spostrzec ten jej straszliwy niepokój. A wtedy, naciśnięta przez męża, powiedziała mu, co ją tak niepokoi. Natenczas też i Wilczkowi nie pozostało nic innego, jak wypowiedać się przed nią, był to bowiem jedyny sposób, aby jej próżne obawy stanowczo i raz na zawsze rozprószyć.

Wilczek jej tedy powiedział, co jest, a spowiadając się przed nią całkiem otwarcie, tak dalej mówił:

– Owo więc takie to rzeczy! Jużci mnie nieraz nie żartem to mierzi, że my, mając i wszelkie dostatki, i znaczenie po temu, aby nas znano na świecie, siedzimy zamknięci w tych murach jak borsuki w swej norze. Nie o mnie mi chodzi, bom ja się już dosyć naszastał pomiędzy ludźmi, a nawet zanadto, boć Bogiem a prawdą cale tego niewarci, aby się im dać z bliska ocierać o siebie. Ale kiedy patrzę na ciebie, żeś taka wielka pani, co takiej drugiej nie masz na całej Rusi, i taka piękna, że całe rycerstwo powinno by u nóg ci leżeć, a mimo to kwasisz się w samotności w tym starym zamczysku, to mi się serce kraje z boleści i chciałbym szczerze temu zaradzić. Jest na to sposób, jako ci już powiedziałem. Ale jechać teraz do Lwowa i dawać na zapowiedzi, kiedyśmy już od półtora roku z sobą zameżni i kiedy dziecko kwili w kołysce, to mi się przecież nie zdaje. Kiedy się z tym zgłoszę do arcybiskupa, jak znam surowość imć księdza Boryszewskiego, jestem pewny, że dopiero teraz się zaczną kwerendy. Będą pisać od konsystorza do konsystorza, będą się pytać Pudełka, dlaczego nam ślubu odmó-

wił, rozeszłą posłów za księdzem Wara i może go znajdą w której garkuchni pod ławą... zgoła sprawa ta będzie się wlokła przez kilka miesięcy – a przez ten czas wszystkie stare baby będą sobie nami gęby wycierać. Rad bym z duszy gęby te raz pozamykać, ale przyznam ci się, że do takiego środka, który mi przyniesie niezliczone zmartwienia, nie mam odwagi.

Ta spowiedź Wilczka otworzyła Jagience całkiem nowe horyzonty. Przede wszystkim bowiem dowiedziała się, że ważność ich ślubu ulega jakimś powątpiewaniem i że z tego powodu są jakby pod klątwą w opinii sąsiadów, o czym dotychczas się jej ani śniło. To ją wstrzęsło do gruntu i niezmiernie zaniepokoiło. Uczuła się upośledzoną, postawioną moralnie niżej od którejkolwiek chłopki, której pop zamienił pierścionki, narażoną na to, że lada jaka szlachcianka czuje się w prawie spojrzeć na nią z ukosa. Taka pozycja wydała jej się nieznośną i domagającą się naprawy choćby za cenę najdroższą. Lecz przy tym Wilczek ją zawiadomił, że jest na to sposób, który z pewnością zaprowadzi do celu, a tylko może im sporządzić przemijające zmartwienia. Młodej kobiecie, obdarzonej bujną imaginacją, nie można otwierać bezkarnie widoków łechcących jej próżność lub miłość własną, a cóż dopiero jak najzupełniej usprawiedliwioną ambicją: kto jej taki widok otworzył, ten może być pewnym, że się jej nie pozbędzie, dopóki jej rozbudzonych nadziei nie spełni. Tak samo stało się także Wilczkowi.

Jagienka, wzburzona do najwyższego stopnia odkryciem, że ktoś śmie podejrzawać prawność jej ślubu, chwyciła się obydwoma rękami otworzonego jej przez męża widoku, że to złe można naprawić. I odtąd Wilczek już nie miał od niej spokoju ani jednego dnia, ani jednej godziny. Bronił się jeszcze czas jakiś, ale na próżno. Jego wszystkie uwagi przeciwko ponowieniu ślubu Jagienka pobila silnymi argumentami – a gdzie jej argumentów zabrakło, walczyła prośbą i łzami. Argumentom jeszcze można się oprzeć, ale kto kiedy się oparł prośbom i łzom ukochanej przez siebie kobiety? – Wilczek uległ i przyrzekł, że jak tylko drogi podeśchną, zaraz do arcybiskupa pojedzie. A wtedy Jagience już tylko chodziło o to, ażeby jak najprędzej przyszedł dzień jego wyjazdu.

Wszelako wtedy jeszcze większa brała ją niecierpliwość: liczyła dni i godziny. Już się ciepło zrobiło, zazieleniły się lasy i pola, ale na górach jeszcze śniegi leżały i powiadano, że wielka jest rozkał na drogach. Jagienka w popołudniowe godziny, kiedy już słońce dobrze ogrzało powietrze, wychodziła na którąkolwiek basztę lub wieżę, czasem sama, a czasem z swoim ukochanym dzieciątkiem w ramionach, i stamtąd, zaczerpując świeżego powietrza, rozpatrywała się po drogach dalekich, czy oschły już dostatecznie, ażeby jej mąż mógł w podróż wyruszyć, nie narażając się na zbyt ciężkie trudy i niewygody. Nareszcie maj przyszedł, zapanowała stała pogoda, Wilczek oznajmił żonie z radością, że już pojutrze wyjeżdża.

Cały ranek dnia następnego Wilczek strawił w swoich odległych stajniach, wybierając konie i przeznaczając knechtów i pacholików, którzy mają z nim jechać do Lwowa. Po obiedzie zaś zasiadł pod balustradą kamienną w dziedzińcu i wydawał dyspozycje starszym żołnierzom i folwarcznym włodarzom, co się ma dziać podczas jego nieobecności.

Jagienka przysłuchiwała się przez jakiś czas tym dyspozycjom, ale że bardzo długo trwały, duszno jej się zrobiło w dziedzińcu: gorące słońce popołudniowe rozpałiło płyty kamienne i mury i sprawiło parność między murami – a oprócz tego szczegółowe a nieskończone rozkazy, wydawane włodarzom, wcale jej nie mogły zajmować. Wzięła zatem swoje maleńkie dzieciątko od niańki na ręce i rzekła do męża:

– Gorąco mi tutaj. Pójdę tymczasem na który krużganek, ażeby zaczerpnąć powietrza.

– Idź, moje dziecko – odpowiedział jej Wilczek – jak skończę, to cię poszukam.

Zaczem odeszła i wydrapała się z dzieckiem na rękę na ową wieżę skalistą, w której u szczytu była izba wykuta w skale a otoczona od północy i wschodu szerokim kamiennym krużgankiem. Niańka szła za nią pomału na wieżę.

Wieża ta była, jak wiemy, na sto kilkadziesiąt stóp wysoka, a stała nad ową głęboką przepaścią, która była zasypana drzazgami skał i zmurszałymi drzewami, a w którą promień słońca jeszcze się nigdy nie przedarł. Niedobrze było spoglądać w tę przepaść, bo można było

dostać zawrotu głowy: ale też nikt w nią nie potrzebował zaglądać, bo patrząc w dal, mógł ku rozweseleniu swej duszy bujać swym wzrokiem po bardzo rozległych a przepysznych widokach.

Tak także zrobiła Jagienka. Stała z dzieckiem na ręku trochę opodal od kamiennych poręczy i puściła swój wzrok w tę dal niezmierną, w której leżała przed nią cała Ruś święta, uśmiechająca się do niej jak młodyca przekrasna swoją majową zielenią. Słońce jej nie raziło, bo właśnie się chyliło ku zachodowi za plecyma tej wieży, owszem, tym jeszcze jaśniejszym światłem oświecało i uwydatniało ciemnawe smugi odległych lasów i srebrzyste strumienie, szerokie łąk jasnozielonych kobierce i porozsiewane pomiędzy nimi wsie i miasteczka.

Blisko Drohobycz leżał teraz w popiele, do ogromnego cmentarza podobny, na którym wszakże już nowe budziło się życie, zaczem ten cmentarz raczej jak mrowisko wyglądał, które niebacznym przechodzień nogą roztrącił, ale na którym skrzące mróweczki już nowe budują osady. Po lewej leżał Sambor, lecz widać tam było także tylko tak samo ruchliwe mrowisko, wśród którego sterczały mury okopconego tatarskim pożarem zamczyska. Po prawej ręce Stryj, który przeszłego roku także ogorzał, ale teraz się dziwnie, pięknie wybielił. Jagienka puściła swój wzrok pomiędzy Sambor a Stryj prosto ku Lwowu. Nie było stąd widać tej czerwonoruskiej stolicy, tylko jakieś ciemne plamki na krańcu widnokregu szarzały – może to Wysoki Zamek, może kościół św. Jura – Jagienka wyteżyła swe oczy co siły i nie dojrzała nic więcej; ale te ciemne plamki wypełniła sobie w swej wyobraźni, mówiąc w duchu do siebie, że jutro tam jej mąż ukochany pojedzie i stamtąd jej szczęście i niezamącony spokój przywiezie. Jej i jej najdroższemu dzieciątku, które takie śliczne, tak patrzy rozumnie w dal swymi anielskimi oczkami, tak się uroczo uśmiecha, że tylko my skrzydełek brakuje, ażeby tym wonnym powietrzem poleciało za ojcem...

A wtem, kiedy oczyma rozplyniętymi w świętej macierzyńskiej miłości patrzyła w twarz dziecka, na drodze wiodącej od wschodu do bramy zamkowej, którą widać było w jasnym świetle słonecznym jakby na dłoni, usłyszała trąbę rycerską i odzew królewski, który tak dobrze znała.

Uderzona tym niespodziewanym odgłosem trąby, zrobiła krok naprzód ku kamiennej poręczy i spojrzała na drogę: a tam obaczyła poczet rycerski, wpoila wzrok w rotmistrza stojącego na czele i za pierwszym rzutem oka go poznała: to jej mąż, Gniewosz!

Na ten widok przerażający tak silnie się strzęsła, że jej ręce omdlały, dziecko się jej z rąk wysliznęło i padło przez poręcz w tę przepaść bezdenną, gdzie jeszcze promień słońca się nigdy nie przedarł.

A wtedy gdy nad poręczą sama została z rozkrzyżowanymi ramionami i szeroko od zgrozy rozwartymi oczyma, zdjęła ją rozpacz bezmyślna i bezprzytomna, miłość i żal ją porwały za dzieckiem, chwyciła się obydwoma rękami za głowę – i sama nie wiedząc, co robi, rzuciła się za nim w tę bezdeń...

Gniewosz to widział.

Poznał także swą żonę – i zrazu wszystka krew się w nim ścięła.

Otworzył usta, ażeby zaczerpnąć powietrza i patrzył nieruchomymi oczyma w to miejsce, co, zarosłe po brzegach gęstymi drzewami i krzewinami, unosiło się nad tą bezdenną przepaścią, w której Jagienka zniknęła.

I stał tak przez chwilę na koniu i w zbroi jak posąg z brązu ulany, któremu już nie ruszyć się z miejsca, aż póki go rdza wieków nie przeżre, a wichry w gruz nie przewrócą.

Po chwili – z tej przepaści, na której teraz, o samym zachodzie słońca, owa wyniosła wieża czarny cień rzuciła – wyleciała biała gołębica, podniosła się nad zamkowe dziedzińce, maleńki czas nad nimi krążyła, jak gdyby jeszcze raz tam chciała kogoś obaczyć i może ostatnie mu rzucić spojrzenie... po czym wzbiła się w górę i zniknęła w obłokach.

Gniewosz widział tę gołębicę, jak się nad zamkiem jej białe pióra w czerwonych promieniach zachodzącego słońca złociły i jak się potem rozplynęła w błękitach. Widzieli ją wszyscy jego żołnierze – ale zapewne i inni ludzie widzieć ją musieli: bo pozostała wiara między okolicznymi chatami, że dusza Jagienki, jako niewinna ofiara zwodziciela rycerza, z zamkowej przepaści uleciała do nieba, gdzie wybielona z swych grzechów na łonie wszechmogącego Stwórcy spoczywa.

Gniewosz na widok tej gołębicy miał także takie objawienie w swej duszy, którym też przejęty, ściśniętą dotychczas piersią trochę swobodniej odetchnął.

Po czym jeszcze czekał przez kilka pacierzy, zali mu bramy nie otworzą.

Jeśliby go kto chciał winnym uczynić tej śmierci, byłby mu chętnie obyczajem rycerskim zdał sprawę i swoją krwią odpowiedział za winę.

Ale brama się nie rozwarła.

Natomiast zaś usłyszał ogromną wrzawę w zamkowych dziedzińcach, rozgłośnie wołania, lamentsy i jęki, które już nie ustały...

Zaczem złożywszy ręce przed sobą, zaczął mówić pacierz za dusze zmarłe: *Dies irae, dies illa*<sup>90</sup>, który umiał na pamięć w ówczesnym pięknym polskim przekładzie:

*Dzyen gnyevu, dzyen on nomny,  
Kthorrgo vslhanye z przyczyny  
Na sąd Boży człovyek vynny.  
O yaky sthrach thedy bądze,  
Gdy on gromny sędzya szyędze,  
Chzczacz vyvyedzecz o mym bladze...*

A kiedy domówił słów:

*Bo yako ktho czynyąc z pysze,  
Thak Bóg w szve kzągy napysze,  
Słowo sądne nyezmyeny szye...*

przeżegnał się, odwrócił konia i w głębokim zamyśleniu odjechał ku Lwowu.

---

<sup>90</sup> *Dies irae, dies illa* (łac.) – sekwencja żałobna, której autorem jest prawdopodobnie Tomasz z Celano (zm. ok. 1255 r.), uczeń św. Franciszka z Asyżu

## XVII

### SRBDNIOWIECZNE WESELA

Formoza, nie mogąc się niczego od Łopatki dowiedzieć, bo też zapewne sam nic nie wiedział, ani o Gniewoszu, ani o owym tureckim murdziaku, ani o żadnych rozporządzeniach króla, które by się odnosiły do uwolnienia jej oblubieńca, znów w ciężki smutek a zarazem i wcale nieznośny niepokój popadła. Poruczywszy tę sprawę królowi, sama nic rozpoczynać nie mogła, a nie wiedziała, co myśleć.

Natenczas miewała chwile, w których powątpiewała o wszystkim, lecz mimo to nie mogła się oddać zupełnemu zwątpieniu. Miałoby to wszystko być tylko snem, po którym nic nie zostaje oprócz wspomnienia? Miałaby Lubek upleść bajkę z samych przywidzeń? miałaby własnego ojca okłamać? miałaby murdziak potwierdzić wieść o Gniewoszu tylko dlatego, ażeby go wymieniono choćby za jakiego innego rycerza? miałoby król i Kamieniecki w błąd dać się-wprowadzić – a jeśli tak, miałoby ją dotychczas utrzymywać w niewiedomości tego, co się im wydarzyło? Wszystko to jest możebne, ale czy także prawdziwe? – Formoza suszyła sobie głowę nad tymi pytaniami, nie mogąc sobie żadnej dać odpowiedzi. I zaczęły się wówczas te straszne niepokoje z gwałtownym biciem serca chwilami, to znowu z krwią zastygającą w żyłach a z ustawicznym drżeniem wnętrzości, godziny długie i nudne jak dzień bez chleba, dnie nieskończone jak wieczność, noce bez snu, jak noce więźnia skazanego na śmierć, a nie wiedzącego, czy z brzaskiem dnia go wypuszczą na wolność, czy każą głowę położyć na kłocu. A brzask dnia powraca co dobę – a drzwi więzienia ciągle zamknięte...

Ale odtąd miały już szybko następować po sobie bardzo wzruszające wypadki.

Jednego dnia wbiegł do niej Kundrat i przyniósł przerażającą wiadomość, że Jagienka umarła.

Kundrat utrzymywał ciągle stosunki z miastem Tustaniem, burmistrz tamtejszy, Daszkiewicz, jego przyjaciel a człek wiarogodny, przysłał mu swego własnego parobka z listem, w którym stoi wyraźnie: „że starościna, bawiąc się z dzieckiem na szczycie wieży, spadła z krużganku w przepaść i pewnie się tam zabiła, chociaż jej zwłok nie znaleziono do drugiego dnia rano, co też starostę tak odurzyło, że prawie rozum już stracił i tak szaleje, jak gdyby go diabeł opętał”.

Formoza, chociaż Jagienki nigdy nie widziała na życiu, ale ją kochała jak siostrę, tak się przeraziła tą wiadomością, że się łzami zalała, a kiedy ten list sama czytała, to ręce jej się trzęsły jak w febrze. Lecz mimo że list po kilka razy czytała, przecie nie chciała uwierzyć. Kazała sobie zawołać parobka, co z tym listem przyjechał.

Parobek, człek wcale niegłupi, bo inaczej nie byłby w służbie u samego burmistrza, lecz bardzo gadatliwy, opowiadał jej takie rzeczy, które ją jeszcze daleko więcej zdziwiły.

Już wtedy w całej tustańskiej okolicy wszyscy w to wierzyli, że Wilczek, ażeby cudzą żonę mógł dostać, złym duchom duszę zapisał – i że złe duchy bez ustanku krążą około niego, ażeby go wpędzić w jaką połapkę i czym prędzej zabrać mu duszę. Widzą to przecież bardzo często jego własni żołnierze, a nawet i mieszczanie z Tustania, że kiedy się zacznie wściekać na kogo, to z gęby mu piana się toczy, język mu z niej wyskakuje długi do pasa, z oczu iskry

się sypią i włosy mu dębem wstają na głowie, a między nimi widać wyraźnie dwa rogi diabelskie. W takich napadach gniewu sam nieczysty włazi w niego i z niego się tak miota na ludzi.

– Owo więc pozawczoraj – opowiadał parobek – diabeł za rycerza się przebrał i przyjechał do niego w gościnę – a temu rycerzowi nadał taką postać, jaką miał nieboszczyk mąż starościny. Starostowie bardzo się go przestraszyli, ale on udał się dobrym dla starościny, całował ją w rękę i przyrzekł, że ją zostawi staroście, jenoby chciał wiedzieć, czy starosta ma dosyć majątku, aby ją wedle jej godności utrzymał. Zaczem starościna za jego namową wyprowadziła go na wieżę, ażeby mu stamtąd całe państwo pokazać, nad którym panuje starosta: a on, wyszedłszy z nią na wierzch wieży, powiedział jej: „Jakoś mnie zdradziła, także giń teraz” – i strącił ją w przepaść. Kiedy się starosta o tym dowiedział, wpadł w złość okrutną, ale sam nie wiedział, kogo ma szukać najpierwej, czy tego zbója rycerza, czy żonę. Porozbiegali się żołnierze po wszystkich kątach całego zamku, ale nie znaleźli rycerza: zniknął gdzieś, jak by go nigdy nie było, chociaż go wszyscy widzieli. Pewnie, jak tylko strącił panią z krużganku, jako to sam diabeł był, uleciał zaraz powietrzem. Natenczas starosta kazał szukać żony w przepaści: ale jej nie znaleźli. Bo też musiała upaść na samo dno – a tam jeszcze się nikt nigdy nie dostał. Gdyby nawet kto mógł się tam dostać, to przecieżby nie szedł, bo dopiero tam jest właściwa złych duchów siedziba, jako też i ich wycia słyszeć można po nocy. A wtedy już starosta wcale wściekł się ze złości. Jednemu żołnierzowi, co nie chciał spuszczać się w przepaść, głowę rozszczypał czekanem, z drugiego mieczem, co go zawsze nosi u boku, wypruł wnętrzości, innych także się nabił, bo przez całą noc tak się wściekał. I byłby bez mała wszystkich wytlukł do nogi, w czym mu pewnie i diabeł pomagał, jeno że nad ranem już mu sił w rękach nie stało, upadł na ziemię, więc go ludzie zanieśli na łóżko, gdzie też teraz leży na wznak, zsiniał cały jak blacha żelazna, oczy ma otworzone, a piana mu się z gęby wciąż toczy. Jedni mówią, że umarł, jeno że jeszcze dusza nie chce wyjść z niego, bo widzi diabłów, co na nią czyhają, ale przecie wszyscy chodzą koło niego na palcach i trzymają się z dala, bo się boją, że jak się zerwie, tak ani chybi, że wszystkich na miazgę wytłucze...

Tak powiadał parobek.

Formoza swoim zdrowym rozsądkiem zaraz dostrzegła, że na tym, co się tam stało w zamku tustańskim, przesądna imaginacja ciemnego ludu nadzierzgała niedorzecznych bajek bez końca. Trudno jej było dojść samym rozumem, co tam było istotną prawdą, a co zmyślonym dodatkiem. Wszelako ten fakt zdawał się nie ulegać wątpieniu, bo przecież inaczej by z nim gońca nie był wysyłał Daszkiewicz, że Jagienka jakimś przypadkiem spadła z wysokiej wieży i śmierć znalazła w przepaści. Zdarzenie to ją głęboko dotknęło, raz dla biednej Jagienki, która tak młodo musiała świat ten porzucić, lecz także dla Wilczka, któremu zawsze wszelkiego szczęścia życzyła, a który teraz zapewne wije się z bólu w tak ciężkiej żałobie. Na toż oboje tyle się nacierpieli i tyle ciężkich walk stoczyli z przeciwnościami tego świata, ażeby to słońce, które dla nich nareszcie zabłysło, tylko mało co więcej jak jeden rok im świeciło i zaraz zagaśło? Formozie bardzo się smutno zrobiło na widok znikomości tego ziemskiego szczęścia, o które wszyscy z takim trudem i ofiarami się dobijamy. Azaliż nie lepiej i nie rozumniej o to szczęście wcale się nie dobijać, ale tylko o to się starać, ażebyśmy sobie zapewnili szczęśliwość wieczną? – Puściwszy swoje myśli tym torem, przypomniała sobie swoje dawne zamiary usunięcia się od świata i ludzi, założenia klasztoru i poświęcenia się służbie około dusznego dobra swych bliźnich. I bardzo długo i szczerze nad tym myślała...

Ale młodość niełatwo się uczy cudzym doświadczeniem. Młodość, ciepłą krwią swoją i czułością umysłu na wrażenia zewnętrzne, zanadto blisko jest spojona z tą ziemią, ażeby się mogła tak łatwo od niej oderwać dla takich szczęśliwości nadziemskich, których nie może objąć swoimi zmysłami. Młodość swoim lotnym geniuszem sięga po ideały do nieba, lecz na to, ażeby te ideały na ziemię sprowadzić – a wcale nie na to, ażeby tę piękną ziemię, która się jej oczom tak uroczo przedstawia, zupełnie i na zawsze porzucić, a za ideałami całą swoją istotą unieść się w niebo. Pobożne i idealne myśli Formozy wkrótce się roztrąciły o przypo-

mnienia niektórych szczegółów z opowiadania gońca. Jakiś rycerz się zjawił na zamku tustańskim, co miał taką postać, jak nieboszczyk mąż starościny: to Gniewosz! Przecież prosty parobek takiej wieści sobie z palca nie wyssał, jakiś rycerz zjawił się tam rzeczywiście: to on! Jużci Gniewosz Jagienki z krużganku nie stracił, to rzecz niepodobna: ale za jego zjawieniem się mogło się stać coś takiego, z czego taka wierutna bajka urosła. Formoza się zaczęła nad tym wysilać, ażeby się jakiegoś prawdopodobieństwa domyśleć; najrozmaitsze przypuszczenia snuły się jej po głowie i już była bardzo niedaleką domyślenia się prawdy – ale to mniejsza. Główną rzeczą to było, że owym nieznanym rycerzem musiał być Gniewosz. A wtedy jej wszystkie marzenia o szczęściu wiecznym rozbiły się o ten ziemski ideał – i już jej tylko o to chodziło, co robić, aby się prawdy dowiedzieć.

Ale wtedy król znów był we Lwowie, już od kilku dni mieszkał na Niskim Zamku i już się szlachta zaczęła zjeżdżać do niego.

Wszyscy monarchowie ówczesni rządzili swoimi krajami niejako na wózku, przenosząc się bezustannie z miejsca na miejsce i bawiąc mianowicie po większych miastach często po kilka tygodni. W średnich wiekach było to u nich modą, raz dlatego, że osobiście odprawowali sądy, po wtóre, dla tej politycznej potrzeby, ażeby ciągle przygarniać do siebie bądź miejskie, bądź szlacheckie żywioły, a w Niemczech nawet najniższe warstwy wiejskiego ludu, które się bardzo często przeciwko ich władzy burzyły, a na koniec i z tego powodu, że ówczesni królowie lubili żyć i wesoło się bawić, szukając według pojęć ówczesnych zabawy w rozpuszcie i zbytkach. Owo więc po rozpustę i zbytki trzeba się było w tych czasach nie na zamki rycerskie, gdzie surowe cnoty chowano, ale do wielkich miast udawać, które opływając w bogactwa, kochały się w wszelkiego rodzaju zbytkownej swawoli, a obyczaje miały tak rozwolnione, że nawet temu, co o nich opowiadają samiż świadkowie współcześni, nie chce się wierzyć.

Cóżkolwiek bądź, naszych Jagiellonów można by śmiało nazwać podróżującymi królami – a między nimi Jan Olbracht pod tym względem prym trzyma. Prym mu się także i z tego względu należy, że daleko więcej, niż którykolwiek z jego poprzedników albo następców, dla celów politycznych lubił się mieszać w sprawy rodzinne, a w zamiłowaniu czy to okazałych rozrywek, czy pokątnej swawoli, nie znał żadnego umiarkowania. Z tych wszystkich powodów był on prawie wstrętnym Formozie: obawiała się jego śliskich komplementów, od których niełatwo się obronić królowi, zwłaszcza kiedy się go potrzebuje, obawiała się nawet, ażeby jej nie zbałamucił Gniewosza, którego teraz tak gorąco ukochał i może go zechce ożenić gdzie wyżej... Iść do króla, była to dla niej bardzo ciężka ofiara. Wszelako musiała na nią się zdecydować: tylko że jej potrzeba było cokolwiek czasu, aby się zdobyć na tę odwagę, więc jej zeszedł dzień jeden i drugi nad tym, co ma mu powiedzieć i o co właściwie może go prosić.

Jednak natenczas już szczęście przechyliło się na jej stronę.

Nim jeszcze się wybrała do króla, jednego dnia zameldowano jej pana Kamienieckiego.

Formoza bardzo się ucieszyła tymi odwiedzinami i sama wyszła aż do pierwszych drzwi przeciw niemu.

Kamieniecki ją powitał z tą poufałą przyjaźnią, która kazała jej dobrze wróżyć o wiadomościach, z jakimi do niej przychodzi. Jakoż i w swej dalszej rozmowie był wesół, miał same miodowe słowa na ustach i te jasne a miłościwe promienie w oczach, które tylko wtedy się pokazują, kiedy pocziwy człowiek cudzym szczęściem się cieszy.

Formoza nie śmiała go wprost o Gniewosza zapytać – jej dziewiczy srom trzymał jej usta na wodzy, chociaż serce się rwało – ale zapytała go o wiadomości z Tustania.

Kamieniecki się na to lekko zasmucił i rzekł:

– Król i my wszyscy bardzo żałujemy Wilczka, aleśmy też zawsze taki koniec przeczuwali dla niego, był to bowiem jeden z tych ludzi, za którymi chodzi nieszczęście. Szkoda jego i szkoda tej pięknej Jagienki, która też była warta lepszego losu.



– Ale dlaczego ona spadła z wieży? – zapytała Formoza – mnie takie potworne bajki o tym opowiadano, że im nie mogę uwierzyć.

Na to zaś Kamieniecki, patrząc jej w oczy z uśmiechem:

– Przestraszyła się jakiegoś błędnego rycerza, co właśnie obok zamku przejeżdżał.

– Któryż to był ten rycerz? – spytała Formoza, rumieniąc się lekko i oczy spuszczać ku ziemi.

– To trudno wiedzieć – rzekł Kamieniecki z bardzo figlarnym blaskiem w swych oczach – bo i o nim są takie wieści, co im także nie można uwierzyć. Ale może się coś o nim dowiemy, jak przyjdzie pora po temu...

Natenczas w sercu Formozy miłość wzięła górę nad sromem dziewiczym, zarumieniła się mocno, przyskoczyła do Kamienieckiego, wzięła go za obydwie ręce i zawołała głosem błagalnym:

– Powiedz mi pan kasztelan... przecie wiesz... to Gniewosz?

– Nie wiem – rzekł Kamieniecki, patrząc to na jej twarz, to na zegar wiszący na ścianie – trudno to wiedzieć, ale może jeszcze dzisiaj się dowiem...

Na te nielitościwe słowa Formozie dwa zmarszczki się ściągnęły na czole, już się chciała rozgniewać na niego: ale wtem drzwi się otwarły na ścieżaj i sam Gniewosz wszedł do komnaty.

Miał lśniącą stalową koszulę na sobie z obrazem Matki Najświętszej na piersiach, srebrzysty krótki mieczyk u boku i lekki hełmik na głowie: tak stanął przed nią, z twarzą mocno zarumienioną, z oczyma, w których łzy się kręciły, z wpeł otwartymi ustami, a nie mogąc ani słowa wymówić, w milczeniu szerokie ku niej otworzył ramiona.

Na jego widok Formozie wszystka krew uderzyła do twarzy, tylko zapal długo tłumionej miłości na niej się wymalował, i bez słów, i bez oddechu, z otwartymi ramionami rzuciła mu się na piersi.

Gniewosz ją objął i głowę nad nią pochylił – a ona, objawszy go wpeł prawym ramieniem, oparła głowę na obrazku Matki Najświętszej. Krew ustąpiła z jej twarzy, a został tylko lekki, precudnej dziewiczości rumieniec, oczy się na połowę przymknęły, nakrywszy się bogatymi rzęsami, jej usta się na wpeł otwarły: tak przycisnęła się mocno do niego i widać było po niej, że objęło ją to miłosne omdlenie, którego szczęściu nic się nie równa na ziemi.

Tak go też trzymała przez długą chwilę – a pomimo swojej posągowej budowy ciała i mimo całej potęgi swojej wiary i woli, była jak miękki powój, co się miłośnie około potężnego dębu owinał, była – jak być powinna kobieta.

Te chwile niewysłowionej, a tak czystej rozkoszy przerwał im Kamieniecki, mówiąc przez łzy, które mu spływały po twarzy:

– Bądźcież mi zdrowi, bo z wami już bym się chyba we łzach rozpląnął, co nawet i nie przystoi żołnierzowi. Powiedzcie sobie beze mnie, ileście się oboje nacierpieli dla waszej miłości – i niech wam Pan Bóg da tyle szczęścia przez całe życie, ileście go zaznali w tej chwili. A pośpieszajcie ze ślubem, bo król wam każe przeze mnie powiedzieć, że chciałby też być na waszym weselu.

Król rzeczywiście, obaczywszy Gniewosza z powrotem, postanowił sobie uchwycić tę sposobność i wyprawić mu świetne wesele, ażeby się zetknąć ze szlachtą i połechtać cokolwiek jej miłość własną.

Albowiem Gniewosz był w owej porze najpopularniejszym człowiekiem w całym królestwie. Nie zapomniano mu tego, z jaką wspaniałą odwagą wystąpił w obronie honoru ojczyzny na Bukowinie i jako był prawie jedynym, co w tej wojnie na wieniec dębowy zasłużył. Opłakiwano go szczerze, kiedy się wieść o jego śmierci rozeszła – a kiedy już wszyscy w to uwierzyli, że zginął śmiercią walecznych i że teraz na Ajantejach obok Ajaksów i Achillesów niesie wysoko sztandar polskiego rycerstwa, zaczęto już pieśni o nim układać rymem łacińskim i polskim, które wędrowni rybałci śpiewali przy gęśli po dworach i zamkach, a ślepe

dziady opowiadali o nim epopeje rycerskie po wiejskich gospodach i chatach. A był on przecie rycerzem królewskim i swoim męstwem przyniósł prześwietną sławę ojczyźnie, lecz przede wszystkim jasnym promieniem oświecił dzielność królewskiego rycerstwa. Król, podnosząc go w górę, czcił szlachtę, która tak potężnego wydała rycerza, ale i siebie podnosił, pokazując całemu światu, jak dzielni obrońcy tronu i kraju wychowują się pod opieką jego korony.

Nie chcąc zbyt długo bawić we Lwowie, król sam się wstawił za nim do arcybiskupa, aby mu dał dyspensę od zapowiedzi: ale ksiądz Boryszewski okazał się niewzruszonym. Duchowieństwo, ukróćcane przez Jagiellonów niejednokrotnie w swej władzy, niechętnie ustępowało, gdzie było w swym prawie. W tym zwłaszcza wypadku arcybiskup mógł się powołać na ożenienie się Wilczka, które w całej Polsce, a zwłaszcza na Rusi wiele narobiło zgorzenia. Bóg sam to pogańskie małżeństwo rozwiązał, do czego ludzie nie mieli odwagi – a tym zrzędzeniem swoim dał sługom Kościoła naukę, jak surowo powinni przestrzegać praw jego. Lepiej to nawet dla ludzi, jeżeli takich wykroczeń unikną, bo kara Boża jest srogą, karząc nie tylko winnych dla ich winy, ale dla winy drugich, a dla przykładu dla wszystkich. Powaga króla rozbiła się o władzę arcybiskupa – i państwo młodzi musieli czekać trzy tygodnie z weselem.

Ale nikt się na to nie skarżył. Król bardzo chętnie bawił we Lwowie, gdzie panowie najznamienitszych rodów, mający szerokie posiadłości w tych krajach, uświetniali dwór jego, bogaci mieszczanie obsypywali go podarunkami i sute mu wyprawiali wieczery, a piękne oczy Rusinek przyświecały jak gwiazdy jego swawolnym rozrywkom. Szlachta ruska, mając rok całe spokojny, rada była na Niskim Zamku w stolicy Rusi swoje dostatki pokazać i zaświetlić światłością swych strojów w promieniach korony. Formoza dziękowała Panu Bogu po trzykroć, bo do wesela wcale nie była przygotowana, a przyćmiwszy światłość swojego rodu w swoich związkach mieszczańskich, uważała za rzecz konieczną w wielkim blasku wystąpić, zwłaszcza że dzięki tak znacznym majątkom, które odziedziczyła, nie brakło jej do tego wszelkich zasobów. Ale i Gniewosz był także kontent z tej zwłoki, bo i jemu, zwłaszcza wracającemu po tak długiej nieobecności z niewoli, potrzeba było cokolwiek czasu, ażeby sobie odpowiedni dwór złożyć, a zarazem i zamek czorsztyński na przyjęcie żony należycie przystroić.

Jakoż kiedy nareszcie przyszedł dzień wesela, było co widzieć, bo też i najstarsi ludzie, co Lwów od stu lat zapamiętali, a nawet i ci, co po krajach postronnych bywali, takich przepychów jeszcze nigdy nie widzieli.

Już o ósmej godzinie ranej Gniewosz wyjechał z Niskiego Zamku po pannę młodą. Sam siedział na wielkim koniu rycerskim, maści tarantowatej, o karku bardzo wyniosłym, a z grzywą tak długą, że mu do kolan sięgała, koń był nakryty pysznym kropierzem z przedniego sukna, ale zasianym tak gęsto pozłocistymi haftami, że i dna prawie nie było widać; rząd na nim z szerokich rzemieni, okutych w srebro, a kamieniami sadzonych, a wędzidło miał także ze srebra i srebrny łańcuszek pod brodą. Gniewosz miał na sobie pancerz zupełny ze srebrnych łusek złożony, na nim płaszcz aksamitny prawie czarnego koloru, na piersiach otwarty, z szerokimi a krótkimi rękawy, a po wszystkich brzegach bogato złotem bramowany i złotym atłasem podbity. U szyi miał złoty ryngraf, a na piersiach pancerza błyszcząca podługowata blacha z obrazem Matki Najświętszej w złotym polu. Na głowie zaś miał srebrny hełm, w złoto oprawny, a ozdobiony bogatymi piórami barwy czarnej i żółtej.

Około niego po prawej jechał sam wojewoda ruski Tarnowski, na równie wielkim koniu sobolowatym, zadziwiającej piękności, i on, i koń jego byli także świetnie przybrani, ale tak, aby nie gasić blasku pana młodego, jako nakazywała rycerska uprzejmość. Zaczem miał jasnobrunatny aksamitny płaszcz na pancerzu, a tylko strusie pióra na jego hełmie, barwy błękitnej i żółtej, i tych samych kolorów herb Leliwa na piersiach, bardzo świetnie błyszcząły.

Po jego lewej jechał na wielkim koniu kasztanowatym z konopiatą grzywą Piotr z Kurozwek, podskarbi wielki koronny, delegowany przez króla, ażeby zastępował jego osobę: zaczął miał na pancerzu płaszcz aksamitny czerwony, białym atłasem podbity, a na lewym ramieniu tarczę polerowaną ze stali, w której środku widać było znak królewski, białego orła w czerwonym polu.

Za nimi jechali wszyscy, w świąteczne szaty przybrani, rotmistrze i starostowie królewscy, więc: Koniecpolscy, Melsztyńscy, Paniowscy, Górkowie, Pampowscy, Kościeleccy, Kergolaj i inni, a między nimi wielu młodzików z zamożnych rodów, których rodzice wyprawili do Lwowa, ażeby się pokłonili królowi, a zarazem przypatrzyli festynom, turniejom i innym krotochwilom rycerskim, którymi król, panowie i miasto uczczą zasługi znamienitego żołnierza.

Mieszczanie i stołeczne pospólstwo, zawsze świetnych widowisk ciekawi, zapełnili sobą cały rynek tak gęsto, że trudno się było pieszo przez nich przecisnąć, a cóż dopiero tak licznemu pocztowi rycerstwa, który sam sobą ze swoją służbą byłby zapełnił prawie czwartą część rynku. Zaczem *consul nocturnus*, w świąteczny kaftan przybrany a ze srebrnym ryngrafem na szyi, wzięwszy sam swoje odświętną halabardę do ręki, stanął ze wszystkimi swymi halabardnikami do służby utrzymania porządku – a że był człowiek surowy, więc kazał młócić drzewcami sławetną publiczność, zwaną wtedy niegrzecznie motłochem, bez względu na to, jaki tam kto urząd piastował, a choćby to był nawet jaki *consul diurnus*<sup>91</sup>. Szkoda to wielka, bo tym sposobem poczciwi ludzie, co tylko tym zgrzeszyli, że byli zanadto ciekawi, otrzymali zaraz z początku festynu daleko więcej guzów niżeli przysmaków, a jęki bólu mąciły cokolwiek uczucia radości.

Zrobiwszy sobie nareszcie rum przez te tłumy zebrane na rynku, Gniewosz ze swoim orszakiem zjechał przed dom Formoży.

Zsiadłszy z koni przed bramą, szli wszyscy na pierwsze piętro.

Zaledwie weszli w bramę, mile zostali uderzeni rozmaitymi dekoracjami, którymi na ich przyjęcie bramę wjeżdzną, szerokie schody, a nawet i główne komnaty przybrano; albowiem na co się tylko mogły zdobyć wirydarze miejskie i magazyny nieboszczyka Kijasa, niczego tam nie szczędzono, ażeby wszystkie ściany tego obszernego domostwa uświetnić i rozweselić. Już w bramie wjezdnej stały w dwóch szeregach drzewa cytrynowe i pomarańczowe, a znad stropu zwieszały się nad głowy przechodniów girlandy i wieńce z zieleni, podłoga zaś była suknem czerwonym wysłana. Schody były jeszcze piękniej przybrane, albowiem okryto je pysznymi perskimi dywanami, girlandy kwiatów się snuły po ścianach, a cały strop był jakby gęstą makatą z róż i konwalij zakryty. Nuż dopiero w samych komnatach nawieszano po ścianach, przy drzwiach i oknach, tyle bogatych festonów ze złotogłowiu i z rozmaitych kwiecistych tkanin tureckich i perskich, że najbogatsi panowie, idąc pomału i oglądając się na wszystkie strony, nie mogli im się nadziwić, a najbywalsi z nich powiadali, że tyle jedwabiu, złota i woni można spotkać chyba tylko w pałacach sułtanów.

Formoza czekała na pana młodego dopiero w komnacie ostatniej, w tej samej, gdzie niedługo Gniewosz jej na krucyfiks przysięgał, że jej miłość i czystość dochowa do śmierci.

Nie była to z komnat największa, ale ją najcudniej przybrano, bo ściany jej obwieszono najpyszniejszymi tkaninami indyjskimi, pajęczej delikatności, a zasianymi srebrnym i złotym dzierzganiami, przedstawiającym najrozmaitsze kwiaty stref południowych i nie widziane u nas motyle. Jasne blaski różowe, błękitne i białe i zapachy najwyborniejszych wschodnich kadzideł zapełniały powietrze tej komnaty, tak że gościom się zdało, jakby byli w zaczerowanym pałacu jakiejś indyjskiej królowny.

---

<sup>91</sup> *consul diurnus* (łac.) – konsul dzienny

Na środku tej komnaty stała Formoza w całym blasku swojej olimpijskiej urody i w całej świetności swego ślubnego stroju, i swoją wspaniałą postacią tak wszystkich chwyciła za oczy, jak gdyby na nocnym niebie nagle południowe słońce powstało.

Suknię zwierzchnią z długim ogonem, wyglądającą prawie jak płaszcz królewski, chociaż w staniku była obcisła, miała z białego brokatu, zasianego złotymi kwiatami, zaś suknię spodnią, która u boków i przy buchastych rękawach wyglądała spod zwierzchniej, z czerwonego atlasu. Obydwie suknie powiązane były ze sobą złotymi sznurami, które na ramionach i w pasie splatały się z sobą w węzły pełne fantazji i wdzięku. W tym pysznym stroju jej wzrost wspaniały i kibić form okrągłych i pełnych o tyle mocniej wpadały w oko, ile że od tyłu głowy spadał na całą jej postać jakoby płaszcz z białej gazy indyjskiej, tak delikatnej i przezroczystej jak pajęczyna, a zasianej drobnymi złotymi gwiazdkami, że się widzom zdawało, jakoby ku nim spływała w przedświtowym obłoku, w którym się już odbijają brzaśki wschodzące słońca, a jeszcze gwiazdy nie zgasły.

Uważali to wszyscy, co obyczajem ówczesnym kochali się w figurach, że nie mogła lepiej przedstawić obecnej chwili swego własnego życia, w której już miała za sobą gasnące gwiazdy nocy, w ciężkich przespanej boleściach, a wschód słońca dopiero się jej zapowiadał. Przy tym ubiorze miała na sobie moc niesłychaną drogich kamieni w manelach<sup>92</sup>, naramiennikach i kolcach, sznur pereł uriańskich<sup>93</sup> na szyi i rycerską koronę we włosach, bardzo misternie złożoną z brylantów, rubinów i pereł, na której w środku było widać maleńką główkę Murzynka, herb Murysonów. Lecz nadto wszystko, jak niegdyś królowa Dąbrówka po rozłączeniu się z mężem, włożyła wieniec dziewiczy na głowę, czym wszyscy zostali uderzeni i uradowani, bo dopiero teraz się przekonali, że owe głuche wieści, które o jej dziewictwie pomimo jej mieszczkańskiego małżeństwa po mieście krążyły, były istotną prawdą, której też teraz już nikt nie śmiał zaprzeczyć.

Za nią stały jej družki, także bardzo wspaniale ubrane, jako wysoki ich ród tego wymagał: księżniczka Eufemia Zbarska Mokosiejewiczówna i księżniczka Paraska Puciatyczówna, wojewodzianka kijowska.

Obok niej, cokolwiek na przedzie, stat Kamieniecki – a za nim cały tłum szlachty ruskiej, bliżej lub dalej spokrewnionej z Murysonami, jako Biszowscy, Wątróbkowie Strzeleccy, Zbrożkowie, Dzieduszycy, Buczaccy, Fredrowie, Kierdejowicze, Chodeccy i inni, wszyscy w pełnych zbrojach rycerskich, którzy oczywiście się tak licznie zgromadzili koło Formozy, ażeby jej jawne wydać świadectwo, jako jest orłęciami z ich gniazda, z ich krwi i kości.

Kiedy panowie, wiodący wśród siebie Gniewosza, powitali niskim ukłonem Formozę, a ona wraz z swym otoczeniem równie nisko się im odkloniła, natenczas wojewoda ruski wysunął się cokolwiek naprzód po prawej Gniewosza i w bardzo pięknej mowie łacińskiej, przedstawiwszy starożytność i świetność rodu pana młodego, a dalej jego wszystkie zalety i cnoty, poniesione cierpienia i położone zasługi, prosił o rękę panny młodej dla niego. Tarnowski, mówca bardzo misterny a gładki, musnął także, ale niezmiernie delikatnie i sztucznie, owe dziwne zrządzania Boże, jako tu niby wdowiec żeni się z wdową, a przecie, komu było dane wiedzieć wszystkie skrytości nieprzejranych ludzkimi oczyma przeciwnych losów, którym oboje państwo młodzi musieli się poddać, ale się nie dali zwyciężyć, ten musi życzyć wszystkim młodzieńcom i pannom, ażeby swe wieńce dziewicze donieśli do ślubnego ołtarza w takiej czystości, jako ci właśnie, którzy za wolą Bożą dzisiaj się łączą ze sobą.

W weselnym mowach ówczesnych nie mogło się nigdy obejść bez gęstych aluzji do najskrytszych tajemnic małżeństwa. Im więcej śliskie, a nawet rubaszne były te aluzje, tym głośniejszy przyklaskiwano mówcom i była to tak niezbędna przy takich obrzędach przyprawa, że nawet królowie nie umieli jej sobie odmówić przy swoich weselach. Ale wykwinionych obyczajów i podniosłych myśli starosta Gniewosza, choć musiał w swej mowie poddać się także

---

<sup>92</sup> manela (wł.) – bransoleta

<sup>93</sup> perty uriańskie – perły prawdziwe

tej modzie, to przecież umiał się tak zręcznie wywiązać z tej roli, że uczynił zadość łakącym takich przysmaków słuchaczom, a przecież nie obraził niczyich uszu – i tak pięknie przystroił swą mowę, że mógłby być ją powiedzieć w kościele.

Od panny młodej odpowiadał Kamieniecki po polsku.

Był on także jednym z najlepszych mówców swojego czasu, ale miał swadę cokolwiek żołnierską. Jakoż wychwaliwszy ród, wyniosłość umysłu i wszelkie zalety Formozy do tego stopnia, że się prawie zdawało, jakoby Gniewosz ledwie był wart takiej żony, rozgadał się tak szeroko i długo o nieszczęściach i umartwieniach, przez które przeszła Formoza, że się prawie zdawało, iż owa bajka wierutna, którą opowiadano po kraju, a w którą i Kergolaj swego czasu uwierzył, jakoby Formoza była przez Ormian porwaną, w więzieniu trzymaną i do małżeństwa gwałtem zmuszoną, była istotną prawdą.

– Jednak od czasu – powiadał Kamieniecki w swym oratorskim zapale – jak nasz pan miłościwy na sejmie piotrkowskim ubezpieczył wspaniałomyślnie rycerstwu jego przyrodzone swobody i prawa, a stanom podłego pochodzenia i rodu te, w których odtąd żyć mają, zakreślił granice, takie perturbacje i gwałty od mieszczan już dziać się nie mogą, za co naszemu najmiłościwшему królowi i panu serdeczna wdzięczność się od nas należy – a kto tę wdzięczność czuje wraz ze mną, niechaj też za mną wykrzyknie: Niech żyje król!

Stugłośny okrzyk: „Niech żyje król!” rozległ się po komnacie, zbiegł między służbą przez schody ku bramie i rozbiegł się jak huk morskich bałwanów pomiędzy pospółstwem na rynku: a Kamieniecki tymczasem skończył swą mowę, przyjmując w imieniu Formozy deklaracją Gniewosza.

Szczęściem, że w tej komnacie mieszczan nie było, bo byłiby się pewnie bardzo zmartwili, widząc i słysząc na własne uszy ten grzmot pancerzy, którym się nawet przy festynach rodzinnych zapowiadała nowa epoka ich bytu, przedstawiając się w postaci rycerstwa, które mieszczanina i kmiecia przygniotło kolanem do ziemi i odtąd miało go trzymać w takim upośledzeniu przez całe trzy wieki. Wszelako był jeden mieszczanin, który to słyszał.

Kundrat, sprawujący jeszcze wciąż urząd pierwszego włodarza w domu Formozy, wśliznął się do tej komnaty, a mając niekłamany respekt przed kowanymi butami i ostrogami rycerzy, skrył się cały za wielką kotarą u okna i stamtąd przysłuchiwał się ciekawie perorom. Nie bardzo wygodnie mu było w tym schowku, a nawet i niebezpiecznie, bo nuż dojrzy go który z tych żelaznych olbrzymów i da ręką po czubie, od takiego dotknięcia można by i duszę wyzionąć, bo tam każda ręka w rękawicy żelaznej: ale jako nieubłagany wróg wszelakiego rycerstwa, nie mógł sobie odmówić przypatrywania się z bliska tym straszliwym potworom, a jako notariusz i sam orator, chciał też słyszeć tę elokwencją rycerską, o której tak wiele gadało, a której on jeszcze nigdy nie słyszał.

Jakoż dopóki mówił wojewoda ruski, Kundrat słuchał spokojnie i z pewnym uznaniem, szepcząc do siebie: Mówi dość ochędoźnie; kto by nie wiedział, że to jest żołnierzysko jak inni, mógłby rozumieć, że jaki doktor *utriusque juris*<sup>94</sup> albo *sanctae theologiae*<sup>95</sup>. – Ale kiedy Kamieniecki zaczął huczeć na mieszczan, Kundrat, niezmiernie takowym zuchwalstwem zdziwiony, wyścibił łeb zza kotary i słuchał tak, że mu uszy się przedłużyły. A kiedy się rozległ okrzyk: Niech żyje król! – takie zdjęło go oburzenie, że już nie mógł wytrzymać i chrząknął dwa razy: Hem, hem! – z ironią i gniewem, po czym prędko się spostrzegł i schował się znów za kotarę.

Jednak na jego nieszczęście młody Górka, co jako najmłodszy ze wszystkich stał z tyłu i właśnie blisko kotary, usłyszał to chrząkanie, a jako to nigdy się nie mógł obejść bez figłów, dobył mieczyka i zaczął nim dźgać w tę kotarę. Kundrat, widząc przez brzegi kotary, a nawet i czując na własnym brzuchu, jako ten panicz, widocznie jakiś półgłówek, a także cały zakuty w żelazo, dźga gołym mieczem ku niemu, gotów oko wyłupić albo i kiszki wypruć z człowie-

<sup>94</sup> *utriusque juris* (łac.) – obojga praw

<sup>95</sup> *sanctae theologiae* (łac.) – świętej teologii

ka, tak okrutnie się przeląkł, że mu aż w gardle zaschło, a oczy jak dwie cebule na wierzch wylazły. Co robić w takim terminie? Zasunął się w ką. Górka dźga w ką, przycupnął do ziemi, Górka dźga od dołu, zebrał się więc na odwagę ze strachu, odchylił z drugiej strony kotarę, wyskoczył spoza niej jak zając, zgiąwszy się we dwoje, uderzył w boczne drzwi, które do mniejszych prowadziły pokoiów, i zniknął tam w korytarzach.

Górka, widząc go dającego tak dzielnie drapaka, wziął się za boki i śmiał się tak, że się trząsał cały od śmiechu. Śmiech jego przygłuszały okrzyki: Niech żyje król! – ale go przecie spostrzegł Paniowski i rzekł do niego:

– Czego u diabła się śmiejesz?

A on na to, chowając mieczyk do pochwy:

– Jakaś dusa mieszczańska się skryła tu za kotarę, alem ją wydzgał miecykiem.

Więc i inni śmiali się z Górką, bo go też wszyscy bardzo kochali.

Kiedy Kamieniecki skończył swoje pancerną przemowę, sam Gniewosz przemówił do Formozy po polsku, dziękując jej w wyrazach bardzo foremnych i pięknych, że przyjęła jego ofiarę, i przyrzekając jej, jako wedle obyczajów rycerskich będzie jej służył w czci i miłości do grobu.

Po jego mowie już wszyscy myśleli, że na tym koniec: ale natenczas Formoza sama zabrała głos i ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich obecnych przemówiła po łacinie. Wyborowymi słowami i w formach utoczonych na wzór najprzedniejszych oratorów starego Rzymu podziękowała najprzód wojewodzie ruskiemu za przyprowadzenie jej takiego miłego gościa, którego z takim upragnieniem czekała, potem dziękowała Kamienieckiemu, że jej ojca i matkę zastąpił, a wreszcie, obróciwszy do Gniewosza, oddała mu cześć za stałość i wierność i deklarowała, że jakkolwiek zna wszystkie splendory, w jakich rycerze chowają swe żony, ona żadnych świetności ni blasków nie pragnie, a serce jej będzie w zupełności zadowolone, jeżeli będzie mogła przez całe życie pozostać wierną sługą swojego męża i pana.

Mówiła krótko, ale takim wybornym językiem, a głosem tak dźwięcznym i pełnym niemal królewskiej powagi, że zapalał dla siebie obudziła u wszystkich: najpierwsi senatorowie ją otoczyli i ręce jej całowali, młodzież podniosła okrzyk zapala i wtenczas, gdyby była na to zezwoliła, byłiby ją sami wojewodowie na rękach zanieśli do kościoła.

Natenczas Gniewosz urósł prawie jeszcze o głowę i cały się tak rozpromienił, że wyglądał jak kolumna słonecznego światła, w której środku rysuje się postać rycerza.

Wtedy i Kundrat znów swoje okrągłą głowę wyścibiał z przyległego pokoju, nie tyle, aby się tryumfem swojej pani nacieszyć, ile żeby tego młodego wartogłowa dobrze obejrzeć, co go dźgał mieczem i przy danej sposobności, zemścić się na nim.

Nie wiadomo czy dostrzegł go w tłumie, bo wtedy już Gniewosz podał rękę Formozie i prowadził ją przez wszystkie komnaty i schody przed jej dom, ażeby z nią jechać do ślubu.

A na rynku, przed domem, stała szklana i cała pozłocista kareta, którą król przysłał dla niej, ażeby w niej do katedry jechała. Kareta ta stała w wozowniach Niskiego Zamku blisko od wieku, bo mieszczaństwo kazali ją z wielkim kosztem sporządzić dla królowej Jadwigi, a odtąd raczej ją na pamiątkę niżeli dla użytku chowano. Była to prawdziwa arka Noego, zawieszona na pasach bardzo wyniosłych, ale nadzwyczaj paradna, bo wszystko żelazo i drzewo na niej było wyłacane, na czterech rogach jej dachu wznosiły się cztery królewskie korony, a wewnątrz była białą jedwabną kamczą wybita ze złoconymi brzegami. Zaprzężono do niej cztery konie ogromne ze stajni królewskiej, które były nakryte białymi kropierzami z królewskimi herbami w rozmaitych kolorach i złocie, rzędy na nich złocone z andegaweńskimi liłiami z czasów Władysława Opolczyka, a na ich głowach pióra strusie we wszystkich kolorach. Przy koniach szło czterech królewskich pajuków w barwie czerwonej i białej, na wysokim koźle siedział woźnica w kapeluszu z piórami, a za kareta stało znowu dwóch takich samych pajuków. Do karety wsiadła Formoza z Kamienieckim i dwiema družkami, a za nią jechała na koniach jej szlachta ruska w błyszczących pancerzach i hełmach.

Za jej orszakiem jechał Gniewosz konno tym samym ładem, jakim przyjechał z Niskiego Zamku.

Przyjechawszy wolnym krokiem przez niezliczone tłumy pospólstwa przed główne drzwi katedry, Gniewosz podał rękę Formozie i prowadził ją do kościoła.

W kościele jeszcze nikogo z gości nie było, bo zamkowi żołnierze obsadzili bramę i żywej duszy wewnątrz nie wpuścili. Wszelako pod baldachimem, stojącym po prawej stronie ołtarza, na tronie złożonym siedział król świętecznie ubrany, aksamitnym płaszczem odziany a otoczony całym swym dworem. U ołtarza stał arcybiskup *in pontificalibus*<sup>96</sup>, a służyli mu wszyscy kanonicy i altarzyści. Zaś po lewej stronie ołtarza w ławach siedzieli biskup ormiański i władyka ruski i kilku poważnych popów ich obrządków, z długimi brodami i złotymi łańcuchami na szyjach.

Kiedy Gniewosz wszedł do kościoła z Formozą, zaraz za nimi cały kościół nappełnił się rycerstwem i niektórymi damami, oni zaś oboje najprzód przystąpili przed króla, ukłękli przed nim, a król powstawszy, dał im swoje błogosławieństwo w zastępstwie ich rodziców, których oboje nie mieli.

Zaczem, podniósłszy się z kolan, przystąpili przed ołtarz, a ks. Boryszewski dał im ślub z wielką przystojnością i arcybiskupią powagą – a po ślubie ze stopni ołtarza miał do nich bardzo piękną przemowę na temat: *Crescite et multiplicamini*<sup>97</sup>

Po tej przemowie król wstał pierwszy ze swego tronu i wyszedł z kościoła, zaś przed kościołem, wsiadł na koń i otoczony swym dworem jechał bardzo powolnym krokiem przez rynek ku Niskiemu Zamkowi, gdzie dla państwa młodych i weselników był ranny obiad przygotowany.

Potem Gniewosz wsiadł z panną młodą do owej pozłocistej karety i jechał również powolnym krokiem za królem.

Zaczem rycerstwo zaczęło wsiadać na koń, ażeby jechać za Gniewoszwą kareta, ale się musieli zatrzymać, bo wtedy od placu Św. Ducha zaczęły zajeżdzać na wozach, na koniach i na innych przyswojonych zwierzętach, rozmaite maskary, które przyjaciele Gniewosza i mieszczanie przygotowali, ażeby ile możności przyozdobić i uświetnić to wesele, raz dla uczczenia rycerskich zasług Gniewosza, a potem dla przypodobania się królowi, który się kochał w wszelakich tego rodzaju pustotach.

Najprzód tedy na małym wozie, obwieszonym ze wszech stron makatami a przez cztery niedźwiedzie ciągnionym, jechał Hymen: bardzo piękny młodzieniec, w białe obcisłe szaty ubrany, ze skrzydłami u ramion, z wieńcem na głowie, z weselną pochodnią w jednej, a zaśloną w drugiej ręce. Hymen przedstawiał śluby dozgonne, a niedźwiedzie mu przydano jako godło herbu Gniewosza.

Potem wyjechał wóz wielki, cały złożony a uprzężony w cztery białe konie, jego koła były w kształcie sfer, a wasąg był nappełniony obłokami, bardzo misternie zrobionymi z bawełny: w tych zaś obłokach siedział po prawej stronie Jupiter, z białą brodą i w złotej koronie, a koło niego Minerwa, w pozłocistym hełmie na głowie, Jupiter trzymał wielką tarczę przed sobą z herbem Rawicz, a Minerwa drugą taką tarczę z herbem Mora: przed nimi zaś siedział ukryty w obłokach jakiś bożek pośledniejszy, zapewne pacholik Jowisza i puszczał na wszystkie strony okrutnie ogniste łyskania.

Dalej jechał, również na wielkim złocistym wozie, uprzężonym w cztery woły węgierskie ze złożonymi rogami, Saturnus z długą kłaczystą brodą i kosą w ręku – a przed nim widać było na wozie dwanaście maleńkich chłopiąt, które miał niby pozjadać, ale które tymczasem, śpiewając i skacząc około niego, okrutny hałas czyniły. Saturnus, jadący wołami, miał wyrażać życzenie, ażeby państwu młodym powoli czas schodził.

---

<sup>96</sup> *in pontificalibus* (łac.) – w szatach ceremonialnych

<sup>97</sup> *Crescite et multiplicamini* (łac.) –wzrastajcie i rozmnażajcie się

Za Saturnem jechał na wielkim koniu rycerskim Mars, bożek wojny, w ciężkiej zbroi spiżowej i w hełmie bez piór, z długą dzidą w prawej ręce i z tarczą na lewym ramieniu – a koło niego szło pieszo po trzech łuczników z każdej strony, którzy jeden za drugim strzelali z muszkietów, czym naczynili takiego dymu, że i twarzy Marsa nie można było rozpoznać i jeszcze te dymy zasłaniały Dianę.

Albowiem za Marsem, na płaskim wozie, nakrytym sukniem zielonym a uprzężonym w cztery przyswojone jelenie, pomiędzy krzewinami, które poustawiano na wozie, jechała Diana, bardzo wyniosła i piękna kobieta, prawie jak Formoza, z półksiężycem na czole, oparta lewą ręką na luku, a trzymająca w prawej dwa wielkie harty na smyczy. Mialli Mars przedstawiać Gniewosza, a Diana Formozę, o tym różnie opinowano; to wszakże było wiadomo, że owych pięknych jeleni dostarczył Auctus Paniowski, starosta stryjski, który umiał nad wszelki podziw oswajać dzikie zwierzęta.

A za Dianą już szły rozmaite żartobliwe maskary.

Więc najprzód na sześciu wielbłądach, które szlachta okoliczna pozabierała Tatarom, jechało sześciu dorodnych parobków, poprzebieranych za chanów tatarskich, za baszów tureckich i maharadzów Ziemi Ognistej, w baranich szłykach<sup>98</sup>, kwiecistych turbanach i pierzastych koronach, z łukami i kołczanami na plecach albo też z pozłocistymi dzidami. Za nimi biegły nieprzeliczone tłumy ulicznej gawiedzi – a że na Tatarów i Turków, co dopiero przeszłego roku ruskie ziemie tak nielitościwie złupili, wielka złość była we Lwowie, więc też i na tych niewinnych parobków okrutnie huczano, miotano piaskiem, a nawet i kamyczkami za nimi, że aż miejscy halabardnicy musieli znów grzmocić publikę drzewcami, a niektórych nawet wziąć za łeb i zaprowadzić do kordegardy, gdzie im miotełką ich patriotyczną fantazją ochłodzono.

Dalej jechały na osłach, na mułach i jakichkolwiek konikach rozmaite inne maskary, jaka była czyja fantazja, aż wreszcie i samego Bachusa nie brakło. Ten wszakże, mąż haniebnie otyły, z ogromnym brzuchem i obwisłymi policzkami jak półcie słoniny, z nagimi ramionami i z wieńcem na głowie, szedł pieszo, a raczej zataczał się, pijanicę udając, ale go rozmaite satyry i nimfy popod boki trzymały. A koło niego i za nim ciągnęli w niepowściągliwych płasach, z muzyką i również niepowściągliwymi pieśniami, rozmaici skoczki i błazny, posuwając się także z tym korowodem ku Niskiemu Zamkowi, chociaż ich tam pewnie nie zaproszono.

Wszelako najweselsza maskara zjawiała się dopiero na końcu. Przeszłej zimy. Buczacki, wuj młodego Górki, zdobył był słonia na Turkach, którego jako niebywałą trofeę chował na swoim zamku w Buczaczu: krotocwilny Górka sobie tego słonia u wuja wyprosił i przyprowadził na wesele Gniewosza. Tu kazał bardzo misterną wieżę w kształcie przezroczystej kapliczki zbudować, którą przymocował na grzbiecie słonia, zaś do tej wieży wsadził jakąś tłustą szynkarę, którą, jak powiadano, własnoręcznie umalował na czarno i ubrał jako królowę murzyńską. Do tego nałowił sobie dwunastu miejskich chłopaków, których także poczercił i poubierał z murzyńska – i z takim biblijnym orszakiem, dotychczas jeszcze nigdy nie widzianym we Lwowie, wjechał na rynek, sprawując nim niesłychane *gaudium*<sup>99</sup> publice. Przed słoniem szedł wielki Murzyn, wyczerniony od stóp do głów i ledwie nie nagi zupełnie, bo tylko jakiś strzępiasty fartuszek wisiał mu koło pasa: Murzyn, wiejąc palmową gałęzią na wszystkie strony, wołał ogromnym głosem: – Mości panowie! ustąpcie się! królowa Saba jedzie na pana Gniewoszowe wesele! – Królowa wyszczerzyła zęby i kłaniała się publiczności, Murzynkowie tańcowali i hałasowali około słonia, publika zbiegała się ku nim, krzycząc wniebogłosy z radości – a mały Górka jechał z tyłu za słoniem i cieszył się, że aż się trzymał za boki. Ale mu jeszcze nie było dość na tym, bo koło niego szło jeszcze kilku drugich Murzynów, którzy nieśli pod pachą skopce napełnione sadzą rozpuszczoną w oliwie, a kwacze<sup>100</sup> w rękę. Nuż

<sup>98</sup> szłyk – czapka okrągła, obramowana futrem; kotpak

<sup>99</sup> *gaudium* (łac.) – radość, uciecha

<sup>100</sup> kwacz (niem.) – pędzel mularski



kto zanadto ciekawy się do nich przybliżył, więc go kwaczem po gębie i w oka mgnieniu go poczernili z murzyńska: tak między publiką napłodzili Murzynów bez liku, z czego znów drugie *gaudium* dla łaknącej takich dosadnych figlów publiki, a niewysłowiona uciecha dla zbytującego młodzika.

Wszakże za królową Sabą już ruszyło rycerstwo, które dotychczas przypatrywało się temu korowodowi z daleka, i całe to weselisko się zważyło na zamek.

Król przyjął Gniewoszków z wesołą twarzą i z wielkim respektem, bo ich do obiadu przy osobnym stole posadził, przy którym zasiadł tylko on sam, państwo młodzi, obydwie družki i dwaj družbowie, wojewoda ruski i Kamieniecki. Rycerstwo, pomiędzy którym znajdowały się niektóre damy, a tylko trzech mieszczan, wójt, *proconsul regius* i *proconsul communitatis*, jadło przy innych stołach, które pozostawiano po innych komnatach.

Natomiast wszakże przed zamkiem ponastawiano pod gołym niebem wiele stołów z mięsiwem i chlebem i powytaczano beczki z piwem, miodem i winem, gdzie też pospólstwo niebawem tak się rozweseliło, że Bachus, spiwszy się pierwszy *ex officio*<sup>101</sup> jak cztery dziewczki, poszedł w taniec z królową Sabą, za nimi Jupiter z Minerwą, a Mars z Dianą, nuż potem satyrowie, nimfy, Murzyni, Tatarzy, Turcy i Indianie i taki okrutny uczynili hałas, zgiełk i publikę, takie przewracanie się i drugie nieprzystojności, że nawet obydwie charty Diany uciekły od tej piekielnej wrzawy – a stanąwszy na boku przy mądrym słoniu i obyczajnych jeleniach, dziwiły się ludziom, że znajdują upodobanie w takiej rozpustnej swawoli, do której nigdy by się nie poniżyły zwierzęta.

Tymczasem król po obiedzie, przy którym także wypito puchar jeden i drugi, ale tylko pod miarę, ofiarował dary Formozie: obraz Przenajśw. Trójcy malowany na złocie, a w drogie kamienie oprawny, i zegar złocisty, bardzo misterny, w którym brzmiało granie, trąbienie i tarabany się na czas odzywały. Zaczem i drudzy także wystąpili z darami: wojewoda ruski dał złotego pawia z rozpostartym ogonem, barwistymi kamieniami sadzonym, Kamieniecki czarę złotą podłużną, spoczywającą na skrzydłach dwóch gryfów, a wewnątrz rubinami sadzoną, inne rozmaite kosztowne noszenia – a mieszczanie ofiarowali jej dwie sztuki złotogłowu na szaty i sorok soboli. Nuż dopiero po wszystkich pan młody wystąpił ze swymi darami, które jego słudzy tymczasem porozkładali na stole – a były tam takie bogactwa w kolcach, manelach, rozmaitych drogich noszeniach, a wreszcie w perłach i kosztownych kamieniach, które całymi garściami leżały w złocistych czarach, że nawet sam król im się przypatrywał ze zdziwieniem. Ale nie było czemu się dziwić, boć to tam były wszystkie klejnoty, które w dwóch tak możliwych rodzinach, jak Gniewoszowie i Ma-gierowie, od kilku wieków się nabywały. Więc wszyscy na Gniewosza spoglądali, jedni z ukontentowaniem, a ten i ów może z zazdrością – Gniewosz zaś węża pokręcił i rzekł:

– A srebra domowe, co ich mam na piętnaście kamieni, czekają na pannę młodą w Czorsztynie.

Zaczem już nie czekając, jechano na ratusz, gdzie po obydwóch stronach głównej bramy przygotowano dla króla i jego gości wyniosłe siedzenia, bo po południu na rynku, który prawie na grubość stopy wysypano białym piaskiem z góry zamkowej, miały się odbyć turnieje – a po turniejach festyn z tańcami w ratuszu, który mieszczanie urządzili dla króla i państwa młodych.

Jak tylko król ze swymi gośćmi zasiadł na owych wysokich ławach pod ratuszem, które sukнем i makatami okryto, a gdzie dla niego wzniesiono bardzo paradny baldachim z aksamitów i złota, zaraz obydwie ulice, Halicką i Krakowską, prowadzące ku zachodniej połaci rynku, zamknięto szrankami i postawiono szranki po obydwóch bokach ratusza, ażeby publika, jako to zwykle niewstrzemięzliwa w swej ciekawości, nie przewaliła się na plac turnieju,

---

<sup>101</sup> *ex officio* (łac.) – z urzędowego obowiązku

Natomiast nie było jej wzbronno zappełnić okna i bardzo gęste krużganki kamienic, otaczających rynek, a nawet i wylązić na dachy, z czego też korzystał kto mógł i cały;

rynek ze swymi dachami, oknami i krużgankami w owe};

chwili tak właśnie wyglądał, jak gdyby chmura szarańczy spadła na miasto.

Trwało to bardzo długo, może z dziesięć pacierzy, albo i całą mszę cichą, nim pierwszy herold wjechał w szranki i otrąbiwszy się, wielkim głosem oznajmił, że pan Koniecpolski, staroście przemyski, i pan Auctus z Paniowa, starosta stryjski, skruszą kopie ze sobą. Zaczem znowu dopiero pa chwili wjechali obydwaj rycerze w szranki, jeden z ulicy Krakowskiej, a drugi z Halickiej, i w całym pędzie swych

koni uderzyli na siebie. Ale za pierwszym uderzeniem obydwaj się chybili, tylko konie z wielkim chrzęstem się otarły o siebie, z czego głośny śmiech poszedł po dachach. Obrażeni tym śmiechem rycerze odskoczyli od siebie, zajęli miejsca przy szrankach przeciwnych i znów uderzyli – a teraz Pa-niowski skruszył swoje kopią o pierś swego przeciwnika, Koniecpolski spadł z konia w tył, ale się zebrał w oka mgnieniu i wskoczył w całej zbroi równymi nogami na konia, za co, chociaż zwyciężonemu, publiczność zapłaciła ogromnym aplauzem.

Do drugiego turnieju wyjechali przeciwko sobie młody Buczacki i równie młody Kościelecki Ogończyk, wojewodzie inowrocławski, do trzeciego Henryk Fredro z Jakubem Mortęskim, do czwartego Jan Raba z Waplewa, kasztelanie elbląski, z Danaborskim, kasztelanem bydgoskim, a ci obydwaj, tłumiąc się z sobą bardzo długo, najprzód konno, a potem pieszo, już piasek tak zryli na rynku, że bruk zaczął się pokazywać, zaczem król zakazał dalszym jeźdźcom wyjeżdżać.

Wszelako piasek na nowo ubito, a potem niektórzy młodszy rycerze i szlachetni pacholikowie potykali się pieszo ze sobą, aż wreszcie publika przecie szranki przełamała i przewaliła się na plac turnieju, na którym też ci i owi parobcy, naśladując swych panów, zaczęli także się tłumić. Niebawem też Bachus, zaprosiwszy się do królowej Saby na słoniu, wjechał na rynek, a za nim wtoczyła się wszystka owa publika spod zamku, z Jowiszem i Marssem, z Minerwą i Dianą, z Turkami i Murzynami, wszyscy spici do niepamięci, odarci i poczernieni, z muzyką i tłustymi pieśniami, a w płasach już wcale gorzej niżeli zwierzęcych – zaczem król zaraz wstał i wszedł do ratusza, wiodąc wszystkich gości za sobą.

Już też się wtedy zmierzchać zaczęło.

Wszystkie sale ratusza były bogato przybrane i oświecone rzęsiste woskowymi świecami – a w ostatnich były stoły nakryte do wieczerzy.

Król jadł i pił bez mała nie lepiej niż drugi człowiek śmiertelny, muzykanci, pochowani po kątach, grali *alterraatwe*<sup>102</sup> rozmaite melodie hiszpańskie i włoskie, błaznowie, śpiewacy i rymotwórcy obiegali stoły i przepowiadali królowi, państwu młodemu, starostom i drużkom wesole rymy, a na czas takie tłuste, że nawet sam król natenczas spuszczał oczy i w talerz spoglądał. Aż wreszcie wszystkim już było dosyć tej krotchwili: król wstał, podał rękę Formozie i poszedł z nią w taniec w drugiej komnacie, gdzie z obszernego krużganku odezwała się kapela z pięćdziesięciu grajków złożona pod przewodnictwem uczonych rybałtów.

A nim król poszedł w taniec, stanęło o jakie dziesięć kroków przed nim dwóch rajców miejskich do tańca. Ci byli w długie czerwone szaty ubrani, jeno rękawy mieli z białego atłasu, złociste łańcuchy na szyi i czarne aksamitne birety na głowie, wzięli się za ręce i szli na przód, tańcząc wokoło sali. Za nimi dopiero tańczył król z panną młodą, potem szedł Gniewosz z księżniczką Puciatyczówną, potem drudzy z rozmaitymi matrony i panienkami, a na końcu, kiedy już kobiet nie stało, bo też i niewiele ich było na tym weselu, brało się po dwóch mężczyzn za ręce i łączyli się z tym korowodem. Przetančovawszy jakie kilkanaście kroków, owi dwaj mieszczanie, co szli na przedzie, stawali, a objąwszy się w ramiona, całowali się wzajem po obydwóch stronach twarzy, co też i inne pary za nimi powtarzały. Drudzy

---

<sup>102</sup> *alternative* (łac.) – na przemian

ludzie poważni, jak król i wojewoda ruski, tylko się przy tym nachylali po obydwóch stronach swojej damy, nie dotykając jej twarzy: ale ten i ów tanecznik serdeczny cmoknął naprawdę, czemu się niektóre panienki broniły, ale że takie było prawo, a tanecznicy przy nim się upierali, więc z tego zawsze powstawał śmiech wielki i wrzawa, aż się też sala tak przepełniła ciekawymi, że się tłum zrobił i korowód taneczników zaczął się tu i owdzie przerywać.

A kiedy już było tak tłumno, że prawie i szpilka nie byłaby doleciała do ziemi, Gniewosz i Formoza zniknęli, a z nimi wysunęli się także wojewoda ruski i Kamieniecki.

Wszystko to było najprzód tak nastrojone, bo tak wymagał obyczaj: toż kiedy państwo młodzi ze swymi starostami zeszli ze schodów przed bramę ratusza, już tam w dwa szeregi ustawieni czekali na nich słudzy z zapalonymi pochodniami i prowadzili ich pieszo do domu Formozy. Przyszedszy przed kamienicę, Formoza z Kamienieckim poszła najprzód do górnych komnat, gdzie grono matron na nią czekało; zaczęła kiedy Gniewosz z wojewodą przyszedł do pierwszej komnaty, Kamieniecki piękną przemową oddawał mu pannę młodą, a wojewoda za niego dziękował.

A potem wszyscy odprowadzili ich do łożnicy i drzwi za nimi zamknęli.

Tymczasem w wielkiej sali ratuszowej rum uczyniono królowi – i król tańczył dalej. Był dobrej myśli, kazał na czas do siebie przepijać, brał jedne panienkę po drugiej i szedł z nią w taniec, nie pytając wcale o to, jakiego która jest rodu, byle była urodziwa a zwinna do tańca. Zaczem się i niejednej córeczce mieszczańskiej dostało, bo też i bardzo urodziwych całe między nimi nie brakło. Niektóra z nich i sama wysunęła się naprzód i mile się uśmiechnęła, nie tyle z zamiłowania swawoli, ile z niewinnej próżności, ażeby też mogła na starość powiedzieć swoim sąsiadkom: Oto król ze mną tańczył na pana Gniewoszowym weselu. Matki, rade choćby i nieba przychylić swoim piskletom, nieraz i same pomagały do tego. Ale niektórzy starzy mieszczenie srodze się tym gorszyli, zwłaszcza że ta i owa panienka, nie mogąc się docisnąć do króla, poprzestała na jakim młodym rycerzu i widać było po jej radośnie zarumienionej twarzy, że jej wcale dobrze było w jego objęciach. A trwały te tańce swawolne ze dwie godziny albo i więcej, król sam nie ustawał, jeszcze i drugich zachęcał, a nawet sam różne nowe tańce wymyślał.

Kundrat, niezmiernie takich rzeczy ciekawy, które nie co dzień mógł widzieć, stał przez cały ten czas pod ścianą, przypatrywał się tej swawoli tak chciwie, że ledwie oczy mu nie wylazły, uśmiechał się złośliwie, brał się za tłusty podbródek – a kiedy który rycerz jaką miejską panienkę zanadto serdecznie uściskał, to nie mógł ustać na miejscu ze złośliwej uciechy, śmiał się nawet głośno i oglądał się za kim, komu by mógł co o tym powiedzieć.

Tak jednej chwili stanął obok niego jakiś zacy mieszczanin, ogromny wzrostem, starzec białowłosy, skromnie, ale chędogo ubrany w długą suknię zwierzchnią z ciemnego sukna, w czarne pończochy i grube trzewiki ze srebrnymi sprzączkami, w łańcuchu na szyi, który nosili *consitles antiqui*; ale musiał bardzo być stary, bo na jego wielkiej, ogolonej twarzy, choć jeszcze czerstwej i chociaż spod jego białych krzaczystych brwi wyglądały wielkie oczy siwe, pełne bystrości i życia, malowało się co najmniej jakie lat ośmdziesiąt albo i więcej.

Mieszczanin ten, szukając sobie miejsca pod tą ścianą, spojrzął z góry na Kundrata, jak gdyby go lekceważył, i chciał się od niego odwrócić; ale kiedy Kundrat także spojrzął na niego i zrobił mu z uszanowaniem miejsce koło siebie, zatrzymał się i rzekł:

– A waść się śmiejesz, jak gdyby to było twoje własne wesele.

Natenczas Kundrat przybrał minę poważną i odpowiedział mu:

– Cóż, panie Sztecher, człowiek i ze złych rzeczy się śmieje, kiedy nie może ich zmienić. Już to rycerstwo tak w pychę urosło, że nas nie ma ani za Boże stworzenie. Borykałem ja się z nimi, ile sił mi starczyło, ale widząc, że jest sam jeden i że nie dam im rady, dałem im pokój – a teraz się śmieję z tych, co ich jeszcze proszą, aby im kolki ciosali na głowie.

– Tyś się z nimi borykał? – rzekł Sztecher – nie wiem zaprawdę o co, chyba że o jaką podwikę – a i to jeszcze kwestia, czy ta podwika była warta tych guzów, coś je za nią otrzymał. Aleś się o prawa tego stanu, do którego należysz. z nikim nie borykał, bobym był przecie o tym coś wiedział...

– Już jak tam bądź – przerwał mu Kundrat, trochę skonfundowany – wzięli nas za łeb i koniec, a teraz już tak dokazują, że człowieka śmiech zbiera z samego żalu.

A na to Sztecher:

– Za łeb nas wzięli, to prawda. Ale kto temu winien? Oto tacy ludzie, jak ty i ci, którym służyłeś i jeszcze służysz. Wasza to wina, żeście tak nisko upadli, że kto tylko nogę podnieście, ten, choćby nie chciał, musi wam na kark nastąpić. Nie mówię o dawnych czasach, kiedy to miasta używały wielkiego znaczenia, kiedy miały swe armie i floty i nikt nie śmiał nastąpić na ich swobody i prawa, bo ich walecznie broniły na lądzie i na morzu. Aleć jeszcze za mojej pamięci byliśmy czymś w tym Polskim Królestwie. Kiedy królowa Jadwiga zabrała Lwów po raz wtóry i przyłączyła do Polski, to Władysław Jagiełło prawie jak równy z równym z nami traktował. Potwierdził miastom dawne ich przywileje, jeszcze i nowych im dodał, hojnie opatrzył kościoły, szkoły, szpitale, bursy i kolegiaty, mieszczan miał sobie na równi ze szlachtą i sam obydwoma rękami pomagał, ażeby miasta się podnosiły w bogactwach, a utrzymywały w swych prawach. Tak samo było jeszcze za jego starszego syna i jakiś czas za Kazimierza – a dlaczego? Oto, bo mieszczanie strzegli pilnie praw swoich, trzymając wiernie z koroną, służyli jej za hamulec przeciwko wybijaniu rycerstwa, a swoją nauką, pracą, bogactwem i godnością swych obyczajów zasługiwali na poszanowanie. Wolno im było wtedy razem ze szlachtą zasiadać na konwokacjach<sup>103</sup> i zjazdach, radzili wspólnie o dobru tego królestwa i podpisywali traktaty z sąsiednimi mocarstwami i nikt by im nie bronił, gdyby się byli w tym pilnowali, stawać *viritim* na sejmikach i wysyłać swoich delegatów na sejmy. A jakeście wy się w tym pilnowali? Oto zamiast pozostać tym, czym byli wasi ojcowie i czym sami jesteście, i zamiast bronić praw waszych mieszczańskich, usunęliście się z tej areny, na której mogliście być samymi sobą, a natomiast ugięliście się przed przewagą rycerstwa i zaczęliście się wpraszać pod ich sztandary i znaki, wołąc być ostatnimi pod ich rozkazami niżeli pierwszymi pomiędzy sobą. Każdy stan w społeczności takiego zażywa losu, jaki sam sobie zgotował i na jaki zasłużył. Cóż się więc stało? Oto, kiedyście sami się wykluczyli z konwokacji i sejmów, teraz oni was wykluczyli od biskupstw, od koronnych i ziemskich urzędów, a nawet już od własności dóbr ziemskich. A za to, że im stopy jak psy liżecie, macie też swoje nagrody: który sobie u nich wyżebrze szlachectwo, tego w pierwszej wojnie poszła na zgubę, ażeby go poganie powiesili na palu – a któremu się zachce ze szlachcianką ożenić, to mu ją dadzą, ale taką, co już wszyscy diabli się z nią żenili i której też sam diabeł nie upilnuje. I waść byś zrobił daleko lepiej, gdybyś swojej żony pilnował, zamiast puszczać baki pod nos poczciwym ludziom, jako się ze szlachtą o prawa mieszczańskie borykasz!

Kundrat bardzo nisko opuścił nosa na takie surowe kazanie, lecz rad, że może rozmowę odwrócić do innego przedmiotu, zawołał wesoło:

– Już tam co do pilnowania żony, to Kundrat niegłupi. Mojej żonie, dopóki była wdową, zazdrośnie sąsiadki czasem jaką łatkę przypięty, ale odkąd jest moją, jest mało nie lepiej jak święta, krokiem się z domu beze mnie nie ruszy, bo też, pomiędzy nami mówiąc, i ja jej ani na chwilę z oka nie spuszczam.

Tu stary Sztecher spojrział na niego z wyraźną pogardą i rzekł:

– A toś się już chyba na te tańce rycerskie tak zagapił, żeś oślepl. Bo kiedym tu szedł po schodach – a jest już temu dobre dwie godziny – tom widział na własne oczy, jako imć pani Pachna ramię w ramię z tym francuskim rycerzem, co zabił Frąca, właśnie zbiegała ze schodów i z nim gdzieś zniknęła na rynku.

---

<sup>103</sup> konwokacja (łac.) – sejm podczas bezkrólewia, zwoływany przez prymasa dla załatwienia spraw pilnych

– Moja żona? – zawołał Kundrat, rumieniąc się jak burak – anoż dopiero co tańcowała w drugiej komnacie.

– Może jeszcze i teraz tańczy, jeno nie tutaj w ratuszu – rzekł Sztecher i odwrócił się do niego plecyma.

Kundrat skoczył pomiędzy tańczących, ażeby żony poszukać, bo przecież Sztecherowi nie wierzył. Ale w głębi swojego serca i Pachnie nie wierzył – i niezmiernie się tym zniepokoił. Wprawdzie, według jego przekonań, *adulterium* po ślubie nie było zbrodnią tak monstrualnie niezwykłą, jak przed ślubem: ale niechby się to stało komu innemu, nie jemu. Kundrat biegał jak raca po wszystkich komnatach, roztrącał ludzi, we wszystkie kąty zaglądał, niektórych nawet zapytywał o żonę – ale wszystko na próżno: Pachny niet. – Czekaście szelmy! – mówił do siebie, sapiąc jak miech – jak was złapię, obaczycie, jaką kurtę wam skroję! przecie mam prawo za sobą!

I to mówiąc, wpadł jak strzała do sieni, zabębnił nogami po schodach, jak gdyby mu kto na pierwszym schodzie dał butem kowanym w krzyż pacierzowy, przeleciał przez sień na dole i wybiegł na rynek, ale tam stanął. Na rynku było ciemno jak w garnku, a rynek miał cztery rogi: diabeł sam wie, w którą stronę za nimi uderzyć. Trudnoż miał lecieć na oślep w Lwów. Tak stał, właśnie jak gdyby mu kto oczy zawiązał – i stał, nie jak posąg zazdrości, ale jak głupi Kundrat, który znów wpadł w rycerską połapkę: kipiało w nim wewnątrz jak w kotle, gniewał się okrutnie, zaciskał pięście przeciwko całemu rycerstwu, ale pięście bezsilne, jak zawsze...

Bal na ratuszu trwał prawie do rana, bo król się bawił wybornie i dopiero kiedy świt w okna uderzył, wyszedł, odprowadzony pieszo przez całe rycerstwo, na Niski Zamek.

Nazajutrz był równie świetny festyn na Zamku, który dla państwa młodych wydał kasztelan – trzeciego dnia wielki obiad u arcybiskupa, a tańce znowu w ratuszu – i tak się te festyny miały przedłużać przez cały tydzień, jak było wówczas zwyczajem. Ale czwartego dnia nadbiegły do Lwowa, natenczas wprawdzie jeszcze dość głuche, ale tak niesłychane i tak przerażające wieści o Wilczku i zamku tustańskim, że wszystkich zmroziły: król zasmucony zakazał dalszych rozrywek i sam zaraz do Krakowa wyjechał – i Gniewoszowie także natychmiast wyjechali na Czorsztyń.

Odtąd tam zamieszkali. A tak Formoza i Gniewosz, oboje zawsze rozumni, roztropni i zaccni, chociaż musieli przejść przez tak ciężkie próby i doświadczenia, że nieraz im przyszło o swojej lepszej przyszłości rozpaczać i losy swe poruczać samemu Bogu, przecie na koniec ziścili swoje najdroższe nadzieje – i odtąd żyli długo w dostatkach, spokoju i szczęściu, w błogosławieństwie Bożym i w wielkim poszanowaniu u ludzi.

Kiedy Ofkę znaleziono leżącą prawie bez duszy przy drodze na śniegu i za przewodem Włostka zawieziono wraz z dzieckiem do Drohobyczy, poczciwy ten parobeczek zajął się jak najgorliwiej, a nawet i z poświęceniem, wyszukaniem dla niej jakiegokolwiek przytułku. Kochał on ją bowiem miłością ślepą i bez pamięci, kiedy rozumiał, że jest grzeczną dziewczyną jak inne; lecz obaczywszy ją w takim nieszczęściu, w jakim ledwie nie wszyscy ludzie odmawiają kobiecie swojej litości, dlatego jej wcale nie znienawidził. Owszem, przeklinając w duszy tych, co ją w taką poniewierkę rzucili, ją miał zawsze za niewinną ofiarę – a że była tak bardzo nieszczęśliwą, może przylgnął do niej jeszcze daleko więcej niż przedtem.

Albowiem prosty ten chłopak, taki sam dotąd jak go Bóg stworzył, a chrześcijańscy rodzice wychowali w miłości bliźniego, miał wielkie serce dla ludzi, szedł drogą prawdy i poczciwości, nie znał ani próżności, ani też zawiści, a już dla nieszczęśliwych, to gotów by był zdjąć ostatnią koszulę ze siebie. Prawdziwy Hucuł pokucki, niewielkie miał poszanowanie dla cudzej, a zwłaszcza dla pańskiej własności, czuł ciężko niewolę, a o wolności miał swoje rodzime wyobrażenia, z powymyślanymi przez ludzi uczonych prawami nie bardzo zgodne; gdyby mu jaki człek wolny z Czernohory był przemówił do serca, to gotów by był wziąć za-

raz siekierkę do ręki i pójść za nim do lasu: ale na widok biednego łąz w swoich oczach powstrzymać nie umiał i gdyby miał tylko jeden bochenek chleba w torbie, to by go oddał chrześcijaninowi i rad sam głodem przymarł za niego. A cóż dopiero dla Ofki!... tej nieszczęśliwej ofiary starościńskiej rozpusty. Ej! gdyby nie Ramułt ze swoim okiem świdrowatym, co człowiekowi patrzy na samo dno jego sumienia, gdyby nie rygor na zamku taki nielitościwy, jak na tureckich galarach, gdyby nie pop, co by nigdy nie odpuścił zabójstwa... to byłby może już dawno swoją siekierą staroście za Ofkę zapłacił. Ale jeszcze i tak! dzban nosi wodę do czasu.

Nielatwo było Włostkowi wśród nocy znaleźć przytułek dla Ofki. Albowiem najprzód musiał niejako uciec od pocztu swojego pana, ażeby przy niej pozostać. Co na to powie starosta? Może go zaraz ściąć za to, bo i o to u niego nietrudno. Ale niech go już zetnie, przecie dlatego Ofki on nie opuści. Potem, ci głupi ludzie są tak nielitościwi, zaczną pytać: Kto? skąd? jaka kobieta i jakie dziecko? Zaczem jedni z obawy przed starostą, a drudzy może nie chcąc z Biłowusem zadzierać, zamkną mu drzwi przed nosem. A wreszcie nie miał pieniędzy. Kilkanaście szerokich groszy w skórzanym pasie, to wszystko. Ale miłość podnosi odwagę, a czystej chęci poświęcenia się rozum przyświeca.

– Kto by mi Ofkę obraził – powiedział Włostek – temu łeb rozszczypię toporem, cały mój pas dla niej wypatroszę, a kiedy to nie wystarczy, to przecie każdy wie, że w Synowódzku u mego ojca są beczułki ze srebrem w piwnicy, a jam jedynakiem u niego, to mi też i nieużyty człowiek zawierzy. – Uzbrojony w taką determinacją, uprosił sobie u swych towarzyszy, że mu tymczasem pilnowali Ofki i dziecka, a sam poszedł szukać gospody.

I znalazł niebawem, boć dobrych ludzi na świecie nie braknie. Znalazł zacnego przedmieszczanina i przedmieszczankę, którzy do swego własnego dworku przyjęli Ofkę wraz z dzieckiem i obiecali pielęgnować ją u siebie jak własną córkę, lecz mu zapowiedzieli, że ją udadzą za swoje krewną i nikt nie ma wiedzieć, że to jest dziewczka starego Biłowusa z Tustania.

Zaczem Włostek, uszczęśliwiony jak każdy, co spełnił pocziwy uczynek, odjechał nazajutrz z innymi żołnierzami na zamek starosty.

Tak Ofce dosyć dobrze się działo u tych zacnych przedmieszczan i sekret się utrzymał przez całą wiosnę i lato. Włostek się czasem wymykał z zamku, bardzo rzadko, bo do Drohobyczy było daleko, ale przecie choć raz na miesiąc i Ofkę odwiedzał.

Ofka się pomału uspokoiła, a nawet i wypiękniła nad podziw. Z ledwie co dorosłej, delikatnej i wiotkiej dziewczyny zrobiła się teraz urodziwa kobieta, zawsze jeszcze młodzianka i więcej wysmukła niżeli silna, ale przecie zmężniała znacznie, krew się w niej odżywiła, na białą twarz wystąpiły żywe i zdrowe rumieńce i zgoła wyglądała tak cudnie, że mogła znowu zaproszyć serce jakiemu staroście: tylko w jej oczach żalony przebijał się smutek, a często także i ciężki smutek się odzywał w jej głosie.

Włostek, choć sam zazwyczaj nie wiedział, co mówi, kiedy obok niej siedział na przyzbie, starał się ją pocieszać, mówiąc: że co najgorsze, to się już przebyło, a Pan Bóg łaskaw, jeszcze to wszystko obróci na dobre. Oświadczeń jej żadnych nie robił, bo jakoś tak dziwnie z nim się zrobiło, że wprawdzie ją kochał do niepamięci, czuł, że ją kocha, boć wiedział, że jest najszczęśliwszym, kiedy ją widzi przed sobą, ale o tej swojej miłości wcale nie myślał jak inni: raz mu tak było, jak gdyby, siedząc koło niej, był jak w kościele, gdzie grzech śmiertelny słowo nieświęte wymówić, to znów mu się zdało, choć także nie wiedział dlaczego, że Ofka już dziś nie jest z tych kobiet, co za męża idą. On wtedy miał tylko jedno świadome uczucie, to, że nieszczęśliwe stworzenie Boże wyratował z nieszczęścia, że spełnił zacny uczynek i ten uczynek go tym większą napęłnia radością, im częściej to Boże stworzenie widuje nasycone, ubrane i spokojne.

Co Ofka o nim myślała, to tylko samemu Bogu mogło być wiadomo, bo ona sama nigdy się nad tym nie zastanawiała. Że mu była wdzięczną, to pewna, bo ile razy się zjawił, zawsze

go bardzo radośnie witała i serdecznie pragnęła, ażeby jak najdłużej zabawił – a kiedy go długo nie było, bardzo za nim tęskniła i nieraz całymi godzinami wysiadywała na przyzbie, patrząc jak najdalej sięgającymi oczyma wzdłuż drogą, która wiodła z Tustania. Ale chociaż często o nim myślała, to jednak nigdy w ten sposób, jakoby to mógł być mąż dla niej. Albowiem najprzód, sama wcale nie przypuszczała, ażeby jeszcze kiedy mogła pójść za mąż; w pokorze, pochodzącej ze świadomości swej winy, miała to niewyrozumowane, ale naturalne uczucie, że z nią nikt się ożenić nie zechce, jeżeli zaś kiedykolwiek w ogólności myślała o mężach, to mimo woli przypominał się jej piękny, wyniosły i w swoim obejściu wykwinny Wilczek, a za nim śnili jej się sami rycerze, w błyszczących pancerzach i hełmach z piórami. Ale to tylko sny były. Jeżeli zaś czego swoim żywym sercem pragnęła, to tylko pogodzenia się z ojcem, przeciwko któremu czuła się winną, a wina ta była wielkim i nieustającym ciężarem na jej sumieniu. Niechby nigdy za mąż nie poszła, niechby jej tylko ojciec przebaczył, niechby ją wziął nazad do siebie, ażeby mogła żyć przy nim i dziecko swoje wychować: to było najwyższe szczęście, o jakim marzyła. Ale to nigdy się stać nie może. Ojciec się jej zaparł na zawsze, nawet Tymko, jej brat, o niej zapomniał i nigdy o nią nie spytał. Włostek dla niej bardzo wiele zrobił, za to go też czci i szanuje jak swego anioła stróża i wdzięczną mu będzie do śmierci: ale Włostek więcej dla niej uczynić nie może. Jakim sposobem on mógłby jej ojca przebłagać? On, który jest tylko knechtem drugiego rzędu, bo chociaż syn kniazia, przecież nie jest szlachcicem. Jej ojciec nawet i dawniej wszystkich knechtów miał za nic a cóż dopiero teraz, kiedy tak wielkie pozdobywał bogactwa?... Zaczem smutna jej dola i bez żadnej nadziei – a już to będzie wielkie szczęście dla niej, jeżeli Pan Bóg jej da znaleźć taką służbę dla siebie, gdzie by jej pozwolono dziecko zachować przy sobie.

Takie rozmowy toczyły się czasem pomiędzy nią i Włostkiem, lecz bardzo rzadko, bo oboje ich unikali: ona, bo nie chciała tego dobrego człowieka swoimi smutkami napawać, on bo się czuł bezsilnym i biednym, i Bogu dziękował za to, że ze swojej lafy<sup>104</sup> i zapomogi swojego ojca mógł tyle oszczędzić, aby opłacić jej wyżywienie.

Tymczasem w lecie nielitościwy los uderzył w nich nowym nieszczęściem.

Tatarzy na Drohobycz napadli, miasto złupili i spalili do szczytu, a mieszkańców w wielkiej części wymordowali albo uprowadzili w niewolę...

Rozbójnicy ci napadli także na dworek jej gospodarzy, oboje staruszków nielitościwie zamordowali, jej dziecko porwali z łóżeczka i wzięwszy za nogi, główkę mu roztrzaskali o ścianę – a potem dom podpalili...

Ofka, zerwawszy się z łóżka na pierwsze larum<sup>105</sup> i skrywszy się za wielką skrzynię, która na kobylicach stała opodal od ściany, na wszystkie te okrucieństwa patrzała. Tatarzy, rozbiwszy skrzynię, zakryli ją wiekiem, i dlatego jej nie dostrzegli. Gdyby ją byli dojrzeli, byłiby ją wzięli jako snop zboża, bo ze strachu i zgryzoty zmysły jej zamąciły: widziała tylko osłupiałymi oczyma straszliwe postacie tych zbójców, w wywróconych baranich kozuchach i czapkach spiczastych, z ogorzałymi twarzami i wyszczerzonymi białymi zębami; widziała trupy obojga staruszków, leżące na ziemi, widziała czerwoną krew swego dziecka na białej ścianie i czuła, że jego ciało roztrzaskane gdzieś tam leży na ziemi pod tą skrwawioną ścianą... Potem Tatarzy zniknęli jak duchy nocne na pianie koguta – a ją mdłości opanowały i całkiem pamięć straciła.

Dopiero kiedy Tatarzy dom podpalili, a płomienne języki zaczęły się wdzierać przez okna rozbite do izby, lizać podłogę i pułap i chwytać drewniane sprzęty w swoje piekielne objęcia, gorąco ją obudziło. Zerwała się i uciekając z tej paszczy ognistej, rzuciła się ku tylnym drzwiczkom alkierza, przez które dostała się w ogród, a potem już ogrodami biegła bez pamięci ku lasom, które szerokimi smugami ciągnęły się od Drohobyczy ku miastu Tustaniu. Noc była ciemna, bez gwiazd i księżyca, ale jej drogę oświecał pożar miasta, które jak wielka

<sup>104</sup> lafa (tur.) – żołąd, pensja

<sup>105</sup> larum (fr.) – krzyk, wrzawa

misa, napelniona smolnym łuczywem, za jej plecyma gorzało: nad płomieniami czarne podnosiły się dymy, a ich swąd aż ku lasom dochodził, swąd przeraźliwy, bo czuć w nim było odór gorejących ciał ludzkich...

Uciekając jak najdalej od tego piekła, które sobie dzikość człowieka sama zapala na ziemi, dobiegła nocą na najwyższy grzbiet wzgórzy, ciągnących się pomiędzy Drohobyczem a Tustaniem. Sama nie wiedziała, skąd się w niej tyle sił wzięło, ażeby pieszo i boso ująć taki ogromny kęs drogi; ale to strach i zgroza i każdemu człowiekowi wrodzony popęd ratowania swojego życia, potroili jej siły.

Kiedy świtać zaczęło, obaczyła z całego Drohobycza tylko kościół stojący pośród dymiących się zgliszczów, a za Drohobyczem podnosiły się słupy dymów nad gorejącymi wioskami. Od strony Tustania cisza i spokój jak zwykle. Tylko tu i ówdzie widać było małe oddziały zbrojnych na koniach, które się snuły po wzgórzach, błyszcząc dobytymi mieczami i pancerzami do słońca. Były to hufce Wilczka, które strzegły granic jego starostwa. Jakoż istotnie Tatarzy, jak się nie pokusili o jego zamek, tak i nie tknęli żadnej z wiosek, które do jego jurysdykcji należały. Zdaje się, że Wilczek ich do tego respektu zniewolił zawczasu, bo tu i ówdzie przy kopcach granicznych, mianowicie od strony Stryja, było widać z daleka powbijane słupy, a na nich pozawieszanych Tatarów. Wilczek już na parę dni przedtem wyprawiał forpoczty w te strony i kazał chwytać języków – a jakiegokolwiek Tatara chwycono, zaraz go zawieszono na granicy starostwa. Zaczem chanowie postanowili raczej temu staroście dać pokój...

Ofka przepędziła cały dzień w lesie, ratując się jagodami od głodu i nie wiedząc, co ma począć ze sobą. Zapomniała o wszystkim, nie myślała nawet o dziecku straconym, bo musiała myśleć o sobie. Świat ten nieraz bardzo jest brzydki, a ciężar życia staje się czasem wcale nieznośnym, ale to tylko dla tych, co młodość przeżyli: młodemu życie zdaje się lekkie, a świat zawsze tak piękny, choć czasem łzami zalany. Gdyby który z tych hufców się do niej przybliżył i wziął ją w swoje opiekę... Gdyby Włostek się jakim cudem dowiedział, że ona tu jest, pewnie by zaraz do niej przyleciał... Ale trudno się tego spodziewać. Ofka jeszcze jedną noc przepędziła w lesie.

A nazajutrz znowu to samo: hufce daleko, Włostek nie może wiedzieć, że ona żyje, miasteczko Tustan widać jakby na dłoni – ale do kogo tam iść? wszyscy ją znają, wszyscy wiedzą, jaką niesławę przyniosła sobie i ojcu, każdy za drzwi ją wypchnie i jeszcze nogą potrąci... Ale co robić? Cóżkolwiek bądź, przecież wciąż w lesie mieszkać nie może, ażeby umarła z głodu, albo ażeby ją dzikie zwierzęta pożarły.

Ofka rozmyślała nad tym bardzo mozolnie. W mieście Tustaniu są dobrzy ludzie, sama ich знаła tak wielu. Dzisiaj by jej może to zapomnieli, że niegdyś jako panna Biłowusówna nosiła głowę wysoko, może by jej przebaczyli jej winę, bo przecie ludzkie w nich serca, a ona teraz tak jest nieszczęśliwą. Ale cóż? kiedy wszyscy się boją jej ojca. Nikt by jej nie wziął do siebie, wiedząc dobrze, że ojciec ją wyklął i sam z domu wypędził. Jeden człowiek, co się jej ojca nie boi, to stary Daszkiewicz. Ba, gdyby Daszkiewicz chciał ująć się za nią, to w całym mieście nikt by nie śmiał mruknąć na nią, a nawet i ojciec musiałby zamilczeć, taka tam wielka jest u niego powaga. Ale Daszkiewicz, to wielki pan, w obyczajach bardzo surowy, najmniejszej swawoli w mieście nie cierpi, a jeszcze do tego i córki ma w domu. Daszkiewicz pierwszy mnie za drzwi wyrzuci... a potem co? Wyrzuci, nie wyrzuci, mówiła sobie Ofka – i sama nie wiedziała, co myśleć. Ale jak strach dodaje siły, tak nieszczęście podwaja odwagę: Ofka rozbudziła w sobie odwagę i poszła do miasta.

Nieszczęśliwa sierota wyglądała wówczas nie lepiej, jak jakakolwiek żebraczka: bosa, na zmiętej i obrukanej koszulce miała tylko perkalową i równie obrukaną spódnicę, a na plecach starą chustkę wełnianą, pierwszą lepszą, co w ucieczce jej wpadła pod rękę. Bogate i nader piękne jej jasne włosy spadały jej w wielkim nieładzie na ramiona i plecy, zarzuciła na głowę



tę starą chustkę spłowiła, zakryła nią twarz do połowy, aby nikt jej nie poznał, i tak się wśliznęła załkami przed dom Daszkiewicza.

Właśnie słońce się miało ku zachodowi.

Daszkiewicz, jako wójt dbały o bezpieczeństwo swojego miasta, miał teraz bardzo wiele roboty. Chmura tatarska, dzięki sprężystej zapobiegliwości Wilczka, któremu mieszczanie, uzbroiwszy się także, dzielnie pomogli, wprawdzie ominęła miasto, ale jeszcze ta chmura mogła powrócić – a tymczasem wiele ludzi, równie jak Ofka, uciekło z drohobyckiego pożaru i niemal wszyscy, wychyliwszy się ze swoich leśnych kryjówek, chronili się do Tustania, wiedząc dobrze, że to miasto bogate, a jego mieszkańcy, pełni ludzkości, ba, i znani stąd szeroko po kraju, chętnie ich przez czas jakiś przeżywią. Daszkiewicz, pomimo swojej powagi i wieku, nieleniwy do pracy, sam tych nieszczęśliwych przyjmował, wypytywał się o ród i rzemiosło, aby się jaki złodziej przy nich nie przekradł, i sam ich tym i owym mieszczanom poruczał w opiekę, odsyłając co ostatnich do ratusza, gdzie ich w kordegardzie mieszczono i na koszt miasta żywiono. Właśnie cała kupa takich biedaków sprzed jego domu do ratusza odeszła, Daszkiewicz stał w progu, patrzył za nimi i ocierał chustką kroplisty pot z swojej zarumienionej łysiny, kiedy Ofka w swoich łachmanach przed nim stanęła i drżąc na całym ciele, a zakrywając twarz swymi bogatymi włosami, nisko mu się pokłoniła.

Daszkiewicz spojrział na nią i rzekł:

– Ot, jeszcze jedna sierota. Skądżeś ty? z Drohobyczy?

Ale Ofce tymczasem łzy się rzuciły do oczu i głos jej zalały, tak że tylko wyłkała:

– Z Drohobyczy...

Wszakże te łzy zacnego Daszkiewicza wzruszyły, przybliżył się do niej, zajrzał jej w twarz i zapytał:

– Któż ty jesteś, biedna dziecino? bo mi się zdaje, jakobym cię już raz widział.

A wtedy Ofka rzuciła się przed nim na kolana i powiedziała przez łzy:

– Ja jestem Ofka, córka Biłowusowa.

Na to Daszkiewicz cofnął się od niej i podniósł obydwie ręce do góry. Ale się zaraz znowu do niej przybliżył, podniósł ją własnymi rękami z kolana i rzekł głosem pełnym, ojcowskiej dobroci:

– No, toż ty musiałaś się niemało biedy nacierpieć, kiedyś aż zeszła na takie łachmany! Powiedzże mi, cóż to się z tobą działo przez te wszystkie czasy?

Ale Ofka płakała, zatulając się chustką i nie mogąc głosu wydobyć z siebie. Więc poczciwy Daszkiewicz ją miłościwie utulił, mówiąc:

– Nie płaczże już, bo ci się tu nic złego nie stanie. Wiem ja, bo i wszyscy to wiedzą, coś ty za przewodem tej zdradliwej Maruchy pobroiła z starostą. Bardzoś to niedobrze zrobiła i nie wiem, jak się tam o to rozrachujesz z Panem Bogiem. Ale mnie nic do tego. Ja człowiek, mnie ludzi nie spowiadać z ich grzechów, jeżeli innym nie szkodzą; mnie raczej koić ludzkie nieszczęścia, bo też i dość ich jest na tym świecie. Powiedzże mnie, jak ojcu, kędy żeś to bywała po te wszystkie czasy?

Więc Ofka na te ludzkie słowa odetchnęła cokolwiek i opowiedziała w krótkości, co się z nią działo aż do napadu Tatarów...

Zaczem Daszkiewicz spytał:

– A kędyż dziecko?

Ofka mu powiedziała, że je Tatarzy roztrzaskali o ścianę, i znowu się rozplakała.

Więc Daszkiewicz bardzo się nad nią litował, ale się także i gorszył, bo rzekł:

– Owóż to taka tych naszych panów robota. Zbałamucić niewinną dziewczynę, a potem porzucić, już to samo jest wielki występki, co by go ludzie karać powinni, choćby się największemu panu wydarzył. Nuż jeszcze swoją własną krew na taką poniewierkę puszczają – nie wiem też, czy kara Boska za to nie będzie...

Potem mądry Daszkiewicz zastanowił się trochę i spytał:

– A powiedzże mi, czy nie myślisz ty upominać się u starosty o krzywdę?

A Ofka na to:

– Dawnom mu zapomniała. Niech też i Pan Bóg mu nie pamięta...

– Więc tak dobrze – rzecz uspokojony Daszkiewicz – głupi ten, co z mocniejszym się bierze do wojny. Za swoje krzywdę jeszcze i po łbie dostanie, a sprawiedliwości nie znajdzie, jak to ja zawsze Kundratowi powiadam. A powiedzże mi jeszcze, cóż to tam Włostek? Jeśli tobie pomagał, zali też to było pocziwie?

– Włostek się ze mną obchodził jak ze świętą – odpowiedziała mu jasnym głosem Ofka – nawet i nie wiem, dlaczego się tak mną opiekował, jak siostrą.

– Bo to jest pocziwy parobek – rzecz Daszkiewicz – bez mała nie najlepszy ze wszystkich starościńskich żołnierzy. Więc dobrze, więc się to jakoś ugładzi, więc ja ciebie przytulę, ano nie wiem jeszcze, do kogo bym cię miał dać w gospodę, aby ci dobrze tam było.

Wszelako na to Ofka złożyła przed nim ręce, jak do pacierza i zawołała:

– Święty panie Daszkiewicz! nie masz tu w całym mieście takiej gospody, z której by mnie mój ojciec nie wydobył, choćby ją miał łucznikami oblegać. A ojciec mój taki na mnie zawzięty, że jak mnie wywlecze, to pewnie mnie zaraz zabije...

Więc Daszkiewicz patrzył na nią i myślał, a potem rzekł:

– Jużci zbutniał od tej ostatniej wojny, to prawda, że już nie ma pana nad niego. Ale domy mieszczkańskie łucznikami oblegać... to znów co innego. Kiedy by się na to poważyl, tobym go kazał wziąć jak barana i wrzucić do turmy, a kiedy by na to przyszło, to i łeb uciąć na kłocu, bom ja tu panem, nie on i nie kto inny, a starosta by mój urtel<sup>106</sup> na niego obydwoma rękami podpisał. To tam strachy na lachy te napadania z łucznikami na mieszczan. Ale mógłby hałaburdy wyprawiać... a tego nam nie potrzeba. Więc tedy... więc ja cię tymczasem u siebie przytulę, a tu pan Biłowus i do okna nie zajrzy, jeśli mu nie pozwolę, chyba że pod oknami zaszczecka.

Więc zaraz wziął Ofkę ze sobą i zaprowadził do izby.

Ofka była niezmiernie uradowana, już jakby pół nieba otworzyło się przed nią; jeno jeszcze się obawiała, jak ją przyjmie pani Daszkiewiczowa i jej dziewczki, ją, która niegdyś pierwszą była pomiędzy miejskimi pannami, a teraz ciężką winą obciążona i prawie w łachmanach.

Ale tam cały dom był taki ludzki i taki pocziwy, że chyba ich wszystkich jeno do ran było przykładać. Daszkiewiczowa spłakała się nad jej nieszczęściem jak matka nad własnym dzieckiem, a jej dziewczki wzięły ją zaraz pomiędzy siebie, zaprowadziły na pięterko do swoich izdebek, dały jej bielizny, obuwia i sukien na wybór, jeszcze i wyprzedzały się wzajem, która ma jej pierwsza usłużyć. Toż na wyścigi ją pocieszały, mówiąc:

– Nie gryźże się już twoim nieszczęściem. Mogło się to i drugiej wydarzyć: taki to straszny pan ten starosta – a potem, wszyscy to mówią, że czary rzuca na biedne dziewczęta. Chybaby kamienne miał serce, kto by cię za to przeklinał. Zostaniesz tu u nas, będziemy cię kochać i pielęgnować jak siostrę, a już cię stąd nie puścimy, aż póki się nie pogodzisz z ojcem.

Więc Ofce bardzo się lekko zrobiło na sercu – i żyła u nich spokojnie, kryjąc się przed ojcem i niewiele pokazując się ludziom. W mały czas wszyscy też w domu Daszkiewicza bardzo ją polubili, bo była cichą i pracowitą, i uprzejmą dla wszystkich: w dzień bardzo misterne hafty robiła dla swych opiekunek, a wieczorami opowiadała im dziwnie piękne bajki, których ją niegdyś nauczyła Marucha, i zgoła każdemu umiała się czymś przysłużyć. Jakoż zdawało się wszystkim, że jest wcale szczęśliwą, bo nikt nigdy jej smutku nie widział na twarzy.

Ale tak przecie nie było, bo ona ze swym smutkiem tylko się kryła. Nieraz, kiedy się mogła skryć w jakim kąciku; rzewnymi zalewała się łzami: raz, że nie miała żadnej nadziei pogodzenia się z ojcem, co, jako grzech nieodpuszczony, nieznośnie ciążyło na jej sumieniu i

---

<sup>106</sup> urtel (niem.) – wyrok

wobec ludzi było wielkim dla niej upokorzeniem, a potem, że choć kniaziówna i córka tak bogatego człowieka, musi żyć u innych ludzi na lasce. Jedyłą ulgę w tym znajdowała, że jej się zdawało, że tylko jeden Bóg wie o tym, jak ciężko pod tą zgryzotą wdychało jej chrześcijańskie sumienie i jak się na to jej miłość własna burzyła.

Ale to jej się tylko tak zdawało. Albowiem już w parę tygodni po jej przybyciu do Daszkiewiczów, Biłowus się o niej dowiedział, Bóg nie wie czego nie wygadywał i całe miasto o tym wiedziało.

Biłowus od czasu wojny na Bukowinie zmienił się prawie do niepoznania. Dumny zawsze na swój ród i znaczenie, był dawniej pokornym, a przynajmniej pokorę udawał, bo był od starosty zawistnym i czuł się bezsilnym; lecz na tej wojnie, nałupiwszy cudzych i swoich, stał się przede wszystkim bogatym – a już to samo wbiło go w taką dumę szaloną, jaka się może zrodzić tylko w głowie głupiego i półdzikiego człowieka.

Powiadano o nim, że z wojny przywiózł beczkę złota i beczkę klejnotów – i musiało być w tym coś prawdy, bo chociaż był skąpym, i dawniej, kiedy także nie był bez grosza, ledwie jakiego piorunka wypuścił z ręki, teraz niejednokrotnie rzucił hojnie pieniędzmi, a nawet i dzbany stawiał mieszczanom, aby się tylko pokazać. Sam mieszkał zawsze na dębie i tylko przyjął dwóch łuczników na służbę, aby mu pilnowali jego fortecy; ale na miejscu spalonej zagrody zaczął murować dwór wałem i fosą obronny, który zamkiem nazywał, a przy tym wyjeżdżał w sąsiedztwa i wsie targował, które były na sprzedaż.

W mieście był dość często, ale prawie tylko na to, ażeby ludzi roztrącać i poniewierać. Kiedy bowiem szedł miastem, to trzymał się pod boki jak pan, nogi podnosił tak wysoko, że mu widać było kowane podeszwy, kto mu z drogi nie uszedł, tego ściągnął nahajem – a kiedy zasiadł w winiarni, to wprawdzie wszystkich traktował, ale też naklął każdemu, mając ich wszystkich za kołtunów, łyczaków, charłaków, co i niewarci przy nim siedzieć na ławie. Najulubieńszym przedmiotem jego rozmowy był Wilczek: łotr, rabuś, rozbójnik, zwodziciel, co ukradł żonę swemu przyjacielowi i zrobił z niej swoją nałożnicę. Nikt tyle Wilczkowi nie szkodził, co nieubłagany i zaciekły na niego Biłowus, bo nawet jeździł po dworach sąsiedzkich i na zamki się wciskał, wymyślał i kłamał niestworzone rzeczy na niego i nigdy i nigdzie suchej nitki na nim nie zostawił. A kiedy go reflektowano, to się jeszcze tym bardziej wściekał ze złości, wołając spienionymi wargami: – Ja tego rozbójnika jak psa kiedyś zabiję – a potem całe jego starostwo zakupię i sam siądę na zamku!

Kiedy się o tym dowiedział, że Ofka znalazła przytułek u Daszkiewicza, zrazu się wściekał na niego ze złości, tłukł szklanki w winiarni i wołał: że Daszkiewicz mu na złość to zrobił, ażeby całe miasto widziało na własne oczy tę hańbę, którą mu córka zrobiła. Wtedy czasem sam pod jego okna podchodził i kłął na niego ostatnimi słowami, wołając z dala: – Ej, ty Daszkiewicz, psi synu! nie graj ty ze mną, bo ja ci którego dnia twoje niedźwiedzią budę rozwalę i spalę jak kupę łuczywa! Oddaj mi córkę, abym ją zabił jak sukę, za hańbę mojego imienia. Oddaj mi tego starościca bękarta, abym go roztrzaskał o węgiel ratusza, a jego trupa powłóczył po mieście!

Kiedy usłyszano głos jego na rynku, poczciwe dziewczeczki uprowadzały Ofkę pod jakimkolwiek pretekstem w tył domu albo też do ogrodu za domem, ażeby nie słyszała tych przekleństw – a Daszkiewicz uszy sobie zatykał i bardzo się smucił, ale mówił do siebie: Mógłbym ja jemu zamknąć tę wściekłą paszczkę, ale tym jeszcze większej narobię publiki.

Wszelako z czasem Biłowus się dowiedział, że dziecko zostało przez Tatarów zabite, a Ofka jest sama – a to go umitygowało cokolwiek. Już wtedy nie chodził pod dom Daszkiewicza, już nie przeklinał, ale kiedy się upił w winiarni, to czasem płakał jak dziecko, potem znowu się niecierpliwiał i włosy sobie darł z głowy i wołał: – Ej, ty starosto! przecie ja ciebie zabiję i jak psa na płocie powieszę! – Ludziom, którzy go tak rozpaczającego widywali, zdawało się, że go szatan opętał i już chyba nie umrze, póki nie zabije starosty. Drudzy wszakże go pocieszali, mówiąc: ażeby nie rozpaczał, chodzą takie nieszczęścia po ludziach, Ofka bar-

dzo kształtna dziewczyna, zdarzy się mąż i wszystko to się załagodzi. – Ba! – wołał Biłowus – gdyby ją kto wziął, dałbym mu czapkę złotych węgierskich, dałbym mu jeszcze jaką wioszczyne, bo dla Tymka zamek buduję, ale kto weźmie takiego łacha, co sobie nim gębę ucierał starosta? – A kiedy czasem w niego wmówiono, że się mąż znajdzie, to wtedy całkiem się zmieniał, opierał się plecyma o ścianę, nogi rozkładał szeroko i mówił: – Ale ja nie dam jej lada komu, bo to przecie Biłowusówna! – Tak dziwnie się w głowie tego człowieka ze sobą kłębiły nieubłagana nienawiść do Wilczka, głęboki żal i chęć zemsty nad córką, jakaś szczypta miłości ojcowskiej i wypiętrzona duma rodowa – i nigdy nie można było przewidzieć, co z niego wyskoczy.

Przez ten czas Włostek bardzo rzadko bywał u Daszkiewiczów. Przybiegł czasem wieczorem, przypatrzył się Ofce, trącił ją w łokieć z uciechy, że tak pięknie wygląda i tak dobrze jest opatrzoną, zagrał na teorbanie, zaśpiewał jedną piosnkę i drugą i zniknął, nie powiadając nigdy, kiedy znów przyjdzie.

Daszkiewicz byłby go chętnie częściej widywał w swym domu, bo go lubił, znał jego ojca jako zamożnego i rozsądnego człowieka, z którym można by się porozumieć, zaczem mu się zdawało, że może by się tu dało ułożyć małżeństwo: ale Włostek, mimo najlepszej chęci, nie mógł częściej przychodzić.

Były to bowiem czasy wojenne – służba była zawsze twarda u Wilczka, a cóż dopiero wśród wojny. Tatarzy i Wołosza jeszcze wciąż grasowali po kraju, Wilczek miał się ciągle na ostrożności: jego hufce patrolowały bezustannie po granicach starostwa, docierały często do Stryja i Żydaczowa, nawet i do Sambora, aby się znosić z hufcami tamtejszych starostw. Wilczek sam nieraz ze swymi hufcami wyjeżdżał: rzadki to zatem był dzień, gdzie żołnierz mógł się choćby na parę godzin oddalić.

Miasto Tustań stało także przez te wszystkie czasy pod bronią, lada chwila mogło być napađnięte, wszyscy byli zatem niebezpieczeństwem życia zajęci, nikt wtedy się nie żenił, nikt nawet w konkur nie chodził. A ledwie Tatarzy z Wołoszą ustąpili, niebawem Turcy zalali Ruś – a dopiero w zimie ciężkie mrozy zaczęły ich gubić. Natenczas starostowie zaczęli na nich wypadać z swych zamków, bić ich i gonić aż poza granice Rusi. Wilczek razem z innymi wypadał, a gonił dalej niż inni – a kiedy się już Turków pozbyto, przecie jeszcze nie było bezpieczeństwa przeciw Wołoszy. Tak ta bezustanna a twarda służba trwała na zamku do samej wiosny.

O wiosnie zdarzyło się to wielkie nieszczęście na zamku, że pani spadła z wieży narożnej i śmierć znalazła w przepaści: a wtedy i służba u Wilczka się tak rozwolniła, że Włostek mógł ledwie nie co dzień przybiegać do miasta.

Zaczem dopiero natenczas, mając czas z bliska przypatrzeć się Ofce i widząc, jako jest piękna jak obraz a świeża jakoby krew z mlekiem, a do tego taka stateczna, że wszystkie inne dziewczęta wyglądają przy niej jakby jej sługi, krew się w nim naprawdę rozgrzała. Jego miłość przyszła do świadomości i zamieniła się w pożądliwość – a wtedy już mu się zdało, że nie może żyć bez niej i że się musi z nią ożenić. Ale jak by to zrobić? – O ile mu się zdawało, Ofki był pewnym; ale też tyle wszystkiego. Jego ojciec dałby pozwolenie ożenienia się z Biłowusówną, bo to wielka familia, a i posagu nie braknie; ale jak się dowie, że ta Biłowusówna coś przeszkrobała ze starostą, o czym nawet może coś słyszał, to go pewnie za drzwi wyrzuci, gotów jeszcze dać admonicją nahajem. Nuż z drugiej strony stary Biłowus! jak go zna, tak ani marzyć o tym nie może, żeby dał córkę za knechta. Otóż taki to świat i taki on nędzny jest na tym świecie! Gdzie który inny nie wzięłby może tej dziewczki za górę złota, on swoim biednym rozumem nawet nie widzi sposobu, jak by ją dostać...

Ale Włostek przy biednym rozumie miał dziką energią, owe energią ruską, co wszystko gwałtem chce zdobyć, wierzy w fatalizm opiekujący się silną wolą człowieka, lecz przy tym posługuje się także chytrnością. Więc zamknął oczy na wszystkie przeszkody i powiedział sobie, że musi ją dostać, choćby miał zamordować każdego, co mu stanie na drodze. Ale tym-

czasem udał się do Daszkiewicza po radę. Daszkiewicz w swojej niewyczerpanej dobroci serca przyjął go dobrze i rzekł:

– Już tam twojego ojca, to ja biorę na siebie. Z Biłowusem będziemy mieć perepałki, ale jakoś go uchodzimy. Bądź dobrej myśli, za trzy, a za cztery tygodnie najdalej, będzie wesele.

Jakoż Daszkiewicz zaraz nazajutrz sam do Synowódzka pojechał, a za parę dni z dobrą wiadomością powrócił: ojciec Włostka dał się przekonać, jeno sobie zastrzegł, że sam do Tustania przyjedzie, bo chciałby też przedtem swoje przyszłą synowę obaczyć.

Potem Daszkiewicz wziął się do Biłowusa. U tego niesamowitego człowieka roztrącił się najprzód o jego dziką a nieświadomą swojej dzikości naturę. Biłowus zaraz na samym wstępie prawie wściekł się na niego, o mało nawet że go nie ściągnął nahajem, przeklinając go ostatnimi słowami za to, że się miesza w jego domowe sprawy, że jego hańbę, o której już zapomniano, na rynek publiczny wywłóczył, że go chce zgubić, że na jego życie nastaje. Zgoła gadał jak każdy niepowściągliwy człowiek, co sam sobie winien, a nie umie pohamować swej złości i sam nie wie, na kogo i za co się gniewa. Daszkiewicz wrócił nazajutrz i w dniu następnym do niego. Biłowus się trochę miarkował, ale o wydaniu swej córki za Włostka ani słyszeć nie chciał, mówiąc w swej zawziętości:

– Jaka jest, taka jest, ale wiedz o tym, że jej nie dam za knechta, co nie ma nawet własnej chałupy, a jest chłop z chłopów i nigdy niczym nie będzie.

– Więc cóż z nią zrobisz? – pytał Daszkiewicz.

– Oddaj mi córkę! – wołał Biłowus – a wtedy obaczysz.

– Słysz, głupi Biłowus – powiedział mu zacny Daszkiewicz – ty człek bisnowaty, ja ci córki nie wydam, ażebyś ją skrzywdził. Jam tu wójt na to, ażebym nie dopuszczał występków, kiedy je mogę przewidzieć. Więc to na próżne takie gadanie. A potem powiedz rozumnie, gdybyś ją miał w swoim domu, to cóż byś z nią zrobił? Dziewka jest na to, aby szła za mąż – a powiedzże przede mną jak na spowiedzi, gdzie ty dla twojej dziewczki znajdziesz lepszego męża jak Włostek?

Tu Daszkiewicz go trącił w kolano i dodał:

– Nie bądźże głupi, a bierz, co Bóg daje. Tak się od razu pozbędziesz tej zmyry, co ciebie dusi, a i nam wszystkim niemało cięży na sercu.

A na to Biłowus odwrócił się od niego i mruknął przez zęby:

– Jeszcze ja mam dosyć pieniędzy, abym jej kupił szlachcica na męża.

Słyszac to Daszkiewicz, zniecierpliwiał się, wstał, splunął na ziemię i wyszedł z winiarni, a przestępując próg, rzekł półgłosem do siebie:

– Już to szlachectwo pozawracało łby nawet takim chamom, jako ten niedźwiedź, co mieszka na dębie. Zamiast pocziwością a pracą na dobre imię zarobić, własne dziecko by zapredali, ażeby mogli na swoim domu jaką karmazynową łatę przylepić. Sam Pan Bóg musiałby chyba cud zrobić, jeśliby chciał pomóc takim bydłom!

I odtąd już on sam zrozpaczył, ażeby mógł tego dzikuna ze spaczonym rozumem na prostą drogę sprowadzić.

Lecz wtedy, właśnie jak promień słońca z chmurnego nieba, spadł Tymko Biłowus na Tustan – i zjawił się w takiej świetności, że wszystkich zadziwił i olśnił.

Tymko, jako potomek kniazów, miał także swoje ambicje, ale ku ich ziszczeniu szedł drogą uczciwą i prostą. Sponiewierany niegdyś przez ojca, lekceważony przez panów, do których nie mógł się zbliżyć, jak tylko się dostał do Olizara, postanowił sobie służyć mu wiernie i jego łaskę sobie zaskarbić. To mu się całkowicie udało, bo już pod jego komendą miał rangę setnika, a jako taki stanął na równi z niższymi oficerami. Kiedy Olizar zginął, on wszystkie siły wyteżył, ażeby jego sotnię, która już wtedy nazywała się pułkiem, utrzymać w kupie a zarazem i w należności do królewskiego dworu. W czasach wojennych łatwo mu się to udawało, pobierał żołd i starał się swój pułk pomnożyć, co także nie było trudno w tym czasie, gdzie było tyle żołnierzy bez chleba. Potrafił on nawet kilkakrotnie odznaczyć się odwagą i

roztropnością, zwłaszcza w ostatniej pogoni za Turkami, skąd poszło, że już był znany z nazwiska królowi, a jego dwór wojskowy miał go za swego. Natenczas Tymko zapragnął, ażeby go król w spadku po Olizarze zamianował swym pułkownikiem. Ranga pułkownika niewiele wówczas znaczyła, w armii polskiej jej wcale nie znano, utrzymywała się tylko w tradycjach ruskich, w Polsce właściwie nikt nawet nie wiedział, kędy i jakie miejsce przypada pułkownikowi – a nawet i na Rusi pułkownik znaczył tylko tyle, ile człowiek ten znaczył, który się tak tytułował. Mimo to wszakże Tymko napotkał na wielkie trudności: był wprawdzie żołnierzem walecznym i serdecznym chłopakiem, za co go też wszyscy lubili, ale ledwie umiał cokolwiek czytać, a podpisywał się krzyżem św., o jego ruskim szlacheństwie jakoś niewiele ludzie wiedzieli, a wtedy już trzeba było mieć całkiem niezwykle protekcje, ażeby, nie będąc szlachcicem, dostąpić jakiegokolwiek urzędu. Szło mu zatem jak z kamienia. Ale kiedy król teraz do Lwowa przyjechał, Tymko wziął Pana Boga na pomoc i sam mu do nóg się rzucił, przedstawiając swoje zasługi, przysięgając na wierność i prosząc o tę zachętę do dalszej wiernej służby koronie i panom. Więc król to wziął pod rozwagę i poradził się z panami, a zwłaszcza tymi, co mieli wielkie posiadłości na Rusi – a ci panowie, pragnąc wraz z królem, ażeby lud ruski garnął się do nich i stawał w obronie granic królestwa, przychyłili się za nim. Tak Tymko został pułkownikiem, otrzymał żołd regularny na trzysta ludzi i koni i wliczon jest w komput żołnierzy królewskich, a na teraz zostawion pod rozkazami wojewody ruskiego we Lwowie.

Dobiwszy się takiej wysokiej rangi z niczego i chcąc się przecie pokazać ojcu i tustańskim mieszczanom, haniebnie buńczuczno i huczno wjechał na rynek miasteczka. Sam był ubrany w aksamitny kaftan, krojem kozackim ze srebrnymi guzami, i miał pas, srebrem kowany, na biodrach, a na tym burkę kosmatą, czerwonym muzulbasem<sup>107</sup> podbitą, a na srebrną kłamrę zapiętą, na głowie kuczmę pilśniową, z uszyna podniesionymi do góry i z piórem, a u boku szablę kamieniami sadzoną. Koń pod nim siwo-jabłkowy z długą a cienką grzywą i przystrzyżonymi uszyna, prawie do dzianeta podobny – a za nim trębacz, sześciu kozaków na dobrych koniach i dwóch parobków z jukami. Tak stanął przed ową winiarnią, gdzie przedniejsi mieszczanie zasilali się miodem i kazał odzew królewski zatrąbić.

Na odgłos trąby wszyscy goście wybiegli, a z nimi i stary Biłowus. Ten zaraz go poznał i zawołał takim wesołym głosem, jakiego dawno już nie słyszano u niego:

– Tymko! trzy-sta ci mać!... ta ty się już na rycerza wyrąbał!

Zaczem wziął się pod boki i śmiał się – a jego twarz błyszczała jasnymi promieniami jak słońce.

Więc Tymko, posiedziawszy jakie pół pacierza na koniu, ażeby go wszyscy dobrze obejrzeli, zsiadł wreszcie z kulbaki i przystąpił do ojca, aby go w rękę pocałować; ale ojciec trącił go w ramię kułakiem i rzekł:

– Trzy-sta ci mać! Czymże ty został, rotmistrem albo też starostą? Gadajże więc, jak to było, aby też i ludzie słyszeli.

Tak szli do winiarni, a tam Tymko im opowiedział, jako jest pułkownikiem kozackim, co prawie to samo znaczy, jak by był rotmistrem królewskim.

Więc Biłowus kazał wina nastawiać w największych dzbanach, traktował wszystkich, choćby kto był najuboższy, i trącał pięścią jednego po drugim, każąc mu patrzeć na Tymka. Spił się też niebawem jak suseł – a kiedy go Tymko przez rynek prowadził do domu, wszystkie piorunki, a nawet i grosze szerokie, ile ich miał w kieszeni, pomiędzy ubogie ludzie rozrucił, śmiejąc się z nich pogardliwie, jako się o nie rozbijali pomiędzy sobą.

Nazajutrz, wytrzeźwiwszy się na swoim dębnie, kazał Tymkowi jeszcze raz opowiadać, jak się to stało, że się na takiego pana wyrąbał, potem oglądał jego konie, moderunki i ludzi, każ-

---

<sup>107</sup> muzulbas (tur.) – tkanina bawełniana, używana do podszywania opończ i namiotów

demu z nich co podarował, kazał ich gościć jak panów u siebie, a Tymka klepał wciąż po ramieniu i śmiał się, mówiąc:

– Przecie ja tobie dębczakiem dobrego rozumu napędził do głowy. Teraz ty pan – a ja już nic. Już teraz i miejskiej komendy po mnie nie weźmiesz i zagrodą pogardzisz, chociażem na niej zamek zmurował dla ciebie. Kogóż tam teraz posadzić?

I tak się też stało, jak Biłowus powiedział i jak w takich wypadkach zawyczaj się zdarza: nie ujeżdżony przez nikogo ojciec zmałał zupełnie przed synem, co się daleko wyżej od niego wydrapał, zaparł się nawet samego siebie wobec niego, sam już niczym nie dysponował i już tylko to się dziać miało, co Tymko rozkaże.

Więc Tymko, dowiedziawszy się wszystkiego, co się tymczasem z jego siostrą stało i co teraz się święci, poszedł do Daszkiewicza. Ofce wyrzutów nie robił, bo był z niego człek ludzki i litościwy, ale też z nią niewiele rozmawiał, bo sam za nią się wstydził, że tyle hańby przyniosła jego rodzinie, a ojcu tyle zmartwienia: natomiast wszakże długo, spokojnie, uczciwie i mądrze namawiał się z Daszkiewiczem.

Zaczem Daszkiewicz w kilka dni potem urządził u siebie sutą biesiadę, sprowadził na nią Włostkowego ojca ze Synowódzka, zaprosił Tymka i Biłowusa, i Włostka.

Włostek przyprowadził ze sobą kilkunastu starościńskich żołnierzy, samych setnych mołojców, którym stary Kukuć przywodził, a do których się i Kostruban przyczepił, jako to wszędzie umiał się wkręcić i był dosyć lubiony, choć mowę ludzką kaleczył z niemiecka.

Przyszedł pop, porzuciwszy natenczas dratew i szydło, przyszli także niektórzy mieszczanie z żonami i dziewczkami, bo już wszyscy wiedzieli, że się tam nie obejdzie bez tańców, gdzie też i wszystkich muzykantów spędzono.

Dom Daszkiewicza był wprawdzie drewniany, ale bardzo dostatni. Na górze były izdebki mieszkalne, opatrzone bardzo pięknymi krużgankami, a na dole dwie wielkie świetlice, z misternie rzeźbionymi ścianami, na których też dla ozdoby i dla powagi porozwieszano rozmaite tureckie dywdyki i inne makaty, na półkach zaś stały dzbany i misy farfurowe, co wszystko przyzbierało się z czasem z darów nieboszczyka Kijasa.

Jedzono i pito wielką gębą przy dwóch wielkich stołach, a muzyka przygrywała im z kąta.

Pani Daszkiewiczowa, w złotolitym czepcu i z pozłocistym łańcuchem na szyi, i jej dziewczki usługiwały gościom, przynosząc combry baranie, należycie czosnkiem wyszpikowane, i prosięta pieczone, napełnione mamałygą z rodzenkami, i stawiając je przed kawalerami, aby je ćwiartowali – a Daszkiewicz sam, z twarzą okrytą potem kroplistym, wino i miód z wielkich dzbanów nalewał, zachęcając do picia.

Łechcąca podniebienie woń mięsiv pieczonych i korzenne zapachy starego miodu i wina napełniły izbę, rozweseliły się twarze, głośnie śmiechy rozlegały się koło stołów i wszyscy się wybornie bawili: tylko Daszkiewicz i Tymko byli trochę zasumowani i niespokojnymi oczyma spoglądali ku drzwiom, bo Biłowusa jeszcze nie było. A przecie to przede wszystkim w tym celu dana była ta biesiada, aby go z córką pogodzić...

Dopiero kiedy już stoły wynosić zaczęto i jeszcze stojący wychylano puchary, Biłowus wszedł bez hałasu do izby. Przyszedł, ale był jakiś nieswój i widać było po nim, że nierad przychodzi.

Patrzył w ziemię, jak gdyby się obawiał spotkać ze wzrokiem swej córki.

Co widząc Daszkiewicz, podbiegł ku niemu, a trzymając właśnie puchar nalany w rękę, podał mu go i rzekł:

– A my już zjedli, a ty dopiero przychodzisz. Napijże się ze mną, abyś robaka zatopił.

A Biłowus wtedy się trochę ośmielił i rzekł z udanym uśmiechem na twarzy:

– Już to taka moja natura. *Ja do cerkwy, a pop błohostawiut, ja do karczmy, a do mene piut.*

Więc Daszkiewicz się śmiał i wlał w niego ten puchar.

Biłowus wypił i szedł dalej, ale trzymał się ściany, ledwie że gospodynią pozdrowił, na córkę ani nie spojrzął i zasiadł zaraz w odległym kącie, gdzie przed nim mały stół postawiono z dzbanami wina. Stary Kukuć z jednej, a pop z drugiej strony się przysiedli do niego i pili, bawiąc się z nim rozmową, jak gdyby sami byli w świetlicy.

Tymczasem muzycanci stanęli pomiędzy oknami, zaczęli grać kołomyjki – a młodzież z dziewczętami poszła w taniec.

Tańczono wesoło i skocznie, z hołubcami i z prysiadami, i śpiewano przy tym pieśni huculskie, bardzo piękne, prawie do krakowiaków podobne, choć czasem cokolwiek rubaszne.

*Mykitycha chlib sadżaje,  
A My kita dumku hraje:  
Cy ty to, Mykito?  
Nie ja to, mij tato*<sup>108</sup>.

Potem dalsze zwrotki śpiewano, a jak te prześpiewano, zaczęto inne:

*Każut meni kaszu isły,  
A ja ne hołoden,  
Każut meni babu braty,  
A ja diwki hoden.*

*Mene maty porodyla,  
Taj kazala: synu,  
Luby w noczy metodycy,  
A diwczata w dnynu*<sup>109</sup>.

Zaczem śpiewano znów zwrotki inne o wesołej wdówie:

*Wże try dni i try ncdiły  
Jak moho muża komary zżyły,  
A szcze każut lude, szczo ja ne żurusia:  
Oj, a ja żurusia, pidu utoplusia,  
Utoplusia nyni, nyni  
W czerwonym wyni.*

*Ach, horę, horę, zażuryłam sia,  
Skrypkami, dudkami, nadsadyłam sia.  
Taj szcze każut lude, szczo ja ne żurusia, \n  
Oj, a ja żurusia, pidu uduszusia,  
Uduszusia nym, nyni,  
W puchowyj peryni*<sup>110</sup>.

---

<sup>108</sup> *Mykiticha chlib sadżaje...* (ukr.) – dosł.: Mikitycha chleb wsadza do pieca, || A Mikita gra dumkę: || Czy ty to, Mikito? || Nie ja to, mój tato.

<sup>109</sup> *Każut meni kaszu isły...* (ukr.) – dosł.: Każą mi kaszę jeść, || A ja nie głodny, || Każą mi babę brać, || A ja dziewczyny godzien.

Mnie matka porodziła || I powiedziała: synu, || Kochaj w nocy młodycię (pannę młodą), || A dziewczęta w dzień.

<sup>110</sup> *Wże try dni i try ncdiły...* (ukr.) – dosł.: Już trzy dni i trzy niedziele, || Jak mego męża komary zjadły, || A jeszcze mówią ludzie, że ja się nie martwię: || Oj, a ja zamartwiam się, pójdę się utopić, || Utopię się dzisiaj, dzisiaj, || W czerwonym winie.



Włostek prosił Ofkę do tańca, ale ona nie chciała, jeszcze i ramionami wzruszywszy, odwróciła się od niego.

Włostek, czuły na każde jej spojrzenie, mocno się zasmucił. Serce niespokojnie mu biło, tak by był chciał z nią potańcować i co pięknego zaśpiewać, aby też ludzie wiedzieli, jakie są jego zamiary: ale Ofka ani rusz. Głowę spuściła ku ziemi, skubie fartuszek, a czasem spod oka spogląda na ojca, jak gdyby Włostkowi chciała dać do zrozumienia, jaki robak ją gryzie i komu się powinien o nią oświadczać: ale zapamiętały Włostek jej nie rozumiał. Owszem, jeszcze siadł przy niej i zaczął jej prawić miłosne komplementy.

Już ją trzy razy trącił w łokieć i już jej przysiągł trzy razy, że ją tak kocha, że zaraz by dla niej spalił ojcowską chałupę: ale Ofka go wcale nie słucha i wciąż patrzy w ziemię a skubie fartuszek. Nuż właśnie w tej chwili ktoś zaśpiewał przed muzyką:

*Oj, kuje zazuleczka,  
Kuje ta wahuje,  
Ta chto idę do starosty,  
Nechaj si waruje<sup>111</sup>.*

Ofce się zdawało, że to do niej ktoś przepił. Spłonęła pąsem, łązy jej w oczach stanęły ze wstydu, odrzuciła Włostka od siebie i odsunęła się prawie o cały krok od niego.

Więc tedy Włostek, który tej piosnki nie słyszał, a gniew miał siarczysty, szczerwieniał cały od złości i oburzenia, porwał pierwszą lepszą dziewczynę do tańca, stanął przed muzyką i zaśpiewał z całego gardła:

*Oj, pizow ja do diwczyny,  
Diwczyna sia duje,  
Ja szepczynu pid paszynu:  
Naj ty mat' morduje!<sup>112</sup>*

Śpiewanie to wszyscy słyszeli i rozumieli: więc na to wielki zgiełk i publika. Ci się cieszą złośliwie, ci z Włostka się śmieją, inni patrzą na Ofkę, bo jej nie mogą zrozumieć.

Tymko przyskoczył do Ofki:

– Na miłość Boga, cóżeś zrobiła? jeżeli Włostka nie chcesz, toż trzeba było to zaraz powiedzieć.

Więc Ofka przyznała się bratu, że Włostka dosyć nawidzi, ale słowa mu nie da, dopóki ojciec się gniewa: jeżeli będzie musiała, to pójdzie z przekleństwem ojca do grobu, ale nie pójdzie z nim na wesele.

Zatem Tymko wziął ją za rękę i zaprowadził do ojca – a ona mu się do nóg rzuciła.

Nieubłagany Biłowus nie ruszył się z miejsca, oparł się o ścianę i nogi rozłożył przed sobą, co wszystkich bardzo zgorszyło.

Jednak przytomny Tymko zawołał do niego przez głowy wszystkich:

– Bat'ku! niech tam Bóg karze ludzi – a rzecz ojcowska przebaczyć dziecku i pobłogosławić.

A tymczasem Daszkiewicz pchnął Włostka, ażeby ukląkł przy Ofce.

---

Ach biada, biada, zamartwiłam się, || skrzypkami, dudkami, zamęczyłam się || I jeszcze mówią ludzie, że ja się nie martwię, || Oj, a ja zamartwiam się, pójdę się udusić, || Uduszę się dzisiaj, dzisiaj, || W puchowej pierzynie.

<sup>111</sup> *Oj, kuje zazuleczka...* (ukr.) – dosł.: Oj, kuka kukułeczka, || Kuka i waha się, || Oj, kto idzie do starosty, || Niechaj się strzeże.

<sup>112</sup> *Oj, pizow ja do diwczyny...* (ukr.) – dosł.: Oj, poszedł ja do dziewczyny, || Dziewczyna się dąsa, || Ja wziąłem różę pod pachę: || Niech cię matka morduje!

A kiedy już oboje przy sobie klęczeli, Biłowus się zmięczył, wstał, pochylił się nad nimi i rzekł:

– *Tymko tak każe, najże tak bude.*

Tak więc nareszcie odbyły się te zaręczyny.

Zaczem wielki huk się zrobił w świetlicy. Jedni poszli znów w taniec, drudzy pieśni weselne śpiewają, ci piją za zdrowie bądź czyje – a ojciec Włostka przysiadł się do Biłowusa i powiada mu, że rad Włostka wraz z żoną weźmie do siebie, ażeby się przy nim handlu i gospodarstwa nauczył i po nim dziedziczył.

Ojciec Włostka był to mąż wzrostem niewielki, ale haniebnie barczysty, z ogorzałą twarzą o rysach rzymskich, z dużymi czarnymi oczyma, które na żółtawych białkach się obracały, z długimi czarnymi, mocno wymaszczonymi włosami, w których białe nici się przebijały, i z zawieszonym wąsem nad kształtnie zakrojonymi ustami; miał na sobie kożuszek barwnymi skórkami i jedwabiami wyhaftowany i pas szeroki, w posrebrzany mosiądz okuty, a rozmaitymi pieniążkami nabijany. Widać było po nim na pierwszy rzut oka bogatego Hucuła, co by zapewne i niejednego szlachcica zapłacił.

Toteż Biłowus traktował go z należytych respektami i wypytywał o obszar jego gruntów, o jego chudobę i rozległość handlu, który prowadzi. I zdało się, jakoby się zgadzał, ażeby Włostek służbę porzucił i osiadł z żoną przy ojcu.

We Włostku także się odezwała jego huculska natura: na ostatek dobrze mu było wszędzie, ale przecież w Synowódzku najlepiej. Jakoż trącił Ofkę w łokieć z radości i powiadał jej, jak to tam ładnie w tych górach – a drudzy sobie z nią żartowali, mówiąc, aby się wybierała, bo zaraz po weselu z teściem i mężem do Synowódzka pojedzie.

Ale Ofce jakoś to wcale nie było do smaku. Z kniaziównej zejść na chłopską synowę i zakopać się w dalekich Beskidach, na tę samą myśl łyzy jej w oczach stawały. Sama się odezwać nie śmiała, ale błagającymi oczyma raz po raz rzucała na Tymka, aż wreszcie zebrała się na odwagę, poszła w taniec z Włostkiem i sama przy muzyce zaśpiewała tę piosnkę:

*Jakże ja majusia wyberaty,  
Taj z wami jichaty,  
Maju batenka,  
Jak sokolenka,  
Żal mi ho pokidaty!*<sup>113</sup>

Kiedy Biłowus tę piosnkę usłyszał, ojcowskie serce się w nim ruszyło – a że zapewne i Tymko jakieś słówko do tego dorzucił, wstał, przystąpił do Ofki, objął ją w swoje ramiona i rzekł:

– Już ja ciebie od siebie nie puszcę, bo Tymko pan, pójdzie w świat, aby ludziom panować, a mnie by smutno było na stare lata samemu.

Więc te słowa znów wielkim powitaniem okrzykiem, wypito jeden puchar i drugi i Ofka poszła znów w taniec.

Ale wtedy już się rozhułała z wielkiej radości, że jej ojciec przebaczył, serdeczna pustota ją wzięła i tańcowała drobniuteńko, po pańsku.

Wszyscy się jej pańskiemu tańcowi dziwili i patrzali na nią z upodobaniem; tylko pop, chociaż się ledwie trzymał na nogach, patrzył na nią z ukosa, pokiwał głową, uśmiechnął się trochę złośliwie, a potem baranym głosem zaśpiewał:

*Oj, ne tańciuj, oś tak dribno.  
Tobi toho ne potribno!*<sup>114</sup>

<sup>113</sup> *Jakże ja majusia wyberaty...* (ukr.) – dosł.: Jakże się ja mam wybierać, || I z wami jechać, || Mam ojczulka, || Jak sokolika, || Żal mi go porzucać.

Więc na to śmiech rozgłośny i hałas się podniósł w całej świetlicy, właśnie jak gdyby już dom miał się zawalić. Wszystkim się ten mądry przyczynek podobał, bo wszyscy to czuli, że kiedy Ofka swojego czasu zaczęła po pańsku tańcować, to jej to wcale nie wyszło na dobre. Ale się śmiano z dobrym sercem dla Ofki, jakoż wszyscy się rwali, aby z nią potańcować, z czego poznała, że za przewodem jej ojca wszyscy jej przebaczyli.

Tymczasem w kącie, koło Biłowusa i ojca Włostka, naradzano się bardzo poważnie, jak by to małżeństwo postanowić. A wtedy Tymko głos zabrał i powiedział: że Włostek służby na zamku porzucać nie może, bo się to żołnierzowi nie godzi, a nawet i sam starosta pewnie by go nie puścił; ale on jemu ustępuje ojcowskiej zagrody, a Biłowus mu ustąpi wszystkich swoich urzędów – a tak wszystkim stanie się zadość, bo Ofka na ojcowiźnie osiedzie, Włostek w znaczeniu postąpi i pewną samoistość uzyska, a stary ojciec będzie mógł sobie przy dzieciach odpocząć.

Tymko tak każe, więc tak ma być, na co się też wszyscy zaraz zgodzili. Zaczem postanowiono, że wesele się zaraz jutro rozpocznie – i ułożono, co się ma dziać którego dnia i o której godzinie, ażeby w niczym nie wykroczyć przeciwko starym zwyczajom.

A kiedy wszystko już ułożono, natenczas Kostruban wystąpił z bardzo ważną uwagą, mówiąc: że weselnicy powinni pójść do starosty po błogosławieństwo, bo przecie wszyscy są jego poddani, i nie godziłoby się, gdyby nie poszli z korowajem do swego pana.

Słyszając te słowa, Biłowus się okrutnie oburzył, uderzył pięścią w stół i zawołał:

– Co mi tam starosta! Bodaj go jasne pioruny zabiły! Ja nie pójdę do niego! A jeślibym poszedł, to chyba po to, abym mu łeb toporem rozwalił!

Na to Kostruban się po diabelsku uśmiechnął, wziął Biłowusa za klapę kubraka i rzekł:

– A wy głupi, panie Biłowus!

A potem mu bardzo wymownie dowodził, że trzeba koniecznie iść do starosty, ba, nawet i groził, że starosta, kiedy by się na nich pogniwał, to mógłby im ślubu zakazać.

Tymko się chwiał w swoim zdaniu nie dlatego, żeby złość swego ojca podzielał, ale z tego powodu, że nie wiedział, jakim by głosem miał do starosty przemówić, któremu on teraz prawie jest równy, a który, w swej pańskiej dumie, może go zechce traktować jak chłopca.

Rozważny Daszkiewicz również się wahał i prawie był przeciw temu, podsuwając tę rację, że starosta jest w świeżej a ciężkiej żalobie, nawet i nie pokazuje się swoim własnym dworzanom, jest przy tym porywczy, gotów kogo obrazić: wszelako nie upierał się przy swoich obawach, a odnosił się z tym do Kukucia, a przede wszystkim do rady ojców państwa młodych.

Ale Kukuć, wierny sługa starosty, poparł Kostrubana, obstając za powagą i honorem swego pana, i dodawał do tego: że chociażby starosta weselników nie przyjął, to zawsze trzeba, aby przynajmniej wiedział, że byli u niego. Bardzo mu ten argument pochwalił Kostruban.

Tak ważyły się zdania aż do północy i dłużej, nie mogąc przeważać szali na żadną stronę.

Z którego to powodu Kostruban, nie mogąc w żaden sposób dopuścić, ażeby taki despekt zrobiono staroście, zwrócił się do popa, a przypomniawszy mu, że każda władza pochodzi od Boga, a zwłaszcza ta władza, co jest kolatorem, zaraz go ujął dla siebie. Zaczem, jeżeli pop jeszcze trochę podpije i język dobrze rozpuści, to może być, że opór Biłowusa przełamie: a wtedy uczyni się zadość wszystkim starym zwyczajom i wesele odbędzie się tak samo, jak je po wszystkie wieki odprawiali ojcowie i dziady.

---

<sup>114</sup> *Oj, ne tańciuj, oś tak dribno...* (ukr.) – dost.: Oj, nie tańcuj, ot, tak drobno, || Tobie tego nie potrzeba.

## XVIII

### OSTATNIE OFIARY

Kiedy owego fatalnego dnia, podczas gdy Wilczek, siedząc na ganku zamkowego dziedzińca, wydawał swoim ludziom rozporządzenia, co się ma dzieć po folwarkach przez cały czas jego podróży, Jagienka z dzieckiem i z niańką odeszła na wieżę, nikt nie miał najmniejszego przeczucia, ażeby się miało stać jakie nieszczęście. Wszyscy byli tak przyzwyczajeni do tego, że starościna przesiaduje często całe godziny po rozmaitych zamkowych krużgankach, iż nawet nikt nie zwracał na to uwagi. Tylko Wilczek pośpieszył się ze swymi rozporządzeniami, bo chciał jak najprędzej pójść sam za żoną i dzieckiem i spędzić z nimi jaką godzinę na świeżym powietrzu. Zaczem gdy skończył, wstał ze stołka, kazał sobie podać żelazny toporek, który brał zwykle ze sobą, kiedy się drapał po wieżach, i już miał odejść: ale wtem dała się słyszeć trąbka rycerska przed zamkiem, trąba i hasło królewskie.

Hasło królewskie Wilczka niezmiernie zdziwiło, bo starostowie sąsiedni, którzy mieli prawo tego hasła używać, kiedy przyjeżdżali do niego, nigdy nie ogłaszali się trąbą, tylko po prostu kazali zakolatać do bramy. Podejrzliwy Wilczek wpadł na myśl, że może to być jakieś podejście Wołochów, zaczem krzyknął na swoich żołnierzy:

– Nie otwierać bramy! A wleź tam który do bronnego na górę i powiedz mu, aby się dobrze tym gościom przypatrzył i przekonał dowodnie, kto są.

Kilku żołnierzy pobiegło zaraz na wierzch bramy, ale czy to nie znaleźli na niej bronnego, czy też, że go zastali zamroczonego snem wśród skwarnego upału, cokolwiek dłużej się zabawili.

Trwało to ze trzy pacierze albo i więcej. Wilczek swoim zwyczajem zaczął się już niecierpliwić, stukając toporkiem w płyty kamienne i wołając za nimi na bramę: kiedy wtem niańka, zbiegłszy jak strzała z wieży, przypadła ku niemu bez tchu, a z rozkrzyżowanymi ramionami, wołając urywanymi słowami:

– Dla Boga! ratujcie! pani spadła wraz z dzieckiem z krużganku!

Słyszając to Wilczek, przyskoczył ku niej, szarpnął ją lewą ręką za ramię i zawołał:

– Gdzie? co? gdzie pani? mów zaraz.

Niańkę zdjął strach wielkooki, już prawie całkiem oddech straciła; ale jeszcze opowiedziała, jak mogła, że pani stała przy dziuple, ale się wychyliła przez poręcz i spadła w przepaść wraz z dzieckiem.

Natenczas Wilczka przede wszystkim złość zdjęła okrutna na niańkę, podniósł w górę toporek, zawołał sinymi ustami: – Tak to pilnujesz pani! – ciął ją z wściekłym zamachem z góry i głowę jej rozszczytał na dwoje. Zakrwawiony mózg z rozlupanej czaszki wyskoczył, niańka padła nieżywa na płyty kamienne, a jej krew zaczęła strumieniem ściekać ze schodów.

Na straszną wiadomość o śmierci pani i na widok takiej okrutnej zbrodni popełnionej przez pana piekielny hałas się rozniósł pomiędzy ludźmi stojącymi w dziedzińcu i między całą załogą. Płacz, jęki, wołania i zawodzenia kobiet zamkowych zawrzały po wszystkich kątach dziedzińca, wszyscy biegali jak opętani, a nikt nie wiedział, co robić.

Wilczek, zamordowawszy niańkę, stał przez oka mgnienie jak posąg na ganku, z zsiniałą twarzą, z obłąkanymi oczyma, trzymając zakrwawiony toporek w prawicy. Wszakże po małej chwili się zbudził, toporek odrzucił i krzyknął do żołnierzy:

– Zatarasować bramę i nikogo nie wpuszczać!<sup>1</sup> Potem się chwycił obydwoma rękami za głowę i zawołał:

– Na Boga żywego, cóż się to dzieje!

W tej samej chwili się zerwał i pobiegł sam prędkimi krokami na wieżę.

Przytomny Ramułt skoczył w też pędy za nim – a chociaż Wilczek pędził bez opamiętania, biorąc drżącymi nogami po dwa i trzy strome schody za jednym krokiem, Ramułt wszystkie siły wyteżył, ażeby mu w tym szalonym biegu wyrównać.

Tak wbiegli obydwu na szczyt wieży i stanęli między poręczom krużganku a dziupłem: ale obydwu nie mieli już wcale oddechu w piersiach.

Wilczek, chociaż się ledwie trzymał na nogach, rzuciwszy okiem wewnątrz dziupła i widząc, że Jagienki tam nie ma, oparł się obydwoma rękami o skalistą poręcz krużganku i spojrział na dół: ale nic dojrzeć nie mógł, bo tam przepaść tak była głęboka, że nawet dna widać nie było. Już od połowy przepaści, zjeżonej po brzegach sterczącymi skałami i pniami, tylko czarna otchłań ziewała.

Natenczas tylko w głowie mu zaszumiało i równie czarna noc jego umysł objęła: cofnął się instynktowo i oparł się bezwiednie plecyma o ścianę wieży.

Ramułt stał tuż przy nim z nagotowaną prawą ręką przy jego boku, aby go w danym razie podtrzymać albo uchwycić w swoje ramiona.

Wilczek wyciągnął prawe ramię przed siebie, wskazał nim przez poręcz kamienną na przepaść i rzekł głosem ochrypłym bez dźwięku:

– Tam spadła!

W tym głosie odbiła się cała jego boleść niezmierna, której umysł człowieka ani objąć nie zdoła – i był to głos przerażający, jakim nigdy żywi ludzie nie mówią, a który wydobywa się chyba tylko z piersi umarłych.

Te słowa jednak, zdaje się, że go ocuciły, bo porwał się zaraz tą samą ręką za czoło i tak rozgłośnym wybuchnął płaczem, jak gdyby mu się z dusznego bólu wszystkie wnętrzości rozdarły. Zarazem łzy mu się puściły z oczu i całą twarz mu zalały. Jak długo świat stoi, nikt nigdy takiego żelaznego rycerza tak płaczącego nie widział: były to łzy w płomieniach najczarniejszej rozpaczki kipiące, a tak obfite, jak powódź wezbranego strumienia, że można było nimi zmyć grzechy całego życia.

W tych łzach Wilczek się cały rozplątał i widać było po nim, że przytomność całkiem go opuściła.

Ramułta te łzy tak głęboko wzruszyły, że sam się głośno rozplakał; ale on przytomności nie stracił: wziął Wilczka w pól i wprowadził go wewnątrz dziupła.

Wilczek był w tej chwili jakby zupełnie bezwładny. Wewnątrz dziupła stał stół kamienny na środku, a naokoło ścian stały ławy kamienne. Ramułt go posadził na ławie, Wilczek oparł się obydwoma łokciami o stół, ścisnął głowę obydwoma rękami i płakał.

Wszelako po dłuższej chwili takiego płaczu już mu łez w piersiach nie stało. Oparł się plecyma o ścianę skalistą, patrzył przez chwilę jak gdyby bezwiednymi oczyma na Ramułta, i rzekł głosem zbolałym:

– Stamtąd nikt nigdy nie wrócił?

– Panie starosto – odpowiedział mu Ramułt – daj to Boże! ale ani kosteczki z niej nie znajdziemy. Nie było jeszcze tego człowieka, co by się choć do połowy przepaści tej dostał.

Na to Wilczek zebrał swe siły, wstał, wziął Ramułta za rękę i rzekł:

– Chodź! każemy jej szukać. Moi żołnierze muszą ją znaleźć. Dam garniec złota temu, który ją znajdzie. Niech bym tylko jej ciało choć jeszcze raz przycisnął do piersi, niech bym jej

usta miodowe okrył pocałunkami... Słysz, Ramu! ja ją wskreszę do życia w moich objęciach! Chodź! żołnierze ją znajdują.

Ramu! dał mu się prowadzić. Lecz wiedząc dobrze, że przepaść ta jest bezdenną i że z żadnej strony nie masz do niej przystępu, znając przy tym Wilczka, jako jest uparty, niepowściągliwy w swych żądach, a do tego piekielnie gwałtowny, bał się tego, co się teraz stać może, i starał się go uspokoić, przedstawiając mu, że wszelkie usiłowania pozostaną bez skutku.

Ale Wilczek go wcale nie słuchał.

Tak zeszli na dół.

W dziedzińcu byli zgromadzeni wszyscy zamkowi żołnierze, stali grupami i rozmawiali półgłosem z kobietami z fraucymeru Jagienki, bądź o tym strasliwym wypadku ich pani, bądź o zabitej niańce, której zwłoki jeszcze leżały na schodach, bądź wreszcie o tym, co też teraz pocnie starosta.

Wilczek stanął na ganku i jakoś dziwnie był ożywiony w tej chwili.

Ale najprzód się srodze na żołnierzy rozgniewał, że dotąd jeszcze nie uprzątnęli zwłok niańki, i naklął im niepowściągliwymi wyrazami za to niedbalstwo. Ramu! nawołał kilku żołnierzy i kazał te zwłoki uprzątnąć.

Zaczem Wilczek stanął na najwyższym schodzie ganku i kazał żołnierzom, ażeby zaraz, w *sij czas*<sup>115</sup>, zabrali wszystkie drabiny i sznury, jakie się znajdują na zamku, i spuścili się w przepaść, a wynieśli stamtąd trupa Jagienki i dziecka. Wszyscy otrzymają nagrody; kto znajdzie ciało jego żony i dziecka, ten dostanie kieszę złotych węgierskich, a kto by służbę odmówił, tego ściąć każe natychmiast.

Ale żołnierze przyjęli ten rozkaz mruzeniem, a ci i owi odezwali się głośno, że nie masz takiego chrześcijanina w całym starostwie, który by się chciał spuścić w tę przepaść, gdzie jeszcze nigdy nie stanęła noga żywego człowieka i gdzie mieszkają złe duchy – a zwłaszcza teraz, kiedy noc właśnie zapada i kiedy każdy, kto nie chce, może słyszeć tych duchów jęczenia i wycia.

W samej istocie wtedy słońce już zaszło i zmrok zaczął zapadać.

Na to Wilczek, nie mogący znieść żadnego oporu, zwłaszcza od własnych żołnierzy, zesiniał cały, wargi mu drgać zaczęły od gniewu:

– Bunt! – krzyknął do nich trzęsącym się głosem – bunt! hej! Kukuć! Każ mi zaraz kloc postawić na środku dziedzińca! A który to pierwszy śmie oponować? Sam do mnie!

Ale tam nie jeden, tylko wszyscy się razem zburzyli. Gwar na to powstał ogromny, ci wołają w głos, że służbę przyjęli jako żołnierze przeciwko drugim żołnierzom, ale nie przeciw złym duchom, a inni już bramę odtarasowali i zaczynają się milczkiem wymykać.

Natenczas Wilczek już prawie wściekł się ze złości, podniósł toporek do góry, krzyczał jak opętany, ale już sam nie wiedział, co krzyczy, bo słowa wylatywały z drżących ust jego jak kule, bez żadnego związku ze sobą.

Śród jego krzyku kobiety się pochowały, już większa połowa żołnierzy wyszła za bramę, a im głośniejszy krzyczał, tym więcej ich wychodziło.

Widząc to Ramu!, zbliżył się do niego i zawołał: – Panie starosto! – chcąc mu zapewne wyperswadować, że żołnierzy do rzeczy niemożliwej zmuszać nie można.

Ale Wilczek już był wtedy jak opętany, bez świadomości i bez pamięci, podniósł toporek na Ramu!a i z wściekłym zamachem w sam łeb go uderzył. Przytomny Ramu! zasłonił się ręką, toporek ześliznął się po jego ramieniu – a tymczasem Wilczka poraziła jakaś moc niewidoma: zachwiał się na nogach i upadł jak długi na kamienną posadzkę.

---

<sup>115</sup> w *sij czas* (ukr.) – natychmiast

Ramułt był tak oburzony, że się odwrócił od niego i zaklął: ale Kostruban i Kukuć przyskoczyli do niego, a zawoławszy kilku żołnierzy, zanieśli go na pierwsze piętro i złożyli na łóżku.

Wilczek był bezprzytomny. Twarz jego obciągnęła się kolorem żelaznym, zęby miał zaciśnięte, około ust piana osiadła, oczy miał na wpół otwarte, ale jak gdyby ze szkła. Straszny był wtedy, wyglądał bowiem jak trup jeszcze żywy.

Żołnierze od niego uciekli. Kostruban z Kukuciem zostali i próbowali go nacierać, a gorzałkę lać w zęby. Wilczek od czasu do czasu ruszył ręką albo i głową, ale do przytomności nie wracał.

Kukuć odszedł, mówiąc:

– Pójdę balwierza poszukać, aby mu krwi upuścił; ale i tak nic mu nie będzie, bo jak złość się w nim przeżre, to sam się obaczy.

Kostruban został.

Kukuć nie wrócił, zapewne balwierza nie znalazł; ale Kostruban, niezmordowany w służbie a wierny jak pies, wytrwał przy nim do rana.

Przez całą noc był ustawiczny, lecz cichy ruch na zamku. Niektóre zamkowe kobiety pakowały swoje manatki i wynosiły się z zamku, niektórzy żołnierze także zabierali swe rzeczy i wymykali się milczkiem za bramę, teraz już nawcięż otwartą; ale to wszystko odbywało się bardzo cicho, bo wszyscy się obawiali, że jak się starosta zbudzi, to bramę zatrzasknie i wszystkich pościna.

Nazajutrz rano taki sam stan rzeczy: tylko Wilczek częściej się ruszał, czasem wydymał pierś i przez zaciśnięte zęby oddychał, a czasem oczy na chwilę otwierał, ale pewnie nic nie widział, bo nie przemówił. Te i owe kobiety, co śmielsze, a z nimi i żołnierze, co nie wiedzieli, co zrobić ze sobą, zakradali się na palcach na górę i zaglądali ostrożnie przez drzwi otwarte do sypialnej komnaty Wilczka i nie mogli się dosyć nadziwić, że starosta umrzeć nie może. Jakoż jedni powiadali: – Coś jeszcze trzyma jego duszę przy ziemi, a nie wiedzieć co, bo już go wszyscy przeklęli. – Ale drudzy mówili: – Strach trzyma duszę w ciele, bo oto Kostruban wciąż przy nim siedzi i na nią czatuje; gdyby Kostruban odszedł tylko na chwilę, to dusza zaraz by wyszła i uleciała. – Jednak jak Wilczek tylko ręką ruszył, zaraz wszyscy na łeb na szyję uciekali ze schodów.

Tak minął cały poranek: a niedaleko południa Wara się zjawił na zamku.

Wara do tego czasu wypasł już wszystkie swoje pastwiska aż do korzenia. Kiesę złota, co ją sobie wykręcił za wywołanie duszy Tigranesa, dawno już przepił. Kundrat zanadto uczciwie z nim sobie postąpił: dał mu nieoberzniete dukaty, a taki dukat całkiem okrągły bardzo prędko się toczy. W obrębie jurysdykcji lwowskiego starostwa nie mógł się już zabawiać, bo ten bisnowaty Łopatka coś sobie do niego upatrzył, uwierzył w plotkę, jakoby on miał spółkę z tymi rozpuszczonymi żołnierzami, co plądrowali przedmiejskie komory, i kazał mu zapowiedzieć, że jak go w swoje garść dostanie, to go będzie sądził gorącym sądem i zaraz każe katowi, aby go obwiesił. W mieście się także nie śmiał pokazać, bo tam znów ten przekłety Kundrat czyhał na niego i pewnie by go oddał w ręce wójta, a wójt ma także kata przy sobie. Prócz tego na całej Rusi już ani takiego szlachcica, ani takiego kmiecia nie było, co by sobie także czegoś nie upatrzył do niego: bo też dziwni to ludzie na tej Rusi Czerwonej! Kraj niby mlekiem a miodem płynący, a człowiek tam przecie może umrzeć z głodu, jeżeli nie ma sze-rokich groszy w kalecie. Co począć w tym dziwnym kraju?

Wara się mocno nad tym namyślał: aż wreszcie sobie Wilczków przypomniał. Niemale on im oddał usługi: Przecie to on pierwszy przywiózł Wilczkowi do Krakowa wiadomość, że Jagienka go kocha, chociaż ją za Gniewosza wydają. Co by było, gdyby on mu owej karteczki od Jagienki nie przywiózł? Wilczek byłby dawno o niej zapomniał i nie byłby się z nią nigdy ożenił. Zaczem Wilczek mu wdzięczność powinien. On potem pierwszy przywiózł Jagience na Czorsztyń wiadomość, że Wilczek zdrów wrócił z wojny i pędzi do niej na swoim Wro-

nym. Zaczem Jagienka mu wdzięczność powinna. A wreszcie to on sam im ślub dawał. Co by było, gdyby był nie dal im ślubu? Albo by się byli nie poženili, albo by żyli w konkubinacie. A przeto oboje mu jeszcze raz wdzięczność powinni. Już ci i oni może sobie co upatryli do niego, bo ci ludzie dzisiejsi to wszystko kurki czubate: ale już by też chyba wcale wdzięczności nie byto na świecie, gdyby jeszcze i oni go nie przytulili u siebie, choćby na jakiś czas, póki mu się znowu nie trafi jaki uczciwy zarobek.

Bardzo kuso było wtedy koło niego: jak się tu w takiej sytuacji na pańskim zamku pokazać? jak nawet dobić się aż do Tustania? – Nie miał ani mizernego półgroszka w kalecie, ba, nawet i kalety już nie miał, co mu dawniej u pasa wisiała, bo i pas diabli wzięli, i musiał się teraz przepasywać postronkiem. Jego pielgrzymską opończę, ostatnie bydlę z obory, nielitościwy Żyd mu zabrał w gospodzie, chwała Bogu jeszcze, że mu za nią rzucił jakiś krótki kaftan, wprawdzie niegdyś rycerski, ale dzisiaj tak poszarpany, że gdyby ów postronek nie utrzymywał go w pasie, toby prawie jak stary ornat wyglądał. Pludry jeszcze miał jakieś, bo już ci trudno go miał Żyd puszczać bez pluder, ale za to obydwie buty fatalnie ziewały, a jeszcze do tego jednej cholewie coś się stało, że wciąż opadała. Na głowie miał swój dawny pielgrzymski kapelusz, któremu krysy wprawdzie także już służbę wypowiedziały, że wyglądał jak straszdyło na wróble, ale za to dwie muszle jeszcze się dosyć dobrze na nim trzymały. Do tego miał ów kij ogromny pielgrzymski, okuty żelazem, którym niegdyś w Kundracie taki respekt dla siebie obudził, a który i sam miał w poszanowaniu, bo się nim już z niejednej tarapaty wydobył. Ot! i teraz miał prawe oko podbite i długi czerwony szram przez cały lewy policzek. Oberwało mu się to w karczmie sknilowskiej, gdzie miejskie draby wzięwszy go za zbója, chciały go chwycić i jeden z nich już mu nawet obdarł kawałek rękawa: prawda, że ten kij dawał mu pozór dla głupich ludzi cokolwiek niepokojący, ale gdyby był tego kija nie miał przy sobie, nigdy by się tym drabom nie był obronił.

W takim stroju, trochę wróżąc babom po drodze, a trochę żebrząc między gospodarzami, stanął Wara nareszcie w zamkowym dziedzińcu w Tustaniu – i, jako istne straszdyło, zaraz jest otoczony gromadnie przez zamkowych żołnierzy.

Ten go pyta: – Kto jest? – a drugi: – Po co tu przyszedł? – on się rwie do starosty, żołnierze się śmieją – a już niewiele chybiło, że go nie wyrzucili za bramę. Ale na ten gwar nadbiegli niektórzy pacholikowie, co go znali z Czorsztyna, ci go więc obronili, wszelako jeszcze więcej się z niego naśmiali, wołając:

– Wara! Wara! oto cię ktoś oporządził, że już jak żebrak wyglądasz! a może też i sam robisz po drogach?

Ale Wara nadsztukował humorem, mówiąc:

– Fortuna kołem się toczy! Bawię się rycerką jak drugi – a i rycerzom się to nieraz zdarza, że kiedy go mocniejszy napadnie, to go puszcza w koszuli. Ale się tu dobiłem do braci, zaczem rozumiem, że mnie ogarniecie.

Na to nadszedł Ramułt, poznał go, bo go znał także, ale że był przepelniony goryczą wczorajszego wieczora, rzucił na niego okiem pełnym pogardy i rzekł:

– Oto ten łapserdak staroście ślub dawał! I miał to Pan Bóg takich rzeczy nie skarać?

Ale tymczasem pacholikowie, bardzo pocziwe chłopaki, wzięli Warę pomiędzy siebie, zaprowadzili do kordegardy i tam go jakokolwiek przebrali. Ten mu dał kaftan, ten pas, ten pludry, ten buty, a nawet przyzwoita opończa się znalazła, że Wara niebawem tak się wystroił, iżby się mógł i największemu panu pokazać. Wszelako przy przebieraniu się opowiedziano mu także, co się od wczorajszego dnia stało na zamku.

Więc Wara się tym niezmiernie zasmucił, bo mimo swej konduity przecie ludzkie miał serce, a nieszczęście Wilczka było tak ogromne, że i kamień powinien był się nim wzruszyć. Jakoż wysłuchawszy chłopaków, rzekł zaraz:

– Trzeba na to coś radzić. Uratujemy jeszcze, co się da uratować.

Z tymi słowami poszedł prędkimi krokami do Wilczka.



Obejrząwszy go pilnie, jako człek doświadczony, natychmiast odgadł, co trzeba robić. Zaczem rozebrał go i upuścił mu krwi całą misę. Było to bardzo dobre lekarstwo, bo osłabiwszy jego fizyczny organizm, wywołało w nim naturalną reakcją. W kilka pacierzy potem Wilczek otworzył usta i oczy, odetchnął z głębi piersi, sam się na poduszkach podniósł cokolwiek wyżej – a w małą godzinę przyjął trochę pożywienia. Po południu jeszcze był osłabiony, ale wieczorem zasnął i spał przez całą noc jak kamień.

Na wiadomość, że pan ożył, jego zwyczajna służba się zgromadziła koło niego, pełniąc swe obowiązki jak dawniej i patrząc na Warę jak na cudotwórcę.

Wara przeczuwał przy nim większą część nocy, nakazał służbie, ażeby mu rankiem nagotowano dobrej winnej polewki, i poszedł się przespać, bo też i sam był niepomału zmęczony.

Kiedy zaś nazajutrz rano przyszedł do Wilczka, to zastał go na pół ubranego i siedzącego w krześle poręczowym obok stołu.

Był bardzo blady, czarna chmura mu siedziała na czole, patrzył nieruchomymi oczyma przed siebie, ale na jego twarzy przebijała się raczej gorycz niż boleść.

Obaczywszy Warę, spojrział na niego, ale go nie powitał. Wara siadł opodal od niego po drugiej stronie stołu i milczał.

Po chwili Wilczek znów spojrział na niego i rzekł:

– Skądże się tu wzięłeś tak niespodzianie?

Wara zaczął kłamać swoim zwyczajem, opowiadając mu, jako już przed tygodniem we Lwowie miał widzenie, z którego powziął, że na zamku tustańskim ma się stać jakieś nieszczęście. Zaczem wybrał się zaraz na Tustań z całym swoim taborem, wiodąc dwa wozy ze sobą i konie podwodne. Ale wjechawszy w lasy, spotkał się z jakimiś błędnymi rycerzami, którzy się złakomili na jego pański dobytek i wszystko mu złupili, a jego samego do koszuli obdarli.

Na to Wilczek jeszcze raz spojrział na niego i uśmiechnąwszy się gorzko, rzekł:

– Musieli to być jacyś rycerze, co się biją na suche razy, bo widzę, że ci oko podbili i jakimś kosturem ci dali po pysku. Przynajmniej, żeś z duszą wyszedł z rąk tego rycerstwa...

Wara nie śmiał mu odpowiedzieć, bo widział, że się zna dobrze na razach.

Wszakże po chwili Wilczek znów się odezwał, mówiąc:

– Słysz, Wara! Czy mogłeś się kiedy spodziewać, że moje małżeństwo w takie nic się obróci? Tyleśmy się nacierpieli oboje, tyleśmy trudów, tyle ofiar ponieśli i tyle niezwykłych rzeczy się stało, ażeby to małżeństwo przyszło do skutku; miałem żonę tak cudną, takie śliczne dzieciątko i tyle szczęścia w tym domu: i z tego wszystkiego w jednym mrugnieniu oka, za jednym wiatru powiewem, nic? nic zgoła? Czarna przepaść pod zamkiem i przepaść bólu w moim sercu...

Wara milczał.

– Powiedzże ty mi, Wara – mówił Wilczek dalej po chwili – czym jest człowiek na ziemi? Najnieszczęśliwsze stworzenie, przez jakiegoś nielitościwego stwórcę na ten przeklęty padół rzucone! Rodzi się jako bezbronne niemowlę, gorzej niż każdy najdrobniejszy robaczek, bo jeśli go mamka na dzień jeden odstąpi, to ginie. Nie umiałby chodzić, gdyby go przez kilka miesięcy nie wodzono na pasku, musiałby wyć albo szczebrać, gdyby go mowy nie nauczono, a przy tym męczą go wciąż niezliczone choroby, na które mu nie poradzi natura, jeno mu trzeba lekarstwa. Pracuje potem przez lat dwadzieścia jako murzyn-niewolnik, aby się dobił kawałka chleba i jakiegokolwiek znaczenia, ale bez łaski ludzkiej niczego się nie dobije – a łaska ludzka bardzo drogo kosztuje, bo musisz ją okupywać upodleniem siebie samego. Jeżeli zaś który bez łaski ludzkiej się czegoś dobije, natenczas ci sami ludzie otaczają go jak złe duchy, aby ryc pod nim, aby go trapić i męczyć, aby mu we wszystkim niezwykione stawiać zapory, aby go wreszcie przewrócić. A jeśli przewrócić się nie da, jeżeli wszystkie zapory przelamie i w końcu takiego szczęścia dostąpi, które powinno by trwać przy nim do grobu, to wtedy jakiś wróg inny, jakiś duch niewidomy, jakiś wicher, wypuszczony przez odwieczne-

go wroga ludzkości, dmuchnie ci na to szczęście i zgasi jak świecę. Człowiek się rodzi, bo musi, lecz gdyby nie musiał, a wiedział, co go tu czeka na ziemi, nie wiem, azaliby był który, co by chciał się urodzić.

Wara nie podzielał tych czarnych myśli Wilczka, ale się uczuł nimi cokolwiek skruszonym, zaczął zabrał głos i tak mówił:

– Według mojego zdania, życie na tej ziemi nie jest tak bardzo nieznośne, jak jegomość powiadasz. Są przecie uciechy i rozmaite rozkosze, którymi się raduje serce człowieka. Nic darmo, zaczął za to przykrościami się płaci. Życie jest kunsztem jak każde inne rzemiosło – a w tym cała sztuka, ażeby zdobyć jak najwięcej uciechy, a jak najmniej przykrości. Ludzie są źli, o tym nikt wątpić nie może, kto z nimi przestaje: ale przy złości są oni głupi – a przeto są na nich sposoby. Zgoła wszystko w tym życiu się równoważy – a na to człowiek ma rozum, ażeby szalę pożytków zawsze na swoje stronę przeważał. I rozumu także każdy człowiek ma dosyć, ażeby się nim ku swemu pożytkowi posłużył: jeno że rozum nie zawsze mu dopisuje, bo są w samej rzeczy jakieś złe duchy, które mu w tym przeszkadzają. Ale, mówiąc pomiędzy nami a szczerze, tak mi się widzi, że te złe duchy nie gnieźdzą się poza nami, jeno mieszkają w nas samych. A tymi złymi duchami są nasze własne namiętności a żądze, których nie umiemy powściągnąć. Mówiąc tak, sam się w piersi uderzam – dodał Wara z westchnieniem – bom też i ja przyszedł na świat szlachcicem, dziedzicem wsi dobrze osiadłej i z bardzo piękną parentelą, i mogłem osiąść wielkie majątki i wszelakie honory, gdybym był tylko umiał się umartwić, a tych i owych uciech sobie odmówić...

Tu wszakże przerwał mu Wilczek, mówiąc:

– Powiadasz właśnie jak ksiądz. Wciąż tylko umartwienia ciała i wyrzekanie się uciech! Jak gdyby na to została stworzona ta ziemia ze wszystkimi swymi uciechami, ażeby zgniły bez pożytku dla ludzkiego stworzenia! Jak gdyby na to człowiek miał ciało i zmysły, i wszelkie pożądlivości, ażeby ich nigdy nie zaspokoili! I na co? Ażeby po śmierci poszedł do takiego królestwa, gdzie nie masz ani ciała, ani zmysłów, ani żadnych pożądlivości? Trzeba się wyrzec uciech w tym życiu na to, ażeby ich w tamtym nie dożyć? Cóż ty mi gadasz, mój Wara! Miałem ciebie za wielkiego hultaja, ale za rozumnego człowieka – a tobie, jak widzę, piętej klepki brakuje!

Wara wiedział, co mu ma odpowiedzieć: nie używania uciech, ale zbytku uciech zabrania tak dobrze rozum, jak wiara. Jednak, widząc, że mówi z wielką niecierpliwością, nie chciał go drażnić i milczał. Tymczasem Wilczek mówił po chwili dalej:

– I jeszcze do tego powiadasz, że złe duchy siedzą w nas samych! Toż ja byłem tym złym duchem, co Gniewoszowę sprowadził na Sobień? I ja natchnąłem czorsztyńskiego proboszcza, że mi ślubu odmówił? A może i ja Jagienkę strąciłem z krużganku? Śmiać mi się chce z tych złych duchów, co siedzą w człowieku! Ale z tych się wcale nie śmieję, co w postaci ludzkiej albo diabelskiej wciąż krążą koło mnie i sprowadzają na mnie takie nieszczęścia. Jeżeli znasz te złe duchy, co siedzą we mnie, to gadaj, chciałbym też i ja z nimi się poznać.

Zaczem Wara mówił ostrożnie:

– Ja nie wiem wszystkiego, ale coś się też i o moje uszy oparło. Tak sędzę, bo mi też powiadano na Sobniu, że Gniewoszowa nie byłaby nigdy dokazała tej sztuki, żeby dostać Jagienkę dla swego syna, gdyby nie to, że wasza miłość sam przywiozłeś ze sobą plotkę o jakiejś tam bojarównie. Ks. Pudełko musiał jegomości ślubu odmówić, bo było to przeciw prawu, a było też przy tym cokolwiek zgorszenia, do którego żaden zły duch z zewnątrz się nie przyczynił. A Jagienki także żaden zły duch nie strącił z krużganku, tylko jej własny strach, który ją zdjął w jej sumieniu, kiedy obaczyła Gniewosza, zajeżdżającego na Tustań.

– Jakiego Gniewosza? – zawołał Wilczek – cóż ty znów pleciesz?

– Juźci żywego Gniewosza, co z niewoli powrócił – rzeki Wara.

I tu mu opowiedział, co słyszał od pacholików, jako to Gniewosz był, co się przedwczoraj otrąbił przed zamkiem i jak go żołnierze z krużganku bramy poznali.

– To Gniewosz się wtedy otrąbił! – zawołał Wilczek, załamując ręce przed sobą – więc Gniewosz żyje! Zawszem się tego domyślał, ale sam sobie nie wierzył. Teraz już wiem, dlaczego Jagienka spadła z krążanku...

Potem zatopił się w myślach na chwilę, poprawiał się w krześle po kilka razy, spoglądał na Warę, a wreszcie rzekł:

– Więc widzisz! Po cóż Gniewosz tu jechał? Czyż to nie zły duch jego natchnął, aby się tu zjawił niespodziewanie?

Wara milczał.

Zaczem Wilczek wstał, przechadzał się powolnym krokiem po izbie i myślał głośno, wymawiając jakieś niezrozumiałe słowa do siebie, aż w końcu rzekł głośniejszym głosem:

– Diabeł go natchnął, to pewna: ale przecie mi za to odpowie...

Zdaje się, że ta myśl, iż może się na kimś zemścić swojego nieszczęścia, trochę go ożywiła, bo przechadzał się przez chwilę cokolwiek żywszym krokiem wzdłuż izby. Lecz potem znów zapadł w swe czarne myśli, siadł na powrót przy stole, zwiesił głowę na piersi i rzekł:

– Wszystko to już się na nic nie przyda! Robiłem, co mogłem, abym się im obronił, ale mnie przecie przemogli. Udałem się do Chryzostoma, świętego człowieka, a święty człowiek mnie zdradził; zapisałem diabłu duszę – i diabeł mnie zdradził!

Na te słowa Wara spojrział na niego szerokimi oczyma i odsunął się z krzesłem, nie spuszczać jednak oka z jego pochmurnej twarzy.

Wilczek to spostrzegł i rzekł:

– Powiadasz, że w duchy nie wierzysz, a jak o diable tylko jest mowa, to w kąś się zasuwasz.

– Nie rozumiałem dobrze pana starosty – rzekł Wara, nie wiedząc na razie, co ma powiedzieć.

– Zapisałem diabłu duszę – rzekł Wilczek niecierpliwie – azaliż to tak trudno zrozumieć?

– Ale jakiemu diabłu? – zapytał Wara, bardzo tą wiadomością zaniepokojony.

– Jakiemu diabłu! – zawołał Wilczek – diabeł zawsze jest jeden i ten sam, chociaż w tysiącznych postaciach. Ten, co mnie służy, jest tutaj na zamku. Jeżeli go chcesz obaczyć, to ci go każę zawołać.

Ale Wara jakoś nie miał ochoty obaczyć się z diabłem, jednak widocznie coraz bardziej się niepokoił. Patrzył na Wilczka bardzo niepewnymi oczyma, a przy tym widać było po jego twarzy, że jakieś ważne myśli w swej głowie rozbiera.

– Cóż się tak zasumował? – zapytał Wilczek.

– Myślę nad losem pana starosty – rzekł Wara – bo niechaj tam sobie kto mówi, co chce, z diabłami przecie nie można żartować. Ci święci, co ich widuję, te dusze, co je wywołuję, to tam furda... ale z diabłem się wdawać nie można, bo kto tylko raz się z nim wdał, ten przepadł na pewno.

– Bądźże sobie o mnie spokojny – rzekł Wilczek. – Jagienkę mi wziął, bo trafił na nieopatrzego Gniewosza, ale mnie nie weźmie, bo przecie wiem, jaką mam z nim umowę.

Wszakże Wara na to pokręcił głową i rzekł:

– Hm, hm! gdyby to diabeł trzymał się umowy! ale to w tym właśnie sęk, że on bierze swoje ofiary wbrew zawartej umowie.

– Jakże? – rzekł Wilczek – więc żywcem mnie weźmie, choć nie ma prawa do tego?

– Jeżeli się jegomość z nim tylko wdał w jakieś umowy, to weźmie żywcem, jak Pan Bóg na niebie.

– Jakżeż mnie weźmie? przecież mu się nie dam wziąć jak snop słomy, ano mu się obronię.

– Co też jegomość nie gadasz! któż się kiedy diabłu obronił?...

Więc Wilczek przesądny, jak wszyscy owego czasu, mocno się nad tym zamyślił. Wrodzony instynkt zachowania siebie samego wziął w nim górę nad ciężką żalobą. Spojrzał po kilka razy spod oka na Warę, a potem zapytał:

– Więc powiadasz, że weźmie?

Na to Wara wstał i rzekł z naciskiem:

– Nie masz nad czym się zastanawiać, jegomość przepadł.

Na te stanowcze słowa Wary tego żelaznego rycerza porwał lęk niewysłowiony. Zginać na wojnie lub w jakiej bądź bitwie śmiercią walecznych, w tym widział ideał i niejako apoteozę rycerza, ale dać się zadusić jakiejś mocy niewidomej, przeciwko której nie można się bronić, do tego nie miał odwagi. Zbladł jeszcze bardziej, ręce mu drżeć zaczęły i spytał Warę:

– Jakże mnie weźmie?

A na to Wara:

– A kto tam może odgadnąć sztuki diabelskie! Widziałem ja rzeczy, od których włosy stają na głowie... Ale jest na to sposób.

– Więc mów – rzecze Wilczek – zrobię, co powiesz.

– Jest na to sposób – rzekł Wara. – Jegomość wstąpisz na tercjarza do franciszkanów i wdziejiesz poświęcany habit na siebie. A wtedy zje diabła, czy jegomości co zrobi.

– Więc tak – odpowiedział Wilczek, dając mu się powodować – ale któż mi to tercjarstwo wyrobi? Mnie franciszkanie nawet wcale nie znają.

– Już ja to biorę na siebie – rzekł Wara z żywością – każ mi jegomość natychmiast rozstać konie do Wiszni. Tamtejsi franciszkanie jegomości znają – a są to ludzie chudobni; jak im się co da na kościół, to mi tę rzecz stanie pede załatwią. Za dwa lub trzy dni wszystko jegomości przywiozę.

– Więc rób jak chcesz – odpowiedział mu Wilczek – a nie baw się długo, bo co ja tu poczną bez ciebie?

– Jadę natychmiast, na dzień i noc – rzekł Wara – jutro o ten czas będę już w Wiszni. Każ mi jegomość dać dobre konie i jaki mieszek złotych węgierskich. A jeśli tu jest jakiś diabeł na zamku albo też jakiś kalafaktor diabelski, to każ go jegomość natychmiast napędzić i nakazać mu pod gardłem, aby się tu więcej nie pokazywał.

Jak Wara chciał, tak się stało.

Rozstawiono mu konie do Wiszni, dano mu mieszek czerwonych złotych i wyprawiono go w tę drogę natychmiast.

Wilczek zaś kazał Kostrubana w tym oka mgnieniu odprawić, dawszy mu lafę sowitą, ale z tym wyraźnym dodatkiem, że wpadł w niełaskę u pana i nie śmie się pod gardłem pokazywać na zamku.

Kostruban, nie mogąc się nawet domyśleć, jaki tam piorun tak nagle w niego uderzył, okrutnie się zmartwił tą niełaską. Tak mu dobrze było w tej służbie – a teraz w jednym mruknięciu oka znalazł się na bruku. Chciał upaść do nóg staroście, aby na powrót się wprosić, ale go do niego nie dopuszczono. Domyślał się, że Wara mu tego stołka przystawił: byłby i jemu padł do nóg, ale Wara już wtedy wyjechał. Mimo to wszakże Kostruban jeszcze nie stracił nadziei. Zabrawszy swoje manatki, osiadł tymczasem w mieście Tustaniu, przedsiębiorając sobie mieć cierpliwość i wszystkie swe siły wyteńczyć, ażeby się na powrót wsrubować w łaskę starosty. Z tego powodu, ile tylko miał wymowy i zapobiegliwości, rozsiewał sławę Wilczka po mieście, podnosił w niebiosy jego dobroć serca i szlachetność umysłu i obudzał pomiędzy mieszczany litość nad jego nieszczęściem. W tym też celu zapewne, a z myślą, że się to doniesie do Wilczka, na zrękowinach Włostka z Ofką u Daszkiewicza podniósł myśl i uparł się przy niej, ażeby państwo młodzi poszli z korowajem na zamek i pokłonili się panu, prosząc go o błogosławieństwo.

Wara, o ile się zdaje, działał w najlepszej wierze. Kto w owe czasy nie bał się diabła chodzącego po ziemi? i kto mógł mieć więcej partykularnych powodów od niego, obawiać się

jego pazurów? – Wziąwszy kilka dobrych koni i mieszek czerwonych złotych, mógł z nimi uciec, jak mu się to już nieraz zdarzało: ale teraz nauczony cierpkim doświadczeniem, poszedł po rozum do głowy – i powiedział sobie: że największe głupstwo by zrobił, gdyby się kontentował taką nędzotą. Wilczek jest zbity nieszczęściem do niepamięci, zapewne już nigdy, a przynajmniej nieprędko, wróci do dawnej swojej energii, w tym usposobieniu umysłu daje mu się powodować jak dziecko, fortuna u niego pańska, a wszelkiego bogactwa do zbytku: Wara by głupi był jak garniec gliniany, gdyby na jakiś czas u niego nie osiadł i gdyby przez ten czas nie uciulał sobie pięknej fortunki. Zaczem wrócił we trzy dni i przywiózł mu pergamin z klasztorną pieczęcią, jako jest terejarzem przyjęty, a zarazem i habit, który poświęcono rzetelnie w jego obecności.

Wilczek oczekiwał z niecierpliwością powrotu Wary – a za jego przyjazdem serdecznie go zwitał. Zaraz też przywdział habit franciszkański na siebie – i zdaje się, że ten habit znacznie go uspokoił, bo pochodziwszy w nim z jaką godzinę, powiedział do Wary:

– Nie wiem ja tam, jaką moc ma woda święcona, ale tak mi się zdaje, że mi się trochę ulżyło. Przynajmniej już diabeł nie będzie miał do mnie przystępu, co też i on sam wiedzieć musi, bo mnie nawiedzał po nocach i śmiał się z habitu.

Natomiast wszakże ból za Jagienką znowu w nim się odezwał.

Ale był to ból taki, jaki z jego cieplej krwi mógł się urodzić, bo wtedy nieraz powiadał Warze:

– Dziecko jeszcze bym z czasem przebolewał, bo byłoby drugie. Ale jej nigdy nie przeboleję: bo takich słodziutkich oczutek, takich ustek miodowych, takiego aksamitnego ciała, nie masz u żadnej kobiety.

Zaczem niejednokrotnie się zrywał i chciał koniecznie szukać jej trupa.

Wtedy wychodził z Warą za mury zamkowe i błąkał się z nim nad brzegami tej przepaści, w którą spadła Jagienka, szukając sposobów, jak by się można na jej dno dostać. Ale wszystko na próżno: z brzegów za najlżejszym dotknięciem usuwała się ziemia i kruszyły się skały – a przepaść była bezdenna.

Powróciwszy z takiej wycieczki, wdrapywali się obydwu na ów fatalny krużganek i spoglądali w dół, azali tam nie obaczą jakiego światlejszego przedmiotu, ale także na próżno: dno tej przepaści było zawsze czarne jak noc.

Jednego dnia Wara wpadł na myśl, ażeby rzucać w tę przepaść zapalone pochodnie, których płomienie głębsze brzegi przepaści oświecą, a jeśli doleczą do dna, to będzie można widzieć, jak głęboka jest przepaść, a może się też i ciało Jagienki obaczy. Ale Wilczek wzdrygał się na to i odpowiadał mu z uczuciem ludzkim:

– Na Boga! nigdy na to bym nie pozwolił. Te zapalone pochodnie popiekłyby biedną Jagienkę.

Natenczas, przekonawszy się wreszcie, że Jagienki nigdy już nie obaczy, Wilczek, spełniony żalobą, kazał na zewnętrznej skalistej ścianie zamkowej kaplicy ryć jej nagrobek: najprzód krzyż wielki, potem *D.O.M.* a dalej: *Generosae Dominae... ex stirpe Kmytharum...*

Ludzie, którzy go w tym czasie w mnisim habicie, bądź błąkającego się nad przepaścią, bądź na szczycie zamkowej wieży widzieli, przypatrywali mu się z uczuciem pewnej obawy i zgrozy – i powiadali o nim, że został mnichem, że już o swoim starostwie wcale nie myśli, że albo niebawem do klasztoru wyjedzie, albo też zamek na klasztor obróci.

Jakoż Wilczek podówczas w samej istocie wcale o swoim urzędzie nie myślał. A skutkiem tego opuszczenia się pana, służba nadzwyczajnie się rozluźniła na zamku. Niektórzy żołnierze porozłazili się – a ci, co zostali, jedli i pili, co szyja strzymała, bawili się w domu i poza domem, wychodzili do miasta i często dopiero nad ranem wracali. Brama była dla nich dniem i nocą otwarta. Nawet stary Kukuć, widząc, że starosta już wcale nie dba o służbę, także się chętnie zabawił – a Ramułt... Ramułt, nie mogąc Wilczkowi przebaczyć, że za jego wierne

służby całego życia chciał go poczęstować toporkiem, nie chciał już wcale wiedzieć o zamku. Przesiadywał więcej u siebie na wsi niżeli w Tustaniu, pokazywał się czasem, lecz rzadko, starosty wcale już nie widywał i tylko nad tym rozmyślał, jak by najprędzej mógł się od tej służby uwolnić na zawsze.

Tak minął miesiąc.

Wilczek przez ten czas już znacznie się uspokoił. Do swoich dawnych zatrudnień nie wracał, Wary prawie ani krokiem od siebie nie puszczał i bardzo wiele z nim rozmawiał. Ale w jego wszystkich rozmowach przebijał się ból ciężki, nie zagojony, jak rana otwarta, a ciężący jak czarna noc nad jego umysłem: ból za Jagienką, której nigdy już nie obaczy – ból za tym, że miał wszystko po temu, ażeby osiąść najwyższe urzędy i ludziom z wysoka przyświecać, a teraz jest starty na proch, który nigdy już nie ożyje – ból wreszcie nad tym, że nie użył tego pięknego życia, a dzisiaj, jeszcze tak młody, schodzi z tego świata, czy to w grób śmierci, czy w grób klasztoru, zaledwie pokosztowawszy jednej jedynej z rozkosznych uciech tej ziemi...

Jednego dnia po południu stał z Wara przy oknie otwartym, z którego widać było doliny i wzgórze, okryte świeżuteńką zielenią i kąpiące się w jasnych promieniach słońca, a nad nimi, na kresach dalekich, rysowały się na błękitnym niebie bez chmurki wspaniałe swą wyniosłością Bieszczady. Cała ta ziemia oddychała przezroczytym, wiosennym powietrzem, odurzająca woń górskich kwiatów unosiła się nad nią, nieprzebrane jej dary ścieliły się do nóg człowieka, jak gdyby mówiły do niego: Bierz i używaj i bądź szczęśliwy na wieki.

Wilczek patrzył długo na ten obraz uroczy, zaczerpywał pełną pierśią tej woni ożywczej, zapuszczał swój wzrok pomiędzy owe odległe skały Bieszczadów, nad którymi z rozpostartymi skrzydłami ogromne unosiły się orły, ucząc swoje pisklęta, jak mają patrzeć w same tarczę słoneczną, a oka nie zmrużyć – a potem ciężko odetchnął i powiedział do Wary:

– Człowiek by się nie skarżył na Stwórcę, że mu dał tak wspaniałe i tak we wszystko bogate mieszkanie, gdyby mu tylko wolno było tych wszystkich darów bez przeszkody używać! Ale jak róży nie uszczkniesz, ażebyś się przedtem do krwi nie pokłuł, tak żadnej nie użyjesz uciechy, ażebyś jej swoją krwią nie opłacił. Powiedz mi, Wara, jaki to duch złośliwy stworzył ten świat? Jaki to duch jest, co przede mną takie rozkosze roztoczył, co mnie nimi odurzył, co we mnie niepowściągliwe żądze za nimi rozbudził – a kiedym rękę po nie wyciągnął, nie w rękę, ale w same pierś mnie uderzył i rzucił na ziemię, ażebym z niej już nigdy nie powstał! Zaprawdę, dziwnie szatańska to sztuka swoim własnym stworzeniom wonne podawać owoce, a kazać im w krwawym pocie nieustającej pracy o nie się dobijać – i kazać dziewięćdziesięciu dziewięciu ginąć w pragnieniu i głodzie, ażeby setny szczęśliwy się nimi pożywił. Być może, że są tacy szczęśliwi! Jużci są, boć ich czasami widzimy. Ale mnie nie masz pomiędzy nimi!...

– Jegomość młody – rzekł Wara – jeszcze się szczęście może przywrócić.

– Jam młody – rzekł Wilczek – ale ten świat, ta piękna, ziemia ze wszystkimi swymi darami już się na zawsze odwróciły ode mnie. Nikt nie wie i nikt się tego ode mnie nie dowie, ale ty widzisz, co się dzieje w głębi mej duszy. Ciało moje może by jeszcze było sposobne do życia, ale tam – noc się rozległa, tam już nie ma tego świętego płomienia, co ciałem porusza i prawa mu daje. Jestem bezwładny jak trup, boleść mi wszystką władzę wyzarła. Jakież by u mnie 'jeszcze mogło być życie! Jestem umierającym starcem w młodzieńczym ciele. Ze strachem kładę się do snu, bo we śnie najstraszliwsze mary się nade mną wieszają, powykrywane twarze ze zwierzęcymi oczyma, pootwierane paszczęki bez zębów, z nich długie czerwone wyskakują języki i liżą mnie po policzkach, przyciskają mi swoje długie uszy do piersi, aby podsłuchać, czy jeszcze serce w niej bije, kłują mnie w gardło swymi diabelskimi rogami, ażeby tę resztę towi ze mnie wypuścić. O Wara! nie życzę takiej jednej nocy mojemu najzwyklejszemu wrogowi. A moja śliczna Jagienka nigdy mi się nie pokazała! Natomiast Ofka wciąż mi się zjawia. A tymczasem Ofka podobno żyje...

– Żyje – rzekł Wara, rad go weselszą myślą rozerwać – żyje i wcale dobrze jej się powodzi. Jak słyszę, Daszkiewicz wziął się na to, aby ją z ojcem pogodzić, i pewnie mu się to uda. A oprócz tego jest jeszcze inna dobra wiadomość: Ofka kawalera znalazła i ślub się układa.

– To pewnie Włostek? – zapytał Wilczek.

– Podobno Włostek – rzekł Wara – ale to jeszcze sekret dotychczas.

– Słysz, Wara – powiedział mu Wilczek – ktokolwiek bądź, wiedz o tym, że mu rad będę. Sam na wesele nie pójde i widzieć jej nie chcę, ale jej mężowi chętnie pomogę, a dla niej sówite wiano wyznaczę.

– Jeszcze podobno czas na to – rzekł Wara.

– Czas – rzecze Wilczek – ale im prędzej, tym lepiej, może mi się przestanie jawić po nocach.

A na to Wara z misternym uśmiechem:

– Więc się to ile możności przyśpieszy.

Wilczek myślał nad tym przez chwilę, ale potem znów napadł w swoje czarne widzenia.

– Po takich nocach – powiadał dalej – łatwo zrozumiesz, że wstaję rano jak z krzyża zdjęty albo i gorzej, bo właśnie jak gdyby mnie spuszczone z tortury. A kiedy już czuwam, jeszcze się nocne widzenia nade mną wieszają. I potem już taki dzień cały! Do południa wspomnienia tych mar, co je przeszłej nocy widziałem – a od południa strach mnie bierze przed tymi, które w przyszłej obaczę. A w ciągu całego dnia w głowie taka próżnia, że ani jednej myśli uchwycić nie mogę. W sercu się odzywają życzenia, ale czuję zarazem, że żadna ludzka potęga ich spełnić nie zdoła. I to jest życie? Niechże w nie raczej wszystkie pioruny uderzą! Nieznośnym ciężarem mi jest takie życie! Śmierci mi trzeba i tylko śmierć mnie może wybawić!

Wilczek był tak strasznym, kiedy to mówił, że Wara nie śmiał się do niego odezwać.

Lecz Wilczek mówił dalej:

– Gniewosz mi ją mógł dać pod Suczawą, błagałem go o to, lecz nie chciał! Teraz kiedy zapewne w szczęściu opływa, ja, śmierć chodząca po ziemi, kościstą ręką do jego weselnej komnaty zapukam i sam ją jemu przyniosę!

Wara, wyborny znawca serc ludzkich, wiedział o tym dobrze, że aby Wilczka do zwykłego powrócić życia, dosyć by było, gdyby go tylko na powrót wtrącić pomiędzy ludzi. Otarłszy się o nich, rozbudziłyby w sobie prędko dawnego człowieka. Spór jaki z kimkolwiek byłby oczywiście najlepszym środkiem do tego. Ale Warze jeszcze to było za wcześnie, bo dotąd jeszcze nie pomyślał o sobie, a wiedział także, że jak Wilczek znów w świat wyleci, to i jego łaska dla niego może się skończyć. Zaczem usiłował go odwieść od tej myśli na teraz i rzekł:

– Co tam Gniewosz winien temu wszystkiemu? Był to czysty przypadek...

– Żonę mi zabił! – zawołał Wilczek, klekocąc zębami ze złości – nigdy tego mu nie daruję!

A ty mi się w moje sprawy nie mieszaj, boś do nich nie urósł.

Wara niemal z pogardą spojrział na niego, ale zacisnął zęby – i zmilczał.

A wtem muzyka dała się słyszeć w zamkowym dziedzińcu.

Na odgłos muzyki Wilczek zbladł i zawołał:

– Muzyka u mnie? co to ma znaczyć?

Wara wstał i powiedział:

– Pójde obaczyć.

– Nie odchodź – rzekł Wilczek głosem gromkim, w którym się jakoby przestraszył przebijał.

A w tej chwili wszedł Kukuć bardzo wesoły, z radosnym uśmiechem na twarzy, bo też radosną przynosił wiadomość.

– Panie starosto! – rzekł – Ofka, córka Biłowusa, idzie za mąż za Włostka. Przecie nam się szczęśliwie udało to małżeństwo skojarzyć! Weselnicy przyszli właśnie z korowajem na zamek i chcieliby się swojemu panu pokłonić.

Wilczek jakoś dziwnie był roztargniony. Stał na środku komnaty i zdało się, jak gdyby sam nie wiedział, co ma robić. Chwiejąc się tak przez chwilę, odpowiedział mu: – Czekaj! – i wyszedł do przyległej komnaty.

Niebawem wrócił ze skórzanym woreczkiem w rękę, przystąpił z nim do Kukucia, dał mu go i rzekł, ale głosem tak prędkim, że prawie się jąkał:

– Słysz, Kukuć! Daj to Biłowusównie na wiano ode mnie i powiedz weselnikom, że ich przyjąć nie mogę, bom chory, ale im błogosławię... błogosławię, szczerze im błogosławię.

Kukuć odszedł. Ale jeszcze był zaledwie za drzwiami, kiedy Wilczek wybiegł za nim i zawołał:

– Kukuć! a zrób tak, aby sobie zaraz precz poszli. I muzyka niech więcej nie gra, rozumiesz? muzyka niech nie gra, bo u mnie żałoba.

Kiedy Wilczek wracał, Wara znowu do drzwi się zerwał, mówiąc:

– Pójdę ja sam i wyproszę ich grzecznie, a starostę wyekskuzuję.

– Nie odchodź! – zawołał znów Wilczek – nie odchodź! mam ja ważniejsze rzeczy na głowie.

Słowa te powiedział znów w roztargnieniu, ale zarazem, jak by był czymś zaniepokojony.

Wara rzekł trochę złośliwie:

– Przecież Wara, choć głupi, jeszcze na coś się przyda.

Wilczek poszedł ku oknu, a idąc, powiedział do Wary:

– Nie chciałem cię przecież obrażać.

Zaczem przystąpił ku oknu, pomyślał chwilę, a potem rzekł:

– Słysz, Wara! Ty się przecie znasz na tych rzeczach, powiedzże mi, co ty o tym rozumiesz? Kiedym go spotkał w puszczy przy Chryzostoma eremie, tom sam mu powiedział, że wtedy ma prawo wziąć duszę moją, kiedy muzyka zagra na moim zamku. Zakazałem muzyki, kiedym tu osiadł z Jagienką, ale teraz się zapomniało i owo wszyscy diabli to weselisko przynieśli. Cóż ty o tym rozumiesz?

Na to Wara przystąpił ku niemu i rzekł:

– Jakże to było? dałeś mu to jegomość na piśmie?

– Słowo rycerskie warte więcej niż pismo – rzeki Wilczek.

– Więc to tam furda! – zawołał Wara – w piekle, a między nami mówiąc, to nawet i w niebie, na słowo rycerskie nic nie dają. Ja w takich kwestiach trzymam się teologii, a ta nas uczy: że diabłu duszy zapisać nie można ani pismem, ani słowem, jeno mu się ją zapisuje swymi własnymi grzechami. A nie wiem, jakie to grzechy jegomość masz na swoim sumieniu, za które diabeł mógłby wziąć duszę jegomością. A zresztą weselnicy już sobie poszli...

– Ale przecie zegrali – rzekł Wilczek.

– Taka tam kołomyjka się nie rachuje – odpowiedział mu Wara, usiłując go uspokoić.

Wilczek umilkł, ale był wciąż roztargniony i w tym roztargnieniu patrzył przez otwarte okno na wyniosłe szczyty Bieszczadów.

Słońce wtedy już się zniżało ku zachodowi, mocno poczerwieniało, ale jeszcze jasno świeciło. Jego czerwone promienie, padając na ziemię pokrytą świeżą zielenią i zlewając dwa sprzeczne ze sobą kolory, tworzyły światło niestrojne i przykre dla oka. Ciężka duszność panowała w powietrzu. Niebo było jasne, lecz blade, jak gdyby błękit spłowiały. Na to niebo u samego szczytu Bieszczadów wypłynęła maleńka chmurka, zrazu szarawa, ale ciemniejac ciągle, przybrała najprzód kolor żelaza, a potem stała się prawie czarną: postać jej była dziwna, wyglądała bowiem jak nawa okrętu bez masztów i steru, której porozdzierane brzegi w czerwonych promieniach słońca się jak ogień złościły. Było coś dziwnie strasznego w tej chmurze, bo na jasnym niebie tak wyglądała, jak gdyby była istotnie okrętem, który z zaziemskich światów wypłynął i przelatuje nad ziemią.

Takie gradowe chmury, zjawiające się nagle na czystym niebie, można często widywać w Bieszczadach; ta wszakże zwróciła całą uwagę Wilczka na siebie, jakoż rzekł do Wary:



– Widzisz tę chmurkę? powiedziałby kto, że to jest jakiś statek nadpowietrzny, którym jakieś duchy sterują.

Wara się tej chmurce przypatrzył z uwagą i chciał coś powiedzieć; ale wtem w samym brzuchu tej chmurki błysnęło, błyskawice się w niej skrzyżowały i piorun z jej brzucha wystrzelił.

Wara się tego huku tak przestraszył, że się przeżegnał i rzekł:

– A słowo stało się ciałem...

A wtem na zamkowym folwarku, który zwano Posadą, płomień podniósł się w górę; oczywiście piorun tam strzelił i strzechy zapalił.

Wara zawołał:

– Dla Boga! Folwark się pali! Niechże biegną ratować!

A to mówiąc, rzucił się ku drzwiom.

Ale Wilczek go chwycił za ramię, mówiąc:

– Nie chodź! Żołnierze wiedzą, co mają robić.

Wara mu się instynktowo wyrwał, Wilczek bezwiednie go trzymał – a wtem piorun uderzył w dziedziniec, zapewne w kamienną posadzkę, bo z tak ogromnym hukiem i trzaskiem, jak gdyby kto z działa w dziedzińcu wystrzelił, a echo strzału się o cztery zamkowe ściany odbiło.

Takie same czarne chmury się zapewne tymczasem zgromadziły nad zamkiem, ale Wilczek i Wara nie mogli z tego okna ich dojrzeć.

Wilczek, trzymając Warę za ramię, rzekł:

– Widzisz! to burza się zbliża, trzeba ją spokojnie przeczekać.

Wara był błydy jak śmierć, sam nie wiedział, co robić: a wtem uderzył w zamek drugi piorun i trzeci, i czwarty, i piąty, tak że się zdało, że cały zamek się już trzęsie na swoich podstawach.

Wara zrobił ruch rozpaczliwy, chcąc się wydrzeć Wilczkowi; ale Wilczek wpoił swoje żelazne palce jak kły w jego ramiona i zawołał:

– Głupiś! gdzie się rwiesz? przecie ten zamek jest zbudowany ze skały i kamienia.

I w tej postawie zostali obydwaj na środku komnaty.

Tymczasem pioruny, uderzające jeden po drugim w mury zamkowe, wystraszyły wszystkich ludzi z zamku. Ani jedna żywa dusza w nim nie została. Wszyscy, jak stali, kobiety, żołnierze, pacholikowie i chłopcy, wylecieli za bramę i biegli, gdzie ich oczy poniosą, nie wiedząc sami, gdzie lecą, a tylko to czując w strachu, że trzeba jak najdalej uciekać. Ale że tylko jedna była szeroka droga, do której wszyscy nawykli, wiodąca popod Biłowusową zagrodę do miasta Tustania, więc wszyscy nią biegli bez odetchnienia. Pędząc, co im tchu stało, dopędzili jeszcze weselników i z nimi się połączyli.

Tak znalazłszy się razem i w większej kupie, nabrali cokolwiek odwagi i zatrzymali się niedaleko od Biłowusowej zagrody. Tam naradzili się z sobą. Co odważniejsi zrobili uwagę, że gromy biją tylko w sam zamek, więc mogą się stąd temu widowisku bez niebezpieczeństwa przypatrzeć. Nie opodal od drogi było wzgórze, z którego można było objąć okiem całe zamkowe obejście. Tam więc wyleźli i stamtąd patrzali, otwierając szeroko oczy i usta, strachem i zgrozą przejęte.

Choć wtedy słońce dopiero co zachodziło, sroga ciemnica całą ziemię zaległa. Całe niebo było tak czarne, jak gdyby je kto kirem obciągnął. Tylko nad samym zamkiem srogie błyskawice biegały, olśniewając oczy patrzących tak, że je musieli zamykać, a zarazem i oddech w piersi zapierać. Kobiety trzymały w strachu żołnierzy za poły, inni bili się w piersi, ci klęczeli ze złożonymi rękami, a drudzy leżeli krzyżem na ziemi. Zdawało się wszystkim, że sąd Boży się zapowiada i przychodzi dzień ostateczny.

Tymczasem z błyskawic pioruny były bez upamiętania jeden za drugim. Już uderzyło ich dziesięć i pięćdziesiąt, i sto – aż wreszcie niebo się zapaliło nad zamkiem, a z tego płomienego otworu już się ognie sypały, właśnie, jak gdyby strumień ognisty się wylewał na zamek.

W tym oświetleniu piekielnym widać było jak w biały dzień, jako południowe skrzydło zamku, gdzie właśnie Wilczek schował się z Wara, rozsypało się w proch i tylko przy samej ziemi szczerbate szczątki murów z niego zostały.

Za chwilę runęło skrzydło zachodnie, zostawiając tylko wał gruzów po sobie.

Potem ogromny huk dał się słyszeć i snop płomieni, wyżej niż wszystkie wieże, wystrzelił z zamku do nieba: to prochy się zapaliły w piwnicach i wysadziły wschodnie skrzydło zamkowe, zrzuciwszy wszystkie te mury w przepaść i wymiótłszy z gruzów dziedziniec.

A potem już i łyskania, i pioruny ustały – i puściła się taka sroga ulewa, że wody strumieniami lały się z nieba, jak gdyby już miały cały świat zatopić.

Zamkowi ludzie i weselnicy uciekli ze wzgórza i schronili się do miasta Tustania.

Ulewa trwała do samej północy, albo i dalej. Ale nazajutrz znów piękna zajaśniała pogoda. Słońce zeszło na jasnym błękicie nieba promieniste, wesole, śmiejące się radośnie ku ziemi, jak gdyby się nic na niej nie stało.

Lecz kiedy swoimi promieniami oświeciło to wzgórze, na którym od wieków stała, żadną siłą ludzką nie wzięta, starostów tustańskich siedziba, to tam z tego wszystkiego, co ludzka ręka stworzyła, leżały tylko prochy rumowisk na ziemi – gwałtownemu wybuchowi żywiołów tylko to się oparło, co zrodziła natura – a z całego, tak niegdyś dumnego i bogatego zamczyska zostały tylko te same skaliste ruiny, które widziałeś u wstępu.

Jak dziś, tak i wtedy, świat toczył się zwykłym swym kołem. Jedni ludzie ginęli, a ich myśli i czyny zlewały się z czasów potokiem – a obok ich grobów i ruin ich zamków zuchwałych inni budowali sobie swoje siedziby i rozpoczynali wesoło bieg swego żywota.

W kilka dni potem Ofka poszła za Włostka i osiadła z nim w nowym dworzysku, zbudowanym na miejscu dawnej Biłowusowej zagrody, chociaż było dopiero do połowy skończonym. Biłowus, nimby sobie jaką wieś kupił, na której by mógł jak szlachcic panować, siadł przy nich, ciesząc się tymczasem ich szczęściem, pułkownikostwem swojego syna i swoim własnym bogactwem.

O straszliwym zniszczeniu zamku, czy ono było karą Bożą, jak rozumieli ludzie pobożni, czy też sztuką diabelską, jak utrzymywał prawie cały lud okoliczny, czy wreszcie tylko niezwykłym wypadkiem wzburzonych żywiołów, przy czym się koniecznie upierał rozsądny Daszkiewicz, bardzo wiele, ba, nawet ustawicznie gadano.

Wszyscy byli ciekawi wewnątrz ruin zamkowych obaczyć, bo i nie każdemu chciało się wierzyć, ażeby tyle bogatych sprzętów, tyle żelaznych i stalowych narzędzi, tyle naczyń srebrnych i złotych, ażeby to wszystko także bez śladu zginęło. Były tam przecież wielkie bogactwa w srebrnych i złotych pieniądzach, zamknięte w skrzyniach żelaznych: azaliż i to się spaliło? A choćby je nawet ogień roztopił, to przecież kruszec złota i srebra zawsze ma wartość. Niejednemu też na to wspomnienie ślinka do ust płynęła: jakże rad by się tam dostał! – Ale mimo to nikt nie miał odwagi ani nawet zbliżyć się do tej zaklętej ruiny: albowiem szła wieść między ludźmi, przez nikogo nie zaprzeczona, że tam mieszkają złe duchy, które tych skarbów pilnują, a kto by tam tylko nogę postawił, zaraz go śmiercią porażą. Nie można nawet było wątpić o tym, bo jak tylko się zmierzchno, widziano zawsze Wilczka, jako zamieniony w skalę, w rycerskim pancerzu, a w mnisim kapturze, stoi na wierzchu wieży i niby chce rzucić się w przepaść, a tymczasem dumnym spojrzeniem grozi całemu światu; toż i Jagienka tam stoi, także wykuta ze skały, stoi nieruchoma z załamanymi rękami, ale widocznie chce zstąpić w dziedziniec. Niechby Bóg bronił tego, którego by jedno z nich tylko ręką dotknęło, zginąłby jak mysz pod takim kamiennym dotknięciem...

Toż ludzie tylko w dzień biały stawali czasem na wzgórzach pobliskich i zaglądali ciekawie wewnątrz zamku. Cisza tam była zazwyczaj jak na cmentarzu i nie było widać żadnego ruchu. Wszelako byli tacy, którym się zdawało, że widzą jakąś postać przechadzającą się po zamkowym dziedzińcu. Drugim zaś się wydawało, że ta postać się wydrapuje na skalistą podstawę tej wieży, z której spadła Jagienka, i tam nieraz po całych godzinach wisi przy ścianie wewnętrznej, właśnie jak ptak, co się gałęzi uczepił. Co jedni widzieli, to zaraz i drudzy dojrzeliby: ale nikt nie mógł dojrzeć, jak ta postać wygląda i do kogo podobna. Zaczem różne chodziły domysły: jedni mówili, że to musi być jakiś złodziej odważny, co się chce dostać do skarbów, ale drudzy byli pewni, że to jest ten sam zły duch, co zamek piorunami potrzaskał: przechadza się teraz po tych ruinach i cieszy się swoim dziełem – a jest to tym więcej podobne do prawdy, ile że Kostruban właśnie w dzień tego nieszczęścia gdzieś szedł bez śladu i dotąd o nim nie słyhać.

Wśród takich gadek minęło ze dwa tygodnie, albo i więcej.

Przez ten czas było tu kilku panów z sąsiedztwa, był także i Kundrat, co umyślnie przyjechał z Tustania: ale nikt z nich do zamku nie chodził. Panowie przypatrzyli się z konia ruinom i odjechali – a Kundrat zdaje się, że tylko po to przyjechał, aby się dokumentnie przekonać, że Warę także diabli wzięli żywego. Albowiem kiedy mu zamkowi żołnierze opowiedzieli, jak to było, to zatarł ręce i czapkę na bakier przekrzywił i rzekł:

– Kręt szelma, ale tu przecie się nie wykreślił. Masz zatem poczęstne za śmierć starego Kijasa i za moje dukaty!

A potem bardzo wesół odjechał – i odtąd już nikt nie przyjeżdżał.

Aż jednego dnia, już po zachodzie słońca, znowu tak nagle spadła ulewa, choć teraz już bez piorunów. Jednak niebo się straszliwie zaćmiło, wicher łamał gałęzie drzew, a deszcz z gradem jak kurze jaja nieznośnie w błony chałup uderzał. W Biłowusowym dworzysku Włostek i Ofka się przytulili do siebie ze strachu i razem pacierz mówili, aby Bóg litościwy nie dopuścił jakiego nowego nieszczęścia, a Biłowus siedział przy ścianie za stołem i jako nie bardzo nabożny, całkiem spokojnie posilał się miodem domowym. A wtem zapukało coś do drzwi.

Włostek i Ofka wzdrygnęli się, Biłowus odsunął na bok kaganiec, stojący przed nim na stole, aby mógł drzwi lepiej obaczyć, kiedy tymczasem drzwi się otworzyły nieśmiało i do świetlicy wszedł jakiś człowiek, mówiąc:

– Niech będzie pochwalony.

Na te słowa Włostek i Ofka ochłonęli ze strachu, odpowiedzieli: – Na wieki wieków! – i spojrzeli na tego nieproszonego przychodnia, lecz wtedy się całkiem uspokoili.

Był to bowiem człowiek, wprawdzie dosyć smukłego wzrostu, ale bardzo pokornie, a nawet i dosyć mizernie wyglądał. Miał na sobie kaftan z prostego pakłaku i buty mocno zbłocone, na kaftanie opończę bardzo już wyszarzałą, jaką miewają ci ludzie chudobni, co się nią w nocy nakrywają, żadnej broni przy nim nie było, natomiast zaś niósł sporą torbę skórzaną w prawicy, po której widać było, że jest mocno napchaną jakimś rupieciem. Człowiek ten był przy tym bardzo młody, ledwie że mu się rzadki wąs puścił i bródka jasnołnianego koloru, twarz miał niezmiernie bladą, prawie jakby schorzałą, tylko oczy mu się jak świętojańskie robaczki świeciły; natomiast zaś włos miał bardzo bogaty, jasny i miękki, który mu też w długich kędziorach, teraz cokolwiek zmoczonych, wdzięcznie spadał na plecy.

Kaganiec bardzo chmurno oświecał świetlicę, Włostek nie mógł go wziąć dobrze na oko, mimo to wszakże rzekł do niego z dobrego serca:

– Wy z drogi, może i głodny, siadajcie sobie, moja żona wam chleba przyniesie.

Tymczasem młody przychodzień tak mocno się zakaszłał, że przez chwilę nie mógł słowa przemówić – a wtedy Biłowus rzekł:

– Jakiś charłaczyna, dajcie mu mleka i kawałek kołacza i niech się prześpi w stodole.

Młodzieniec, wykaszlawszy się i zaczerpnąwszy powietrza, pokłonił mu się i rzekł grzecznie:

– Dziękuję wam, rad u was spoczną i za gościnę zapłacę, co chcecie.

Ale Biłowus na to rozłożył nogi przed sobą, oparł się plecyma o ścianę i rzekł górnie i chmurnie:

– Tu nie gospoda! Tu nikt za gościnę nie przyjmie zapłaty. I w chłopskiej chałupie chrześcijanina za darmo ugoszczą, a nie dopiero w pańskim dworzysku.

Wszelako tymczasem Włostek przypatrzył się bliżej podróżnemu, a wtedy klasnął w obydwie ręce i zawołał:

– Dla Boga! też to miłościwy pan Pretficz! nigdy bym jegomości nie poznał.

I zaraz się obrócił do teścia i dodał:

– Syn pański z Sokołowa i sam na rycerza pasowany przez króla.

Natenczas Ofka przybliżyła się do niego, a wzięwszy rąbek fartuszka w rękę, przypatrywała mu się ciekawymi oczyma. Ale Biłowus rzekł:

– Może tam panem był kiedyś, ale teraz przyszło mu na pohybel. I tak im wszystkim przyjdzie swojego czasu!

I z tymi słowami odwrócił się od nich i już więcej na nich nie patrzył.

Włostek zaciągnął Lubka w drugi kąt wielkiej świetlicy, a Ofka zastawiła zaraz przed nim mleko, miód przasny i kołacz, pytając go, azaliby nie wolał posilić się jaką ciepłą strawą.

Ale Lubek jej podziękował, mało co się posilił i prosił Włostka, aby mu pozwolił przespać się w stodole, bo, jak powiadał, bardzo jest strudzony, burza go napadła w ruinach zamku, a stamtąd szedł pieszko wśród deszczu i gradu aż do Biłowusowej zagrody.

Włostek odpowiedział mu na to:

– Już bym też oczu nie śmiał ludziom pokazać, gdybym panicza do stodoły odesłał. Mamy przecież jedną komorę i drugą i łóżko także się znajdzie.

To powiedziawszy, a będąc bardzo ciekawy, co to się stało takiego, że Lubek, którego sam widywał w takich błyszczących pancerzach, że i sam starosta nie miał piękniejszych, w takie popadł ubóstwo i tak się opuścił, zaczął o to go wypytywać.

Ale Lubek dawał mu odpowiedzi wymijające, z których nic nie mógł zrozumieć. Kaszłał przy tym co chwila i widać było po nim, że rozmowa go męczy. Zaczem po chwili wstał i położywszy rękę na ramieniu Włostka, rzekł głosem człowieka, co nie chce się z swoich tajemnic wywnętrzać, a przy tym czuje się w prawie niedopuszczenia lada kogo do swojej poufałości:

– Słysz, Włostek! jeżeli chcesz mi się przysłużyć, to zaprowadź mnie do tej tam komory, którą mi dacie na nocleg, bom bardzo zmęczony.

Trudnoż mu było nie usłuchać tej prośby, która też prawie była rozkazem. Zaczem Włostek, wzięwszy jego torbę do ręki, zaprowadził go do odległej komory, gdzie było łóżko dosyć wygodne, i tam go zostawił samego.

Lubek się położył na łóżku, i może być, że przysnął cokolwiek, ale niebawem kaszel go zbudził. Zaczem wstał, siadł na brzegu łóżka, wziął głowę w obydwie ręce, łokcie oparł na kolanach i tak długi czas siedział w milczeniu. Wyglądał on wtedy jak jakieś nieszczęśliwe stworzenie, które ciężką złożoną chorobą oczekuje zmiłowania Bożego, ale go oczekuje z pokornym poddaniem się swemu losowi i ze spokojnym sumieniem.

Ale być może, że tylko tak wyglądał zewnątrz – a w głębi jego zbolełej duszy srogie szalały burze, nad którymi jednak umiał panować.

Tak też było w samej istocie.

Wyobraźnia jest siłą cudowną ludzkiego umysłu, która najdrobniejszą myśl albo najlżejsze uczucie sto, tysiąc i milion razy powiększa i tworzy całe światy, które nie istnieją, chociaż czasem istnieć by mogły. Jeżeli opanuje umysł takiego człowieka, co, ufny w swe siły, wesołym okiem na ten świat patrzy, to w najtrudniejszych położeniach, gdzie rozum już ustępuje

rozpaczy, otwiera mu coraz to nowe widoki, rodzi w nim niezwykłą odwagę i często do zwycięstw prowadzi. Ale jeżeli się rozwinie w takim umyśle, który nie ma energii, a skłonny jest do czarnego zapatrywania się na świat i ludzi, natenczas lada drobny wyrzut sumienia rozpiera do potwornych rozmiarów, przywodzi rozpacz za sobą, a za rozpaczą bezwładne i korne poddanie się przeciwnemu losowi. Lubek, nadzwyczaj tkliwy i łatwo przystępny wszelakim wrażeniom, umiał sobie w swej wyobraźni wszystkie swoje uczucia malować najkrańszymi barwami, ale niewielką miał ufność w swe siły, a brakowało mu prawie zupełnie siły oporu.

Kiedy się dowiedział, że Jagienka na widok Gniewosza spadła z wieży i śmierć znalazła w przepaści, to został jak gdyby piorunem rażony. Jakaś błyskawica olśniła mu oczy czerwonym płomieniem i całą jego duszę zanurzyła w ciemnościach. Jagienka nie żyje, zdmuchnięta jak błędny ogień ze ziemi: tej straty nie mógł zrazu objąć swoim umysłem, choć mu się serce krajało z bólu. A pod tym bólem i w tej duchowej ciemnicy, zaczęła grać wyobraźnia. Nie aksamitne ciało Jagienki, jak u Wilczka, budziło w nim niezgłębiony ból i rozpaczającą tęsknotę, ale jej dusza: ta dusza, według jego uczucia, tak piękna i wzniosła, i tak serdecznie jemu przyjazna – jedyna i ostatnia, jaką miał na tej ziemi! – I dusza ta uleciała do nieba: cóż mu dziś jeszcze zostaje? – Ziemia pustynią, cały świat niczym, cała ludzkość bezmyślnym a jemu obcym mrowiskiem. O, jakże by i on rad swoją duszą ulecieć w te światy, gdzie by się z nią mógł połączyć! Życie mu się stało ciężarem, śmierć wybawieniem.

Jednak, miewając czasami jaśniejsze chwile i rozmyślając nad tym, co się stało, zaczął uczuć dreszcze, które go przerażały.

Wszakże to w gruncie rzeczy Gniewosz strącił Jagienkę z wieży, nie własną ręką, ale swoim zjawieniem się przed bramą zamkową.

Na tę myśl zatrzęsło się jego tkliwe sumienie, a wyobraźnia reszty dosnuła. Krew w nim zakrzepła na widok tych obrazów, które mu się teraz zaczęły przedstawiać. A przecie to on, chociaż Gniewoszowi dał słowo rycerskie, że będzie milczał, nierozmyślnie wypaplał przed ojcem, że Gniewosz żyje i jest w niewoli – a ojciec posłał tę wiadomość Formozie. Na Boga żywego! dlaczegoż to zrobił? Gdyby był tajemniczy nie zdradził, Gniewosz byłby nie wrócił – choćby kiedyś tam wrócił, to byłoby się to stało wśród innych okoliczności i Jagienka jego powrotu z pewnością nie byłaby opłacała swym życiem. On złamał słowo rycerskie, zaczęł jest spodlonym człowiekiem, niegodzien broni nosić przy sobie, niegodzien nawet wdziac rycerskiego kaftana: on Gniewosza sprowadził, zaczęł otworzył Jagience wrota do śmierci.

Wszelako, grzebiąc tak coraz głębiej w swoich wspomnieniach, na inną myśl już się wstrząsł cały do głębi, bo się siebie samego przestraszył. A wszakże to on Gniewoszowi dał radę, ażeby, nie uprzedziwszy Wilczków, sam jechał na Tustań. Przebóg! to on własną ręką zabił Jagienkę! Bo gdyby była uprzedzona o jego powrocie, to byłaby się go nie przestraszyła i z wieży nie spadła. On sam jest Jagienki zabójcą!

A wtedy jego zboleła dusza się do dna rozdarła, a czarna rozpacz cały jego umysł zaćmiła.

Zhańbiony złamaniem słowa, pozbawił się godności rycerza, otworzywszy wrota Gniewoszowej niewoli, uścielił drogę nieskończonym nieszczęściom, wyprawivszy Gniewosza na Tustań, swą własną ręką zamordował Jagienkę. Wytrąciwszy się spomiędzy rycerstwa, nie jest nawet godzien stapać po tej ziemi, bo już na jego czole jest wypisano: Przeniewierca i zbrodzień.

Te rozpaczliwe wyrzuty sumienia żarły mu serce jak rdza jadowita i paliły się w piersiach piekielnymi ogniami. W tym stanie duszy nie chciał się już własnym rodzicom pokazać, unikał wzroku ludzi obcych, a nawet i w swoim domu nie mógł usiedzieć. Przywdział ubogie szaty na siebie i wyszedł, zrazu sam nie wiedząc, gdzie idzie.

Jakaś siła niewidoma go pociągnęła na zamek, błąkał się przez dni kilkanaście w jego ruinach – a teraz, wypędzony stamtąd gradową burzą, wprosił się na nocleg do Włostka.

Ale nie spał przez całą noc, tylko męczył się z sobą – a jak tylko pierwszy brzask w okno uderzył, okrył się swoją opończą, wziął torbę do ręki i wyszedł milczkiem, tak że go nikt wychodzącego nie spostrzegł.

Kiedy Włostek nazajutrz rano przyszedł do tej komory, ażeby mu przy ubraniu posłużyć, niesłuchanie się zdziwił, że go już w niej nie było. Zdało mu się nawet, że łóżko było nie-  
tknięte.

Bardzo więc nad tym się zamyślił i powiedział to zaraz żonie i Biłowusowi, mówiąc:

– Dziwna to rzecz, bo już teraz sam nie wiem, czy to był Pretfcicz, czy tylko duch jego, bo tak tylko duchy znikają.

Ofka była zdania, że to pewnie był duch, bo też był taki blady i oczy tak mu się świeciły, że wcale na ducha wyglądał.

Ale Biłowus kiwał na to głową z niedowierzaniem i mówił:

– Juźci upiory a duchy to u nas nie nowina, teraz nawet będzie ich jeszcze więcej, od czasu jak diabeł się znowu rozgospodarował na zamku. Ale ten charłaczyna, co tu był wczoraj, to prędzej na złodzieja wygląda, co grzebie w gruzach zamkowych, aby się jakiego skarbu do-  
grzebał.

Na tę uwagę Włostek całkiem zapomniał, że ten rzekomy złodziej miał postać młodego Pretfcicza, bo go nawet sam poznał, natomiast zaś przypomniało mu się, że kiedy wczoraj wie-  
czorem niósł za nim torbę do komory, to widział na własne oczy, że z niej wyglądały młotki i  
jakieś inne żelazne narzędzia.

– Widzisz! – zawołał na to Biłowus – może był kiedy panem, ale teraz kraść chodzi.

Więc naradzano się nad tym przez jedną godzinę i drugą, a wreszcie postanowiono, aby o  
tym dać znać do miasta.

Daszkiewicz, kiedy mu to doniesiono, ile że w duchy nie bardzo wierzył, zaraz się dał  
przekonać, że to może był złodziej, zwłaszcza że nosi z sobą żelazne narzędzia: mimo to  
wszakże poddał tę sprawę pod sąd ławników i rajców.

Ławnicy i rajcy zgromadzili się jeszcze przed wieczorem u niego i przez cały wieczór nad  
tym radzili.

Dopóki słońce świeciło, prawie wszyscy byli tego zdania, że to muszą być złodzieje: ale  
kiedy się zmierzchno, zdania zaczęły się dzielić – a kiedy noc ciemna zapadła, to wprawdzie  
nie zaprzeczano, że mogliby to być złodzieje, ale przecie daleko większe prawdopodobień-  
stwo widzieli, że to są duchy. Zaczem ci i owi mówili:

– Kto by tam chodził do tych ruin po nocy?

Na to Daszkiewicz się zniecierpliwiał i rzekł:

– Ależ was tam nikt nie wysyła w ten czas, jeno jutro po dniu tam pójdziemy. Zbierzcież  
się jutro raniutko na ratuszu, a tam uradzimy, co robić.

Nazajutrz rano dzień wstał słoneczny, zaczem znów wszyscy byli zdania, że to są złodzie-  
je.

A tak przed południem wybrali się wszyscy rajcy i ławnicy, a wzięwszy ze sobą pisarza i  
dwudziestu halabardników dla bezpieczeństwa, poszli pod przewodem Daszkiewicza na za-  
mek.

W bramę, która się także w proch rozsypała, ale z niej dwie baszty zostały, wchodzili bar-  
dzo ostrożnie, bo diabeł nie śpi i we dnie: lecz widząc, że na dziedzińcu, zawalonym gruzami,  
cisza jak w grobie, szli dalej śmiało.

I obeszlili cały dziedziniec – i nic nie zoczyli.

Aż kiedy przyszli pod ścianę owej skalistej wieży, z której spadła Jagienka, a w której  
wnętrzu na dole znajdowała się zamkowa kaplica, spostrzegli człowieka leżącego na ziemi.

Był to człek młody, wysmukły, miał na sobie wytarty kaftan z prostego pakłaku i leżał na  
wznak na rozpostartej opończy. Jego blada twarz teraz się wypełniła i wyglądała tak świeżo,  
jak gdyby był pełen zdrowia i zasnął snem słodkim na chwilę: ale miał on oczy zamknięte na

zawsze i zasnął snem śmiertelnym na wieki. Jego zbolącej głowie służyły bogate, jasne kędziory za pościel: lecz jego dusza klęczała już wtedy u stóp duszy Jagienki, błagając ją o przebaczenie za to, że jej otworzył podwoje śmierci.

Włostek zaraz go poznał, zawołał żalonym głosem: – To Pretficz! – i usiłował go zbudzić, ale tylko gorzko zapłakał, mówiąc:

– Bóg się nad nim zlitował i wziął go z tej ziemi, gdzie wszystkie jego drogi były cierniem wysłane.

A potem opowiedział krótkimi słowy mieszczanom, czego się o nim domyślał, jako kochał Jagienkę miłością świętą i niczego od niej nie pragnął, ciesząc się tylko jej szczęściem – i jako nie mógł przeżyć jej śmierci i umarł tam, gdzie ona grób swój znalazła.

Zaczem jedni mieszczanie tylko ciekawie słuchali, a drudzy się litowali, inni zaś się rozpatrywali po tej ścianie skalistej, gdzie już wtedy były jakieś napisy. Daszkiewicz zaś spostrzegł przy najniższym napisie drabinę, zaczem rzekł:

– To on musiał wyryć ten napis, gdyby to kto przeczytał?

A wtedy pisarz miejski się przybliżył do ściany i czytał najprzód ten napis, co go Wilczek kazał ryć dla Jagienki: *D.O.M. Generosae Dominae...*

A potem zasię czytał te słowa:

*Duscha moya sstrhrapyona, sśluszebnitsa Boża,  
Zyemsską sthrzałą ranyona, padła na besdroża,  
Nath żytsiem bez dzyenki, ssmiluy ssyę o Panie!  
Day ssmyerc z thwoyey renki...*

Ostatnich słów brakowało: Bóg się tymczasem zlitował nad życiem bez dzięki – śmierć mu je przerwała.

*Paryż, 12. lipca 1887.*

KONIEC

## POSŁOWIE

Z zamiarem napisania powieści o czasach Jana Olbrachta nosił się Zygmunt Kaczkowski od dawna. Już w roku 1853 młody, zaledwie 28 lat liczący autor dopiero co wydanego *Murdeliona* zbierał potrzebne materiały historyczne i studiował źródła odnoszące się do tej epoki naszych dziejów.

Praca nad cyklem „niecujowskim” i dalsze zmienne koleje jego życia, na które składały się podróże zagraniczne, redagowanie „Głosu”, więzienie, wyjazd na emigrację, a wreszcie uprawiana tam na szeroką skalę działalność finansowa, dziennikarska i polityczna widocznie nie sprzyjały realizacji tego zamierzenia twórczego. Kaczkowski bowiem po napisaniu *Żydowskich* w roku 1860, *Rozbitka* (1861) i dwutomowego studium obyczajowego *Kobieta w Polsce* (1862) milknie jako beletrysta na długo i dopiero w roku 1879 wydaje nieudaną zresztą powieść współczesną pt. *Graf Rak*. I znowu kilkuletnia przerwa. Autor wraca ponownie do twórczości beletrystycznej około roku 1885, publikując *Abrahama Kitaja* (1886), osnutego na tle dziejów panowania Jana Sobieskiego, obejmującego okres wyprawy wiedeńskiej i lata bezpośrednio po niej następujące (1683-86).

Kaczkowski nie zrażony wstrzemięźliwym i chłodnym przyjęciem, z jakim ostatnie jego dzieło spotkało się ze strony krytyki, przystąpił niezwłocznie do pisania *Olbrachtowych rycerzy*, których druk rozpoczęła „Gazeta Lwowska” z dniem 1 sierpnia 1887 roku, a więc niemal trzy tygodnie po ukończeniu powieści.

Zastanović by się należało, co skłoniło niemłodego już przecież pisarza, którego i warunki życiowe, i ambicje osobiste oddaliły od pisarskiego warsztatu, do ponownego, jakże ryzykownego, sięgnięcia po laury beletrysty? Wydaje się, że bardzo ważną rolę odegrały tutaj m. in. czynniki psychologiczne.

Kaczkowski – pisarz przecież bardzo ceniony w latach 50-tych XIX stulecia zarówno przez ówczesnych krytyków, jak i czytelników – wskutek swojej abstynencji artystycznej zeszedł trochę w cień. Co prawda warszawskie zbiorowe wydanie jego pism w roku 1874-5 przypomniało społeczeństwu milczącego od lat autora, ale tymczasem na rynku wydawniczym pojawiły się nowe nazwiska, które swoim blaskiem zdołały przyćmić twórców starszego pokolenia. Początek bowiem lat 80-tych przyniósł wielką sławę Henrykowi Sienkiewiczowi. Zwłaszcza jego *Ogniem i mieczem* (1883) spotkało się z olbrzymim entuzjazmem szerokich rzesz czytelnicznych.

Ten niebывały sukces młodszego o dwadzieścia lat kolegi po piórze niewątpliwie odegrał rolę psychologicznego i artystycznego wstrząsu u Kaczkowskiego, bardzo wrażliwego, jeśli chodzi o uznanie osobiste, próbującego np. w latach swojej młodości mierzyć się z Henrykiem Rzewuskim. Starzejący się pisarz nie pozostał bezczynny wobec sukcesu Sienkiewicza. Najpierw w „Gazecie Lwowskiej” i w „Wędrowcu” z roku 1884 opublikował obszerną rozprawę pt. *Zygmunt Kaczkowski o Pismach Henryka Sienkiewicza*, w której poddaje krytycznej analizie dotychczasowy dorobek autora *Szkieł węgłem* ze szczególnym uwzględnieniem *Ogniem i mieczem*. Do tego wystąpienia publicystycznego mógł się przyczynić również i moment polityczny.

Kaczkowski w czasie swego pobytu we Wiedniu, a potem w Paryżu usiłował wpływać na bieg tzw. wielkiej polityki i realizować własne koncepcje polityczne. Bardzo też ostro wystę-



pował przeciw stańczykom, którym przypisywał własne niepowodzenia polityczne (przepadł w wyborach z roku 1873 do Rady Państwa). Niechęć do koterii krakowskiej wywołała spóźniony zresztą odzew w postaci *Teki Nieczui* (1883), przeciwstawiającej się napisanej w 1869 roku *Tece Stańczyka*.

Nie wdając się w zbyteczne szczegóły, trzeba nadmienić, że właśnie stańczycy przyjęli pierwszą część *Trylogii* głośnymi fanfarami, uznając Sienkiewicza (mniejsza o to w tej chwili słusznie czy też nie) za pisarza ideologicznie z nimi związanego. Ten właśnie moment polityczny mógł stanowić dodatkowy bodziec do repliki publicystycznej, a potem i powieściowej.

Kaczkowski w swoim krytycznym sądzie nie był odosobniony. Jak wiadomo, Bolesław Prus, Teodor Tomasz Jeż, Aleksander Świętochowski, Piotr Chmielowski, aby ograniczyć się do tych tylko nazwisk, zajęli w sprawie *Ogniem i mieczem* stanowisko bardzo krytyczne. Nie szczędząc Sienkiewiczowi uznania i pochwał, zwracali równocześnie uwagę na poważne mankamenty ideologiczne i artystyczne jego utworu.

Nie można też sprowadzać publicystycznego wystąpienia Kaczkowskiego do motywu załości literackiej. Prus np. o wiele ostrzej sformułował swoje zastrzeżenia i jego słynna recenzja do dziś dnia zachowała swoją wartość historycznoliteracką. W studium krytycznym Kaczkowskiego pojawiają się zarzuty powtarzające się i u wspomnianych krytyków, i u innych recenzentów powieści Sienkiewicza.

Próba przeciwstawienia się *Ogniem i mieczem* a równocześnie odpowiedzią na Sienkiewiczowską koncepcję ujmowania naszych dziejów był *Abraham Kita*, a przede wszystkim *Olbrachtowi rycerze*. W powieści tej autor nie przedstawia całego panowania Jana Olbrachta, ale ogranicza się do trzech lat jego rządów, w którym to okresie do najważniejszych politycznie wydarzeń należy sejm piotrkowski (1496) i wyprawa mołdawska (1497).

Kaczkowski w przeciwieństwie do Sienkiewicza daje w swojej powieści rozległy obraz społeczeństwa polskiego z końca XV wieku. Wprowadza na karty *Olbrachtowych rycerzy* bogatą galerię rycerstwa polskiego, możnowładców, mieszczan oraz duchowieństwo. Ukazuje również i środowisko dworskie z królem Janem Olbrachtem na czele. Postacie historyczne, chociaż nie znalazły się na pierwszym planie, to jednak nie pełnią roli „figurantów”, aby posłużyć się określeniem Chmielowskiego<sup>116</sup>.

Koncepcja powieści, ukazującej życie społeczeństwa w określonym momencie naszych dziejów, nie była nową w polskiej beletrystyce historycznej. Kraszewski np. w wielu swych utworach nie wysiłał się na wymyślną i niezwykłą akcję, ale starał się ukazać ważne procesy dziejowe i społeczne.

Schyłek XV wieku pod wielu względami miał znaczenie przełomowe dla przyszłych dziejów Polski. Był to okres zdobywania przez szlachtę coraz to nowych przywilejów klasowych, zapoczątkowanych jeszcze w ubiegłym stuleciu przywilejem koszyckim z 1374 r., pomnożonych przez Statuty niezawaskie z roku 1454 Kazimierza Jagiellończyka i uchwały sejmu piotrkowskiego z 1496 r., aby ograniczyć się do faktów najbardziej zasadniczych. Zdaniem Kaczkowskiego wzrost hegemonii warstwy szlacheckiej stanowi dla przedstawionej w powieści epoki zagadnienie kluczowe. Autor kilkakrotnie ten moment podkreśla. Chłopski syn, biskup Pudełko, rozżalony i rozgoryczony z powodu zalegalizowanego przypisania chłopów do ziemi, opuszcza na znak protestu obrady sejmu piotrkowskiego, przepowiadając wielkie nieszczęścia, a nawet upadek królestwa. Stary mieszczanin lwowski Sztecher w czasie wesela Gniewosza i Formozy wygłasza w rozmowie z Kundratem cierpkie słowa pod adresem własnej klasy społecznej:

„Za łeb nas wzięli, to prawda. Ale kto temu winien? Oto tacy ludzie, jak ty i ci, którym służyłeś, i jeszcze służysz. Wasza to wina, żeście tak nisko upadli, że kto tylko nogę podniesie, ten, choćby nie chciał, musi wam na kark nastąpić”.

---

<sup>116</sup> Piotr Chmielowski, *Sienkiewicz i Kaczkowski*, „Ateneum” 1889, t. 1, str. 510.

I nawiązuje dalej do czasów za Kazimierza Wielkiego, kiedy to „mieszczanie strzegli pilnie praw swoich, trzymając wiernie z koroną, służyli jej za hamulec, przeciwko wybijaniu rycerstwa, a swoją nauką, pracą, bogactwem i godnością swych obyczajów zasługiwali na poszanowanie. Wolno im było wtedy razem ze szlachtą zasiadać na konwokacjach i zjazdach, radzili wspólnie o dobru tego królestwa i podpisywali traktaty z sąsiednimi mocarstwami i nikt by im nie bronił, gdyby się byli pilnowali stawać *viritem* na sejmikach i wysyłać swoich delegatów na sejmy. A jakżeście się w tym pilnowali?”

Sztecher słusznie zauważa pewne symptomy upadku politycznego mieszczaństwa, nie ma jednak racji, przypisując winę temu stanowi za odsunięcie go od współdziałania w rządach. Słabość ekonomiczna polskich miast była głównym czynnikiem, który umożliwił szlachcie zdobycie prymatu w rządzeniu państwem.

Kaczkowski pokazuje w powieści narodziny szlacheckiego parlamentaryzmu, ale bynajmniej nie entuzjazmuje się złotą wolnością szlachty polskiej, a daleko idące ustępstwa króla wobec tej grupy społecznej tłumaczy (w sposób zresztą bardzo lakoniczny) względami taktyczno-politycznymi. Pośrednio z reakcji Ostroroga i Gniewosza wynikałoby, że artykuły piotrkowskie z 1496 roku ograniczały władzę możnowładców. Kaczkowski jednak tego pozytywnego aspektu uchwał sejmowych nie wydobywa na plan pierwszy.

Warto może przy tej okazji dodać, że autor, tak zawsze zatroskany o źródłową dokumentację przedstawionych wydarzeń dziejowych, w tym wypadku niewiele miał (poza samymi tekstami uchwał sejmowych) materiałów źródłowych, na których mógłby zbudować swoją wizję historyczną. A jednak nie przestał na suchej kronikarskiej relacji, lecz stworzył barwny, plastyczny obraz sejmującej braci szlacheckiej. Ze względów artystycznych i ideologicznych bardzo zależało mu na wyeksponowaniu tej sceny na plan pierwszy, stanowiącej niejako syntetyczny skrót problematyki społecznej *Olbrachtowych rycerzy*.

Świadomość przełomu społecznego i kulturalnego posiadają przede wszystkim przedstawiciele mieszczaństwa. Kijas np. zdaje sobie sprawę ze zmierzchu rycerstwa jako określonej grupy społecznej powołanej do obrony granic i roszczonej sobie z tego powodu nieuzasadnione pretensje do coraz to nowych przywilejów.

Dramat historii widzianej przez Kaczkowskiego w *Olbrachtowych rycerzach* polega na tym, że właśnie to rycerstwo, które dawno (i to zarówno w Polsce jak i w Europie) przeżyło swoje apogeum i którego społeczna funkcja i przydatność staje się coraz bardziej problematyczna, uzurpuje sobie i, co gorsza, zdobywa nadrzędne stanowisko w społeczeństwie, wyyskując je w celu ciemnienia chłopów i złamania mieszczaństwa.

Natomiast dużym uznaniem cieszy się w powieści Kaczkowskiego mieszczaństwo jako klasa społeczna pomnażająca dochód narodowy. Przedstawiciele tego stanu (poza „wysferzonym” Tigranese) to bez wyjątku ludzie pracowici, uczciwi, obrotni i pożyteczni. Nie mówiąc już o Kijasie, trzeba tu jeszcze wspomnieć o zacnym Daszkiewicz z Tustania, godnie reprezentującym swoje miasteczko. Nawet Kundratowi, którego sylwetka została przez autora przerysowana i ośmieszona, nie można odmówić zdolności handlowych i organizacyjnych. Mimo pewnego życiowego nierozgarnięcia posiada on zdrowy sąd o stosunkach społecznych panujących w Polsce. Szczerze nienawidzi rycerzy, od których spotykają go ciągle rozmaite upokorzenia.

Autor nie doprowadza do jawnego konfliktu szlachty i mieszczaństwa. Kaczkowski przedstawia w powieści przede wszystkim patrycjat lwowski, który dzięki zdobytym bogactwom mógł przenikać bez większego trudu do warstwy szlacheckiej, a w każdym bądź razie z nią współżyć, czego przykładem jest chociażby nobilitacja Tigranesa i jego wejście do stanu rycerskiego. Wiek XV nie postawił jeszcze nieprzekraczalnych barier stanowych. Awans społeczny dla plebejów, chociaż utrudniony, był jednak możliwy.

Zresztą mimo sympatii dla mieszczan Kaczkowski, autor napisanego przed laty szlacheckiego cyklu o Nieczujach, również i gdzie indziej szuka pozytywnych bohaterów epoki.

Wprowadza na karty powieści Rejowski, chciało by się powiedzieć, idealny wzór szlacheckiego ziemianina. Jest nim, jak łatwo z lektury powieści się domyślić, epizodyczna postać starego Pretficza. Autor w sposób zaiste sielankowy przedstawia pracę ojca Lubka na folwarku w Sokołowie. Zamiłowany gospodarz z roku na rok dzięki własnej zapobiegliwości i pracowitości pomnaża swój majątek i zakłada coraz to nowe folwarki. Kaczkowski z wyraźnym liryzmem przedstawia dworek Pretficza w Sokołowie, którego opis utrzymany jest w podobnej tonacji uczuciowej, jak kiedyś siedziba pana Wita Piotrowicza w *Murdelionie*.

Nie ludźmy się jednak sugestiami Kaczkowskiego o patriarchalnej opiece sprawowanej przez ojca Lubka nad chłopami. Pamiętamy przecież, że w tym samym XV wieku powstaje słynna *Satyra na leniwych chłopów*, tak zdecydowanie zaprzeczająca chłopsko-szlacheckiej idylli. Nowsze natomiast badania historyczne wykazują, że właśnie na terenach akcji *Olbrachtowych rycerzy* (Sanoczczyzna, Samborszczyzna) rozwinął się i rozszerzył anty-szlachecki ruch chłopski kierowany przez Muchę. Powstanie to, chociaż stłumione w roku 1492, rozgorzało w latach późniejszych, a więc wtedy, kiedy toczy się akcja powieści i zostało zlikwidowane dopiero w roku 1497.

Oczywiście, że Kaczkowski zwracając tak dużą uwagę na pokojowe zajęcia rolnicze, tym samym przeciwstawiał się jednostronnej Sienkiewiczowskiej apoteozie życia rycersko-wojennego.

*Olbrachtowi rycerze* są równocześnie powieścią o problemach władzy. Postać Jana Olbrachta odgrywa w konstrukcji powieściowej rolę niebagatelną. Król próbuje zatrzymać bieg wypadków dziejowych i skupić w swoich rękach pełnię wymykających mu się rządów. Jego zamysły są dalekosiężne. Młody władca usiłuje realizować politykę, która pozwoliłaby mu na ugruntowanie władzy absolutnej. Stąd jego troska o zwiększenie sobie tylko podległej siły zbrojnej. Ważnym etapem na drodze do realizacji tego zamierzenia miała być wyprawa wołoska, skierowana (zdaniem autora) nie tyle przeciwko Turkom, ile w gruncie rzeczy przeciw gospodarowi Stefanowi, któremu polski monarcha chciał odebrać jego mołdawskie księstwo. Postać króla nie została przez Kaczkowskiego wyidealizowana. Autor na miarę ówczesnej wiedzy o epoce stara się wymierzyć mu sprawiedliwość. Pisze o charakterystycznej dwoistości tej postaci, która już uderzała współczesnych kronikarzy, zwłaszcza Miechowitę. Kaczkowski przyznaje Janowi Olbrachtowi duże zdolności, odwagę, męstwo, energię w realizowaniu politycznych zamiarów, szerokie horyzonty umysłowe, ale dostrzega jakąś dziwną, chciałoby się powiedzieć, chłopięcą niefrasobliwość króla, która sprawiała, że niejednokrotnie zarzucał on bardzo ważne sprawy państwowe i polityczne dla błahych przyjemności i miłostek. W decydujących chwilach król potrafił jednak stanąć na wysokości zadania. Wystarczy tu chociażby wspomnieć o jego postawie w obliczu klęski w lesie koźmińskim. Trzeba oddać autorowi sprawiedliwość, że nie wyeksploatował powieściowo przygód erotycznych Jana Olbrachta, o których wspomina raczej marginesowo i ogólnie.

Inne postacie historyczne zostały pokazane epizodycznie. Do szczególnie udanych sylwetek należy postać królewicza Fryderyka, przeznaczonego od najmłodszych lat do stanu duchownego, do którego zresztą nie miał najmniejszego powołania. Był on zdaniem autora jednym z najpotężniejszych książąt Kościoła w Polsce (skupił w swoim ręku dwie godności – biskupstwo krakowskie i prymasostwo gnieźnieńskie), patriotą, roztropnym mężem stanu, nie dającym się ponieść fantazji, ale realistycznie obliczającym siły w rozgrywkach politycznych. Dlatego sprzeciwiał się wyprawie mołdawskiej, którą uważał za przedwczesną i nieprzygotowaną. Dodajmy jeszcze, że młodzieńki prymas reprezentuje inny typ siły i potęgi aniżeli zmarły przed czterdziestu laty jego poprzednik w kardynalskiej purpurze – Oleśnicki. Tamten mimo humanistycznego wykształcenia był duchownym średniowiecznego typu, fanatycznie walczącym o przewagę hierarchii kościelnej nad królem. Kardynał Fryderyk natomiast należał już do zupełnie odmiennej formacji kulturowo-umysłowej. Ze względu chociażby na po-

wiązania rodzinne wspierał zamysły króla. Dbały o dobro Kościoła, sprężysty administrator, ale też jak napomyka Kaczkowski: „nikt go nie przesadził w najwyuzdańszej swawoli, nikt nie był zapaleńszym i niepowściągliwym wielbicielem płci pięknej, nikt nie potrafił więcej wypić od niego”.

Doradca królewski Kallimach w powieści nie występuje, ale autor raz po raz wprowadza o nim szereg wzmianek. Kaczkowski nie przecenia też jego wpływu na koncepcje polityczne Jana Olbrachta. W powieści jest to już starzec zgrzybiały, dogorywający, przedstawiony pozytywnie, chociaż jednostronnie. Kaczkowski bowiem pokazuje przede wszystkim wybitnego a nienawidzonego przez szlachtę polityka, męża stanu, ideologa, a nie znakomitego intelektualistę, na którego zasługi na polu kultury i nauki zwrócił uwagę Kraszewski<sup>117</sup>. Twórca *Starej baśni* widział ponadto we włoskim humaniście człowieka o niewyraźnej postawie moralnej. Kaczkowski zaś zaakcentował jego głęboką troskę o dobro przybranej ojczyzny. Niemniej słusznie sugeruje autor *Olbrachtowych rycerzy*, że poglądy polityczne Kallimacha nie stanowiły bezwzględno *novum* na gruncie polskim. „Nie Kallimach – mówi Gniewosz – te wszystkie rzeczy wymyślił, któremu też nie wiem, dlaczego głupi ludzie je przypisują, jeno Ostroróg, dzisiejszy starosta wielkopolski, z którym nie raz i nie dwa o tym mówiłem i od którego wiele się nauczyłem”.

Najnowsza nauka historyczna wysuwa podobne twierdzenia o wpływie polskiej myśli politycznej, reprezentowanej w pierwszym rządzie przez Ostroroga, na ostateczne ukształtowanie się koncepcji politycznych włoskiego humanisty<sup>118</sup>. Śmierć Kallimacha wiąże pisarz z uchwałami sejmu piotrkowskiego. Włoch widząc swoje plany wzmocnienia i rozszerzenia władzy królewskiej w gruzach, „umarł z żalu, z żalu nad losem Polski, którą szczerze ukochał, a której przyszłość wraz z Ostrorogiem widział tylko w porównaniu wszystkich stanów przed prawem, we wzmocnieniu władzy królewskiej i postawieniu armii stojącej”.

Kaczkowski dla jeszcze mocniejszego podkreślenia nienawiści, jaką żywił do Kallimacha ogół szlachecki, świadomie i celowo przedstawia jego pogrzeb jako bardzo skromny, podczas gdy skądinąd wiadomo, że w uroczystościach żałobnych wzięło udział czterestu biskupów i liczne tłumy mieszkańców Krakowa.

Tom drugi powieści rozpoczyna się od przygotowań do wyprawy czarnomorskiej (barwnie przedstawiony obóz pod Lwowem). Oblężenie Suczawy nie przysporzyło chwały polskiemu rycerstwu. Kaczkowski w przeciwieństwie do Sienkiewicza nie stroni od ukazania klęski. Pokazuje niepowodzenia wojsk królewskich pod mołdawską stolicą, pogrom w wąwozie koźmińskim, chociaż jego rozmiary sprowadza do granic historycznego prawdopodobieństwa.

Pisarz stara się podejść do przeciwników z pełnym obiektywizmem. Nie lekceważy ani pomniejsza wybitnych zdolności organizacyjnych i politycznych wojewody Stefana. Przypisuje mu co prawda wielkie (przez kronikarzy poświadczone) okrucieństwo, ale też i niepospolity rozum, chytryść oraz energię. Dostrzega wyjątkowo trudne położenie geopolityczne jego państwa. Akcentuje zdolności dyplomatyczne hospodara, które umożliwiły mu prowadzenie ryzykownej gry politycznej i lawirowanie między Polską, Węgrami i Turcją, „za co też w dziejach narodu nazywa się Wielkim, mógł lat przeszło trzydzieści swoje państewko bronić zwycięsko przeciw trzem takim potęgom i zostawić je swoim następcom”.

I znowu trudno nie widzieć chęci przeciwstawienia się swemu utalentowanemu współzawodnikowi, który w *Ogniem i mieczem* przyczernił obóz kozacki i jego przywódców, a wyidealizował Polaków, zwłaszcza księcia Jeremiego Wiśniowieckiego.

Na marginesie przełomu społeczno-ekonomicznego kreśli Kaczkowski przeobrażenia kulturalno-umysłowe w Polsce na schyłku wieku XV. Zagadnienia te o tyle znajdują w powieści słabsze odbicie, że autor jakby niechętnie i z ociąganiem przenosi akcję do Krakowa. Tam

<sup>117</sup> w powieści: *Jaszka zwanego Orfanem żywota i spraw pamiętnik*

<sup>118</sup> Józef Garbacik, *Kallimach jako dyplomata i polityk*, Kraków 1948

zresztą lokalizuje ją na zamku królewskim. A przecież także i samo mieszczaństwo krakowskie wraz z rozkwitającym wówczas uniwersytetem stanowiło ważny ośrodek nowych prądów i zjawisk kulturalnych.

Autor, wprowadzając akcję we Lwowie do patrycjuszowskiego domu Kijasa, wspomina o zainteresowaniach intelektualnych gospodarza. Pan Epaminondas znał świetnie nie tylko geografie całej Europy, co zresztą należało do jego wykształcenia zawodowego, ale był również miłośnikiem pięknych rękopisów i cennych druków. Poza tekstami o charakterze religijnym posiadał on w swojej bibliotece utwory Wergiliusza, Horacego, Owidiusza, Platona i kilka pieśni *Boskiej komedii* Dantego. Aczkolwiek stary Ormianin nie odznaczał się umysłem spekulatywnym, a cechował go przez całe niemal życie zdrowy i praktyczny stosunek do życia, to jednak przygnieciony śmiercią syna zagłębił się w medytacjach filozoficznych. Człowiek średniowieczny szukałby w takich wypadkach ukojenia i pociechy w religii. Tymczasem u Kijasa, którego zagadnienia filozoficzno-religijne dotychczas specjalnie nie interesowały, pojawiają się pytania na tematy, jakby to się dziś powiedziało, ostateczne. Rzecz bardzo charakterystyczna, że pogrążony w żałobie ojciec szuka na nie odpowiedzi u Platona, a potem dopiero sięga do pisarzy kościelnych i Pisma świętego. U Kijasa widzimy poszukiwanie prawdy. Nie przyjmuje on bez zastrzeżeń gotowych formułek sugerowanych przez autorytety religijne. Wątpliwości eschatologiczne pojawiają się u niego w chwili szczególnie ciężkiej, naiwne są jego przypuszczenia o zaświatowym miejscu pobytu duszy Tigranesa, niemniej jednak dociekania filozoficzne wynikają z niepokoju intelektualnego i światopoglądowego człowieka epoki przełomu kulturalnego. Nic zresztą dziwnego. Z biografii Ormianina pamiętamy, że zetknął on się we Lwowie z wybitnym humanistą – Grzegorzem z Sanoka, któremu wszystko, jak mówił, zawdzięczał, co umie.

Pani Formoza jest również kobietą niezwykle wykształconą. Czyta w kilku językach, nie stroni nawet od lektury *Remedia amoris* Owidiusza, co jak na kobietę XV-wieczną jest aktem dużej śmiałości intelektualnej. Jej przemówienie łacińskie wygłoszone w dniu zaślubin z Gniewoszem budzi powszechny aplauz i uznanie. I nie ma w tym żadnej przesady ze strony Kaczkowskiego, że tak hojnie wyposażył żonę Tigranesa także i pod względem umysłowym. Historycy bowiem kultury, a także i sam autor *Olbrachtowych rycerzy* stwierdzają, że niejednokrotnie kobiety mieszczańskie osiągały w tych czasach o wiele gruntowniejsze wykształcenie od szlachcianek. Jagienka np. nie może się ani równać intelektualnie ze swą ciotecznią siostrą.

Wysoka kultura materialna, wrażliwość na nowe zjawiska kulturalno-umysłowe, owa słynna *urbanitas* – oto przedstawione w największym skrócie nowe humanistyczne wartości, którym hołdują wierzchołki lwowskiego mieszczaństwa. Patrycjat ówczesny zwłaszcza we Lwowie dzięki nagromadzonym bogactwom płynącym ze zyskownego handlu ze Wschodem przeżywał swój rozkwit i mógł bez przeszkód rozwijać swoje zamiłowania intelektualne.

W środowisku szlacheckim poza królem, który podobnie jak i jego otoczenie nie został pokazany od strony swoich zainteresowań kulturalnych, a o którym z lakonicznej wzmianki dowiadujemy się, że był poliglotą i z przyjemnością oddawał się lekturze, z humanizmem zetknął się również Kergolaj. Przygotowując dla uczczenia pobytu Jana Olbrachta we Lwowie widowisko pasyjne, zrywa on z tradycją misteriów typu franciszkańskiego. W oparciu o znajomość zachodniej literatury dramatycznej przygotowuje tekst bardziej nowoczesny. Misterium Kergolaja ze względu na swój charakter musiało opierać się na Ewangeli, ale pomysły autor wprowadził (za przykładem francuskim) także i sceny humorystyczne. Bóg w jego dramacie posługuje się wyrażeniami dosadnymi, rubasznymi, a więc w sposób zasadniczo różniący się od sakralnej powagi średniowiecznego pasyjnego spektaklu.

Przedstawienie to spotkało się z dezaprobatą miejskiego pospólstwa. Sfanatyzowany tłum, podburzony przez kler nie dopuścił do zakończenia widowiska.

Scena z misterium, chociaż nie posiada większego znaczenia dla rozwoju akcji, zawiera jednak sporo ładunku dramatycznego. Pośrednio też świadczy, że nowe wartości humanistyczne i świeckie częstokroć natrafiały na zdecydowany opór i sprzeciw ze strony średniowiecznego ciemnogrodu. Nawet sam kardynał Fryderyk, a więc duchowny nowego już pokroju, nie mógł przewyciężyć oporu swoich kanoników, którzy swego czasu twardo sprzeciwili się wystawieniu Kergolajowego misterium w Krakowie.

Rzecz bardzo znamienna, że teksty dramatu liturgicznego i to zarówno łacińskie jak i polskie, odpowiadające typowi *visitatio sepulchri*, jakie zachowały się w Polsce do naszych czasów, związane są ściśle z tekstem ewangelicznym i trudno znaleźć w nich jakiegokolwiek wstawki o charakterze świeckim.

Już tytuł *Olbrachtowi rycerze* sugeruje, że w powieści na plan pierwszy wysuwa się grupa rycerzy związana z królem. Kaczkowski kreując sylwetki rycerskie, chciał je przeciwstawić Sienkiewiczowskiemu bohaterom z *Ogniem i mieczem*. Ale w przeciwieństwie do autora *Szkiców węglem* nie idealizuje on swoich rycerzy i stara się ich przedstawić w sposób obiektywny, daleki od gloryfikacji. I tak na przykład Wilczek, starosta tustański (swoją melancholią i posepnością przypominający Skrzetuskiego), jest mimo swojej odwagi, dobrej znajomości rzemiosła rycerskiego, człowiekiem gwałtownym, niepohamowanym furiatem, zdolnym do zbrodni, pozbawionym skrupułów moralnych wobec nieszczęśliwej Ofki.

Kergolaj natomiast, potraktowany przez autora z dużym ironicznym dystansem, występuje w powieści początkowo w roli rzekomego „błędneho rycerza” Jagienki, a potem wielbiciela aspirującego do wdzięków uroczej Formozy, a wreszcie wobec jej oporu, amanta pełnej temperamentu Pachny. I bynajmniej nie rozpacza, gdy znajduje szczęśliwszego rywala w osobie samego króla. Uchyła się zgrabnie od małżeństwa z Rusinką, co gorsza, utrzymuje z nią intymne stosunki nawet wówczas, kiedy wychodzi ona z braku lepszego kandydata za Kundrata.

Tigranes również nie budzi sympatii czytelnika. Niewydarzony fizycznie nominalny mąż Formozy gardzi stanem i zawodem kupieckim ojca. Kaczkowski stara się w końcu ośmieszoną postać nobilitowanego mieszczanina, pasowanego przez króla na rycerza, trochę podwyższyć.

Tigranes ginie męczeńską śmiercią wbity na pal przez Wołochów. Ale gloria otaczająca syna Kijasa jest podejrzana. Wykazał on na polu walki nie tyle niezwykle męstwo, co karygodną lekkomyślność. Pozwolił się otoczyć przeważającym siłom nieprzyjaciela, sam zginął, niczego nie dokonawszy i zmarnował doskonale wyekwipowany oddział wojskowy.

W Frącku Ajchingerze widzi Kaczkowski aż do granic karykatury posuniętą tępotę umysłową, prostactwo, chciwość i brutalność. Ośmieszony został poczciwy i dzielny, ale prymitywny Olizar.

Największym uznaniem autora cieszy się Cherubin Gniewosz, drugi obok Wilczka główny bohater *Olbrachtowych rycerzy*. Autor nie poskąpił mu zalet fizycznych i umysłowych. Starosta czorsztyński jest dla Kaczkowskiego polskim Bayardem, *chevalier sans peur et sans reproche*, odznacza się w przeciwieństwie do sceptycznego a nawet cynicznego Kergolaja wielką prawością moralną, szlachetnością i wytrwałością w uczuciach. Ale nawet sam Cherubin budzi pewne zastrzeżenia czytelnika. Okoliczności, w jakich doszło do skutku jego małżeństwo z Jagienką, na pewno nie świadczą pozytywnie o jego doświadczeniu życiowym, co wydaje się tym dziwniejsze, że należał przecież do wytrawnych, zaufanych współpracowników samego króla i był kandydatem do najwyższych godności w królestwie.

Z przedstawicieli możnowładców wysuwa się na miejsce bardziej poczesne stary Kmita, wyraźnie potraktowany przez autora humorystycznie. Z dużą słusznością można by odnieść do niego Określenie Słowackiego z przedmowy do *Lilii Wenedy*: „Oto jest brat Rolanda a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i Molierowskiej w domu słabości”.

Ograniczony umysłowo, zgnuśniały sybaryta, chociaż dzielny w boju, przejęty wielkością swego rodu i własnej osoby przeżywa duchowe niepokoje związane z zabójstwem dwóch chłopów. Kaczkowski te jego skrupuły moralne przedstawia w sposób zdecydowanie humorystyczny. Można by o to mieć nawet pretensje do autora.

Na tle tej sylwetki jakżeż odmiennie wypadła jego żona, typowa *hic mulier*. Zwłaszcza kapitalna jest ona w scenie z królem, która to scena dostarczyła Kaczkowskiemu okazji do przedstawienia bardzo ciekawego starcia się racji politycznych myślącego kategoriami bardziej nowoczesnymi Jana Olbrachta i poglądów kasztelanowej, tkwiącej całkowicie w feudalnych wyobrażeniach i uprzedzeniach.

Już dawno krytyka literacka zauważyła, że Kaczkowskiemu niezupełnie udały się postaci pierwszoplanowe. Zarówno Wilczek jak i Gniewosz, mimo że autor poświęca wiele uwagi ich charakterystyce zewnętrznej i wewnętrznej, nie rysują się czytelnikowi z taką wyrazistością jak np. Olizar, Frącek Ajchinger, Lubek, król, kardynał Fryderyk.

Z postaci odgrywających w akcji powieściowej wybitniejszą rolę ciekawie została nakreślona sylwetka wspomnianego już Kergolaja i księdza Wary. Ten podejrzanej konduity ksiądz, żerujący na ludzkiej naiwności i zabobonie, oszust udający pobożnego pielgrzyma do Rzymu i Ziemi Świętej, swymi łgarstwami przypomina niekiedy samego Zaglobę z *Ogniem i mieczem*. Do jednego oszustwa nie jest wszakże ksiądz Wara zdolny – do handlu relikwiami, co jeszcze w XV wieku nie należało do rzadkości. Nie sprzedaje on na przykład szczebla z drabiny, która śniła się Jakubowi, jak jego literacki krewniak Sanderus z napisanych w kilka lat później *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza.

W utworze występują również dwie kobiety, odgrywające w akcji powieściowej ważną rolę – Jagienka i Formoza. Różnią się od siebie dość znacznie. Jagienka, wychowanka panien klarysek, pod maską uległości i spokoju ukrywa bardzo bujny temperament, którego ani może, ani chce okiełzać. Daleko jej do cnotliwości Sienkiewiczowskiej Heleny czy też Oleńki. Formoza natomiast wyrosła w ciepłarnianej atmosferze domu Kijasa jest dla Kaczkowskiego uosobieniem kobiecego wdzięku i powabu. Gruntownie wykształcona (co się kobietom Sienkiewicza nawet w powieściach współczesnych nie przydarza), rozumna, uczciwa moralnie, ale bez fałszywej pruderii, zdolna jest w przeciwieństwie do żywiołowej Jagienki do subtelnych uczuć. Umie panować nad sobą. Nie rozbudzona uczuciowo, nagle dojrzewa jako kobieta w momencie spotkania się z Gniewoszem. Nie wchodzi jednak na łatwą drogę pozamałżeńską miłości.

Kaczkowski stara się zasugerować czytelnikowi przeświadczenie, że obyczajowość szlachecka stała mimo wszystko wyżej na dworach szlacheckich aniżeli wśród mieszczan. Trudno się z tą sugestią autorską zgodzić, chociaż obyczaje mieszczańskie były mniej skrupowane od szlacheckich i mniej usztywnione rygorystycznie pojmowaną moralnością religijną.

Uczta u starego Kijasa, w której brali udział przedstawiciele szlachty, możnowładców i mieszczaństwa, z przypadkowym strip teasem Pachny była co prawda o wiele swobodniejsza od zabaw i turniejów rycerskich, ale nie wykraczała poza granice dobrego smaku i wychowania. Bez uchybienia swojej godności mógł wziąć udział w wesołej zabawie sam arcybiskup Boryszewski.

A tymczasem na zamku sobieńskim dwie, zdawałoby się, czcigodne matrony doprowadziły do straszliwej uczuciowej tragedii dwojga młodych ludzi. To przecież rycerstwo, a nie mieszczenie, grabiło spokojnych ludzi, ostatecznie Jagienka, a nie Formoza tak łatwo podeptała surowe normy szlacheckiej moralności z wyraźną nawet aprobatą Kaczkowskiego, skoro autor napomykając o pierwszym fizycznym zbliżeniu się młodych kochanków pisze, że „niebo otworzyło się przed nimi, trzydzieści sześć gwiazd zapłonęło w ich oczach, a aniołowie grali im hymny niebieskie do świtu”. A więc pod bardzo wysokim patronatem rozpoczęli nowy okres swego życia! Uwodzicielem Pachny jest Kergolaj, a nie Kundrat. Wreszcie Wilczek, a nie chłopski syn Włostek, uwiódł i porzucił Ofkę.

Autor *Murdeliona* w swoim cyklu nieczujowskim, bardzo reprezentatywnym dla pierwszego okresu twórczości, nie silił się na zdynamizowanie akcji, która poza drobnymi wycinkami płynęła spokojnym, isticie gawędziarskim nurtem.

W *Olbrachtowych rycerzach* Kaczkowski pozostał na ogół wiernym dotychczasowej technice pisarskiej z tym jednakże zastrzeżeniem, że narratorem przestaje już być postać z opisywanej epoki, a jej funkcje przejmuje sam autor. Ma to doniosłe znaczenie dla zawartości treściowej powieści.

Dzięki temu Kaczkowski w dalszym ciągu skupiając swoją artystyczną uwagę na obrazkach obyczajowych, które należą do najświetniejszych w powieści, w szerokim stopniu uwzględnia zasadnicze problemy społeczne i polityczne epoki. Wątek polityczny we wspomnianym cyklu powieści z ubiegłego okresu prawie nie występował. Zagadnienia wielkiej polityki z konieczności uchodziły uwagi nie-senatorskiej bądź co bądź głowy pana Marcina Nieczui.

Tymczasem w *Olbrachtowych rycerzach* wątek polityczny chociaż nie góruje nad pozostałymi, jak w wielu powieściach Kraszewskiego, to przecież zajmuje ważne miejsce. Autor jako narrator może dawać szeroki uogólniający komentarz niekiedy nawet ze szkodą dla zawartości powieści. Na wiele spraw patrzy z perspektywy historycznej, uprawniony jest do budowy syntezy, na jaką człowiek współcześnie przeżywający relacjonowane wydarzenia nie mógłby się zdobyć.

Kaczkowski w *Olbrachtowych rycerzach* zrywa również częściowo ze schematem powieści przygód. Bynajmniej to nie oznacza, że odstępuje on w tym wypadku od wątku erotycznego względnie że odrzuca do lamusa elementy sensacyjno-tajemnicze. Tak nie jest. Sprawy uczuciowe podobnie jak w *Murdelionie* odgrywają w życiu większości bohaterów powieściowych rolę ważną i wyznaczają ramy konstrukcyjne utworu.

Miłość w interpretacji Kaczkowskiego urasta do roli jakiegoś przeznaczenia. Decydująco wpływa na ludzkie losy. Jakżeż tragiczny jest ów „czworokąt” miłosny: Jagienka, Wilczek, Gniewosz, Formoza! Bohaterowie przeżywają swoje uczucia w sposób romantyczny. Szczególnie dla Wilczka i Jagienki miłość jest siłą żywiołową, niweczącą ich życie.

Powikłania uczuciowe młodych bohaterów powieściowych ciągle przenikają do spokojnie płynącego toku akcji i nasycają go niekiedy elementami sensacyjno-awanturycznymi. Pozostają nawet w pewnym dysonansie z tłem obyczajowo-politycznym powieści. Z drugiej zaś strony wypadki natury politycznej wpływają w niemałym stopniu na losy młodych ludzi. Gdyby na przykład król nie zatrzymał przy sobie Wilczka, to najprawdopodobniej nie doszłoby do tragedii w Sobniu. Wyprawa wołoska zajmuje ważne, może nawet centralne miejsce w politycznym wątku powieści. Niezbędnie też była potrzebna autorowi i ze względów kompozycyjnych. Tragiczna śmierć Tigranesa przyczyniła się do rozsypnięcia jednego z węzłów uczuciowych powikłań bohaterów powieści. Zaginięcie Gniewosza pod murami Suczawy umożliwiło krótkotrwałe zresztą, niewolne od goryczy szczęście Jagienki i Wilczka.

W powieści radosnym akordem jest małżeństwo Gniewosza i Formozy. Jednak na ich szczęście padają cienie umarłych – Tigranesa, Jagienki, a nawet stara matka Cherubina musiała umrzeć, aby syn nie napotkał znowu na nieprzewyciężone przeszkody z jej strony. Bezsensowna śmierć Kijasa na podmiejskim cmentarzu, jeśli już nie umożliwiła (ostatecznie Formoza jako wdowa miała pełną swobodę decyzji w wyborze męża), to w każdym razie ułatwiła jej spełnienie marzeń uczuciowych. Za życia teścia mogła czuć się moralnie skrepowaną w swych matrymonialnych zamierzeniach.

Doszło w powieści do skutku także i małżeństwo Ofki z Włostkiem po bardzo bolesnych przeżyciach obojga, po przewyciężeniu zacieklego oporu zdziwaczałego Biłowusa.

Zresztą autor zamąca nawet chronologię akcji powieściowej, aby zakończenie *Olbrachtowych rycerzy* nie miało charakteru pogodnego. Po tragicznej śmierci Jagienki autor przenosi



akcję z zamku tustańskiego do Lwowa. Doprowadza do małżeństwa Formozy i Gniewosza, a także (w tym samym rozdziale) do wspomnianych już zrękowin Włostka i Ofki. W jakim celu? Tylko po to, aby w końcowym rozdziale zatytułowanym Ostatnie ofiary nawiązać do przerwanej akcji o tragicznych wydarzeniach na zamku tustańskim. Autorowi niewątpliwie zależało na dramatycznym i niesamowitym efekcie końcowym. Tym razem był to dosłowny *coup de foudre*. Zresztą nie na tym kończy się rejestr niezwykłości zakończenia. Nieuprzedzony czytelnik sądziłby w pierwszej chwili, że wzmianka o szczęściu małżeńskim Ofki i Włostka służy do rozładowania napięcia dramatycznego, wywołanego przez groźny kataklizm przyrody. Tymczasem autorowi była potrzebna jeszcze nowa ofiara. Lubek przewinął się przez dom młodych Biłowusów, by umrzeć z wyczerpania na miejscu katastrofy Jagienki.

W *Olbrachtowych rycerzach* Kaczkowski celowo zwalnia tempo akcji, aby wydobyć charakterystyczne cechy opisywanego środowiska i to przede wszystkim od strony obyczajowej.

Obszerna ta powieść zamknięta jest w osiemnastu rozdziałach, liczących po kilkadziesiąt stron. Przeważnie każdy rozdział daje obraz jednego środowiska.

Zainteresowanie obyczajowością wykracza u Kaczkowskiego poza warstwę rycerstwa i możnowładców. Nie szczędzi również pisarz ciepłych barw dla ukazania obyczajów mieszczkańskich. Bardzo ciekawie została na przykład ujęta przez autora scena wystawienia misterium na rynku lwowskim oraz uczta u starego Kijasa.

Aczkolwiek lud w powieści nie został właściwie pokazany (pomijamy tutaj mało znaczną scenkę rozmowy starego Pretficza z chłopami na temat wspólnej budowy kościoła rzymskokatolickiego), to przecież obyczajowość ludowa przenika do powieści przynajmniej dwukrotnie. Po śmierci Olizara Fesia zawodzi pod osłoną nocy pieśni ruskie przy zwłokach kochanka. Zrękowiny Ofki i Włostka miały charakter ludowy. Ostatecznie Włostek był synem chłopca, a i Biłowus mimo swego „kniaziostwa” i zdobytych na wojnie łupów mentalnością, kulturą, trybem życia niewiele różnił się od włościan. Uczestnicy uroczystości – mieszczanie, prosty pop ruski również ani do szlachty, ani do patrycjatu nie należeli i obrzędowość ludowa była dla nich tak samo bliska i zrozumiała jak i dla chłopów.

Folklor w *Olbrachtowych rycerzach* jest folklorem ruskim, co oczywiście wiąże się ze stosunkami narodowościowymi na Rusi Czerwonej.

Ponadto ukazuje Kaczkowski zabawy rycerskie, turnieje, uczty, nie obeszło się nawet bez krwawego pojedynku, przedstawionego w sposób bardzo naturalistyczny. Starcie orężne dwóch przeciwników w niczym nie przypomina Sienkiewiczowskiego baletu na szable czy szpady, ale jest to walka na śmierć i życie.

Z rycerstwem wiąże się oczywiście wyprawa wołoska. I tu chyba Kaczkowski święci swoje największe triumfy jako malarz scen zbiorowych. Bardzo sugestywnie przedstawił pisarz obóz pod Lwowem, a później oblężenie Suczawy, klęskę w lesie koźmińskim. Autor o wiele bardziej nowocześnie konstruuje sceny bitewne od Sienkiewicza. U twórcy *Trylogii* bitwa w zasadzie przeobraża się w szereg po homerycku przedstawionych pojedynków i o jej wyniku zazwyczaj decyduje osobiste męstwo poszczególnych bohaterów powieściowych.

Kaczkowski zaś patrzy na bój z pozycji dowódcy, co pozwala mu na stworzenie pełnego obrazu bitwy, względnie bardzo istotnego jej odcinka. Dlatego też mniej interesują go indywidualne zapasy bohaterów powieściowych. Od czasu do czasu pokazuje ich, ale jako dowódców wprowadzających swoje oddziały do walki. I to jest dla autora istotne, a nie fakt, ile tam głów wołoskich ściał Wilczek czy Kergolaj. Nie szczędzi oczywiście uznania dla ich osobistego męstwa, odwagi, zdolności w dowodzeniu, ale postaci bohaterów nie przesłaniają mu całości obrazu. Ani słówkiem nie sugeruje, że którykolwiek z nich przechylił szalę zwycięstwa na polską stronę. Zdaniem Kaczkowskiego na problematyczne zresztą zwycięstwo na Wołoszczyźnie złożył się w pierwszym rzędzie wysiłek zbiorowy całego wojska oraz zdolności strategiczne doświadczonych i zaprawionych w bojach dowódców.

I pomyśleć, że niektórzy krytycy w swoim czasie odmawiali Kaczkowskiemu zdolności batalistycznych!

Do gwałtownego zgiełku tempa bitewnego dostosowuje autor nawet rytmikę swojej prozy. Gromadzi zdania krótkie, urywane.

Kaczkowski wychodząc z założenia, że pisarz powinien przedstawiać te okolice, które dobrze zna z autopsji, wykazuje szczególną predylekcję, jeśli chodzi o topograficzne usytuowanie akcji powieściowej. Po starym wybiera okolice sanocko-czerwonoruskie i opisuje je, jak zwykle, dokładnie.

Sam Lwów został opisany z nadzwyczajną dokładnością, z przytoczeniem najważniejszych wydarzeń z historii tego miasta.

Opisy Kaczkowskiego odznaczają się dużą wartością literacką. Najlepiej można to sobie uświadomić, gdy się porówna opis okolicy i ruin zamku tustańskiego w *Olbrachtowych rycerzach* z analogicznym opisem Augusta Bielowskiego<sup>119</sup>, który bądź co bądź był pisarzem niepośledniej miary. Kaczkowski umie patrzeć i emocjonalnie przeżywać krajobrazy swego geograficznego regionu. Pomija zaś milczeniem piękno pozostałych okolic Polski nawet takich jak np. Czorsztyn.

Panoramyczna rozległość akcji powieściowej koliduje w pewien sposób z wątkiem romansowym dzieła. Istnieje jakaś niewspółmierność między realistycznie przedstawioną i udokumentowaną warstwą społeczno-obyczajową powieści a bardzo osobliwie powikłanym wątkiem miłosnym, stwarzającym cały szereg sytuacji niezupełnie uzasadnionych z punktu widzenia realizmu powieściowego.

Aby tę sprzeczność wyjaśnić, trzeba sięgnąć do genezy pomysłu Kaczkowskiego. W liście z dnia 30 sierpnia 1853 roku pisał autor o swoim projekcie napisania powieści o czasach Jana Olbrachta. „W tym też celu ułożyłem i wyrobiłem w całkowitości szkielec do powieści pt. *Olbrachtowi rycerze*. Jest to rzecz osnuta na istniejącym dotąd podaniu, przyczepionym do pewnych starożytnych ruin widzialnych po dziś dzień”<sup>120</sup>. Z innych listów wynika, że Kaczkowski przeprowadził szczegółowe studia (o czym będzie jeszcze mowa) nad badaną epoką. Twórca cyklu nieczujowskiego, wychodząc od przekazów historycznych, konstrukcję powieściową oparł na legendzie ludowej, osnutej wokół ruin tustańskiego zamku. Kaczkowski znał wydaną w roku 1850 w Poznaniu broszurę Mikołaja z Maćkowic (Przedrzymirskiego) pt. *Truskawiec z okolicami*. Autor tej książeczki daje m. in. opis okolicy i rumowisk dawnego tustańskiego zamku. Towarzyszący mu chłop opowiada jedną z legend związaną z oglądanymi ruinami. Jest tam mowa o „carzyku”, właścicielu bogatych włości, któremu zły duch zadróścił szczęścia z młodą żoną i czyhał na jego zgubę.

Oczywiście, że autor nie mógł posłużyć się motywami baśniowymi w sposób dosłowny, że musiał je przetworzyć, zracjonalizować i dostosować do potrzeb realistycznego prawdopodobieństwa powieściowego. Próba ta nie przyniosła najlepszych rezultatów. Wielu z krytyków uderzała słabość motywacji bardzo ważnego etapu akcji, który można by nawet w pewnym sensie uznać za punkt kulminacyjny powieści. Chodzi tu o przymuszenie Gniewosza i Jagienki do małżeństwa wbrew ich woli i życzeniom. Rozdział VIII zatytułowany nie bez racji *Średnowieczna tragedia* ma dla przyszłych losów bohaterów wątku uczuciowego znaczenie zasadnicze. Pełni bowiem funkcje architektonicznego zwornika podtrzymującego całość konstrukcji utworu. Kaczkowski nie zdołał w pełni uzasadnić dramatycznych zajęć w Sobniu.

Dlatego dziwić się musimy małej obrotowości Gniewosza, który nie potrafił porozumieć się z Jagienką. Trzeba mieć wątpliwości co do stanowiska ojca Chryzostoma tak łatwo zmieniającego swoje decyzje. Sam ślub młodych odbył się, jak wolno się domyślać, z pogwałceniem

<sup>119</sup> August Bielowski, *Przypomnienia z podróży po kraju*, „Dziennik Mód Paryskich” 1846, nr 1-2

<sup>120</sup> „Wędrowiec” 1896, nr 41, t. II, str. 278

przepisów kościelnych, bez spowiedzi, w czasie której Gniewosz i Jagienka mogliby ujawnić księdzu Kmicie swoje prawdziwe uczucia.

Krechowiecki w swojej monografii o Kaczkowskim wspomina, że „z legend i opowiadań starych ludzi o zamku sobieńskim wziął autor główną niemal osnowę powieści, a mianowicie szczegóły o wydaniu przymusowym Jagienki Kmitówniej, rozmiłowanej w Wilczku, za Gniewosza”<sup>121</sup>. I dalej monografista przytacza fragment z listu Kaczkowskiego, z którego wynika, że podobne bajki opowiadał autorowi generałowicz Rzuchowski i Wolski. „Zastosowałem to do ducha czasu, jak go wyrozumiałem z kronik współczesnych”.

Podobnie wygląda i pierwsza rozmowa Wilczka z Kostrubanem. Można rozumieć stan uczuciowy Lenarda po rozmowie z ojcem Chryzostodem. Można nawet znaleźć usprawiedliwienie dla wyrażonej w przystępie rozpaczliwej chęci paktowania starosty z siłami piekielnymi. Ale dlaczego Kostruban przedstawił się jako diabeł, a Wilczek zbyt pochopnie, a niby „chyttrze” sprzedał mu swoją duszę? „Diabeł” przecież niczego od niego nie żądał.

Wątpliwa, jeśli chodzi o realizm powieściowy, jest również historia Gniewoszowego testamentu i połowy obrączki ślubnej.

Na to nadmierne skomplikowanie wątku erotycznego wpłynęły poza oparciem kośćca konstrukcyjnego powieści na motywach baśniowych także i nieprzewyciężone do końca tendencje Kaczkowskiego do wprowadzania do swoich utworów elementów sensacyjno-tajemniczych. Kaczkowski niezupełnie przekonująco uniezwyklił tło pierwszego spotkania Wilczka z Kostrubanem. Nie trzeba wspominać o udziwnionym efekcie zakończenia. Również i relacja Lubka o pobycie Gniewosza w niewoli ma charakter wyraźnie legendowy. Natomiast śmierć Jagienki oraz reakcje Wilczka po utracie żony i dziecka, chociaż osobliwe, tłumaczą się psychologicznie i realistycznie w sposób dostatecznie przekonujący.

W spuściźnie beletrystycznej Kaczkowskiego *Olbrachtwi rycerze* stanowią sumę jego doświadczeń artystycznych, gromadzonych w ciągu niemal 40 lat życia, a zarazem są pięknym przykładem przekształcania się warsztatu pisarskiego, początkowo bardzo tradycyjnego, uzależnionego od zdobyczy poprzedników (Rzewuski), a potem coraz bardziej usamodzielniającego się i osiagającego własny, indywidualny wyraz.

Droga beletrystyki historycznej Kaczkowskiego wiedzie od prób przewyciężenia tradycji gawędy szlacheckiej, widocznej już w cyklu nieczujowskim, do podjęcia ważkiej problematyki społecznej, politycznej przy wciąż szerokim ujmowaniu spraw obyczajowych.

Wobec braku rękopisu można snuć jedynie ostrożne przypuszczenia, ale wydaje się rzeczą prawdopodobną, że chociaż pomysł powieści zrodził się w świadomości artystycznej pisarza trzydzieści lat przed ostateczną realizacją, to jednak zawartość treściowa (zwłaszcza problematyka społeczna i polityczna) uległa chyba w ostatecznym akcie twórczym znacznym przeobrażeniom.

Kaczkowski bliższy jest jako autor *Olbrachtowych rycerzy* Kraszewskiemu aniżeli Sienkiewiczowi. Z tym jednak zastrzeżeniem, że znakomity autor *Starej baśni* zwłaszcza w swoich powieściach historycznych z ostatniego okresu życia (cykl *Dzieje Polski*) zwracał przede wszystkim uwagę na wydarzenia polityczne, zagadnienia natomiast społeczne, obyczajowe i kulturalne pomijał albo też wyraźnie spychał na zupełnie daleki margines. Kaczkowski zaś, któremu Sienkiewicz jako autorowi powieści historycznych niejedno zawdzięczał, w *Olbrachtowych rycerzach* okazał się bardziej nowoczesnym od swego młodszego utalentowanego kolegi. Zwracał uwagę na to ciekawe zjawisko już Chmielowski<sup>122</sup> i to nawet po napisaniu przez Sienkiewicza *Potopu*, która to powieść w niejednym szczególe wykracza poza koncepcje ideowe i zdobycze artystyczne *Ogniem i mieczem*.

<sup>121</sup> Adam Krechowiecki, *Zygmunt Kaczkowski i jego czasy*, Lwów 1918, str. 437

<sup>122</sup> Piotr Chmielowski, Sienkiewicz i Kaczkowski, „Ateneum” 1891, t. 1, str. 512

*Olbrachtowi rycerze* są próbą odnowienia polskiej powieści historycznej. Bo jakkolwiek Sienkiewicz odświeżył artystycznie stary romans sensacyjno-awanturkowy, to jednak Trylogia tkwiła mocno w tradycjach gawędy szlacheckiej. Dopiero w *Krzyżakach* zerwał on ze swoim schematem powieści sensacyjno-awanturkowej, zrezygnował z niezwykłych wydarzeń i dał, podobnie jak Kaczkowski, szeroki, barwny obraz Polski XIV i XV wieku. Pogłębił też wątek polityczny, poszerzył tło społeczne i obyczajowe. Pomijając tutaj ocenę artystyczną *Olbrachtowych rycerzy* i *Krzyżaków* (bo trudno nie widzieć większego talentu Sienkiewicza), można stwierdzić, że było to pozagrobowe zwycięstwo autora *Murdeliona*. Sienkiewicz bowiem tworząc powieść typu *Olbrachtowych rycerzy* tym samym potwierdził słuszność artystycznych i ideowych założeń Kaczkowskiego.

W omawianej powieści Kaczkowski nie wprowadza nawet tak dyskretniej archaizacji językowej, jaką posługiwał się w cyklu nieczujowskim. W przeciwieństwie do Sienkiewicza, który w *Krzyżakach* (bądź co bądź epoka nie taka odległa od czasów akcji *Olbrachtowych rycerzy*) archaizuje dialogi, a nawet i narrację odautorską, opierając ją na gwarze podhalańskiej, Kaczkowski posługuje się językiem niemal współczesnym.

Zarzucono od dawna Kaczkowskiemu, że nie miał poczucia humoru. Jakby dla zaprzeczenia tym insynuacjom nakreślił on w *Olbrachtowych rycerzach* cały szereg scen humorystycznych. Inna sprawa, że twórca nie ustrzegł się pewnej przesady i wprowadził do powieści kilka momentów o charakterze zgoła farsowym i przez to mało prawdopodobnych jak np. zabawna skądinąd scena z pudłami zasypującymi Kergolaja, skradającego się do sypialni żony Tigranesa. Można mieć uzasadnione wątpliwości, czy poważna pani Formoza w ten właśnie sposób chciałaby się pozbyć niepożądanego zalotnika. Przeszarżowane są na ogół sytuacje humorystyczne z Kundratem. Czytelnika nawet mogą razić te ciągle upokorzenia, jakie spotykają Kundrata ze strony rycerzy, przedstawione przez Kaczkowskiego w sposób farsowy. Był to przecież człowiek wykształcony, doktor praw, prawa ręka Kijasa w zarządzaniu jego przedsiębiorstwami handlowymi, pisarz lonherii i dlatego wątpić należy, aby reakcje niefortunnego wielbiciela Pachny były takie naiwne, prymitywne, na poziomie prostego pachółka miejskiego. Natomiast bardzo subtelnie ironizuje autor na temat Kergolaja, do którego czuje zresztą wyraźną sympatię. Przygoda Pachny na balu u Kijasa opisana została z werwą i z ogromnym wyczuciem humoru sytuacyjnego. Nie zawodzi również pisarza dowcip przy charakterystyce i przedstawianiu postępów księdza Wary.

Zbierając przez wiele lat materiały źródłowe do tej powieści, autor znalazł się w sytuacji o wiele trudniejszej aniżeli przy pisaniu powieści z czasów saskich i stanisławowskich. Chociaż we wspomnianej recenzji o pismach Henryka Sienkiewicza ubolewa, że autorzy powieści z XVIII wieku mieli mało źródeł drukowanych, to jednak, jak wynika z jego rozprawy pt. *O wartości źródeł rękopiśmiennych i ustnych tradycji do historii drugiej połowy XVIII wieku*<sup>123</sup> istniały bogate archiwa, w których można było znaleźć dużo materiału do przedstawianej epoki. Natomiast w wypadku XV stulecia zasób dokumentów niepomrotnie się kurczył, odpadały bowiem tak cenne źródła jak pamiętniki, diariusze, a nade wszystko żywa jeszcze w epoce młodości Kaczkowskiego tradycja ustna. Jeśli chodzi o źródła historyczne natury ogólniejszej, to Kaczkowski wyzyskał przede wszystkim kroniki Marcina Bielskiego, Marcina Kromera, Bernarda Wapowskiego, Miechowity, Macieja Strykowskiemu. Korzystał też z herbarzy Paprockiego i Niesieckiego. Źródła te ze szczegółowym opisem bibliograficznym wymienia Juliusz Kijas w pracy: *Kaczkowski jako współzawodnik Sienkiewicza* Kraków 1926.

Materiałów do opisu Lwowa i jego dziejów dostarczyły Kaczkowskiemu dzieła następujących autorów: Chodynicki: *Historia miasta Lwowa od założenia do czasów teraźniejszych*.

---

<sup>123</sup> Rozprawa ta poprzedza I tom *Dzieł* Zygmunta Kaczkowskiego, Warszawa 1874

Lwów 1829; Zubrzycki: *Kronika miasta Lwowa*, Lwów 1844; Zimorowicz: *Historia miasta Lwowa od najdawniejszych czasów do 1672*, Lwów 1835.

Krechowiecki przytacza również dzieła Büschinga, Klübera, Antoniego de la Salle, pamiętnik Hansa von Schweinichen, z których miał Kaczkowski korzystać, kreśląc obrazy obyczajów rycerskich.

Konfrontacja *Olbrachtowych rycerzy* z zapisami kronikarskimi pozwala przypuszczać, że Kaczkowski, gromadząc mozolnie przez długie lata budulec faktów historycznych do swoich powieści, musiał jednak w bardzo wielu miejscach oprzeć się na własnej wizji artystycznej, gdyż materiał przekazany przez przeszłość był zbyt szczupły i ogólnikowy.

Nie ma mowy o jakiejś tendencji do dosłownego przeszczepiania tekstu kronikarskiego do tkanki artystycznej utworu. Co najwyżej autor przytoczy na przykład charakterystyczne odezwanie się króla, zanotowane przez wszystkich niemal dziejopisów zajmujących się czasami panowania Jana Olbrachta. Opisując jego sylwetkę fizyczną posłużył się również informacjami przekazanymi przez kronikarzy. Powtórzy za nimi (z dobrą wiarą!) wiadomość o znakach złowróźbnych poprzedzających wyprawę wołoską względnie wymieni liczbę (przesadzoną) wojsk polskich pod Suczawą lub miejscowości spustoszone przez hospodara Stefana w czasie jego odwetowej wyprawy na Polskę. Ale Kaczkowski nigdy nie przytacza tekstów źródłowych dosłownie i w przeciwieństwie do Kraszewskiego poddaje je daleko idącej stylistycznej obróbce.

Autor poza studiowaniem źródeł o charakterze syntetycznym przeprowadzał sam osobiście (w czasie swego pobytu w kraju) lub za pośrednictwem przyjaciół (gdy przebywał na emigracji) szczegółowe badania archiwalne. Przewertował przede wszystkim akta grodzkie i ziemskie sanockie, skąd miał zaczerpnąć wiadomości o postaciach co prawda historycznych, ale nie pierwszoplanowych jak Kmita, względnie przez niego za historyczne uważanych np. Kergolaj, Gniewosz.

Autor w *Olbrachtowych rycerzach* dla podkreślenia autentyczności postaci i zdarzeń powieściowych przytacza dokumenty (jak np. list Jagienki i testament Gniewosza) pisane niby piętnastowieczną ortografią, względnie też kreując daną postać powołuje się na jakiś autentyczny szczegół z jej życia, poświadczony przez zapisy źródłowe. I tak np. prawdopodobnie przez Kaczkowskiego oglądany rozdartý list królewski do Kmity dostarczył mu okazji do zbudowania kapitalnej sceny na zamku sobieńskim. Jakaś wzmianka o zatargu Kergolaja z Żydem Nuchimem posłużyła autorowi do skonstruowania świetnej sceny w czasie przedstawiania misterium.

Podobnie i we wstępie do powieści komentując zwiedzanie ruin zamku tustańskiego, wspomina, że odczytał on na zwaliskach na pół zatarte nazwiska bohaterów i fragmenty tekstu ułożonego i wrytego, jak się okazuje w zakończeniu utworu, przez Lubka Pretficza.

Bez szczegółowych a bardzo utrudnionych badań archiwalnych trudno stwierdzić, czy fakt podawany przez autora za prawdziwy miał rzeczywiście miejsce i był punktem zaczepienia dla jego wyobraźni artystycznej, czy też został świadomie sfingowany. Ale czasem można przychwycić Kaczkowskiego na mistyfikacji. Herbarz Paprockiego, podobnie jak i niektóre kroniki, wyraźnie wspomina, że Cherubin Gniewosz zginął pod Suczawą. Trudno przypuszczać, aby heraldyk, któremu te czasy znane były z bardzo bliskiej tradycji, o tym nie wiedział, iż starosta czorsztyński dostał się do niewoli i po przeszło rocznym pobycie u Turków powrócił do kraju. Gniewoszowie bowiem należeli do pierwszych rodzin Królestwa Polskiego. I na przykład Bielski (i nie tylko on), który pisze o powrocie z niewoli tureckiej po osiemnastu latach wojewodzica ruskiego Odrowąża, na pewno wspomniałby o niezwykłym ocaleniu Gniewosza, bliskiego współpracownika króla.

Na nieścisłości dotyczące księdza Białego zwracał już uwagę Krechowiecki. Kaczkowski zaś w jednym ze swoich listów utrzymywał, że Wara jest postacią historyczną i że w aktach grodzkich i ziemskich sanockich wydanych przez Liskego można znaleźć mnóstwo dowodów

na jego istnienie. Okazuje się jednak, iż Kxandzbyali (ksiądz Biały) bynajmniej nie był księdzem i zmarł pięćdziesiąt lat przed wyprawą wołoską.

Formoza, jak wiadomo, wychowana w patrycjuszowskim domu Kijasa pochodziła zdaniem autora ze szlacheckiego rodu Murysonów. Tymczasem rodzina tego nazwiska pochodząca z Wielkiej Brytanii pojawia się w Polsce dopiero w XVII wieku. Jakub Muryson na sejmie w roku 1677 uzyskał indygenat.

Kaczkowski sugeruje, że Wilczek, Gniewosz, Kergolaj, nawet wspomniany ksiądz Wara są postaciami historycznymi. Trudno je zaliczyć do postaci autentycznych z tych samych powodów, dla których ani Skrzetuskiego, ani Wołodyjowskiego czy wreszcie Kmicica nie możemy uznać za historycznych bohaterów XVII wieku, mimo że zapisy źródłowe zawierają drobne wzmianki o ich życiu i działalności.

Kergolaj na przykład niezależnie od tego, czy miał zatarg o umówioną zapłatę z arendażem i czy był poturbowany w czasie przedstawienia misterium, jest postacią stworzoną przez wyobraźnię autora i poza nazwiskiem niewiele ma wspólnego ze swym ewentualnym pierwowzorem.

Poza wydawnictwami źródłowymi, dokumentami archiwalnymi, opracowaniami naukowymi Kaczkowski, jak wyznaje w jednym ze swoich listów, przeczytał też wszystkie powieści, w których akcja zbliżona jest chronologicznie do czasu wydarzeń przedstawionych w *Olbrachtowych rycerzach*.

Tak więc znana mu była powieść T. T. Jeża pt. *Za króla Olbrachta*, do której zresztą ustosunkował się dość krytycznie. Zarzucał Jeżowi pomieszanie postaci z rozmaitych wieków. Ta dyskredytująca uwaga nie może zastąpić analizy samego utworu, który posiada szereg zalet innego rodzaju. Zasadnicza akcja skupia się wokół wyprawy wołoskiej. Jeż, doskonały znawca krajów południowo-wschodnich, także i w tej powieści o wiele dokładniej od Kaczkowskiego przedstawia postać wielkiego wojewody Stefana i samą wyprawę wołoską. Jana Olbrachta traktuje o wiele bardziej krytycznie aniżeli Kaczkowski, stwierdzając, że był to władca próżny, ambitny, przedsiębiorczy, ale zarazem ograniczony.

Co Kaczkowski w *Olbrachtowych rycerzach* zawdzięczał Jeżowi? Ustalenie ewentualnych zależności jest sprawą bardzo kłopotliwą, gdyż obaj twórcy korzystali z podobnych źródeł, chociaż interpretacja przedstawianych przez nich wypadków różni się niekiedy w szczegółach.

Wspólna jest obu pisarzom krytyka stanu szlacheckiego, która u Jeża-demokraty idzie o wiele dalej.

Józef Ignacy Kraszewski w cyklu historycznym *Dzieje Polski* poświęcił XV stuleciu aż trzy powieści: *Matka królów*, *Strzemięńczyk* i wreszcie *Jaszka Orfanem zwanego żywota i spraw pamiątek*.

Ostatnia z wymienionych powieści obrazuje dzieje panowania Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Aleksandra.

Powieść ta należy do słabszych utworów Kraszewskiego. Kronikarskie ujęcie tematu pozwoliło autorowi na zgromadzenie ogromnej ilości faktów i zdarzeń społecznych, politycznych, obyczajowych, kulturalnych, ale to nie jest zaletą powieści. Obraz epoki wskutek tego *embarras de richesse* nie uległ pogłębieniu, ale raczej zatarciu. Niektóre jednak sceny zostały przez Kraszewskiego przedstawione kapitalnie jak np. zamordowanie Jędrzeja Tęczyńskiego w roku 1461. Autor za pośrednictwem swego narratora umiał stworzyć dramatyczny, gorączkowy nastrój towarzyszący wypadkom tumultu mieszczan krakowskich.

W kilka lat po śmierci Zygmunta Kaczkowskiego postać króla Jana Olbrachta zainteresowała Kazimierza Glińskiego popularnego w swoim czasie autora powieści obyczajowych i historycznych. W roku 1909 opublikował on *Zaloty króla jegomości*. Autor ogranicza się w gruncie rzeczy do bardzo powierzchownego nakreślenia erotycznych zainteresowań króla

pragnącego bezskutecznie uwieść Zofkę Downarównę, w której kochał się jego ulubiony dworzanin Zawilek, pokrewny duchowo Lubkowi Pretticzowi z *Olbrachtowych rycerzy*. O ile Gliński wprowadza do powieści pewne elementy ówczesnego życia obyczajowego, to całkowitym milczeniem pomija sprawy polityczne. Jan Olbracht w ujęciu autora nie ma nic ważniejszego do roboty, jak tylko myśleć o własnych przyjemnościach względnie interesować się zmartwieniami uczuciowymi swoich dworzan. Gliński, podobnie jak i Kaczkowski, wprowadza do swojego utworu także i mieszczaństwo krakowskie, a nawet przedstawiciele Uniwersytetu Jagiellońskiego. Potrafi posłużyć się zręcznie humorem, uda mu się czasem scena obyczajowa – ale mimo wszystko zalety powieści nie zdołały przeważać niewątpliwych mankamentów, do których należy zaliczyć w pierwszym rzędzie powierzchowność psychologii ukazanych postaci, naiwność w posługiwaniu się motywami awanturniczo-sensacyjnymi. Dziśszego czytelnika razi niejednokrotnie młodopolska nastrojowość i maniera stylistyczna.

W tym samym mniej więcej czasie, bo w roku 1913 powstaje *Legenda o królu* Ludwika Hieronima Morstina, określona przez autora jako poemat dramatyczny w pięciu aktach. Morstin poza postaciami historycznymi jak Jan Olbracht, kardynał Fryderyk, Kallimach (nie brakło wśród nich i Kmity z Sobnia) wprowadza szereg postaci fikcyjnych czasem noszących nawet imiona bohaterów powieści Kraszewskiego i Kaczkowskiego. Pojawia się w dramacie dworzanin Jaszko, Włoszka Lena, wreszcie Gniewosz i co dziwniejsze Pachna Rusinka, należąca do „haremu” kobiet otaczających romansowego króla.

W utworze tym przygody i zainteresowania erotyczne Jana Olbrachta zostały mocno wyeksponowane.

Z całą pewnością dramat ten nie należy do najlepszych osiągnięć dramaturgicznych Morstina. Konstrukcja utworu oparta jest na irracjonalnym związku między złamaniem ślubu czyistości przez Krystę – jedną z bohaterek powieści – a klęską wołoską.

Wydaje się, że pewien wpływ na artystyczny kształt *Olbrachtowych rycerzy* mogło wywrzeć słynne dzieło Wiktora Hugo *Katedra Marii Panny w Paryżu* (1832 r.).

Akcja obu powieści przypada na koniec XV stulecia. Obaj pisarze starali się (choć w nierównym stopniu) pokazać obraz średniowiecznego społeczeństwa w momencie przełomu społeczno-kulturalnego.

Jeśli można mówić o jakichkolwiek analogiach z Wiktorem Hugo, to przede wszystkim dzięki tym partiom *Olbrachtowych rycerzy*, w których akcja toczy się we Lwowie i w otoczeniu królewskim.

Nie miejsce tu na wysnuwanie paraleli i wykazywanie różnic. Jedna przynajmniej uwaga nasuwa się nieodparcie. Nad losami francuskich postaci powieściowych ciąży złowroga Ananke (Przeznaczenie). Czyż nie unosi się ta siła fatalna i nad bohaterami *Olbrachtowych rycerzy*?

Wśród wymienionych dzieł literackich poświęconych panowaniu Jana Olbrachta powieść Kaczkowskiego zajmuje miejsce przodujące. Nie bez znaczenia jest również fakt, że Olbrachtowi rycerze należą obok Murdeliona do szczytowych osiągnięć autora cyklu nieczujowskiego.

W *Olbrachtowych rycerzach* Zygmunt Kaczkowski wyciąga ostateczne konsekwencje ze swoich dotychczasowych doświadczeń na polu beletrystyki historycznej.

Już w powieściach nieczujowskich pojawiają się akcenty krytyki społeczeństwa szlacheckiego, mimo że pan Marcin należy raczej do apologetów dawnego sarmackiego obyczaju. W *Olbrachtowych rycerzach* autor niewątpliwie dla przeciwstawienia się Sienkiewiczowi krytykuje, i to dosyć ostro, rycerstwo, a także rozciąga krąg swoich obserwacji na mieszczaństwo.

I tu trzeba dodać, że dotychczasowa polska powieść historyczna wywodząca swój rodowód z gawędy szlacheckiej poza Kraszewskim niewiele uwagi poświęcała plebejskim warstwom społeczeństwa staropolskiego.

Ważną zdobyczą analizowanej powieści jest poszerzona i pogłębiona problematyka społeczno-polityczna. Nie obeszło się tu bez wpływu *Listopada* Rzewuskiego, ale o wiele większą rolę odegrał w tym wypadku przykład Kraszewskiego świadomie i celowo „upolityczniające” swoje utwory historyczne. *Olbrachtowi rycerze* powstają w okresie, kiedy na czoło bieżącej produkcji literackiej wysuwa się powieść współczesna. W tym samym bowiem roku 1887, kiedy Kaczkowski drukuje w „Gazecie Lwowskiej” *Olbrachtowych rycerzy*, na łamach warszawskiej „Gazety Codziennej” ukazuje się w odcinkach jedno z największych dzieł literatury polskiej okresu pozytywizmu – *Lalka* Bolesława Prusa. Druga wybitna pisarka, Eliza Orzeszkowa, utrwaliła już swoją pozycję w literaturze dziełami tego rodzaju, co *Marta*, *Meir Ezołowicz*, *Niziny*, *Dziurdziowie*, *Nad Niemnem*, *Cham*. Adolf Dygasiński natomiast wydał pierwsze tomy swoich nowel i opowiadań. Pisarze młodszy od Kaczkowskiego o całe pokolenie (Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz) osiągnęli już pełnię swego artystycznego rozwoju i napisali dzieła należące do szczytowych osiągnięć ich dorobku twórczego. Coraz pełniejszym głosem odzywa się trzecie pokolenie literackie związane z modernizmem. A mimo to powieść Kaczkowskiego, jednego z nielicznych wówczas żyjących pisarzy urodzonych przed rokiem 1830, nie minęła bez echa.

Prawda, że *Olbrachtowi rycerze* mimo swego wysokiego poziomu artystycznego nie wzbudzili tyle zainteresowania, co powieści historyczne Kaczkowskiego z lat pięćdziesiątych. Nie rozgorzała wokół tego utworu tak ożywiona dyskusja, jak kiedyś wokół cyklu nieczujowskiego, nikt już nie pasował autora *Starosty hołobuckiego* na pisarza inicjującego nowy okres w literaturze polskiej, ale pojawiło się kilka poważnych recenzji, z których na czoło wybija się szkic krytyczny Piotra Chmielowskiego opublikowany w „Ateneum” 1889 t. I pt. *Sienkiewicz i Kaczkowski*.

W recenzji tej znakomity krytyk i historyk literatury pisze m. in. o zawężeniu *Trylogii* Sienkiewicza do spraw wojennych i trochę miłosnych „jakoby wszystkie inne działy życia uległy zupełnej atrofii, jakoby nie siano, nie orano, nie żęto, nie splawiano zboża do Gdańska, nie pisano, nie zajmowano się sztuką, nie odbywano sejmów i sejmików, nie procesowano się, nie kłócono i nie godzono” (str. 511).

I nadmienia dalej, „że takie wymaganie nie jest teoretyczną jedynie mrzonką, lecz myślą, którą artystycznie wykonać można, dowodem są *Olbrachtowi rycerze* Zygmunta Kaczkowskiego, utwór jednocześnie drukowany z *Panem Wołodyjowskim* (str. 512).

Podsumowując zaś swoje niezwykle pochlebne dla autora *Murdeliona* uwagi dodaje Chmielowski: „Kaczkowski rozległością, bogactwem i głębią inwencji przewyższa Sienkiewicza. Dzieła też jego pobudzają do rozważań w tak wysokim stopniu, jak mało która nasza powieść. Sienkiewicz natomiast celuje zdolnością artystyczną, wykonawczą, talentem kolorystycznym nieporównanym i wdziękiem stylu; jego utwory wywierają też silniejsze wrażenie estetyczne” (str. 520).

W rok później „Biblioteka Warszawska” 1890 t. II opublikowała obszerny esej Stana pt. „*Olbrachtowi rycerze*” Zygmunta Kaczkowskiego i jego teoria historycznego romansu. Autor mimo wielu zastrzeżeń i zarzutów stawianych Kaczkowskiemu konkluduje: „W każdym razie nie jest to powieść zwykła, są dawniejsze powieści samego Kaczkowskiego, które byśmy nad nią przełożyli (*Grób Nieczui*, *Murdelio*), ale spomiędzy dzisiaj się pojawiających, prócz Sienkiewiczowskich, nie ma chyba żadnej lepszej powieści historycznej” (str. 388).

Za najlepszą powieść historyczną dorobku Kaczkowskiego uważa również *Olbrachtowych rycerzy* Ignacy Chrzanowski w swojej przedmowie do *Wyboru pism* Zygmunta Kaczkowskiego t. I Warszawa 1900.

Bardzo krytycznie natomiast ustosunkował się do utworu Kaczkowskiego Józef Tretiak w rozprawie *Powieść historyczna*, zamieszczonej w „Szkicach literackich”, seria II, Kraków 1901 (pierwodruk w literackim dodatku do „Kraju” 1889), ale i on dochodzi do ostatecznego



wniosku: „Jakież ma być ostatnie słowo o tej powieści? Stworzył ją wielki talent, wielka fantazja, ale bez iskry uczucia: powieść jest zimna jak lód” (str. 245).

Surowy sąd o powieści Kaczkowskiego wydali Stanisław Tarnowski, Wilhelm Feldman i Juliusz Kijas – wszyscy entuzjaści historycznego powieściopisarstwa Henryka Sienkiewicza.

Mimo kontrowersyjnych nieraz sądów i ocen powieść Kaczkowskiego stała się ważnym wydarzeniem literackim. Chociaż daleko jej było do poczytności utworów Sienkiewicza, to jednak w ciągu siedemdziesięciu lat dzielących ją od pierwodruku doczekała się kilku wydań, z których ostatnie ukazało się w roku 1948. Utwór dowodzi dużej żywotności artystycznej Kaczkowskiego, który po wielu latach przerwy zdobył się na wybitne osiągnięcie literackie i mógł z powodzeniem wystąpić w roli współzawodnika Henryka Sienkiewicza.

*Antoni Sapek*